

LIZ TUCCILLO

singielka
w wielkim
mieście



Liz Tuccillo

Singielka w wielkim
mieście

Książkę tę, jak wszystko, co robię, dedykuję mojej mamie.

Liz Tuccillo

To najbardziej irytujące pytanie pod słońcem, a ciągle je nam zadają. Krewni na spędach rodzinnych, zwłaszcza na weselach. Faceci na pierwszej randce. Psychoterapeuci podczas każdej wizyty. Nawet my same zadajemy je sobie aż za często. To jest pytanie, na które nie ma dobrej odpowiedzi, i nikomu nie poprawia ono nastroju. Co gorsza, kiedy przestają nam je zadawać, czujemy się jeszcze gorzej,

A mimo to sama nie umiem się powstrzymać i pytam: „Dlaczego jesteś sama?”. Wyglądasz na miłą osobę, do tego jesteś atrakcyjna. „Zwyczajnie nie rozumiem.”

Czasy się zmieniają. Prawie na całym świecie ludzie coraz dłużej pozostają wolni i łatwiej się rozwodzą. W miarę jak rośnie liczba kobiet niezależnych finansowo, wzrasta ich potrzeba osobistej wolności, a to często prowadzi do odkładania decyzji o małżeństwie.

Ludzkie dążenie do łączenia się w pary, tworzenia związków, nigdy się nie zmieni, lecz sposób jego realizacji, to, jak bardzo tego potrzebujemy i jak wiele jesteśmy skłonni dla tego poświęcić, z pewnością tak.

Może więc zamiast: „Dlaczego jesteś sama?” należałoby zacząć pytać: „Jak sobie radzisz, będąc sama?”. To nowy wielki świat, a panujące w nim zasady wciąż się zmieniają.

A więc, dziewczyny, powiedzcie, jak to u was wygląda?

JULIE JENSEN

ZASADA 1

ZADBAJ O PRZYJACIÓŁ

Przypadek Georgii

- JA TYLKO CHCĘ SIĘ ZABAWIĆ! TERAZ, KIEDY JESTEM SAMA, MOGĘ WRESZCIE ZASZALEĆ! PRZECIEŻ WY, SINGLE, CIĄGLE IMPEZUJECIE!! KIEDY IDZIEMY NA IMPREZĘ?!!!

Dosłownie wrzeszczy mi do słuchawki.

- JA SOBIE CHYBA COŚ ZROBIĘ, JULIE. NIE ZNIOSEŃ DŁUŻEJ TEGO CIERPIENIA. SERIO, CHCĘ UMRZEĆ. MUSISZ COŚ ZROBIĆ, ŻEBYM UWIERZYŁA, ŻE ZNOWU WSZYSTKO SIĘ UŁOŻY! MASZ MNIE WYCIĄGNAĆ Z DOMU I PRZYPOMNIEĆ MI, ŻE JESTEM MŁODA I MOGĘ MIEĆ TROCHEŃ RADOŚCI Z ŻYCIA! W INNYM WYPADKU NIE WIEM, CO ZROBIĘ!!!

Dale, mąż Georgii, dwa tygodnie temu zostawił ją dla innej kobiety, więc ze zrozumiałych względów Georgia była lekko załamana.

Zadzwoiła o 8.45 rano. Byłam wtedy w Starbucksie na rogu Czterdziestej Czwartej i Ósmej, w jednej ręce niosąc

tackę z kawami, a w drugiej trzymając komórkę. Włosy opadały mi na oczy, cztery kubki grande mochaccino niebezpiecznie przechylały się w stronę mojej lewej piersi i jednocześnie usiłowałam wręczyć należność sympatycznej dwudziestoparoletniej kasjerce. To się nazywa wielozadaniowość.

Byłam na nogach już od czterech godzin. Pracuję w dziale promocji dużego nowojorskiego wydawnictwa i do moich obowiązków należy między innymi wożenie naszych autorów na wywiady do mediów. Tego dnia miałam pod opieką trzydziestojednoletnią pisarkę Jennifer Baldwin. Jej poradnik Jak będąc w ciąży, pozostać atrakcyjną dla męża z miejsca stał się bestsellerem. Kobiety w całym kraju zabijały się o niego. To przecież jasne jak słońce, że podobać się mężowi to dla kobiety w tym okresie absolutny priorytet. W tym tygodniu robiłyśmy rundkę po najważniejszych porannych programach telewizyjnych: Today, The View, Regis and Kelly. Stacje WPIX, NBC i CNN, które odwiedziłyśmy tego ranka, łyknęły temat w całości. Któż chętnie nie puści materiału pokazującego kobietom w ósmym miesiącu ciąży, jak wykonać striptiz przed swoim facetem. Autorka książki, jej agentka i osobista specjalistka od PR, czekały teraz na mnie

niecierpliwie w limuzynie przed kawiarnią. Na mnie spoczęła odpowiedzialność dostarczenia im niezbędnego zastrzyku kofeiny.

- Georgia, ty poważnie o tym samobójstwie? Bo jeśli tak, od razu wezwę karetkę. - Gdzieś czytałam, że nie wolno lekceważyć takich gróźb, choć podejrzewam, że Georgia robiła to tylko po to, żebym ją zabrała na drinka.

- JAKĄ KARETKĘ, JULIE? JESTEŚ ŚWIETNĄ ORGANIZATORKĄ, ZADZWOŃ DO TYCH SWOICH KOLEŻANEK, Z KTÓRYMI ZAWSZE IMPREZUJESZ. JEDŹMY NA MIASTO!

Idąc do auta, myślałam, jak bardzo mnie to już męczy, ale wiedziałam, że Georgia przechodzi trudny okres i zanim się z tego wygrzebie, pewnie nieraz będzie jeszcze gorzej.

To historia stara jak świat. Dale'owi i Georgii urodziły się dzieci, przestali ze sobą sypiać, a zaczęli się kłócić. Oddalili się od siebie, a potem Dale oznajmił, że się zakochał w jakiejś dwudziestosiedmioletniej cizi, instruktorce samby, którą poznał w klubie fitness Equinox. Może jestem dziwna, ale mnie się wydaje, że namiętny seks też mógł mieć z tym coś wspólnego. Poza tym (nie chcę być niełojalna wobec Georgii, a już na pewno nie śmiałabym sugerować, że trochę winy leży

po jej stronie, bo przecież „Dale to dupek” i „od teraz obie go nienawidzimy”), muszę powiedzieć, że moim zdaniem ona go za mało szanowała.

Uczciwie dodam, że jestem na to szczególnie wyczulona. Kiedy widzę, jak zmoknięty mężczyzna rozkłada parasolkę nad głową swojej żony po tym, jak przeszedł w deszczu pięć przecznic, żeby przyprowadzić samochód pod samą restaurację, a żona nawet nie mruknie „dziękuję”, to naprawdę się wkurzam. I zauważyłam, że Georgia tak samo traktowała Dale'a, zwłaszcza gdy zwracała się do niego tym tonem. Nie udawajmy, to nic innego jak zwykła pogarda. Wyraz niechęci i zniecierpliwienia. Dźwiękowy odpowiednik przewracania oczami. Niepodważalny dowód na niedoskonałość instytucji małżeństwa wyrażony jednym zdaniem: „Przecież mówiłam, że maszynka do popcornu stoi nad lodówką”. Gdyby oblecieć świat, pozbierać do worka cały ten ton, który się wydobywa z ust wszystkich żon i mężów w każdym zakątku Ziemi, zwieźć na pustynię w Nevadzie i wypuścić, ziemia dosłownie zapadłaby się pod ciężarem globalnej ludzkiej irytacji.

Georgia tym właśnie tonem zwracała się do Dale'a. Nie był to oczywiście jedyny powód ich rozstania. Ludzie bywają irytujący, a w małżeństwie są przecież i dobre, i złe dni.

Zresztą, co ja tam wiem... Mam trzydzieści osiem lat i od sześciu jestem singielką. (Tak, sześciu.) Nie żyję w celibacie, spotykam się z facetami, ale nie mam z kim spędzać świąt. Wyobrażam więc sobie, że swojego ukochanego zawsze traktowałabym dobrze. Nigdy nie byłabym wobec niego szorstka, ciągle dawałabym mu odczuć, że go pożądam, szanuję i jest dla mnie najważniejszy w życiu. Starałabym się wyglądać seksownie, zawsze bym się uśmiechała, a gdyby o to poprosił, zapuściłabym nawet długi rybi ogon i skrzydele i topless popływała z nim w morzu.

A Georgia ze względnie zadowolonej z życia żony i matki przeobraziła się w zrozpaczoną, nękaną myślami samobójczymi samotną matkę z dwójką dzieci. I chce zaszać.

Coś się chyba dzieje, kiedy zostajemy same. Uruchamia się instynkt samozachowawczy ze skutkiem porównywalnym do efektów pełnej lobotomii. Nagle bowiem Georgia przeniosła się w przeszłość do czasów, gdy miała dwadzieścia osiem lat, i zapragnęła chodzić po barach oraz podrywać facetów, zapominając, że w rzeczywistości wszystkie mamy pod czterdziestkę i niektóre z nas robią to nieprzerwanie od lat. Szczerze mówiąc, mnie się już nie chce. Nie mam ochoty

przez godzinę prostować włosów którymś z moich licznych urzędzeń, żeby się poczuć na tyle atrakcyjną, by móc wyjść na drinka. Wolę się wcześniej położyć do łóżka, żeby rano wcześnie wstać, ukrećić sobie koktajl i trochę pobiegać. Jestem długodystansowcem. Nie w sensie dosłownym - biegam tylko pięć kilometrów dziennie - lecz jako singielka. Wiem, jakie przyjąć tempo i jak rozłożyć siły. Umiem też ocenić, jak długo bieg będzie trwał. Georgia oczywiście chciałaby „sprzedać” dzieci opiekunce i od razu zerwać się do sprintu.

- TY MASZ OBOWIĄZEK MNIE POCIESZYĆ! NIE ZNAM INNEJ SINGIELKI! MUSISZ MNIE GDZIEŚ ZABRAĆ. CHCĘ POIMPRESOWAĆ Z RESZTĄ TWOICH SAMOTNYCH KOLEŻANEK! WY CIĄGLE GDZIEŚ CHODZICIE!! JA TEŻ CHCĘ!!!

Zapomina, że jest tą samą kobietą, która ilekroć jej opowiadałam o swoim samotnym życiu, patrzyła na mnie z ogromnym współczuciem i wykrzykiwała jednym tchem „omójbożejabymsięchybazabiła”.

Ale Georgia zrobiłaby coś, co innym moim przyjaciółkom będącym w stałych związkach nigdy nie przyszłoby do głowy: chwyciłaby za telefon i zorganizowała kolację, zapraszając

kilku wolnych facetów, żebym mogła ich poznać. Albo spytałaby pediatrę swoich dzieci, czy nie ma jakichś kolegów do wzięcia.

Zawsze była zaangażowana w poszukiwanie dla mnie Tego Jedynego, nieważne, jak bardzo sama czuła się szczęśliwa i spełniona. To rzadka i piękna cecha. I właśnie dlatego w ten piątkowy rano, ścierając kawowe plamy z białej bluzki, zgodziłam się zadzwonić do trzech koleżanek, które również są singielkami, i spytać, czy nie poszłyby się rozerwać z jeszcze jedną, świeżo porzuconą i lekko rozhisteryzowaną.

Przypadek Alice

Georgia ma rację. My, singielki, rzeczywiście mamy wesołe życie. Wprost komiczne. Na przykład taka Alice. Boki zrywać. Pracuje za marne grosze jako obrończyni praw najuboższych mieszkańców Nowego Jorku - przed gruboskórnymi sędziami, okrutnymi prokuratorami i ogólnie przeciw całemu przeciążonemu systemowi. Oddała się sprawie pomocy słabszym poprzez walkę z tym systemem, przeciwstawianie się władzy i obronę naszej konstytucji. Aha, od czasu do czasu musi bronić przed sądem jakiegoś

gwałciciela albo mordercę, o którym wie, że jest winny, i nierzadko załatwia mu wyjście na wolność.

Alice jest adwokatem z urzędu. Choć konstytucja gwarantuje nam prawo do posiadania obrońcy, niestety nie może obiecać, że trafimy akurat na nią. Przede wszystkim jest niesamowitą laską. To oczywiście płytkie podejście, ale co tam. Ci ławnicy obradujący w obskurnej sali oświetlonej jarzeniówkami i ten stary, osiemdziesięcioletni sędzia, który musi się babrać w tym całym bagnie, połączą się na wszystko, co choć trochę jest miłe dla oka. A jeszcze gdy seksowna rudowłosa Alice odezwie się swym głębokim, kojącym głosem z włoskim akcentem ze Staten Island, pojechałbyś do Sing - Sing i odbił wszystkich więźniów, gdyby tylko o to poprosiła.

Fachowa wiedza i ogólna charyzma pozwoliły jej zostać najmłodszym profesorem prawa na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork. Za dnia ratowała świat, a wieczorami nakłaniała młodych japiszonów, żeby zrezygnowali z marzeń o eleganckich apartamentach na Manhattanie i wakacjach w Hamptons, a w zamian zaangażowali się w publiczną pomoc prawną i robili coś naprawdę pożytecznego. Odniosła niebywały sukces. Sprawiała, że nieposłuszeństwo i

współczucie znów stały się modne. Studenci autentycznie uwierzyli, że pomaganie innym jest ważniejsze od zarabiania kasy.

Była ich guru.

Tak, piszę w czasie przeszłym, bo pozwoliłam sobie na małe przekłamanie. Prawda jest zbyt bolesna.

Alice już nie jest obrońcą z urzędu.

- No dobra, w jednym przypadku byłabym za zastosowaniem kary śmierci. - Alice jako dobra przyjaciółka pomagała mi właśnie przewieźć książki z mojego biura na rogu Pięćdziesiątej Ulicy i Ósmej Alei do księgarni przy Siedemnastej Ulicy, gdzie organizowałam spotkanie z autorem (tytuł książki: Jak być idiotą: przewodnik dla idiotów; oczywiście natychmiast stała się przebojem). - Mam na myśli faceta, który spotyka się z trzydziestotrzyletnią kobietą przez pięć lat, aż ta skończy trzydzieści osiem, i nagle odkrywa, że nie potrafi się zaangażować. Cały czas dawał jej do zrozumienia, że chce z nią spędzić resztę życia i nie boi się małżeństwa, a pewnego dnia twierdzi, że „małżeństwo chyba jednak nie dla niego”. - Alice przyłożyła palce do ust i gwizdnęła tak głośno, że prawie zatrzymała cały ruch. Podjechała taksówka.

- Proszę otworzyć bagażnik. - Alice wzięła ode mnie ciężki karton z książkami i wrzuciła do auta.

- Tak, to jest chamstwo - przyznałam jej rację.

- Mało powiedziane. To przestępstwo. Przestępstwo przeciwko moim jajnikom. Zbrodnia dokonana na moim zegarze biologicznym. On mi ukradł pięć cennych lat z okresu rozrodczego, a to powinno się traktować jak rabunek mienia o dużej wartości i karać powieszeniem. - Wyrywała mi z rąk pudło za pudłem i prawie nimi rzucała. Uznałam, że będzie lepiej, jeśli to sama skończy. Kiedy załadowała całość, podeszliśmy do drzwi taksówki. Alice ani na chwilę nie przestawała mówić.

- Nie zamierzam tulić uszu po sobie. Jestem silną kobietą. Sama kieruję swoim życiem. Zobaczysz, jeszcze nadrobię stracony czas.

- Co masz na myśli?

- Zamierzam zrezygnować z pracy i zacząć szukać faceta.

- Alice wsiadła do taksówki i trzasnęła drzwiami.

Zglupiałam.

- Co, przepraszam?

- Barnes and Noble przy Union Square - rzuciła do kierowcy. - To, co słyszałaś. Zarejestruję się na wszystkich

możliwych portalach randkowych, powysyłam hurtem maile do przyjaciół, żeby mnie poumawiali ze znajomymi kawalerami. Co wieczór będę wychodzić na miasto i mam zamiar szybko kogoś poznać.

- Rzucasz pracę, żeby szukać chłopca? - Staralam się, żeby w moim głosie było jak najmniej krytyki i przerażenia.

- Właśnie tak - pokiwała energicznie głową. - Nie zrezygnuję z uczelni, muszę z czegoś żyć, ale to będzie w zasadzie moje nowe zajęcie.

Tak więc teraz moja najdroższa przyjaciółka, samarytanka, wojownicza księżniczka Xena i Erin Brokovich w jednej osobie, w dalszym ciągu poświęcająca cały swój czas i energię potrzebującym, sama jest w potrzebie - trzydziestoosmioletnia singielka z Nowego Jorku. Nadal jest buntowniczką, lecz teraz za wroga ma Trevora, który jej zabrał cenne lata życia i sprawił, że czuje się stara, niekochana i przerażona.

Gdy ją spytać, co robi z zyskanym nagle wolnym czasem, który dawniej wykorzystywała na pomoc dotychczas nie karany przestępcom w uniknięciu więzienia i panującej tam brutalnej przemocy, najczęściej zaczyna opowiadać:

- Oprócz Internetu i randek w ciemno staram się bywać na wszystkich konferencjach, lunchach i bankietach, na które mnie zapraszają. Nieważne, w jakiej jestem akurat formie. Pamiętasz, jak miałam tę paskudną grypę? Pojechałam na imprezę dla singli w New York Theatre Workshop. Dzień po operacji ręki zażyłam tabletki przeciwbólowe i poszłam na to wielkie przyjęcie charytatywne na rzecz Central Park Conservancy. Nigdy nie wiadomo, kiedy spotkasz mężczyznę, który odmieni twoje życie. Z drugiej strony staram się rozwijać zainteresowania. Dużo czasu poświęcam na to, co kocham, bo wiesz, równie dobrze możesz kogoś poznać, kiedy się tego najmniej spodziewasz.

- Co ty wygadujesz? - spytałam podczas jednego z takich wywodów. - Alice, rzuciłaś pracę, żeby poświęcić cały swój czas na szukanie faceta. Jakim cudem to ma się zdarzyć niespodziewanie?

- Jeżeli będę cały czas czymś zajęta. Pływam kajakiem po Hudsonie, wspinam się na ściance w Chelsea Piers, chodzę na warsztaty stolarskie w Home Depot. Nawiasem mówiąc, też powinnaś się zapisać. Ostatnio skleciłam śliczną szafeczkę. Myślałam też o kursie żeglarskim w South Street Seaport. Staram się robić rzeczy, które mnie pochłaniają, wtedy mogę

na chwilę zapomnieć, że tak naprawdę to się rozglądam za facetami. Absolutnie nie wolno sprawiać wrażenia zdesperowanej. To jest najgorsze.

Słyszając to, ludzie traktują ją jak lekką wariatkę, zwłaszcza że przy tym garściami łyka tabletki na zgagę. Moim zdaniem jej problemy trawienne wynikają z pewnej drobnej dolegliwości zwanej „panicznym strachem przed samotnością”.

Do kogo więc miałam zadzwonić, jeśli nie do niej, kiedy potrzebowałam się zabawić z grupą koleżanek. Ona w zasadzie zajmuje się tym zawodowo. Zna teraz wszystkich bramkarzy i barmanów w mieście, wszystkie bary, kluby, spelunki, te mało znane i te oblegane przez turystów, i w ogóle wszystkie miejsca, gdzie coś się dzieje. Oczywiście chętnie się zgodziła.

- Wchodzę w to - powiedziała. - Nic się nie martw. Zadbamy o to, żeby Georgia przeżyła jutro najlepszy wieczór swego życia.

Z ulgą odłożyłam słuchawkę. Wiedziałam, że na Alice mogę liczyć, bo choć jej życie się zmieniło, nadal gotowa jest działać, jeżeli cel jest szlachetny.

Przypadek Sereny

- Nie zgadzam się. Nie mam ochoty wdychać dymu.

- Jeszcze nie wiesz, dokąd idziemy.

- Tak, ale tam na pewno będzie nadymione. Wszędzie tak jest.

- Serena, w Nowym Jorku obowiązuje zakaz; nie wolno palić w knajpach.

- Wiem, ale i tak jest zbyt duszno. Do tego ten jazgot. Siedzimy w restauracji Zen Palate - od trzech lat jedynym miejscu, gdzie możemy się spotykać. Ona unika jedzenia na mieście. Unika też sera, glutenu, ananasów, warzyw psiankowatych oraz wszystkich, które nie pochodzą z upraw ekologicznych. Te produkty nie odpowiadają jej grupie krwi. Jeśli się jeszcze nie domyśliliście, Serena jest bardzo, ale to bardzo szczupła. To jedna z tych pięknych, eterycznych blondynek, które się widuje na zajęciach jogi w każdym większym mieście Ameryki. Prowadzi kuchnię wegetariańską w domu pewnej sławnej nowojorskiej rodziny. Nie wolno mi o nich nic mówić, bo Serena kazała mi podpisać umowę zobowiązującą mnie do zachowania tajemnicy. Naprawdę. Zrobiła to, żeby nie mieć wyrzutów sumienia, łamiąc z kolei swoją umowę, którą podpisała z chlebodawcami, kiedy ze mną o nich plotkuje. Powiem tylko tyle, że noszą imiona

Robert i Joanna, a ich synek to Kip. Zresztą Serena wcale się o nich źle nie wyraża; traktują ją bardzo dobrze i chyba cenią sobie jej łagodne usposobienie. Ale na Boga, kiedy na lunch przychodzi Madonna i rzuca komplement na temat kuchni Sereny, ta przecież ona musi się tym komuś pochwalić. Jest tylko człowiekiem.

Serena zgłębia także hinduizm. Wierzy w osiągnięcie równowagi psychicznej w każdej sytuacji. We wszystkich przejawach życia chce widzieć boską doskonałość, nawet w tym, że od czterech lat nie była na randce ani nie uprawiała seksu. Uważa, że w ten sposób świat ją informuje, iż powinna więcej nad sobą pracować. No bo jak można być dla kogoś oddanym partnerem, dopóki samemu nie jest się w pełni zrealizowanym człowiekiem?

No więc pracuje nad sobą. Tak się zapędziła, że stała się dosłownie ludzkim labiryntem. Współczuję facetowi, który kiedykolwiek się odważy zapuścić w te kręte korytarze i ślepe uliczki, jakimi są jej ograniczenia dietetyczne, harmonogram medytacji, warsztaty new age'owe, zajęcia jogi oraz obsesja na punkcie witamin i picia wody destylowanej. Jeśli jeszcze trochę nad sobą popracuje, nie będzie w stanie wyjść z domu.

Serena jest tego rodzaju przyjaciółką, z którą zawsze spotykam się w cztery oczy; nikt inny jej nie zna. Kiedy przypadkiem gdzieś o niej wspomnę, każdy pyta: „Serena? Masz znajomą o imieniu Serena?”. Ale nie zawsze tak było. Poznałam ją w college'u, nie różniła się niczym od reszty. Zawsze była odrobinę neurotyczna, ale wtedy to uchodziło za dziwactwo, nie świadomie wybrany styl życia. Po studiach normalnie umawiała się z facetami, chodziła na randki. Przez trzy lata miała nawet stałego chłopaka. Na imię mu było Clyde. Bardzo sympatyczny, szalał na jej punkcie, ale Serena zawsze wiedziała, że nie jest tym jedynym. W pewnym sensie było jej z tym wygodnie, osiągnęła przyjemną stabilizację (a ona, jak wiecie, lubi zorganizowane życie). Przekonałyśmy ją więc, żeby go niepotrzebnie nie zwodziła. W życiu nie przypuszczaliśmy, że to być może ostatni prawdziwy związek w jej bezglutenowym życiu. Po rozstaniu z Clyde'em chadzała jeszcze na randki - nie tak intensywnie, ale ilekroć ktoś się nawinął. Jednak mniej więcej w trzydziestym piątym roku życia, kiedy nie udało jej się znaleźć nikogo, kim by się poważnie zainteresowała, skoncentrowała się na innych sferach życia. Co, prawdę mówiąc, poleca kobietom większość poradników, które pomagam promować. Radzą też,

aby pokochać siebie. W zasadzie, gdyby je wszystkie sprowadzić do dwóch słów, brzmiałyby właśnie: „kochaj siebie”. Nie wiem, czemu, ale potwornie mnie to irytuje.

Serena zaczęła się więc skupiać na innych rzeczach i stąd ta dieta oraz kursy hobbyistyczne. W przeciwieństwie do Alice, przynajmniej w sprawach sercowych, postanowiła usunąć się w cień. To ryzykowne tak odpuścić sobie marzenia o miłości. Gdy to dobrze rozegramy, zyskujemy spokój, radość życia i pozwalamy, by nasze wewnętrzne światło rozbliło jaśniej i intensywniej niż kiedykolwiek przedtem. (Tak, napisałam o wewnętrznym świetle człowieka - w końcu mowa o Serenie). Jednak moim zdaniem, kiedy źle się do tego zabierzemy lub trwa to zbyt długo, to nasze światło może się stopniowo wypalić. Przystajemy być atrakcyjne i wypadamy z gry. Wprawdzie porzucenie pracy, aby się skupić na randkowaniu uważam za skrajność, to jednak nie sądzę, by należało siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż miłość sama nas znajdzie. Ona nie jest aż tak mądra i wcale się nami nie przejmuje. Myślę, że miłość przychodzi do tych, których światło jarzy się tak intensywnie, że można by je dostrzec z kosmosu. A światło Sereny, szczerze mówiąc, przygasło

gdzieś między zabiegami płukania jelit a lekcjami tańca afrykańskiego.

Mimo to, jej towarzystwo działa na mnie uspokajająco. Z cierpliwością Gandhiego potrafi słuchać, gdy daję upust moim frustracjom związanym z pracą. Oprócz wspomnianych poradników pomogłam wypromować takie pozycje, jak: A zegar tyka!, Jak w 10 dni poznać i poślubić mężczyznę swoich marzeń, Jak poznać, czy on kocha naprawdę oraz absolutny hit Jak zostać słodkim kociakiem (wszak to klucz do kobiecego szczęścia).

Dorastałam w New Jersey, nie tak daleko stąd, raptem o jeden most albo tunel od miasta moich marzeń. Przeniosłam się tutaj, żeby zostać pisarką, potem chciałam kręcić filmy dokumentalne, później zapisałam się na zajęcia z antropologii, licząc, że wyjadę do Afryki badać życie masajskich wojowników lub jakiegoś innego ginącego plemienia. Fascynuje mnie nasz gatunek i bardzo mnie kręcił pomysł opisywania go w jakiegokolwiek formie. Zdałam sobie jednak sprawę, że odziedziczyłam po ojcu jego praktyczną naturę. Lubiłam majsterkować i lubiłam też wiedzieć, że mam ubezpieczenie zdrowotne. Dlatego zatrudniłam się w wydawnictwie.

Teraz jednak samodzielność finansowa straciła urok nowości.

Przez cały czas Serena słuchała moich wywodów w milczeniu.

- Czemu się nie zwolnisz? - pyta w końcu.

- I gdzie pójdę? Znowu do działu promocji? Nie znoszę tego. Na zasiłek? Nie jestem aż takim lekkoduchem, uzależniłam się od regularnej pensji.

- Czasem trzeba zaryzykować.

Jeżeli nawet Serena uważa, że popadłam w rutynę, to naprawdę musi być źle.

- Co masz na myśli?

- Na przykład: czy nie wspominałaś, że zawsze chciałaś zostać pisarką?

- Tak, ale mam nie dość przzerośnięte ego.

W życiu zawodowym ugrzęzłam w miejscu. Mój wewnętrzny „głos rozsądku”, na którym inni tak bardzo polegają, doprowadził tylko do tego, że bałam się podjąć jakąkolwiek odważniejszą decyzję. Ale Serena co piątek cierpliwie wysłuchiwała moich wyrzekań na pracę, jakbym poruszała ten temat po raz pierwszy.

Pomyślałam więc, czemu nie? Moje przyjaciółki zawsze były ciekawe, jaka ona jest. Może uda się ją namówić na wspólną imprezkę?

- Szanse, że któraś z nas pozna jutro wymarzonego faceta, są bliskie zeru. Po co się wysilać? - stwierdziła, pogryzając sojowego hamburgera.

W świetle faktów Serena ma rację. Co wieczór wyruszam w miasto w nadziei poznania tego jedyne, który będzie mnie obdarzał uwielbieniem do końca życia. Powiedzmy, że robię to dwa, trzy razy w tygodniu od jakichś piętnastu lat. Poznałam wielu, z niektórymi się spotykałam, ale do dziś nie znalazłam takiego, który w wielkiej księdze życia mógłby zostać zapisany jako Ten Jedyne. Jak by nie spojrzeć, wychodzi na to, że spędziłam setki wieczorów, nie poznając mężczyzny moich marzeń.

Wiem, wiem, nie tylko taki był cel naszych wypadów. Szłyśmy się przede wszystkim zabawić, świętować naszą wolność i młodość (powiedzmy), to, że jesteśmy zdrowe, pełne energii i mamy szczęście mieszkać w najfajniejszym mieście świata. Zabawne, że kiedy wreszcie masz faceta, pierwsze, co zaczynacie robić, to coraz częściej zostawać w

domu, żeby się pokisić na kanapie. A to właśnie dlatego, że wypadły z przyjaciółkami były takie fajne.

Trudno się więc było z Sereną nie zgodzić. Namawiałam ją jednak dalej.

- Nie idziemy się rozglądać za facetami. Idziemy się wyluzować i pokazać Georgii, jak fajnie czasem ruszyć się z domu. Pobyć wśród ludzi, pojeść, popić, porozmawiać, pośmiać się. Czasem stanie się coś nieoczekiwanego, a czasem - najczęściej - wracasz do domu i tyle. Ważne jest to, że wyszłaś. Że zobaczysz, co m o ż e się zdarzyć. Na tym polega cała przyjemność.

Propagowanie spontaniczności to nie najlepsza droga do serca Sereny, ale z jakichś powodów się zgodziła.

- Dobrze, ale nie idę nigdzie, gdzie będzie zadymione albo za głośno. I muszą mieć w menu dania wegetariańskie.

Przypadek Ruby

Następna jest Ruby.

To była sobota, druga po południu. Musiałam wpaść do Ruby osobiście, żeby ją namówić na wieczorne wyjście, poza tym podejrzewałam, że jeszcze się nie wygrzebała z łóżka.

Otworzyła mi drzwi w piżamie. Na głowie miała jeden wielki kołtun.

- Dopiero wstałaś? - spytałam zaniepokojona.

- Jak widzisz - odparła i poczłapała z powrotem do sypialni. W mieszkaniu panował nieskazitelny porządek. Żadnych typowych oznak depresji typu zapleśniałe pudełko po lodach, niedojedzone pączki czy sterta brudnych ciuchów z całego tygodnia. To mi dało nadzieję.

- Jak się czujesz?

- Lepiej. On nie był moją pierwszą myślą, kiedy się obudziłam. - Wślizgnęła się w puszystą pościel w kwiatki i nasunęła kołdrę pod brodę. Łóżko wyglądało kusząco. Sama nabrałam ochoty na drzemkę.

- Świetnie! - rzekłam, wiedząc, że to nie koniec tematu. Ruby jest uroczą długowłosą brunetką o krągłych, kobiecych kształtach i delikatnym głósie. Stworzeniem wrażliwym i uczuciowym. Lubi się dzielić swoimi emocjami.

Usiadła i oparła się o zagłówek.

- Moją pierwszą myślą było: „Czuję się okej”. Wiesz, o co chodzi? Ten moment, zanim sobie przypomnisz, kim jesteś i jak wygląda rzeczywistość. Fizycznie, całym ciałem, poczułam, że jest okej. Dawno tak nie było. Z reguły otwieram oczy i od razu czuję się beznadziejnie. Zupełnie, jakbym o tym śniła, a jawa była tylko przedłużeniem snu. Ale dzisiaj

pierwszą myślą było: „Czuję się okej”. Jakby organizm nie tolerował już więcej smutku.

- To super - ucieszyłam się. Może sytuacja nie wygląda tak źle.

- No tak, ale oczywiście jak tylko sobie wszystko przypomniałam, zaczęłam ryczeć i ryczałam trzy godziny. Ale jest jakiś postęp, nie? Przekonałam się, że jest ze mną coraz lepiej. Kiedyś w końcu muszę zapomnieć o Ralphie. Niedługo, gdy się obudzę, miną całe trzy minuty, zanim zacznę po nim płakać. Potem kwadrans. Potem godzina. Cały dzień. Aż wreszcie mi przejdzie. - Wyglądała, jakby znowu miała się rozbeczeć.

Ralph to jej kot. Trzy miesiące temu zdechł na niewydolność nerek. Od tej pory Ruby regularnie zdaje mi relacje o fizycznych objawach swojej głębokiej depresji. To dla mnie szczególnie trudne, ponieważ zupełnie nie rozumiem, jak można inwestować całą energię emocjonalną w coś, co nie potrafi nawet wymasować pleców. Co więcej, uważam, że trzymanie zwierząt w domu to oznaka słabości. Ilekroć kogoś pytam, dlaczego tak bardzo kocha swojego pupila, niezmiennie słyszę coś w tym stylu: „Nie uwierzysz, ile bezwarunkowej miłości daje mi Beemie”. A ja za to dziękuję.

Nie potrzebuję takiej miłości. Potrzebuję kogoś, kto chodzi na dwóch nogach, potrafi formułować zdania, używać narzędzi albo przypomnieć mi, że już drugi raz w tym tygodniu nawrzeszczałam na panią w telefonicznym biurze obsługi klienta i może powinnam się nad sobą zastanowić. Chcę być kochana przez kogoś, kto zrozumie, że jeśli trzy razy w ciągu miesiąca potrafię się zatrzasnąć na zewnątrz własnego mieszkania, to może po prostu taką mam przypadłość i już się nie zmienię. I mimo to będzie mnie kochał. Nie dlatego, że to miłość bezwarunkowa, lecz dlatego, że naprawdę dobrze mnie zna i doszedł do wniosku, że mój fascynujący umysł oraz seksowne ciało warte są tego, by na przykład spóźnić się na samolot, bo zapomniałam z domu prawa jazdy.

Ale nie o to teraz chodzi. Chodzi o to, że Ruby za nic nie daje się wyciągnąć z domu, na kawę, zakupy czy nawet zwykły spacer. Ta kobieta fatalnie znosi rozczarowania. Zwłaszcza miłosne. Miała kilka udanych związków, ale żaden nie był wart tego bólu i cierpienia, jakie sama sobie zadawała, kiedy coś nie wyszło. Proporcje są po prostu zakłócone. Jeżeli spotyka się z kimś trzy tygodnie, potem ze sobą zrywają, to przez następne dwa miesiące ryczy, doprowadzając tym siebie i wszystkich wokół do obłądu.

Ponieważ znam psychikę Ruby na wylot, potrafię dokładnie opowiedzieć, jak wygląda u niej cały proces pograżania się w depresji. Poznaje faceta. Podoba jej się. Zaczynają się spotykać. Budzi się w niej radość i nadzieja, jak zawsze u każdego, gdy wreszcie znajduje kogoś, kto przypadł mu do gustu, kogoś, kto przy okazji jest wolny, kulturalny, przyzwoity i najwyraźniej odwzajemnia sympatię.

Jak już wspomniałam, Ruby jest atrakcyjna; bardzo subtelna i kobieca. Potrafi słuchać z uwagą i zainteresowaniem, jest fantastycznym rozmówcą. No, a takie cechy podobają się mężczyznom. Ona tak naprawdę dobrze sobie radzi na randkach, a kiedy ma kogoś u boku, jest zdecydowanie w swoim żywiole.

To jest jednak Nowy Jork, prawdziwe życie, i sprawy nie zawsze układają się pomyślnie. A wówczas, gdy obojętnie z jakiego powodu i w jakim stylu Ruby zostaje porzucona, rozpoczyna się pewien proces. Na początku zwykle nie jest jeszcze najgorzej. Jak wtedy, gdy zerwał z nią Nile, bo postanowił się pogodzić ze swoją byłą. W chwili uderzenia Ruby podchodzi do sprawy filozoficznie. Przepelnia ją zdrowy rozsądek i poczucie własnej wartości. Tłumaczy mi, że to musiał być po prostu niewłaściwy facet i ona nie może

tego brać do siebie, a poza tym to jego strata. Potem mija kilka godzin i Ruby coraz bardziej się oddala od tego momentu jasności umysłu, a zaczyna popadać w obłąd. Ukochany, którego wcześniej postrzegała w normalnej skali, w ciągu paru godzin urasta pod względem atrakcyjności do rozmiarów Mount Everestu, no i Ruby jest niepokieszona. Okazuje się, że był najlepszą rzeczą, jaka ją w życiu spotkała, i już nigdy nikogo takiego nie pozna. Nile uczynił jej rzecz niewiarygodną - odrzucił ją i teraz on jest WSZYSTKIM, a ona niczym.

Tyle razy widziałam, jak to przechodziła, że teraz specjalnie staram się być przy niej w czasie tych kilku krytycznych godzin, żeby zdążyć ją pociągnąć za fraki, nim wpadnie w studnię rozpacz. Bo wierzcie mi, jeśli już wpadnie, nigdy nie wiadomo, kiedy wyjdzie. A Ruby nie lubi siedzieć tam sama. Lubi wydzwaniać do przyjaciółek i całymi godzinami opowiadać im precyzyjnie, ze szczegółami, jak wygląda ta mroczna kraina straconych złudzeń. Nic wtedy nie można zrobić. Pozostaje nam przeczekać.

Możecie sobie zatem wyobrazić, że po tylu latach oglądania takiej emocjonalnej huśtawki, ilekroć dostaję od Ruby telefon, że „poznała świetnego faceta” albo że na drugiej

randce „było fantastycznie”, niekoniecznie skaczę z radości. Dotychczasowa arytmetyka nie wróży nic dobrego. Skoro trzy tygodnie chodzenia równają się dwóm miesiącom łez, to wyobraźcie sobie moje przerażenie, gdy Ruby świętuje czwarty miesiąc spotykania się z jakimś facetem. Jeżeli kiedyś zerwie z kimś po kilku latach wspólnego życia, to doprawdy nie wiem, czy do śmierci zdąży się wykurować.

I dlatego postanowiła przygarnąć kota. Miała dość rozczarowań, a stwierdziła, że jeśli tylko będzie pamiętała o zamykaniu okien i nieuchylaniu za szeroko drzwi, Ralph nigdy jej nie opuści. I już nie będzie musiała cierpieć. Niestety, nie zdawała sobie sprawy z kocich problemów z nerkami. A teraz, cóż, oczywiście Ralph był najlepszym kotem na świecie. Ani zwierzę, ani człowiek nie byłby w stanie przynieść jej tyle szczęścia co on, i nie ma pojęcia, jak da radę żyć bez niego. Mimo wszystko udaje jej się nie zaniedbywać pracy. Prowadzi firmę rekrutującą pracowników na kierownicze stanowiska i ma klientów, których kariery od niej zależą. I chwała Bogu, bo Ruby zawsze wygramoli się z łóżka, kiedy trzeba kogoś poratować jakąś dobrą, stałą posadą. Sobotnie popołudnie to jednak inna bajka. Nie zamierzała się ruszać z miejsca.

Dopóki nie usłyszała o Georgii. Opowiedziałam jej, jak mąż zostawił Georgię dla tancerki i teraz ta jest zdruzgotana i chce się rozerwać na mieście, żeby odkryć na nowo barwy życia. Ruby doskonale to rozumie. Ona wie, że są chwile, kiedy bez względu na samopoczucie mamy obowiązek wyjść z domu i pomóc wmówić świeżo upieczonej singielce, że wszystko będzie dobrze. Intuicyjnie wyczuła, że to jest właśnie taki wieczór.

Mój przypadek

Bądźmy szczerzy - wcale nie radzę sobie lepiej. Chodzę na randki, poznaję różnych mężczyzn na przyjęciach, w pracy albo za pośrednictwem znajomych, lecz jakoś nigdy nic z tego nie wynika. Nie jestem wariatką, nie umawiam się z jakimiś pokręconymi osobnikami. Po prostu nie wychodzi i już. Patrzę na pary idące ulicą i mam ochotę nimi potrząsnąć, błagać, żeby mi odpowiedzieli na pytanie: „Jak wy to robicie?”. To jak tajemnica Sfinksa: jak dwoje ludzi potrafi się odnaleźć w tym mieście i stworzyć udany związek?

I co wtedy robię? Załamuję się. Płaczę. Tracę zapał. Ale później się rozchmurzam, wychodzę do ludzi, zachowuję się absolutnie czarująco i staram się świetnie bawić najczęściej, jak mogę. Staram się być dobrym człowiekiem, dobrą

przyjaciółką i dobrą córką. Chcę mieć pewność, że nie istnieje jakaś podświadoma przyczyna, dla której ciągle jestem sama. Nie poddaję się.

- Jesteś sama, bo zadzieraszą nosa. - To odpowiedź Alice, ilekroć ten temat pojawia się w rozmowie. Tymczasem jakoś nie widzę, żeby poślubiła tego przystojnego sprzedawcę warzyw na rogu Dwunastej i Siódmej, któremu najwyraźniej wpadła w oko. Swój osąd opiera na tym, że nie uznaję randek internetowych. Dawniej ten sposób nawiązywania kontaktów damsko - męskich uchodził za kompromitujący. Nikt by się do tego dobrowolnie nie przyznał. To były fajne czasy. Obecnie, gdy ludzie słyszą, że jesteś sama i nie korzystasz z żadnej formy randkowania w sieci, uznają, że widocznie nie jesteś aż tak zdeterminowana. Stało się to głównym wyznacznikiem, papierkiem lakmusowym tego, co jesteś skłonna zrobić dla miłości. Zupełnie jakbyś miała gwarancję, że w Internecie znajdziesz tego jedyne. On tam na ciebie czeka, a skoro nie chcesz poświęcić 1500 godzin, wypić 39 kaw, zjeść 47 kolacji i opróżnić 432 drinków, aby go poznać, to znaczy, że aż tak ci na tym nie zależy i zasługujesz, aby się zestarzeć i umrzeć w samotności.

- Moim zdaniem nie jesteś jeszcze gotowa na miłość. - To opinia Ruby. Nawet jej nie skomentuję. Powiem tylko, że nie wiedziałam, iż znalezienie partnera to niemal jak pasowanie na rycerza Jedi. Nie wiedziałam, że muszę latami trenować psychikę, przejść wiele trudnych prób i przeskoczyć kilka płonących obręczy, nim będę mogła znaleźć sobie osobę towarzyszącą na majowy ślub kuzynki. A jednak znam parę nienormalnych kobiet, które jakoś znalazły facetów - ci je uwielbiają, a one w swym szaleństwie też uważają, że są w nich zakochane. Ale nieważne.

Moja mama z kolei uważa, że za bardzo lubię swoją niezależność. Ale ona rzadko wtrąca się w moje osobiste życie. Należy do pokolenia, które nie wyobrażało sobie innej drogi dla kobiety jak małżeństwo i dzieci. Nie było innych możliwości. Dlatego jej zdaniem to wspaniale, że jestem samodzielna i nie muszę polegać na mężczyźnie. Małżeństwo rodziców chyba nie było szczególnie udane. Po śmierci taty mama stała się jedną z tych wdów, które wreszcie mogą coś zrobić dla siebie - stąd rozmaite kursy, podróże, brydż, kluby czytelnicze. Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, uważała, że oddaje mi wspaniałą przysługę, uświadamiając mnie, iż do

szczęścia nie potrzebuję mężczyzny. Mogę być w życiu, kim zechcę, i robić to, na co tylko mam ochotę.

A teraz... nie mam serca jej powiedzieć, że wcale nie jestem taka szczęśliwa, żyjąc w pojedynkę, a jeśli chce się być czyjąś dziewczyną albo żoną, a nie jest się lesbijką, to - wybacz mamó - do tego potrzebny jest facet, jakkolwiek na to patrzeć. Na pewno by się zmartwiła. Matki cierpią, gdy ich dzieci są smutne, więc staram się omijać ten temat w rozmowach, a ona się nie dopytuje. Obie wolimy nie ujawniać różnych rzeczy i nie wiedzieć o żadnych przykrych sprawach.

- Och, przestań. Przecież to jasne - powiedziała Serena, która zna mnie najdłużej. - Do trzydziestego piątego roku życia spotykałaś się z samymi draniami, a teraz, kiedy w końcu zmądrzałaś, wszyscy porządni są już zajęci.....

Bingo.

Mój ostatni chłopak, sprzed sześciu lat, był z nich wszystkich najgorszy. Czasem zdarza ci się być z takim sukinsynem, że nawet gdy o nim opowiadasz, część odium spada na ciebie. Na imię miał Jeremy, byliśmy ze sobą przez dwa burzliwe lata. Postanowił ze mną zerwać w ten sposób, że się nie pojawił na pogrzebie mojego ojca. Potem już nigdy się nie odezwał.

Od tamtej pory - żadnych drani. Ale też żadnej wielkiej miłości.

Georgia dorzuciła swoje trzy grosze na ten temat w pewien wyjątkowo smętny i refleksyjny wieczór.

- Na miłość boską, a czy musi być jakiś powód? To wszystko jest po prostu totalnie popierdzielone. Jesteś miła, ładna, masz najfajniejsze włosy w całym Nowym Jorku. - (Są długie, kręcą się, ale nigdy nie puszą, a kiedy mam ochotę je wyprostować, też wyglądają fajnie; to mój atut, muszę przyznać.) - Jesteś seksowna, inteligentna, zabawna. Jesteś jedną z najwartościowszych osób, jakie znam. Ideał. Więc przestań sobie zadawać to durne pytanie, bo nie widzę żadnego zasranego powodu, czemu najseksowniejszy, najprzystojniejszy i najbardziej czarujący facet w Nowym Jorku jeszcze się w tobie szaleńczo nie zakochał.

I za to Georgię uwielbiam. Dlatego w ten weekend postanowiłam zorganizować wspólny wypad z moim pomieszanym zestawem przyjaciółek, żeby jej pokazać, że życie jednak ma sens. W końcu po to są wieczory, a w Nowym Jorku istnieje bogate życie nocne. A jakby powiedzieli optymiści, tam, gdzie jest życie, jest i nadzieja. To chyba strasznie ważna rzecz w życiu singli. Nadzieja.

Przyjaciele. No i pamiętanie, żeby czasem ruszyć tyłek z domu.

ZASADA 2

NIE RÓB Z SIEBIE WARIATKI, BO PSUJESZ NAM WSZYSTKIM
OPINIĘ

Kiedy planujesz wypad na miasto, którego głównym celem ma być powstrzymanie przyjaciółki od grożenia, że popełni samobójstwo (nieważne, że robi to mało przekonująco), musisz uważnie dobierać lokale. Alice i ja omawiałyśmy tę kwestię z namaszczeniem generałów planujących desant powietrzny o północy. Najlepiej najpierw zrobić porządny rekonesans, bo nieudany wieczór na mieście może zniechęcić nawet najbardziej odporne singielki. Należy odpowiedzieć sobie na szereg pytań. Ilu będzie mężczyzn, a ile kobiet? Ile kosztują drinki? Czy grają fajną muzykę? Czy to odpowiedni dzień, żeby tam wpaść? Musimy wziąć pod uwagę te wszystkie czynniki, a kiedy trzeba, posłużyć się schematami i wykresami oraz wykonać kilka telefonów, żeby opracować właściwy plan ataku. W naszym przypadku strategia była dość prosta: celujemy w miejsca, gdzie jest pełno facetów. Nie możemy bowiem dopuścić, by nasza świeżo upieczona singielka dała się ować myśli, która rodzi się w głowie każdej rozsądnej kobiety, gdy sobie

uświadomi, że oficjalnie została sama, a mianowicie: „Wszyscy porządni mężczyźni są już zajęci”. Tuż po niej przychodzi następna: „Do końca życia będę samotna”.

Cóż, o tym, czy w Nowym Jorku zostali jeszcze jacyś porządni nieżonaci faceci, można by dyskutować bez końca, ale na razie pozostawmy tę kwestię Urzędowi Statystycznemu i biurom matrymonialnym. Dziś najważniejsze będzie stworzenie w r a ż e n i a, że po świecie chodzą setki wolnych przystojnych mężczyzn, wprost lecą z nieba, sypią się z drzew, wpadają na nas na ulicy i chcą się z nami kochać. Z tego względu dla Alice wybór knajpy na kolację był prosty. To musiał być steakhouse, i to największy w mieście. Czyli Peter Luger w Williamsburgu na Brooklynie. Pewnie się zastanawiacie, co my wyprawiamy, zabierając naszą samotną koleżankę na Brooklyn. Hej, śpiochy - czas się obudzić! Brooklyn to teraz nowy Manhattan, a Williamsburg to nowa Lower East Side. A Peter Luger serwuje tyle czerwonego mięsa, że na sto procent spotkacie tam stada heteroseksualnych mężczyzn (lub kobiet nabierających sił przed następnymi zawodami w podnoszeniu ciężarów). Tak czy owak, mamy tam duże szanse, a tylko o to mi chodzi. W takich momentach życiowych wrażenie obfitości to sprawa

kluczowa i nie chodzi o kilogramowe steki, ale facetów siedzących po ośmiu przy dużych drewnianych stołach i pożerających mięso niczym jaskiniowcy.

Nie wiem, czy kiedykolwiek musiałyście skrzyknąć grupę osób i zdecydować, dokąd pójść na kolację. Jeśli nie, to wam powiem, że to zaskakująco szarpiące nerwy doświadczenie. Napisałam „zaskakująco”, bo jeśli nigdy nie byłyście szefową takiego przedsięwzięcia, bardzo się zdziwicie, że wasza zwykle spokojna przyjaciółka trzy razy pyta, czy smakowały wam tortellini. Jeśli natomiast byłyście, to wiecie, że nawet najbardziej pewna siebie osoba zamienia się wtedy w roztrzęsioną, przejętą gospodynię, wyczuloną na każde przewrócenie oczami, każdy żart czy uwagę wygłoszoną przez towarzystwo. A jeżeli wieczór się nie uda, koleżanki zapamiętają tylko to, że wyciągnęłyście je z domu, a one kiepsko się bawiły.

Oczywiście kluczem do udanego wieczoru jest odpowiednio dobrane towarzystwo. Pozwólcie więc, że przypomnę, z kim mamy do czynienia: Georgia, świeżo upieczona singielka, rozważająca, czy nie popaść w załamanie nerwowe; Ruby, która wciąż opłakuje śmierć kota; Serena, dziewczyna żyjąca w bezmlecznej i bezglutenowej bańce

mydlanej, i wreszcie Alice, kochana Alice, która choć pewnie zapracowuje sobie na wrzody żołądka swoim napiętym planem randek, jest moją jedyną nadzieją, że wyjdę z tej opresji cało.

Muszę jeszcze zaznaczyć, że one nie znają się nawzajem zbyt dobrze. Wiele razy spotykały się u mnie na urodzinach, ale nie tworzymy paczki psiapsiółek. Alice poznałam pięć lat temu w klubie fitness. Z Georgią razem pracowałyśmy, dopóki nie poszła na urlop wychowawczy. Serena to moja najlepsza przyjaciółka z college'u, a z Ruby zaprzyjaźniłam się piętnaście lat temu, gdy chałturzyłyśmy w jakiejś okropnej firmie, a potem przez trzy lata wspólnie wynajmowałyśmy mieszkanie. W zasadzie są sobie obce. Mogę nawet śmiało powiedzieć, że Alice, Georgii, Sereny i Ruby nie obchodzą pozostałe, ale bez szczególnego powodu, po prostu nie są w swoim typie. Zawsze tęskniłam za zgranym gronem przyjaciółek, które byłyby dla mnie jak rodzina, ale jakoś się nie poskładało. Najfajniej byłoby w jednym miejscu pracy od razu zgarnąć cały zestaw, jak homary w sieć. Ale poznać grupę kobiet, które zamieszkają w tym samym mieście, pozostaną w przyjaźni i będą się dzielić najbardziej

intymnymi momentami z życia to jednak rzadkość. Warto jednak pomarzyć, a przynajmniej pooglądać w telewizji.

- Boże, ale ziąb, powinnam była założyć grubszy płaszcz. Nienawidzę października. To najbardziej wkurzający miesiąc w roku, bo nigdy nie wiadomo, w co się ubrać - powiedziała Serena, która posiada zerową tkankę tłuszczową.

Postanowiłyśmy się umówić na rogu Dwudziestej Trzeciej i Ósmej i stamtąd taksówką pojechać do Williamsburga. Wszystkie panie wydawały się być w dobrych humorach, ale od razu zauważyłam, że Serena, która ewidentnie czuła się jak nie z tej bajki, może stanowić problem. To nie znaczy, że nie bałam się o Georgię, która założyła na wieczór bluzkę z dużym dekoltem i miniówkę. Jest superatrakcyjną łaską i zdecydowanie potrafi to pokazać. Ma ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i długie brązowe włosy z grzywką seksownie opadającą na twarz. Ma też naturalnie wydatne usta, za które wiele kobiet dałoby się pokroić. Przed separacją nosiła się zawsze z nonszalancką elegancją. Teraz jednak mieliśmy październik. Było zimno, a ja praktycznie widziałam jej goły tyłek. Wtłoczyłyśmy się do taksówki i pojechałyśmy.

Gdy Serena zastanawiała się na głos, czy będzie tam coś wegetariańskiego do jedzenia, a Alice dawała wskazówki

kierowcy, doznałam objawienia, że ten wieczór może się jeszcze okazać udany. Chyba czuwała nad nami opatrzność. Przecież jest coś takiego jak alkohol. W tym momencie wydał mi się tak fantastycznym wynalazkiem, że zaczęłam wierzyć w istnienie Boga, który go specjalnie stworzył, bo tak nas kocha.

Kiedy przekroczyłyśmy progi Peter Luger Steak House, stwierdziłam, że to jest to, o co chodziło: jak okiem sięgnąć tłumy mężczyzn, i to raczej nie bezrobotnych. Rozwiązał mi się supeł w żołądku. Wiedziałam, że pierwszy etap wyprawy po skarb (zwanej inaczej „krążeniem po Nowym Jorku w poszukiwaniu dobrej zabawy”) nieźle się zapowiada.

- Boże, jestem genialna - rzekła z dumą Alice.

- Ho, ho! - zawołała Georgia.

- Podoba mi się tutaj - dorzuciła Ruby.

- Założę się, że nie będzie ani jednej rzeczy, którą mogę zjeść - westchnęła Serena, gdy mijałyśmy stoły uginające się od mięsiwa.

To ciekawe, że presja otoczenia działa na człowieka w każdym wieku. Kiedy przeglądałyśmy karty, Serena zamówiła wódkę z tonikiem. Może wam nie wyda się to niczym szczególnym, ale dla mnie to było doniosłe wydarzenie. A

wszystko dlatego, że moje trzy koleżanki, które wcale Sereny nie znały, powiedziały jej, że powinna się wyluzować. No i tej zrobiło się głupio. Trzy lata ją błagałam, żeby spróbowała mojito, a tu proszę, tak po prostu. Wprawdzie na kolację zamówiła talerz chińskich brokułów, ale i tak nie da się zaprzeczyć, że paczka przyjaciółek ma magiczne właściwości i ta magia właśnie zaczęła działać.

Czy to w życiu, czy wychodząc się zabawić na miasto, zawsze dobrze jest mieć jakiś cel. Nasz cel tego wieczoru był jasny: Georgia potrzebowała beztrąsko z kimś poplirtować. I tak znalazłyśmy się w krainie wielkich steków i odważnych posunięć. Kiedy czerwone mięso wyjechało na stoły i zaczął płynąć alkohol, nadszedł czas uruchomić szalony plan.

Alice postanowiła „zaatakować” sąsiedni stół, przy którym - tak się złożyło - siedziało pięciu mężczyzn.

- Cześć, chłopaki. Naszą koleżankę rzucił mąż i chcemy ją trochę rozweselić, więc pomyślałyśmy, że fajnie byłoby się do was przysiąść.

Alice niczego się nie boi. Po przeżyciu paru sytuacji, gdy człowiek oskarżony o morderstwo rzucił się na nią z za stołu i próbował udusić, zaczepienie obcych facetów w knajpie to dla niej pestka. I tak oto dzięki niej przeniosłyśmy nasze talerze i

sztuńce na sąsiedni stół i mocno się ścieśniając, usiadłyśmy w towarzystwie grupki sympatycznych facetów. Szczęśliwym trafem to Georgia skupiała na sobie lwią część uwagi, niczym przyszła panna młoda na wieczorze panieńskim. Z tym że tutaj nie musiała zakładać welonu z kondomami i kolczyków - penisków. W pewnej chwili rozejrzałam się wokół stołu i oto, co zobaczyłam:

Georgię chichoczącą jak podłotek. Ruby chichoczącą jak podłotek.

Serenę chichoczącą jak podłotek.

Alice chichoczącą jak podłotek.

I nagle, gdy pozwoliłam sobie przestać się martwić, czy dziewczyny dobrze się bawią, sama zaczęłam się śmiać. Pomyślałam: „Boże, ale jesteśmy żałosne. Prawniczka, bizneswoman, stateczna matka dzieciom - wszystkie czekamy, aż ten promyk słońca w postaci męskiego zainteresowania spłynie na nas i dzięki temu znów poczujemy, że żyjemy”.

Nasi towarzysze nauczyli nas paru zabaw z alkoholem, my pożartowałyśmy na temat ich krawatów. Ruby rozmawiała z mężczyzną, który szczególnie wydawał się nią oczarowany, a wszyscy powtarzali Georgii, że jest superlaską i zupełnie nie ma się czym przejmować. Chyba trafiłyśmy w dziesiątkę.

- Jezu, ale się ubawiłam! - zaśmiała się Georgia, kiedy opuściliśmy restaurację.

- Nie mogę uwierzyć, że piłam wódkę! - powiedziała rozpromieniona Serena.

- Ten facet, z którym gadałam, chce się z nami zabrać! - zachichotała Ruby. - Gdzie my właściwie teraz idziemy?!

Jeśli ktoś odpowiada za dobry nastrój ekipy, musi pamiętać, że stawka rośnie w miarę upływu wieczoru. Jeśli kolacja okazała się niewypałem, trzeba zatrzeć złe wrażenie, uderzając do jakiegoś eleganckiego baru albo klubu. Jeśli zaś się udała, jak w tym przypadku, lepiej tego nie psuć, wybierając miejsce, które „położy” imprezę. Postanowiłam więc ponownie zasięgnąć rady mego osobistego przewodnika po knajpach, czyli Alice. Motyw przewodni wieczoru pozostał ten sam: dużo facetów. Alice szybko podjęła decyzję - jedziemy do popularnego baru sportowego o mało wymyślnej nazwie Sports, który się znajduje na Upper West Side. Ruby i jej nowy kolega Gary wsiedli do jednej taksówki, a my do drugiej. Nie było to najtańsze rozwiązanie, ale czym są pieniądze, gdy pięć podpitych dziewczyn próbuje podtrzymać dobrą atmosferę?

Po przybyciu na miejsce natychmiast się zorientowałam, że popełniłyśmy błąd. Z barami sportowymi jest tak, że mężczyźni rzeczywiście przychodzą tam, żeby oglądać sport. To widać od razu. Alice pomyślała o tym samym.

- Trzeba było pojechać do Flatiron.

Serena zdążyła już jednak zamówić kolejną wódkę, a Georgia podeszła do najprzystojniejszego faceta w lokalu i próbowała go poderwać. Pechowo na ekranie leciał akurat jakiś ważny mecz Knicksów. Dziwne, bo sezon jeszcze się nie zaczął, a Knicksi już od dawna nie awansowali do żadnych ważnych rozgrywek. W każdym razie Georgia zdołała przyciągnąć jego uwagę w przerwie reklamowej i całe cztery minuty wykorzystwała na flirtowanie.

Ruby rozmawiała z Garym, który najwyraźniej się w niej zakochał i chciał z nią spędzić resztę życia. Niestety, my, czyli Serena, Alice i ja, siedziałyśmy z drinkami przy barze i gapiłyśmy się na mniej więcej dwadzieścia monitorów pokazujących rozmaite dyscypliny sportowe, które nas guzik obchodziły.

Alice wiedziała jednak o czymś, o czym my nie wiedziałyśmy.

- O, rany, mają tu piłkarzyki! - zawołała.

- Ja w to nie gram - powiedziała naburmuszona Serena.

- To co, idziemy gdzieś indziej? - spytałam.

- Nic nie kapujesz. To stwierdzony fakt, że jak kobiety same zaczynają grać w piłkarzyki, już po dziesięciu minutach przyłożą faceci i chcą się przyłączyć.

- Czyżbyś często to sprawdzała na sobie? - rzekłam z przekąsem. Czy nie wspominałam, że Alice była kiedyś prawniczką, która broniła praw ubogich i odrzuconych, przywracając im poczucie godności często w najmroczniejszych momentach ich życia?

- Tak, i zaraz wam to udowodnię.

Wzięłyśmy więc drinki i poszłyśmy do stolika. Ja grałam z Alice, a Serena patrzyła na zegarek. Minęło dokładnie trzy i pół minuty, kiedy podeszli do nas jacyś dwaj faceci. Po następnej minucie zaproponowali wspólną rozgrywkę.

Alice czasami mnie przeraża.

Okazało się oczywiście, że jest świetna w te klocki, więc ciągle wygrywałyśmy i ciągle pojawiali się nowi chętni, żeby nam rzucić wyzwanie. Nie żałowałyśmy sobie alkoholu, dlatego też po chwili znów chichotałyśmy jak głupie. Następne, co pamiętam, to widok Sereny wcinającej skrzydełka z kurczaka prosto z talerza jednego z naszych

przeciwników. Po kolejnej rozgrywce oblizwała palce z sosu i zamówiła to samo dla siebie. Poszła na całość. Szybko rozejrzałam się po sali i dostrzegłam Ruby, która wciąż rozmawiała z Garym, oraz Georgię, która ciągle próbowała zagadywać tego przystojniaka w przerwach w transmisji. Nigdy wcześniej nie widziałam jej flirtującej z mężczyzną; poznałyśmy się, gdy była już mężatką, ale wystarczyło jedno spojrzenie, aby stwierdzić, że za bardzo się stara. Paplała z przesadnym ożywieniem, słuchała nazbyt gorliwie, ciut za głośno się śmiała. Usiłowała konkurować z Knicksami, ale choć są kiepscy, nie dawała rady. Lecz zamiast skrócić te męki, nadal co rusz dotykała jego ramienia, wybuchiała śmiechem i zamawiała kolejnego drinka.

Kiedy wspólnie z Alice rozwalaliśmy w piłkarzyki naszych dwóch przeciwników (Bruce'a i Todda), usłyszałam, jak Alice zapytana, czym się zajmuje, mówi z absolutną powagą, że jest kosmetyczką. Spojrzałam na nią zdziwiona, a ona odpowiedziała mi wzrokiem: „Później ci wyjaśnię”. Miałam już dość gry i flirtowania, więc zaczekałam, aż Serena przestanie się opychać drobiem, i poprosiłam, żeby mnie zastąpiła, a sama udałam się w stronę baru. Z jednej strony słyszałam szczebiot Georgii: „Jezu, uwielbiam Audioslave!”

(jakby ich kiedykolwiek słyszała), a z drugiej Ruby mówiącą do Gary'ego: „Kochałam Ralpa, ale wiesz, to w końcu tylko kot”.

Alice w końcu podeszła do baru, żeby zamówić sobie drinka. Spojrzałam na nią z takim wyrzutem i dezaprobatą, na jakie tylko było mnie stać. Zauważyła.

- Nie słyszałaś o badaniach, jakie przeprowadzono w Anglii? Im jesteś inteligentniejsza, tym mniejsze masz szanse na zamążpójście. Głupie laski zabierają nam facetów.

- Dlatego mówisz, że jesteś kosmetyczką, a nie prawniczką, która skończyła Harvard z wyróżnieniem?

- Tak, i to działa.

- A co się dzieje, kiedy zaczynasz się z którymś spotykać?

- Najpierw staram się wzbudzić zainteresowanie, odwołując się do najniższych instynktów. Gdy już któregoś zaintryguję, powoli się ujawniam, ale wtedy mam go już w garści.

Odwróciłam się zgorszona i w tym momencie spostrzegłam, jak Georgia obejmuje twarz swego towarzysza i składa na jego ustach soczysty pocałunek. Jak jakaś obłąkana. Reakcja przystojniaka: średnio zachwycony. Ni to się zaśmiał, ni to mruknął: „Ho, ho, ho. Szalona dziewczyna z ciebie”,

jednocześnie próbując ją od siebie odkleić. Przykro było na to patrzeć.

Podbiegła Serena, cała w rumieńcach od ostrego sosu.

- Bruce i Todd mówią, żebyśmy skoczyli do Hogs & Heifers. Serena, która dotąd nie była w żadnym miejscu, gdzie nie leciała Enya lub nie rozbrzmiewały odgłosy wodospadu, uznała, że wyprawa do pubu motocyklowego Hogs & Heifers to świetny pomysł. Zrozumiałam, że jest lekko pijana.

- Super, znam tam wszystkie barmanki - ucieszyła się Alice.

Ruby i jej nowy chłopak Gary też uznali, że to dobry pomysł. No i znów jako organizatorka miałam dylemat. Obniżaliśmy loty: najpierw steki z wódką, potem skrzydełka z piwem, a teraz Hogs & Heifers (Dosł. Wieprze i jałówki (przyp. tłum.)). Nowy Jork to wspaniała, tętniąca życiem metropolia, i naprawdę nie musiałyśmy kończyć wieczoru w przestarzałym, zawałonym turystami barze dla motocyklistów. Powiedziałam im to, lecz decyzja już zapadła i gotowi byli jechać nawet beze mnie. Podeszła Ruby, bardzo podekscytowana.

- Gary dojedzie później. Obiecał tylko odwiedzić kolegę. Julie, czy nie byłoby wspaniale, gdybym teraz, tuż po śmierci

Ralpa, odnalazła swoją drugą połówkę? No powiedz. Fajny jest ten Gary, nie?

- Jest. Absolutnie. - To prawda. Wydawał się sympatyczny i bardzo nią zauroczony. Boże, w końcu ludzie codziennie się poznają i zakochują, więc co tam.

Alice, Georgia i Serena były już na zewnątrz i razem z Bruce'em i Toddem łapały taksówki. Ruby też wyszła. Postanowiłam do nich dołączyć. Z mojego doświadczenia z kobietami nienawykłymi do nocnych eskapad i większych ilości alkoholu wiem, że gdy taksówka dociera do centrum miasta, one są już śpiące, jest im niedobrze i chcą wracać do domu.

Niestety, nie w tym przypadku. W taksówce Todd opowiadał Georgii z czego słynie Hogs & Heifers: dziewczyny wchodzą na kontuar i tańczą, a potem jakoś tak same z siebie zrzucają biustonosze. Demi tak zrobiła i Julia, i Drew. Taka tradycja. Tyle przynajmniej usłyszałam od Alice, kiedy dotarłam na miejsce i poprosiłam o wyjaśnienie, jakim cudem Georgia zdążyła się już znaleźć na barze, wymachując stanikiem. Ruby zanosila się od śmiechu, Serena gwizdała, a cała knajpa klaskała i wznosiła owacje. Pub jest urządony w stylu dopasowanym do gustów prostych facetów

uwielbiających motory. Wszędzie na ścianach wiszą setki biustonoszy zrzuconych przez podpite panie, a tam, gdzie został choć skrawek wolnego miejsca, znajduje się amerykańska flaga albo kowbojski kapelusz. Za barem pracują wyłącznie kobiety ubrane w obcisłe dżinsy i jeszcze bardziej obcisłe T - shirty. Zawsze panuje tłok. Bruce i Todd zniknęli mi z oczu, ale jestem pewna, że gdziekolwiek byli, też gwizdali i bili Georgii brawo. Zadziwiające, dla ilu ludzi szczytem rozrywki jest przyglądanie się, jak ktoś robi z siebie durnia na barze.

Tu muszę wyjaśnić, czemu widok Georgii był dla mnie takim szokiem. Jak pamiętacie, poznałam ją, kiedy była już mężatką, a nie należeli z Dale'em do par, które można przyłapać na obmacywaniu się w kuchni. Nigdy nie miałam okazji widzieć jej szalejącej na parkiecie i chyba niespecjalnie mi tego brakowało. Teraz patrzyłam, jak kręci piruety i zarzuca biodrami, i przypomniał mi się pewien dzień na plaży, gdzie byliśmy razem z jej dziećmi, Beth i Garethem. Georgia non stop przesiadywała z nimi w wodzie, żeby się przyzwyczajały do fal. Raz ją zmieniałam. Bawiłam się z nimi godzinę czy dwie, lecz ona tkwiła tam dłużej, niż mogłby wytrzymać jakikolwiek inny dorosły. Potem dała im się

zakopać po szyję w piasku; wystawała tylko jej zmęczona, pokryta solą twarz. Taką Georgię pamiętam - żonę i oddaną matkę.

Teraz zachowywała się jak pies spuszczonego z łańcucha. W końcu była wolna i chciała ZASZALEĆ!

W barze był tłum facetów, wielu spoza miasta, jacyś motocykliści, paru kowbojów (mnie nie pytajcie), a wszystkich łączył głęboki szacunek do kobiet i ich zmagania na tym świecie. Żartuję. Po chwili również Serena z piwem w ręku wskoczyła na kontuar i zaczęła płaść. No dobra, przyznaję, to był zabawny widok: Serena, nie dość że w barze, to jeszcze na barze i do tego próbująca wykonywać moonwalk. Za chwilę dołączyła do nich Alice. Tylko Ruby stała w drzwiach, zerkając co chwila na wyświetlacz komórki i wyglądając na ulicę. Gary się nie zjawiał. Równie dobrze mogłaby siedzieć na parapecie niczym jej kot Ralph, czekając na przybycie swego pana. Aż mnie ścisnęło w żołądku na myśl, że może ją spotkać kolejne rozczarowanie.

Najdłuższa pod słońcem piosenka country dobiegła wreszcie końca i Alice z Sereną zeszły na podłogę, jak przystało na kobiety nietrzeźwe, lecz wciąż panujące nad sobą. Georgia nie była jeszcze gotowa opuścić sceny. Jakiś

wielki misiowaty typ około pięćdziesiątki, z długimi włosami i gęstą siwą brodą, podawał Serenie dłoń. Usłyszałam, jak pyta, czy może jej postawić drinka.

Odparła:

- Dobrze. I może do tego jakieś żeberka.

Nie bardzo wiem, co się stało, ale w którymś momencie od wypicia pierwszej wódki z tonikiem w Serenie obudził się uśpiony mięsożerca i zamienił ją w małego wilkołaka. „Misiek” przedstawił się jej, mówiąc, że ma na imię Frankie i jest handlarzem dzieł sztuki, że właśnie skończył długi objazd po galeriach Chelsea i wpadł się zrelaksować.

- No popatrz, w życiu bym nie przypuszczała, że zajmujesz się sztuką. Jak ja nic nie wiem o ludziach, Frank. - Zarzuciła mu rękę na ramię. - Żyłam pod kloszem i nie mam pojęcia o świecie. Zielonego.

Także Alice wzbudziła zainteresowanie kilku mężczyzn. Występ taneczny dziewczyn został chyba odebrany jako rodzaj półminutowej oferty matrymonialnej. Znowu zaczęłam się zamartwiać o przyjaciółki, sama nie bawiąc się wcale. Zastanawiałam się, czy się nie obrażą, jeśli się stamtąd urwę. Zmęczyła mnie już rola strażnika, a poza tym zaczęły mnie dopadać stare lęki. O przyszłość. Co się z nami wszystkimi

stanie? Czy znajdziemy sobie mężów, urodzimy dzieci? Zostaniemy w Nowym Jorku? Co będzie ze mną? Dalej będę pracowała tam, gdzie pracuję, bez żadnej satysfakcji i perspektyw? Zostanę sama i do końca życia będę się starała wyciągać z tego jak najwięcej korzyści? Nic lepszego mnie nie czeka? Sobotnie wieczory w pubie dla motocyklistów?

Ale w tym momencie podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zagadnął. To wystarczyło, żeby mi poprawić humor. Mówiłam przecież, że jesteśmy żalosne, prawda? Był bardzo przystojny i czułam się co najmniej tak wyróżniona, jakby mnie poproszono do tańca na pierwszym szkolnym balu. Z głowy uleciały wszystkie smutne i poważne myśli i zaczęłam flirtować na całego.

- Co robisz w takim miejscu? - zapytał. Miał na imię David i przyjechał do Nowego Jorku z Houston razem ze swoim kolegą Tomem. Pokazałam na Georgię, która wycinała hołubce na barze.

- Dopiero co rozstała się z mężem, więc wyciągnęliśmy ją z domu, żeby się trochę rozerwała.

Spojrzał na Georgię i stwierdził:

- Chyba się udało.

Jakby powszechnym symbolem dobrej zabawy było tańczenie na barze i wywijanie stanikiem. Potem dodał:

- Ja też dwa miesiące temu rozstałem się z dziewczyną. Było nieprzyjemnie, więc wiem, przez co przechodzi twoja koleżanka.

Czy ja się przesłyszałam? On naprawdę próbuje ze mną toczyć poważne rozmowy, gdy z głośników leci Achy Breaky Heart, a laski na barze zrzucają biustonosze? Fajnie! Usiedliśmy przy stoliku i wdaliśmy się w sympatyczną pogawędkę niczym starzy znajomi. Opowiedziałam mu o naszym wieczorze i wyznałam, że mam wielkie obawy, czym on się skończy. David od razu zaczął mi żartem docinać, że bawię się w mamuškę. Uwielbiam, kiedy faceci się ze mną przekomarzają. On z kolei opowiadał, jak to bywa czasami despotyczny, bo jest najstarszym z czworga rodzeństwa, i jak bardzo się o nich wszystkich boi. Wzruszające.

Gadaliśmy chyba z godzinę, choć równie dobrze mogło to być pięć godzin lub dziesięć minut. Nie umiem powiedzieć. W każdym razie przestałam się zamartwiać, myśleć i oceniać. Chciałam się tylko fajnie bawić.

W końcu podniosłam wzrok i zobaczyłam, że jakaś dziewczyna macha do Georgii, żeby zeszła z baru. Tak,

Georgia wciąż tam była, ale publiczność już się znudziła i chciała, by ktoś inny skorzystał ze „sceny”. Georgia potrząsnęła głową, jakby mówiąc: „A gówno”. Właściwie to chyba nawet tak powiedziała. Podeszłam tam i zauważyłam, że bar obsługuje Alice. Przypadkiem zna się na tym i postanowiła pomóc. W kącie zobaczyłam Serenę walczącą z opadającą głową w towarzystwie dealera dzieł sztuki. Podtrzymał ją, żeby się nie przewróciła, obmacując przy tym jej prawą pierś. Nie miałam pojęcia, gdzie się podziewa Ruby. Nagle męski głos z tłumu zawołał:

- Zabieraj swój tyłek z tego baru i daj szansę dziewczynie! Młodsza jest i ładniejsza, a ty nawet tańczyć nie umiesz!

I sala ryknęła śmiechem. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, co za palant to powiedział. To był David. Ten sam, z którym przed chwilą rozmawiałam. Przystojny, czarujący, dowcipny David.

Georgia to usłyszała - dosłownie widziałam, jak słowa docierają do jej uszu, wnikają w mózg i znajdują odbicie na twarzy. Zamarła. W takim momencie Georgia, którą znam, podwinęłaby ogon, zeskoczyła z baru i pobiegła z płaczem do toalety. Ale nowa, odmieniona Georgia, nieważne, jak

strasznie poczuła się upokorzona, pokazała Davidowi środkowy palec i odmówiła opuszczenia sceny. Seksowne dziewczę, o którym była mowa, wkurzyło się i zaczęło ją łapać za nogi. Przy barze natychmiast wyrósł napakowany bramkarz i próbował uspokoić sytuację. Georgia jednak nie miała zamiaru schodzić. Chciała tam zostać i tańczyć country, aż sama stwierdzi, że ma dość. Poczekaj, aż minie cały ból, i znów poczuje się atrakcyjna, spełniona i kochana. Obawiam się, że w razie konieczności była gotowa tam zostać nawet do Bożego Narodzenia.

Zacząła się poruszać jeszcze bardziej sugestywnie niż przedtem, jak striptizerka na speedzie. Był to najbardziej przykry widok, jaki można sobie wyobrazić. Jeśli nie liczyć tego, który ujrzałam jakieś dziesięć sekund później - Serenę obrzygującą sobie ubranie. Dokładnie tak. Już miałam do niej biec, kiedy zauważyłam, że Georgia usiłuje kopnąć bramkarza, po czym ten ściąga ją z baru. Seksowne dziewczę wykorzystało okazję, żeby nazwać Georgię kurwą. Na to Georgia, przewieszona przez ramię bramkarza, chwyciła ją za kłaki i z całej siły szarpnęła. Dziewczę nie pozostało dłużne i uderzyło Georgię w twarz. Bramkarz się obrócił, żeby je

rozdzielić, postawił Georgię na ziemi, a wtedy jedna z koleżanek seksownego dziewczęcia pchnęła ją w ramię.

Wówczas Alice wyskoczyła zza kontuaru i zaczęła okładać pięściami seksowne dziewczę, jej koleżankę oraz wszystkich, którzy się nawinęli pod rękę. Kobieta, gdy się zaweźmie, to nie odpuści. Do tej pory nie miałam pojęcia, że Alice jest tak dobra w walce wręcz. Muszę przyznać, że mi zaimponowała. Widząc, że nic tam po mnie, pobiegłam do Sereny.

- Całe szczęście. Zrób z nią coś, laska jest kompletnie narąbana - zasugerował delikatnie „Misiek”, podnosząc się z miejsca. Serena, jakby na zawołanie, znów na siebie zwymiotowała. Dobrze, że była półprzytomna, bo dopiero by się załamała, widząc siebie całą w na wpół strawionych skrzydełkach z kurczaka i żeberkach.

- Co mam zrobić?

- Zawieź ją na pogotowie, chyba się zatrzała alkoholem. - Spojrzał na nią z niesmakiem.

Georgia i Alice wciąż młóciły pięściami, szarpały i drapały. Przepchnęłam się przez tłum, starając się uniknąć uszkodzeń cielesnych i zdołałam krzyknąć do dziewczyn, że Serena chyba potrzebuje lekarza i powinniśmy już iść. Nawet

nie musiały tego usłyszeć, bo już dwa następne osiłki wywlekały je za fraki z baru, po czym dosłownie wyrzuciły na ulicę. Frank też wystawił Serenę na zewnątrz.

- Kurwa, cały jestem obrzygany.

Niech to szlag. Kręcąc głową, wrócił do środka. To był cudny widok: Alice i Georgia podrapane i posiniaczone, Serena upaprana własnymi wymiocinami, a nad tym wszystkim wielki neon: Hogs & Heifers. Zorientowałam się, że nie wiem, gdzie jest Ruby, ale miałam pewne przeczucie. Wróciłam do baru i precisnęłam się do damskiej toalety. Tak jak przypuszczałam, Ruby siedziała na podłodze ze zbolalym wyrazem twarzy i rozmazanym makijażem. Płakała.

- Nie przyszedł. Po co mówił, że przyjdzie, skoro wcale nie miał zamiaru? - Klapnęłam obok i otoczyłam ją ramieniem.

- Czemu ludzie to robią? - pytała. - Czemu ciągle dobrowolnie się na to narażają, dobrze wiedząc, że prawdopodobnie zostaną zranieni? Jak ktokolwiek może znieść tyle rozczarowań? To nienormalne. Człowiek nie może iść przez życie taki bezbronny. Dlatego ludzie się pobierają. Nikt nie powinien być zmuszony spotykać w życiu tylu obcych, którzy go potem krzywdzą!

Nie miałam nic do dodania. W pełni się z nią zgadzałam.

- Wiem. To okrutne.

- Ale jak z tego wybrnąć? Nie chcę być kobietą, która siedzi w domu i oplakuje kota. Nie chcę być taką, która siedzi teraz tutaj! Ale co mam zrobić? Podobał mi się i chciałam, żeby tu przyszedł, jak obiecywał, ale on się nie zjawił i tak mnie zawiódł!

Pomogłam jej wstać i wyprowadziłam ją na zewnątrz. Mijając po drodze Davida, mocno go popchnęłam, aż wylał na siebie drinka. Byłam na niego podwójnie wściekła - upokorzył moją przyjaciółkę Georgię i nie skończył jako mój mąż.

Po wyjściu z baru opowiedziałam Ruby, co zaszło. Potem Georgia nas poinformowała, że Alice już zawiozła Serenę do szpitala Saint Vincent. Wsiadłyśmy we trójkę do taksówki i pojechałyśmy tam.

Kiedy dotarłyśmy, Serena była już po płukaniu żołądka, co, jak słyszałam, nie jest najprzyjemniejsze. Na początku pomyślałam, że to trochę za poważny zabieg, ale pielęgniarka mnie uświadomiła, że Serena musiała tego wieczoru wypić około siedemnastu drinków.

Jakim cudem tego nie zauważyłyśmy? Tak się cieszyłam, że wreszcie się wyluzowała, więc straciłam czujność. Alice i

Georgia wróciły z gabinetu zabiegowego, gdzie opatrywano im skaleczenia. Obandażowane wyglądały jak para zawodniczek roller derby.

Coś tu było nie tak. Młode, inteligentne i atrakcyjne kobiety, niezależne i spełnione zawodowo - żeby tak nisko upaść. Gdyby napisać o tym poradnik z cyklu Jak zrobić to czy tamto, powinien nosić tytuł Jak nie być nami. Wszystko robiłyśmy źle, ale wciąż nie miałam zielonego pojęcia, jak to naprawić.

Zatopiwszy się w myślach o lepszym życiu, zauważyłam siedzące naprzeciw nas dwie kobiety, które z ożywieniem rozmawiały po francusku. Obie były tuż po czterdziestce, ładne, szczupłe i nienagannie ubrane. Jedna miała na sobie brązowy flauszowy płaszcz z białym haftem z przodu, a druga brązowy zamszowy trencz z frędzlami. Na buty z reguły nie zwracam uwagi, ale fajne okrycie wierzchnie, które przyćmiewa resztę stroju, zawsze robi na mnie wrażenie. Damy były najwyraźniej czymś zde gustowane. To przecież takie francuskie. Kiedy się wsłuchałam, przywołując w pamięci wszystko, czego mnie nauczono przez dwa lata lektoratu na studiach, mniej więcej złapałam, o co chodzi: opieka zdrowotna w Stanach Zjednoczonych jest deplorable,

w izbie przyjęć jest brudno i w ogóle Ameryka schodzi na psy. Ciekawe, co w takim razie tam robiły. Wyglądały tak elegancko, tak idealnie. Co też mogło się zdarzyć w ich wspaniałym francuskim życiu, że wylądowały na pogotowiu? Czyżby któraś z koleżanek przedawkowała pogardę?

- Przepraszam, może mogłabym w czymś pomóc? -
Chciałam przyjaźnie zagadnąć, ale poczułam się tylko, jakbym wtrzywała nos w nie swoje sprawy.

Kobiety przerwały rozmowę i zmierzyły mnie wzrokiem. Ta w płaszczu z frędzlami zerknęła na Ruby i Alice z absolutną wyższością i rzekła:

- Nasza koleżanka skrzyła kostkę.

Druga, przeskakując po nas wzrokiem, też postanowiła zaspokoić ciekawość.

- A p a n i e co tu sprowadza? - spytała ze swoim ślicznym francuskim akcentem. Chciałam skłamać, lecz Alice palnęła prosto z mostu:

- Pobiliśmy się w pubie z jakimiś dziewczynami.

- Ściągnęły mnie siłą z baru, a ja chciałam jeszcze potańczyć - dorzuciła Georgia z miną typu: „I chętnie bym im jeszcze dołożyła”. Francuzki zmarszczyły nosy, jak gdyby wyczuły zepsuty brie.

Spojrzały po sobie i wymieniły kilka zdań w swoim języku. Brzmiały mniej więcej tak: „Ech, te Amerykanki, nie mają za grosz [czegoś tam]. Gdzie są ich matki? Nie nauczyły ich [czegoś tam] ?

Zrozumiałam wszystko, prócz tego jednego słowa. Cholera, że też nie przykładałam się do nauki. A, co mi tam.

- Przepraszam, co znaczy orgueil? - spytałam zaczepnie.

Ta w długim płaszczu spojrzała mi prosto w oczy i odparła:

- Duma. Wy, Amerykanki, nie macie w sobie dumy.

Alice i Georgia aż się wyprostowały, gotowe im przyłożyć.

Ruby wyglądała, jakby miała się rozplakać. Mnie to jednak zaintrygowało.

- Naprawdę? Czyżby wszystkie Francuzki ją posiadały? Cały czas chodzicie z podniesionym czołem?

Kobiety wymieniły spojrzenia i pokiwały głowami.

- Tak. Na ogół tak.

I przeszły do innej części pomieszczenia. Auć. Zostałyśmy zawstydzone przez dwie francuskie elegantki.

Ale trudno było się z nimi nie zgodzić. Absolutnie nie zachowywałyśmy się jak silne, niezależne kobiety, którymi

podobno możemy być, jeśli tylko zechcemy. Jak mogłyśmy tak nisko upaść? Przecież nie brakuje wzorów do naśladowania: Gloria Steinem, Jane Fonda, Mary i Rhoda oraz wiele innych. Piękne, wolne kobiety, które wiodły twórcze, satysfakcjonujące, pełne przygód życie. A mimo to wiele z nas - nie chcę mówić, że wszystkie, ale sporo - ciągle żyje ze świadomością, że wcale nie wykorzystuje w pełni tej nietrwałej sytuacji, gdy w naszym życiu brak miłości. Mamy swoją pracę, przyjaciół, zainteresowania, mamy swoje kościoły i kluby fitness, a jednak nie potrafimy uciec od podstawowej ludzkiej potrzeby bycia kochanymi i posiadania kogoś bliskiego. Jak więc dajemy sobie radę, skoro życie nam tego poskąpiło? Jak sobie radzimy na randkach, skoro musimy udawać, że to nie jest nasze życiowe „być albo nie być”, choć wiemy, że jedno spotkanie może nam to życie wywrócić do góry nogami? Jakim cudem jeszcze trwamy wobec tylu rozczarowań i niepewności? Jak udaje nam się nie zwariować?

Ja wiedziałam tylko, że mam już tego wszystkiego dosyć. Imprez, ciuchów, taksówek, telefonów, drinków i lunchów. Miałam dosyć mojej pracy, robienia rzeczy, których nie cierpię, ponieważ za bardzo się boję zaryzykować, żeby

cokolwiek zmienić. Właściwie to miałam dosyć Ameryki z jej słabościami i krótkowzrocznością. Przejadło mi się.

I nagle sobie uświadomiłam, co bym chciała zrobić. Chciałabym porozmawiać z innymi singielkami. Z różnych krajów. Chciałabym się dowiedzieć, czy gdzieś na świecie radzą sobie z tym lepiej niż my. Cóż za ironia - przeczytałam w życiu tyle poradników, a nadal potrzebowałam rady.

Nazajutrz rano zasiadłam przy komputerze i zaczęłam szukać informacji na ten temat. Poznałam statystyki małżeństw i rozwodów od Nowego Delhi po Grenlandię. Natknęłam się nawet na artykuł o praktykach seksualnych w Papui Nowej Gwinei. (Poczytajcie sobie o tamtejszym świecie pochryznu - fascynujące.) Resztę niedzieli spędziłam, włócząc się po Manhattanie i rozmyślając, jak by to było zostawić wszystko w cholerę. Kiedy wędrowałam Ósmą Aleją, mijając różne dzielnice, zahaczyłam o East Village, gdzie widziałam zabieganych studentów uniwersytetu nowojorskiego, o South Street Seaport pełen turystów robiących zdjęcia, a potem w drodze nad Hudson cały czas się zastanawiałam, jak bym się czuła, opuszczając ten kipiący energią ludzki tygiel, jakim jest Nowy Jork. Gdy wróciłam na Union Square i popatrzyłam na tłumy ludzi krzątających się po targu warzywnym, musiałam

to przyznać: gdybym na jakiś czas wyjechała z miasta, Manhattan doskonale by sobie beze mnie poradził. Nic by mu nie było.

W poniedziałek zawitałam więc do biura szefowej i przedstawiłam jej pomysł na książkę. Miałaby nosić tytuł Singielka w wielkim świecie, a ja miałabym jeździć po różnych krajach, żeby się przekonać, czy jest gdzieś miejsce, gdzie kobietom samotnym żyje się lepiej niż u nas. Przecież my, Amerykanie, niekoniecznie pozjadaliśmy wszystkie rozumy; być może inni mogliby nas czegoś nauczyć. Wiedziałam, że pierwszym przystankiem będzie Francja. Tamtejsze kobiety nie chcą czytać naszych poradników - mają w nosie Bridget Jones - a francuska edycja Kawalera do wzięcia ma dopiero powstać. Czemu nie zacząć właśnie tam. Moja szefowa, Candace, wyjątkowo niemiła kobieta koło sześćdziesiątki, ciesząca się szacunkiem, ale i budząca strach, odparła, że to najgłupszy pomysł, o jakim słyszała.

- Pisanie poradnika dla singielek to jak sugerowanie im, że ten stan rzeczy potrwa jeszcze co najmniej tak długo, iż zdążą te porady wykorzystać. Marna perspektywa. Mało która jest samotna z wyboru, dlatego zawsze trzeba im dawać nadzieję, że tuż za rogiem czeka wymarzony mężczyzna i ten

horror wkrótce się skończy. To już lepiej napisz poradnik Jak przestać być singielką.

Powiedziała to, nie podnosząc wzroku znad klawiatury.

- Jeszcze jedno: kogo interesuje, co robią w tej kwestii we Francji, Indiach czy Timbaktu? Tu jest Ameryka i my naprawdę wiemy wszystko najlepiej, więc gównu mnie obchodzi, co się dzieje w jakiejś Tanzanii.

- Aha - powiedziałam. - Czyli rozumiem, że najnowsze statystyki mówiące, że w Stanach żyje teraz więcej kobiet samotnych niż mężatek, nic dla ciebie nie znaczą?

Spojrzała na mnie znad okularów.

- Mów dalej.

- Ani to, że kobietom być może potrzebna jest książka, która nie mówi, jak zdobyć czy utrzymać faceta, tylko jak sobie poradzić w sytuacji życiowej związanej nieodłącznie z ciągłą walką, emocjami i niepewnością?

- Nie przekonałaś mnie - Candace zdjęła okulary.

- Ani to, że być może wołałyby przeczytać książkę, która zamiast tylko osładzać rzeczywistość, da im konkretne rady, jak w niej przetrwać, bo może trochę potrwać? Badania pokazują, że na całym świecie kobiety coraz później wychodzą za mąż i szybciej się rozwodzą. Może

zainteresowałyby je globalne spojrzenie na tak prywatną sprawę? Może podniosłoby je na duchu?

Candace skrzyżowała ręce na piersiach i chwilę myślała.

- Hm - odezwała się w końcu i spojrzała na mnie. - Może być. Pokrzepiające książki dobrze się sprzedają.

- Koszty podróży poniosę sama - dodałam. Po tylu latach wiedziałam, co mówić, kiedy się bardzo chce kogoś przekonać.

- Cóż, pomysł robi się coraz bardziej znośny - powiedziała niechętnie Candace i sięgnęła po notes. Nabazgrała coś na kartce i podsunęła mi. - Tyle wynosiłaby twoja zaliczka. Decyduj się.

Spojrzałam na sumę widniejącą na papierze. Była niewiarygodnie niska. Nie aż tak, żeby wyjść i trzasnąć drzwiami, ale za mała, żeby okazać wdzięczność. Jednak przyjąłam propozycję.

Wieczorem wróciłam do mojej ciasnej kawalerki, usiadłam na kanapie i się rozejrzałam. Wciąż mieszkałam jak dwudziestopięciolatka. Miałam swoje książki, płyty, iPoda. Miałam komputer, telewizor, albumy ze zdjęciami. Nie posiadam talentu do urządzania wnętrza. Brak mi własnego stylu. Mieszkanie wydało mi się strasznie przygnębiające.

Nadszedł czas je opuścić. Chwyciłam za telefon i spieniężyłam wszystkie swoje akcje. Niewiele za nie dostałam. Potem dałam ogłoszenie na Craigslist i w ciągu tygodnia znalazł się chętny do wynajęcia kawalerki. Kupiłam bilet lotniczy dookoła świata (to taka samolotowa wersja karnetu Eurail, tylko że na wszystkie kontynenty) oraz poinformowałam o swoich planach mamę.

- Świetny pomysł. Zawsze uważałam, że powinnaś się na chwilę oderwać od tego kieratu. Pora spojrzeć na świat z innej perspektywy. - Tyle miała do powiedzenia moja niezwykle wyrozumiała matka. Zaraz jednak dodała: - Tylko nie jedź w żadne niebezpieczne miejsca. Nie mam ochoty usłyszeć, że wyleciałaś w powietrze na jakimś targu.

Tuż przed wyjazdem obdzwoniłam moje najdroższe przyjaciółki i poprosiłam, żeby uważały na siebie nawzajem. Serena, Ruby i Georgia miały pilnować Alice, żeby nie przesadzała z randkami i tabletkami na zgałę. Alice, Georgia i Serena miały pilnować, żeby Ruby czasem wychodziła z domu, a Alice i Ruby, żeby Georgia i Serena najlepiej wcale z niego nie wychodziły. Dowiedziałam się, że przynajmniej o jedną z tych rzeczy już nie muszę się martwić.

- Postanowiłam zostać swami - oznajmiła przez telefon Serena.

- Przepraszam, kim? - spytałam inteligentnie.

- Rzuciłam pracę i mam zamiar się wyrzec wszystkich ziemskich pragnień oraz złożyć śluby czystości w naszym ośrodku jogi. Uroczystość odbędzie się w przyszłym tygodniu, może dasz radę przełożyć wyjazd? Zaprosiłam też Georgię, Alice i Ruby.

Skłamałam (tak, skłamałam komuś, kto miał wkrótce zostać osobą duchowną) i powiedziałam, że niestety, nie mogę, bo we Francji jestem umówiona na ważne spotkanie w związku z książką i nie mam możliwości zmiany terminu. A potem odłożyłam słuchawkę i byłam gotowa się wynieść z Nowego Jorku. Czy zwariowałam? Nie wiem. Tak się mogło wydawać, ale mam przeczucie, że pozostanie w mieście byłoby jeszcze większym szaleństwem.

ZASADA 3

ZASTANÓW SIĘ, W CO WIERZYSZ, I TRZYMAJ SIĘ TEGO

- Załatwiłem na dzisiaj cztery dziewczyny. Bardzo chętnie z tobą porozmawiają.

- Naprawdę? Zrobiłeś to dla mnie?

- Mówiłaś, że chcesz pogadać z samotnymi Francuzkami, więc ci je zorganizowałem.

Steve to mój stary dobry kumpel. Poznaliśmy się w szkole średniej. Pierwszego dnia usiadł w ławce za mną. Odwróciłam się, powiedziałam mu, że wygląda zupełnie jak Jon Bon Jovi i od tamtej pory jesteśmy przyjaciółmi. Gdy się rozjechaliśmy na studia, nadal utrzymywaliśmy bliski kontakt. Nawet wtedy, kiedy Steve wyjechał do Paryża studiować dyrygenturę i grę na klawesynie. Nigdy nie było między nami żadnej chemii i traktowaliśmy to jako rzecz naturalną, aż w końcu, mniej więcej w trzecim roku pobytu za granicą, Steve zdał sobie sprawę, że jest gejem. Obecnie mieszka na stałe w Paryżu i podróżuje po świecie - dyryguje w operach i akompaniuje śpiewakom, a największą przyjemność sprawia mu podejmowanie przyjaciół i obżeranie się niezdrowymi smakołykami, które mu przywożą ze Stanów.

Upił łyk kawy i uśmiechnął się do mnie. Dziesięć lat temu, gdy się zorientował, że łysieje, ogolił głowę, a teraz nosi bardzo modny zarost - cienkie pasemko włosów biegnące wzdłuż linii żuchwy tworzące jakby kontur brody. Wygląda to całkiem dystyngowanie, a to ważne, gdy jest się trzydziestoosmioletnim facetem pracującym w operze. Ugryzłam kawałek najpyszniejszego rogalika znanego ludzkości i zaczęłam się zastanawiać, jak mogłam się zarzekać, że w czasie pobytu w Europie nie tknę pieczywa.

- zaproponowały, żeby się spotkać w Regine's, co uważam za świetny pomysł.

- Co to takiego Regine's?

- To jest miejsce, gdzie w każdy sobotni wieczór o ósmej schodzą się setki najpiękniejszych młodych paryżanek. Żeby się spotkać i pogadać.

Zdziwiłam się.

- Przychodzą do klubu, żeby pogadać? Bez sensu.

- Ja też tego nie rozumiem. Podobno mają całe trzy godziny tylko dla siebie, nikt im wtedy nie przeszkadza. Dostają nawet darmowy bufet. O jedenastej wpuszczają mężczyzn. Ponoć ci ustawiają się w kolejce, bo wiedzą, że w

środku siedzą fajne laski. Tak naprawdę to genialny zabieg marketingowy.

- Ale... - Mój umysł zaczął już się przygotowywać do pracy badawczej - one tam chodzą, żeby побыć razem? Dziwne.

- W Stanach tego nie ma?

- Nie. Kobiety nie potrzebują specjalnego wieczoru, żeby się spotkać we własnym gronie. Możemy to robić nawet codziennie.

Po namyśle Steve dodał:

- Wydaje mi się, że Francuzki nie trzymają się w grupach jak wy, Amerykanki. Może to ich jedyna szansa, żeby poznać nowe koleżanki.

Niesamowite. Byłam tam zaledwie kilka godzin i już natrafiłam na dużą różnicę kulturową: Francuzki lubią chodzić gromadnie do knajp tylko po to, żeby побыć gdzieś bez mężczyzn. Zastanawiałam się, jakie to może nieść skutki. Czy Francuzi są tak agresywni, że kobiety potrzebują specjalnego miejsca, gdzie mogą od nich uciec? A może to one są tak aspołeczne w codziennym życiu, że muszą mieć specjalne miejsce do nawiązywania przyjaźni? Nie mogłam się doczekać, żeby się tego wszystkiego dowiedzieć.

- Bardzo miło z ich strony, że chcą się ze mną spotkać, ale nie bardzo wiem, o co je spytać. To wszystko jest dla mnie nowe. Może spróbuję je upić i zobaczę, co z tego wyniknie.

- Tutejsze kobiety się nie upijają - powiedział Steve.

- Nie? - Byłam zawiedziona.

- Zamawiają lampkę wina, może dwie, ale jeszcze nigdy nie widziałem pijanej Francuzki.

- Cóż, różnica numer dwa. Żadnych nietrzeźwych Francuzek. - Pociągnęłam spory łyk cafe au lait.

- Nie martw się. Baby to baby, kiedy się razem spotkają, prędzej czy później rozwiązują im się języki.

- Cholernie na to liczę. - Opróżniłam filiżankę. - Słuchaj, mogłabym się trochę zdrzemnąć? Nie zakłócę sobie zegara biologicznego?

- Możesz, oczywiście. Ale tylko parę godzin.

- Dziękuję, mon cheri.

I Steve zabrał mnie do swego dwupokojowego paryskiego mieszkania i położył do łóżka.

Przed Regine's kłębiły się tłumy. Setki młodych, atrakcyjnych kobiet przyszły się spotkać w tym konkretnym miejscu. Zjawiły się punktualnie, wystrojone, i z niecierpliwością czekały, aż je wpuszczą do środka.

- Zbierają się tylko po to, żeby nawiązać nowe znajomości? To jakiś absurd! - powiedziałam do Steve'a, kiedy zostaliśmy popchnięci przez jakąś niebywale wysoką piękność (tej z pewnością uda się dostać do środka).

Nagle usłyszeliśmy czyjś piskliwy głos:

- Steef! Steef!

Przez tłum przedzierała się niska, krępa kobieta w prostych czarnych spodniach i T - shircie. To nie był strój na wieczorny wypad na miasto.

- To jest Clara - wyjaśnił Steve. - Odpowiada za sprawy handlowe w paryskiej operze. Kiedy mi powiedziałaś, o co ci chodzi, od razu do niej zadzwoniłem. Ona zna wszystkich.

- Bonsoir - przywitała się Clara, podchodząc do Steve'a i całując go w oba policzki. Steve przedstawił nas sobie, po czym cmoknął mnie na pożegnanie i rzekł:

- Au revoir.

- Zostawiasz mnie? - Nagle poczułam się niepewnie.

- Znasz zasady: faceci nie mają wstępu - odparł i odszedł.

Clara od razu chwyciła mnie za rękę i przepchała się przez tłum do bramkarza. Powiedziała mu parę słów i ten wpuścił nas do klubu.

Kiedy szłyśmy w dół długimi schodami, zapytałam:

- A co z resztą dziewczyn? Jak się znajdziemy?

- Później je złapię. Na razie gdzieś cię usadzę.

Na wystrój klubu składały się czerwone kanapy obite aksamitem i różowe oświetlenie. No i gdzie nie spojrzeć, same baby. Gdyby wrzucić granat do jeziora pełnego ładnych kobiet, to właśnie te wypłynęłyby na powierzchnię. Byłam pod dużym wrażeniem. Nie sądziłam, że Francuzki będą się przepychać, bić i ryzykować upokorzenie na bramce, żeby tylko móc spędzić kilka cennych godzin we własnym gronie. To triumf babskiej solidarności. Oczywiście wiem, że później miały się spotkać z mężczyznami, ale na razie była punkt ósma, wszystkie kanapy były zajęte, a przy bufecie stała długa kolejka. Fragment sali odgrodzono linami - jakaś firma kosmetyczna zorganizowała pokazy makijażu. To było coś niesamowitego. Pierwszy dzień w Paryżu, a już natrafiłam na obalający stereotypy trend kulturowy: Francuzki czują potrzebę integrowania się z rodaczkami. Może to wcale nie jest takie głupie.

Obok mnie przeszedł półnagi kelner w szarawarach, niosąc tacę z szampanem, w dodatku darmowym. Miły akcent, proszę o więcej. Poczęstowałam się, a w tym czasie Clara przyprowadziła trzy pozostałe dziewczyny: Patrice, Audrey i

Joanne. Wstałam, żeby się przywitać, lecz Clara machnięciem ręki kazała mi usiąść z powrotem. Wymieniłyśmy pozdrowienia. Patrice była piękną trzydziestoparoletnią panią redaktor z długimi włosami, elegancko upiętymi do góry. Audrey to bardzo seksowna śpiewaczka operowa, brunetka o bujnej fryzurze ubrana w kopertową sukienkę, która podkreślała jej wspaniały wydatny biust. Joanne, projektantka biżuterii, miała na oko ze czterdzieści pięć lat i długie ciemne włosy splecione w warkoczyki, które z obu stron opadały jej na twarz. Clara, choć nie dorównywała elegancją pozostałym, też była na swój sposób ładna; taki typ zdrowej wiejskiej dziewczoi. Wyjęłam z torby notes w twardej oprawie przywieziony z Nowego Jorku, w którym postanowiłam zapisywać notatki do książki. Staralam się wyglądać jak profesjonalistka. Dziewczyny patrzyły wyczekująco. Przyszła pora wyjaśnić cel naszego spotkania.

- Mam trzydzieści osiem lat, mieszkam w Nowym Jorku i jestem singielką. Pewnego dnia spotkałam na pogotowiu dwie Francuzki, może to nie jest takie istotne, ale odniosłam wrażenie, że one posiadały pewną umiejętność, której my, Amerykanki, nie mamy. Chodzi o to, jak sobie radzić w świecie, będąc singlem.

- Strasznie głupie mi się to wydało, kiedy to mówiłam, ale na szczęście od razu wtrąciła się Joanne.

- Daj spokój, co my tam wiemy - rzekła z wytwornym francuskim akcentem, obalając tym samym moją teorię. Pozostałe podzielały jej zdanie.

- Serio? Nie ma nic, czego mogłabym się od was nauczyć?

- Wszystkie cztery pokręciły głowami. Postanowiłam podrażnić nieco głębiej. I tak były moimi zakładniczkami.

- Tamte kobiety mówiły, na przykład, że Francuzki mają swoją dumę. Co wy na to?

- Co przez to rozumiesz? - spytała Patrice.

- No, powiedzmy, że idziesz z facetem na randkę... Patrice mi przerwała.

- U nas nie chodzi się na randki.

- Nie?

Znów wszystkie pokręciły głowami.

- To co w takim razie?

- Chodzi się na kolację, na drinka, ale nie nazywamy tego randką. Po prostu wspólne wyjście.

- No tak, ale jeśli ten facet wam się podoba, jesteście nim zainteresowane, czy to nie jest randka?

Francuzki znów pokręciły głowami. Nie.

- Ale przypuśćmy, że zaprasza was na drinka kolega z pracy i on wam się strasznie podoba. Nie czujecie się szczególnie podekscytowane, nie chcecie się jakoś specjalnie ubrać na tę okazję? - Poznałam po minach, że jestem na złym tropie. - Tego też nie można nazwać randką?

Wciąż kręciły głowami. Zaczęłam wątpić, czy w ogóle mają to słowo w słownikach. Zmierzałam donikąd, więc zmieniłam kurs.

- No dobrze, a jeśli przespałyście się z mężczyzną, na którym wam bardzo zależy, i on potem nie dzwoni. Jest wam przykro, prawda? - Kobiety wzruszyły ramionami, co chyba miało oznaczać „tak”.

- Czy któraś z was w chwili słabości zdobyłaby się na to, żeby zadzwonić pierwsza i spytać, czy znów się zobaczycie?

Wszystkie gwałtownie potrząsnęły głowami. - Nigdy w życiu - stwierdziła Audrey.

- Absolutnie nie - dodała Patrice.

- Nie ma mowy - zakończyła Joanne. Clara też zaprzeczyła.

- Serio? - spytałam zdziwiona. - Nie korciłoby was?

- Oczywiście, że nie - odparła Audrey. - Mam swoją dumę.

Wszystkie zgodnie przytaknęły. Ach, więc jednak.

- Kto was tego nauczył?

- Moja matka - powiedziała Clara.

- Mnie też mama - rzekła Patrice.

- Nasze środowisko, nasza kultura. My tym oddychamy - dodała Audrey.

- Więc kiedy wasz mężczyzna zaczyna się od was oddalać, coraz rzadziej dzwoni, mówi, że chyba nie jest gotowy na stały związek, to co wtedy robicie?

- Ja bym do niego więcej nie zadzwoniła.

- Pomyślałabym, że to jego strata.

- Nie zawracałabym sobie nim głowy.

- Nawet gdyby wam się bardzo podobał? ' - Tak.

- Tak.

- Tak.

- Tak.

Siedziałam naprzeciwko czterech kobiet, które świetnie sobie radziły z odrzuceniem. One nie mogły pochodzić z Francji, prędzej z Marsa.

Elegancka Patrice próbowała mi to wyjaśnić.

- Zrozum, Julie, to nie tak, że my nie mamy uczuć. Mamy. Też się zakochujemy, przeżywamy zawody, cierpimy, ale uczono nas, że zawsze trzeba mieć swoją dumę. Przede wszystkim.

I znów zbiorowe potakiwanie.

- To znaczy, że wszystkie siebie kochacie, czy co? - wypaliłam. Uśmiechnęły się, lecz tym razem nie były zgodne w odpowiedziach.

- Nie - odparła Patrice.

- Niekoniecznie - powiedziała Audrey. - Nauczyłyśmy się tylko ukrywać nasze kompleksy.

- Tak - oznajmiła Joanne, ta piękna czterdziestopięciolatka z warkoczykami. - Ja siebie Kocham, i to bardzo.

- Nie boicie się, że czas leci i w końcu może zabraknąć wolnych facetów?

- Nie - odparła Joanne. - Facetów jest pełno. Jeśli nie siedzisz w domu, zawsze kogoś poderwiesz.

Pozostałe były tego samego zdania. Właśnie miałam spytać, gdzie są ci wszyscy mężczyźni, gdy obok naszej kanapy przeszła postać ubrana jak Lawrence z Arabii. Kiedy zmierzał w stronę parkietu, wszystkie głowy się za nim

obracały. Zawirowały reflektory i z głośników popłynęła orientalna muzyka. Kobiety zerwały się z miejsc. Audrey przewróciła oczami.

- A, striptizerzy - Parkiet był teraz ciasno otoczony paniami.

- Striptizerzy? - spytałam zaskoczona. - Mają tu striptiz?

- Steve ci nie mówił? Właśnie dlatego kobiety schodzą się tu o ósmej. Żeby pojeść za darmo i obejrzeć męski striptiz.

Oślupiałam.

- Czyli to tacy francuscy Chippendales? Z tego, co mówił Steve, zrozumiałam, że przychodzicie tu nawiązywać nowe znajomości między sobą.

Moje rozmówczynie zgodnie się skrzywiły.

- Nie żartuj - prychnęła elegancka Patrice - Skąd ten pomysł?

Może więc jednak wcale się od siebie nie różnimy? Podeszłyśmy bliżej, żeby zobaczyć, co się dzieje na parkiecie. Dwaj tańczący panowie zdejmowali swoje powiewne szaty, aż zostali jedynie w skąpych stringach. Potem wyciągnęli z widowni dwie panie, posadzili je na środku na krzesłach i zaczęli im kręcić biodrami przed nosem. Cała widownia piszczała i klaskała. Rzeczywiście te kobiety przychodzą tu

nawiązać nowe przyjaźnie. Jasne. Nie mogłam się doczekać, kiedy powiem o tym Steve'owi. Gdzie się podział chłodny paryski dystans? To była dla mnie pouczająca lekcja. Czasem nawet Francuzki muszą na chwilę odłożyć dumę na bok i zaszaleć.

Mniej więcej po godzinie zebrałyśmy się do wyjścia. Tym razem drzwi szturmowały hordy mężczyzn chcących się za wszelką cenę dostać do środka.

- Genialne - powiedziałam, gdy wyszłyśmy na zewnątrz i chłodne powietrze owiało mi twarz. - Wpuścić same najładniejsze laski, dać im darmowe zarcie i drinki, puścić je luzem i pozwolić poszaleć ze striptizerami, a potem wprowadzić facetów i zedrzeć z nich kupę kasy. Iście szatański pomysł.

- Musisz poznać Thomasa, on jest właścicielem - powiedziała Clara, torując sobie łokciami drogę w tłumie. - To dość znana postać w mieście. Ma trzy restauracje i dwa nocne kluby, do tego dużo knajp na całym świecie. Bardzo interesujący. A przy okazji mój brat - dodała.

- Twój brat? - powtórzyłam zaskoczona.

- A myślisz, że jak tu dziś weszłyśmy? - Próbowałam nie wziąć tego do siebie. - Wiedziałam, że jest w klubie, więc

wysłałam mu SMS - a, żeby wyszedł się przywitać. Z nim też powinnaś porozmawiać. Ma kilka ciekawych teorii na temat, który cię interesuje. - Rozejrzała się wśród tłumu. - Thomas! Viens ici! Tutaj!

Pamiętam, że wtedy to morze ludzi jakby w zwolnionym tempie zaczęło się rozstępować i wyłonił się z niego wysoki, szczupły i bardzo przystojny brunet. Miał krótkie falujące włosy, jasną cerę i roziskrzony niebieskie oczy. Wyglądał jak arystokrata.

- Thomas, to jest ta dziewczyna, o której ci mówiłam. Zbiera informacje na temat życia singli. - Miło z jej strony, że powiedziała to po angielsku.

- Ach, tak - odparł Thomas, patrząc prosto na mnie. - No i jak ci się podobał dzisiejszy wieczór?

- Uważam, że jesteś diabelskim geniuszem - powiedziałam.

Roześmiał się.

- Dobrze. Diabelski geniusz. Tak, chyba można tak powiedzieć. A powiedz mi, czemu akurat interesuje cię życie singli?

- Piszę poradnik. Dla samotnych kobiet. Jak żyć. - Idiotycznie to zabrzmiało.

- Och! W Stanach ciągle wałkujecie ten temat! Związki, to o wiele ciekawsze.

- Hm... zgoda, ale samotne kobiety też są interesujące.

- Tak, ale nie sądzisz, że czasami popadają w lekką obsesję?

Miałam wrażenie, że ten kompletnie nieznajomy facet mnie obraża, a nie bardzo wiedziałam, jak się bronić.

- A na czym polega problem? Wolnych kobiet jest za dużo i brakuje mężczyzn? O to chodzi? - Nie można było tego bardziej strywializować.

- No tak, to chyba główny problem. Sama nie wiem. Thomas kontynuował:

- Wy, Amerykanki, strasznie idealizujecie małżeństwo. W każdym filmie musi być ślub albo jakiś facet, który skacze z pomostu czy wspina się do helikoptera, żeby się oświadczyć ukochanej. To okropnie infantylne.

Uniosłam brwi.

- W przeciwieństwie do filmów francuskich, gdzie wszyscy się nawzajem zdradzają?

- Taka jest rzeczywistość. Skomplikowana. Samo życie.

- Cóż, skoro ci się nie podobają, zawsze możesz przestać oglądać głupie amerykańskie filmy... - odcięłam się.

- Ale dzięki nim czuję się lepszy - powiedział z uśmiechem.

- Jestem pewna, że z tym nie masz problemu. - Spojrzałam na niego z lekką złością.

Wybuchnął śmiechem.

- Brawo, to ci się udało.

Potem w przepaszającym geście położył mi rękę na ramieniu.

- Nie chciałem cię urazić. Twierdzą tylko, że cały świat się zmienia. Bardzo trudno określić, co w dzisiejszych czasach znaczy małżeństwo, czym jest wolność. Nie jest tak?

Niezupełnie rozumiałam, o co mu chodzi.

- Mieszkam w Ameryce. My średnio się orientujemy, co się dzieje na świecie.

- W takim razie świetnie, że wyruszyłeś w tę podróż. - W jego oku pojawił się błysk. - Zjedz ze mną kolację. Pogadamy dłużej. Uwielbiam rozmawiać o tych sprawach.

Spojrzałam zaskoczona na Clarę, żeby się upewnić, czy dobrze usłyszałam. Ta się roześmiała.

- Mówiłam, że będzie miał dużo do powiedzenia.

Nie wiedziałam, co zrobić. Thomas odebrał moje milczenie jako zgodę, i chyba słusznie.

- Chodź, zabiorę cię do innego z moich klubów.

Wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy do zwykłej szarej kamienicy. Thomas nacisnął dzwonek, w drzwiach pojawił się dżentelmen w garniturze i krawacie. Ukłonił się Thomasowi i zaprowadził nas do ciemnego, eleganckiego pomieszczenia z długim drewnianym kontuarem i kryształowym żyrandolem. Naprzeciwko kontuaru eleganckie towarzystwo spożywało kolację i popijało szampana, siedząc na czarnych skórzanych kanapach. Od reszty pomieszczenia oddzielała je mosiężna pozłacana balustrada.

- To wszystko też należy do ciebie? - spytałam z podziwem.

- Tak.

- Hm, trochę to inne od facetów w stringach i letniego tortellini - zażartowałam. Usiedliśmy w kącie na wąskiej sofie.

- Owszem - odparł Thomas z tajemniczym uśmiechem. Nie bardzo wiedziałam, dlaczego mnie zaprosił i co tam w ogóle robiliśmy, ale kogo to obchodzi. To fantastyczny sposób na spędzenie pierwszego dnia w Paryżu. Kiedy podano szampana, od razu zanurzyłam w nim usta.

- To co, masz jeszcze w zanadrzu jakieś kąśliwe uwagi na temat amerykańskich singielek, czy to już było wszystko? -

Chciałam, żeby to zabrzmiało zadziornie, ale z odrobiną kokieterii.

Thomas ze śmiechem pokręcił głową.

- Wybacz, jeśli cię obraziłem. Postaram się odtąd zachowywać jak należy. - Rozejrzał się. - Zaprosiłem cię tu, żebyś dostrzegła inną perspektywę. Chcę pokazać, że wszyscy próbujemy znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie ma łatwych odpowiedzi.

- Kurczę, znamy się dopiero parę chwil, a ty już zdążyłeś mnie uznać za taką ignorantkę? Dzięki, że tak się troszczysz o moje horyzonty.

- My, Francuzi, musimy robić, co w naszej mocy. - Spojrzał mi z uśmiechem prosto w oczy. Zarumieniłam się. Nie dało się temu zapobiec. On był fantastyczny.

- Ja, na przykład, żyję w otwartym małżeństwie.

- Słucham? - spytałam, próbując przyjąć nonszalancki ton.

- W otwartym małżeństwie. Tak to chyba nazywacie w Ameryce.

- O, ciekawe.

- To jeden ze sposobów, żeby sobie poradzić z tym problemem.

- Z jakim problemem?

Kelner przyniósł przystawkę - jakąś gęstą zupę w małych miseczkach.

- Z nudą, stagnacją, zniechęceniem.

- I receptą ma być sypianie z innymi?

- Nie. Receptą jest nienarzucanie sobie nawzajem reguł. Bycie otwartym na świat. Kiedy bierzesz z kimś ślub, przyrzekacie sobie, że odtąd nie będzie wam wolno kochać się z inną osobą, odczuwać pożądania, ulegać zauroczeniom. Zaczynacie zabijać elementarną część swojej natury. Tę, która trzyma was przy życiu.

- Ale... czy to nie powoduje niepotrzebnych komplikacji?

- Tak, czasem nawet poważne, ale jak mówiłem, taka jest rzeczywistość. Prawdziwe życie.

- Nie rozumiem. Mówisz po prostu: „Kochanie, idę się z kimś przespać, wrócę później...”?

- Nie. Trzeba być taktownym. Ale na przykład wiem, że moja żona ma teraz kochankę. To nic poważnego, widują się raz w tygodniu albo rzadziej. Gdyby mi to naprawdę przeszkadzało, skończyłaby z nim.

- Ale ci nie przeszkadza?

- To tylko seks. Zwykła namiętność. Życie. Dopiliśmy szampana.

- Trochę za dużo tego życia jak dla mnie. Zaraz mi głowa pęknie.

Przyszedł kelner i przyjął zamówienie. Thomas łobuzersko się uśmiechnął.

- Weźmy na przykład ten klub. Mamy tu fajną restaurację, ale na piętrze są pokoje, gdzie klienci mogą uprawiać seks.

- Co?

Thomas dolał mi szampana.

- Dobrze słyszałaś. To taki seksklub dla par. Każdy musi przyjść z partnerem.

- Chcesz powiedzieć, że ci wszyscy ludzie, którzy tu siedzą, pójdą później na górę i będą się... tego?

- Najprawdopodobniej. - Przyjrzał mi się. Nagle zrobił się bardzo uprzejmy. - Nie chciałem cię zgorszyć, pomyślałem tylko, że to cię zainteresuje.

- Ależ nie, to bardzo ciekawe. Nigdy nie byłam na kolacji w seksklubie...

Thomas spojrział na swoje dłonie splecione na stole, a potem na mnie.

- Jeśli chcesz, chętnie cię oprowadzę.

Wbiłam w niego wzrok. Thomas wzruszył ramionami. Zinterpretowałam to jako wyzwanie, a ja nie lubię się cofać przed wyzwaniami. Poza tym robiłam to w celach zawodowych, prawda?

Pociągnęłam jeszcze łyk szampana i odstawiłam kieliszek.

- Jasne. Chodźmy.

Przeszliśmy do części barowej. Dopiero wtedy zauważyłam, że na ekranie stojącego tam telewizora widać się roznegliżowane panie. Thomas wziął mnie za rękę i zaprowadził w zacieniony kąt sali. Były tam kręcone schody z delikatną balustradą z kutego żelaza. Thomas zerknął na mnie z uśmiechem. Powoli zaczęliśmy po nich wchodzić. Przyznam, że byłam zaciekawiona. I trochę zdenerwowana. Kiedy stanęliśmy na piętrze, rozejrzałam się. Widziałam tylko, że znajdujemy się w długim ciemnym korytarzu, ale nic więcej. Thomas poprowadził mnie pod męską toaletę tuż obok schodów. Okej, męska toaleta. Potem damska. Ładny bukiet kwiatów przy umywalce. Następnie otworzył jakieś drzwi.

- Tu jest łazienka. - Zajrzałam do środka i zobaczyłam duże wykafelkowane pomieszczenie z jednym prysznicem na środku.

- Mieści się sześć osób. - Chwilę się przyglądałam, aż Thomas chwycił mnie za ramiona i obrócił w drugą stronę. Szliśmy dalej. Minęliśmy pokój bez drzwi, w którym stało ogromne łóżko. Nikogo tam nie było. Zbliżaliśmy się do środkowej części korytarza. Wtedy zaczęły mnie dobiegać, hm, pewne odgłosy. Światło było mocno przygaszone, ale zdawało mi się, że widziałam - głowy sobie uciąć nie dam, ale tak mi się wydawało - trzy osoby kopulujące po jednej stronie wielkiego łóżka. Jedyna, jak sądzę, kobieta leżała na wznak z rozłożonymi nogami. W innej części pokoju jakaś para uprawiała seks przy ścianie. Spuściłam głowę i wstrzymałam oddech, żeby nie wydać z siebie okrzyku zgorszenia. Na końcu korytarza były następne schody, na szczęście tym razem wiodły na dół. Schodząc, słyszałam za plecami śmiech Thomasa.

- Masz szczęście. Jeszcze się na dobre nie rozkręcili. Roześmiałam się.

- Jakkolwiek byłabym zszokowana, nie zamierzam tego okazywać.

- To mnie właśnie w tobie pociąga, twardzielko z Nowego Jorku.

Usiedliśmy z powrotem przy stoliku i podano nam zamówione dania. Moja ciekawość wciąż rosła.

- Powiedz mi, co w tym takiego fajnego? - Nachyliłam się i oparłam łokcie na stole.

Thomas wzruszył ramionami.

- To jeden ze sposobów, w jaki ludzie próbują podtrzymać atrakcyjność swego małżeństwa.

- Kochając się na swoich oczach z innymi? - spytałam cierpko.

Thomas nagle spowaźniał i zwrócił się do mnie jak do niesforne go i niezbyt ro zgarniętego dziecka:

- Julie, sypiałaś z kimś dłużej niż trzy lata? Dłużej niż dziesięć? Dwadzieścia? Z kimś, z kim co noc dzieliłaś łóżko, wychowywałaś dzieci, zmieniałaś pieluchy, przeżywałaś choroby, znosiłaś awantury, dzień w dzień wysłuchiwałaś o problemach w pracy, które cię gówn o obchodziły?

Umilkłam zawstydzona. Nie cierpię, gdy ktoś zagrywa tą kartą: „A ty? Jak długo byłaś w stałym związku?”. Ale miał rację. Poczułam się jak amatorka.

- Więc jak możesz ich oceniać? - dodał już łagodniej. Wypiłam trochę szampana i rozejrzałam się po tych wszystkich porządnych obywatelach. Nie mogłam się opędzić

od wizji ich ciał - pozbawionych naszyjników z pereł, jedwabnych bluzek i wełnianych marynarek - wyprawiających na górze Bóg wie co.

- Czy to nie jest proszenie się o kłopoty? To, co tu się odbywa, nie jest przyczyną wielu rozwodów?

- Wręcz przeciwnie. Większość tych par przychodzi tu od lat.

- Sądziłam, że Paryż to takie romantyczne miejsce, a cały wieczór słyszę tylko o seksie.

- Nie, Julie. Słyszysz o ludziach, którzy próbują podtrzymać uczucie. Nie tak jak wy, Amerykanie, którzy zaczynacie tyć i przestajecie ze sobą sypiać albo się okłamujecie i romansujecie z sąsiadami.

- Tak nas postrzegasz? Naoglądałeś się za dużo Jerry'ego Springera.

- Przejaskrawiam, żeby ci coś uzmysłwić. - Uśmiechnął się. - Chodzi mi o to, że małżeństwo to nie jedyna droga, a monogamia to nie jedyny sposób na małżeństwo. Wszystko zmierza ku większej wolności, jakkolwiek formę ona przybiera. Bycie singlem stanie się po prostu jednym z wielu wyborów życiowych.

- A nie uważasz, że większość ludzi zgodzi się z tym, że lepiej być zakochanym i być w związku?

- Uważam, ale ile znasz takich osób, które są zakochane i mają szczęście dzielić życie z obiektem swoich uczuć?

Oczywiście już kiedyś się nad tym zastanawiałam.

- Nie za wiele.

Thomas splótł dłonie w profesorskim geście.

- Moim zdaniem są tylko dwa sposoby na ciekawe życie. Pierwszy to być zakochanym. Dla mnie to bardzo ciekawe. A drugi, być singlem. I to też b a r d z o interesujące życie. Reszta to bzdury.

Doskonale rozumiałam, co ma na myśli.

- A ty jesteś zakochany w swojej żonie? - Postanowiłam być wścibska.

- Oczywiście.

Poczułam zaskakujące ukłucie rozczarowania.

- I staramy się sobie nie znudzić. Właśnie dlatego, że się kochamy. I właśnie dlatego życie jest wtedy ciekawsze. Na przykład jak tylko powiedziałaś o mnie „diabelski geniusz”, nabrałem ochoty, żeby spędzić z tobą więcej czasu. Bo wydałaś mi się interesująca i zabawna. A w dodatku śliczna.

Lekko się spociłam.

- To nie znaczy, że przestałem kochać żonę albo że chcę się z nią rozwieść. Nie. To znaczy tylko tyle, że jestem mężczyzną i że żyję.

Próbowałam zażartować.

- Posłuchaj, jeśli myślisz, że takimi tekstami uda ci się zaciągnąć mnie na górę, to... pomyśl jeszcze raz.

Zaczął się śmiać.

- Nie, nie, Julie. Dziś po prostu miałem ochotę zjeść kolację w twoim towarzystwie. Wyłącznie. - Spojrzał na mnie nieśmiało. Przysięgłabym, że się zaczerwienił.

- Wiesz, chyba zaczynam odczuwać skutki zmiany czasu - bąknęłam zakłopotana. Thomas kiwnął głową.

- No jasne, to twój pierwszy wieczór w Paryżu. Pewnie jesteś zmęczona.

- Właśnie.

Thomas podjechał pod mieszkanie Steve'a i zgasił silnik. Zaczęłam się nagle denerwować, bo nie wiedziałam, czego się spodziewać po tym Francuzie.

- Dzięki za podwiezienie, za szampana, za seks... To znaczy. .. no wiesz, że mi to pokazałeś i w ogóle... - Plątał mi się język.

Thomasa rozbawiło moje zakłopotanie.

- Rozumiem, że wybierasz się we wtorek na przedstawienie w operze i potem na bankiet?

- Co? Ach, tak, Steve wspominał, że będzie dyrygował.

- Świetnie. Ja też będę z żoną. Zatem do zobaczenia.

Po tych słowach wysiadł z samochodu, obszedł go dookoła i otworzył mi drzwi. Pomijając ten cały pomysł z pokazywaniem mi grupowego seksu, zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Ucałował mnie w oba policzki i się pożegnał.

Tymczasem w Stanach

Na pogrzeb ubrały się elegancko. Okazja była w końcu radosna. Serena żegnała swoje dawne Ja i przywiązanie do materialnych wartości tego świata, a Georgia, Alice i Ruby obiecały przybyć na uroczystość. Miała się odbyć w aśramie niedaleko New Paltz, jakieś półtorej godziny jazdy od Nowego Jorku. Georgia zgodziła się prowadzić. Ruby miała się z nimi spotkać na parkingu, ale się spóźniła. To natychmiast zirytowało Alice i Georgię, ponieważ one są zawsze punktualne, a poza tym tak naprawdę wcale im się nie chciało jechać do New Paltz i patrzeć, jak Serena zostaje swami. Obiecały mi to jednak, a choć nie wybierały się

składać ślubów czystości przed ołtarzem Sziwy, bardzo cenią takie wartości, jak przyjaźń i lojalność.

Na początku w samochodzie panowała niezręczna cisza. Była dziewiąta rano, wszystkie czuły zmęczenie i rozdrażnienie i żadna nie wiedziała, w co się tak naprawdę pakuje. Jednak znając kobiety, można się było spodziewać, że prędzej czy później zamknięte w ograniczonej przestrzeni auta, wkurzone czy nie, w końcu zaczną gadać.

Alice zaczęła wyłuszczać Georgii swoją filozofię życia w pojedynkę. Słownie nakreśliła wszystkie schematy i wykresy ilustrujące podstawowe dogmaty obowiązujące w relacjach damsko - męskich: musisz ruszyć tyłek z domu, musisz ruszyć tyłek z domu, musisz ruszyć tyłek z domu. Zareklamowała jej portale Nerve.com i Match.com, odradziła zbyt długie korespondowanie z facetami, a zamiast tego poleciła umawiać się z nimi na drinka lub kawę, lecz nigdy na kolację. Radziła skreślać tych, którzy już w pierwszych e - mailach umieszczają aluzje do seksu, i nie mieć wyrzutów sumienia, jeśli nie odpisze komuś, kto jej się wyda za stary, za niski albo za mało pociągający.

Gdy zjechawszy z autostrady, sunęły lokalnymi szosami, mijając farmy i pasące się krowy i kozy, Alice opowiadała jej

o ścianie wspinaczkowej na Chelsea Piers, o pływaniu kajakiem i fruwaniu na trapezie nad West Side Highway. Wymieniła najmodniejsze kluby i bary oraz doradziła, w które dni najlepiej tam przychodzić.

Georgia, która była już dostatecznie zestresowana i wystraszona, naprawdę nie potrzebowała, żeby ją dodatkowo nakręcać. To tylko półtoragodzinna przejażdżka wygodnym samochodem, a ona się czuła, jakby spędziła czterdzieści osiem godzin uwięziona w tanim motelu z bandą scjentologów, którzy pozbawiali ją snu, jedzenia i możliwości korzystania z telefonu. Kiedy zajęchały pod Ośrodek Medytacyjny Jayananda, miała kompletnie wyprany mózg.

Ruby całą drogę przespała na tylnym siedzeniu. Obudziła się dopiero, gdy pod kołami zachrzęścił żwir na podjeździe.

- Czy ktoś wie, jak to ma w ogóle wyglądać? - spytała.

- Zielonego pojęcia nie mam - odparła Georgia.

- Ja mam tylko nadzieję, że nie każą nam śpiewać jakichś śmiesznych mantr - dodała Alice.

Wysiadły z samochodu i wygładziły pomięte ubrania. Georgia i Ruby miały na sobie sukienki, rajstopy i botki, Alice postawiła na styl bardziej formalny: żakiet i spodnie. Idąc za tłumem ludzi podążających kamienistą ścieżką w dół

trawiastego zbocza, zorientowały się, że są za bardzo wystrojone. Pozostali goście mieli powiewne koszule i spódnice, mężczyźni prezentowali rozmaite formy zarostu na twarzach, a kobiety w większości nawet nie wydepilowały nóg. Było też kilku Hindusów w pomarańczowych szatach i sandałach. Dotarłszy do podnóża wzniesienia, Georgie, Alice i Ruby zobaczyły, gdzie się odbędzie ceremonia. Kilka metrów przed nimi znajdowała się otwarta kamienna świątynia w kształcie koła, z marmurową posadzką, kamiennymi kolumnami i wizerunkami hinduskich bóstw na ścianach. Ludzie przed wejściem zdejmowali obuwie. W powietrzu unosił się zapach kadzideł.

- Czuję się nieswojo - szepnęła Georgia.

Zdjęły buty i weszły do środka. Z miejsca przybrały miny stosowne do powagi uroczystości. Na środku świątyni był krąg z kamieni, w którym paliło się małe ognisko. „Wierni” zaczęli się wokół niego rozsiadać po turecku. Moje przyjaciółki nie były najwygodniej ubrane do przyjęcia pozycji lotosu, lecz odważnie podkasały sukienki i jakoś dały radę usadowić swoje zgrabne pupy na twardej, zimnej posadzce.

Leciwy Hindus w pomarańczowej szacie, pewnie jakiś naczelny swami, zaczął odczytywać fragmenty księgi w sanskrycie.

Otaczali go dwaj inni duchowni, jeden starszy, w typie Włocha, drugi bardzo seksowny czterdziestokilkulatek. Obok niego stała potwornie gruba kobieta swami. Wszyscy wsłuchiwali się w milczeniu w głos Hindusa. W końcu przyprowadzono nowicjuszy: trzech mężczyzn i dwie kobiety. Jedną z nich była Serena.

Na jej widok Alice, Ruby i Georgia wydały z siebie stłumione okrzyki. Miała ogoloną głowę. Prawie całą, tylko z tyłu zostało wąskie pasemko włosów opadające na kark. Jej pięknych blond włosów. Ubrana była w pomarańczowe sari. Gdy poprzedniego dnia dzwoniła do Alice, żeby przekazać wskazówki, jak dojechać do ośrodka, wytłumaczyła jej motywy swojej decyzji. Wierzyła, że jej powołaniem jest spędzić resztę życia na medytacji i służeniu innym, a wszystko w nadziei osiągnięcia duchowego oświecenia. Uznała, że ma dość świata materialnego i dojrzała do rezygnacji z dóbr doczesnych. Alice nie do końca rozumiała, o czym ona mówi, lecz teraz, widząc ją w skromnej szacie, z ogoloną głową, zdała sobie sprawę, że to nie były żarty. Nowicjusze w

milczeniu odczekali, aż główny swami skończy czytać fragment księgi. Potem odezwał się ten seksowny. Chyba był tłumaczem, kimś w rodzaju rzecznika świątyni, który ma za zadanie objaśniać wszystkim, co się dzieje.

- Chciałbym was wszystkich powitać na dzisiejszym pogrzebie. Jest to dzień, w którym ci uczniowie staną się sannjasinami. Składają śluby, zobowiązując się do życia w ubóstwie i czystości, wyrzeczenia się rodziny i przyjaciół oraz wszelkich przyjemności życia doczesnego. Ten ogień to symboliczny stos pogrzebowy...

- Ale ciacho - szepnęła Georgia. - Jak myślicie, co to za akcent?

- Cholera wie - powiedziała Alice. - Australijski? Ruby spojrzała na nie lodowato. Umilkły.

- ...na którym spłonie ich dawne „ja”, robiąc miejsce nowemu w postaci sannjasina.

Po tych słowach stary Hindus podniósł z ziemi nożyczki i wszystkim nowicjuszom, którzy kolejno przed nim klękali, obciął ostatnie kosmyki włosów i wrzucił do ognia. Potem nowicjusze usiedli po turecku, a gruba swami położyła im na głowach po trzy kadzidełka stożkowe; Serena była ostatnia. Georgia, Alice i Ruby przyglądały się temu w osłupieniu.

Dziewczyna, którą spotkały zaledwie kilka razy, w tym ostatnio, gdy miała płukany żołądek, siedziała teraz ogolona na łyso z kadzidełkami na głowie. Wszystkie trzy pary oczu otworzyły się szeroko, gdy stary Hindus zaczął je po kolei zapalać. Seksowny swami wyjaśnił:

- W czasie, gdy kadzidła będą się spalać, tych pięciornowych sannjasinów zagłębi się w rozmyślaniach o czekającej ich ścieżce abstynencji. Wypalone stożki mogą pozostawić blizny na skórze, które się staną trwałym symbolem poświęcenia i wyrzeczeń.

Alice aż westchnęła z wrażenia. Ruby uniosła brwi, a Georgia tylko przewróciła oczami. Serena spojrzała w tłum i się uśmiechnęła. Dosłownie promieniała. W jej oczach było coś, co zaparło wszystkim dech. Spokój. Błogość.

Coś podobnego.

- Zachęcam was, abyście przez te kilka minut pomedytowali wspólnie z sannjasinami.

Oczy wszystkich w świątyni się zamknęły. Tylko Georgia rozglądała się wkoło, kiedy inni zaczęli wykonywać powolne wdechy i wydechy. Zastanowiła się nad możliwością spalenia swojego dawnego „ja”. Skoro Serena mogła je porzucić, czemu nie ona. Nie musi być wściekła na Dale'a. Nie musi

czuć upokorzenia, że niedawno złamała przysięgę złożoną przed dwustu trzydziestoma najbliższymi krewnymi i przyjaciółmi, rozstając się z mężczyzną, którego miała kochać, póki śmierć ich nie rozłączy. Może się wyzbyć poczucia, że poniosła porażkę w małżeństwie, a więc i w życiu. Uwolnić od potwornie bolesnej świadomości, że ktoś, z kim dzieliła najintymniejsze chwile, momenty radości i zakłopotania, seks i narodziny dwojga dzieci, znalazł sobie inną, z którą woli być.

Gdy tak siedziała, czując, że z boku pruje jej się sukienka, usłyszała swój wewnętrzny głos: „Mogę się od tego uwolnić. Nie muszę się stać zgorzkniałą rozwódką. Mogę pokierować swoim życiem, jak chcę. A chcę się umawiać z młodymi, przystojnymi facetami”.

Tymczasem Alice zaczynały powoli cierpnąć nogi, musiała jednak przyznać, że fajnie jest czasem posiedzieć chwilę bez ruchu. Spokój. Błogość. Wdech. Wydech. Zamknęła oczy.

„Tak - rzekł wewnętrzny głos Alice - przekazałam całą wiedzę Georgii. Będzie z niej dzielna i lojalna uczennica. Ja już powinnam przystopować. To cholernie wyczerpujące”. Cały czas miarowo oddychała. Wdech, wydech. Wdech,

wydech. Aż wewnętrzny głos w końcu stwierdził: „Czas wyjść za mąż za pierwszego poznanego faceta”.

Ruby z ogromnym zdziwieniem oczami wyobraźni zobaczyła obraz siebie z dzieckiem na ręku, w towarzystwie rodziny i przyjaciół, otoczoną atmosferą miłości i akceptacji. Gwałtownie otworzyła oczy, wstrząśnięta wizją macierzyństwa.

- W czasie gdy sannjasini medytują, chętnych zapraszam do głównego budynku na curry i chapati.

Po powrocie do West Village, gdzie Georgia zaparkowała samochód, dziewczyny kulturalnie się pożegnały.

Ruby nadal była w nastroju kontemplacyjnym, więc postanowiła się przejść do parku i pooddychać świeżym powietrzem. Nie poszła jednak do pierwszego lepszego parku. Plac zabaw przy Bleecker Street ma tylko sto metrów kwadratowych, lecz zawsze wypełniają go roześmiane dzieci, które biegają, skaczą, wspinają się, grzebią w piasku, a czasem biją się i kłócą. Były tam różne urządzenia, wielkie kolorowe wiadra do piasku i plastikowe pojazdy, na których maluch może się i popedałować swymi drobnymi stópkami. Były mamusie i opiekunki, od których biła elegancja i szyk West Village. Było też paru tatusiów, wszyscy przystojni,

szpakowaci, z ciałami wyrzeźbionymi na siłowni. Ruby przyglądała się temu zza wielkiej żelaznej bramy, na której wywieszono tabliczkę „Wstęp tylko dla osób z dziećmi”. Zignorowała ją i udając zabieganą mamę rozglądającą się za swoją rozkoszną pociechą i jej ukochaną nianią, wkroczyła do środka.

Omiotła wzrokiem plac, sama nie bardzo wiedząc, czego szuka. Wiedziała tylko, że w tym miejscu na pewno to znajdzie. Przysiadła się do dwóch matek; obie białe, szczupłe, na głowie fachowo zrobione pasemka. Rejestrowała otoczenie: dzieci, matki, opiekunki, wszystko. Nagle dostrzegła jakieś zamieszanie na środku placu, przy drabince. Czteroletnia mała diablica o długich ciemnych lokach z wrzaskiem uderzyła małego bezbronного chłopczyka, spychając go na beton, po czym zaczęła ryczeć wniebogłosy. Zrobiła się czerwona na buzi i strasznie wywracała oczami, jakby to ona była stroną pokrzywdzoną. Podbiegła do niej młoda kobieta i przytuliła ją. Inna zjawiała się natychmiast przy chłopcu i podniosła go z ziemi. Też ryczał na całe gardło. Mama dziewczynki upomniała córeczkę, lecz widać było, że do dziecka nic nie dociera. Diabelskie nasienie wpadło w histerię, wrzeszczało, płakało i biło własną matkę. Gdy dwie kobiety siedzące obok

Ruby zauważyły jej przerażoną minę, pokręciły głowami i jednocześnie wypowiedziały dwa słowa, które tłumaczyły wszystko:

- Samotna matka.

Ruby postanowiła je podpuścić. Pokiwała współczująco głową i rzekła:

- Tak, to smutne.

- To była jednorazowa przygoda. Zaszła w ciążę i postanowiła sama wychować dziecko. Odważna decyzja - oznajmiła ta z blond pasemkami.

- Ale teraz, mimo że pomaga jej siostra i opiekunki, to istny koszmar - dorzuciła ta druga, z rudymi.

- Koszmar - powtórzyła dobitnie blondynka. Ruby nie mogła się powstrzymać.

- Ja bym się na to nigdy nie porwała, a wy? - rzekła niewinnie. Ich miny wystarczyły za odpowiedź, ale postanowiła dalej drążyć.

- Potraficie sobie w ogóle wyobrazić, że zostajecie same z dzieckiem? - Starła się udawać obojętność, ale czekała na ich odpowiedź co najmniej jak na otwarcie wieka Arki Przymierza.

- W życiu. Nie ma mowy. Za ciężko.

- Ja też nie. Chyba bym się zabiła.

Tak jak Ruby podejrzewała, bycie samotną matką jest jeszcze bardziej przygnębiające niż bycie singielką. Ale co z radością macierzyństwa? Intymną więzią matki z dzieckiem? Satysfakcją z wychowania nowego człowieka od samych narodzin i wysłania go w świat?

- Ale nie uważacie, że jednak fajnie byłoby mieć dziecko? Nawet bez męża?

- Nie warto. Wolałabym umrzeć. Ta z blond pasemkami wyjaśniła:

- Wyobraź sobie, że wszystko jest na twojej głowie. Nawet jeśli masz kogoś do pomocy, i tak w końcu to ty się martwisz, czy nie jest chore, decydujesz o wyborze szkoły, uczysz je wiązać buty, jeździć na rowerze. To ty będziesz musiała je zabierać na sanki, organizować przyjęcia, karmić i kłaść spać co wieczór. Ty będziesz musiała pilnować, żeby się nie spóźniło do szkoły, robić drugie śniadanie, chodzić na wywiadówki, pomagać przy lekcjach. To do ciebie zadzwonią, kiedy zachoruje, nabroi w szkole albo - przerwała i dodała nieco dosadniej - okaże się, że ma problemy z czytaniem.

- Właśnie. A wyobraź sobie, że choruje na coś naprawdę poważnego. Na przykład raka - dodała mama z rudymi pasemkami.

- Boże, sama myśl, że jestem w szpitalu i muszę dzwonić do koleżanki albo kogoś z rodziny, żeby ze mną posiedziało... Nie chciałabym być dla nikogo takim obciążeniem. Gdybym była singielką, już ta wizja sprawiłaby, że używałabym po pięć kondomów za każdym razem, gdybym szła z kimś do łóżka.

- No, a wyobraź sobie, że jesteś matką nastolatka.

- Musisz pilnować dyscypliny, ustalać granice, radzić sobie z nowymi problemami: narkotyki, randki, seks. A dodaj do tego fakt, że dzieci w tym wieku z reguły cię nienawidzą.

- A gdybyś miała dziewczynkę, to sobie wyobraź, że przechodzisz menopauzę i patrzysz, jak twoja córka rozkwita i staje się atrakcyjna seksualnie, a ty w tym samym czasie wędniejesz i flaczejesz.

Wizja stawała się coraz bardziej ponura. Ruby udała niezrażoną i spróbowała tchnąć w rozmowę trochę optymizmu:

- Ale przecież do czasu, gdy dziecko stanie się nastolatkiem, mogę sobie kogoś znaleźć.

Kobiety jednocześnie na nią spojrzały.

- Uważasz, że miałabyś na to czas? - prychnęła blondynka, a ruda dodała: - Kto by cię chciał? Faceci w Nowym Jorku mogą mieć każdą, po co im baba z dzieckiem?

Tym razem Ruby wyraziła swój optymizm szeptem:

- Gdyby się któryś zakochał, nie zwracałby uwagi... ?
Znów spojrzały na nią jak na idiotkę. Potem blondynka spytała:

- No i jak ci się zdaje? Dałabyś radę?

Ruby odwróciła głowę i popatrzyła na bawiące się dzieciaki, które w większości wydawały jej się urocze, świetnie ubrane i dobrze wychowane. Pomyślała o wywiadówkach, zadaniach domowych, wieczornym usypianiu i dziecięcych nowotworach. Przypomniała sobie, jaka była załamana, gdy facet, z którym się spotkała zaledwie dwa razy, nie zadzwonił.

- Nie. Nigdy nie mogłabym być samotną matką.

Jej towarzyszki pokiwały głowami. Tam, na placu zabaw w West Village, trzy kobiety były całkowicie zgodne co do jednego: samotne macierzyństwo to przekichana sprawa.

Ruby szła piechotą przez cały Broadway. Mniej więcej na wysokości Siedemdziesiątej Szóstej Ulicy pogodziła się z

faktem, że nigdy nie będzie samotną matką. Chyba już może to skreślić z listy. Tamte kobiety miały rację, a wiedziały, co mówią - to zbyt trudne. Pozostało jej zatem tylko jedno: nadal umawiać się na randki. Ale jak? To ją przecież tyle kosztowało. Pomyślała o Serenie. Ona tak mocno wierzy w Boga i duchowe oświecenie, że wyrzekła się wszystkiego i pozwoliła sobie spalić kadzidełko na głowie. Mocna rzecz. Ruby sama zaczęła się zastanawiać, w co wierzy. Też powinna dać sobie spokój? Skończyć z szukaniem faceta i zająć się czymś innym? Całkiem kuszące. Jednak po chwili zastanowienia uświadomiła sobie, że jeszcze nie jest na to gotowa. Wciąż tlił się w niej duch walki. W okolicy Dziewięćdziesiątej Szóstej wreszcie zrozumiała, że powinna spróbować jeszcze raz kogoś pokochać. Nie może się bać ponownie zaangażować emocjonalnie.

Czas przygarnąć nowego kota.

Przyśpieszyła kroku; pojedzie do tego samego schroniska, z którego wzięła Ralpa. Okres żałoby się skończył.

Schronisko mieściło się w jednopiętrowym betonowym bunkrze przy Sto Dwudziestej Drugiej i Amsterdam Avenue, w dość niebezpiecznej okolicy. Ruby poczuła nie tyle strach, co nostalgię za minioną epoką. Niewiele takich ulic zostało w

mieście. Dotarłszy na miejsce, poczuła się dumna, że robi coś tak afirmującego życie jak ofiarowanie komuś swojej miłości.

Gdy otworzyła drzwi, z miejsca uderzył ją duszący smród. Tak silny, że człowiek odruchowo chciałby się cofnąć. Ale Ruby podeszła do kontuaru, za którym stała młoda dziewczyna o irlandzkim typie urody. Miała spięte u góry kędzierzawe włosy. Wszędzie wisiały kolorowe plakaty ze zwierzętami, przypominające: „Jeśli mnie kochasz, wysterylizuj mnie” albo: „Zafunduj mi tabliczkę identyfikacyjną, zapłacisz 8 dolarów, a oszczędzisz 300 na nagrodzie dla znalazcy!”. Na betonowych ścianach wymalowano wizerunki psów i kotów, ale szczerze mówiąc, niewiele to dawało. Miejsce i tak przypominało schron przeciwatomowy.

Ruby powiedziała dziewczynie, że chce przygarnąć kotka. Dziewczyna wpuściła ją przez drzwi, za którymi były schody prowadzące na pierwsze piętro. Im wyżej Ruby wchodziła, tym smród stawał się bardziej nieznośny. Kiedy otworzyła drzwi, jej uszy wypełnił skowyt psa. Przeszył ją na wylot. Dochodził jakby z samego wnętrza psiej duszy. Brzmiał tak znajomo, że Ruby aż się zakręciło w głowie. „Taki odgłos mam ochotę wydać co rano, kiedy się budzę” - pomyślała.

Nieprzyjemnie było iść tym przemysłowym korytarzem przy akompaniamencie takiego wycia. Upiorne wrażenie. Istny Lot nad kukułczym gniazdem, tyle że w psiej wersji. Ruby szybko weszła do wąskiego pomieszczenia pełnego klatek z kotami i zamknęła za sobą drzwi. Skowyt psa trochę ucichł. Przyjrzała się kotom po kolei. Wszystkie były śliczne, puszyste i lekko apatyczne. Przystanęła przy jednym wyjątkowo słodkim kociaku, szaro - białym, o imieniu Vanilla. Wsunęła palec do klatki, zwierzak od razu chwycił go w łapki. To było to - Ruby postanowiła adoptować Vanillę. Wyszła z pomieszczenia, żeby poinformować o swej decyzji pracownika obsługi. Ten głupi pies ciągle wył. Stwierdziła, że musi sprawdzić, co to za nieszczęśnik. Zajrzała do pomieszczenia z psami. Minęła rzędy klatek z pitbullami. W końcu znalazła „wyjca”. Zerknęła na kartkę przyklejoną taśmą do klatki: „Kimya Johnson to czteroletnia suczka, mieszaniec pitbulla. Została adoptowana jako szczeniak, ale niedawno znaleźliśmy ją blakającą się po ulicy. Dotąd nie udało nam się skontaktować z właścicielem. To bardzo miły, przyjazny i dobrze wychowany piesek. Poprzedni właściciel dużo stracił, za to nowy może wiele zyskać. Może to ty nim będziesz?”.

Ruby się załamała. Suczka znalazła swój dom tylko po to, żeby znowu trafić do schroniska. Ona dopiero musi się czuć porzucona. Kimya stała na tylnych łapkach oparta o pręty i wyła ile sił w małych płuczkach. Gdyby tłukła blaszaną puszką o klatkę, jazgot nie byłby większy. Nagle do pomieszczenia weszła na oko szesnastoletnia dziewczyna w brązowym uniformie pracownika schroniska. Na piersi miała plakietkę z napisem „Felicia” i niżej „Wolontariusz”.

- Strasznie głośna, nie? - odezwała się z silnym latynoskim akcentem. - Dlatego nikt jej nie chce.

Ruby spojrzała na Felicię. Wolontariuszka nie powinna mówić takich rzeczy.

- Ale za to jaka kochana - powiedziała, chcąc być miłą. Felicia zerknęła na Kimyę i uśmiechnęła się pod nosem.

- Może, ale za głośna. Pewnie dlatego chcą ją jutro uspić. Strasznie wyje.

Ruby szybko spojrzała na Felicię.

- Co? Jutro? - aż zapiszczała.

- Tak słyszałam - wzruszyła ramionami dziewczyna.

Ruby osłupiała.

- Ale... czy pani czasem nie powinna próbować mnie zachęcać, żebym ją wzięła?

Felicia patrzyła na nią obojętnie, przedłużając milczenie dla dodania dramaturgii.

- A co, chce ją pani? Bo jak pani chce, to nie ma sprawy. Gdy Ruby odparła, że w jej bloku nie wolno trzymać psów,

Felicia przewróciła oczami, uśmiechnęła się kpiąco, machnęła ręką i wyszła.

Ruby przyglądała się Kimyi. Suczka na chwilę się uspokoiła. Spojrzała na Ruby, jej różowo - czarne oczy błagały o pomoc.

Ruby czym prędzej stamtąd wyszła, zbiegła na dół i podeszła do dziewczyny za kontuarem:

- Nie mogę wziąć Kimyi. Bardzo mi przykro, ale wyrzuciliby mnie z mieszkania. Pani nie wie, jaką mamy surową radę mieszkańców.

Dziewczyna patrzyła na nią obojętnie.

- Ale mogę adoptować Vanillę - dodała dumnie Ruby. - Poza tym chciałabym tu przychodzić raz w tygodniu jako wolontariuszka.

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę. Podsunęła Ruby dodatkowy formularz.

- Świetnie. Spotkanie informacyjne jest w środę o siódmej.

Ruby się uśmiechnęła.

- Doskonale. Dziękuję bardzo.

Czekając, aż przyniosą jej kota, odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że świetnie się sprawdzi jako ktoś, kto będzie przekonywał ludzi do wzięcia bezdomnych zwierząt pod opiekę. Ocali życie dziesiątków psów i kotów. Potrzebują jej tutaj.

Tego wieczoru Georgia wróciła do domu, - włożyła dzinsy za dwieście dolarów, obcisły kaszmirowy top i modne buty motocyklowe, a następnie wyruszyła na zakupy do delikatesów ekologicznych Whole Foods Market przy Union Square.

Od swego randkowego guru, czyli Alice, słyszała, że ten sklep to świetne miejsce, żeby w sobotni wieczór poznać niezłych facetów. Można usiąść i obejrzeć pokaz kulinarny, przystanąć na degustację win ekologicznych lub po prostu rozglądać się za humusem tudzież miłością swego życia.

Pchając wózek między półkami tego luksusowego sklepu, stwierdziła, że jest w świetnym nastroju. Może to wpływ uroczystości Sereny, ponieważ czuła spokój i była pełna pozytywnych myśli. Dale wzięła dzieci na weekend, więc miała czas tylko dla siebie. Mogła się poczuć jak prawdziwa

singielka. Niezależna, atrakcyjna kobieta, do tego inteligentna, zabawna i umiejąca cieszyć się życiem. To musi być ekscytujące. Mijając stoisko z organicznymi warzywami, zrozumiała, że nie musi wierzyć w ani jedno słowo z tego, czego się w życiu nasłuchiwała o szukaniu miłości w Nowym Jorku. Nie ma żadnego powodu, by podzielać pogląd, że w tym mieście skończyli się porządni faceci, że wszyscy nowojorczyki to świnie, że Georgia z każdą sekundą się starzeje i traci na atrakcyjności. Wcale nie musi w to wszystko wierzyć, ponieważ to nie są jej doświadczenia. Dale'a poznała na uniwersytecie Columbia. Ona studiowała dziennikarstwo, a on ekonomię. Od tamtej pory byli razem. Dopóki więc osobiście się nie przekona, że nie ma już na świecie porządnych facetów, będzie ufać, że jest inaczej. Przejeżdżając obok góry serów - francuskich, włoskich, tych okrągłych i tych z koziego mleka - zdała sobie sprawę, że może zwyczajnie ominąć cały stos lęków i uprzedzeń związanych z umawianiem się na randki w tym mieście. Póki jej to nie spotka, wszystkie te historie można włożyć między bajki. Jest jak czysta, niezapisana karta, pełna optymizmu, nieskażona zgorzknieniem. Czowała, że to jej daje przewagę nad

większością singielek. Świeżość i zapach przyciągną mężczyzn, którzy nie będą mogli jej się oprzeć.

Niespiesznie okrążyła cały sklep, czerpiąc przyjemność z obcowania z naturalną, zdrową żywnością. Stała właśnie nad półką z ekologicznymi burakami, rozmyślając, jak to cały męski ród będzie jej pożądał, gdy nagle podszedł do niej wysoki, szczupły młody człowiek. Zapytał, czy przyrządzała coś kiedyś z botwinki. Podniosła wzrok i się uśmiechnęła. Nieznajomy miał ciemne kręcone włosy z przedziałkiem na środku i kilkudniowy zarost, który jednak nie wyglądał niechlujnie, a wręcz dodawał uroku.

„No widzisz - pomyślała w duchu - to wcale nie musi być takie trudne". Następnie słodkim głosem odpowiedziała przystojnemu dżentelmenowi, że owszem, przyrządzała, i że najlepiej smakuje podsmażana z odrobiną soli i czosnku.

- Super, dziękuję. Wie pani, staram się ostatnio zdrowo odżywiać. Sam gotuję.

- To wspaniale. Warzywa są bardzo zdrowe.

Wtedy mężczyzna uśmiechnął się do Georgii, trochę szelmowsko, trochę bojaźliwie.

- I co, jak wypadłem? Śledziłem panią od stoiska z czekoladą, ale nie miałem pojęcia, jak inteligentnie zagaić.

Potem stanęła pani przy burakach i wtedy pomyślałem:
Botwinka! To jest temat!

Georgia, rumieniąc się, wybuchnęła śmiechem.

- Doskonale. Dałam się nabrać. Był pan bardzo wiarygodny.

Przystojniak wyciągnął rękę.

- Jestem Max. Potrząsnęła jego dłonią.

- Georgia. Bardzo mi miło.

I po dwudziestu minutach rozmowy przy warzywach umówili się wstępnie na kolację. Georgia opuszczała delikatesy z trzema żółtymi paprykami za osiem dolarów oraz przekonaniem, że jej optymizm był uzasadniony. „To będzie bułka z masłem” - pomyślała.

Tego samego wieczoru Alice była umówiona z kolejnym potencjalnym mężczyzną swego życia, niejakim Jimem. To była randka w ciemno - ktoś z jego znajomych znał kogoś, kto dostał od Alice jej słynny e - mail. „E - mail Alice” to odmiana wiadomości, jaką zwykle rozsyłamy po ludziach, szukając odpowiedniej opiekunki dla kota, z tym że tutaj chodziło o znalezienie odpowiedniego faceta. Wysłała go do wszystkich swoich znajomych z prośbą, by przekazali go dalej. Coś w rodzaju marketingu wirusowego. W efekcie

odbyła setki randek z mężczyznami, których inaczej nigdy by nie poznała. Niestety, większości z nich istotnie wolałaby nie poznać, lecz ani trochę się tym nie przejmowała. W końcu na tym ta zabawa polega. Jim był inżynierem elektrykiem z New Jersey. Miał trzydzieści siedem lat i sądząc z listów, wydawał się miły i inteligentny. Umówili się w małej knajpce na Noho, którą Alice zawsze wybierała na pierwsze randki. Tę niewielką, nastrojową turecką winiarnię zdobiły miękkie kanapy i kolorowe lampy z koralików. Jeżeli tam, w przyćmionym świetle, przy wielkich kielichach z winem, nie uda się wykrzesać ani krzty romantyzmu na pierwszym spotkaniu, to nie uda się już nigdzie.

Po drodze rozmyślała o niezliczonych randkach, na których była w zeszłym roku. Przypomniała sobie wszystkich poznanych mężczyzn i głowiła się, czemu żaden jej nie odpowiadał. Wynikło z tego kilka krótkotrwałych związków, parę romansów, lecz w większości to nie byli ludzie, z którymi chciałaby spędzać czas. Przez moment nabrała wątpliwości, czy to stawianie na ilość na pewno w jej przypadku się opłaca. Wprawdzie poznaje mnóstwo facetów, lecz przez to być może zwiększa tylko szanse poznania takich, którzy jej się nie podobają? Może miłość to sprawa tak

wyjątkowa, tak magiczna, że nie da się jej przełożyć na liczby? Może to po prostu kwestia przeznaczenia i łutu szczęścia, a te nie podlegają regułom matematycznym. Do tej chwili Alice sądziła, że wierzy w matematykę, w pomaganie losowi, lecz analiza minionego roku dała jej do myślenia. Ci wszyscy faceci... Ogarnęło ją nagłe zniechęcenie. Otrząsnęła się, przybrała najładniejszy z uśmiechów i wkroczyła do baru.

Rozejrzała się i na jednej z kanap zauważyła mężczyznę, który wyglądał, jakby na kogoś czekał. Był bardzo sympatyczny, ale nie jakoś szczególnie przystojny. Miał trochę za miękkie rysy twarzy i zbyt bladą cerę.

Podeszła do niego.

- To ty, Jim?

Zerwał się na nogi, wyciągnął dłoń i serdecznie się uśmiechnął.

- Alice, jak miło cię poznać.

Od razu wyczuła, że ma do czynienia z dobrym człowiekiem.

Zacząli poruszać tematy typowe na pierwszych randkach: praca, rodzina, mieszkania, gdzie chodzili do szkoły, ale w tym czasie (jak zawsze w takiej sytuacji) ich mózgi tylko w 70 procentach uczestniczyły w rozmowie - mówiły, słuchały,

reagowały na wypowiedzi drugiej strony. Pozostałe 30 procent się zastanawiało: „Czy chcę tę osobę pocałować? Czy chcę z nią uprawiać seks? Co by o niej powiedzieli moi znajomi?”. Jim wypytywał Alice o mnóstwo rzeczy i słuchał z uwagą, tak jak to robią mili faceci, gdy im się bardzo podobasz. Opowiadając o sobie i śmiejąc się z dosyć zabawnych dowcipów Jima, poznała po sposobie, w jaki na nią patrzył, że tak właśnie jest.

- Jak to słyszysz własne chrapanie? Jakim cudem? - spytał, śmiejąc się z jej bardzo osobistego wyznania.

- Serio, to możliwe, jeśli będziesz pamiętał, żeby w samym momencie przebudzenia nie zmieniać rytmu oddechu. Tak jakbyś udawał, że jeszcze śpisz. Wtedy zdążysz usłyszeć własne chrapanie.

Jim tylko pokręcił głową i znowu się roześmiał. Był nią kompletnie zauroczony. Trzeba zaznaczyć, że dla seksownej rudowłosej Alice to nic nowego. Na wielu mężczyzn tak działała. Ale z racji swego bezkompromisowego podejścia do randek, gdy facet jej się nie podobał, tylko 25 procent jej mózgu go słuchało, a 75 procent myślało już o tym, żeby zapłacić rachunek, wrócić taksówką do domu i obejrzeć sobie w telewizji powtórkę Seinfelda. Gdy natomiast odwzajemniała

jego zainteresowanie, robiła wszystko, by wydać mu się jeszcze bardziej atrakcyjną, jednocześnie sprawiając wrażenie, że jest tylko i wyłącznie sobą. Dziś jednak pozwoliła sobie na to, żeby się zwyczajnie cieszyć tym, że jest adorowana. I to było bardzo komfortowe uczucie. Odprężające. Przyjemnie zaszumiało jej w głowie. Właśnie wypita drugą lampkę wina, ale nie tylko to było powodem - Alice odkryła, że czasem fajnie jest przestać się starać.

Tymczasem we Francji

To był cudowny widok. Wsiadłszy z taksówki, ujrzałam eleganckie panie i panów zdążających pośpiesznie w stronę Palais Garnier. Paryż. To takie oklepane zachwycać się tym miastem. Ale nie da się inaczej. Możliwość podróżowania to najwspanialsza rzecz, jaką nam dano. Sam fakt, że istnieją te ogromne stalowe maszyny zdolne nas unieść w przestworza, zdaje się niewiarygodnym osiągnięciem. Tylko trzeba mieć jeszcze czas i pieniądze, żeby z tego korzystać. Jakież to ekscytujące znaleźć się w zupełnie innym miejscu, gdzie każdy widok i zapach wydają się dziwne i egzotyczne. Paryż odwiedzałam wcześniej wiele razy, ale to nadal było dla mnie obce miasto. Tamtejsze kafejki, pieczywo, sery, mężczyźni o

czerstwych twarzach z siwymi wąsami - no i ten zapach, nieco piwniczny. Zapach starej Europy. Uwielbiam go.

Przyjechaliśmy na operę Lohengrin. To opowieść o księżniczce, której się przyśnił książę w lśniącej zbroi przybywający jej na ratunek. Kiedy rzeczywiście się zjawia, księżniczce nigdy nie wolno go pytać, kim naprawdę jest i skąd przybywa. Oczywiście w końcu nie wytrzymuje, przez co traci go na zawsze. Jak to kobieta.

Chłonąc wzrokiem całą tę mise en scene, usłyszałam za sobą damski głos wołający mnie po imieniu:

- Allorah, Julie. Hallo, hallo!

To Audrey i Joanne, wystrojone, zmierzały ku mnie po schodach. Steve załatwił bilety dla nas wszystkich.

- Jak ci się podobała nasza wczorajsza rozmowa? - spytała Audrey z uśmiechem. - Przydała się?

- O tak, bardzo - odparłam, gdy weszliśmy do gmachu opery. - Zaskoczyło mnie, jak dobrze Francuzki radzą sobie z odrzuceniem.

- No właśnie, myślałam o tym - wtrąciła Joanne, gdy przemierzałyśmy foyer. - Podejrzewam, że ma na to wpływ nasze wychowanie. W Stanach chyba źle się postrzega porażki, niedobrze jest być w czymś kiepskim. Rodzice nigdy

nie powiedzą dziecku, że nie jest fantastyczne, nie wyobrażają sobie, że coś mu się może nie udać. Natomiast tutaj - Joanne ściągnęła usta - gdy jesteś w czymś kiepska, rodzice ci to mówią. Jeżeli coś ci nie wyjdzie, trudno. Żaden wstyd.

Wręczyliśmy bilety bileterowi i weszliśmy na widownię. Czy to możliwe, że gdyby nasze matki i nauczyciele tak nas nie rozpieszczali w dzieciństwie, lepiej byśmy znosiły rozczarowania?

Wcześniej byłam zbyt zaabsorbowana rozmową z Audrey i Joanne, żeby zdać sobie sprawę, gdzie tak naprawdę jestem, lecz teraz dotarło to do mnie z całą mocą. Znajdowałyśmy się na widowni Palais Garnier, jednej z dwóch siedzib Paryskiej Opery Narodowej. Przepych najwyższego stopnia, niezwykle bogactwo wystroju. Niezliczone rzędy balkonów, wszędzie złożone zdobienia, siedzenia wyłożone czerwonym aksamitem, taka sama kurtyna zasłaniająca scenę, a nad wszystkim gigantyczny żyrandol, który, jak zaznaczono w programie, waży podobno dziesięć ton. Usiadłyśmy na miejscach. Rozejrzałam się dookoła.

Jakby mało było tego majestatu, piękna i paryskiego szyku na jeden wieczór, do rzędu za nami wszedł Thomas w towarzystwie najelegantszej kobiety, jaką w życiu widziałam.

Drobnej, wręcz filigranowej, o prostych jak druty blond włosach sięgających tuż poniżej ramion. Miała na sobie cukierkowoniebieską sukienkę o fantazyjnym kroju z mocno rozkloszowanym dołem; mogłaby robić za dekorację na torcie. Przysięgłabym, że wyczułam nawet gustowną woń jej perfum. Thomas zobaczył mnie, uśmiechnął się i pomachał. Pokazał mnie żonie; widziałam, jak się do niej nachyla i szepcze coś do ucha. Też się uśmiechnęła i pomachała. Poczułam się nagle jak Andre the Giant (Francuski gwiazdor wrestlingu, znany z olbrzymiego wzrostu (przyp. tłum.)) i żałowałam, że nie przyłożyłam się bardziej do stroju.

Rozległy się dźwięki orkiestry. Steve wstał i uklonił się publiczności, za co otrzymał gromkie brawa. Potem mój stary dobry kolega ze szkoły zaczął wymachiwać rękami, a muzycy zdawali się robić dokładnie to, co im kazał. Byłam pod wrażeniem. W końcu rozpoczęło się przedstawienie, więc skupiliśmy się na opowieści o księżniczce, która mogłaby mieć wszystko, gdyby tylko potrafiła trzymać gębę na kłódkę.

Po dwudziestu siedmiu godzinach, a może tylko czterech, zaprowadzono nas do dużej sali za sceną. Tam też wszystko było bogato zdobione i ociekało złotem. Królował barokowy przepych. Z dumą patrzyłam, jak Steve odbiera gratulacje od

swej oddanej, wyrobionej publiczności. Kiedy się obróciłam za kelnerem roznoszącym szampana, zobaczyłam Thomasa. Podszedł do mnie i razem wypiliśmy toast.

- Gdzie zgubiłeś żonę? - zagadnęłam niewinnie.

- Postanowiła wrócić do domu. Po operze boli ją głowa. - Rozglądał się chwilę po zatłoczonej sali, a potem jego wzrok wylądował prosto na mnie.

- Nie wybrałabyś się na spacer?

- Teraz? - spytałam.

- Proszę. To takie nudne. Musimy się stąd wyrwać.

- Nie mogę... Steve mnie zaprosił. To mój przyjaciel, nie wypada...

Wskazałam na Steve'a, który w tym momencie był bardzo zaabsorbowany rozmową z jakimś dwudziestoparoletnim młodzieńcem.

- Coś mi się zdaje, że on ma inne plany na wieczór, ale zapytam o pozwolenie. - Thomas chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą.

- Nie, proszę - broniłam się, czując dotyk jego zaskakująco szorstkiej dłoni.

Kiedy się zbliżaliśmy, Steve akurat odwrócił głowę od swojego towarzysza i zobaczył nas trzymających się za ręce.

- Ty pewnie jesteś Thomas - stwierdził z przekąsem.
Thomas odpowiedział uśmiechem.

- Owszem i chciałem spytać, czy mógłbym porwać na wieczór twoją przyjaciółkę? To chyba jedyna osoba, z którą mam ochotę dziś pogadać, a mamy taką ciepłą październikową noc, więc chciałbym wykorzystać...

- ...moją przyjaciółkę? - spytał z uśmiechem mój złośliwy kolega.

- Ależ skąd - roześmiał się Thomas. - Pogodę. Wieczór.

- No tak. Oczywiście, nie ma sprawy. Thomas uściśnął mu rękę.

- Byłeś dzisiaj fantastyczny. Brawo, Steve. - Potem objął mnie w pasie i delikatnie pokierował w stronę drzwi.

Kiedy spacerowaliśmy wzdłuż Avenue de l'Opera, nie mogłam się powstrzymać i powiedziałam prosto z mostu:

- Masz bardzo ładną żonę.

- Wiem.

Nie miałam w zasadzie nic więcej do dodania, uznałam po prostu, że wypada o niej wspomnieć.

- Czym się zajmuje?

- Prowadzi świetnie prosperujący sklep z bielizną w Jedenastej Dzielnicy. Zaopatrują się tam wszystkie modelki i aktorki.

„No jasne - pomyślałam. - Gdzie miałyby pracować, jeśli nie w branży celebryckiej kobiecość i seksualność. Założę się, że wygląda doskonale w skąym odzieniu”.

Pozwólcie, że załatwię to od razu. Jestem kobietą, która mieszka w wielkim amerykańskim mieście, ogląda telewizję i chodzi do kina, więc owszem, nienawidzę swojego ciała. Wiem, jakie to niepoprawne politycznie, nefeministyczne, banalne i oklepane, ale nic na to nie poradzę. Wiem, że nie jestem gruba, noszę całkiem przyzwoitą szóstkę, ale jeśli się czepiać szczegółów, to niestety muszę przyznać sama przed sobą, że przyczyną, dla której nie mam chłopaka, jest z całą pewnością mój cellulit i grube uda. Kobiety to wariatki, i skończmy już ten temat.

- Może napijemy się kawy? - spytał Thomas. Mijaliśmy właśnie kawiarnię ze stolikami wystawionymi na zewnątrz.

- Chętnie.

Kelnerka podała nam zalaminowane menu, takie ze zdjęciami tostów z serem czy steków z frytkami.

- No to zdradź mi, Julie, jako kobieta samotna, jakie są twoje największe obawy?

Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Widzę, że nie bawisz się we wstępy - zaśmiałam się nerwowo.

- Życie jest za krótkie, a ty zbyt intrygująca. - Przechylił lekko głowę, oddając mi całą swą uwagę.

- Cóż, myślę, że łatwo się domyślić. Boję się, że nigdy nikogo nie poznam, nigdy nikogo nie pokocham. - Spuściłam wzrok i przyglądałam się zdjęciu omletu.

Znów podeszła kelnerka i Thomas poprosił o butelkę chardonnay.

- Ale po co sobie zaprzętać tym głowę? Miłość przyjdzie sama. Zawsze tak jest.

- Hm, no właśnie nie bardzo. Przynajmniej takie odczucie mamy ja i moje przyjaciółki. U nas w Stanach z danych statystycznych wynika, że bardzo trudno jest znaleźć przyzwoitego faceta, a będzie jeszcze trudniej. Mamy coś w rodzaju kryzysu. - Kelnerka przyniosła wino, Thomas skosztował i dopiero wtedy rozlała je do kieliszków.

- Tak, ale trzeba sobie zadać pytanie: czy jestem osobą statystyczną czy mistyczną? Otóż według mnie trzeba wybrać to drugie. Jak inaczej dałoby się to znieść?

Mistyczny kontra statystyczny - nigdy tak o tym nie myślałam. Przyjrzałam się Thomasowi i stwierdziłam, że go kocham, tu i teraz. Nie w znaczeniu dosłownym, to raczej zauroczenie wynikające z miejsca i okoliczności: jestem w Paryżu i piję wino w towarzystwie przystojnego faceta, który mówi mądre rzeczy o życiu i miłości. On jest żonaty i nigdy nie pójdę z nim do łóżka, ale to zdecydowanie facet w moim typie.

- Ciekawa teoria. - Tylko tyle miałam do powiedzenia. Gadaliśmy, sącząc wino, przez kolejne trzy godziny. Była czwarta nad ranem, gdy opuściwszy ostatnią kafejkę, dotarliśmy pieszo pod dom Steve'a. Czułam się młodsza o dziesięć lat, piękna, błyskotliwa i zabawna. Thomas na pożegnanie ucałował mnie w oba policzki i łobuzersko się uśmiechnął.

- Powinniśmy mieć ze sobą romans, Julie. Byłoby fajnie. Wtedy dostałam długiego ataku kaszlu, jak zawsze, gdy się nagle zdenerwuję. To mi dało czas, by się zastanowić nad odpowiedzią.

Kiedy przestałam cherlać, powiedziałam:

- Posłuchaj. Może uda mi się kiedyś znaleźć swoją połówkę, a może nie. Nie wiem, czy jestem osobą mistyczną, czy statystyczną, ale wiem, że nie powinnam sypiać z żonatymi facetami.

- Ach tak - kiwnął głową Thomas.

- Nawet jeśli ich żony nie mają nic przeciwko temu. Nazwij mnie prowincjuską.

- Dobrze, dobrze, prowincjuszko Julie - odparł z uśmiechem. - Powiedz, jak długo będziesz we Francji?

Wtedy zdałam sobie sprawę, że nie mam właściwie żadnego planu.

„Czy Paryż nauczył mnie dostatecznie dużo na temat tego, czym ma się kierować w życiu współczesna singielka?" - pomyślałam. Na pewno się dowiedziałam, co to duma. I trochę o istnieniu różnych typów małżeństw. Może tyle na razie wystarczy i czas się zwijać?

- Jeszcze nie wiem. Może później wybiorę się do Rzymu. Thomasowi zaświeciły się oczy.

- Koniecznie! Paryż jest piękny, ale nawet my, Francuzi, zdajemy sobie sprawę, że Rzym... - Wywrócił oczami z zachwytem. - Jestem współwłaścicielem jednej z tamtejszych

kawiarni. Pojedź koniecznie, znam tam wiele samotnych singielek.

- Nie wątpię - rzuciłam z przekąsem. Sama się zorientowałam, jak to zabrzmiało. Szorstko, cynicznie, bardzo po nowojorsku.

Thomas spojrzał na mnie poważnie i z lekką irytacją.

- Wiesz co, Julie? Skoro tak bardzo siebie nie lubisz, że sądzisz, iż jestem taki dla każdej poznanej kobiety, to załatw to ze swoim psychoanalitykiem, ale proszę, nie rób ze mnie jakiegoś drania. To nie fair.

Zbesztana jak należy, nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Daj znać, jeśli będziesz potrzebowała w Rzymie mojej pomocy. Pobyt tam dobrze ci zrobi - dodał uprzejmie. - Szczerze mówiąc, myślę, że właśnie tego ci trzeba.

Odprowadzając go wzrokiem, zrozumiałam kolejną ważną rzecz: czasami księżniczka naprawdę powinna trzymać gębę na kłódkę.

Tymczasem w Stanach

Minął tydzień, odkąd Georgia dała swój numer Maksowi. I nic. Nie wiedziała, do kogo się zwrócić. Mnie nie było, a jedyne znane jej singielki to Ruby i Alice, więc zadzwoniła do

nich. Umówiły się w meksykańskiej restauracji w West Village, gdzie serwują margarity po pięć dolarów.

- Ja już głupia jestem. Po co facet prosi cię o numer, skoro potem wcale nie dzwoni? - spytała z niedowierzaniem Georgia. - Wy tłumaczcie mi to, błagam.

Ruby i Alice nie zdążyły nawet zdjąć płaszczy. Gapily się na nią, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Przecież nie ja go zaczepiłam, nie ja prosiłam o numer. Normalnie rozmawialiśmy, ale potem on zapytał, czy może wziąć ode mnie telefon, więc się ucieszyłam. Liczyłam na następne spotkanie, może nawet randkę. Czy to się często zdarza?

Ruby i Alice spojrzały po sobie. Ruby spytała:

- Wybacz, ale czy ty nie chodziłaś nigdy w życiu na randki? Podszedł kelner i przyjął zamówienie: trzy razy mrożona brzoskwiniowa margarita.

- Przez cały college miałam jednego chłopaka, potem na uniwersytecie poznałam Dale'a, więc właściwie to nie. Słuchałam opowieści Julie, ale chyba nie zwracałam na to zbytnej uwagi, bo przecież byłam już mężatką. - Zrobiła minę, jakby się czuła winna. Spojrzała pytająco na Alice i Ruby.

- Powiedźcie, czy wszyscy nowojorczyccy tak traktują kobiety?

I znów dziewczyny wymieniły spojrzenia. Stały przed podobnym dylematem, jak wtedy, gdy koleżanka przez zabiegiem wyrwania zębów mądrości pyta, jak to się u nas odbyło. Czy powiedzieć prawdę, że dwa tygodnie zwijałyśmy się bólu i miałyśmy policzki jak chomik, czy skłamać, pozwolić jej samej tego doświadczyć, licząc w duchu, że będzie lepiej?

Ruby pociągnęła łyk drinka z kieliszka wielkości małego akwarium i pomyślała chwilę. Przypomniała sobie, ile dni i nocy przepłakała z powodu takiego czy innego faceta, na którym się zawiodła. Alice wsunęła do ust kukurydzianego chipsa, licząc w głowie, z iloma mężczyznami już się spotkała, ile czasu poświęciła na tę całą zabawę. W tej krótkiej chwili obie się zastanawiały, co tak naprawdę o tym wszystkim sądzą. Ruby zaczęła pierwsza.

- To nie tak, że wszyscy faceci to śwynie. Nie możesz tak myśleć. Nie wolno tak myśleć. Można spotkać naprawdę fajnych, tylko... to jest dżungla i musisz umieć się chronić. Nie aż tak, żeby, no wiesz, sprawiać wrażenie oschłej, ale musisz

być ostrożna, podchodzić do tego wszystkiego bardzo poważnie... w pewnym sensie, choć z drugiej strony wcale nie.

Georgia wpatrywała się w nią pustym wzrokiem. Ruby zrozumiała, że w ten sposób jej nie pomaga. Alice z racji doświadczenia sądowego nieco łatwiej przyszło przekazać Georgii złe wieści. Prosto z mostu, bez owijania w bawełnę:

- Posłuchaj. Jest tak, że niektórzy mężczyźni w tym mieście rzeczywiście są beznadziejni. Im wcale nie chodzi o znalezienie kobiety swoich marzeń, ustatkowanie się i założenie rodziny. Oni po prostu chcą przelecieć jak najwięcej lasek, cały czas się rozglądając za następnymi, jeszcze ładniejszymi, jeszcze lepszymi w łóżku. Co do tego twojego Maksa, cóż, może kolekcjonowanie numerów podbudowuje jego męskie ego? Czuje się supermanem, wiedząc, że potrafi zdobyć numer telefonu każdej laski. Możliwe, że robi to tylko dla sportu.

Georgia słuchała Alice bardzo uważnie.

- A w tej sytuacji ratuje nas jedynie nasza wytrzymałość. Zdolność do powrotu na arenę i spróbowania szczęścia raz jeszcze. Musimy się uczyć rozpoznawać i odsiewać tych złych, żeby znaleźć tego dobrego. To nasza jedyna broń. Georgia pociągnęła haust mrożonej margarity.

- Zgoda, ale uważam, że nie powinno się takim facetom odpuszczać... Auć! Zimne! Moja głowa! - Skrzywiła się, przyciskając palce do skroni. Siedziała tak chwilę, aż ból minął, a twarz się odprężyła. Przez moment wyglądała jak obłąkana. - No więc nie powinno im się tak łatwo odpuszczać. Trzeba ich reedukować. Jeśli żadna im nie powie, jak się czujemy, gdy nas w ten sposób traktują, pomyślą, że mogą dalej bezkarnie kolekcjonować numery telefonów, nie mając nawet zamiaru zadzwonić. Musimy im uzmysławić, że tak się nie robi. Musimy odzyskać noc!

Po tych słowach chwyciła torebkę, wyjęła z portfela dwadzieścia dolarów i rzuciła je na stół.

- Dzięki za pomoc. Drinki ja stawiam.

- Dokąd idziesz? - przestraszyła się Ruby. Georgia założyła płaszcz i wstała od stolika.

- Do Whole Foods. Poczekam tam na niego, a kiedy się zjawi, spróbuję zostać katalizatorem zmian w Nowym Jorku!

Wybiegła z restauracji, zostawiając Alice i Ruby, a one nie wiedziały za bardzo, o czym teraz ze sobą rozmawiać.

Georgia krążyła po delikatesach niczym puma czająca się na nieświadomego turystę. Nie wiadomo, dlaczego Max miałby przyjść do sklepu akurat tego dnia, zwłaszcza o tej

porze, lecz Georgia miała misję do wypełnienia. Liczyła, że samą siłą woli skłoni go do pojawienia się dokładnie w tym momencie na stoisku warzywnym. Chodząc między półkami, planowała, co i jak mu powie. Ze spokojem wyjaśni, jaki wpływ na innych ma jego zachowanie, i dzięki temu uczyni ten świat bezpieczniejszym dla wszystkich kobiet poszukujących miłości. Tymczasem od jej przyjścia minęły już dwie godziny; była dziesiąta wieczór. Zdążyła się nauczyć na pamięć wszystkich działów i zaczynała rozpoznawać poszczególne produkty, aż tu nagle zobaczyła go przy stoisku z mrożoną edamame.

Rozmawiał z jakąś ładną młodą blondynką, która miała na sobie plecak z logo uniwersytetu nowojorskiego. Następna ofiara. Georgia bez namysłu przystąpiła do ataku. Doskoczyła do Maksa i stanęła między nim i blond studentką.

- O, cześć, miło cię widzieć - wybąkał lekko zakłopotany Max.

- Cześć, Max. Chciałam ci powiedzieć, że kiedy bierzesz od kobiety numer telefonu, żeby do niej zadzwonić, a potem tego nie robisz, to sprawiasz jej przykrość. Większość kobiet nie daje numeru byle komu, rzadko czują aż takie iskrzenie podczas rozmowy z mężczyzną, żeby chciały to ciągnąć dalej,

więc jeśli już dają mu numer, oczekują, że zadzwoni. To rodzaj niepisanej umowy. A w ogóle, żeby było jasne, to ty mnie o niego prosiłeś.

Max zaczął się nerwowo rozglądać. Studentka przyglądała się Georgii obojętnie.

- Jestem pewna, że robisz tak tylko dlatego, że zawsze ci to uchodziło na sucho. Ale ja tu jestem po to, żeby ci oznajmić: koniec tego dobrego. To nie po dżentelmeńsku.

Max pochylił głowę i mruknął:

- Chryste, nie zachowuj się jak wariatka.

Oczywiście, że nazwał ją wariatką. To typowa strategia obronna facetów. Już choćby z tego powodu nigdy nie powinniśmy tracić nerwów w ich obecności, bo to tylko woda na młyn. W każdym razie Georgia się trochę wkurzyła.

- Wariatka, no jasne. To dlatego, że kobietom na ogół nie chce się wygarnąć facetowi prawdy w oczy, bo nieraz dostały w tyłek i wiedzą, że to i tak nie ma sensu. Ale tym razem chciałam cię tylko oświecić. To tyle.

Ludzie zaczęli się na nich gapić. Studentka ani myślała odejść, z ciekawością przyglądała się przedstawieniu. Max stracił opanowanie.

- Dobra, wariatko, skończyłaś?

Teraz Georgia wkurzyła się nie na żarty.

- SŁUCHAJ. NIE NAZYWAJ MNIE WARIATKĄ! NIE BĘDZIESZ W TEN SPOSÓB DEPRECJONOWAŁ MOICH UCZUĆ!

Studentka, która do tej pory była cicho, przemówiła.

- Ma rację, nie powinieneś jej tak nazywać. Ona tylko mówi, co czuje.

- No, pięknie. Następna wariatka.

- Nie nazywaj mnie wariatką - odparła studentka, tym razem trochę głośniej.

- Właśnie! - dorzuciła Georgia, nawet jeszcze głośniej niż tamta. Na szczęście dla wszystkich, może z wyjątkiem rozbawionej widowni, zjawił się niski Latynos w białej koszuli, żeby zażegnać problem.

- Przepraszam, ale będą państwo musieli opuścić nasz sklep. Przeszkadzacie innym klientom.

Georgia rozejrzała się wkoło, potem spojrzała wyniośle na Maksa.

- W porządku. Wyjdę. Myślę, że do tego pana dotarło, co chciałam przekazać.

Dumnym krokiem, z podniesioną głową, zaczęła zmierzać ku wyjściu. Nawet nie zauważyła uśmiezków na twarzach,

nie słyszała chichotów za plecami. Kiedy jednak znalazła się na ulicy i zerknęła do środka przez szybę, zobaczyła, że blond studentka wciąż rozmawia z Maksem, a ten się śmieje i pokazuje palcem kółko na czole.

Odwróciła się i poszła. Starła się zachować dumę, lecz dwie przecznice dalej wybuchnęła płaczem. Sądziła, że kiedy na niego nawrzeszczy, poczuje się dużo lepiej. I tak było przez te pierwsze pięć minut, kiedy wrzeszczała. Georgia była jednak wciąż niedoświadczoną singielką, więc bez względu na wszelkie teorie musiała się jeszcze sporo nauczyć.

ZASADA 4

IDŹ NA ŻYWIOŁ (MIMO ŻE NIE SPOSÓB PRZEWIDZIEĆ, KIEDY TO SIĘ MOŻE SKOŃCZYĆ KATASTROFĄ)

Alice zawsze się szczyliła doskonałą znajomością Nowego Jorku. Mogłaby oprowadzać turystów po tym wspaniałym mieście od Bronksu aż po Staten Island, ponieważ jak nikt inny znała wszystkie jego zakamarki i tajemnice.

Tak było, zanim miała chłopaka. Dopiero wtedy sobie przypomniwała, że istnieje zupełnie inny Nowy Jork przeznaczony wyłącznie dla par. W ciągu tego ostatniego roku, gdy niemal zawodowo zajmowała się chodzeniem na randki, zyskała dostęp do najmodniejszych barów, nocnych klubów i restauracji, jakie oferuje miasto, a także rozmaitych imprez sportowych. Ale ponieważ nie miała chłopaka, cała inna część Nowego Jorku była dla niej niedostępna.

Na przykład taki Brooklyński Ogród Botaniczny, do którego przyjechała z Jimem. No dobra, Jim nie do końca był jej chłopakiem, chodzili ze sobą dopiero dwa tygodnie, ale po pierwszej randce Alice stwierdziła, że pozwoli mu się adorować dopóty, dopóki obojgu będzie to sprawiało przyjemność. Pojechali na Brooklyn metrem, a teraz trzymając

się za ręce, spacerowali po pawilonie tropikalnym i muzeum bonsai. Było cudownie. Przystanęli na chwilę, żeby posłuchać miniwykładu o miłorzębach.

Niska siwowłosa pani wyjaśniała grupce osób, że miłorzęb od innych nagonasiennych można odróżnić po wachlarzowatych, dwuklapowych liściach. Alice zaczęła wspominać te minione czternaście dni z Jimem. Odkryli wspólnie inne atrakcyjne miejsca dla par, jak Planetarium Haydena w każdy pierwszy piątek miesiąca (wtedy jest czynne do późna), zoo w Bronksie (tam się chodzi tylko z dzieckiem albo z chłopakiem) i lodowisko w Chelsea Piers (Alice zawsze chciała tam pójść, ale nigdy nie udało jej się nikogo zaciągnąć). A teraz była w ogrodzie botanicznym i słuchała wykładu o nagonasiennych.

„Jakie to słodkie - pomyślała. - Cudownie jest być w parze”.

Po wykładzie przespacerowali się ścieżką zasypaną liśćmi. Jim wziął ją za rękę - ogarnęła ją fala radości i ciepła. Zdawała sobie sprawę, że mógłby obok niej iść nawet Ted Bundy, nie miałyby to znaczenia - trzymanie się za ręce było cholernie przyjemne. To oznacza, że do kogoś przynależysz. Nie w jakimś głębokim, nieodwracalnym sensie; w tej konkretnej

chwili jesteś z kimś połączona. W pewnym momencie Jim stwierdził:

- Może na przyszły tydzień pojedziemy do sadu na jabłka?

- Super - odparła ucieszona Alice.

Skręcili w stronę stawu w ogrodzie japońskim. Było chłodno, ale nie zimno, powietrze ogrzewały promienie słońca. Cudowny jesienny dzień. Usiedli pod małą pagodą z widokiem na staw. Jak na kogoś, kto sądził, że wie wszystko na temat damsko - męskich podchodów, Alice z wielkim zdumieniem odkryła, jak fantastycznie można spędzać czas z facetem, za którym się nie szaleje. Postanowiła jeszcze raz dogłębnie przemyśleć, dlaczego jeszcze nie zakochała się w Jimie. Był atrakcyjny, miał nienaganne maniery, co z wiekiem stawało się dla niej coraz ważniejsze. Był dowcipny, lubił się wręcz wygłupiać, a to zawsze uwielbiała u facetów. No i bardzo jej się podobał jego śmiech. Jim też uważał, że Alice jest zabawna. Przysunął się do niej bliżej, a ona oparła mu głowę na ramieniu. Kiedy w zeszłym tygodniu pierwszy raz poszli do łóżka, z ulgą stwierdziła, że nawet jej się podobało.

W przeciwnym razie byłby to koniec znajomości. Tak niestety działa ten zwariowany schemat. Na szczęście seks był

w porządku. A nawet gdyby miała się martwić, że brak w nim namiętności, to przecież pozostaje jeszcze drugi, nie mniej ważny aspekt: regularność. To komfortowa sytuacja mieć zapewniony stały intymny, fizyczny kontakt z drugim człowiekiem. Nie trzeba się obawiać, czy wzajemny pociąg, poczucie bezpieczeństwa i odpowiednie okoliczności (czyli że facet nie jest dupkiem, byłym chłopakiem przyjaciółki, która go ciągle kocha, albo znajomym znajomego, co w razie niepowodzenia oznaczałoby katastrofę, więc nawet nie chcesz próbować, itd.) pozwolą w danej chwili na odbycie stosunku seksualnego. Nie ma nic gorszego, niż spojrzeć w kalendarz i stwierdzić, że ostatnio uprawiałaś seks pół roku temu, a masz wrażenie, że to było wczoraj. A potem masz lęki, że kolejne pół roku przeleci jak z bicia strzelił, a tobie nie będzie dane poczuć na sobie nagiego męskiego ciała. Dzięki Jimowi taka obawa na razie nie istniała i choć był to seks bez fajerwerków, nie szkodzi. Był regularny, a to powinno wynagrodzić ewentualne niedostatki. Tak to sobie Alice tłumaczyła.

Dostrzegła w stawie dwa małe żółwie. Nie takie, jakie hoduje się w domu, w pudełku z plastikową palmą, i karmi mielonym mięsem. Te były większe i pływały sobie w małym zbiorniku, który musiał im się wydawać oceanem.

Ciągle rozmyślała o Jimie, jak jest jej z nim dobrze i jak bardzo ma nadzieję, że zdoła się w nim zakochać. Z drugiej strony wiedziała, że powinna być dla siebie łaskawsza. Przecież się nie zastrzeli, jeśli nie pokocha każdego miłego faceta, którego pozna. Gdyby Jim nie okazał się miłością jej życia, to nie będzie znaczyło, że Alice boi się zaangażować, że podobają jej się tylko zimni dranie albo cokolwiek z tych bzdur, które ludzie lubią nam zarzucać. Jeśli nie okaże się tym jedynym, nie będzie to niczyją winą, takie jest po prostu życie. W duchu jednak rozpaczliwie liczyła na to, że ten „letni związek potrwa jeszcze bardzo, bardzo długo.

Zerknęła na Jima - patrzył gdzieś w dal nieobecny wzrokiem. Od samego rana zachowywał się trochę dziwnie; wyglądał się, jak zwykle, lecz pod powierzchnią wyczuwało się napięcie. Teraz cały czas nerwowo ruszał nogą, aż ławka się trzęsła. Alice położyła mu rękę na udzie i spytała, o co chodzi.

- Nic, tylko trochę się denerwuję.
- Czemu?
- Bo muszę z tobą porozmawiać.

Alice serce mocniej zabiło. Mężczyźni rzadko wypowiadają tę kwestię, chyba że mają do przekazania złe wieści albo...

- Chcę, żebyś wiedziała, że jest mi z tobą lepiej niż z kimkolwiek w życiu.

Serce Alice zaczęło bić jeszcze mocniej, a oddech przyśpieszył. Zawsze się tak dzieje, u każdego człowieka na świecie, gdy druga osoba pokonuje wstyd i zbiera się w sobie, by wyznać mu wielkie uczucie.

- I uważam, że jesteś dla mnie stworzona. Potraktuj to, jak chcesz, ja się dostosuję. Jeśli chcesz wziąć ślub za tydzień, będę szczęśliwy, mógłbym się z tobą ożenić choćby jutro, ale jeśli wolisz, żebyśmy się nie śpieszyli, nie ma sprawy. Przyjmę to, może nie z radością, ale przyjmę.

Wyglądał w tym momencie tak bezbrinnie, że już bardziej nie można. Alice odwróciła głowę i zobaczyła, że dwa żółwie usiadły na kamieniu i wygrzewają się w słońcu. Postanowiła pójść na żywioł.

- Dla mnie to też były cudowne dwa tygodnie. Wiem, że za mało się jeszcze znamy, ale chciałabym dać nam szansę.

Jim wreszcie wypuścił z płuc powietrze, które od trzech i pół minuty wstrzymywał. Uśmiechnął się.

- Jezu, dzięki. Ale się cieszę.
- W tej chwili nie mogę ci nic więcej obiecać. Zrozumiesz to?
- Jasne, oczywiście. Bałem się, że dostanę po gębie albo mnie wepchniesz do wody.
- Czemu miałabym to zrobić? - uśmiechnęła się słodko. Potem się pocałowali. Alice była szczęśliwa, bezpieczna, zadowolona. Czasami bowiem, kiedy się długo pływa w wielkim, mętym stawie, fajnie jest na chwilę przysiąc na kamieniu i się poopalać.

Kierunek: Rzym

Do odlotu zostało dziesięć minut i trochę się denerwowałam. Właściwie to nawet bardzo.

To dziwne uczucie, gdy nagle odkrywamy w sobie nowe lęki. Mówią, że z wiekiem stajemy się coraz bardziej strachliwi, ale i tak to spory szok uświadomić sobie, że trzeba dopisać do listy kolejną fobię. Wsiadając do samolotu, byłam całkowicie zrelaksowana, lecz siedząc teraz w fotelu i odliczając minuty do startu, robiłam się coraz bardziej nerwowa. Jakim cudem to żelastwo nie spadnie? Co je utrzymuje w powietrzu? Czy to nie zgroza tak z pełną świadomością przez kilka minut pikować prosto do oceanu?

Ciekawe, o czym bym wtedy myślała? Kiedy już całkowicie zwątpiłam, czy dotrę żywa do Rzymu, dopadło mnie coś, co chyba można nazwać atakiem paniki. Zaczęłam się pocić i z trudem łapałam oddech. Dlaczego akurat teraz? Z Nowego Jorku do Paryża doleciałam bez najmniejszym problemów. Psychoterapeuta pewnie by stwierdził, że się denerwuję, ponieważ jadę całkiem sama do obcego miasta, gdzie nikt znajomy na mnie nie czeka. Że jadę zbierać materiały do książki, a tymczasem nie mam pojęcia, jak się do niej zabrać. Może w końcu do mnie dotarło, że rzuciłam pracę i wyjechałam z domu bez sprecyzowanego planu? Nieważne. Stwierdziłam, że uspokoi mnie tylko rozmowa z moją osobistą guru. Na szczęście udało mi się ją złapać telefonicznie.

- Dobra, Julie, zamknij oczy i wciągnij powietrze przeponą - powiedziała Serena swoim ciepłym, kojącym głosem. - Wyobraź sobie białe światło emanujące prosto z twojego pępka i rozchodzące się po całej kabinie.

Wyobraziłam sobie.

- To jest białe światło pokoju, bezpieczeństwa i ochrony. Wypełnia kabinę, potem niebo, i oblewa całą Ziemię. Jesteś zupełnie bezpieczna.

Oddech zaczynał się uspokajać, serce biło wolniej. Pomogło. Otworzyłam oczy. Przede mną stał Thomas.

- Witam, prowincjuszko. Zdaje się, że dostałem miejsce obok ciebie.

Wstrząsnął mną dreszcz zaskoczenia. Cała robota Sereny poszła na marne.

- Sereno... oddzwonię za chwilę, dobrze?

- Dobrze, ale tak szybko ci jeszcze powiem, że powinnaś pojechać do Indii. Ta ich kultura duchowa... Wszyscy mówią, że to niesamowite doświadczenie.

- Pomyślę o tym. Dzięki.

- Ale poważnie. Mówią, że to odmieniło ich życie.

- Jasne. Pogadamy później. Pa, jeszcze raz dzięki! - Rozłączyłam się i spojrzałam na Thomasa, który emanował swoim własnym szczególnym rodzajem światła. - Skąd się tu wzięłeś?

- Zdecydowałem się polecieć z tobą. Przy okazji załatwię parę spraw.

Gestem poprosił mnie, abym wstała, żeby mógł się wsunąć na swoje miejsce.

- Oczywiście zwykle nie latam klasą ekonomiczną - powiedział, kiedy oboje się już usadowiliśmy. - Ale

postanowiłem zrobić wyjątek. - Zapiął pas, rozejrzał się i dodał: - Boże, ale koszmar.

Zauważył, że mam trudności z połączeniem tego wszystkiego w całość.

- Steve mi zdradził, kiedy wylatujesz. Poza tym znam kogoś w Alitalii.

Posłał mi uśmiech i ścisnął mnie za nadgarstek. Zarumieniłam się, wyjęłam miętową gumę do żucia i włożyłam do ust. Zaczęły się komunikaty o przygotowaniach do startu, więc starałam się ukryć, jak się pocę ze strachu. Cóż to byłaby za kompromitacja, gdybym dostała pierwszego w życiu ataku paniki w obecności Thomasa. Jestem histeryczką, ale to nie znaczy, że on od razu musi o tym wiedzieć. Kiedy był zajęty szukaniem wygodnej pozycji dla nóg, a stewardesy sprawdzały, czy mamy zapięte pasy, wydałam z siebie cichy jęk. Wystraszył się.

- Przepraszam... Coś się ze mną dzieje. Mam wrażenie, jakbym umierała albo się topiła. Nie wiem. Przepraszam - wyszeptałam.

Thomas nachylił się do mnie.

- Pierwszy raz to masz? - Pokręciłam głową. - Jakiś atak paniki czy co?

Kiwnęłam głową.

- Chyba tak.

Chwyciłam się kurczowo podłokietników (ocierając się przy tym o ramię Thomasa), pochyliłam do przodu i zaczęłam gwałtownie wciągać powietrze.

- Przepraszam, wszystko w porządku? - zwróciła się do nas stewardesa.

- Tak, tak - odparł Thomas. - To tylko ból brzucha. Zaraz jej przejdzie.

Kiedy sobie poszła, sięgnął do torby.

- Julie, zażyj to natychmiast. Uspokoisz się. Opadłam z powrotem na siedzenie i ciężko westchnęłam.

- Że też musisz mnie oglądać w takim stanie. Spalę się ze wstydu.

- Tym będziemy się martwić później, na razie szybciotko połknij tabletkę.

- Co to jest?

- Lexomil, takie francuskie valium. My to jemy jak cukierki.

Połknęłam małą białą pigułkę.

- Dziękuję ci. - Odetchnęłam głęboko. Już czułam się spokojniejsza.

- Zaraz pewnie zaśniesz. - Thomas położył rękę na mojej dłoni. - Szkoda, nie będziemy mieli okazji pogadać - rzekł z błyskiem w oku.

W klasie ekonomicznej jest tak ciasno, że naprawdę trzeba się starać, aby się nie nadziać ustami na współpasażera.

Wkrótce zmorzył mnie sen.

Zbudziło mnie klepanie po ręce, dosyć zdecydowane, oraz głos Thomasa, który z tym swoim cudnym francuskim akcentem mówił:

- Julie, już czas. Obudź się, proszę.

Z wielkim trudem, jakbym dźwigała półtonowe sztangi, podniosłam powieki. Jak przez mgłę zobaczyłam przystojnego Thomasa stojącego w przejściu z lekkim rozbawieniem na twarzy. Nad nim sterczała stewardesa.

- Signore, musimy opuścić samolot. Proszę wyprowadzić tę panią.

Dopiero wtedy się zorientowałam, że samolot stoi na ziemi, a my jesteśmy jedynymi pasażerami w kabinie. Głośno jęknęłam i przyłożyłam dłonie do oczu, żeby się jakoś osłonić przed upokorzeniem. Czemu nie zostawią mnie w spokoju i nie dadzą pospać?

Thomas delikatnie pomógł mi wstać. Złapałam pion, wzięłam z siedzenia torebkę i powoli oprzytomniałam. W drodze do wyjścia, kiedy mijaliśmy niekończące się rzędy siedzeń, spytałam:

- Powiedz, śliniłam się, jak spałam?

Roześmiał się i odparł:

- Julie, lepiej nie pytaj.

Pomógł mi się wygramolić z samolotu.

Tego samego dnia po południu obudziłam się w hotelu. Zdezorientowana wstałam z łóżka i wyjrzałam przez okno. Zobaczyłam plac z jednej strony zamknięty wielką okrągłą budowlą - Panteonem. Nie pamiętam, jak się tam dostałam. Thomas później mi powiedział, że podczas kontroli celnej wzięto mnie za narkomankę i przeszukano wszystkie bagaże, a potem padłam w taksówce z głową na jego kolanach. Ten lexiomil to nie żarty.

Na biurku znalazłam kartkę: „Jestem w kafejce na dole z moim kolegą Lorenzem. Zejdź, kiedy się obudzisz. Buźka. Thomas". Na drżących nogach wzięłam prysznic, doprowadziłam się do porządku i wyszłam poszukać Thomasa.

Z hotelem sąsiadowała maleńka kawiarnia wychodząca wprost na plac. Thomasowi towarzyszył mężczyzna po trzydziestce, który żywo o czymś rozprawiał, gestykulując przy tym energicznie. Na mój widok obaj wstali.

- Jak się czujesz, moja ty Śpiąca Królewno? - spytał Thomas.

- Dobrze. Jestem tylko trochę zmęczona.

- Zaraz ci zamówię cappuccino. - Przywołał kelnerkę i usiedliśmy.

- To mój przyjaciel, Lorenzo. Kobieta go rzuciła i właśnie się przede mną wywnętrza.

Lorenzo był przystojnym Włochem o dużych zmęczonych oczach i długich ciemnych włosach, które odgarniał ręką, ilekroć coś wykrzykiwał, czyli dość często.

- Coś okropnego, Julie, mówię ci. Ty nie rozumiesz, mam złamane serce. Zdruzgotane. Cały jestem zdruzgotany. - Odgarnął włosy. - Życ mi się nie chce. Najchętniej skoczyłbym z dachu. Ona mnie normalnie zostawiła. Powiedziała, że już mnie nie kocha. Tak po prostu. Julie; jesteś kobietą, powiedz mi, jak to możliwe? Jak kobieta może w jednej chwili cię kochać, a w drugiej zniszczyć? Jak to się stało, że z dnia na dzień straciła do mnie całe uczucie?

Na szczęście w tym momencie przybyło moje cappuccino, więc mogłam wtłoczyć w organizm odrobinę kofeiny.

- Hm... nie wiem. To naprawdę stało się tak nagle?

- Tak! Trzy dni temu spaliśmy ze sobą, mówiła, że mnie kocha, że chce spędzić ze mną resztę życia, że powinniśmy mieć dzieci. A wczoraj do mnie dzwoni i mówi, że nie chce ze mną być.

- Od dawna byliście razem?

- Rok. Jeden cudowny rok. Oboje stwierdziliśmy, że żadne z nas nigdy nie było w tak dobrym związku. Jak to możliwe, Julie? Wy tłumacz mi. Jeszcze trzy dni temu mówiła, że mnie kocha. Trzy dni. Nie mogę spać. Nie mogę jeść. Koszmar.

Zerknęłam na Thomasa, zastanawiając się, w co ja się właśnie wpakowałam. Ten, jakby czytając w moich myślach, roześmiał się i rzucił:

- Lorenzo to aktor. Lubi dramatyzować.

- Ma no, Thomas - odparł urażony Lorenzo. - Wcale nie przesadzam. To prawdziwa tragedia.

- Twoja dziewczyna też jest aktorką?

- Nie, tancerką. Gdybyś widziała jej ciało...
Najpiękniejsze ciało na świecie. Idealny biust. I te nogi do samej ziemi. No powiedz, Julie, jak to się mogło stać?

Thomas widząc moją głupią minę, postanowił go jeszcze bardziej podpuścić.

- Błagam, Julie, musisz mu pomóc.

Wciąż ciężko mi się myślało po leku, ale starałam się wysilić mózg, jak tylko mogłam.

- Sądzisz, że ma kogoś? - spytałam.

- Wykluczone! Spędzaliśmy ze sobą cały czas.

- Jesteś pewien? Bo to mogłoby znaczyć, że...

- Niemożliwe. Znam jej wszystkich kolegów. Także partnerów tanecznych. Nie.

- To może zbzikowała?

- Nie. Jest zupełnie zdrowa na umyśle.

- W takim razie... może wcale nie była w tobie zakochana?

Lorenzo walnął rękami w stół.

- Ma no, niby jak?

On naprawdę oczekiwał ode mnie wyjaśnienia.

- Cóż, skoro nie spotyka się z innym, z głową wszystko ma w porządku, a tylko zmieniła o tobie zdanie, to może po

prostu nigdy cię naprawdę nie kochała. Albo nie wiedziała, czym jest prawdziwa miłość.

Tego rodzaju amerykańskie rozumowanie w ogóle do niego nie przemawiało. Wzruszył tylko ramionami i rzekł:

- Albo się we mnie odkochała.

- Myślisz, że miłość to rzecz tak ulotna, że może sobie po prostu zniknąć?

- Oczywiście. Ona cię znajduje, to jest jak magia, jak cud, a potem równie szybko potrafi odejść.

- Ty naprawdę uważasz miłość za tajemnicze uczucie, które jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawia się i znika? - Jak najbardziej!

- Można by rzec, że mój przyjaciel jest romantykiem - wtrącił się Thomas.

Lorenzo wyrzucił ręce w powietrze.

- A jak inaczej żyć? Julie, ty tak nie uważasz?

- Raczej nie - odparłam.

- W takim razie, co to jest miłość, twoim zdaniem?

Thomas pochylił się do przodu.

- No, robi się ciekawie.

A więc znów to pytanie. Odkładałam odpowiedź, popijając kawę. Dużo czasu spędziłam na kozetce u

psychologa, analizując, dlaczego przyciągam akurat takich, a nie innych ludzi. Co takiego ze mną robią, że pragnę ich mieć w swoim życiu. Tyleż samo czasu zastanawiałam się, dlaczego moje koleżanki wiążą się akurat z takimi, a nie innymi typami mężczyzn. Byłam świadkiem, jak się zarzekały, że spotkały swoją bratnią duszę, że nigdy wcześniej tak się nie czuły i to na pewno jest przeznaczenie, a potem zrywały z tą bratnią duszą szybciej, niż trwa dostarczenie nowej sofy ze sklepu. Widziałam, jak inteligentne, rozsądne kobiety wychodzą za mąż, a potem ich małżeństwa rozpadają się z hukiem. Widziałam wreszcie pary z pozoru kompletnie niedobre, które przetrwały ze sobą dziesięć i więcej lat.

Tak bardzo byłam pochłonięta szukaniem miłości i frustrowaniem się, że nie mogę jej znaleźć, że właściwie nie zdążyłam jej na własny użytek zdefiniować. Siedziałam więc w tej malutkiej kafejce w promieniach zachodzącego słońca i myślałam.

- Chyba nie wierzę w coś takiego jak miłość romantyczna
- stwierdziłam w końcu. Thomas uniósł brwi, a Lorenzo zrobił minę, jakby zobaczył ducha.

- To w co wierzysz? - spytał Thomas.

- W pociąg seksualny. W namiętność, w uczucie zakochania. Ale raczej nie sądzę, żeby to było autentyczne.

Obaj panowie się zdumiali.

- Dlaczego? Dlatego że czasem mija? - spytał Thomas.

- Dlatego że prawie zawsze mija. Dlatego że z reguły zakochujemy się w naszym wyobrażeniu na temat drugiej osoby i z nią samą nie ma to wiele wspólnego.

- Nie wiedziałem - powiedział Thomas. - Zdaje się, że ktoś tu jest strasznym cynikiem.

- To dopiero nieszczęście - Lorenzo wyrzucił ręce w powietrze. - A myślałem, że ja mam przechlapane.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Wiem! Do dzisiaj sama nie wiedziałam, że tyle we mnie cynizmu!

- No, ale Julie - spytał poważnie Thomas - jak miłość ma cię odnaleźć, skoro w nią nie wierzysz?

Spojrzałam na nich obu - patrzyli na mnie z wielkim zaciekawieniem - i nagle wybuchnęłam płaczem. Ciekawe: w jednej chwili jesteś silną, niezależną kobietą rozprawiającą o miłości i związkach, a potem ktoś nagle wypowiada sekwencję słów, która cię kompletnie rozwała.

- O, nie! Julie. Ja nie chciałem... - Thomas był przerażony. - Błagam, przecież nic się nie stało!

Zakryłam twarz dłonią.

- Wiem, nie przejmuj się. Nie mam pojęcia, skąd mi się to... Naprawdę się nie przejmuj. - Jednak mówiąc to, czułam, jak płyną mi łzy po twarzy. No i masz, znów te same pytania, które zawsze w najmniej oczekiwanym momencie wyłażą gdzieś w podtekście: „Dlaczego jesteś sama? Dlaczego nie masz faceta?”. I tu, w Rzymie, dostałam odpowiedź: „Bo nie wierzysz w miłość”.

- Lepiej pójdę do siebie - powiedziałam, zamierzając wstać.

Thomas przytrzymał mnie za rękę, a Lorenzo zawołał:

- Ma no, Julie! Pójdiesz teraz płakać w kącie? Tak nie wolno.

- Jak mamy się zaprzyjaźnić, skoro uciekasz za każdym razem, gdy do głosu dochodzą emocje - dodał łagodnie Thomas.

- Wybacz. To pewnie ten lexiomil. Uśmiechnął się.

- Tak, na pewno. Jesteś odprężona, wszystkie mechanizmy obronne masz wyłączone.

Zawstydzona odwróciłam się do Lorenza.

- Przepraszam. Zwykle się tak nie zachowuję. Popatrzył na mnie z zachwytem.

- Kobiety są fantastyczne! Spójrz na siebie. Wzruszasz się, płaczesz. Jesteście takie zmienne. Che bella! Che bella!

Śmiał się i wymachiwał rękami. Ja też się roześmiałam, a Thomas wyglądał na najszczęśliwszego człowieka na świecie.

* * *

Po wizycie w kolejnej restauracji, gdzie zjadłam najlepsze spaghetti carbonara, jakie w życiu miałam w ustach, takie z wielkimi plastrami bekonu w środku - nie kawałkami, lecz właśnie plastrami (teoretycznie nie powinny się sprawdzać, a się sprawdziły) - przyszedł czas położyć się do snu. Lorenzo poszedł do domu, a ja z Thomasem wróciliśmy pieszo do hotelu. Mijaliśmy kolejne wspaniałe rzymskie piazze, fontannę di Trevi, Schody Hiszpańskie. To miasto jest tak stare i tak piękne, że trudno je całe ogarnąć. Gdy dotarliśmy pod hotel, Thomas podszedł do motocykla, do którego były przyłączone dwa kaski. Wyjął kluczyk, odpiął je i jeden dał mi.

- A teraz - oznajmił uroczyście - musisz zwiedzić Rzym na motorze.

- Skąd go wytrzasnąłeś?

- To motor Lorenza. Ma ich kilka. Pożyczył mi, kiedy spałaś.

Nigdy nie przepadałam za motocyklami. Są niebezpieczne i tyle. Poza tym na pewno będzie mi zimno, a ja nie lubię marznąć. Ale na myśl, że mam mu to wszystko tłumaczyć i znowu wyjść na mało spontaniczną, nieromantyczną i strachliwą Amerykankę, poczułam zniechęcenie. Założyłam więc kask i usadowiłam się na siodełku. Co mam powiedzieć? Trzeba iść na żywioł.

Jadąc dość szybko, mijaliśmy starożytne ruiny, forum. Przeciskaliśmy się przez kręte zaułki, pędziliśmy główną arterią oraz ulicą, która prowadziła prosto na plac Świętego Piotra.

Co ja tam robiłam? Na tylnym siedzeniu niebezpiecznego pojazdu, którego kierowca, jak by nie było, wypił tego wieczoru kilka lampek wina. Było mi zimno, bałam się i czułam strasznie bezbronna. Wyobrażałam sobie, jak się rozbijamy, Thomas traci panowanie nad motorem podczas ostrego zakrętu, a nasze ciała wpadają pod koła nadjeżdżających aut. Wyobrażałam sobie, jak ktoś dzwoni z informacją do mojej mamy, a potem ona lub mój brat muszą

się zmierzyć z kłopotliwą i bolesną procedurą sprowadzenia zwłok.

A potem, już w drodze powrotnej, okrążyliśmy Koloseum. Uderzyło mnie, że żadnej z tych zabytkowych budowli nie otacza jakiś mur, ogrodzenie czy szklany ekran. Stoją niczym nie chronione, czekając, aby nas olśnić. Akceptują swoją bezbronność wobec ewentualnych wandalów, graffitiarzy czy terrorystów. I pomyślałam w duchu: „Dobrze, jeżeli tak mam to robić, proszę bardzo”. Jeszcze ciaśniej objęłam Thomasa i starałam się chłonąć każdy gram cudownej atmosfery tego miasta.

* * *

Kiedy zajechaliśmy pod hotel, Thomas zdjął kask i pomógł mi ściągnąć mój. Wierście mi, nie ma osoby, która wyglądałaby seksownie w kasku motocyklowym. Weszliśmy do holu i złapaliśmy windę. Nagle znalazłam się z powrotem w świecie zasad, moralności, dwuznacznych podtekstów i na dodatek nie wiedziałam, gdzie Thomas zamierza spędzić noc. Ten, jakby odczytując moje myśli, powiedział:

- Mój pokój jest na trzecim piętrze. Twój, o ile pamiętam, na drugim?

Kiwnęłam głową. Na szczęście nie zapomniałam klucza i pamiętałam numer pokoju. Thomas nacisnął odpowiednie guziki i drzwi windy się zamknęły. Gdy się ponownie otwarły, ucałował mnie delikatnie w oba policzki i rzekł:

- Dobranoc, moja droga. Śpij dobrze.

Odwróciłam się i poszłam do swojego pokoju.

Tymczasem w Stanach

Georgia dokładnie wiedziała, co powinna zrobić. Za parę minut miał przyjść Dale, a każda kobieta, nawet najbardziej zielona w tych sprawach zna fundamentalną zasadę: kiedy masz spotkanie ze swoim byłym, musisz wyglądać oszałamiająco. Ale tego konkretnego dnia Georgia powiedziała sobie „pieprzę to”. Nie chciało jej się kąpać i układać włosów dla Dale'a. Do diabła z nim. Przecież nie zamierza go uwodzić, żeby wrócił. Niech spada na drzewo i zamieszka z tą swoją siusiumajtką tancerką.

Georgia i Dale umówili się, aby przedyskutować sprawę podziału opieki nad dziećmi. Bez prawników, bez walki. Dwoje dorosłych mających na celu wyłącznie dobro potomstwa.

Kiedy zobaczyła go w drzwiach, musiała przyznać, że wyglądał niestety rewelacyjnie. Trudno, chrzanić go.

Pierwsze, co zrobił, to zadarł głowę i zauważył otwartą klapkę pojemnika na baterie w czujniku dymu. Sam pojemnik był pusty.

- Chryste, Georgia, jeszcze nie wymieniłaś baterii?

- Cholera, znowu zapomniałam.

- Nie uważasz, że to dość istotna sprawa?

- Uważam, ale ostatnio miałam dużo na głowie. Pokręciłam głową.

- A nie uważasz, że są pewne priorytety? Na przykład, żeby wykrywacz dymu i tlenku węgla w domu, w którym mieszkają nasze dzieci, był sprawny?

Georgia wiedziała, że to się zaraz może przerodzić w awanturę i że nowocześni, wykształceni nowojorczyści nie muszą się kłócić o głupoty z byłymi małżonkami, ale miała to gdzieś.

- To skocz do sklepu i kup te baterie, jeśli tak ci na tym zależy. Proszę bardzo.

- Zrobię to, ale później, kiedy skończymy rozmowę.

- Dobrze. Wielkie dzięki.

Oboje głęboko westchnęli. Poszli do kuchni i usiedli przy stole. Zapadła długa cisza.

- Napijesz się czegoś? Kawy, wody?

- Należę sobie wody - powiedział Dale, wstając z krzesła, lecz Georgia już stała przy lodówce. To był teraz jej dom i Dale nie powinien się zapominać. Usiadł z powrotem. Georgia wyjęła dzbanek, napełniła szklanę i postawiła przed nim. Upił łyk. Potem siadła naprzeciwko i oparła splecione dłonie na stole. Czowała, że dopóki będzie je trzymała przed sobą, sprawy nie wymkną jej się spod kontroli.

Jak dotąd dzieci pozostawały pod wyłączną opieką Georgii, a Dale widywał je w uzgodnionych wspólnie terminach lub wtedy, gdy ona potrzebowała mieć wolne. Wiedzieli jednak, że czas już ustalić jakieś zasady.

- Pomyślałem, że może w tygodniu niech będą u ciebie, a ja je będę zabierał na weekendy.

Nie mogła się powstrzymać od sarkazmu:

- Świetnie. Ja będę je wyprawiać do szkoły, sprawdzać lekcje, pilnować, żeby zjadły obiad i położyły się spać, a ty będziesz się z nimi bawił i zabierał na wycieczki, tak?

Georgia sama nie wiedziała, o co walczy; to byłby właściwie niezły układ. Niech Dale zabiera dzieci w weekendy, będzie mogła się wtedy umawiać na randki. Dale'owi to niepotrzebne, cały tydzień ma pod ręką atrakcyjną instruktorkę samby i co noc może z nią uprawiać gorący seks.

Na razie jednak Georgia nie miała ochoty iść na ugodę. Była wkurzona, poza tym od razu chciała wyjaśnić jedną sprawę:

- Zabraniam jej się kontaktować z moimi dziećmi.

- Georgia...

- Mówię poważnie. Jeżeli się dowiem, że kiedykolwiek się do nich zbliżyła, nie ręczę za siebie.

- Pogadamy o tym później - rzucił chłodno Dale, nie patrząc jej w oczy.

Ręce Georgii nie były już splecione. Wymachiwała nimi, pomagając sobie w argumentacji.

- Co to znaczy, pogadamy później? Myślisz, że zmienię zdanie? Że nagle za dwa tygodnie powiem: „Hej, mógłbyś przyprowadzić tę brazylijską dziwkę, żeby pokazała dzieciom, kto rozwalił małżeństwo mamusi i tatusia?”.

- To nie ona je rozwaliła.

Georgia podniosła się z krzesła. Nici z kulturalnej rozmowy.

- Że niby byłbyś w stanie odejść, nie mając rozpiętej siatki bezpieczeństwa? Akurat. Odszedłeś, jak tylko miałeś pewność, że nie będziesz sam.

Dale nie zwlekał z odpowiedzią:

- Może i tak, ale to nie znaczy, że nasze małżeństwo nie było skończone na długo przed tym.

Georgia krążyła nerwowo po kuchni, podniosła głos o kilka decybeli.

- Czyżby? A od kiedy? Od jak dawna nasze małżeństwo jest fikcją? Odkąd poznałeś swoją tancerkę? Od kilku miesięcy? Od roku? Dwóch? - Stała nad nim. - Od kiedy!?

Jest takie powiedzenie, że jeśli musisz przejechać przez piekło, zrób to na pełnym gazie. Tak właśnie postanowił zrobić Dale.

- Od pięciu lat. Według mnie wszystko zaczęło się psuć pięć lat temu.

Georgię jakby prąd poraził.

- Zaraz po urodzeniu Beth? Wtedy?

- Skoro musisz wiedzieć, tak.

Znowu zaczęła krążyć po kuchni. Była niczym ranne zwierzę, przerażone i nieprzewidywalne.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że przez ostatnie pięć lat naszego wspólnego życia już mnie nie kochałeś?

- Tak.

Nim zdążyła się opanować, z jej ust wydobył się cichy jęk. Miała nadzieję, że Dale go nie dosłyszał. Trzęsąc się, podeszła

do lady. Będąc jednak silnym, dzikim zwierzęciem, pozbierała się i przystąpiła do kontrataku.

- Bzdura. Mówisz tak, żeby się lepiej poczuć i uniknąć spojrzenia prawdzie w oczy. A prawda jest taka, że trafiła ci się atrakcyjna dupa, która chce się z tobą pieprzyć, więc olałeś rodzinę. Twierdzisz, że mnie nie kochałeś przez pięć lat? Bzdura. Nie kochałeś mnie, kiedy Gareth pierwszy raz przejechał rowerkiem bez kółek, a ty uniosłeś mnie na rękach, obróciłeś w powietrzu i pocałowałeś? A wtedy, gdy dostałeś awans i kazałam dzieciom wypisać na kartkach: „Gratulacje, tatusiu”, potem rozwiesiliśmy je po całym domu, a gdy wróciłeś, czekałam z wystawną kolacją?

- Kochałem cię, ale wtedy już nie byłem zakochany. Georgia, my już nawet ze sobą nie sypialiśmy. W naszym małżeństwie nie było namiętności. Ono umarło.

Georgia wbiła palce we włosy, próbując zapanować nad emocjami. Odkąd się rozstali, bywały łzy, krzyki, ale nigdy nie odbyli ze sobą takiej rozmowy twarzą w twarz. To najwyraźniej definitywny koniec.

- Aha, więc o to chodzi? O gorący, namiętny seks? Nie na tym polega małżeństwo, Dale. Na tym polega romans.

Małżeństwo to dwoje ludzi, którzy budują wspólne życie, wychowują dzieci i czasami się nudzą.

- A czasami uprawiają seks. MYTEGO NIE ROBILIŚMY.

- TO CZEMU NIC MI NIE MÓWIŁEŚ? - wrzasnęła.

- CZEMU NIE MÓWIŁEŚ, ŻE CHCESZ WIĘCEJ SEKSU? MOŻE POSZLIBYŚMY DO PORADNI ALBO WYJECHALI NA JAKIŚ PIEPRZONY URLOP? MYŚLAŁAM, ŻE WSZYSTKO JEST W PORZĄDKU.

Dale wstał od stołu.

- JAK MOGŁAŚ MYŚLEĆ, ŻE JEST W PORZĄDKU? W OGÓLE SIĘ NIE KOCHALIŚMY. GEORGIA, JA JESTEM ZA MŁODY, ŻEBY SIĘ OBYWAĆ BEZ SEKSU. POTRZEBUJĘ W ŻYCIU NAMIĘTNOŚCI, ŻARU, EKSCYTACJI.

- TAK? TO CHODŹMY DO ŁÓŻKA. JEŚLI TYLKO O TO CHODZI, PRZELEĆ MNIE TU I TERAZ. - Georgia stała przed nim w dresie, z tłustymi włosami, i rozkładała ręce. Dale pokręcił głową i zaczął się wycofywać.

- Georgia, uspokój się.

- Co? Boisz się, że nie będzie dość ekscytująco? Że przy mnie nie odnajdziesz tego żaru? - Między napadami furii

Georgia szlochała. - Tu nie chodziło o seks, tylko o nowy seks. Gdybyś chciał się ze mną kochać, próbowałbyś, ale ty chciałeś czegoś świeżego, zamarzyło ci się młode, gorące ciało.

- Każde słowo akcentowała szturchnięciem w ramię.

Dale założył kurtkę i zaczął iść do drzwi. - Ta rozmowa zmierza donikąd. Mieliśmy pogadać o dzieciach.

- Tak - Georgia poszła za nim i stanęła tuż za jego plecami. - O dzieciach, które porzuciłeś, bo ci brakowało NAMIĘTNOŚCI.

Obrócił się i ścisnął ją za ramiona.

- PRZYKRO MI TO MÓWIĆ, ALE KOCHAM MELEĘ I MUSISZ SIĘ PRYZWYCZAIĆ DO MYŚLI, ŻE BĘDZIE OBECNA W MOIM ŻYCIU JESZCZE BARDZO, BARDZO DŁUGO.

Praktycznie ją podniósł i przestawił na bok, po czym ruszył do drzwi. Georgia kompletnie straciła rozum.

- NIECH SIĘ NIE WAŻY ZBLIŻAĆ DO MOICH DZIECI, SŁYSZYSZ?!

Wyszła za nim na korytarz. Dale od razu wbiegł na schody, nawet nie chciał czekać na windę.

- CO, NIE ZAMIERZASZ TU WRÓCIĆ Z BATERIAMI DO TEGO CHOLERNEGO WYKRYWACZA? - zawołała.

Zatrzymał się na parterze i spojrzał na Georgię, która patrzyła na niego z wściekłością z wysokości trzech pięter.

- Sama je kup. - I wyszedł, trzaskając drzwiami.

Tymczasem w Rzymie

Mimo że Thomas miał na głowie własne interesy, pomyślał o mnie i poumawiał z kilkoma koleżankami, żebyśmy mogły sobie pogadać o miłości, mężczyznach i związkach. Bądź co bądź przyjechałam tam głównie w celach zawodowych.

Już na samym początku dowiedziałam się o tych Włoszkach kilku ważnych rzeczy. Przede wszystkim żadna nie spała z Thomasem. Może to nie jest epokowe odkrycie kulturowe czy antropologiczne, lecz sprawa wydała mi się interesująca. Nie pytałam ich wprost, ale kobietę wystarczy zagadnąć, skąd zna danego faceta i zwykle wszystko jest wypisane na twarzy.

Drugą rzeczą, która mnie zaskoczyła, była ich nieśmiałość. W ojczyźnie Sophii Loren i... właściwie nie umiem skojarzyć żadnej współczesnej włoskiej aktorki, co w zasadzie potwierdza mój argument... ze zdziwieniem

przyjęłam ich powściągliwość w opowiadaniu o swoich uczuciach. Oczywiście nie można uogólniać na podstawie kilku przypadków, ale i tak było to zastanawiające. Wkrótce zaczęłam dostrzegać jeszcze jeden trend.

W rozmowach o swoich związkach Włoszki raz po raz wspominały o biciu partnerów po twarzy. Na przykład: „Tak się wściekłam, że musiałam go trzepnąć w twarz”. Albo: „Dałam mu w pysk i wyszłam. Wkurzył mnie”. Wygląda na to, że te nieśmiałe kobiety nie są już tak powściągliwe, gdy chodzi o drobną przemoc fizyczną. Oczywiście rozmawiałam tylko z kilkoma Włoszkami i zwykle nie lubię generalizować, ale czym byłyby opowieści z podróży dookoła świata bez uogólnień? Mimo to nie chciałabym utrzymywać stereotypów, ale uznałam rzecz za wartą odnotowania.

Trzeciego dnia poznałam Cecily. Miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, ważyła jakieś trzydzieści pięć kilogramów i bardzo cicho mówiła. A jednak tym delikatnym prawie szeptem wtrąciła od niechcienia, że jej ostatni chłopak tak ją kiedyś wkurzył na imprezie, że go spoliczkowała i wróciła do domu.

- Na miejscu, tak przy wszystkich?

- Tak. Byłam wściekła. Cały wieczór gadał z jedną laską i tak się nachylał, że wyglądało, jakby zaraz miał ją pocałować. To było upokarzające.

- Jesteś chyba czwartą kobietą, która mi się przyznała, że uderzyła w twarz swojego faceta.

- Bo oni nas do szału doprowadzają - wtrąciła jej koleżanka Lena. - W ogóle nie słuchają, co się do nich mówi.

Siedziałyśmy w zatłoczonej kawiarni niedaleko fontanny di Trevi. Jadłam croissanta z czekoladowym nadzieniem, obficie posypanego cukrem pudrem.

Cecily próbowała mi to wytłumaczyć.

- Julie, nie jestem z tego dumna. Wiem, że to niestosowne, ale tak się zdenerwowałam, że nie wiedziałam, co robić.

- Wiem, rozumiem - skłamałam. Prawdę mówiąc, mnie coś takiego nawet nie przeszłoby przez myśl. Tak, bo zawsze mi wpajano, że bicie jest złe i człowiek musi się nauczyć panować nad agresywnymi odruchami. Poza tym nie starczyłoby mi tupetu (i wcale tego nie żałuję, naprawdę). W tej chwili nie potrafię nawet poprosić faceta o wysmarowanie mi pleców balsamem, bo się boję, że wyjdę na bezczelną.

Dlatego nie mieści mi się w głowie, że mogłabym tak po prostu walnąć kogoś po pysku.

- Trudno nam się powstrzymać - dodała Lena. - Nerwy puszczaają i musimy odreagować.

Cecily zauważyła moją minę.

- W Stanach kobiety tego nie robią?

Nie chciałam, aby pomyślały, że czuję się od nich lepsza, ale też nie chciałam kłamać.

- Hm... Pewnie niektóre tak, ale raczej nie jest to tak powszechne jak tutaj.

- A ty uderzyłaś kogoś kiedyś? - spytała Lena. Pokręciłam głową, podniosłam do ust kalorycznego croissanta i odparłam, że nie. Przyjęły tę odpowiedź w milczeniu.

Po chwili Cecily zapytała:

- Julie, ale chyba kiedyś wkurzyłaś się na mężczyznę tak, że miałaś ochotę mu przyłożyć?

Wbiłam wzrok w filiżankę z cappuccino.

- Nie.

Spojrzały na mnie ze współczuciem. Ja na nie z zazdrością.

- W takim razie nigdy nie byłaś zakochana - stwierdziła Lena.

- Widocznie nie.

Patrzyły na mnie, jakbym właśnie ujawniła swój największy skrywany dramat.

- To straszne. Musisz tu koniecznie kogoś poznać i się zakochać - powiedziała całkiem poważnie Cecily.

- Tak, najlepiej jeszcze dzisiaj - dodała Lena. - Za dużo czasu już straciłaś. Polecimy ci kilka miejsc.

- To takie proste? Wychodzisz z domu i postanawiasz się zakochać?

Lena i Cecily tylko spojrzały po sobie i wzruszyły ramionami.

- W Rzymie tak - uśmiechnęła się Cecily. Lena dodała:

- Przynajmniej spróbuj się otworzyć. Na to, żeby się zatracić w miłości.

- Zatracić się? Zawsze myślałam, że to błąd. Lena potrząsnęła głową.

- Nie. Wy, Amerykanki, tu się właśnie mylicie. Za bardzo staracie się być niezależne. Musisz być gotowa zapomnieć się bez reszty, zaryzykować wszystko. Inaczej to nie jest prawdziwa miłość.

Wreszcie coś, czego mogłam się od nich nauczyć.

Kiedy później szłam z Thomasem na kolację, wciąż dręczyło mnie to, co mi powiedziały. Te kobiety - te nieśmiałe, namiętne, zazdrosne, pełne temperamentu kobiety sprawiły, że poczułam się w środku taka... jałowa, uczuciowo ograniczona. Co robić, żeby zacząć wierzyć w miłość? Jak wyłączyć umysł, zapomnieć o wszystkim, co się słyszało i widziało przez ostatnie dwadzieścia lat? Jak nagle uwierzyć, że te wielkie wzniosłe uczucia to nie tylko mieszanina hormonów i złudzeń? Że romantyczna miłość to coś rzeczywistego i konkretnego i ja też mam do niej prawo? Wchodząc do małej restauracji na placu Świętego Piotra przestraszyłam się, że zaczynam myśleć kategoriami tanich poradników psychologicznych. Thomas już tam był, stał przy barze z lampką wina w ręku.

Te ostatnie kilka dni spędzone z nim były tak proste, a jednocześnie tak niezwykle. Niewinne, niczym niezmałcone szczęście. Były kolacje i drinki z jego znajomymi, bardzo często spotykaliśmy się z Lorenzem, którego dziewczyna uparcie nie odpowiadała na telefony, a on sam twierdził, że niedługo chyba wyląduje w szpitalu. Były spacerunki i rozmowy, zażarte dyskusje i mnóstwo śmiechu. Były przejażdżki na motorze i prosecco wypijane późną nocą. Zabawne, jak

szybko można poczuć, jakby się było parą. To kwestia dosłownie kilku dni, kiedy zamiast „ja” zaczynasz myśleć „my”.

I przez ten cały czas ani razu się do mnie nie przystawiał. Ani razu. Od czterech dni co wieczór całował mnie na dobranoc w policzek i szedł spać. Nie to, żebym tego od niego oczekiwała. To znaczy... I tak bym się przecież nie zgodziła, ale... Mniejsza z tym.

Usiadłam i od razu zapytałam:

- Byłeś kiedyś z Włoszką? I czy kiedykolwiek dostałeś od niej w twarz?

Roześmiał się.

- To właśnie w tobie kocham, Julie. Ty też nie bawisz się we wstępy. Tę cechę mamy wspólną.

Usłyszałam tylko, że coś we mnie kocha.

- Miałem kilka dziewczyn Włoszek, ale żadna mnie nie biła. One chyba wiedzą, że jako Francuz mógłbym im oddać.

- Zdaje się, że Włosi traktują to jako rzecz naturalną.

- No, nie wiem, nie sędzę, żeby im się to podobało. Ale rzeczywiście, często o tym słyszę.

Pokręciłam głową.

- Niesamowite. - Pierwszy kieliszek wina zaczął mi już uderzać do głowy.

Odezwał się telefon Thomasa. Odebrał. Patrzyłam, jak stopniowo twarz mu tężeje.

- Przede wszystkim się uspokój. Nie zrobisz tego. Przestań. Już jadę. Tak.

Myślałam, że to może jego żona pyta, kiedy łaskawie zamierza wrócić do Paryża. Thomas wyłączył telefon.

- To Lorenzo. Grozi, że skoczy z balkonu. Chwyciłam płaszcz, torebkę i wyszliśmy.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, Lorenzo był cały roztrzęsiony. Płakał i wyglądał, jakby nie spał całą noc. Na podłodze wałały się rozbite naczynia.

- Thomas, zadzwoniła do mnie dzisiaj. Nie jest na mnie zła, nie ma nikogo, po prostu nie chce już ze mną być. Powiedziała, żebym przestał do niej dzwonić! To koniec! Już naprawdę koniec!

Złapał się za włosy, klapnął na fotel i zaszlochał. Thomas przycupnął na oparciu i poklepał go po ramieniu. Nagle Lorenzo wstał, zerwał z siebie koszulę strzelając guzikami i cisnął ją na podłogę. Został w samym podkoszulku.

- Zabiję się. Niech zobaczy.

Dlaczego chciał to zrobić w samej bieliźnie, nie wiem, ale na pewno udało mu się zwrócić naszą uwagę. Podbiegł do drzwi balkonowych i otworzył je. Thomas rzucił się za nim, chwycił go za ramię i pociągnął do tyłu. Lorenzo się uwolnił i znowu podbiegł do okna. Thomas i tym razem go złapał. Obaj przewrócili się na ziemię, Lorenzo próbował się przeczołgać, lecz Thomas trzymał go za nogę. Drugą Lorenzo usiłował go kopać po głowie i ramionach.

- Basta, Lorenzo!

- Zostaw mnie!

- Co mam robić? Dzwonić po pomoc? - wtrąciłam się.

Thomas zdołał przygnieść Lorenza swoim ciałem. Wyglądało to komicznie. Lorenzo leżał na wznak i rzucał się, próbując się wyswobodzić, a Thomas siedział na nim okrakiem i głośno go opieprzał:

- Lorenzo, wystarczy. Nie zejdem, dopóki się nie uspokoisz, słyszysz? Ja nie żartuję. Uspokój się.

Po kilku minutach oddech Lorenza zwolnił.

- Chce któryś wody? Przyniosę - zaproponowałam, nie mając nic lepszego do powiedzenia. Obaj niespodziewanie pokiwali głowami. Pobiegnęłam do kuchni i nalałam do szklanek kranówki. Wypili ją, nie ruszając się z podłogi.

Lorenzo próbował, lub tylko udawał, że próbuje, rzucić się z okna z powodu kobiety. Czy można to nazwać szaleństwem? Przecież z miłości wszczynano wojny, narażano na niebezpieczeństwo całe imperia. Pod jej wpływem powstają piosenki i wiersze. Z historycznego punktu widzenia wygląda na to, że to uczucie bardzo realne. Kiedy patrzyłam na Thomasa siedzącego okrakiem na przyjacielu, przybywającego mu na ratunek, wydał mi się po prostu ideałem. Trudno mi było w tym momencie nie przypisywać mu wszystkich moich nadziei, pragnień i oczekiwań. To męczyzna szalenie interesujący, z klasą, który bez mrugnięcia okiem potrafi przybyć na ratunek zrozpaczonemu koledze, ale gdy trzeba, umie go też przygwoździć do ziemnym zawodowy zapaśnik. To dobry przyjaciel i stuprocentowy facet.

Ciekawe, że kiedy to się dzieje, faktycznie doznajemy wręcz fizycznego uczucia spadania. Ja pragnęłam przeżywać każdą jego sekundę, zatracić się w nim bez reszty. Czemu nie? Zanim się zorientowałam, co robię, podbiegłam do Thomasa, uklękłam, objęłam go i pocałowałam prosto w usta. Lorenzo uniósł głowę i zaklaskał.

- Brava Americana. Wreszcie zaczynasz coś rozumieć. Błyskawicznie podniosłam się z kolan. Thomas spojrzał na mnie rozpromieniony, niemal dumny.

- Ja tylko chciałam, no wiesz, rozładować napięcie - rzekłam, wycofując się.

- Nie usprawiedliwiaj się! Wszystko zepsujesz - powiedział Lorenzo. - To było bellissimo. Si.

Może to i było bellissimo, ale teraz czułam wstyd. Czy Lorenzo zna żonę Thomasa? Ile razy widział, jak kobiety się na niego rzucały? Czy Thomas w ogóle chciał, żebym go pocałowała?

Nie mam szans zatracić się w miłości, skoro takie myśli mną sterują. Poszłam do kuchni i też nalałam sobie wody.

Kątem oka zauważyłam, że Thomas patrzy na Lorenza i ostrym tonem mówi coś do niego po włosku. Odpowiedź Lorenza najwyraźniej go uspokoiła. Powoli wstał. Potem podniósł się także Lorenzo i usiadł na kanapie.

Na wszelki wypadek Thomas podał przyjacielowi tabletkę magicznego lexiomilu i mniej więcej po dwudziestu minutach Lorenzo zasnął.

Wróciliśmy do hotelu, całą drogę milcząc. W końcu Thomas przerwał ciszę.

- Słuchaj, Julie. Smutno mi o tym mówić, ale będę musiał wracać do Paryża. Lorenzowi nic nie będzie, pozbiera się, a wszystko, co miałem w Rzymie do załatwienia, załatwiłem.

A więc to jest odpowiedź na moją spontaniczną manifestację. Thomas musi wyjechać z miasta. Dobrze mi tak. Jak mogłam się tak upokorzyć? Zrobiłam z siebie idiotkę. Wiedziałam, że nie powinnam iść na żywioł, to nie dla mnie.

- Ach tak, no jasne, rozumiem. Cóż, dzięki! Dzięki za wszystko.

Miałam nadzieję, że mój głos zabrzmiał beztrosko, wzorem Francuzek starałam się zachować dumę. Oczywiście, to musiało się kiedyś skończyć. Nie ma sensu się nad tym rozczulać. Znowu mijaliśmy Koloseum. Ten Rzym jest niesamowity. Idziesz sobie, rozmawiasz, coś cię tam gryzie, a tu nagle obracasz głowę i - o, kurczę, to powstało dwa tysiące lat temu.

- Jak długo zamierzasz tu zostać? - spytał Thomas. - Jeszcze nie wiem. Najpierw muszę wymyślić, dokąd pojedę potem. - Naprawdę powinnam była przygotować jakiś plan.

Przystanęliśmy i długo gapiliśmy się na rozświetlone mury starożytnego Koloseum.

Thomas spojrział na mnie.

- No i co, panienko z Nowego Jorku? Powiedz, co teraz chodzi po tej twojej zapracowanej głowce?

- Nic.

- Czyżby? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Trochę głupio się czuję, to wszystko. Pocałowałam cię, bo uznałam, że powinnam być trochę bardziej spontaniczna, jak mi wszyscy radzili. Ale wyszło bez sensu. Przede wszystkim jesteś żonaty, no i taki przystojny i czarujący, musiałeś... Nie chcę wyjść na głupiutką...

- Ale powiedz, co czułaś przez ten ostatni tydzień? Chciałbym wiedzieć.

Zastanowiłam się chwilę. Nie miałam ochoty wyznawać prawdy. Cudownie się bawiłam i mam wrażenie, że się w nim zakochałam. Nawet nie wiem dobrze, co to znaczy, ale tak właśnie czułam.

- Nie myśl nad tym, po prostu odpowiedz.

Nie powinno się kłamać, stojąc przed jednym z cudów świata. Nawet ja to czułam. Powiedziałam więc prawdę. Cóż miałam do stracenia?

- Czułam się fantastycznie. To było jak... cud. Godziny mijały jak sekundy i ani na chwilę nie chciałam się z tobą rozstać. Wszystko, co mówiłeś, wydawało mi się takie

ciekawe i zabawne. No i uwielbiałam na ciebie patrzeć, przyglądać się twojej twarzy. Lubiłam być blisko ciebie. Siedzieć obok, stać obok. A potem, kiedy cię zobaczyłam, jak się mocujesz z Lorenzem, coś się ze mną stało.

Thomas zbliżył się do mnie.

- A uwierzysz, że ja czułem dokładnie to samo?

- No, ale ja się nie mocowałam z Lorenzem, więc.

Thomas uniósł brwi.

- Wiesz, o czym mówię.

Spojrzałam mu w oczy i chciałam powiedzieć: „Nie, nie wiem. A to dlatego, że mnie takie rzeczy się nie przytrafiają. I nie uważam, żebym była tak wspaniała, aby wiedzieć, cóż takiego fascynującego we mnie zobaczyłeś, więc nie, nigdy w to nie uwierzę”. Ale zaraz sobie przypomniałam wspólnie spędzone godziny, posiłki, które razem jedliśmy, i przemyślenia, którymi się dzieliliśmy. Mam wrażenie, że to było prawdziwe. I obustronne. Pomyślałam o tych Włoszkach, które kazały mi się zatracić w miłości. Ludzie chyba rzeczywiście poznają się i zakochują bez udziału świadomości. To się dzieje i już, a wtedy można polegać tylko na swoich instynktach, bo rozum na nic się nie zdaje. Trzeba po prostu zaufać uczuciu i chwili.

- Trudno mi będzie, ale chyba mogę spróbować - odparłam w końcu. Wtedy Thomas mnie przytulił i pocałował. Staliśmy przed majestatycznymi ruinami starożytnego Koloseum i całowaliśmy się jak dwoje nastolatków. Jak dwoje ludzi, którzy wierzą w cud miłości.

Następnego ranka obudziłam się w jego łóżku. Spojrzałam obok i zobaczyłam, że smacznie śpi. Wszystko sobie przypominałam: jak wróciliśmy do hotelu, jak trafiliśmy do jego pokoju, jak dałam się ponieść sytuacji. Przeanalizowałam swoje myśli: Co czułam? Wyrzuty sumienia? Tak, zdecydowanie. Choćby nawet im obojgu to nie przeszkadzało, Thomas jednak był czyimś mężem. Czułam się więc winna, ale czy tego żałowałam? Nie. Z kolei z tego powodu zaczęłam mieć wyrzuty sumienia. Co jeszcze? Szczęście? Tak, byłam szczęśliwa. Pozwoliłam sobie cieszyć się chwilą. Zerknęłam na Thomasa. Wiem, że coś do niego poczułam, być może to było zakochanie. W każdym razie coś bardzo prawdziwego. No i nikogo nie skrzywdziłam. Uznałam, że to na razie wystarczy. Byłam gotowa opuścić Rzym. Dowiedziałam się wszystkiego, czego miałam się tutaj dowiedzieć.

ZASADA 5

ZASTANÓW SIĘ, JAK MA WYGLĄDAĆ TWOJE ŻYCIE SEKSUALNE - KIEDY, JAK I Z KIM CHCESZ TO ROBIĆ (TYLKO PAMIĘTAJ, ŻEBY W OGÓLE TO ROBIĆ OD CZASU DO CZASU, TAKIE JEST MOJE ZDANIE)

Wtedy nam się wydawało, że to dobry pomysł. Georgia i ja byłyśmy w Rio de Janeiro i przymierzałyśmy w sklepie bardzo drogie kostiumy kąpielowe.

Georgia wyszła z przymierzalni w pomarańczowym bikini z białymi lamówkami i ozdobnymi metalowymi kółeczkami na biodrach i z przodu biustonosza. Bardzo w stylu lat sześćdziesiątych. Wyglądała jak dziewczyna Bonda. Prawie zapomniałam, jaką ma świetną figurę. Ona chyba też, bo wyszła zachwycona.

- No, zobacz, zobacz, jak ja seksownie wyglądam. Że co, niby tylko ona ma niezłe ciało? Phi... - Obróciła się, spojrzała w lustrze na swój jędrny tyłek i oznajmiła sprzedawczyni:

- Biorę go.

Po chwili z pakunkiem w ręce, lekko się trzęsąc, powiedziała do mnie:

- Teraz twoja kolej.

Chyba już wspominałam, że nienawidzę swojego ciała. Akurat w chwili, gdy zdołałam sobie wmówić, że problem tkwi w mojej głowie, spojrzałam w lustro i przekonałam się, że nie. Problemem jest pupa. Hektary cellulitu. Stojąc w tym sklepie, ściskając w dłoni skąpe bikini, poczułam się tak sparaliżowana własnym cellulitem, że powinni mi podsunąć wózek inwalidzki.

Georgia przybyła tu z misją. Zadzwoiła do mnie do Rzymu opowiedzieć o awanturze z Dale'em. Była załamana i stwierdziła, że chętnie by gdzieś od tego wszystkiego uciekła. Nic w tym dziwnego, ale kiedy zaproponowała, żebyśmy odwiedziły ojczyznę Tej Drugiej, miałam mieszane uczucia. Odniosłam wrażenie, że w ten sposób to raczej nie uda jej się uciec, no ale się zgodziłam. Jej rodzice aż się palili do tego, by się zaopiekować dziećmi, więc oni przylecieli, a ona odleciała.

Wykorzystując swój otwarty bilet, poleciałam do Miami, tam spotkałam się z Georgią i razem wyruszyłyśmy do Brazylii. Nie miałam napadów lęku w samolocie. Dużo słyszałam o Rio, że takie zmysłowe, rozrywkowe i niebezpieczne, więc bardzo się cieszyłam, że zobaczę to wszystko na własne oczy.

Cel Georgii był inny - jechała coś udowodnić. To było jasne od razu, gdy się spotkałyśmy w Miami i zjadłyśmy na spółkę porcję smażonych faszerowanych pieczarek w jednej z tych eleganckich lotniskowych restauracji.

- Co ona takiego w sobie ma? Ach, jest Brazylijką. Ach, jakie to egzotyczne. Wiesz co? A ja jestem Amerykanką. Amerykanka też może być sexy - powiedziała, pakując do ust wielką pieczarkę ociekającą serem. - Kurde, ale to dobre.

Dlatego teraz wyginała się przed sklepowym lustrem prawie goła, próbując coś tam sobie udowodnić.

Po pierwsze, pozwólcie, że powiem, co sądzę o dwuczęściowych kostiumach kąpielowych: to jest bielizna. Może przestańmy wreszcie udawać, że nie. Nie wiadomo czemu połączenie piasku, wody i słońca upoważnia nas do pokazywania się publicznie w bieliźnie. Wręcz zmusza się nas do tego. Mamy się pokazywać znajomym, członkom rodziny, a czasem nawet kolegom z pracy tak, jak nie ośmielilibyśmy się pokazać w każdej innej sytuacji. Gdyby Georgia w tym samym sklepie paradowała w biustonoszu i majtkach, zwróciłabym jej uwagę: „Hej, Georgia, załóż coś na siebie. Jesteś w samej bieliźnie, to trochę dziwne”. Ponieważ jednak

tę bieliznę uszyto z pomarańczowego nylonu, wszystko jest w porządku.

Ja nie mam ochoty pokazywać się publicznie w bieliźnie.

Mój dyżurny strój na plażę to koszulka na ramiączkach i męskie szorty kąpielowe. Co trzeba, jest zakryte, nawet gdy zechcę popływać. Jedyne kłopot w tym, że mogę stosować ten trick jeszcze najwyżej dwa lata, zanim zacznę słyszeć za plecami, jak jakaś gówniara mówi: „Co to za stara dziwaczka ubrana jak chłopak?”.

Georgia się przebierała, a ja jej w tym czasie wyłuszczałam moją filozofię dotyczącą ubioru plażowego. W pewnym momencie mi przerwała.

- Dostyc tego. Jesteśmy w Rio i na plażę założysz bikini. No, przymierzaj.

Powiedziała to tonem „jestem twoją matką, masz mnie słuchać”, więc nie miałam wyboru. Schowana za zasłonką słyszałam, jak rozmawia z ekspedientką, starając się dodać mi odwagi.

- Mieszkanki Rio lubią swoje ciała, prawda? Są z nich dumne i lubią je eksponować?

- O, tak - odparła tamta. - U nas panuje kult ciała. Przyjrzałam się sobie w lustrze. Nie przypuszczam, żebym w

najbliższym czasie powiesiła sobie ten widok na ścianie i modliła się do niego. Zrobiło mi się strasznie smutno. Za młoda jestem, żeby nienawidzić własnego ciała. Lada dzień się zestarzeję i w ogóle nie będę mogła na nie patrzeć. Na razie, no cóż, jest nie najgorsze. Właściwie czemu nie miałabym się nim zachwycać? Jest moje, funkcjonuje jak trzeba, więc powinnam je zaakceptować takim, jakie jest. Jest tylu ludzi chorych, kalek, którzy oddaliby wszystko, żeby mieć silne, zdrowe ciało, a ostatnią rzeczą, jaką się przejmują, jest pieprzony cellulit. Nienawidząc mego ciała, okazują arogancję wobec własnego zdrowia, sprawności i młodości.

I wtedy się odwróciłam. Na tyłku i udach zobaczyłam tyle cellulitu, że myślałam, że się porzygam.

- Cholera! - zakląłam. - Tu jest tak samo beznadziejne światło jak w Stanach. O co chodzi z tym górnym oświetleniem? Chcą, żebyśmy się pochlastały, zamiast coś kupić? Nie rozumiem tego!

- Julie, wychodź. Przesadzasz.

- Nie ma mowy. Zakładam z powrotem moje ciuchy. - Julie, do cholery, wyłaź stamtąd. Natychmiast. - Znów tenton. I znów poskutkował. Wyszłam i pokazałam się Georgii.

- Głupia jesteś. Wyglądasz rewelacyjnie. Niezły brzusek.
Bomba.

- Ooo, bardzo ładnie, proszę pani. Bardzo ładnie -
zawtórowała ekspedientka.

- Czyżby? - Potrzeba udowodnienia swoich racji
przesłoniła resztki próżności, jakie we mnie pozostały.
Odwróciłam się i pokazałam im się z tyłu. - A co powiecie na
to?

My, kobiety, mamy niestety pewną wadę: strasznie łatwo
poznać, kiedy kłamiemy. Nie chodzi o sprawy poważne; jeśli
jesteśmy przygotowane, potrafimy to robić po mistrzowsku.
Ale przy takich drobiazgach? Można w nas czytać jak w
książce. Głos Georgii od razu podniósł się o dwie oktawy.

- Daj spokój, o co ci chodzi?

- Oj, chyba dobrze wiesz.

- Zwariowałaś.

- Doprawdy? Chcesz powiedzieć, że nie mam cellulitu od
kolan po uda? To są jedynie halucynacje, na które cierpię od
pięciu lat?

- Wcale nie jest tak źle.

- Widzisz!? Najpierw było „wyglądasz rewelacyjnie”, a
teraz „wcale nie jest tak źle”.

Zauważyłam, że ekspedientka jakoś umilkła.

- A pani jak uważa? Wyglądam okropnie, prawda?

Chwilę nie odpowiadała. Teraz wydaje mi się, że była rozdarta między rolą sprzedawcy a poczuciem obywatelskiego obowiązku. Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- W sumie nie musi pani chodzić na plażę. W Rio jest wiele innych atrakcji.

Georgię aż zatkało z oburzenia. Mnie odebrało mowę. Stałam z otwartą buzią i wybałuszonymi oczami. W końcu wykrztusiłam:

- Co...?

Georgia od razu zaatakowała.

- Jak pani mogła?! Przecież sama pani mówiła, że kobiety w Rio kochają swoje ciała i chętnie je eksponują.

Ekspedientka nie straciła rezonu.

- Tak, ale one wszystkie ćwiczą, stosują diety, robią liposukcję.

- Więc swoje ciało można kochać tylko wtedy, gdy się odessie tłuszcz?! - krzyknęła Georgia.

Zobaczyłam gwiazdki przed oczami. Zdołałam tylko wybełkotać:

- Czyli nie powinnam się pokazywać na plaży z powodu cellulitu?

- Chyba że założy pani sarong.

- Próbuje mi pani powiedzieć, że nie wypada mi się rozbierać przy ludziach?

Młoda, chuda i z pewnością gładka jak pupcia niemowlaka ekspedientka wzruszyła ramionami.

- To tylko moje zdanie.

- Boże, chyba zaraz zemdleję - powiedziałam całkiem poważnie.

Georgia była wściekła.

- Jak można komuś powiedzieć coś tak okropnego? Nie wstyd pani? Pani SPRZEDAJE BIKINI, na litość boską. Gdzie jest jakiś kierownik tego sklepu? Chcę z nim porozmawiać.

- Słucham - odparła cicho. - To mój sklep.

Georgia zacisnęła pięści, a mnie ze wstydu kręciło się w głowie.

- Ach, tak. W takim razie wychodzimy. Nie kupimy tutaj niczego. Nie damy pani zarobić. - Wepchnęła mnie z powrotem do przymierzalni.

- Zakładaj ciuchy, Julie. Idziemy.

Szybko się ubrałam i wyszliśmy ze sklepu. Na ulicy Georgia, wciąż kipiąc ze złości, odwróciła się i weszła z powrotem do środka.

- Zmieniłam zdanie. Pani nam nie będzie mówić, kto może, a kto nie może nosić bikini. Co to, pracuje pani w jakimś Wydziale Antycellulitowym? Mam to gdzieś. Właśnie, że kupię ten strój, który mierzyła koleżanka. Zapewniam panią, że ona pokaże się w nim na plaży i będzie wyglądała super.

Próbowałam protestować, bo Rio prędzej zamarznie, nim założę na siebie bikini. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek odważę się pokazać komuś nago.

Ekspedientka znów wzruszyła ramionami.

- Proszę bardzo. Georgia rzuciła mi spojrzenie pod tytułem: „Pokażemy jej”.

- Nie martw się, to mój prezent dla ciebie - powiedziała, po czym, gdy ekspedientka zaczęła pakować mój kostium, nachyliła się do niej i dodała nieco bardziej nieśmiało: - Przy okazji, mogłaby pani zapakować też ten pomarańczowy?

Czterysta osiemdziesiąt pięć dolarów później - w tym dwieście czterdzieści dwa dolary i pięćdziesiąt centów za coś,

co nigdy nie ujrzy światła dziennego ani nocnego, tudzież piasku czy wody - wymaszerowałyśmy ze sklepu.

No, to jej pokazałyśmy.

I tak znalazłyśmy się na plaży dokładnie naprzeciwko naszego hotelu w Ipanemie. Georgia miała na sobie swoje bikini w stylu dziewczyny Bonda, a ja męskie szorty plażowe, górę od stroju, spodnie narciarskie i skafander. Żartuję. Jeszcze się nie otrząsnęłam po porannych przeżyciach. Leżałyśmy w milczeniu, z boku dobiegały nas głosy roześmianych kobiet rozmawiających po portugalsku. Z zamkniętymi oczami poznałam, że są trzy. Jeden głos szczególnie zwrócił moją uwagę: był niski, głęboki. Drugi był delikatny i łagodny, bardzo kobiecy, a trzeci raczej dziewczęcy. Właścicielka niskiego głosu o czymś opowiadała, a dwie pozostałe śmiały się i czasem coś wtrącały. Otworzyłam oczy, obróciłam się na bok i przyjrzałam się im. Opowiadająca okazała się piękną, wysoką kobietą o skórze barwy onyksu. Wyglądała rewelacyjnie. Jej koleżanki również. Jedna miała rude kręcone włosy do ramion, a druga była krótko obciętą kruczoczną brunetką. Na oko były przed trzydziestką i wszystkie opalały się w skąpych bikini. Georgia usiadła na ręczniku i zauważyła, że im się przyglądam.

- Ciekawe, czy też kradną cudzych mężów.

- Georgia...

- Może idź, pogadaj z nimi. Powiedz, że piszesz książkę. I zapytaj, czy kradną mężów.

- Przestań.

Kobiety wyczuły, że są obserwowane. Ta najwyższa spojrzała na nas nieco podejrzliwie. Postanowiłam się nie krępować. Podeszłam i przedstawiłam się.

- Cześć, jesteśmy z Nowego Jorku. Usłyszałyśmy, jak rozmawiacie po portugalsku. To bardzo ładny język.

- Ach, Nowy Jork. Kocham to miasto - powiedziała brunetka.

- Jest wspaniałe - przyznałam.

- Tak, często jeżdżę tam do pracy. Jest fantastyczne - dodała wysoka.

- Przyjechałyście na wakacje? - spytała ruda.

- Coś w tym rodzaju. Georgia jako dobra przyjaciółka chciała mnie wspomóc:

- Właściwie Julie przyjechała tu przeprowadzić wywiady z samotnymi kobietami. Wy wszystkie wydajecie się nam takie zmysłowe i wyzwolone. Chcemy poznać wasz sekret. -

Powiedziała to z uśmiechem. Nie sędzę, żeby tamte dosłyszały sarkazm w jej głosie, lecz ja wiedziałam, że aż nim ociekał.

Uśmiechnęły się.

- To nie my, to Rio - powiedziała ruda. - To bardzo zmysłowe miasto.

Koleżanki przytaknęły.

- Tak, wszystkiemu winne Rio - odparła Georgia, a pod nosem dodała: - Albo po prostu wszystkie jesteście dziwkami.

- Georgia! - syknęłam.

- Właśnie o tym wczoraj rozmawialiśmy - powiedziała wysoka. - Byłam w klubie, podszedł do mnie jakiś facet i mówi: „Ach, jaka jesteś piękna, muszę cię natychmiast pocałować!”. I pocałował!

- To nic niezwykłego. Często się zdarza w Rio - dorzuciła ruda.

- Tak? - zdziwiłam się.

- Owszem - powiedziała brunetka.

- Coś podobnego. - Georgia też się zaciekawiła.

- Najlepsze - kontynuowała wysoka - że postanowiłam to wypróbować na innym facecie, Marco, który bardzo mi się podobał. Podeszłam i powiedziałam, że jest sexy i muszę go

natychmiast pocałować. A on mnie chwycił w ramiona i całował przez dziesięć minut!

Koleżanki parsknęły śmiechem.

- A potem miała fica - zachichotała brunetka. Wysoka powiedziała coś do niej po portugalsku. Chyba miała pretensje.

- Daj spokój, one są z Nowego Jorku.

- Co to znaczy fica? - zapytałam.

Wysoka wykrzywiła usta w półśmiechu i wzruszyła ramionami.

- Przygoda na jedną noc.

- Aha. I co, fajnie było?

- Pewnie. On jest z Buenos Aires. Bardzo namiętny.

- Buenos Aires. Tam są najlepsi faceci. Nigdy się nie umawiamy z miejscowymi - stwierdziła ruda.

- Nigdy - potwierdziła wysoka.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Bo nie potrafią się zaangażować.

- Zdradzają na prawo i lewo.

- No, no! - obruszyła się ze śmiechem brunetka.

- Narzeczony Anny jest z Rio i ona nie lubi słuchać takich rzeczy!

- Nie wszyscy chłopcy z Rio zdradzają! - zaprotestowała brunetka, najwyraźniej właśnie Anna.

- Gratuluję! - powiedziałam. - Tak w ogóle, jestem Julie, a to moja przyjaciółka Georgia.

- O, jak ten stan!

- Tak - rzuciła sucho Georgia. - Jak ten stan.

- Ja mam na imię Flavia - przedstawiła się wysoka - a to są Caroline - wskazała na rudą - i Anna.

Georgia z miejsca ją osaczyła:

- Anno, powiedz mi, a nie boisz się, że jakaś inna kobieta będzie ci próbowała ukraść męża?

- Georgia! - ofuknęłam ją. - Przepraszam za moją przyjaciółkę, czasem zapomina o manierach.

- Jestem z Nowego Jorku - odparowała Georgia. - My nie owijamy w bawełnę.

- Nie, kobiety nie kradną mężów - zażartowała Flavia. - Faceci wolą tkwić w małżeństwie i mieć kochanki na boku.

- Poza tym to nie inne kobiety stanowią problem, bardziej nas martwią prostytutki - dodała Caroline.

- Prostitutki?

- Tak. Tutejsi mężczyźni je uwielbiają. Chadzają z kolegami do agencji, dla zabawy.

- To jest problem. Tego się boję - powiedziała Anna.

- Boisz się, że twój mąż będzie korzystał z usług prostytutek? - spytała Georgia.

- Tak. To dość powszechne. Może na razie nie, bo jest we mnie zakochany, ale później. Boję się.

- No i co z tego, że się pieprzy z prostytutką? - odezwała się Flavia. - Co z tego, że wkłada fiuta innej babie? Zwłaszcza takiej, której zapłacił. Faceci są tak skonstruowani i już. Nie zmienisz ich.

To właśnie kocham w kobietach: nie mamy problemu z nazywaniem rzeczy po imieniu.

- To co? Mnie się to nie podoba - powiedziała Anna. - Anno, nie przesadzaj - wtrąciła się Caroline. - On się z tobą żeni. Będzie ojcem twoich dzieci. Zaopiekuje się tobą w chorobie, a ty nim. To co, że raz na jakiś czas przeleci jakąś prostytutkę?

- Jeśli mnie zdradzi, pewnie że od niego nie odejdę. Po prostu mi się to nie podoba.

Wymieniłyśmy z Georgią zdziwione spojrzenia.

- Nie odeszłabyś, gdybyś się dowiedziała, że sypia z innymi albo chodzi do prostytutki? - spytała Georgia.

Anna pokręciła głową.

- Raczej nie. To w końcu mąż - zmarszczyła brwi. - Ale nie akceptowałabym tego.

Znów spojrzałyśmy z Georgią na siebie. Flavia się uśmiechnęła.

- To bardzo amerykańskie, ta cała idea wierności. Moim zdaniem, to duża naiwność.

Już to kiedyś słyszałam. Pomyślałam teraz o swoim udziale w niewierności Thomasa. Ogarnęło mnie poczucie winy, a potem smutek. Tęskniłam za nim i choć się przed tym broniłam, pragnęłam, żeby zadzwonił.

Caroline zgodziła się z koleżanką.

- Mężczyźni nie są stworzeni do wierności. Ale to nic; to znaczy, że my też możemy zaszaleć.

Anna spojrzała na nas ze smutkiem.

- Staram się być realistką. Chcę wyjść za mąż i nie musieć się rozwodzić.

Georgia spojrzała po kolei na wszystkie trzy Brazylijki. Nie wiedziałam, czy zaraz rzuci się na nie z pięściami, czy zaprosi na pina coladę. Zdecydowała się pójść w jeszcze inną stronę.

- A istnieją męskie prostytutki dla kobiet? - spytała. Wszystkie trzy pokiwały głowami.

- Oczywiście - powiedziała Flavia. - Nie jest to powszechne, ale istnieją.

- Są specjalne agencje. Georgii oczy się zaświeciły.

- O, przynajmniej jest coś i dla nas. Chociaż w tej kwestii istnieje równouprawnienie.

- Powinnyście pójść z nami dziś wieczorem w jedno miejsce - powiedziała Flavia. - W dzielnicy Lapa. Wybieramy się potańczyć.

- Poznacie Frederica, mojego narzeczonego - dodała Anna. - Fajnie będzie.

- Będziecie tańczyć sambę? - spytałam ucieszona.

- Oczywiście.

- A można się tam całować? - dodała Georgia.

- Och, jak najbardziej - zapewniła Caroline.

- No to idziemy!

Charakterystycznym punktem orientacyjnym, który informuje, że wjeżdżamy do dzielnicy Lapa, jest ogromny betonowy akwedukt. Zbudowali go w 1723 roku niewolnicy. Niegdyś dostarczano nim wodę z Rio Carioca, teraz jest to gigantyczna brama prowadząca do najbardziej hucznych imprez w mieście. Flavia i jej dwie przyjaciółki przyjechały po nas pod hotel minibusem. Mało sztywnie, ale zdaje się, że

to ulubiony środek transportu bogatych amerykańskich turystów, którzy przyjeżdżają do Rio (zwykle towarzyszy im jeszcze paru uzbrojonych goryli). Flavia jednak wypożyczyła ten samochód z firmy, w której pracuje - bardzo znanego studia fotograficznego. Kierowca (jak się później dowiedziałyśmy, brat Anny, Alan), opalony, sympatyczny gość, ciągle się uśmiechał i niewiele miał do powiedzenia. Kiedy wsiadłyśmy, Caroline, Flavia i Anna były już po paru drinkach. Otworzyły przenośną lodówkę i pokazały nam stos puszek Red Bulla i butelkę rumu. Zrobiły nam drinki i ruszyliśmy.

Dwadzieścia minut później przejechaliśmy akwedukt, który prowadzi wprost na główną ulicę Lapy, gdzie działają wszystkie bary, kluby i restauracje. Wszędzie było pełno ludzi, zewsząd dobiegały rytmy samby. Odbywała się jakaś wielka impreza na wolnym powietrzu. Zaparkowałyśmy i przeszłyśmy brukowanymi uliczkami kilka przecznic. Kupiłam tabliczkę czekolady od chłopca sprzedającego słodczyce wprost z zawieszzonego na szyi pudełka. Na rogu stało kilka prostytutek - transwestytów. Wiele klubów miało ogromne okna, przez które można było zajrzeć do środka i z reguły zobaczyć postacie kołyszące biodrami do rytmicznej

muzyki. To wszystko wyglądało niesamowicie i budziło pewien dreszczyk emocji. Weszliśmy do Carioca de Gema, niewielkiego klubu wypełnionego klientelą w różnym wieku.

Na scenie śpiewała jakaś Brazylijka, za nią dwaj faceci grali na bębnach, ale nikt na razie nie tańczył. Udałyśmy się do pomieszczeń w głębi, zajęłyśmy stolik, a Flavia zamówiła jakieś jedzenie. Powoli nabierałam przekonania, że ona zna tam wszystkich. W sumie nic dziwnego. Wchodząc do klubu i całując każdego na powitanie, wyglądała jak gwiazda wieczoru - ubrana w obcisłe dzinsy idealnie opinające jej kształtną brazylijską pupę oraz beżową bluzkę bez pleców, ozdobioną haftem z koralików. Była piękna, wesoła, pewna siebie. Bardzo często się śmiała. Im dłużej widziałam ją w akcji, tym bardziej ją lubiłam.

Przyniesiono jedzenie: był to duży talerz pełen suszonego mięsa, cebuli i czegoś, co wyglądało jak piasek. Nie pytajcie, jak taki zestaw może dobrze smakować, ale zapewniam, że tak właśnie było. Flavia zamówiła nam wszystkim koktajle caipirinha, lecz z wódką zamiast z cachacą, narodowym trunkiem Brazylijczyków. Wzięłyśmy sobie do serca ostrzeżenie brata Anny, żeby się trzymać od tego z daleka.

Dostrzegłam z daleka Flavię rozmawiającą z jakimiś kobietami, które z ciekawością na mnie zerkały. Nie miałam pojęcia, co im mówi, ale było mi wszystko jedno. Byłam zbyt zajęta pałaszowaniem pysznej potrawy, słuchaniem muzyki i ciągłym przypominaniem sobie, że naprawdę jestem w nocnym klubie w Rio. Fajnie, co?

Georgia kołysała biodrami w rytm uderzeń bębnów. Nachyliła się do mnie:

- Mam nadzieję, że ktoś mnie dziś pocałuje!

Dwoje ludzi około sześćdziesiątki stało przed nami, słuchając muzyki. Nagle zaczęli wyczyniać te niesamowite rzeczy z nogami - szybkie, cudowne i tajemnicze kroki samby. To było fantastyczne, nie mogłyśmy oderwać od nich oczu. Podeszła do nas Flavia.

- Julie, mam tu kilka dziewczyn, które chciałyby ci poopowiadać, jak wygląda życie singli w Rio.

- Serio? Teraz? - Zaskoczyła mnie. - Tak. Zawołam je.

W ciągu godziny moja nowa attache kulturalny, Flavia, zorganizowała mi pokazną grupę singielek. Sącząc drinki i jedząc mięso z piaskiem, słuchałam muzyki oraz ich opowieści. Przy okazji robiłam pospieszne notatki.

Zdaję sobie sprawę, że rozmawiałam tylko z ułamkiem żeńskiej populacji Rio, lecz wszystkie te kobiety zgadzały się co do jednego: faceci w Rio są do kitu. Nie chcą się angażować i nie mają takiej potrzeby. Gdzie się nie obejrzą, pełno ładnych lasek w bikini (bez cellulitu). Po co się wiązać? To wieczni kawalerowie, jeżeli ewentualnie już się ustatkują, zdradzają swoje żony. Nie twierdzę, że wszyscy z Rio tacy są; powtarzam tylko, co usłyszałam od tych dziewczyn.

A więc co takiego mają do roboty samotne kobiety w Rio? Przede wszystkim dużo ćwiczą i jeżdżą do Sao Paulo, gdzie - jak wszystkie zgodnie stwierdziły - mężczyźni są znacznie bardziej wyrafinowani, dojrzałsi, mniej infantylni od tych z Rio.

Jednak moje rozmówczynie zgodziły się także co do tego, że faceci z Rio cudownie całują i są wprawnymi, namiętymi kochankami. Przyznały to niemal chórem i choć nie śmiałam dopytywać, na czym opierają te opinie, wzbudziło to moją wielką ciekawość. Szczególnie że przez cały wieczór gapił się na mnie taki jeden wysoki, dobrze zbudowany i cholernie przystojny brunet przyczajony w kącie. Zaczynałam rozumieć, dlaczego fica było pierwszym portugalskim słowem, jakiego się nauczyłam.

Mieszkancki Rio wspominały co jakiś czas o „mężach” i mężczyznach, z którymi żyją w „małżeństwie”, ale dopiero po dłuższej chwili się zorientowałam, że niekoniecznie mają na myśli legalne małżeństwo, lecz poważny, długoletni związek. Później zagadnęłam o to Flavię.

- Tak, my tego określenia używamy w stosunku do każdego długoletniego związku. Kiedy się już mieszka ze sobą.

Trochę to zagmatwane. Mieszkanie pod jednym dachem określa się jako „małżeństwo”, ale „żonaty” może też oznaczać „sypia z prostytutkami”.

Zjawił się narzeczony Anny. Zostaliśmy sobie przedstawieni i Frederico przeprosił Annę za spóźnienie. Nie mógł się wyrwać z pracy - prowadzi popularny ośrodek lotniarski przy Sugarloaf, wielkiej górze w środku miasta, tłumnie odwiedzanej przez turystów.

- Wybaczcie, musimy zatańczyć - powiedział, złapał Annę za rękę i poprowadził na parkiet. Anna, która do tej pory siedziała wyciszona, nagle rozkwitła. Zaczęła wywijać nogami i trząść pupą; w tańcu wydawała mi się najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałam. Frederico dzielnie jej wtórował.

Jeżeli dwoje ludzi potrafi tak ze sobą tańczyć, ich seks musi być niesamowity. Cóż za wspaniałe miasto.

- Idę się przejść - powiedziała Georgia i wstała od stolika. Myślę, że duszna atmosfera i ten erotyzujący taniec zaczynały jej działać na nerwy.

Podniosłam wzrok i zauważyłam, że Flavia z kimś rozmawia. Mężczyzna dotykał jej ramienia i nachylał się blisko.

- Kim jest ten przystojniak, z którym rozmawia Flavia? - zapytałam siedzącą obok Caroline.

- To Marco, ten fica z wczoraj. Zadzwoił dzisiaj i tu się umówili.

- Ciekawe. Fica dzwoni... Często się to zdarza?

- Raczej nie, ale czasem...

- W Stanach niektórzy uważają, że jeśli chcemy, aby facet znowu zadzwonił, nie możemy mieć najpierw fica.

Caroline przewróciła oczami.

- Ta wasza purytańska etyka. W Rio fica, nie fica, może zadzwonić albo nie. Nie ma znaczenia, jak się poznaliście.

Flavia podeszła do nas z Markiem i wszystkich sobie przedstawiła. Mężczyzna miał długie czarne włosy i

kilkudniowy zarost na twarzy. Uśmiechał się głupkowato i tryskał energią.

- A, Nowy Jork! Kocham Nowy Jork!

Tylko tyle umiał powiedzieć po angielsku i powtarzał mi to przez cały wieczór. Na co ja odpowiadałam: „Rio! Kocham Rio!”. Niewiele, ale zabawa była przednia.

Dostrzegłam Georgię krążącą w tłumie. Przez chwilę się głowiłam, kogo ona szuka? Obracała się wkoło, raz po raz poprawiała włosy i ogólnie wyglądała na zagubioną. Poobserwowałam ją jeszcze trochę, ona w tym czasie obeszła całą okolicę baru, i wreszcie do mnie dotarło: Georgia polowała na pocałunek. Nie jestem pewna, czy pocałunki to coś, na co należy „polować”, ale byłam pełna podziwu dla jej wytrwałości.

Anna wróciła do nas bez Frederica. Stała przy stoliku i tańczyła w miejscu.

- Co ty wyczyniasz z tymi nogami? - zapytałam, lekko wstawiona po drugiej porcji caipirini.

- Chodź, pokażę ci.

Wstałam. Anna zaczęła bardzo powoli poruszać stopami: w przód, w tył, pięta - palce, palce - pięta. Próbowałam naśladować kroki, złapać rytm, ale ona zaczęła przyśpieszać,

dokładając do tego kołyszące ruchy bioder. Wkrótce się pogubiłam, ale dzielnie udawałam, kręcąc tyłkiem i drepcząc w miejscu. Myślę, że moje ruchy bardziej przypominały szamotaninę ryby wyrzuconej na brzeg, ale wzbudziły uśmiech na twarzy bruneta w kącie, więc było warto. Kontynuowałyśmy nasz taniec przy stole. Cała sala pulsowała muzyką, wokaliści przekrzykiwali dźwięki bębnów, zamieniając tłum w spoconą, tętniącą masę.

Tymczasem Georgia wpadła na Frederica, który właśnie zmierzał do toalety. Spytał ją, co robi aż tutaj, z daleka od koleżanek.

- Słyszałam, że w Rio ludzie bardzo lubią się całować. Czekam, aż znajdzie się chętny.

Frederico się uśmiechnął. Był szalenie przystojny: młody, opalony, z delikatną bródką i ciemnymi pofalowanymi włosami. Brązowe oczy i piękne białe zęby sprawiały, że wyglądał jak latynoska gwiazda popu.

- To na pewno nie potrwa długo. W końcu jesteśmy w Rio.

- Znow się uśmiechnął i poszedł.

Georgia już dostała nauczkę; tym razem to nie ona zaatakuje pierwsza. Po wieczorze w barze sportowym

przekonała się, że dobra zabawa nie polega na tym, że rzuca się na kogoś z ustami. Prawdziwa frajda jest wtedy, gdy to ktoś inny postanawia cię pocałować. Krążyła więc wytrwale wśród tłumy, zwilżając wargi i starając się wyglądać ponętnie.

Ja zaś wciąż tańczyłam, świadoma, że mój adorator w kącie nieustannie się na mnie gapi. Nagle zobaczyłam, że podchodzą do niego Flavia i Marco. Flavia położyła mu dłoń na ramieniu - no jasne, to jej znajomy. Kiedy wrócili do stolika, spytałam:

- Znacie tego człowieka?
- To mój kumpel - odparła Flavia.
- Czemu stoi w kącie?
- Pracuje tu, jest ochroniarzem.

Kiwnęłam głową, myśląc: „Sexy”.

- A co, podoba ci się? - uśmiechnęła się Flavia.

Obie zerknęłyśmy w jego stronę, co natychmiast zauważył. Szybko odwróciłam głowę.

- No wiesz, nie powiem, jest seksowny, ale to wszystko.
- Paulo. Przesympatyczny facet. Jest dla mnie jak brat.

Znów na niego zerknęłam.

Złapał mój wzrok i posłał mi uśmiech. Odwzajemniłam go. Odwracając głowę, poczułam nagle wyrzuty sumienia.

Dziwne. Czułam się winna, że podobam się Paulowi, bo dopiero co spałam z Thomasem. Samo myślenie o Paulu i uśmiechanie się do niego sprawiało, że czułam się jak dziwka. Dopiero co uprawiałam seks z mężczyzną, który zawrócił mi w głowie. Który - spójrzmy prawdzie w oczy - nie odezwał się jeszcze od tamtej nocy i jest bardzo prawdopodobne, że już go nigdy nie zobaczę. Ale mimo wszystko to się działo na tyle niedawno, że dziwnie było tak szybko wpaść w oko komuś innemu. Dotąd nie wiedziałam, że to dla mnie problem, bo w Nowym Jorku nie miewam takich rozterek.

Cóż, kolejny powód, by podróżować po świecie.

Wróciła sfrustrowana Georgia. Trafiła akurat na moment, gdy Frederico zaczynał się całować z Anną. Przewróciła oczami, jednocześnie zazdrosna i zniesmaczona. Usiadła obok małomównego Alana.

- Alan, powiedz mi, korzystasz z usług prostytutek?

Roześmiałam się zaskoczona i spojrzałam na niego, ciekawa, co odpowie. Ten tylko się uśmiechnął, pochylił ku Georgii i mrugnął okiem.

- Aha. No cóż, chyba zawsze musisz się rozglądać za tymi najspokojniejszymi - rzuciła niezrażona i napiła się drinka.

Drażyła jednak dalej. - A gdybyś przyłapał Frederica na tym, że zdradza twoją siostrę? Zabiłbyś go?

Alan spojrział na Georgię jak na istotę pochodzącą z innej planety. Albo ze Stanów. Roześmiał się i pokręcił głową. Wtrąciłam się do rozmowy:

- Naprawdę? A dlaczego? - spytałam. Alan pociągnął łyk piwa.

- My, faceci, musimy trzymać się razem. Georgia uniosła brwi.

- Chyba żartujesz. Nawet gdyby chodziło o twoją siostrę?
- Alan tylko wzruszył ramionami i znów napił się piwa. Georgia spojrzała na niego, potem na Caroline. - Nie rozumiem. Jeżeli już bracia nie potrafią bronić własnych sióstr, to kto ma to robić?

Caroline wzruszyła ramionami.

- Chyba nikt.

Georgia i ja spojrzałyśmy na siebie ze smutkiem. Zerknęłam na komórkę i zobaczyłam, że już trzecia nad ranem. Wszyscy uznaliśmy, że pora się zmywać.

Stałyśmy przy wyjściu i kupowałyśmy płytę z muzyką, której słuchaliśmy przez cały wieczór, gdy nagle spostrzegłam Paula przeciskającego się przez tłum. Za kimś się rozglądał.

Wyszłam na ulicę. Odwróciłam się, licząc, że jeszcze choć raz rzucę na niego okiem, a on w tym momencie ukazał się w drzwiach i nasze spojrzenia się spotkały. Podeszedł i wyciągnął do mnie dłoń.

- Cześć, mam na imię Paulo.

Jesteś bardzo piękna. Wybałuszyłam oczy i zaczęłam się śmiać. Rozejrzałam się, czy to nie sprawka Flavii.

- Och, dziękuję... Mam na imię Ju... - Nie zdążyłam dokończyć, bo Paulo położył swoje aksamitne usta na moich. Całował delikatnie, z wyczuciem, jakby nigdzie się nie śpieszył, a czekał na tę chwilę całe życie. Gdy się odsunął, oblałam się rumieńcem i spuściłam wzrok. Bałam się spojrzeć, kto nas mógł widzieć.

- Daj mi na chwilę swoją komórkę - poprosił. Jak w transie wyjęłam ją z torebki i podałam mu. Wpatrywałam się w jego buty, kiedy wpisywał swój numer do telefonu. Potem mi go oddał i odszedł. Kiedy już się odważyłam podnieść wzrok, zobaczyłam Flavię, Alana, Caroline, Frederica, Annę i Georgię, którzy śmiejąc się, bili mi brawo. Nawet Marco zaczął się śmiać. Podeszłam do nich czerwona jak burak.

- Cóż, chociaż jednej się dzisiaj udało - powiedziała z uśmiechem Georgia. I po tych słowach udałyśmy się z

powrotem do hotelu. Koniec zabawy, przynajmniej na ten wieczór.

Obudziwszy się koło południa, zobaczyłam Georgię, która popijała kawę przy stole i wertowała jakieś pismo.

- Cześć, co robisz? - zapytałam zaspana i usiadłam na łóżku.

- Przeglądam katalog męskich prostytutek - odparła ze spokojem.

Przetarłam oczy.

- Jeszcze raz, co takiego?

- Przeglądam katalog męskich prostytutek, który dostałam z agencji. Za samo rzucenie okiem każą sobie płacić stówę.

- Co? O czym ty mówisz?

Georgia nadal przewracała strony.

- Zagadnęłam o to wczoraj Flavię, dała mi namiary na jedną agencję. Dziś rano do nich zadzwoniłam i przysłali mi to.

- Georgia, chyba nie zamierzasz iść do łóżka z żigolakiem.

Podniosła wzrok.

- A czemu nie? Nie byłoby fajnie kochać się z kimś bez absolutnie żadnych oczekiwań? Jeżeli taki potem nie zadzwoni, nie będzie ci przykro.

- Ale nie uważasz, że to trochę...

- Co, niesmaczne?

- No tak.

- Może trzeba się przełamać. Moim zdaniem seks za pieniądze to świetny pomysł. Znam mnóstwo kobiet, które naprawdę go potrzebują. Byłoby dobrze, gdyby się udało przemóc opory.

- A AIDS? A to, że oni wszyscy są prawdopodobnie gejami?

Georgia odstawiała filiżankę.

- Posłuchaj. Nie zamierzam być jedną z tych sfrustrowanych singielek, które od trzech lat nie uprawiały seksu. Chcę czuć na sobie ciężar męskiego ciała, chcę być całowana i pieszczona, a nie chcę chodzić do łóżka z dupkami, którzy tylko udają, że mnie lubią. Myślę, że wynajęcie prostytutki to jest to.

- Ale ty im płacisz. Czy to nie odbiera całej przyjemności? Wzruszyła ramionami.

- Być może. - Nadal formułowała w głowie swoją teorię. - O tym właśnie chcę się przekonać, bo moim zdaniem, to jedna z ważniejszych rzeczy dla singielki: za wszelką cenę starać się pozostać aktywną seksualnie.

- Dosłownie za wszelką cenę - wtrąciłam, nie mogąc sobie odmówić. Wciąż byłam zniesmaczona. - Z kobietami jest inaczej. Jakiś obcy facet wkłada ci swój interes. Nie masz oporów?

- Julie, spójrz na tych chłopaków. Czy oni są obleśni? Są seksowni jak cholera.

Westchnęłam, zsunęłam nogi z łóżka i poczłapałam do stolika. Georgia wręczyła mi katalog.

- Hm, myślałam, że zacznę dzień od kawy, ale ciacha też mogą być.

Georgii to nie rozbawiło. Rzuciłam okiem na fotografie. Przedstawiały mężczyzn w garniturach i obok, tych samych, z nagimi torsami. Muszę przyznać, że choć byli kiczowato wystylizowani, trochę zbyt gejoscy, nie wyglądali szczególnie obrzydliwie.

Może nie należy się tym tak przejmować? Może są to po prostu mężczyźni obdarzeni wrodzonym talentem do sprawiania kobietom przyjemności i postanowili uczynić z

tego źródło utrzymania. Może uważają siebie za rodzaj seksualnej pomocy społecznej lub (bardzo) osobistych trenerów. I może właśnie dlatego, że są mężczyznami, nie powinniśmy traktować tej seksualnej wymiany w kategoriach wykorzystywania. Ci z katalogu, ubrani w garnitury, krawaty, kąpielówki, wyglądali tak samo jak striptizerzy, których widziałyśmy w Paryżu. Przesadnie umięśnieni, nieco pospolici z urody, chętni zaspokoić nasze zachcianki. Oczywiście, gdyby spojrzeć na nich z innej strony, wyglądali też jak przeciętny seryjny morderca.

- Nie są najgorsi - stwierdziłam.

- Mówiłam ci. Zrobię to. Jeżeli dzisiaj nikt mnie nie pocałuje, z samego rana do nich dzwonię. Przed wyjazdem muszę mieć jakikolwiek kontakt fizyczny z mężczyzną.

Przemilczałam to, głowiąc się jednocześnie, skąd tu wytrzasnąć na dzisiaj kogoś, kto ją pocałuje.

- Flavia zaprasza nas dzisiaj na wielką imprezę - oznajmiła. - W szkole samby. Powiedziałam, że chętnie przyjdziemy. Wpadnie po nas o ósmej.

- Czy to znaczy, że będziemy się uczyły tańczyć? - ucieszyłam się.

- Jeśli nie, po powrocie do domu zawsze możesz się zgłosić do dziewczyny mojego męża - odparła, sącząc kawę. - Ciekawe, czy dzisiaj będzie tam cała sala pełna instruktorek samby kradnących cudzych mężów. Ale byłaby heca, co?

Założyła włosy za ucho. Przyjrzałam się jej. Nigdy nie mieszkałyśmy w jednym pokoju, więc nie miałam okazji widzieć jej zaraz po wyjściu z łóżka. Nieumalowana, w świetle porannego słońca wyglądała bardzo ładnie i młodo. Dla mnie w tym momencie jej przyszłość jawiła się świetliście i obiecująco. Szkoda, że ona tego nie czuła. Ciągle myślała o Dale'u i Melei. Niestety, w tym pokoju tylko ja potrafiłam dostrzec, ile jeszcze wspaniałych rzeczy czeka w życiu moją rozwodzącą się, załamaną i lekko zbzikowaną przyjaciółkę.

Tymczasem w Stanach

Alice stała w kuchni mieszkania Jima ubrana w jego spodnie od pizamy i koszulkę i nalewała sobie wody do szklanki. Zastanawiała się nad zjawiskiem regularnego seksu. Musiała przyznać, że w tej beczce miodu jest jednak łyżka dziegciu.

Częste chodzenie z kimś do łóżka jest fajne tylko wtedy, gdy ten ktoś naprawdę nas kręci. Wtedy to najlepsza rzecz pod słońcem. Gdy jednak tak się składa, że nie jesteśmy zakochane

w partnerze, może się z tego zrobić problem. Ostatnie kilka nocy z Jimem uświadomiło Alice, że zaczyna ją to powoli nudzić. Jim był w porządku, wszystko robił jak należy, lecz ona zwyczajnie nie czuła tej iskry. Stała jej przed oczami ponura perspektywa uprawiania rutynowego seksu do końca życia.

Alice rozpaczliwie pragnęła, by ten związek wypalił, a jest to specjalistka od rozwiązywania problemów; nie ma takiej trudnej sytuacji na świecie, której by nie potrafiła wyprostować. Gdyby trochę lepiej znała się na geofizyce, w trymiga zlikwidowałaby ten cały problem z globalnym ociepleniem. Wstawiając szklanę do zlewu, była przekonana, że i kwestię braku namiętności w pożyciu z Jimem musi się dać jakoś przeskoczyć.

Wyszła z kuchni i udała się do sypialni. Jim czytał w łóżku książkę. Z uśmiechem podniósł wzrok.

- Cześć, kochanie - powiedział.

- Cześć - odparła Alice. Nawet w męskich spodniach od pizamy wyglądała ponętnie, czego Jim nie omieszkał zauważyć. Przyglądała mu się dłuższą chwilę, zastanawiając się, skąd się właściwie bierze namiętność? Podeszła do łóżka od swojej strony i usiadła tyłem do Jima. Musi się brać z

emocji: radości, podekscytowania, entuzjazmu. Jim pogłaskał ją po plecach. Alice była podekscytowana faktem, że wreszcie ma chłopaka, cieszyła się, że nie musi już chodzić na randki i zyskała poczucie bezpieczeństwa. Cieszyła się, że Jim jest takim fajnym człowiekiem i podniecało ją, że jest w niej tak mocno zakochany. Zamknęła oczy i próbowała skierować te wszystkie emocje w okolice lędźwi. W końcu emocje to tylko energia, więc można ją przekształcić w energię seksualną. Czula na plecach dotyk dłoni Jima i pozwalała myślom swobodnie płynąć. Fajnie jest być dotykanym, fajnie jest uprawiać seks. Odwróciła się do Jima, chwyciła jego twarz obiema rękami i mocno go pocałowała. Wgramoliła się na niego i przywarła ciałem. Jim wsunął jej dłonie pod koszulkę. Westchnęła z zadowoleniem.

Uśmiechnęła się do siebie. Jim nie musi jej kręcić, żeby mogła czerpać przyjemność z seksu. Sama wskrzesi w sobie tyle żaru i pasji, ile trzeba. W końcu jest osobą wrażliwą. Z oddaniem broni praw pokrzywdzonych, jest gorliwą przeciwniczką stosowania kary śmierci, bardzo jej zależy na pokoju na świecie. Cały czas mocno obejmowała i całowała Jima. Potem Jim przetoczył się na nią, a ona zdarła z niego koszulkę i bokserki. Jim zdjął z niej spodnie od pizamy i

wsunął jej dłoń między nogi. Alice westchnęła z rozkoszy. Oto ma kogoś, kto będzie jej to robił do końca życia. Znowu westchnęła, tym razem głośniej. Jim był wyjątkowo podniecony - nigdy jej takiej nie widział. Ciężko dysząc, wszedł w nią. Alice objęła go nogami i szarpiąc za włosy, całowała namiętnie, łapczywie. Wydawała przy tym głośne jęki. Kocha penisy, kocha je czuć w sobie i zamierza też pokochać Jima, który właśnie ją uniósł i przyciągnął do siebie. Przyjęli pozycję siedzącą, Jim całował jej szyję, Alice miarowo unosiła i opuszczała biodra, i nagle przez głowę przemknęła jej myśl: „Jak ja zdołam to utrzymać?”. Cały czas kołysali się rytmicznie, Alice sapała, wzdychała i jęczała, skupiając się na osiągnięciu orgazmu, lecz pojawiła się następna myśl: „To kosztuje za dużo energii”. Jim nieustannie napierał biodrami i obcałowywał Alice, a ona tymczasem wpadła na genialny pomysł. Wreszcie zrozumiała, jak rozwiązać ten problem, żeby utrzymać podniecenie, nie tracąc przy tym tyle energii: wystarczy, że będzie myślała o Bradzie Pitcie. Dość oklepany obiekt, ale trudno. Przeleciała w głowie całą filmografię: jego szczupły tors w Thelmie i Louise, muskularny tors w Podziemnym kręgu i jeszcze bardziej muskularny tors w Troi. Przypomniała sobie scenę z Pana i

pani Smith, gdzie rzucał Angeliną Jolie o ścianę. Czując nadchodzącą falę rozkoszy, zdała sobie sprawę, że może o nim myśleć do końca życia. To wolny kraj i nikt nie musi się o tym dowiedzieć. Może myśleć o Bradzie Pitcie, o Johnnym Deppie, a nawet o Tomie Cruisie, chociaż to dziwak, ale Alice uwielbia umięśnione klaty, bez względu na to, jakie poglądy wyznają ich właściciele. Jeśli kiedykolwiek zabraknie jej wewnętrznego żaru, zawsze będzie miała ich w odwodzie. I właśnie w chwili, gdy oczami wyobraźni widziała, jak Brad Pitt w złotej zbroi skacze w powietrzu w zwolnionym tempie, wstrząsnęły nią spazmy orgazmu.

- O Boże - wyrwało się jej. Jim potrzebował jeszcze tylko dwóch ruchów, żeby dojść - i tak z trudem wytrzymał tak długo.

- O Boże - powtórzyła, łapiąc oddech. W głowie błysnęła nowa myśl: „To się da zrobić! Naprawdę się da!”.

* * *

Każdy, kto kiedykolwiek był na diecie, wie, że gdy tylko sobie uświadomisz, że czegoś ci nie wolno, zaczynasz obsesyjnie o tym myśleć. Serena od czterech lat nie uprawiała seksu i jej nieużywane libido przygasło. Dlatego z chwilą, gdy

jej powiedziano, że już nigdy nie będzie mogła go uprawiać, nagle się obudziło.

Obecnie Serena przebywała w ośrodku jogi w East Village. Jej macierzyste stowarzyszenie posiada oddziały na całym świecie, a jej udało się akurat trafić do pięknej kamienicy niedaleko miejsca, gdzie dotąd mieszkała. Chodziła ulicami East Village z ogoloną głową, w pomarańczowej szacie, rozpalona najbardziej nieczystymi myślami, jakie można sobie wyobrazić. Co rano, kiedy zasiadała na podłodze w pokoju medytacyjnym otoczona oparami kadzideł, w jej głowie kłębiły się wizje nagich ciał i mężczyzn leżących na niej. Miała powtarzający się sen, w którym idzie ulicą i rzuca się na każdego mijanego faceta. Budziła się wtedy spocona i przestraszona. Była pewna, że w jej przypadku złożenie ślubów czystości to zwykła formalność. Ten zalew pornograficznych myśli całkowicie ją zaskoczył.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, łatwo było przewidzieć to wszystko, co się potem wydarzyło. Do obowiązków Sereny, która nosiła teraz imię Swami Durgananda, należało między innymi przygotowanie o poranku talerza ofiarnego. To znaczyło, że codziennie musiała wstać za kwadrans szósta, pokroić porcję owoców lub ułożyć na półmisku parę fig i

daktyli, a potem umieścić je na ołtarzu jako ofiarę dla bogów, nim o szóstej rozpocznie się grupowa medytacja. I codziennie przy kuchennym stole zastawała Swamiego Swaroopanandę, który czytał książkę i wyglądał bardzo pociągająco. Za kwadrans szósta. Serena jeszcze nie bardzo się orientowała, jakie zasady dotyczące kontaktów między swami obowiązują w ośrodku, ale otwierając lodówkę w poszukiwaniu produktów nadających się na ofiarę dla bogów, postanowiła się do niego odezwać.

- O tej porze zwykle czytasz? Tak rano? - zapytała szeptem.

Swami spojrzał na nią z uśmiechem.

- Tak, tylko wtedy mam czas.

- Jestem pod wrażeniem. Musisz bardzo wcześnie wstawać. - Wyjęła ananasa, położyła na blacie i zaczęła go obierać dużym nożem. Swami wrócił do czytania. Serena, krojąc owoc, co chwila ukradkiem na niego zerkąła. Jak na wyznawcę Wisznu był całkiem nieźle zbudowany. Czy to na pewno tylko efekt jogi? Czy swami wolno chodzić na siłownię? Chyba nie. Trudno było opisać jego twarz, ale rysy miał bardzo męskie. Nie miał całkowicie ogolonej głowy, był ostrzyżony na krótkiego „jeżyka”, co mu zresztą bardzo

pasowało. Mógł mieć kiedyś do czynienia z wojskiem - wysoki wzrost, umięśniony tors i długie, silne ramiona. I wcale nie wyglądał śmiesznie w tym pomarańczowym chałacie - wręcz przeciwnie.

Rozmawiali krótko, ale Serenie niewiele było trzeba, aby podsyć płomień pożądania. Co rano wstawała troszkę wcześniej, żeby zamienić z nim kilka słów, a on co rano siedział na stołku i w okrągłych okularach zsuniętych na czubek nosa czytał w milczeniu.

Wtorek, 5.30:

- Dzień dobry, Swami Swaroopananda.

- Dzień dobry, Swami Durgananda.

- Jak tam książka? Ciekawa?

- Tak. Jedna z najlepszych o pranajamie, jakie czytałem. -

Tym razem na chwilę odłożył książkę. - A przy okazji: jak ci idzie przystosowywanie się do nowego życia?

Serena podeszła do lodówki.

- Zaskoczyło mnie, jakie rzeczy rodzą się w głowie, gdy próbujemy wyciszyć umysł.

Swami Swaroopananda skrzyżował ręce na piersiach.

- Tak? Co na przykład?

Serena poczuła, że robi się czerwona na twarzy. Zastanawiała się, czy pozbawiona włosów głowa też się zaczerwieni.

- Och, takie tam śmieci, które się zbierały latami. Od jak dawna należysz do stowarzyszenia?

Dopiero wtedy zaczęła się prawdziwa rozmowa. Powiedział, że pochodzi z Nowej Zelandii (stąd ten akcent), a swamim został osiem lat temu. Wyznał, że jego doznania podczas praktyk medytacyjnych stały się tak intensywne, że czuje się zobowiązany uczynić następny krok i zostać sadhu. Serenę to zainteresowało, więc zadawała mu kolejne pytania. W trakcie rozmowy zdołała przygotować całkiem obfity talerz ofiarny.

Środa, 5.15:

- Dzień dobry, Swami Swaroopananda.
- Dzień dobry, Swami Durgananda. Ja się masz?
- Bardzo dobrze. - Serena zaczęła wyjmować z szafki mąkę, miód i orzechy. Dziś zamierzała upiec swoje słynne ciasto bananowe. W końcu musiała coś zrobić z tym wolnym czasem, kiedy udawała, że wcale nie flirtuje ze swamim, całkowicie zapominając, że sama też jest teraz osobą duchowną. Poza tym doszła do wniosku, że fajnie będzie

zacząć dzień od medytacji w otoczeniu cudownego aromatu bananowego ciasta. W dodatku trochę zostanie im na śniadanie. Zaczęła rozgniatać banany w misce.

- Jak ci idzie medytacja? Wspominałaś, że ostatnio nachodzą cię różne myśli. Masz jakieś pytania dotyczące samej praktyki?

Jedyna rzecz, o którą teraz chciała zapytać, to czy można uprawiać seks, pozostając zarazem w celibacie. Wiedziała jednak, że o tym mówić nie powinna, więc wymyśliła coś innego.

- Tak, swami. Kiedy medytuję, moje myśli płyną wolniej. Uspokajam się, wyciszam, czuję, że nawiązuję kontakt z siłą wyższą. Ale nie miewam żadnych wizji. Żadnych świateł, wirujących barw. Po prostu medytuję. - Do drugiej miski nasypała mąki i cukru. Wbiła do tego jajko i zaczęła wyrabiać ręką.

Swami Swaroopananda zamknął książkę.

- To zupełnie naturalne. Nie medytujemy w jakimś konkretnym celu; to przeczy całej idei. Chodzi o to, żeby pozostać w bezruchu. Każdy będzie to przeżywał inaczej. Fajerwerki to ostatnia rzecz, na jaką powinnaś liczyć, medytując.

Serena się uśmiechnęła. Włożyła rozgniecione banany do ciasta i wymieszała całość.

- A propos fajerwerków: powiedz mi, Swami Durgananda, czy nie myślisz ostatnio dużo o seksie?

Serena podniosła wzrok znad miski. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała, ale poważny wyraz twarzy swamiego, który wydawał się niezmierny, wskazywał, że było to zupełnie naturalne pytanie o sprawy duchowe. Odwróciła się w stronę szafek. Stojąc do niego plecami, przyznała:

- Owszem. Bardzo często. Szczerze mówiąc, nie potrafię myśleć o niczym innym.

Wyjęła z górnej półki trzy formy do ciasta i postawiła na blacie. Starła się nie patrzeć na swamiego, ale nie mogła się powstrzymać. Rzuciła okiem i zobaczyła, że się do niej uśmiecha.

- Nie ma się czego wstydzić, to część procesu. Twój umysł po prostu reaguje na pragnienia ciała. Niedługo się uspokoi.

- Mam nadzieję. Czuję się jak w czasie postu. Wtedy obsesyjnie przeglądam książki kucharskie. - Wypełniła formy ciastem i włożyła do piekarnika. Spojrzała na zegarek; było dopiero wpół do szóstej. Nie miała pojęcia, że potrafi zrobić

ciasto w takim tempie. Do rozpoczęcia medytacji zostało jeszcze całe pół godziny.

- Chyba już wejdę do sali i zacznę... No wiesz, medytować. Swami Swaroopananda zamknął książkę.

- Nie śpiesz się. Usiądź na chwilę, porozmawiamy jeszcze. Skąd jesteś?

Serena się uśmiechnęła i nieśmiało przysiadła na stołku obok Swamiego Swaroopanandy, zwanego inaczej Swamim Swaroopem. Przyjrzał się jej uważnie i przez następne dwadzieścia minut wypytywał o rodzinę, pracę, ulubioną muzykę. W tym piwnicznym pomieszczeniu wypełnionym aromatem ciasta bananowego, siedząc obok mężczyzny w pomarańczowej szacie, prawie łysego jak ona, Serena zdała sobie sprawę, że od lat nie była na tak fantastycznej randce.

Od tamtej pory Serena co rano piekła świeże drożdżowe ciasto, które wymagało bardzo wczesnego wstawania, bo przecież trzeba zdążyć zrobić zaczyn, poczekać, aż wyrośnie, potem znowu zagnieść i tak dalej. Swami zawsze tam siedział, czasem czytał, czasem tylko się przyglądał, ale zawsze z nią rozmawiał. Pod tygodniu mieszała i wyrabiała ciasto wspólnie.

Przez te ostatnie półtora tygodnia Serena była w stanie myśleć tylko o nim. Maślane oczy i rozanielony wyraz twarzy

wcale nie były objawami duchowego przebudzenia, lecz głupiego szczenięcego zauroczenia. Cały dzień i całą noc myślała o porannym spotkaniu. A rano, kiedy już znalazła się w jego towarzystwie, nie tyle go słuchała, co go całą sobą chłoneła. Podczas pracy, medytacji, ćwiczeń jogi czy śpiewania mantr miała próbować się jednoczyć z Bogiem, lecz zamiast tego co rano, gdy przygotowywała najwymyślniejsze talerze ofiarne, jednoczyła się w myślach ze Swamim Swaroopem. Jego opinie, sposób, w jaki się wypowiadał o różnych sprawach, wydawały się tak współgrać z jej własnymi odczuciami, że kiedy z jego ust wydobywały się słowa i docierały do jej uszu, miała wrażenie, jakby przekształcały się w jakąś ciepłą masę, która powoli wypełnia jej mózg.

To była radość. W każdej sekundzie spędzonej w jego towarzystwie ogarniało ją niezaprzeczalne uczucie radości. Nie wyobrażała sobie, że można by do tego dodać jeszcze seks. Powiedzmy, że sobie nie wyobrażała. A tymczasem wszyscy mieszkańcy ośrodka przybierali na wadze, zajadając się co rano na śniadanie gorącym chlebem, ciastem orzechowym i babeczkami.

W czwartek o wpół do piątej rano, wchodząc do kuchni, rozejrzała się z biciem serca, bo z jakiegoś powodu bała się, że

go tam nie zastanie. Stał jednak przy blacie i uśmiechał się nieśmiało. Już dawno sobie odpuścili oficjalne powitania typu: „Dzień dobry, Swami Swaroop” i „Dzień dobry, Swami Durga”. Teraz witali się co rano bez słów, promieniejąc na swój widok.

Całe to ugniatanie, wyrabianie i mieszanie musiało do czegoś doprowadzić. Tego dnia Swami Swaroop podszedł do Sereny, chwycił ją za ramiona, rozejrzał się, czy na pewno nikogo nie ma w pobliżu, i pocałował ją w usta. Serena zarzuciła mu ręce na szyję i z chęcią oddała pocałunek. Zamknąwszy oczy, mogąc wreszcie poczuć bliskość jego ciała, ujrzała w końcu to białe światło, o którym tak wszyscy mówili. Światło harmonii, pokoju i niebiańskiego szczęścia. Nareszcie.

Odtąd nadal wstawiała bardzo wcześnie, lecz na talerz ofiarny wędrowały znów tylko przywiedle winogrona i garść fig. Razem ze Swamim Swaroopem w końcu wymyślili, co jeszcze mogą robić w tym czasie, i robili to, gdzie się dało i gdzie mieli pewność, że nikt ich nie nakryje - w spiżarni, w kotłowni, w piwnicy. Skoro Serena potrafi stracić nad sobą kontrolę po zjedzeniu zaledwie kilku porcji skrzydełek z ostrym sosem, łatwo sobie wyobrazić, jak się zachowywała

teraz, gdy mogła uprawiać seks z kimś, w kim była szaleńczo zakochana. Doszło do tego, że nie byli w stanie doczekać poranka i ryzykując wynajdywali różne miejsca, żeby się spotkać także w ciągu dnia. Kiedy Swami Swaroop jechał służbowym vanem na zakupy do Hunts Point, rzecz jasna potrzebował pomocy, więc czemu by nie poprosić Swami Durganandy? I tak na tylnym siedzeniu auta zaparkowanego gdzieś na terenach przemysłowych południowego Bronksu dawali upust swoim zakazanym żądom. Serena w końcu miała życie erotyczne, choć musiała w tym celu złożyć śluby czystości. Okres posuchy wreszcie się skończył.

Tymczasem w Rio

Kiedy rozmawiali o tej imprezie w szkole samby, wyobraziłam sobie wielką salę z lustrami i poręczami do ćwiczeń. Do tego może serpentyny i poncz w wazie. No i instruktorzy gotowi nauczyć kroków chętnych amatorów. Nic z tego. Flavia, Alan, Caroline, Anna i Frederico zawieźli mnie minivanem do jednej z najbiedniejszych dzielnic Rio, Estacio, położonej z dala od turystycznych luksusów Ipanemy i Leblon. Zaparkowaliśmy przed ogromną budowlą z betonu przypominającą hangar lotniczy, tyle że pomalowany na biało - niebiesko i pokryty pięknym kolorowym graffiti

przedstawiającym gwiazdy i świetliste promienie. Wielkimi białymi literami namalowano nazwę szkoły G.R.E.S. Estacio de Sa. Do środka napływały tabuny ludzi - my też do nich dołączyliśmy. To, co tam zobaczyłam, można by opisać jedynie jako gigantyczny szkolny bal połączony z festynem ulicznym. Wnętrze miało powierzchnię boiska futbolowego. Wszyscy chodzili z piwem w ręku, na podłodze walało się pełno pustych plastikowych kubków i puszek. Poczułam przyspieszone bicie serca z przejęcia, że za chwilę zobaczę coś, czego większość turystów nigdy nie dostąpi.

To było jednak nic w porównaniu z tym, jak na mnie podziałały dźwięki bębnów. Gdy tylko weszliśmy, budynkiem wstrząsnął potężny, pulsujący rytm, który poczułam aż w kościach. Około czterdziestu perkusistów stojących na prowizorycznych podestach wprowadzało tłum w stan szaleństwa.

Weszliśmy po schodach do czegoś w rodzaju loży dla VIP - ów, z której było widać całą halę. W głębi na estradzie dwie wokalistki radośnie pokrzykiwały do mikrofonu. To nie był tłum młodych ludzi z Lapy, wystrojonych w modne ciuchy na nocny wypad na miasto. To byli zwykli mężczyźni w dzinsach i T - shirtach, w szortach i adidasach. Niektóre kobiety miały

na sobie najbardziej obcisłe dzinsy, jakie kiedykolwiek widziałam, a inne spódniczki tak krótkie, że miałam ochotę podejść do jednej z drugą, zarzucić na nie cokolwiek i odesłać do pokoju bez kolacji. To prawda, co mówią, że Brazylijki mają bardzo zgrabne pupy - dziś można je było podziwiać w całej okazałości. Większość ludzi tańczyła sambę, rozmawiała i piła piwo, a po hali kręciła się też grupa osób ubranych w białe - czerwone stroje. Nie bardzo wiedziałam, gdzie jestem i co tam robię, ale wiedziałam, że nigdy nie miałabym okazji tego zobaczyć, gdybym nie poznała Flavii.

- Nie rozumiem, czemu wy to nazywacie szkołą samby? - zapytałam, przekrzykując łomot bębnów.

- W każdej dzielnicy jest taka szkoła, gdzie tańczy się sambę z towarzyszeniem bębnów. Każda szkoła wybiera piosenkę, którą zaprezentuje w korowodzie podczas karnawału, i potem wszystkie między sobą rywalizują.

- Czyli to są takie jakby reprezentacje poszczególnych dzielnic?

- Tak. To jest właśnie moja szkoła samby. Za kilka minut po raz pierwszy wykonają piosenkę, z którą wystąpią w czasie karnawału - Flavia spojrzała w dół na masy ludzi i nagle się uśmiechnęła. - O, Marco!

Marco zadarł głowę, zobaczył ją i pomachał.

- No trudno, skoro już przyszedł - powiedziała, udając niezadowolenie. Machnęła do niego, żeby wszedł na górę. - Pójdę uprzedzić bramkarzy, żeby go wpuścili.

Odwróciłam głowę w stronę perkusistów, szukając wzrokiem Anny. To także jej szkoła, a dziś wieczorem miała z nimi grac.

Jeden utwór się skończył, a potem bębny odezwały się ponownie, na początku bardzo wolno, żeby przykuć uwagę zgromadzonych. Ludzie pobudzeni nową energią zaczęli się przesuwać ku środkowej części hali.

- Chodźcie tam - zaproponował Frederico.

Georgia, Frederico, Alan i ja poszliśmy na dół. Perkusiści walili teraz w bębny w zawrotnym tempie, a rozgrzany tłum radośnie pulsował we wspólnej zabawie.

Zaczęliśmy tańczyć. To znaczy, Frederico i Anna tańczyli, ja z Georgią tylko podrygiwałyśmy, starając się w miarę fachowo trząść pupami, ale samba nie jest tańcem, który da się symulować. Potem tancerze utworzyli korowód. Tłum się rozstał, robiąc dla nich przejście. Wszyscy mieli na sobie „reprezentacyjne” kostiumy: białe - czerwone, wyszywane cekinami. Na czele paradowały kobiety w minispódniczkach i

bardzo wysokich szpilkach. Od pasa w dół poruszały się tak szybko, że miało się wrażenie, jakby wibrowały w czymś w rodzaju seksualnej ekstazy. Wymachiwały rękami, wywijały nogami, a pupami trzęsły tak, że mogłyby nimi ubijać masło.

Za młodymi dziewczynami w mini szły starsze panie. One też były ubrane na białe - czerwono, z tym że ich spódniczki sięgały kolan, a na górze miały koszulki z krótkim rękawem i kapelusze na głowie. Wyszły w jednym szeregu i utworzyły ramę otaczającą młodsze kobiety - a ściślej mur obronny przeciw drapieżcom, którzy mogliby wtargnąć i pożreć je w całości.

Tańczyły jak kobiety, które już wszystko w życiu widziały. Już nie musiały trząść pupami i wymachiwać rękami, choć jestem pewna, że w swoim czasie odrobiły swoją działkę. Teraz to była bardziej defilada. Nie wiem, jak poza tym wyglądało ich życie, mogę sobie tylko wyobrazić, że nieciekawie, lecz w tym momencie dla nich trwało święto. Były jak białe - czerwone pawie straszące pióra przed wszystkimi, dumne z siebie, swojej dzielnicy i swojej piosenki.

Tymczasem Georgia, Frederico i Alan poszli po piwo. Kiedy stali w kolejce, Frederico pochylił się do Georgii i szepnął:

- Nie musisz szukać faceta do całowania, piękna Georgio. Ja z przyjemnością poszedłbym z tobą do łóżka, kiedy tylko byś chciała.

I po tych słowach zaręczony Frederico pocałował wolną i napaloną Georgię, na co ukochany brat Anny, Alan, zareagował śmiechem i spokojnie napił się piwa. Frederico był młodym, seksownym i cholernie przystojnym Brazylijczykiem. Wymarzoną zemstą Georgii było przyjechać do tego kraju i podebrać komuś męża. Teraz miała okazję; Frederico to męski odpowiednik Melei i do tego miał na nią ochotę. Georgia, niedoświadczona na froncie randkowym, wciąż instynktownie stosowała się do jednej z podstawowych zasad singielek: my, kobiety, musimy się solidaryzować.

Odsunęła więc delikatnie Frederica od siebie i kazała mu wracać na parkiet. Tym samym udzieliła odpowiedzi na pytanie, kto broni kobiet w Rio. Niestety, Georgia. Odwróciła się do Alana i przystawiając mu palec do twarzy, wyszczała:

- A ty powinieneś się wstydzić. Jesteś jej bratem.

Spotkaliśmy się wszyscy ponownie w loży, dołączając do Flavii i Marka. Na dole, w środku tego całego szaleństwa, tańczyli teraz król i królowa szkoły samby - on w białym garniturze i białym kapeluszu, ona w czerwonej sukni i koronie. Tańczyli najpierw solo, potem w parze, a otaczający ich ludzie machali chorągiewkami.

Nagle coś mignęło w powietrzu, jakiś przedmiot wpadł do nas na górę. Nie widziałam, co to, ale Flavia złapała się za twarz i cofnęła kilka kroków. Caroline natychmiast do niej doskoczyła, chwyciła ją za rękę i spytała, co się stało. Obok Flavii leżała na podłodze pełna puszka piwa. Ktoś ją rzucił w naszą stronę, albo bezmyślnie, albo w złych intencjach. Flavia oberwała w twarz. Caroline posadziła ją na krześle. Patrzyłam, jak ta twarda kobieta wykrzywia usta w uśmiechu i próbuje się nie rozplakać.

Usiłowaliśmy dociec, co się właściwie stało, a tymczasem Flavii zaczęło puchnąć oko. Caroline zeszła po lód, a Georgia masowała jej kark. Pojawiła się Anna. Widząc, co się stało, przyklękła i zaczęła głaskać Flavię po głowie, ale ta tylko się schyliła, podniosła puszkę z piwem i przyłożyła do oka, żeby zmniejszyć obrzęk. Marco stanął obok trochę bezradny. Kobieta, którą ledwie znał, została ranna, ale on nie bardzo

wiedział, co robić, jak się zachować. Krążył tylko koło niej i przeczesywał ręką włosy. Kiedy minął szok, Flavia oznajmiła wszystkim, że czuje się już dobrze. Anna zaproponowała, żebyśmy już wracali, więc wyszliśmy i wpakowaliśmy się całą grupą do minivana: Georgia, Flavia, Marco, Alan, Anna, Frederico i ja.

Ponieważ była trzecia nad ranem i znajdowaliśmy się w Rio, najrozsądniejszym pomysłem było się udać do miejscowej restauracji o nazwie Pizzeria Guanabara. W środku zobaczyłam dorosłych ludzi, całkowicie trzeźwych i elegancko ubranych, którzy kulturalnie jedli pizzę, jakby to była ósma wieczorem. Niektórzy nawet byli z dziećmi.

Usiedliśmy, rozmawialiśmy i staraliśmy się rozweselić Flavię, która przykładła sobie lód do oka. To naprawdę równa babka, ani przez chwilę się nad sobą nie użalała. Patrząc na nią, uświadomiłam sobie kolejną rzecz, którą powinna zapamiętać każda singielka: są dni, kiedy może się zdarzyć, że oberwiesz w twarz puszką piwa. Tak to już jest i nie ma co się mazać z tego powodu.

Flavia zaczęła się coraz bardziej wtulać w Marka. Znalazł wreszcie swoje miejsce - otoczył ją ramieniem, żeby się poczuła bezpiecznie. Może to i jest najtwardsza i

najrówniejsza dziewczyna w Rio, ale została znieczucona zaatakowana i zraniona. Choćby nie wiem ile przyjaciółek pośpieszyło jej na ratunek, w takiej chwili nie ma to jak się przytulić do męskiej piersi i dać się zamknąć w silnych ramionach.

Później, kiedy ich podwoziliśmy do domu Flavii, Marco pomógł jej wysiąść i czule otoczył ją ramieniem. Jeszcze jedno spostrzeżenie: w ten pechowy wieczór, kiedy to w ciebie trafi puszcza, nigdy nie wiesz, kto akurat będzie obok, żeby cię pocieszyć.

W samochodzie zostałyśmy już tylko my z Georgią. Kiedy Alan dowiózł nas pod hotel, Georgia spojrzała na niego i na odchodnym powtórzyła:

- Wstydzilibyś się.

* * *

- Uprawiasz seks z mnichem? - spytała zaskoczona Ruby. Serena umówiła się z nią i Alice w knajpce przy Dwudziestej Czwartej i Ósmej. Prawdę mówiąc, wszystkie czuły się trochę skrępowane. Nie z powodu wyznania Sereny, lecz dlatego, że wyglądała jak ci „harekrisznowcy”, których kiedyś widywało się na lotniskach. Wszyscy się na nie gapili.

- Przecież dopiero złożyłaś śluby czystości - dodała.

- A przedtem w ogóle nie uprawiałaś seksu, nigdy? - spytała niezbyt taktownie Alice.

- Cztery lata z nikim nie spałam - odparła Serena. Ruby popatrzyła na nią z ogromnym współczuciem. Alice kontynuowała przesłuchanie świadka.

- Czyli nie uprawiasz seksu, potem składasz śluby czystości i teraz uprawiasz?

- To nie tak - broniła się Serena. - Zakochałam się. Mogłam się zakochać w kimś poznanym w kawiarni albo na kursie, ale traf chciał, że się zakochałam w swamim. To coś poważnego, zdarza się raz w życiu.

Koleżanki nie wiedziały, co na to odpowiedzieć. Wciąż próbowały ignorować fakt, że wszyscy wokół gapili się na Serenę.

- Cóż - rzekła Ruby - wśród księży i zakonnic też się to zdarza.

Alice popiła łyk dietetycznej coli.

- Poza tym to nie jest taka prawdziwa religia, prawda? Nikt ci nie powie, że zgrzeszyłaś i pójdziesz do piekła.

- Hinduiści nie wierzą w piekło, tylko w karmę. Alice poczęstowała się frytką z talerza Ruby.

- Czyli wierzysz, że skoro złamałaś śluby, powrócisz w przyszłym życiu jako mrówka czy coś takiego?

- Chyba raczej prostytutka - westchnęła ze skruchą Serena.

Alice parsknęła śmiechem.

- Fakt, pewnie wrócisz jako tania uliczna dziwka. Sereny to nie bawiło.

- Zadzwoiłam do was, dziewczyny, bo Julie wyjechała i nie mam z kim pogadać. Podjęłam życiowe decyzje i teraz się waham, czy dobrze postąpiłam.

Ruby i Alice spoważniały.

- A z nim rozmawiałaś? Pytałaś, jak się na to zapatruje? - spytała Alice.

Serena objęła głowę dłońmi.

- Ma duże wyrzuty sumienia. Czuje się okropnie.

- Zamierza wystąpić z klasztoru? Czy jak to się u was nazywa. ..

- Jeszcze nie wie. Mówi, że pierwszy raz mu się to zdarza.

Alice porwała dwie frytki z talerza Ruby i wpakowała sobie do ust.

- Jeśli rzeczywiście się kochacie, nie powinniście się niczym przejmować i iść za ciosem. W końcu to miłość, do cholery. Cud. Nic więcej się nie liczy.

- Ale to jeszcze nic nie znaczy. Mnóstwo ludzi się zakochuje i nic z tego nie wychodzi. W hinduizmie dużo się mówi o tym, że cały ten świat, nasze istnienie jest tylko iluzją. Prawdopodobnie zakochałabym się w każdym, z którym bym się przespała po czteroletniej przerwie. On jest swamim od ośmiu lat. Jak mam z nim o tym porozmawiać, skoro nie ma gwarancji, że w ogóle coś z tego będzie? To, że się ktoś w kimś zakocha, jeszcze nic nie znaczy.

Alice miała nadzieję, że Serena ma rację. Miała nadzieję, że zakochanie się w kimś nie jest najważniejsze. Że dobroć i wzajemny szacunek oraz odrobina Brada Pitta od czasu do czasu okażą się skuteczną receptą na jej związek z Jimem. Być może miłość to tylko zauroczenie połączone z pożądaniem i nie powinno się na tej podstawie podejmować ważnych życiowych decyzji.

Ruby przypomniała sobie wszystkich facetów, w których była, jak sądzi, zakochana i z którymi było jej fantastycznie w łóżku, ale nic z tego na dłuższą metę nie wyszło. Teraz nic dla

niej nie znaczyli. Serena miała rację. To tylko iluzja. Już miała otworzyć usta, kiedy Alice wypowiedziała to za nią:

- Chyba nie powinnaś teraz podejmować drastycznych kroków. Sprawa jest zbyt świeża, tak naprawdę nie wiecie, co się między wami dzieje. Nie ma co się śpieszyć.

Serena z ulgą pokiwała głową.

- Tak, tak. Masz rację. To dobry plan. Po prostu poczekam. Siedziały w milczeniu, zadowolone, że przynajmniej ten problem udało się rozwiązać. Ruby napiła się kawy i spojrzała za okno. Zobaczyła dwóch trzynastolatków ubranych w hip - hopowe ciuchy, którzy śmiali się i pokazywali na Serenę. Szybko odwróciła głowę, udając, że nic nie widziała.

Tymczasem w Rio

Nazajutrz po przebudzeniu zobaczyłam wlepione we mnie oczy Georgii. Leżała na swoim łóżku.

- Dzisiaj zamawiam męską prostytutkę.

- W ogóle to dzień dobry.

- A dlaczego nie? Wystarczy, że na lotnisku będę o ósmej.

Mam mnóstwo czasu.

Otworzyła katalog agencji na zaznaczonej stronie i wzięła do ręki telefon. Bez wahania wybrała numer. Rzeczowym

tonem spytała, czy może zamówić Maura na godzinę pierwszą po południu. Podała adres hotelu i numer naszego pokoju, przystała na cenę w wysokości pięciuset dolarów i odłożyła słuchawkę. Przez chwilę siedziałyśmy w ciszy.

Nagle Georgia wybuchnęła śmiechem.

- Przecież ja nie mogę tego zrobić. Jestem matką, na litość boską.

Odetchnęłam z ulgą.

- Nie możesz. Cieszę się, że wreszcie odzyskałaś rozum. Dzwon do nich.

Ale ona zmieniła zdanie.

- A właśnie, że to zrobię. Chcę wiedzieć, czy płatny seks sprawi mi przyjemność. Poza tym jesteśmy w Rio, nie?

Własnym uszom nie wierzyłam. Ona naprawdę miała zamiar uprawiać seks z wynajętym mężczyzną. Zgroza. Wkurzyłam się na nią, ale muszę przyznać, że trochę mi też zaimponowała.

Okolo południa zaczęłyśmy przygotowania do „randki” Georgii z Maurem. Ustaliłyśmy, że zaczekam w pokoju, aż przyjdzie, żebyśmy obie mogły go sobie obejrzeć. W duchu trochę liczyłam na to, że facet stchórzy. Cały ten pomysł wydawał mi się niedorzeczny. Na razie jednak

kombinowałyśmy, co Georgia powinna na siebie włożyć. Po przejrzeniu walizek pełnych letnich sukienek, szortów, szpilek i strojów wieczorowych, decyzja została podjęta: dzinsy i T - shirt. Jakoś nam się wydawało, że nie powinna wyglądać na zbyt napaloną. Chciałam, żeby założyła coś, w czym nie będzie się czuła idiotycznie, w razie gdyby misja z jakiegoś powodu została przerwana. No bo cc może być gorszego niż zostać samej w hotelowym pokoju w jakimś skąpym neglizu, odesławszy uprzednio męską prostytutkę bez skorzystania z jej usług? Uznałyśmy, że dzinsy i T - shirt będą najlepsze. Przecież Georgia płaci te pięć stów po to, żeby iść z facetem do łóżka i nie martwić się o swój wygląd.

Punktualnie o pierwszej zadzwonili z recepcji z informacją, że niejaki pan Torres chce się widzieć z Georgią.

- Dziękuję. Proszę mu przekazać, żeby się zjawił na górze za pięć minut, dobrze? - odpowiedziała Georgia i odłożyła słuchawkę. Obie wrzasnęłyśmy i zaczęłyśmy biegać po pokoju.

- Co robimy? Co powiemy, kiedy przyjdzie? - piszczałam, wskakując na kanapę.

- Przede wszystkim od razu damy mu do zrozumienia, że ty nie zostajesz, że nie próbujemy go oszukać i zabawić się we dwie za jedną cenę.

- Jak to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało... No, nie wiem!

- Nie, to szaleństwo. Czy ja oszalałam? Tak, oszalałam!!!

- Georgia krążyła nerwowo z kąta w kąt i próbowała się opanować.

- Wino! Przecież musicie coś strzelić na początek. Jak mogliśmy o tym zapomnieć? - Zaczynałam się w to wkręcać. Pociąg już się rozpędził po torach i byłam ciekawa, dokąd nas powiezie.

Georgia podbiegła do barku. Odkorkowała małą buteleczkę wina, pociągnęła haust i przekazała mnie. Też najchętniej bym się uchląła.

- O czym ja z nim będę rozmawiać? Normalnie na pierwszej randce zadajesz pytania typu: „Czym się zajmujesz?“, „Lubisz swoją pracę?“, „Gdzie mieszkasz?“. A o co jego spytać?

Wypiłam kolejny łyk chardonnay.

- Nie wiem. Gadajcie o Rio, spytaj go o Brazylię. Niech powie, co to takiego, co nam tak strasznie smakowało. To, co wygląda jak piasek.

- Dobra. Rio i żarcie.

Skończyłam butelkę i otworzyłam następną.

- Rozleję do kieliszków. Jeden będzie dla ciebie, drugi dla niego.

- Dobra. To pozwoli przełamać lody. - Georgia wyjęła kieliszki i na chwilę się zatrzymała.

- Czekaj. A jeśli on nie pije?

- Trzeźwa prostytutka? Myślisz? - powiedziałam i drżącą ręką nalałam wina.

- No tak, racja. - Georgia postawiła kieliszki na stole. - Teraz musimy ustalić plan. Potrzebujemy hasła na wypadek, gdyby którejś z nas coś się w nim nie spodobało.

- Słusznie. Pomyślmy. Może „samba”? Powiem, że byliśmy w szkole samby i bardzo nam się podobało.

- Nie. Ma pozytywny wydźwięk. Zapomnę i pomyślę, że ci się spodobał.

- No to może „byliśmy w szkole samby, ale to dla nas za trudny taniec”.

- Lepiej. To mi się skojarzy z czymś przykrym i będę wiedziała, że facet jest do kitu. A jeśli mi się spodoba i zechcę, żebyś wyszła, to co? - Georgia spojrzała w lustro i

poprawiła włosy. Potem pobiegła do łazienki i przepłukała gardło płynem do zębów.

- Normalnie. Powiesz: „Julio, chyba powinnaś już iść, bo się spóźnisz na spotkanie”.

- Dobra. - Wróciła do pokoju, napiła się wina z kieliszka i strasznie się skrzywiła. - Faj, płyn do zębów plus chardonnay. Blee! - Wypluła wszystko w łazience i jeszcze raz przepłukała gardło.

- A jeśli każesz mi wyjść, a ja mimo wszystko będę miała złe przeczucia?

- No to powiesz: „Już idę. A mogę cię jeszcze prosić na minutkę?”. Wtedy wyjdziemy na korytarz i pogadamy. - Georgia wróciła do pokoju i znów pociągnęła łyk wina. Tym razem się nie skrzywiła i piła dalej.

- Niech będzie. No, to chyba jesteśmy gotowe.

W tym momencie jakby na zawołanie rozległo się stukanie do drzwi. Zamarłyśmy. Potem podbiegłyśmy do siebie i z przejęciem ścisnęłyśmy się za ręce.

- Ja otworzę - zaproponowałam w przyпіływie odwagi. Podeszłam do drzwi i położyłam dłoń na klamce. Przed naciśnięciem raz jeszcze odwróciłam się do Georgii. Wymieniłyśmy wymowne spojrzenia i otworzyłam drzwi.

Stał w nich nasz tajemniczy Mauro. Nie wiem, o co chodzi z tymi Brazylijczykami, ale miał tak zniewalający uśmiech, że człowiek od razu się rozluźniał. Ze swoim zadartym nosem i lekko nażelowanymi włosami mógłby być gwiazdą opery mydlanej. Był młody, wyglądał na jakieś dwadzieścia siedem lat i tak się składa, że też miał na sobie dżinsy i T - shirt. Moja pierwsza myśl: „Nie jest gejem ani seryjnym mordercą”. Drugą była chęć zapytania go: „Co taki miły chłopak jak ty...” Ale powiedziałam tylko:

- Mauro, prawda? Wejdz, proszę. Uśmiechnął się i wszedł do pokoju.

Georgia miała przyklejony do twarzy tak szeroki uśmiech, że myślałam, że jej skóra pęknie. W celu uniknięcia ewentualnych nieporozumień, zastrzegłam od razu:

- Ja zaraz wychodzę. Wpadłam tylko się przywitać i sprawdzić, czy... czy wszystko w porządku.

Mauro kiwnął głową.

- Rozumiem. Oczywiście.

Georgia podeszła do niego z kieliszkiem. Widziałam, jak ręce jej się trzęsą.

- Napijesz się wina? - Jej głos był znacznie spokojniejszy od rąk.

- Bardzo chętnie. - Wziął kieliszek. - Usiądźcie, proszę. Zrelaksujmy się.

Natychmiast usiadłyśmy jak posłuszne psiaki. Georgia i ja na kanapie, a Mauro w fotelu po stronie Georgii. Uświadomiłam sobie, że w tej całej nerwówce zapomnialiśmy o jednej ważnej rzeczy: być może dla nas to był pierwszy raz, ale dla niego na pewno nie.

- No i jak wam się podoba w Rio? - zagadnął. Georgia opowiedziała mu o plażach, wizycie w dzielnicy

Lapa i tak dalej, a ja w tym czasie próbowałam go rozgryźć. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który nie lubi swojej pracy. Nie był naćpany i nie sądzę, aby na dole za rogiem czekał na niego typ w kapeluszu i futrze, który go pobije i odbierze forszę. Mauro wydawał się całkiem zadowolony z naszego towarzystwa. Może poczuł ulgę, bo Georgia to w końcu piękna kobieta, nawet gdy ma na sobie dzinsy i bawełnianą koszulkę. A może zwyczajnie lubi seks? Czemu miałby na tym nie zarabiać? Tylko jak on sobie radzi z obsłużeniem tylu klientek? Tego przecież nie sposób udawać. A co z tymi, które są brzydkie? Nosi gdzieś ukrytą kroplówkę z viagrą? Nasunęło mi się tyle pytań, że nie mogłam się powstrzymać.

- Lubisz swoją pracę, Mauro?

Georgia spiorunowała mnie wzrokiem, próbując telepatycznie zamknąć mi usta.

Mauro tylko się uśmiechnął. I znów: z pewnością nie pierwszy raz miał do czynienia z ciekawską babą.

- Bardzo. W Rio nie jest łatwo zarobić na życie, a ja uwielbiam kobiety - odparł. Zmierzyłam go wzrokiem i nadal nie dostrzegłam w nim żadnego zagrożenia. Było w nim jednak coś nieokreślonego. Jakaś pustka. Obojętność.

- Czy trudno jest uprawiać seks z kobietami, które są, no wiesz, nieatrakcyjne?

Mauro uniósł brwi i pokręcił głową.

- Każda kobieta przeżywająca rozkosz wygląda pięknie.

Tekst prosto z pierwszej strony Podręcznika męskiej prostytutki, ale trzeba przyznać, że skuteczny. Następne, co usłyszałam, to:

- Julio, nie spóźnisz się czasem na spotkanie?

Spojrzałam na Georgię, która teraz próbowała mnie telepatycznie przetransportować za drzwi. Baby jednak podniecają się równie łatwo jak faceci, tylko że my zamiast pornosów potrzebujemy mężczyzny, który nas okłamie i bez względu na wszystko powie, że jesteśmy piękne.

- Fakt, muszę lecieć - powiedziałam, wstając. Mauro też się podniósł. Dobrze wychowany młody człowiek. - Miło mi było cię poznać. - Zabrałam torebkę, podeszłam do drzwi i jeszcze raz spojrzałam na Georgię. Szczęząc zęby, pomachała mi palcami na pożegnanie. Wiedziałam, że jest bezpieczna.

Dla zabicia czasu postanowiłam się przejść po plaży. Stając na piasku, spojrzałam na dwa kształtne zielone wzgórza wyłaniające się w oddali z oceanu, których kształt wielu przyrównuje do kształtu pośladków brazylijskiej kobiety.

Nie dadzą mi zapomnieć. Nawet góra ma lepszy tyłek ode mnie.

Spacerując, rozmyślałam o Thomasie i dniach, które razem spędziliśmy. Może ja to sobie tylko wymyśliłam? Ten cały romans, więź, która nas połączyła? Kiedy mijałam kobiety eksponujące pośladki wystające ze stringów, przyglądałam się, czy któraś nie ma cellulitu. Jak dotąd żadna.

Może Thomas nie dzwoni z powodu mojego cellulitu? Pewnie przespał się ze mną, bo czuł, że coś nas łączy, ale później, kiedy pomyślał, jakich okropności musiał dotykać i jakie oglądać, opamiętał się. Usiadłam na piasku i zastanawiałam się, kiedy to się skończy. Kiedy wreszcie zacznę się czuć dobrze w swoim ciele? Nie umiem siebie

kochać. To zbyt trudne. Kobiety heteroseksualne potrzebują mężczyzny który im powie, że są piękne, seksowne i wspaniałe. Taka prawda. Bo każdego dnia świat nam daje odczuć, że nie jesteśmy dość ładne, dość chude i dość bogate. Trudno oczekiwać, że zyskamy pewność siebie, zapalając świeczkę i wypowiadając kilka pozytywnych myśli. Zaczynałam powoli popadać w spiralę rozpacz i użalania się nad sobą, gdy nagle coś mi się przypomniało: Paulo, ten facet z klubu, dał mi swój numer.

Cenna informacja, o której niemal zapomniałam. Niczym topielec chwytający się koła ratunkowego, złapałam za komórkę i wyszukałam jego numer w książce. Zadzwoiłam. Nie mogłam się powstrzymać. W końcu byłam w Rio, a Thomas nie raczył się odezwać.

Potem sobie przypomniałam, że Paulo nie mówi po angielsku, więc szybko wysłałam SMS - a. Może akurat obok będzie ktoś, kto zna angielski i pomoże mu go odczytać. Napisałam: „Cześć, Paulo. Spotkamy się dzisiaj?”. Zamknęłam telefon i pomyślałam o Georgii. Ciekawe, jak jej idzie z Maurem.

Czy nie zachowujemy się skandalicznie? Korzystamy z usług męskich prostytutek, sypiamy z żonatymi facetami,

podrywamy kochanków na jedną noc. Na tym, między innymi, ma polegać życie singielki? Zanim zdążyłam się w to wgłębić, zapikowała mi komórka. Przyszła odpowiedź od Paula. Napisał, że może być w hotelu za dziesięć minut. Jak by powiedział Thomas: „Musisz powiedzieć życiu »tak«". A jedną z największych zalet bycia singlem jest to, że możesz to robić tak często, jak zechcesz.

Pędem wróciłam do hotelu i korzystając z karty kredytowej, wynajęłam dodatkowy pokój. Całe szczęście, że mieli wolny. Wysłałam Paulowi numer. Po chwili się zjawił. Gdy zobaczyłam go w drzwiach, miał iskry w oczach.

- Cześć, Paulo - przywitałam się. Nie wiedziałam, ile tak naprawdę rozumie po angielsku, ale zanim zdążyłam powiedzieć coś jeszcze, objął mnie z tyłu i pocałował. Język miał delikatny jak piórko, wodził nim w moich ustach powoli i z wyczuciem. Staliśmy na środku pokoju jakby zawieszeni w czasie. Czułam, że Paulo cały się koncentruje na tym pocałunku, jakby nie chciał, żeby jego język wykonał choć jeden niewłaściwy ruch. Trwało to chyba z kwadrans. W życiu nie spotkałam faceta, który by to robił lepiej.

Potem chwycił mnie w pasie i podniósł. Poczułam się drobna i krucha. Odstawił mnie na ziemię i zaczął delikatnie

całować po szyi, dotykając przy tym mojej głowy, włosów, masując ramiona. Potem ostrożnie mnie obrócił, odgarnął mi włosy z karku i muskał go ustami, przywierając do mnie całym ciałem. Jego dłonie powoli powędrowały do piersi, potem niżej, i wreszcie wślizgnęły się pod koszulkę. Odwróciłam ku niemu twarz, a on się pochylił i znów mnie pocałował, nie przestając pieścić moich piersi. Lewą rękę przesunął w dół po udzie. Włożył ją pod spódnicę i delikatnie poprowadził w górę. Nasze oddechy zaczęły przyśpieszać. Kiedy jego dłoń znalazła się między moimi nogami, z ust wyrwało mi się ciche westchnienie. Prawą ręką trzymałam się biurka, żeby nie stracić równowagi, kiedy napierał na mnie ciałem. Uniósł moją lewą nogę i oparł na krześle. Sięgnęłam do tyłu i gładziłam go po udach i pośladkach. Czułam na sobie jego sztywniejący członek. Paulo manipulował dłonią między moimi nogami. Ciężko dyszałam z podniecenia. Powolutku zsunął mi spódnicę wraz z bielizną, a potem pozbawił mnie koszulki. Sam też się rozebrał. Poczułam dotyk jego gładkiej, rozgrzanej skóry. Chciałam się odwrócić, położyć mu ręce na piersi, głaskać, pieścić, objąć go w pasie i spojrzeć w twarz, ale nie miałam odwagi się poruszyć.

Wtedy, jakby mało było, że facet jest genialnym kochankiem, wyjął z kieszeni szortów prezerwatywę. Od dłuższej chwili bałam się nadejścia tej niezręcznej sytuacji. Wtedy trzeba się od siebie oderwać i któreś zwykle mamrocze coś w rodzaju: „Masz może...?“, „Chyba powinniśmy...”. Oszczędzono mi tego. Paulo był dżentelmenem (poza tym, że amatorską gwiazdą porno). Odpakował kondom i założył.

Pewnie istnieją kobiety, które dobrze sobie radzą z całym rytuałem odpakowywania, rozwijania i nakładania prezerwatywy ukochanemu, ale nie ja. Mniej więcej odkąd skończyłam trzydzieści pięć lat, kondomy oznaczają dla mnie poważne ryzyko utraty erekcji u partnera. Nie wiem, czy to z facetami było coś nie tak, czy ze mną, ale tyle razy wszystko poszło na marne, gdy tylko pojawił się kondom, że zaczęłam się ich bać. Po pewnej liczbie takich przypadków, postanowiłam trzymać się od nich z daleka. Oczywiście, używam, ale staram się ich nie dotykać. Niech facet to załatwia. Jeśli mu opadnie, sam sobie będzie winien. Paulo w każdym razie nie miał problemów z erekcją i zręcznie się we mnie wsunął. Przywarł do mnie całym ciałem i objął ramionami.

- Jesteś piękna - szepnął mi do ucha.

Pocałował mnie w płatek ucha. Potem zaczął powoli przesuwać po nim językiem. Łaskotał mnie jego ciepły oddech. Ten facet to człowiek - orkiestra: prawą ręką bładził między nogami, trafiając dokładnie tam, gdzie trzeba, muśnięcia języka na karku przyprawiały mnie o gęsią skórkę, a przy tym poruszał się we mnie delikatnie, w idealnym rytmie. I to wszystko, proszę państwa, na stojąco. Czułam się, jakbym uprawiała seks z kilkoma facetami naraz; wszystkie strefy erogenne na moim ciele były pieszczone i całowane, a to robił on sam. Wydawałam z siebie odgłosy, o jakie nigdy się nie podejrzewałam. Paulo ani na chwilę nie stracił rytmu, gdy moim ciałem wstrząsnął orgazm. Odwróciłam się do niego twarzą i mocno go pocałowałam. Nie wysuwając się ze mnie, Paulo przeniósł mnie na fotel i posadził na sobie. Chciałam mu się odwdzińczyć. Chwytał mnie za biodra i ustalił rytm. Teraz była moja kolej, żeby się trochę postarać. Poruszałam się pod jego kierunkiem, bojąc się, czy moje uda to wytrzymają - głupio by było, gdybym teraz dostała skurczu. Patrzyłam, jak zamyka oczy, koncentrując się na własnej przyjemności. Nagle jednak spojrzał na mnie, przyciągnął ku sobie i zanurzając dłonie we włosach, pocałował. Objęłam go za szyję i kołysaliśmy się razem, dysząc i sapiąc, aż w

pewnym momencie Paulo mocniej zacisnął wokół siebie moje uda i przeszedł ze mną na łóżko. Przez chwilę miałam lęki, czy robiłam coś nie tak. Za szybko? Za wolno? Kiedy jest się na górze, czasem trudno... Odrzuciłam tę myśl natychmiast, gdy naparł na mnie ciałem. Oplotłam nogami jego tors.

Co jakiś czas zaglądał mi w oczy z uśmiechem i całował mnie. W tej chwili był sam, wiedział dokładnie, jak się poruszać, żeby dojść. Co też uczynił, po portugalsku:

- Meu Deus, meu Deus!

Zszedł ze mnie i położył się obok. Obróciłam się do niego twarzą. Delikatnie się pocałowaliśmy. Leżeliśmy spleceni ze dwadzieścia minut, a potem Paulo szepnął mi do ucha:

- Muszę już iść.

Trzy minuty później był już ubrany i całował mnie na pożegnanie.

- Jesteś cudowna - powiedział czule. I tyle go widziałam.

Opadłam na łóżko, chciałam jakoś ogarnąć swoje odczucia po tym, co się stało, ale nie miałam na to czasu, bo zaraz zadzwoniła Georgia, że nasz pokój jest już wolny i można bezpiecznie wrócić. „Ale z nas rozpustnice” - pomyślałam.

Gdy weszłam do pokoju, łóżko na szczęście było posłane. Żadnych widocznych śladów współżycia seksualnego. Georgia była spakowana i gotowa do wyjazdu na lotnisko.

- Cześć, Julie - powiedziała, nie dając nic po sobie poznać.

- Cześć. - Usiadłam na kanapie. - No i? Jak było? Georgia rozsiadła się w fotelu i zastanawiała nad odpowiedzią przez dobre dwie minuty.

- Muszę przyznać, że płatny seks nie jest taki zły.

Georgia wyglądała zupełnie tak samo jak przedtem. Wiem, że to dziwne spostrzeżenie, tak jakby odbycie stosunku za pieniądze miało od razu odcisnąć jakieś piętno na twarzy. Gdyby tak było, w Ameryce znacznie więcej kobiet występowałoby o rozwód.

- Było fajnie. Nawet bardzo fajnie.

- To opowiadaj!!!

- No już, już. - Zrobiła strasznie poważną minę, jakby była astronautką, która ma zrelacjonować wrażenia ze spaceru po Księżycu. - W łóżku był niesamowity. Prawdziwy zawodowiec, cały czas miał twardego. Był ostry, sponiewierał mnie po całym pokoju... W pozytywnym sensie, oczywiście. Tak że seks był naprawdę super.

- Czyli było fajnie. Jesteś zadowolona, że to zrobiłaś?
Georgia się zawahała.

- Jak mówiłam, fizycznie w pełni mnie zadowolił. -
Wstała z fotela i podeszła do lustra. Wzięła z biurka szminkę i poprawiła makijaż.

- I...?

- I nic. Gdybym miała się do czegoś przyczepić, powiedziałabym, że trochę wiało chłodem. Nie to, że on był niemiły albo nieczuły, tylko...

- Jakbyś się kochała z prostytutką? Georgia zaczęła się śmiać.

- Właśnie. Jakbym się kochała z prostytutką. Nagle zadzwonił telefon. Przyjechała taksówka.

- Ale wiesz, co? - dodała Georgia. - Czasem dobry seks po prostu wystarczy. I w takim nastroju opuszczam ten hotel.

Uśmiechnęłam się. To prawda.

Musiała już iść. Odprowadziłam ją do taksówki i uściskałam na pożegnanie. Byłoby cudownie zabrać się z nią i polecieć do domu, ale miałam przecież inne plany. Georgia wręczyła mi kartkę.

- To numer mojej kuzynki w Australii, Rachel. Świetna dziewczyna i zna mnóstwo ludzi.

- Gdzie? W Australii?
- Tak tylko pomyślałam.
- Masz rodzinę w Sydney? Kawał drogi.
- Wiem, ale przecież masz ten otwarty bilet.
- Mam, ale to chyba jednak za daleko. Nie chcę znowu dostać napadu lęku w samolocie. Zużyję cały lexomil i spanikuję nad Pacyfikiem.

- Masz. - Georgia wyjęła foliowy woreczek z jakimiś tabletkami. - Dam ci trochę xanaxu. Na wszelki wypadek. Działa cuda.

- Ale ja będę lecieć sama. To strasznie długa podróż.
- Na miejscu od razu poznasz moją kuzynkę. Ona ci we wszystkim pomoże.

Spojrzałam na woreczek. Miałam zdecydowanie wystarczającą porcję medykamentów na czas podróży.

- Czytałam, że mają tam teraz deficyt mężczyzn. Rzeczywiście, to by było dobre miejsce, żeby pozbierać materiały do książki.

Georgia spojrzała na mnie tym swoim wzrokiem i rzuciła krótko:

- Julie, jedź.

No i co miałam zrobić? Posłuchałam.

ZASADA 6

POGÓDŹ SIĘ ZA STATYSTYKAMI, BO I TAK ICH NIE ZMIENISZ
(A MOŻE JEDNAK?)

Zawsze byłam pewna, że żyjemy w świecie, w którym aby się przemieścić z Rio de Janeiro w Brazylii do Sydney w Australii, wystarczy wsiąść do samolotu i już. Może z jedną przesiadką, dajmy na to w Nowej Zelandii. Kiedy jednak wręczono mi w recepcji wydrukowany plan mojej podróży, przypominał on egzemplarz „National Geographic”. Wyleciawszy z Rio, po czterech i pół godzinie będę miała przesiadkę w Santiago w Chile. To nawet fajnie. Potem czeka mnie pięciogodzinny lot do Hanga Roa. Pytacie, gdzie to jest? To stolica Wyspy Wielkanocnej. Gdzie leży Wyspa Wielkanocna? Na południowym Pacyfiku, na zachód od wybrzeży Chile. Miejscowi nazywają ją Rapa Nui, liczy trzy tysiące mieszkańców i słynie z ustawionych wzdłuż wybrzeża tajemniczych kamiennych posągów o groźnych obliczach. Podobno piękne miejsce, można ponurkować z fajką, pojeździć konno, zwiedzić tajemnicze ruiny i połączyć po górach, podziwiając cudowne widoki. Ja niestety spędzę tylko godzinę na lotnisku, oczekując na samolot do Papeete na

Tahiti. Dotarcie tam zajmie mi kolejne pięć godzin - na miejscu będę o wpół do dwunastej w nocy. W Papeete zaczekam do trzeciej nad ranem, a potem ruszę w ośmiogodzinny lot do Sydney.

Większą część tej dwudziestodwupółgodzinnej podróży zniosłam bez problemu. Umiejętnie dozowałam leki niczym wprawna farmaceutka. Lecąc do Chile, zażyłam Tylenol PM. To samo w drodze na Wyspę Wielkanocną. Na Tahiti wzięłam lexomil, a na drogę do Sydney xanax. Genialne.

Tym razem duszności, poty i zawroty głowy dopadały mnie nie w powietrzu (leki działały), ale na lądzie, na lotniskach, gdzie miałam przesiadki.

Postanowiłam wykorzystać przerwy w podróży na poczytanie o tym rzekomym deficycie mężczyzn w Australii i Nowej Zelandii. Wydrukowałam więc wszystko, co udało mi się znaleźć na ten temat w Internecie. W barach i poczekalniach rozmaitych lotnisk na południowej półkuli dowiadywałam się coraz to straszniejszych rzeczy, na przykład, że w 2004 roku w Nowej Zelandii trzydziestodwuletnia kobieta miała takie same szanse na znalezienie partnera w swoim wieku jak kobieta osiemdziesięciodwuletnia albo że w Sydney na jednego faceta

przypada aż pięć kobiet. Znalazłam też pewien raport z Wielkiej Brytanii, z którego wynikało, że wraz ze wzrostem ilorazu inteligencji kobiety o szesnaście punktów jej szanse na zamążpójście maleją o czterdzieści procent. Już nie wspomnę o popularnej radzie udzielanej młodym Australijkom, żeby łąpały mężów przed trzydziestką, bo potem kto wie, czy uda im się w ogóle kogoś poznać, zwłaszcza skłonnego się zaangażować.

Kiedy lecieliśmy do Papeete, już nie panikowałam, że runiemy do oceanu, a te ostatnie minuty będą się ciągnąć w nieskończoność i zdążę sobie uświadomić, że to moje ostatnie chwile na ziemi, że już nigdy nie zobaczę przyjaciół ani rodziny, że nigdy się nie zakocham i nie urodzę dzieci, że moje życie właśnie się kończy. Nie, tego się już nie bałam. Wystarczyło, że się naczytałam o sytuacji starych panien po trzydziestce. Wsiadając na pokład samolotu do Sydney, już w ogóle nie wiedziałam, co myśleć. Co z powiedzeniem, że na każdego gdzieś czeka jego druga połówka? Czas przestać powtarzać tę bzdurę. Statystyki mówią wyraźnie, że to nieprawda. Wygląda na to, że jednak wiele osób tej drugiej połówki nie spotka.

Xanax próbował przejąć kontrolę nad moim skołowanym umysłem opanowanym przez lęki i obsesyjne myśli. Co będzie z tymi wszystkimi kobietami? Skoro nie ma gwarancji, że dla wszystkich starczy facetów, co mają myśleć? Że prawdopodobnie nigdy nie będzie im dane się zakochać, wyjść za mąż, mieć normalną rodzinę? Czy może niektóre dochodzą do wniosku, że mimo wszystko trzeba pójść na kompromis; nie każdy ma szczęście znaleźć w życiu miłość, więc należy brać, co dają? Jak się mają czuć, wiedząc, że w ich życiu nigdy nie będzie osoby, którą autentycznie pokochają - z wzajemnością - głęboko i namiętnie? A kiedy mówię „one”, myślę „my”, a kiedy mówię „my”, myślę „ja”.

Pytam więc: czy to nie jest cholernie smutne? Z jednej strony książki, filmy, romantyczne piosenki i czasem nasze osobiste doświadczenia pokazują nam, że życie bez miłości to tragedia. Najgorszy możliwy los. Z drugiej zaś słyszymy zewsząd głosy, że mężczyzna nie jest nam potrzebny do życia. Że same w sobie jesteśmy fantastyczne, niezależne, silne. No więc jak to jest? To rzeczywiście tragedia, jeśli nie uda nam się znaleźć tej drugiej połówki, której wciąż bezustannie szukamy, czy tylko staromodna, antyfeministyczna gadka? A może miłość jest przereklamowana? Albo lepiej: zanadto ją

upraszczamy? Może nie powinniśmy oglądać filmów i słuchać muzyki, która daje nam złudzenie, że ludzie co rusz się zakochują, a potem żyją ze sobą długo i szczęśliwie. Powinni nam wytłumaczyć, że to bardziej przypomina loterię - wielu gra, lecz tylko nieliczni wygrywają. W zależności od badań, od 43 do 51 procent amerykańskich małżeństw kończy się rozwodem. Mało tego, przeciętny obywatel Stanów, który dożyje siedemdziesiątki, spędzi więcej lat w ciągu swego dorosłego życia w stanie wolnym niż w małżeństwie. A jedne z najnowszych badań wykazały, że pary małżeńskie prowadzące wspólne gospodarstwo domowe znalazły się oficjalnie w nieznacznej mniejszości.

W samolocie właśnie pogasły światła. To lubię w lataniu nocą. Stewardesy zamieniają się w kolonijnych wychowawców i decydują, kiedy jest cisza nocna, delikatnie zmuszając całą kabinę dorosłych ludzi do spania. Ja jednak nie mogłam zasnąć, choć zażyłam tabletkę. Prześladowały mnie myśli o sensie podawania takich statystyk. Jak je traktować? Każda kobieta w Nowym Jorku z pewnością pamięta pewne słynne badania, których wyniki opublikował w 1986 roku „Newsweek”. Mówiły, że jeśli przekroczyłaś czterdziestkę i mieszkasz w Nowym Jorku, masz większe szanse stać się

obiektem ataku terrorystycznego niż wyjść za mąż. Tymczasem - uwaga - dwadzieścia lat później, kiedy wiele czterdziestokilkulatek zdążyło się przeprowadzić do Vermont, wyjść za facetów, których nie kochały, wydać tysiące dolarów na poradniki Marianne Williamson i operacje plastyczne albo po prostu co rano budziło się w strachu z powodu tych cholernych prognoz, w tym samym „Newsweeku” ukazał się artykuł, którego treść sprowadzała się mniej więcej do tego: „Ups... pomyliliśmy się! Wybaczcie. Tak naprawdę macie całkiem duże szanse znaleźć męża. Było, minęło, a teraz, moje drogie, wracajcie do swoich spraw”.

Ja mam swoje własne statystyki. Oto one:

Po pierwsze: każdy facet, choćby był biedny, gruby, łysy, nudny albo arogancki, no, chyba że jest kaleką przykutym do łóżka, zawsze znajdzie sobie dziewczynę.

Po drugie: znam w Nowym Jorku dziesiątki inteligentnych i atrakcyjnych, zdrowych i wysportowanych, spełnionych zawodowo i niezależnych finansowo kobiet po trzydziestce i czterdziestce, które są samotne od lat. Gdy słyszę, że jakaś para ze sobą zrywa, wiem, że mężczyzna o wiele szybciej znajdzie sobie nową partnerkę.

Wyjęłam moją wierną opaskę na oczy i założyłam. Dlatego że mi w niej do twarzy. Żartuję, chciałam wyłączyć mózg. Jest jeszcze jedna sprawa: ten mały monolog, który tu wygłaszam, wygłaszam od lat. I nie tylko ja, ale i mnóstwo kobiet przede mną. Kobiet z pokolenia mojej mamy, a może nawet wcześniejszych. Problem jest wciąż ten sam: za mało porządnych facetów na tym świecie. Co więc robić? Jak singielki mają się nie załamać, kiedy statystyki (i rzeczywistość) mówią nam, że jesteśmy na to skazane?

Do hotelu dotarłam zmęczona i rozdrażniona. Po trwającej ponad dobę podróży marzyłam tylko, żeby się położyć do łóżka. Gdy boy hotelowy wyjmował z taksówki moje walizki, odwróciłam się i spojrzałam przed siebie.

Choć zmysły miałam przytępione z powodu leków i braku snu, doznałam szoku estetycznego na widok budynku opery, który się wyłaniał z wód zatoki niczym fatamorgana. Nie jestem jakąś koneserką architektury, lecz widząc go na żywo, sama się zdziwiłam, jak duże wrażenie na mnie wywarł. Nigdy wcześniej nie widziałam budowli, która by tak organicznie wpasowywała się w naturalny pejzaż miasta. Ponoć architekt John Utzon zaprojektował dach tak, by przypominał statek na pełnych żaglach. I to właśnie ujrzałam -

Sydney Opera House rozwijający żagle wprost na moich oczach.

Hotel był usytuowany przy samym nabrzeżu i choć najbardziej na świecie chciałam się już położyć, nie mogłam się ruszyć - boj zanosił bagaże do środka, a ja stałam i chłonełam widoki. Wtedy postanowiłam, że będę się doskonale bawić w Sydney. Niech szlag trafi statystyki. Z lotniska jechało się bardzo przyjemnie, było ciepło i świeciło słońce. Miasto wydało mi się nowoczesne, a jednak swojskie, angielskie i zarazem azjatyckie. Przygnębienie, które czułam w samolocie, uleciało. Musiałam przesadzić z tymi statystykami i zrobiło mi się od nich niedobrze. Rzeczywistość Sydney to zupełnie inna historia.

Wchodząc do pokoju, ucieszyłam się, że jest ładny i przestronny, z widokiem na morze. Nagle zauważyłam, że na jednym z łóżek ktoś śpi. Znieruchomiałam. Sądząc, że pomyliłam numer, zaczęłam się pomału wycofywać, żeby tego kogoś nie zbudzić. Wtem usłyszałam odgłos, który byłabym w stanie rozpoznać wszędzie: chrapanie Alice. To nawet nie jest chrapanie, ona w czasie snu wydaje coś w rodzaju głośnego pomruku. Znam go z naszych wspólnych wypadów na Bahamy i do Nowego Orleanu. Podeszłam bliżej. Nie myliłam

się, to była Alice, która smacznie sobie spała. Nie wiem, skąd się tam wzięła, ale była. Położyłam się na drugim łóżku i natychmiast zasnęłam. Gdy się obudziłam, Alice wyjaśniła, że Georgia dzwoniła do niej z lotniska w Rio i opowiadała, jak było fantastycznie. Alice, która trochę lubi rywalizować, spytała ją, dokąd się teraz wybieram, i postanowiła dołączyć. Nie orientowałam się, jak obecnie wyglądały sprawy między nią a Jimem, ale fakt, że w trakcie budowania nowego związku stwierdziła, że koniecznie musi wyruszyć na drugi koniec świata, uznałam za zły znak. Jako jej przyjaciółka poczuwałam się do obowiązku, aby zapytać:

- No to opowiadaj, jak wam idzie z Jimem?

Alice pośpiesznie pokiwała głową i uśmiechnęła się półgębkiem.

- Jim jest wspaniały, naprawdę. To bardzo miły facet. - Zerwała się z łóżka. - Może byśmy poszły coś zjeść? Umieram z głodu.

Tego wieczoru spotkałyśmy się w hotelu na drinku z kuzynką Georgii, Rachel. Siedziałyśmy na zewnątrz, mając widok na zatokę. Powierzchnia wody mieniła się w blasku świateł, wiał lekki wietrzyk, a ta niesamowita opera znów demonstrowała swoje wdzięki. Było bosko.

Rachel była trzydziestoletnią, energiczną i rozgadaną Australijką o kręconych blond włosach. Pracowała w dziale reklamy pewnej dobrze prosperującej firmy rodzinnej, która posiada liczne hotele i restauracje w całym Sydney. Mówiła bardzo szybko i jakby trochę przez nos. Niektórzy Australijczycy tak mówią. Popijałyśmy pyszne różowe wino z krajowych winnic, a Rachel opowiadała o atrakcjach, jakie nas jeszcze tego wieczoru czekają.

- Będzie superimpreza, mówię wam. Facet, który ma urodziny, jest strasznie nadziany. Jego rodzina dorobiła się majątku na hodowli bydła. To, że w ogóle tam idziemy, to już jest niesamowita sprawa. Mój kumpel, Leo, załatwił nam zaproszenia. Super, nie?

- Tak, bardzo się cieszymy - odparłam uprzejmie.

- A faceci w Sydney są dosłownie boscy. Mówię wam.

- Słyszałam, że macie tu niedobór. To prawda? Rachel energicznie pokiwała głową.

- Prawda. Oni mogą przebierać. Dlatego zamierzam się trzymać mojego chłopaka, choć często zachowuje się jak palant.

- Nie przeszkadza ci to? - spytałam.

- Trochę, ale za to jest słodki...

Kiedy dotarliśmy na miejsce, impreza trwała w najlepsze. Zebrały się tam najpiękniejsze kobiety i najprzystojniejsi mężczyźni w Sydney, wszyscy ubrani w stylu, który można by nazwać „swobodną elegancją”. Panie w gustownych bluzeczkach i dzinsach lub w zwiewnych sukienkach, włosy modnie uczesane, usta różowe i lśniące. Panowie w marynarkach do dzinsów, świetnie ostrzyżeni. Wnętrze prywatnego klubu urządzone w stylu bliskim estetyce Opery Paryskiej - wszędzie czerwony aksamit, złocenia i ścienne malowidła.

Kiedy szliśmy do baru, podszedł do nas wysoki brunet z mnóstwem żelu we włosach. Rachel powiedziała, że to Clark, gospodarz przyjęcia. Pocałował ją w policzek.

- Więc to są te dziewczyny z Nowego Jorku?

- Tak, Julie i Alice.

Spojrzał na mnie.

- To ty robisz wywiady z samotnymi kobietami na całym świecie?

- Tak - odparłam nieco skrzępowana.

- Świetnie. Napijcie się „Sammy'ego”? Wszyscy to dziś piją.

- Chętnie - odpowiedziała Rachel, a Clark pochylił się nad kontuarem, żeby zamówić drinki.

- Co to jest „Sammy”? - zapytała Alice.

- Semillon. Lokalne białe wino. Mało znane w Stanach, ale tutaj bardzo popularne.

Clark przyniósł kieliszki.

- Przedstawić cię moim znajomym singielkom?

- Pewnie. - Wyjęłam z torby notatnik. Alice chwyciła mnie za nadgarstek.

- Nie teraz - powiedziała. - Najpierw Julie musi pogadać z jakimiś samotnymi facetami. - I poprowadziła mnie w stronę grupy mężczyzn. - Deficyt, akurat - dodała. - Guzik warte są te statystyki. Udowodnię ci to.

I rzeczywiście, nie minęło wiele czasu, a zaprzyjaźniła się z grupką czterech młodych ludzi w garniturach. Z ogromnym zaciekawieniem słuchali jej opowieści, jak to pewnego razu udało jej się przekonać sędziego, żeby wobec braku dowodów wypuścił dealera narkotyków, a ten w ramach podziękowań od razu zaproponował jej działkę koki. Byli pod wrażeniem.

- Coś niesamowitego - skomentował jeden wyjątkowo przystojny.

- To imponujące, żeby w tak młodym wieku tyle osiągnąć
- dodał inny.

Ten Jim musiał mieć na nią zbawienny wpływ, bo Alice nie czuła w tym momencie potrzeby, żeby kłamać czy w jakikolwiek sposób siebie deprecjonować. Czuła się na tyle pewnie w swojej skórze, że palnęła prosto z mostu:

- Wcale nie jestem taka młoda, mam trzydzieści osiem lat.

Wszyscy spojrzeli na nią z niedowierzaniem. Ten wyjątkowo przystojny powiedział:

- Myślałem, że najwyżej trzydzieści dwa!

- A ja bym ci dał góra trzydzieści - dorzucił drugi, niższy, bardziej krępy. Koledzy przytaknęli mruknięciem.

- Nie, nie. Trzydzieści osiem. - I nagle postanowiła pociągnąć mnie za sobą na dno. - Julie tak samo.

Powiedzmy sobie szczerze, w takiej sytuacji każdy mężczyzna powinien zrobić wielkie oczy ze zdziwienia; to jedyna prawidłowa reakcja. Na szczęście tak też się zachowali.

Zawsze czuję się winna, że sprawia mi aż taką przyjemność, gdy ktoś myśli, że jestem dużo młodsza niż w rzeczywistości. Jakby to był nie wiadomo jaki wstyd wyglądać na swój wiek. Ilekroć mówię „dziękuję” osobie, która mi

powie taki komplement, myślę sobie: „Właśnie oboje przyznaliśmy, że starość to przykra rzecz dla kobiety”.

- Obie wyglądacie wspaniale jak na swój wiek - powiedział ten niski. Nie wiem, czemu, chyba przez to, że powiedział to tak beznamiętnie, poczułam się nagle strasznie staro. Muzyka robiła się coraz głośniejsza i ludzie zaczęli tańczyć. Dwaj z czterech naszych towarzyszy nagle musieli się pilnie znaleźć w innej części sali. Przystojniakowi tak łatwo nie poszło - Alice porwała go do tańca. Ja i ten niski patrzyliśmy chwilę na siebie, aż w końcu go zapytałam, czy nie chce zatańczyć. Uprzejmie się zgodził.

Wyszliśmy na parkiet. Nie chcę się chwalić, ale ja i Alice umiemy tańczyć. Żadne tam szaleństwa, nie robimy z siebie widowiska na parkiecie, po prostu mamy jako takie poczucie rytmu. Właśnie leciało Groove is in the Heart, a przy tym aż chce się poskakać. Płasałyśmy więc z zapałem, kręcąc pupami, od czasu do czasu klaszcząc w dłonie. Tymczasem nasi partnerzy ledwie dreptali w miejscu. Okej, rozumiem, nie każdy musi umieć tańczyć, ale to natychmiast zgasiło cały mój entuzjazm. Zaczęłam trochę mniej kręcić pupą, trochę wolniej stawiać kroki. Alice przeciwnie: starała się tańczyć jak najbliżej przystojniaka, raz nawet położyła mu rękę na

biodrze, potem ją zabrała i zrobiła obrót. Broń Boże nie była w tym śmieszna, po prostu dziewczyna przyszła na imprezę, więc się bawiła. Przystojniak nie wykazywał jednak chęci do współpracy. Ja mimo wszystko się cieszyłam, bo uwielbiam tę piosenkę, lecz trudno było nie zauważyć, że Przysadzisty w czasie tańca bez przerwy spoglądał gdzieś ponad moją głowę. W ogóle nie patrzył na mnie. W tańcu podoba mi się właśnie to, że możemy się poczuć wolne, seksowne i uwodzicielskie nawet przy kimś, kto nas wcale nie interesuje. Tak jak pocałunki w Rio, to doskonały sposób, by nieco podkreślić swój erotyczny potencjał, niekoniecznie idąc do łóżka z kimś, z kim nie mamy ochoty.

Posyłałam więc Przysadzistemu uśmiechy, wdzięczyłam się i starałam być miła. Miał bardzo krótko przystrzyżone włosy i okrągłą rumianą twarz. Raz odwzajemnił uśmiech, na krótko, ale potem znów wbił wzrok pół metra nad moją głowę. Zaczynało mnie to irytować, więc kiedy piosenka dobiegała końca, miałam zamiar zejść z parkietu i uwolnić się od niego, ale z głośników poleciało Hey Ya grupy Outkast, a ja wprost uwielbiam ten kawałek. Tańczyłam więc dalej, nie dając Przysadzistemu szansy na ucieczkę.

Kiedy tak sobie podrygiwałam, na moment złapałam jego wzrok, więc się uśmiechnęłam. Facet mnie zignorował, jakbym była przezroczysta. W tej krótkiej chwili zrozumiałam, co jest grane: „Kompletnie nie jestem dla niego atrakcyjna seksualnie”. Oczywiście, przeżywałam to już wcześniej, na randkach, w rozmowach, ale nigdy podczas tańca, kiedy wykonuję moje seksowne ruchy. Poczułam, jak zalewa mnie fala upokorzenia.

- E, przesadzasz - powiedziała do mnie później Alice, gdy czekałyśmy przy barze na kolejną lampkę wina. - Facet po prostu nie przepada za tańcem. Z moim było to samo. Dlatego tylko się kiwał do rytmu. Nie zamierzam tego brać do siebie.

- Alice, on mnie cały czas omijał wzrokiem. CAŁY CZAS! - prawie krzyknęłam.

Wypiłyśmy wino, zresztą pyszne. Muzyka wciąż zachęcała do tańca.

- Chodź, potańczymy same - stwierdziła Alice. - Pieprzyć tych gości.

Spojrzałam na tych wszystkich pięknych ludzi dookoła. To mój pierwszy wieczór w Sydney i żaden kurdupel mi go nie zepsuje. Odstawiłyśmy kieliszki i ruszyłyśmy na parkiet.

Ale wciąż byłam poirytowana. Przekrzykując hałas, powiedziałam do Alice:

- Mówię ci, gdybym się paliła, ten facet nawet by palcem nie kiwnął, żeby mnie ratować.

- A ja ci mówię, że niektórzy faceci po prostu nie lubią tańczyć! To nie ma nic wspólnego z tobą!

W tym momencie spojrzałam poza nią i zobaczyłam, że mój kurdupel wywija hołubce i kręci młynki w towarzystwie dwudziestodwuletniej blond siksy. Tańczył tak zapamiętale, że aż się pocił. Widząc moją minę, Alice się obejrzała. Zatkaną ją. W tym samym czasie spojrzaliśmy w lewo i zauważyliśmy Przystojniaka przyklepionego w tańcu do jakiejś baby. Trzymał jej ręce na biodrach i razem kołysali się do rytmu. Musiał ją poznać raptem trzy minuty temu. Przesunął dłonie w kierunku jej twarzy i pocałował ją. Przeszali tańczyć i zwyczajnie zaczęli się migdalić na środku parkietu. Alice to zobaczyła. Właśnie za to, między innymi, ją kocham: umie się przyznać do porażki. Pochyliła się do mnie i powiedziała:

- Spieprzamy stąd.

Tymczasem w Stanach

Sam, mężczyzna, z którym umówiła się Georgia, miał jedną wdzięczną cechę - nieśmiałość. Był bardzo

zdenerwowany, bo to jego pierwsza randka od czterech miesięcy, kiedy to rozwiódł się z żoną. Zachowywał się jak uczeń na balu maturalnym. To spotkanie to robota Alice, która zna Sama jeszcze z czasów swojej praktyki adwokackiej. Teraz, gdy ona i Jim oficjalnie „chodzili” ze sobą, mogła poświęcić więcej czasu na szukanie narzeczonych innym. Umówili się w małej restauracyjce na uboczu, przy ulicy, o której Georgia nawet nie słyszała - Tudor Place. Biegła nieco wyżej niż reszta okolicy, dając wspaniały widok na nocną panoramę Nowego Jorku z górującym w oddali budynkiem ONZ. Georgia była oczarowana. W lokalu panowała nastrojowa atmosfera - kolorowe tkaniny, świece. Można się było poczuć jak w rezydencji jakiegoś szejka. Sam zaczął od zamówienia butelki wina, co od razu Georgii zaimponowało. Dale znalazł się na winach, to była jedna z rzeczy, które jej się zawsze w nim podobały. Zresztą oboje to lubili. Zanim dzieci przyszły na świat, chodzili na kursy somelierskie, a raz nawet spędzili wakacje w winnicach Sonomy.

Dzisiaj Sam zamówił niezłego shiraza, a potem rozpoczął swą absolutnie ujmującą spowiedź.

- Pierwszy raz od rozvodu umawiam się z kobietą i strasznie się denerwuję. Przed wyjściem przymierzyłem aż

trzy koszule. - Uśmiechał się i gapił na swoje palce, którymi bębnił po stole.

Od razu przypadł Georgii do serca. Szczery, bezbronny facet, który zna się na winach.

- Niepotrzebnie, wyglądasz świetnie.

I to była prawda. Wysoki, smukły szatyn o gładkich włosach sięgających poniżej uszu. Przypominał nieco Jamesa Taylora, o ile James Taylor posiada jeszcze jakieś włosy.

- Dziękuję. - Spojrzał na Georgię i znowu spuścił wzrok. - Alice mówiła, że jesteś bardzo ładna i inteligentna, więc czułem presję. - Tym razem spojrzał jej prosto w oczy. - Ale nie wiedziałem, że jesteś aż tak ładna. - Nerwowym ruchem odgarnął włosy z twarzy. - Dzięki, że zgodziłaś się zjeść ze mną kolację. To miłe z twojej strony.

Georgia zaczęła się śmiać.

- Ależ ja nie robię tego z uprzejmości. Wydałeś mi się sympatyczny przez telefon, a poza tym Alice dobrze cię zareklamowała. Sam się zmieszał i też się roześmiał.

- No tak. Chyba nie powinienem się tak uzalać nad sobą, ale wiesz, rozwód i tyle lat nieudanego małżeństwa trochę podkopuje pewność siebie.

Georgia wolno pokiwała głową.

- Oj, wiem.

W rzeczywistości, kiedy na niego patrzyła, myślała sobie: „Jaki on prostoduszny. Zero ściemniania czy pozy”. Był dorosłym mężczyzną z sercem na dłoni, który pochwalił jej urodę i niemal się przy tym zarumienił. Georgia miała ochotę go porwać, zawieźć do domu i zamknąć w klatce, gdzie miałyby go tylko dla siebie i chronić przed zepsuciem tego świata. Podczas kolacji dowiedziała się, że pochodzi ze Środkowego Zachodu, co by wiele wyjaśniało. Miał nienaganne maniery, był uprzejmy dla kelnerki i potrafił ze śmiertelną powagą powiedzieć coś tak zabawnego, że Georgia zanosila się od śmiechu. A najlepsze, że kiedy mówił o żonie, było widać, jak cierpi, gdy ma o niej powiedzieć coś przykrego. Dopiero po dłuższym czasie Georgia z niego wyciągnęła, że był zdradzany i to wielokrotnie. Długo rozmawiali, opowiadając o swoich małżeństwach i jak doszło do tego, że się rozpadły, a Georgia była pod coraz większym wrażeniem - ten człowiek kompletnie ją zauroczył. Okazało się, że bycie udręczonym, zdradzonym i źle traktowanym mężem może być bardzo sexy. Sam był szlachetny, kulturalny, zabawny i na tyle świadom absurdalności całej sytuacji, że potrafił mówić o swym koszmarnym małżeństwie i piętnastu

zmarnowanych latach bez cienia goryczy. Skończyli kolację i zamówili jeszcze jedno wino. Po opróżnieniu pierwszej butelki byli już lekko wstawieni. Sam zaczekał, aż Georgia wsiądzie do taksówki i pocałował ją na dobranoc. A potem całkiem szczerze wyznał, że był to cudowny wieczór i chciałby się znowu z nią zobaczyć. Umówili się równo za tydzień. Georgia nie miała ochoty tyle czekać, ale wiedziała, że Sam dopiero zaczyna przygodę z randkami i nie należy go naciskać. Wróciła do domu, zapłaciła opiekunce i zadowolona położyła się spać. Jednak jest jeszcze nadzieja. Ma na imię Sam.

Tymczasem w Australii

Następnego dnia wstałam wcześnie, żeby poszukać jeszcze trochę danych statystycznych. Wciąż było mi mało. Kiedy wpisałam w wyszukiwarce frazę „deficyt mężczyzn”, wyskoczyło mi sporo tekstów autorstwa jednej i tej samej kobiety, niejkiej Fiony Crenshaw. Pochodzi z Tasmanii (małej wyspy na południe od Australii) i pisuje artykuły skierowane do samotnych Australijek. Robi to z beczelnym australijskim humorem, ale przy tym jest bardzo radykalna: twierdzi, że każda kobieta, nieważne, jak duży ten deficyt facetów, nie może zapominać, że jest boginią. Nie wolno nam

iść na kompromisy i za wszelką cenę musimy zachować optymizm. Jednej pani udzieliła wstrząsającej rady, proponując, by - uwaga - pokochała siebie. Jakież to oryginalne. Widocznie jak tylko siebie pokochamy, mężczyźni zaczną do nas walić drzwiami i oknami.

Potwornie mnie zirytowała. Siedziałam na łóżku, słuchając pochrapywania Alice, i czułam wściekłość. Oto kobieta, która przytacza w swoich publikacjach dane statystyczne, każe nam mimo wszystko siebie „pokochać” oraz „zachowywać optymizm”. Powiedzmy, że mamy głodującą wioskę, która nie ma kompletnie co jeść. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaproponuje mieszkańcom, żeby pokochali siebie i zaczęli pozytywnie myśleć, to wtedy żywność się pojawi. Miłość ma jednak wymiar mistyczny, a to nam pozwala sądzić, że możemy ignorować twarde fakty - w tym i ten, że mężczyźni naprawdę na świecie brakuje.

Na szczęście nie musiałam się tym długo dręczyć, bo zadzwoniła Rachel i od razu poprawiła mi humor.

- Mój znajomy, Will, chce was dzisiaj zaprosić na przejażdżkę swoją łodzią. Dacie radę? Zapowiada się dobra pogoda.

- Serio? Chce nas zabrać na łódkę?

- Tak. To businessmen, zawsze korzysta z okazji, żeby nawiązać nowe kontakty.

- Ale wie, że ja i Alice nie jesteśmy...?

- Daj spokój. Pisziesz książkę o relacjach damsko - męskich. Wszystkich to interesuje. Powiedział, że zaprosi kilku kolegów, żebyś mogła poznać problem od męskiej strony.

- Ojej, to świetnie. - Nie przywykłam do takiej wspaniałomyślności. My w Nowym Jorku jesteśmy zbyt załatani, nie mamy czasu, żeby tak iść komuś na rękę.

- Bądźcie o drugiej pod hotelem. Łódka będzie czekać na przystani. - I się rozłączyła.

Była to łódź motorowa Donzi. Wyglądała na bardzo drogą i bardzo szybko się poruszała. Kiedy pruliśmy po wodach zatoki, pęd powietrza naciągał skórę na twarzy i rozwiewał włosy na wszystkie strony. Will pokazał nam, gdzie mieszka Russell Crowe (nieźle, Russell) i gdzie stoi siedziba koncernu Ruperta Murdocha. Na pokładzie byli też jego dwaj koledzy, John i Freddie. Obaj trochę po trzydziestce, przystojni i z tego, co zrozumiałam, niesamowicie bogaci. John to pierwszy śniady facet, jakiego zobaczyłam w Sydney. Wyglądał prawie jak Włoch. Freddie należał do rodziny, dla której pracowała

Rachel. Samodzielnie prowadził albo był współwłaścicielem pięciu czy sześciu restauracji i hoteli w samym tylko śródmieściu Sydney. Trochę mi przypominał Lance'a Armstronga: wysoki, szczupły, pewny siebie. Taki typ sukinsyna. Ciągle mrużył oczy i potrafił ani razu się nie uśmiechnąć ani nie spojrzeć w twarz rozmówcy. Jeden rzut oka na tych atrakcyjnych, bogatych dżentelmenów i do głowy przychodziło tylko jedno skojarzenie: dzieciaki w sklepie ze słodyczami.

I z takim nastawieniem przystąpiłam do rozmów, kiedy Will w końcu zwolnił i mogliśmy spokojnie usiąść. Will nalał nam szampana, a Rachel podała przekąski - małe kromeczki ciemnego pieczywa z łososiem i kropką śmietany na wierzchu. Były przepyszne. Zapytałam, czy któryś z panów ma dziewczynę. Odpowiedzieli, że nie. Spytałam więc, czy to z powodu zbyt dużego wyboru, na co zareagowali śmiechem i wzruszeniem ramion. Tylko Freddie się nie śmiał, on był ponad to.

- Czyli że tak?

Zakłopotani znów wzruszyli ramionami. John próbował mi to wytłumaczyć:

- To nie takie proste. Ja bym nawet chciał się ustatkować, naprawdę. Zakochać się. Ale nie spotkałem dotąd odpowiedniej kobiety.

- A może tak ci się wydaje, bo zawsze się zastanawiasz, czy za rogiem nie czeka jeszcze lepsza?

Tym razem odezwał się Will.

- Nie, kiedy się zakochujesz, to spada na ciebie jak grom z jasnego nieba. Wiesz, że to jest to. Choćby cię otaczało pięćset supermodelek, w ogóle nie będziesz zwracał na nie uwagi.

Koledzy byli tego samego zdania. Właściwie miałam tylko jedno pytanie, na które chciałam uzyskać odpowiedź. Chodziło o te cholerne statystyki.

- Jak to jest nie musieć się martwić, czy uda wam się znaleźć miłość w życiu?

John zrobił zdziwioną minę.

- Jak to? Ja się martwię. Wcale nie jestem tego pewien. Will pokiwał głową.

- Ja całym dniami pracuję. Kiedy mam czas, żeby kogoś poznać?

- To, że na świecie jest mnóstwo kobiet, wcale mi nie gwarantuje, że znajdę taką, którą mógłbym pokochać - dodał John.

Will dolał sobie szampana.

- To jest nawet bardziej przygnębiające, kiedy poznasz tyle lasek i żadna ci nie odpowiada.

Will bardzo się starał, ale i tak nie zamierzałam mu współczuć z tego powodu, że może przebierać w kobietach. Naciskałam dalej:

- Czyli twierdzisz, że wam jest równie trudno jak kobietom znaleźć miłość w Sydney?

Obaj kiwnęli głowami. Freddie z kamienną twarzą wpatrywał się w ocean. Nie odpuszczałam.

- Ale chyba się zgodzicie, że wasze szanse są troszkę większe? Zwykły rachunek prawdopodobieństwa.

- Moim zdaniem, to tak nie działa - powiedział John.

- To musi być ta jedna - dodał Will.

Wynikało z tego, że ci faceci całkiem inaczej niż ja interpretują statystki. Dla nich najwyraźniej nie ma znaczenia, że „tego kwiatu jest pół świata”. Znaleźć tę jedyną, którą się pokocha na całe życie, dla nich jest tak samo trudno.

Do rozmowy włączyła się Alice. - Byliście kiedyś zakochani?

Wszyscy przytaknęli. Will zaczął:

- Kiedy miałem dziewiętnaście lat, rzuciła mnie dziewczyna, w której byłem bardzo zakochany. Złamała mi serce.

John pokiwał głową.

- Ja w młodości dobrze traktowałem swoje dziewczyny. Kupowałem im kwiaty, pisałem wiersze. - Will zaczął się podśmiewać, ale John niezrażony kontynuował: - No co, romantyczny byłem! Mając dwadzieścia jeden lat, nawet gotów byłem się z jedną ożenić. Szalałem za nią, ale ona ze mną zerwała, bo stwierdziła, że za bardzo naciskam.

Ciekawe, gdzie teraz się podziewa. Mam nadzieję, że nie skończyła jako singielka w Sydney.

Alice spojrzała na „Lance'a Armstronga”.

- A ty, Freddie? Coś mało się odzywasz.

Freddie tylko rzucił okiem w jej stronę i wzruszył ramionami.

- U mnie było tak samo. Dostałem w tyłek, jak byłem młodszy. Ale już wyczałem, na czym to polega. Kobiety mniej więcej do trzydziestki mają w ręku całą władzę. To my

je podrywamy, bijemy się o nie, uganiamy się za nimi. Potem, około trzydziestego drugiego, trzeciego roku życia, wszystko się odwraca. My tę władzę przejmujemy i teraz one zaczynają się za nami uganiać. Myślę, że to rodzaj zapłaty. Za te wszystkie świństwa, które nam robiły w przeszłości.

Koledzy spojrzeli na niego wymownie, nie tyle z dezaprobatą, co nie chcąc, aby narażając się nam, popsuł atmosferę.

Alice zmrużyła oczy, poprawiła się na siedzeniu i ze spokojem napiła szampana. Przejęłam pałeczkę:

- Zastanawialiście się kiedyś, czy umówilibyście się na randkę z kobietą trochę starszą? Powiedzmy około czterdziestki?

- Ja wyznaję taką zasadę: podziel swój wiek na pół i dodaj cztery - odparł Freddie. I wcale nie żartował. Koledzy zaczęli się śmiać.

Szybko to sobie przeliczyłam. Wyszło na to, że wszyscy chcieliby się umawiać z dziewiętnasto - i dwudziestolatkami. Zaczęłam rozważać natychmiastowe rzucenie się za burtę.

- Nie umawiamy się ze starszymi kobietami, bo jeszcze nie udało nam się spotkać takiej, która byłaby wolna - rzucił

Freddie tonem bywalca. - Czterdziestoletnie singielki nie istnieją.

- Słucham? - natychmiast zareagowała Alice. Spokojnie, powoli, jakby mówił do dwóch kretynek, Freddie wyjaśnił:

- Do moich lokali nie przychodzą kobiety w tym wieku, bo wszystkie już dawno wyszły za mąż.

Musiałam się wtrącić.

- Twierdzisz, że wszystkie kobiety powyżej, powiedzmy, trzydziestego ósmego roku życia są mężatkami i dlatego ich nie widzisz w swoich klubach?

- Jasne. - Pozostali przytaknęli. Alice była trochę skonsternowana.

- Czyli w Sydney nie ma dosłownie żadnych singielek starszych niż, powiedzmy, trzydziestoośmioletnie?

Freddie z przekonaniem pokiwał głową.

- Tak.

Patrzyłam na niego przez chwilę, a potem chrząknęłam.

- Zdajesz sobie sprawę, że wszelkie dane statystyczne, z którymi zdążyłam się dość dobrze zapoznać, całkowicie temu przeczą?

Wzruszył ramionami.

- Jestem właścicielem połowy barów i restauracji w tym mieście. Komu uwierzysz, mnie czy statystykom?

Tego już nie wytrzymałam.

- A nie sądzisz, Freddie, że twoje przekonanie, że nie ma wolnych kobiet powyżej trzydziestego ósmego roku życia, wynika stąd, że ich po prostu nie zauważasz? Że stały się dla ciebie przezroczyste?

Znów tylko wzruszył ramionami.

- Być może.

Spojrzałyśmy z Alice po sobie. To było największe wyznanie, jakie przez cały dzień udało nam się wyciągnąć od tych facetów.

- Ale o co ten szum, przecież wy jeszcze kupę lat nie musicie się tym przejmować - odezwał się Will. - Ile macie, trzydzieści jeden, dwa?

Nawet tam, na tej łodzi, i w towarzystwie tych mężczyzn, było mi miło to usłyszeć. A niech tam. Tym razem Alice nie czuła potrzeby wyprowadzenia go z błędu.

Wieczorem Alice zrobiła sobie fryzurę, pomalowała rzęsy i założyła szpilki, ale równie dobrze mogłaby mieć na sobie bojówki, trapery, hełm korkowy i do tego strzelbę na

ramieniu. Szła wytropić, gdzie się podziewają wszystkie kobiety w wieku powyżej trzydziestu pięciu lat.

Pojechałyśmy do jednej z knajp Freddiego, błyskotliwie nazwanej Światem Freddiego. Było to ogromne pomieszczenie z wielkim okrągłym barem pośrodku. Kłębił się tam tłum ludzi. Nie można powiedzieć, żeby występował deficyt mężczyzn.

- Rozejdźmy się: ty na prawo, ja na lewo. Spotkamy się pod tamtym przejściem.

Ruszyłam przed siebie, wypatrując kobiet z kurzymi łapkami i bruzdami na czole, ale widziałam same słodkie dziewczątka o dziecięcych twarzach i gładkiej cerze dwudziestolatek. Doszłam do umówionego miejsca i akurat pojawiła się Alice.

- Zaczepiłam dwie takie, które wyglądały na więcej niż trzydzieści pięć lat. Powiedziały, że mają trzydzieści siedem. Jedna mało mi nie przyłożyła, a druga poleciała ryczeć do kibla. - Alice się rozejrzała. - Poza tym cienko.

- Chodźmy do którejś z jego restauracji - zaproponowałam. - Baby w tym wieku też muszą coś jeść, nie?

Kilka przecznic dalej natrafiłyśmy na bar sushi Freddie's Fish. Zajmował cały narożnik budynku i miał duże witryny, przez które można było podpatrywać eleganckich gości spożywających wewnątrz ryż i surowe ryby. Miałyśmy szczęście dostać miejsce w samym środku sali. Stolik obok był pusty, ale zanim przyniesiono nam sake, zajęły go cztery kobiety, z których każda miała bruzdy na czole i drogą torebkę. Bingo.

Zamówiły jedzenie, a my co chwila zerkałyśmy w ich stronę, przyjaźnie się uśmiechając. Alice ukryła w torebce saszetkę z sosem sojowym o obniżonej zawartości soli, po czym z najczystszy nowojorskim akcentem zapytała, czy może pożyczyć od nich. Złapały przynętę.

- Jesteście z Nowego Jorku?

- Tak - odparła Alice. - Julie pisze książkę o życiu singielek w różnych krajach. Taki poradnik, tyle że z globalnej perspektywy.

Panie się zainteresowały. Jedna z nich spytała:

- Przyjechałaś do Sydney zbierać materiały?

- Właśnie.

- I jakie masz spostrzeżenia? - wtrąciła inna.

- Cóż, jestem tu na razie krótko, ale jeśli można, miałabym do was kilka pytań - bąknęłam nieśmiało.

Wszystkie cztery pochyliły się w naszą stronę. Były bardzo ładne. Jedna się uśmiechnęła i powiedziała:

- Strzelaj.

Tu wtrąciła się Alice:

- Dokąd chodzicie, kiedy chcecie poznać facetów? Do barów?

- Och, nie. Nigdy nie bywam w takich miejscach - odparła jedna.

- W życiu - dodała druga. Trzecia powiedziała:

- Ja czasem wpadam z innymi koleżankami i zwykle wychodzę załamana.

- Mężczyźni w naszym wieku zachowują się, jakbyśmy były niewidzialne.

Alice uderzyła pięścią w stół.

- Wiedziałam! A bywacie w klubach Freddiego Wellsa?

- Trudno tego uniknąć, co drugi to jego - odezwała się czwarta. - Ale ja już przestałam. Mam trzydzieści siedem lat i zaczęłam się czuć strasznie staro.

Przyjaciółki pokiwały głowami ze zrozumieniem.

- Teraz chadzamy tylko do restauracji.

- Albo na firmowe bankiety.
- Poza tym siedzimy w domu.

Może Freddie miał rację? Może to jest Miasto Zaginionych Kobiet, w którym panie powyżej pewnego wieku są zmuszone zaszyć się w domu i oglądać telewizję. Te piękne, eleganckie, pełne wigoru kobiety mówiły tak, jakby się powoli szykowały na spotkania przy bingo i operację zaćmy.

Musiałam im zadać to pytanie:

- Nie myślałyście, żeby stąd wyjechać? Gdzieś, gdzie jest więcej mężczyzn?

- Albo gdzie są bary dla ludzi powyżej dwudziestu pięciu lat? - dodała Alice.

- Ja kiedyś myślałam o przeprowadzce do Rzymu - wyznała jedna.

- Tak, jeśli już, to do Europy. Tam, wydaje mi się, faceci jeszcze chcą nas pieprzyć, nawet jak mamy pięćdziesiąt lat - powiedziała pełna nadziei druga.

Ta myśl zdała się wlać otuchę w serca pozostałych pań. Pomyślałam sobie, że to może być prawda. Może byłby z tego kolejny bestseller: Miejsca, w których faceci chcą nas pieprzyć, nawet jak jesteśmy po pięćdziesiątce.

- Ale bądźmy szczerze, jaki to ma sens? Mamy wszystko rzucić, spakować się i wyjechać, bo nam się życie nie układa? To absurd.

Kiedy tak siedziałyśmy, jedząc edamame i popijając sake, rozmyślałam o sobie i moich przyjaciółkach ze Stanów. Każda z nas ma nieźle popieprzone życie, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy sugerować którejkolwiek wyprawdzkę z Nowego Jorku, żeby znaleźć faceta. A może to błąd? Czy nie powinnyśmy poważniej potraktować tych statystyk? Dokończyłyśmy sushi i jak przystało na damy w pewnym wieku, udałyśmy się do domu spać.

Tymczasem w Stanach

W ciągu tygodnia Georgia dostała od Sama dwa krótkie dowcipne e - maile, raz rozmawiała z nim telefonicznie, a raz przysłał jej SMS - a zakończonego słowami: „Nara. 3maj się”. Trochę to nie współgrało z nieco staroświeckim wizerunkiem człowieka, którego poznała tydzień temu, ale nie zaprzętała sobie tym głowy. Była szczęśliwa, że ma widoki na nowy związek, choćby na razie odległe. Ta cienka nić nadziei pozwala nam przetrwać wiele dni, gdy same musimy przygotowywać dzieciom drugie śniadania i wyganiać z głowy wizje męża uprawiającego seks z młodą tancerką o jędrnych

udach. Georgia trzymała się tej nadziei i nawet kiedy Sam poprosił w mailu, czy nie mogliby przełożyć następnego spotkania o kilka dni, bo „coś mu wypadło”, nie dostrzegła w tym nic niepokojącego. Ważne było tylko to, że z niej nie zrezygnował, że sprawa wciąż pozostawała otwarta.

Spotkali się w barze na Brooklynie. Sam go zaproponował, bo był blisko jego mieszkania. Georgia nie miała nic przeciwko temu. Co za problem dojechać? On pewnie całe dni spędza w metrze. Rano musiał wstąpić do pracy, a ostatnim razem musiał przecież jechać znacznie dalej, żeby się z nią spotkać. Tak będzie sprawiedliwie. Kiedy jednak weszła do środka, zdziwiła się, że klientela to prawie sami młodzi ludzie - to wyglądało jak regularny studencki pub.

Jak tylko zobaczyła Sama, od razu zauważyła, że coś się zmieniło. Emanował pewnością siebie. Sprawiał wrażenie o wiele bardziej wyluzowanego niż zaledwie półtora tygodnia temu. Pomięła to spostrzeżenie milczeniem i skupiła się na głównym zadaniu: oczarowywaniu go.

- Nie pogniewasz się, jeśli usiądziemy przy barze? - spytał.

- Nie, oczywiście.

Wskazał ostatni wolny stółek w rogu kontuaru.

- O, tam jest miejsce. Georgia nieco się zdziwiła.

- Hm, a ty...?

- Siedziałem cały dzień. Dobrze mi zrobi, jak trochę postoję.

Georgia wspięła się na stółek. Sam pochylił się nad kontuarem.

- Co ci zamówić? Mają tu świetnego guinnessa. Zaskakująca degradacja: zamiast wina na wygodnej kanapie w restauracji, piwo na barowym stołku.

- Bardzo chętnie się napiję. - Sam zamówił dwa piwa u barmana i z uśmiechem odwrócił się do Georgii. Uśmiech, który w zeszłym tygodniu był nieśmiały i niepewny, teraz stał się promienny. Sam miał na sobie podobne ciuchy jak wtedy, lecz teraz wyglądały na nim inaczej. Modnie. Gawędzili sobie przyjemnie, on na stojąco, ona siedząc. Georgia za krótko chodziła na randki, żeby zdawać sobie sprawę, czemu tak dziwnie niezręcznie się czuje z tego powodu. Skoro miał ochotę postać, czemu nie? To wolny kraj.

- To co u ciebie słyhać? Ostatnio byłeś trochę przybity - spytała od niechcienia, sącząc guinnessa.

- Ale już jest lepiej. Rzekłbym, rewelacyjnie.

- To świetnie. Hm... a co takiego się stało, że jest aż „rewelacyjnie”?

- Zacząłem wychodzić do ludzi, powoli odkrywam, kim jestem bez Claire. Rozwijam skrzydła. To szalenie ekscytujące.

- Ekscytujące, no proszę. To świetnie, tylko pozazdrościć. Zastanowiła się nad swoim życiem od rozwodu z Dale'em. Czy działo się w nim coś ekscytującego? Przespała się z męską prostytutką. Można uznać, że to było ekscytujące.

Sam pociągnął haust piwa i otarł usta rękawem. Georgia patrzyła na niego i nie była pewna, czy chce wiedzieć więcej. Zwyciężyła ciekawość.

- No to mów, cóż cię tak ekscytuje?

- Fascynująca rzecz, wiesz? Spotykam się z różnymi kobietami...

Georgia uniosła brwi. Sam zaczął się usprawiedliwiać:

- Oboje jesteśmy świeżo po rozwodzie, prawda? Badamy teren, poznajemy ludzi, próbujemy znaleźć swoje miejsce w nowej sytuacji...

- No tak - uprzejmie przytaknęła Georgia.

- Więc przyznaję, że w tym tygodniu trochę randkowałem w Internecie. Właściwie codziennie. Postanowiłem się rzucić

na główkę. Siup! - Złożył ręce i zamarkował skok na szczupaka.

- Siup! - zawtórowała Georgia.

- Niesamowite, czego się dowiedziałem. Moja żona nie sypiała ze mną od lat, więc uznałem, że widocznie odrzucam ją fizycznie. Tymczasem kobiety, które teraz poznaję, chcą się ze mną znowu umawiać. Nie przeszkadza im, że mam dwoje dzieci i zarabiam tylko sześćdziesiąt tysięcy rocznie. Chcą kolejnych spotkań!

Georgia odpowiedziała to, co należało.

- Sam, to wspaniale! Brawo!

Sam się nachylił i chwycił ją za ramię.

- Nigdy nie miałem powodzenia u dziewczyn. Byłem takim miłym chłoptasiem, z którym można się najwyżej zaprzyjaźnić. A na randki umawiały się z największymi dupkami. I wiesz co? One są teraz starymi pannami koło czterdziestki, a ja, ten miły facet z przyzwoitą posadą? Czuję się jak sam Bóg.

Georgii zrobiło się niedobrze. Oparła się o kontuar, próbując zachować spokój. Wiedziała, że to pewnie prawda, choć dotąd nikt nie wypowiedział tego tak bez cienia skruchy. W Nowym Jorku, jeśli chodzi o sprawy sercowe, mili faceci

po czterdziestce w końcu rzeczywiście wygrywają. Są takim samym niezwykłym zjawiskiem jak manna czy ryby spadające z nieba. Georgia poczuła, że się czerwieni, a w kącikach oczu gromadzą się łzy.

- Słuchaj, nie najlepiej się czuję. Sam momentalnie się zaniepokoił.

- Ojej, a co się stało? Coś ci podać? Wody?

- Nie trzeba, dziękuję. Nie gniewaj się, ale chyba wezmę taksówkę i wrócę do domu. Przepraszam. - Prawdę mówiąc, nie czuła aż takich wyrzutów sumienia. Sam miał gęsto wypełniony terminarz, więc pewnie z chęcią w jeden wieczór odetchnie. Wreszcie zrozumiała, czemu stał przy barze; był na tylu randkach, że ścierpł mu tyłek. A może wiedział, że za chwilę będzie musiał lecieć do następnej kobiety, z którą się tego wieczoru umówił, i bał się zasiedzieć? Georgia wstała. Sam pomógł jej założyć płaszcz, odprowadził ją na zewnątrz i przywołał taksówkę.

- Poradzisz sobie?

Georgia spojrzała na niego i całe jej ciało wypełnił tępy ból.

- Tak. Nie martw się o mnie. Chyba zjadłam coś paskudnego na lunch. Cały dzień mnie to męczy.

Sam otworzył drzwi, Georgia wsiadła do taksówki.

- Zadzwoń do ciebie za dwadzieścia minut, dobrze? Sprawdzę, czy bezpiecznie dotarłaś.

- Dobrze. Dzięki - wybąkała. Odwróciła głowę, żeby nie widział, że płacze. Ogarnął ją smutek. Odebrała dziś kolejną ważną lekcję: ty się umawiasz z facetami, bo szukasz miłości swego życia, ale twój partner może mieć tylko ochotę zjeść dobry stek w fajnym towarzystwie - ewentualnie próbuje „rzucić się na główkę”. Było jej wstyd. Jak mogła myśleć, że to będzie takie proste? Pozna fajnego faceta, spodoba mu się i on będzie chciał się z nią związać. Przecież to Nowy Jork. Czują, jak statystyki pluja jej teraz w twarz.

Zgodnie z obietnicą Sam zadzwonił dokładnie po dwudziestu minutach i zapytał, jak się czuje. Naprawdę miły z niego facet. Niech to szlag.

* * * .

W ciągu pierwszych dwóch godzin dyżuru w schronisku Ruby widziała, jak zabierano do uśpienia trzy psy. Nikt konkretnie nie mówił, że w tym celu je biorą, ale trudno było się nie domyślić. Pojawiał się mężczyzna w białym fartuchu, wyciągał psa z klatki i wyprowadzał go z pomieszczenia. Pies już nie wracał. Ruby była przerażona. Zdawała sobie sprawę,

że tu się wykonuje takie rzeczy, że taka jest polityka schroniska, ale nie wiedziała, że tak często. Wydawało jej się to takie okrutne i przypadkowe. Kiedy młody pracownik w fartuchu wyciągał trzeciego psa, Ruby go zagadnęła.

- Przepraszam?

Spojrzał na nią, zostawiając uchylone drzwi klatki.

- Może mi pan powiedzieć, na czym opieracie selekcję? Pracownik zamknął klatkę, zupełnie jakby nie chciał, żeby pies to usłyszał.

- To znaczy, które zabieramy do... ? Ruby skinęła głową.

Widać było, że to niewygodny temat. Mężczyzna chrząknął i powiedział:

- Patrzymy, czy się nadają do adopcji, bierzemy też pod uwagę wiek, stan zdrowia. No i temperament.

- Temperament?

- Uhm.

- Czyli im pies jest bardziej nieznosny, tym większe są szanse, że będzie uśpiony?

- Uhm.

Najwyraźniej też nie był z tego powodu szczęśliwy. Uśmiechnął się uprzejmie do Ruby i ponownie otworzył klatkę. Wyciągnął z niej Tuckera, mieszańca owczarka

niemieckiego. Pies nawet nie pisnął. Wyglądał niezdrowo, był bardzo wychudzony. Ruby z trudem powstrzymała łzy.

- Mogę go na chwilę przytulić? Proszę.

Młody człowiek przyjrzał się jej przez moment i stwierdził, że nie ma do czynienia z wariatką. Przyprowadził Tuckera. Ruby uklękła i objęła psa. Głaskała go, szepcząc mu do ucha, że bardzo go kocha. Nie płakała, nie dramatyzowała. Potem po prostu wstała i oddała psa opiekunowi.

W tym momencie błysnęła jej w głowie przedziwna myśl, z której niekoniecznie była dumna. Jak to dobrze, że zdecydowała się na ten wolontariat. I to nie dlatego, że czuła, iż dzięki temu zrobi coś dobrego dla zwierząt. Nie dlatego, że one jej potrzebowały. Nie. „Jeżeli to przetrwam i się nie załamie - pomyślała - przetrwam wszystko i może nawet znowu zacznę się umawiać z facetami”.

Z czasem stało się to zwyczajem. Ruby została siostrą Mary Prejean schroniska dla zwierząt. Dbała o to, by ostatnim obliczem, które widzą przed spotkaniem ze Stwórcą, było oblicze miłości. Ilekroć miała dyżur, czyli w każdy czwartkowy wieczór, gdy któryś pies miał iść do uspienia, ów młody pracownik, Bennet, przyprowadzał go do niej. Ruby wówczas udzielała mu ostatniego namaszczenia w postaci

pieszczot, przytulania i szeptania czułości do ucha. Potem prowadzono pieska do gabinetu, gdzie dostawał zastrzyk i zasypiał na zawsze.

* * *

Tymczasem Serena i jej kochanek odbywali schadzki, gdzie tylko się dało: w schowkach na szczotki, w spiżarniach, a nawet w damskiej toalecie delikatesów Integral Foods przy Trzynastej Ulicy. Nigdy jednak nie zaryzykowali spotkania w którymś ze swoich pokojów. Gdyby ktoś ich szukał, tam w pierwszej kolejności by zajrzał, a Serena chyba nie umiałaby wyjaśnić, dlaczego się wymyka z sypialni Swamiego Swaroopa. Poza tym odpowiednie było każde zamknięte pomieszczenie. Jeżeli motywacją Sereny do zostania swami była chęć poczucia silnej, wszechogarniającej miłości, która umożliwi jej dotknięcie transcendentnego ducha Boga, to te wszystkie składane śluby całkowicie załatwiły sprawę.

Tego ranka, kiedy zasiadła do medytacji, mając za sobą krótkie tete - a - tete ze Swamim Swaroopem w łazience, jej myśli zaczęły odtwarzać cały scenariusz: jej pośladki oparte o umywalkę, on pochylony nad nią, potem oboje na zamkniętej muszli i znowu oboje oparci o ścianę. To były zdecydowanie „myśli poboczne”, których zgodnie z zaleceniem trenera

powinna się pozbyć z głowy, lecz choćby nie wiem jak się starała, nie potrafiła. Była bowiem zakochana. Kochała tego człowieka tak mocno, że miała wrażenie, jakby się unosiła zamknięta w gigantycznej bańce mydlanej. Jak na ironię, było to najbardziej duchowe doświadczenie w jej życiu. Żadne zajęcia jogi, żaden kurs medytacji ani dziesięciodniowa głodówka nie dały jej nawet w przybliżeniu takiego uczucia euforii, jak ten całkiem nowy, nieznanym jej wcześniej stan zakochania.

Podczas tej medytacji powiedziała sobie wszystko, co chciała powiedzieć: „To jest właśnie to, o czym wszyscy mówili. Opowiadały o tym filmy, wiersze i piosenki. Sens życia. Kochać i być kochaną”. Zrobiła kilka głębokich oddechów i posunęła się jeszcze dalej: „Dotąd nie rozumiałam, co to znaczy żyć naprawdę. Życie bez miłości nie ma sensu”. Była o tym przekonana. Czy możliwe, że kiedykolwiek będzie w stanie funkcjonować w świecie bez tego uczucia? Ono jest wszystkim. Jest życiem, prawdą, Bogiem. Na szczęście nie musi się tym martwić - Swami Swaroop nigdzie się nie wybiera. Dziwne, że wciąż go tak nazywa. W najintymniejszych momentach czasem jej się wyrwie: „Och, Swamidzi”, ale to wszystko. A pan „Och,

Swamidzi" też zdawał się przebywać w tej samej bańce mydlanej. Cały czas chciał być blisko Sereny, dotykać jej, rozmawiać z nią. Kradnąc to spojrzenie, to uśmiech. Podarował jej nawet prezent, sekretny znak, że należy do niego: czarną nitkę, którą zawiązał na jej kostce i powiedział, że będzie jej przypominała, że są ze sobą połączeni. Dla Sereny to był dowód, że Swami też jest zakochany, i najchętniej pozwoliłaby sprawom toczyć się jak dotychczas.

Jedyną rzeczą, jaka trochę tłumiała radość z tego kosmicznego złączenia dusz, był fakt, że Serena nie miała z kim się podzielić ogromem swoich uczuć. Ja wyjechałam, więc kontaktowałyśmy się tylko telefonicznie, a z Ruby, Georgią i Alice nie widziałyśmy się od dość dawna. Ze Swamim Swaroopem, rzecz jasna, też o tym nie rozmawiała. Zaczynało jej to doskwierać. Radość rozpierała ją od środka, ogrzewała i dodawała skrzydeł, lecz domagała się uwolnienia. Należało ją objawić światu, jako prawdę, jako rzeczywistość, aby Serena mogła się unieść nawet wyżej niż teraz. Aby ta miłość miała dokąd pójść - prosto z jej serca w świat.

Tego dnia przypadała jej kolej do poprowadzenia pierwszych zajęć jogi. Zaczynały się wcześnie, o wpół do ósmej i uczestniczyło w nich tylko sześć najbardziej

zaangażowanych pań oraz jeden pan. Serena instruowała ich, jak należy oddychać, aby pobudzić czakry: najpierw wciągnąć powietrze prawym nozdrzem, drugie w tym czasie naciskając lewym kciukiem, a potem odwrotnie. Gdy kursanci wykonywali ćwiczenie, Serena podjęła decyzję: powie Swamiemu Swaroopanandzie, co czuje. Doszła do wniosku, że byłoby to lekceważące wobec wszechświata i wobec Boga, gdyby nie wyznała, jaką łaską została obdarzona.

Ten konkretny ośrodek jogi należał do bardziej tradycyjnych. Nie prowadzono tam zajęć z żadnej ze współczesnych odmian jak cardio - joga czy ćwiczenia w sali o temperaturze piekieł. To była stara dobra, zwykła joga i w tej chwili kursanci wykonywali unoszenie nóg.

- Lewa noga do góry i opuszczamy. Teraz prawa do góry i opuszczamy.

Wydawała instrukcje, lecz myślami była gdzie indziej. Planowała, gdzie i jak rozmówi się ze Swamim. Postanowiła złamać podstawową zasadę i po zajęciach odwiedzić go w pokoju. Delikatnie i z czułością powie mu, co i tak już oboje wiedzieli i czuli. Opiszę głębiej swoich uczuć, nie po to, by żądać jakichkolwiek deklaracji, lecz by się uwolnić od tajemnicy. Chciała, by to się odbyło uroczyście, choćby tylko

w cztery oczy. Spojrzała na salę, na wszystkie nogi uniesione w górę, i nagle zauważyła coś, co na chwilę zapało jej dech w piersiach.

- A teraz opuszcza...

Z dwunastu damskich nóg na sali, cztery miały na kostce cienką czarną nitkę.

Serena natychmiast zaczęła kontrolować oddech - w końcu była swami i uczyła jogi. Opanowała się na tyle, że odzyskała mowę:

- Przepraszam, jeszcze raz: obie nogi w górę i w dół. W górę i w dół.

Szukała w głowie jakiegoś wytłumaczenia. Może to nowa moda, którą wprowadziła Britney Spears czy jakaś inna gwiazda jako symbol walki z jakąś chorobą? Zaraz, czy wyznawcy kabały nie noszą czasem nitek? Tak, te kobiety to na pewno kabalistki. Ze spokojem dokończyła zajęcia. Pocieszała się, że wszystkie przebierają się w tym samym pomieszczeniu, więc na pewno zauważyłyby u siebie te nitki. Swami Swaroop wiedział, że mają zajęcia z Sereną, a ona przecież musi widzieć ich kostki choćby w czasie robienia świecy czy stania na rękach. Co za facet dawałby czarną nitkę wszystkim kobietom, z którymi się przespał? Nie. Musiało

istnieć jakieś inne wytłumaczenie. Sereną wciąż była zakochana i wciąż miała zamiar go poinformować o swoich uczuciach.

Prosto po zajęciach przeszła się po innych salach, zajrzała do biur, ale nigdzie go nie znalazła. Udała się więc do jego pokoju i przez drzwi usłyszała znajomy ciężki oddech Swamiego Swarooapa wykonującego poranną pranajamę. Bez pukania weszła do środka.

Pierwsze, co zobaczyła, to była czarna nitka. Na nodze Premy, dziewiętnastoletniej stażystki pracującej w sklepiku - księgarni prowadzonym przez ośrodek. Nitka ta znajdowała się wysoko ponad jej głową. Dziewczyna leżała na łóżku, a na niej Swami Swaroop w pozycji, jakiej próżno szukać w podręcznikach jogi. Podniósł głowę i zauważył Serenę. Ta z niewiarygodnym spokojem, oddychając powoli i miarowo, choć serce waliło jej jak oszalałe, a ręce się trzęsły, wyszła i cichutko zamknęła za sobą drzwi, aby przypadkiem nie narobić hałasu.

Zeszła do sutereny i wślizgnęła się do przebieralni. W środku były jeszcze trzy panie - u wszystkich widziała nitki na nogach. Właśnie zbierały się do wyjścia.

- Cześć, Swamidzi - powiedziała chuda dwudziestodwuletnia szatynka z owłosionymi pachami. Zakładała płaszcz. - Fajne dziś były zajęcia.

- Tak, bardzo fajne - dodała trzydziestopięcioletnia blondynka. Ubrana w kostium stała przed lustrem i malowała usta.

- Dzięki, ja tylko... Nie widziałyście bluzy od dresu? Ktoś dzwonił, że zostawił.

Wszystkie panie, w tym pięćdziesięciokilkulatka o skandalicznie świetnej figurze, ofiarnie przystąpiły do poszukiwań.

Serena nie bardzo wiedziała, co ma zrobić ani co powiedzieć, ale musiała jakoś zareagować.

- Hm, ciekawe. Zauważyłam na sali, że wszystkie nosicie na nogach czarne nitki. Interesujecie się kabałą?

Kobiety spojrzały po sobie z chytrym uśmiechem.

- Oni chyba noszą czerwone - powiedziała ta z owłosionymi pachami.

Zaczęły chichotać. Pięćdziesięciokilkulatka uprzejmym tonem wyjaśniła:

- Można rzec, że należymy do innego rodzaju sekty.

- Doprawdy?

Znów spojrzały po sobie, ale nic nie powiedziały. Zaczęły zbierać swoje rzeczy, chcąc się jak najszybciej stamtąd wymknąć. Blondynka w kostiumie otworzyła drzwi i już miała wychodzić.

Serena niewiele myśląc, zatrzasnęła je kopniakiem i przytrzymała nogą. Czarna nitka na jej kostce była teraz doskonale widoczna. Kobiety wybałuszyły oczy. Ta z owłosionymi pachami nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Pokazała palcem na Serenę.

- Ale... przecież jesteś s w a m i - rzekła oburzona.

- Swami Swaroopananda też! - krzyknęła Serena. - Nie rozumiem, wiedziałyście o sobie i w ogóle wam to nie przeszkadzało? Poderwał wszystkie naraz, więc postanowiłyście w to wejść kolektywnie?

Ta z seksowną figurą odezwała się spokojnie:

- Swami Swaroop zaczął się do mnie przystawiać mniej więcej pół roku temu, nawiasem mówiąc, w tej przebieralni.

„Skąd ja to znam” - pomyślała Serena.

- Skąd ja to znam - powiedziała, chichocząc, dwudziestodwulatka.

- Kiedy dał mi tę nitkę - kontynuowała tamta - pomyślałam: jakie to urocze. Niedługo potem zobaczyłam

taką samą u Giny - wskazała na blondynkę - i Ricki - wskazała na Owłosione Pachy. - Nie przejęłam się zbytnio, bo jestem mężatką, to jest tylko dla przyjemności. Któregoś dnia po zajęciach zgadałyśmy się o tym i miałyśmy niezły ubaw.

- On ma w sobie tyle seksu - powiedziała Ricki - że czemu miałybyśmy się nie podzielić.

- O czym wy mówicie? Przecież on jest mnichem! Na twarzy blondynki wykwitł lubieżny uśmiech.

- Ta jego duchowość, smak zakazanego owocu... To jest najbardziej podniecające. Ale ty to pewnie wiesz, sama jesteś swami, więc jakby podwójnie łamiesz tabu.

- Tak, to dopiero musi być ekscytujące - dodała Ricki, która przestała niedowierzać, za to zrobiła się zazdrosna.

Wszystkie trzy patrzyły na Serenę zazdrośnie i przez chwilę się wydawało, jakby żałowały, że nie noszą pomarańczowych szat i ogolonych głów i nie ślubowały czystości, bo to by dodało całej sytuacji jeszcze więcej pikanterii.

- Czyli w zasadzie tworzycie jego harem, tak? - rzekła zbulwersowana Serena.

Kobiety tak jakby się uśmiechnęły. Blondynka wzruszyła ramionami.

- Teraz chyba i ty stałaś się jego częścią.

Serena pokręciła głową z wściekłością. Złapała za nitkę i chciała ją zerwać. Nic z tego. Pociągnęła drugi raz. I znowu bez skutku. Niesamowite, jak mocny potrafi być czasem kawałek zwykłej nitki. Próbowwała jeszcze kilka razy, aż w końcu groziło, że sobie przetnie skórę. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu ostrego narzędzia.

- Cholera, ma któraś klucz? - krzyknęła.

Blondynka szybko podała jej swoje klucze od domu. Serena zaczęła przecinać nitkę. Kobiety z lekkim niepokojem obserwowały jej próby wyzwolenia się z więzów.

- Nie jestem częścią niczyjego haremu. Pieprzę to. To wszystko jest gównem warte. - I w chwili, gdy wymawiała słowo „gówno”, nitka pękła. Serena się odwróciła i wybiegła z przebieralni, zostawiając zaskoczone kursantki.

Pobiegła jeszcze raz na górę do pokoju Swamiego Swaropa, ale go nie zastała. Przypomniała sobie, że o tej porze prowadzi zajęcia z medytacji.

„Pieprzyć to” - pomyślała, popędziła z powrotem na dół i otworzyła drzwi do sali ćwiczeń. W środku trzy kobiety i dwóch mężczyzn wykonywało głębokie oddechy, medytując pod kierunkiem Swamiego Swaroopanandy nad mantrą Om.

Serena weszła i cisnęła w niego nitką. Nitka, tak cienka, że prawie niewidoczna, upadła tuż przed nią, więc to wyglądało, jakby rozwścieczony drapieżnik machnął pazurami w powietrzu. Swami Swaroopananda otworzył oczy i w tej krótkiej chwili Serena dostrzegła, że pod tą głęboką duchowością, która zawsze z niego emanowała, czai się cień strachu. Podniosła nitkę i jeszcze raz próbowała w niego rzucić. Nitka znów upadła tuż pod jej nosem. Swami Swaroopananda zamrugnął powiekami.

- Kochałam cię. Wiedziałeś o tym. Kochałam cię!

Wstał, chcąc jakoś powstrzymać nadchodzącą katastrofę, ale Serena już wybiegła z sali. Wróciła do jego sypialni, otworzyła szafę i wyjęła z niej wszystko, co było pomarańczowego. Potem zbiegła do swojego pokoju i zrobiła to samo. Sterta pomarańczowych ubrań sięgała prawie metra ponad jej głowę, więc niewiele przez nią widziała, ale zdołała ją wytaszczyć na zewnątrz i zrzucić na chodnik. Swami Premananda, ta gruba, wybiegła za nią z budynku.

- Swami Durganando, tworzysz sobie złą karmę - ostrzegła.

- Pocałuj mnie w dupę.

Swami Swaroop i jego kursanci stali na schodkach u bramy i przyglądali się zajściu.

Serena utkwiała wzrok w swamim i powiedziała:

- Jasne, pozbyłeś się pragnień, żeby służyć Bogu. - Spojrzała na furgonetkę ośrodka zaparkowaną obok jej samochodu. Za szybą była zatknięta kartka z napisem „Duchowieństwo”. Ośrodek Jayananda długo walczył z magistratem o zgodę na przyznanie im tego statusu, który ogromnie ułatwiał parkowanie w Nowym Jorku. W ostatnim akcie buntu Serena wsunęła do środka rękę przez uchyloną szybę, mało nie zwichnąwszy sobie przy tym łokcia, i wydobyła kartkę. Następnie na oczach widowni zebranej na schodkach potargała ją na strzępy.

- Jeśli ty jesteś duchownym, to pieprzony Howard Stern też - powiedziała, drąc papier. Potem zaczęła deptać po pomarańczowej stercie ciuchów, jakby chciała ugasić płomień.

W taki oto spektakularny sposób zakończyła się kariera Sereny jako swami. Kursanci wraz ze Swamim Swaroopem wrócili do budynku, a Swami Premananda poprosiła Serenę o spakowanie się i opuszczenie ośrodka, zanim będzie

zmuszona wezwać policję. Serena zrobiła to z największą przyjemnością.

Tymczasem w Australii

Tej nocy znowu dał o sobie znać jet lag. O czwartej nad ranem wstałam i ponownie przeczytałam jeden z felietonów Fiony z „Hobart News”. Radziła w nim pewnej pani, aby codziennie przed pójściem spać mentalnie otulała się miłością własną niczym ciepłą kołdrą. Miałam ochotę ją zabić.

Podiała e - mail kontaktowy, a ponieważ była czwarta rano, a ja byłam zła i rozgoryczona, postanowiłam napisać. Szło to mniej więcej tak:

„Nie sądzi pani, że to trochę nieodpowiedzialne wmawiać kobietom, że jedyne, co muszą zrobić, to zachować optymizm i pokochać siebie, a miłość sama do nich przyjdzie? A co, jeśli mieszkają w miejscu, gdzie dosłownie, fizycznie brakuje mężczyzn? A jeśli mają już swoje lata, są grube albo nieatrakcyjne? Naprawdę wystarczy, że zaczną siebie kochać, będą tryskać radością i pewnością siebie, a ktoś się w ich życiu pojawi? Może to pani zagwarantować? Możemy do pani zadzwonić, kiedy skończymy osiemdziesiąt lat i opowiedzieć, jak to się sprawdziło w naszym przypadku? I jeśli się okaże,

że pani nie miała racji, możemy przyjść i strzelić panią w twarz?".

Tego listu nie wysłałam. Wysłałam następny:

„Nie sądzi pani, że to trochę nieodpowiedzialne wmawiać kobietom, że jedyne, co muszą zrobić, to zachować optymizm i pokochać siebie, a miłość sama do nich przyjdzie? A co, jeśli mieszkają w takim miejscu, gdzie dosłownie, fizycznie brakuje mężczyzn? Naprawdę pani uważa, że to, co pokazują statystyki, nic nie znaczy?".

Dalej wyjaśniłam, że piszę poradnik dla singielek, że sama jestem singielką i ten temat żywo mnie interesuje.

W końcu około szóstej poszłam spać. Kiedy się obudziłam o dziesiątej, zastałam kartkę od Alice, że zeszła na darmowe śniadanie. Wstałam i sprawdziłam pocztę z ciekawości, czy pani Fiona miała coś do powiedzenia. Miała.

„Droga Julie, jeśli to panią interesuje, wolałabym się spotkać osobiście. W ten sposób łatwiej mi będzie się wytłumaczyć. Nie miałaby pani ochoty na jednodniową wycieczkę na Tasmanię?"

Hm, bardzo kulturalna reakcja. Ciekawe, czy odpowiada tak każdej wkurzonej czytelniczce. Pewnie należy do tych osób, które się starają wszystkich zadowolić i broń Boże

nikomu nie zrobić przykrości. A może to przez to, że wspomniałam, że jestem z Nowego Jorku i piszę książkę? Zdaje się, że to mi otwiera wiele drzwi.

Zeszłam na śniadanie. Alice siedziała przy stoliku z dużym dzbankiem kawy i niemiłosiernie się krzywiła.

- Przed chwilą skosztowałam vegemite. Chodziłam koło tego kilka dni i w końcu się zdecydowałam. Chryste, smakuje jak kupa. - Wypiła potężny łyk wody. - Drożdżowa kupa.

Nalałam sobie kawy.

- Alice, co byś powiedziała, gdybyśmy się wybrały dzisiaj na Tasmanię?

- To coś takiego naprawdę istnieje? - spytała zupełnie poważnie. No cóż, Amerykanie nie są mocni w geografii.

- Istnieje, istnieje. Chcę się tam spotkać z kobietą, która pisuje w australijskiej prasie o sprawach damsko - męskich. W tonie raczej optymistycznym.

- Optymistycznym, mówisz? - Alice odłożyła tost na talerz. - W takim razie muszę to zobaczyć.

Tymczasem w Stanach

Georgia postanowiła nie siedzieć beczynn timer. Jako osoba wciąż niedoświadczona w tej materii, była przekonana, że przy pomocy sprytnej strategii i silnej woli jeszcze zdoła

zatriumfować. Wymyśliła więc plan. Pierwszy krok to zadzwonić do Sama i zapytać, czy w swoim napiętym kalendarzu randkowym nie znalazłby czasu na wspólną kolację u niej w domu. Wiedziała, że to dżentelmen, więc w razie konieczności odwoła się do jego dobrych manier. Podniosła słuchawkę gotowa zostawić wiadomość, ale odebrał osobiście.

- Cześć, Georgia, co słychać? Lepiej się już czujesz?

- O, cześć, Sam. Lepiej, lepiej. Przepraszam za tamten wieczór. Zastanawiałam się, jak mogłabym ci to wynagrodzić.

- Och, to zbyteczne...

- Ale chciałabym. Może wpadłbyś do mnie któregoś dnia na kolację, kiedy dzieci będą u ojca?

- Jasne, bardzo chętnie. Tak się składa, że nie wypaliły mi plany na najbliższą sobotę. Może być sobota?

- Oczywiście. Co powiesz na ósmą wieczorem?

- Świetnie.

Georgia uśmiechnęła się z zadowoleniem i podała mu adres.

Nadszedł sobotni wieczór. Wszystko szło zgodnie z planem. Georgia przygotowywała swojego słynnego kurczaka w rieslingu i w całym mieszkaniu roznosił się cudowny

aromat mięsa i ziół. Nakupiła też kwiatów za kilkaset dolarów, korzystając z karty kredytowej Dale'a, i rozmieściła je w strategicznych miejscach. Przy każdym bukietcie zostawiła niedbale położony bilecik, niby od wielbiciela, oraz resztki wstążek i bibuły, w którą były zawinięte. Wino już oddychało, a ona wyglądała przepięknie. Wszystko wyglądało idealnie. Zadzwoił dzwonek i w drzwiach ukazał się Sam z małym bukietem kwiatów.

- Cześć! - Po jego minie poznała, co sobie pomyślał: „Jest ładniejsza, niż pamiętam”.

- Hej. Ślicznie wyglądasz!

- Dziękuję. - Wprowadziła go do środka. Wręczył jej skromną wiązanek sześciu róż i w tej samej chwili zauważył ogromne bukiety, które stały dosłownie wszędzie.

- Hm, musisz bardzo lubić kwiaty - bąknął, rozglądając się dookoła. Przez moment Georgia dostrzegła cień tej samej niepewności, którą zaobserwowała na pierwszej randce. Plan zaczynał działać; udało jej się zbić wroga z tropu. Z wdziękiem Julii Roberts odegrała zakłopotanie:

- Ach, to... Długo by... mężczyźni czasem... wiesz, lubią przesadzić. Ale przynajmniej ładne, prawda?

- Piękne.

- Twoje też są śliczne, mój Boże, cudowne. Daj, wstawię do wody.

Wzięła od Sama te nieszczęsne sześć róż i włożyła do wazonu. Nie mogła przewidzieć, że przyjdzie z kwiatami; to taki mały dar z nieba.

- No to opowiadaj, co u ciebie. Wszystko w porządku? Pewnie nie masz ani chwili - spytała, stawiając wazon na ladzie.

- To prawda. Ale cieszę się, że mogłem wpaść.

- Ja też. Trudno cokolwiek zaplanować, kiedy oboje jesteśmy tak zajęci. Aż dziwne, że to się w ogóle udało. Siadaj, proszę - wskazała na stołek przy barku i podała Samowi kieliszek z winem.

Tym razem to on będzie siedział, a ona stała.

Kończąc przygotowywać danie, opowiadała mu o swoich życiowych porażkach w kuchni. Oboje zanosili się od śmiechu. Świetna randka, jak na razie.

Potem Sam opowiedział historyjkę o jednym ze swoich dzieci. Była dość zagmatwana i dotyczyła ojca chłopca, który gra z jego synem w Małej Lidze. Historyjka zabawna, a Sam opowiadał ją ze swadą. Georgia co chwila wybuchwała śmiechem. Nagle zadzwonił telefon. Jak w zegarku.

- Nie przerywaj, nagra się na sekretarkę.

- No więc facet się wściekł, zaczął krzyczeć, a w rękę trzymał loda...

W tym momencie odezwał się w głośniku zdesperowany męski głos:

- Georgia? Tu Hal. Dzwonię, bo musiałem ci powiedzieć, że wczorajszy wieczór był cudowny. Zobaczymy się znowu? Może w środę? Masz czas w środę? Nie mogę przestać o tobie myśleć...

Georgia „rzuciła się” do telefonu.

- Przepraszam... byłam pewna, że wyciszyłam głośnik... -
Zaczęła majstrować przy aparacie i odwróciła się do Sama z rumieńcem na twarzy. - Przepraszam, mów dalej.

Sam był lekko zaskoczony.

- Oj, ten pan chyba się zakochał...

- Nieee... Tylko byliśmy wczoraj na takim śmiesznym przedstawieniu i po prostu... Mniejsza z tym, to nic... Proszę, mów dalej, co z tym lodem?

Sam zszedł ze stołka i oparł się o blat. Stali teraz naprzeciwko siebie. Barek wydał mu się nagle wielkim biurkiem, a on się poczuł jak na rozmowie o pracę albo na castingu.

Zaśmiał się nerwowo.

- No więc... trener mu mówi, że jak się nie uspokoi, to ostatecznie wywali jego syna z drużyny. A facet bierze tego loda i rzuca nim w trenera, dosłownie jak dziecko. Wtedy podbiega do niego syn i mówi...

W tym momencie znów odezwał się męski głos w sekretarce, tym razem głęboki i zdecydowany, jakby agenta CIA albo prezydenta USA.

- Cześć, Georgia, mówi Jordan. Bardzo miło wspominać nasz wieczór w barze i tak się zastanawiam, czy nie chciałabyś...?

Georgia udała, że jest zaskoczona i zła na samą siebie.

- Strasznie cię przepraszam, gapa ze mnie, pewnie zamiast głośnika wyłączyłam dzwonek. - Podeszła do telefonu i pomanipulowała przy guzikach. - Teraz jest dobrze. Całkiem go wyłączyłam. Ależ mi głupio...

- Nie ma sprawy, nic się nie stało - odparł Sam. Georgia zauważyła, że jest już dość mocno podenerwowany. Nie skomentował tej wiadomości ani słowem, a Georgia postanowiła się nie tłumaczyć. Uznała, że niedopowiedzenie będzie lepsze.

- I co powiedział ten syn? - spytała z czarującym uśmiechem.

Sam spuścił wzrok.

- Nic takiego. Nieważne.

- Cóż. I tak kolacja już gotowa.

Zaczęli jeść, ale atmosfera zmieniła się diametralnie. Po pierwsze, Sam uważniej przyglądał się Georgii. Kobiety spędzają mnóstwo czasu, próbując odgadnąć uczucia partnera, analizują e - maile, odtwarzają raz po raz nagrane wiadomości. Tymczasem sprawa jest prosta: wystarczy tylko obserwować, w jaki sposób on na nas patrzy. Jeżeli robi tak, jakby nie chciał oderwać oczu ze strachu, że znikniemy, to znaczy, że naprawdę mu na nas zależy. Sam tak właśnie patrzył na Georgię. W pubie biegał wzrokiem dookoła, teraz dosłownie się na nią gapił.

Georgia dokonała wyczynu, który wprawiłby w podziw maklerów i ekonomistów z Wall Street. W ciągu zaledwie godziny, sztucznie kreując popyt, podniosła swoje notowania i zanosilo się na ostrą licytację. Udało jej się zrobić coś niezwykłego: na przekór temu, co wmawia jej nasza kultura, poczuła się wartościowa i zakomunikowała to światu. A wystarczyło tylko kilkaset dolarów na kwiaty i dwa telefony

od znajomej pary gejów z drugiego końca korytarza. Patrzyła, jak Sam nerwowo przeczesuje palcami włosy i stara się zrobić na niej wrażenie swoimi żartami. Uśmiechała się w duchu, gdy dotykał jej ręki, chcąc coś zaakcentować, lub gdy podążał za nią wzrokiem, kiedy szła donieść wina. Całując ją na pożegnanie, oderwał usta dopiero wtedy, kiedy delikatne zwróciła mu uwagę, że już naprawdę powinien iść.

Pewnie spytacie, czy nie miała wyrzutów sumienia z powodu tego małego oszustwa? Czy nie było jej głupio, że musiała stworzyć całą nową rzeczywistość, aby sobie poprawić samopoczucie? Że sama sobie wysłała kwiaty, aby zwrócić uwagę jakiegoś prowincjusza ze Środkowego Zachodu? Nie. Jedyne, co wtedy czuła, to dumę. Widziała, jak wygląda rzeczywistość, i stwierdziła, że nie ma co się oszukiwać. Przyjęła do wiadomości to przesunięcie sił w relacji z Samem i zmianę jego oglądu świata i rezolutnie postanowiła coś z tym zrobić. Uczyniła z siebie cenną zdobycz i uważała, że należy jej się za to medal. Kobiety mają przekichane, statystyki są przeciwko nim, czas jest przeciwko nim, więc jeśli jedynym ratunkiem może być całkowite sfabrykowanie życia osobistego po to, by móc się przesunąć o

oczko wyżej w hierarchii, to nie ma w tym absolutnie nic złego.

Sam zadzwonił następnego dnia. Słysząc było, że jest zdenerwowany. Być może się bał, czy piękna i rozchwytywana Georgia zechce w ogóle podnieść słuchawkę.

- Cześć, Georgia. Tu Sam.

- Cześć, Sam! - przywitała go serdecznie. - Jak się masz?

- Dziękuję, świetnie. - Starał się ukryć swój entuzjazm. -

Słuchaj, dzwonię, żeby ci podziękować za wczorajszy wieczór. Było cudownie i chciałem spytać, czy nie moglibyśmy tego w najbliższym czasie powtórzyć?

Georgia już wcześniej zdecydowała, co zrobi - spodziewała się tego telefonu.

- Ja też uważam, że to był cudowny wieczór, ale wiesz, dosłownie przed chwilą rozmawiałam z Halem i zdecydowaliśmy się dać sobie szansę.

- Aha... - chrząknął Sam. - Cóż... No więc... Nie ukrywam, że jestem zawiedziony, ale dziękuję, że mi o tym mówisz.

Wiedziała, że to ryzykowna decyzja - odbierała sobie jedyną szansę na ewentualny związek. Ale Georgia wolała być z kimś, kto nie musi sobie niczego udowadniać, skacząc z

kwiatka na kwiatek, i nie potrzebuje konkurencji, by dostrzec, jaką wartościową osobą jest ona. Poza tym te bukiety są strasznie drogie.

* * *

Na nieszczęście Serena sprzedała swoje mieszkanie. W Nowym Jorku nie wolno tego robić pod żadnym pozorem, nieważne, czy wyjeżdżamy, czy wychodzimy za mąż. Można ewentualnie po śmierci, ale i tu lepiej się zastanowić.

Serena, niestety, to zrobiła i teraz była nie dość, że bezwłosa, to i bezdomna. Ponieważ ja swoje mieszkanie wynajęłam, a nie miała pieniędzy na hotel, nie wiedziała zupełnie, gdzie się podziać. Zadzwoiła więc do jedynej osoby, która mogła zrozumieć, w jakim dole psychicznym właśnie się znalazła - Ruby. Zapytała, czy może u niej trochę pomieszkać. Ruby jak to Ruby, oczywiście od razu się zgodziła.

Kiedy napisały mi SMS - a z informacją, co się stało, uznałam, że najlepiej będzie urządzić telekonferencję. Poprosiłam nawet Georgię, żeby do nich wpadła sprawdzić, czy się przypadkiem nawzajem nie dołują. Czasami mam obawy.

Ja i Alice wciąż byłyśmy w Sydney i pakowałyśmy się do wyjazdu na Tasmanię. Ruby, Serena i Georgia zasiadły przy stole w jadalni i włączyły głośnik.

- Facet, który podobno ma żyć w celibacie, bzyka co najmniej pięć lasek naraz?! - zawołałam z niedowierzaniem do słuchawki.

- KTÓRE W DODATKU NIE MAJĄ NIC PRZECIWKO, ŻEBY SIĘ NIM DZIELIĆ. Czujesz to? - odpowiedziała Serena.

Georgia pokręciła głową.

- O cholera. Mnisi mają teraz haremy. Świat się kończy.

- Może powinni nas usypiać i byłby święty spokój - mruknęła Ruby, bardziej do siebie niż do nas.

Wszystkie zamarłyśmy. Nawet my, na drugiej półkuli.

- Co? - zapytałam z nadzieją, że z powodu zakłóceń coś źle zrozumiałam.

- Mówię serio - ciągnęła Ruby. - Tak jak psy. Niech urząd miasta zacznie likwidować wszystkie kobiety, które zrzędzą, chorują, mają brzydkie zęby i tak dalej. Żeby dać lepszym kandydatkom większe szanse na znalezienie odpowiedniego domu.

Byłyśmy tak zszokowane, że żadna nie umiała wydusić słowa. Widać praca w schronisku zaczynała dawać się jej we znaki. W końcu odezwała się Serena:

- I to z tobą postanowiłam zamieszkać, żeby mi było weselej?

- Ruby - powiedziała Georgia - nie znam cię zbyt dobrze, więc wybaczone, jeśli to źle zabrzmiało, ale jeżeli natychmiast nie zadzwonisz do schroniska i nie powiesz, że rezygnujesz z tej pracy, to cię osobiście palnę w łeb.

- Ona ma rację - wtrąciłam. - W życiu nie słyszałam, żeby ktoś wygadywał takie okropności.

Georgia parsknęła śmiechem.

- Nie wierzę, że to naprawdę powiedziałaś.

Serena też zachichotała.

- Właściwie sugerujesz, że miasto powinno nas zagazowywać.

Ruby oparła głowę na stole i zaczęła się śmiać. Zdała sobie sprawę, do czego się doprowadziła.

- Boże, najgorsze, że ja naprawdę tak myślę. Zaczynam tracić rozum!

My z Alice siedząc w australijskim hotelu, słuchałyśmy, jak tamte ryczą ze śmiechu.

Georgia wyjęła swoją komórkę.

- Dawaj numer tego schroniska.

Ruby podyktowała, Georgia wystukała go na klawiaturze i podsunęła jej telefon. Ruby odezwała się do słuchawki:

- Halo? Dzień dobry, mówi Ruby Carson. Pracuję u was jako wolontariuszka. Chciałam poinformować, że już więcej do pracy nie przyjdę. Bardzo źle wpływa na moje zdrowie psychiczne. Do widzenia. - Szybko się rozłączyła i obie z Georgią zaczęły klaskać i krzyczeć z radości.

- Nie dosłyszałam, czy Ruby właśnie zrezygnowała z pracy? - zapytałam z drugiego końca świata.

- Owszem - odparła Georgia. - Teraz trzeba tylko znaleźć pracę Serenie i możemy uznać dzisiejszą misję za zakończoną.

- Nie możesz wrócić tam, gdzie pracowałeś? U tego aktora? - zapytała Alice.

Serena wzruszyła ramionami.

- Na pewno już kogoś zatrudnili.

- Ależ Sereno - wtrąciłam się - z tego, co mi o nich opowiadałeś, to fajni ludzie. Wydawało mi się, że ich lubisz.

- To prawda. Nawet trochę się za nimi stęskniłam. Joanna zawsze była dla mnie bardzo miła, a Robert to przesympatyczny człowiek.

Georgia jeszcze raz wyjęła telefon.

- Zadzwoń i się dowiedz. Jaki mają numer? - Serena się zawahała. - Daj spokój, przecież go nie sprzedam brukowcom. Chcę ci tylko załatwić robotę.

Podawała numer. Georgia go wstukała i przekazała jej telefon.

- Halo, Joanna? Mówi Serena. - Wszystkie oczy skierowały się na nią, kiedy słuchała, co mówi głos po drugiej stronie. Nagle oczy jej rozbłysły.

- Właśnie o tym chciałam mówić... Nie bardzo mi się ułożyło w tym ośrodku i tak sobie myślę, czy przypadkiem... Serio? Kurczę, to super. Jasne, wpadnę jutro i pogadamy. Dobra. Do zobaczenia. - Zamknęła komórkę. Była nieco skonsternowana. - Nikogo nie mają.

- No to świetnie! - klasnęła w dłonie Georgia.

- Niby tak, ale... - odparła Serena. - Ona miała taki smutny głos.

- Co mówisz? - wtrąciłam, bo na chwilę zniknął mi sygnał.

Serena pochyliła się nad telefonem i powtórzyła głośniej:

- Miała smutny głos!

Tymczasem w Australii

Lot na Tasmanię trwał tylko półtorej godziny. Wyobrażałam sobie, że to będzie dzika, zarośnięta wyspa pełna kangurów, a na miejscu powitają nas Aborygeni trąbiący na swoich didżeridu, tymczasem jej stolica, Hobart, to całkiem cywilizowane miasto. Nieduże, z atmosferą kolonialnej przeszłości, położone nad malowniczą zatoką. Wzdłuż ulic stoją niskie domy z piaskowca przerobione na puby i sklepy. Ze smutkiem zauważyłam tam nawet sieciowego Subwaya.

Przed wyjazdem wysłałam Fionie Crenshaw e - maila, że będziemy. Zaproponowała spotkanie w lokalnym pubie. Cały czas podejrzewałam, że za jej zaproszeniem coś się kryje - na co dzień żyję w Nowym Jorku, więc automatycznie założyłam, że nie robi tego tylko z grzeczności.

Muszę przyznać, że nie byłam w najlepszym nastroju. Co innego czytać statystyki, a co innego zetknąć się z nimi osobiście - w formie facetów gapiących się nad twoją głową, kobiet, które w wieku trzydziestu pięciu lat uważają, że nic już ich w życiu nie czeka, i młodych mężczyzn, którzy dzielą przez dwa i dodają cztery. W Nowym Jorku nie widać większej różnicy w zachowaniu między osobami dwudziestopięcioletnimi - a trzydziestopięcioletnimi. Tam, kiedy się zbliżasz do czterdziestki, możesz być tak zajęta cieszeniem się

życiem, że nawet cię nie ruszy, gdy przyjdzie zaproszenie na dwudziestą rocznicę matury. Za to w Sydney bańka mydlana moich złudzeń oficjalnie pękła. Pierwszy raz w życiu czułam się stara.

Spotkałyśmy się w nabrzeżnym pubie irlandzkim, gdzie był długi drewniany bar i ogromny szyld z napisem Fishmonger.

Zaraz po wejściu usłyszałyśmy:

- To muszą być moje dziewczyny z Nowego Jorku! Podeszła do nas kobieta z szerokim uśmiechem na twarzy i otwartymi ramionami. Była dokładnie taka, jak sobie wyobrażałam: okrągła, szczerą twarz i blada angielska cera. Włosy miała cienkie, jasnobrązowe, ściągnięte w kucyk. Niebrzydka, choć trochę bez wyrazu. Obejrzała nas z góry na dół.

- Ależ z was laski! - Natychmiast zrobiło mi się głupio, że pomyślałam o niej, że jest nijaka. Zaprowadziła nas do baru. - Skoro jesteście w Hobarcie, musicie się koniecznie napić piwa. Próbowaliście Jamesa Boagsa?

- Nie - powiedziałam. - Raczej nie pijam piwa.

- Ja też - dodała Alice.

- Ależ musicie skosztować choć troszkę. Jesteście w dokach, jak by to wyglądało, gdybyście piły wino?

Obie z Alice pomyślałyśmy: „Normalnie”, lecz Fiona już zamawiała dla nas dwa kufle piwa. Poczekała, aż barman naleje, zapłaciła i wręczyła je nam.

- A teraz powiedzcie, czy uważacie, że jestem kompletną idiotką, pisząc to, co piszę? Przyjechałyście mi nawrzucać?

Była tak szczerą i serdeczną, że nie miałam serca wdawać się w kłótnie.

- Nie przyjechałam tu z pretensjami, tylko...

- Chodzi o to, że u mnie wszystko jest takie różowe?

- Nie wiem, ale mówienie kobietom, że kiedy pokochają same siebie, to znajdą mężczyznę swego życia, jest...

- ... kłamstwem - dokończyła Alice. - To jest statystycznie niemożliwe. Nawet jeśli zaczniemy wychodzić za gejów, liczby i tak nie będą się zgadzać.

Fiona nie przejęła się krytyką.

- Statystyki mogą przerażać. Czy słyszałyście, że ktoś proponował wprowadzenie ulg podatkowych dla naszych mężczyzn, żeby tylko nie wyjeżdżali z Australii? Cóż za bzdura. Oni już i tak uważają, że są darem od Boga - Fiona pomachała jakimś kobietom wchodzącym do pubu. - Katie!

Jane! Tu jesteśmy! - Z powrotem zwróciła się do nas. - Spróbujcie znaleźć takiego, który was zaprosi na przyzwoitą randkę. Łatwiej nauczyć misia koalę biegać.

Katie i Jane podeszły, Fiona ucałowała je na powitanie i przedstawiła nas sobie.

- Właśnie im mówię, że na Tasmanii coś takiego jak randka w zasadzie nie istnieje.

Obie pokiwały głowami ze zrozumieniem.

- To jak to robicie? - zaciekawiała się Alice. Fiona pociągnęła haust piwa i roześmiała się.

- Idziemy do pubu, upijamy się, lądujemy w łóżku i staramy się być dobrej myśli. Straszne, co?

Wszystkie zaczęłyśmy się śmiać. Fiona co chwila do kogoś machała i całowała go na powitanie. Każdej osobie mówiła zawsze coś miłego i brzmiało to naprawdę szczerze.

Zrozumiałam, że mamy do czynienia z jedną z tych osób, które Bóg obdarzył dużą ilością serotoniny i pogodnym usposobieniem. Są pozytywnie nastawione do świata, po prostu szczęśliwe.

- To prawda, przekonuję moje czytelniczki, że jeśli pokochają swoje życie, będzie to po nich widać, a wtedy

zaczną do nich Ignać mężczyźni, bo nie będą mogli się oprzeć ich urokowi.

Nijak nie mogłam się z tym zgodzić.

- Ależ wcale tak nie jest. Znam dziesiątki samotnych kobiet, które są fantastyczne, czarujące, promienne i w ogóle, a nie mogą sobie znaleźć faceta.

- Przy czym wcale nie są wybredne, nie mają nierealnych oczekiwań - dorzuciła Alice.

Zaczynało się robić tłoczno i muzyka grała głośniej, więc Fiona musiała prawie krzyknąć:

- Na razie!

- Słucham?

- Na razie nie znalazły sobie faceta. Ale przecież ciągle mają szansę.

- Tak, ale na dziś są same.

- A jutro wszystko się może zmienić. O to mi właśnie chodzi. Jutro wszystko może się zmienić!

Jakby na zawołanie, do Fiony podszedł mężczyzna w białej koszulce i krótkich bojówkach. Przywitała się z nim serdecznie i cmoknęła go w policzek.

- To jest Errol. Zakochaliśmy się w sobie zeszłego lata i wytrzymaliśmy razem całe trzy tygodnie. Tak było? - Fiona

pieszczotliwie uszczypnęła go w ucho. Errol nerwowo się uśmiechnął. - Straszny był z niego egoista, prawda, Errol?

- Byłem dupkiem, to prawda - przyznał i poszedł dalej.

- To co, twoim zdaniem, powinnam ludziom mówić? - spytała mnie Fiona. - W co mamy wierzyć?

Znów to pytanie. Sama nie wiem, w co wierzyć i czego się trzymać. Rozejrzałam się po barze. Było tam morze ludzi, kobiet i mężczyzn, z przewagą tych pierwszych. I było widać, że te kobiety są o wiele bardziej zdesperowane.

- Może mów prawdę, że życie nie jest sprawiedliwe. Tak jak nie każdemu z nas będzie dane wygrać na loterii, cieszyć się doskonałym zdrowiem czy mieć dobre stosunki z rodziną, tak nie każdy ma zagwarantowane, że znajdzie swoją drugą połówkę.

- Rozkręciłam się. - Być może wtedy zaczniemy inaczej patrzeć na życie i nie będzie już tragedią, jeżeli jedyną rzeczą, której nam ono poskąpi, będzie miłość.

Fiona chwilę się nad tym zastanawiała.

- Nie. Wybaczcie, ale gdybym coś takiego powiedziała moim czytelniczkom, stałabym się odpowiedzialna za pierwsze masowe samobójstwo w historii tego kraju. Na wodach Morza Tasmana unosiłyby się setki martwych kobiet.

Spojrzałyśmy z Alice na siebie. Zabrzmiało to ponuro, nawet dla nas.

- Poza tym - ciągnęła Fiona - myślę, że to jest wbrew ludzkiej naturze. Wszyscy chcemy kochać i być kochani.

- To ludzka natura czy może Hollywood? - spytała Alice.

Na małej scenie w głębi sali zaczął przygrywać irlandzki zespół. Utwory były skoczne, więc parkiet szybko się zapełnił podchmielonymi ludźmi, którzy podrygiwali w rytm muzyki.

Pomyślałam głośno:

- A może prawdziwa ludzka natura to bycie we wspólnocie? To jedno zdaje się trwałe. Na pewno dużo bardziej niż małżeństwo.

Fiona nagle spoważniała. Wstała, położyła nam ręce na ramionach i spojrzała na nas.

- Muszę wam to powiedzieć i mówię to prosto z serca. Obie jesteście niezwykle atrakcyjne. Macie rozum, poczucie humoru, seksapil. To wielka głupota myśleć, że nigdy nie znajdziecie w życiu miłości. To po prostu niemożliwe. Jesteście superlaskami. Wiem, że nie chcecie mi wierzyć, ale to prawda. Fajnymi, seksownymi laskami. Ani przez chwilę nie wolno wam myśleć, że nie zaznacie w życiu tyle szczęścia,

ile tylko potraficie znieść. - Po tych słowach się odwróciła i poszła po następne piwo.

W oczach zakręciły mi się łzy. Alice spojrzała na mnie, jej oczy też się szklily. To było mocne.

Muzycy coraz bardziej szaleli na scenie. Alice złapała mnie za rękę i pociągnęła na parkiet. Dołączyła też Fiona i jakieś dziesięć jej najbliższych koleżanek. Obserwowałam ją, jak się śmieje, wiruje w tańcu i śpiewa słowa, których nie rozumiałam. Mogę sobie mówić, co chcę, mogę się uważać za osobę inteligentną, ale zobaczyłam wyraźnie, że ona jest ode mnie szczęśliwsza. Uodporniła się na statystyki, które mnie zatruwały od tygodnia. Patrząc, jak jej twarz jaśnieje w uśmiechu, a na policzkach zaczynają lśnić krople potu, musiałam to przyznać. Fiona należała do osób, z którymi aż chce się przebywać, a optymiści i ludzie pozytywnie nastawieni do życia są w gruncie rzeczy bardziej atrakcyjni od marudnych pesymistów. Alice otoczyła mnie ramieniem i też udawała, że śpiewa piosenkę, której tekstu w ogóle nie rozumiałyśmy: „Wleć w moje... la, la, la, bejbi, baba, ba...”. Fiona tańczyła z Errolem, Jane i Katie i doprowadzała ich do śmiechu, naśladowując hip - hopowe wygibasy.

- Równa babka. Lubię ją - krzyknęła mi do ucha Alice. Na parkiecie pojawił się nagle przystojny facet, twardziel z wyglądu. Przedarł się przez tłum i podszedł prosto do Fiony. Ta od razu rzuciła mu się na szyję, a on mocno pocałował ją w usta. Przez chwilę, objęci, rozmawiali. Potem on poszedł do baru, a Fiona, widząc nasze zaciekawione spojrzenia, podeszła, żeby się wytłumaczyć.

- Znamy się dopiero kilka tygodni. Ma na imię George. Mam świra na jego punkcie. Całe życie mieszkał w Hobarcie, ale jakoś nigdy nie zwróciliśmy na siebie uwagi. Niesamowite, co?

Trochę nas zaskoczyła.

- Nie zamierzałaś się przyznać? - spytałam z rozbawieniem.

Fiona ze śmiechem wzruszyła ramionami.

- A nie wkurzają was baby, które uważają, że są najmądrzejsze tylko dlatego, że udało im się poznać fajnego faceta? Wolałabym umrzeć, niż żebyście tak o mnie pomyślały.

Zaimponowała mi. Miała w swoim arsenale najsilniejszą broń i jej nie użyła. Celowo nie zagrała kartą pod tytułem: „Patrzcie, sama jestem najlepszym przykładem”. Nie chciała

dać mi odczuć, że moje poglądy są w jakiś sposób gorsze, dlatego że ona ma faceta, a ja nie. Tym zyskała sobie mój wielki szacunek i nauczyła mnie kolejnej zasady: kiedy się wreszcie zakochasz, nie waż się tym przechwalać.

W taksówce na lotnisko cały czas o niej myślałam. Nieuczciwością byłoby nie przyznać, że w pewnym sensie jednak miała rację. Rozsiewała wokół siebie taki blask, że faktycznie przyciągnęła do siebie mężczyznę. Czy to znaczy, że uwierzyłam, iż każdą z nas, która będzie ją naśladować, spotka to samo? Nie. Czy nagle nabrałam pewności, że wszystkie znajdziemy w życiu miłość? Nie. Czy uznałam, że należy zignorować statystyki i po prostu pokochać siebie? Nie.

Jakąś naukę jednak z tej Australii wywiozę: sto procent ludzkich istot potrzebuje nadziei do życia, a jeśli jakieś głupie statystyki ci ją odbierają, to nie warto ich czytać. I jeszcze jedno: jak najczęściej wyjeżdżaj do miejsc, w których jest dużo mężczyzn.

No co, warto trochę dopomóc losowi, nie ma w tym nic złego.

Alice musiała już wracać do Stanów. Kiedy w hotelu patrzyłam, jak się pakuje, bardzo zatęskniłam za domem. Za moim łóżkiem, za przyjaciółmi, za Nowym Jorkiem. Poza tym

Sydney źle wpływało na moją psychikę. Im bardziej się oddalałam od Fiony i jej blasku, tym mniej miałam w sobie nadziei i optymizmu. Podjęłam decyzję.

- Jadę do domu. Wrócę na stare śmieci, odpracuję zaliczkę i dam sobie spokój. Nie mogę już tego ciągnąć.

Alice usiadła na łóżku, zastanawiając się, jak powinna zareagować.

- Przykro mi, że tak się czujesz, ale moim zdaniem ta podróż ci służy. Zawsze byłaś taka odpowiedzialna, zawsze pracowałaś za biurkiem. Taka spontaniczność, gdy nie wiesz, co jutro się wydarzy, dobrze ci robi.

Załamala mnie. Poczulałam się nieznośnie samotna.

- Mnie to wszystko po prostu przeraża. Alice kiwnęła głową.

- Mnie też, ale uważam, że jeszcze za wcześnie, żebyś wracała do domu.

Kiedy ją odprowadzałam do taksówki, powiedziała:

- Może pojedź do Indii? Wszyscy mówią, że tam się doznaje jakiegoś niesamowitego duchowego przebudzenia.

- Serena mówiła to samo. Zastanowię się. Odjeżdżając, zawołała:

- Nie odpuszczaj, Julie! Jeszcze nie jesteś gotowa! Patrzyłam na oddalającą się taksówkę i znów poczułam się straszliwie samotna. „Po co ja się na to narażam? I dlaczego Thomas nie zadzwonił?” Ta myśl akurat nie była nowa. Gryzłam się tym od wyjazdu z Włoch, bo jak już chyba wspominałam, jestem żalostną istotą. My, kobiety, kiedy poczujemy z kimś więź, to tak łatwo nie odpuścimy. Na swoją obronę powiem, że ja też do niego nie zadzwoniłam. Chwała Bogu. Istnieje bowiem pewna zasada, którą boleśnie poznałam na własnej skórze i nie musiałam w tym celu objeżdżać całego świata: „Nigdy nie dzwoń pierwsza. Nigdy nie dzwoń pierwsza. Nigdy nie dzwoń pierwsza. A kiedy już ci się wydaje, że masz doskonały powód, aby do niego zadzwonić - nadal nie dzwoń”. W tamtym momencie poważnie rozważałam, czy by nie zadzwonić do Thomasa.

Nagle odezwał się telefon. W słuchawce usłyszałam męski głos z francuskim akcentem.

- To ty, Julie?

- Tak - odparłam, nie wierząc własnym uszom.

- Mówi Thomas. - Serce mi załomotało.

- O rany, cześć, co słyhać?

- W porządku. Gdzie jesteś? W Singapurze? W Timbuktu?

- W Sydney?

- W Australii? To się świetnie składa. Bali jest niedaleko.

- Bali? - powtórzyłam, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

- Tak. Mam tam kilka spraw do załatwienia. Może się spotkamy?

Serce na chwilę mi zamarło.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Głos Thomasa spoważniał.

- Julie, cos' sobie obiecałem. Jeżeli wytrzymam trzy dni, nie myśląc o tobie, nie chcąc złapać za telefon, żeby spytać, kiedy się znowu zobaczymy, to już nigdy do ciebie nie zadzwonię. Nie wytrzymałem nawet jednego.

To było wstrząsające usłyszeć takie wyznanie, zwłaszcza w Sydney, gdzie moje poczucie własnej wartości zostało mocno pokiereszowane, a wewnętrzny blask ledwie się żarzył.

- Julie, nie każ mi błagać. Spotkajmy się na Bali.

Wyrzłam na zatokę. Kto by pomyślał, że przystojny Francuz zechce się ze mną umówić na Bali? I jakie jest

prawdopodobieństwo, że taka sytuacja się powtórzy? No i co z jego żoną?

Zapytałam więc:

- A co z twoją żoną?

- Wie, że wyjeżdżam na Bali, a o resztę nie pyta.

Zgodziłam się, bo jak tu powiedzieć „nie”, kiedy trafia nam się jedna szansa na milion?

ZASADA 7

PRYZNAJ, ŻE CZASAMI CZUJESZ SIĘ ZDESPEROWANA
(NIKOMU NIE POWIEM)

Alice po powrocie z Australii była już inną kobietą. Pobyt w Sydney ją odmienił - zaczęła się bać. Choć Fiona wywarła na niej duże wrażenie, optymizm nie towarzyszył jej długo. Myśląc wstecz o ostatnim pół roku - o randkach, o pobycie w Australii, o facecie, który nie chciał z nią tańczyć - doszła do wniosku, że świat to piekło. Wykorzystała ten czas najlepiej, jak mogła, dała z siebie wszystko, lecz myśl, że znów miałaby zacząć chodzić na randki, była nie do zniesienia. Z ulgą wracała do Jima; jej radość niemal graniczyła z euforią. Czy była w nim zakochana? Nie. Czy był mężczyzną jej marzeń? Zupełnie nie. Ale była mu niewymownie wdzięczna, że się pojawił w jej życiu, a to prawie to samo.

Tak więc Alice, rudowłosa superbohaterka ze Staten Island, była wreszcie gotowa złożyć broń. Ujrzała przez moment swoją przyszłość bez Jima i ta naprawdę ją przeraziła.

Rozmyślała o tym wszystkim, idąc na pierwsze spotkanie z Jimem po powrocie z Sydney. Skręciła za róg i zobaczyła go za szybą małej przytulnej knajpki przy Prince Street, chyba

jedynej takiej, która się ostała na Soho. Przyszedł jak zwykle punktualnie. Zauważył ją, uśmiechnął się i pomachał. Ona też się uśmiechnęła i przyśpieszyła kroku; do środka wpadła prawie galopem. Rzuciła mu się na szyję i pocałowała. Zaskoczony Jim roześmiał się i mocno ją przytulił.

Kiedy się wreszcie odkleili od siebie, Alice spojrzała na niego z ogromną powagą.

- Pobierzmy się - szepnęła.

Jim się odsunął, położył palec na jej ustach i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie żartujesz?

- Ani trochę - odpowiedziała z uśmiechem. Objęła go bardzo mocno, jakby nigdy nie chciała wypuścić. Jim uniósł ją do góry i zakręcił w powietrzu, a Alice śmiała się radośnie i wtulała głowę w jego ramię.

No i cóż, że to nie wyglądało dokładnie tak, jak sobie wyobrażała? Nie było pierścionka i oświadczyn wygłaszanych na kolanach, a w dodatku to ona oświadczyła się jemu. Ale za to Jim złapał ją w objęcia i wyznał, że czuje się najszczęśliwszym facetem na ziemi.

A Alice, wirując w powietrzu i śmiejąc się, myślała w duchu: „Kocham go. Ja go naprawdę kocham”.

W drodze na Bali

To się zdarzyło na pokładzie samolotu z Tokio do Denpasaru na wyspie Bali. Spałam sobie smacznie po zażyciu lexiomilu, gdy nagle się zerwałam. Siedziałam przy przejściu. Okno w moim rzędzie nie było przysłonięte, więc zobaczyłam wielką czarną czeluść na zewnątrz. Taki widok zaraz po przebudzeniu sprawił, że moje serce przyspieszyło. Zaczęłam głęboko oddychać, łapałam powietrze, jakbym się dusiła. Mój sąsiad, młody, gruby Azjata, spał z głową opartą o okno. Biedaczyna nie miał pojęcia, że obok niego siedzi wariatka. Rozejrzałam się. Wszyscy spali. Uznałam, że wpadną w panikę, kiedy zbudzi ich przeraźliwy krzyk jakiejś stukniętej Amerykanki. Skuliłam się, objęłam głowę rękami i próbowałam zapanować nad oddechem, ale czułam, jakby czarna czeluść otaczała mnie zewsząd i chciała wchłonąć. Łzy napływały mi do oczu, ale z całych sił starałam się je powstrzymać.

Oczywiście nie chciałam płakać ze wstydu, żeby nie przeszkadzać współpasażerom, nie zawracać głowy stewardesom i w ogóle nie robić widowiska. Był też jednak inny powód, o wiele ważniejszy, wynikający z czystej próżności. Kiedy płaczę, nawet jeśli to tylko kilka łez, oczy mi

puchną jak balony, a pod spodem robią się sine wory sięgające brody. Chodziło o to, że na lotnisku w Denpasarze miałam się spotkać z Thomasem i zależało mi, żeby ładnie wyglądać. No i już. Powiedziałam to.

Zastanawiałam się, czy można w jakiś sposób płakać bezgłośnie i nie roniąc łez. Próbowałam przez kilka sekund, wykrzywiałam twarz w cichym szlochu i szybko mrugałam powiekami, aby nie dopuścić do napłynięcia łez. Staram się nawet nie myśleć, jak wtedy wyglądałam. Oczywiście nic z tego nie wyszło. To był atak paniki i nie miałam nad sobą żadnej kontroli. Zaczęłam płakać. Także dlatego, iż wiedziałam, że teraz będę wyglądała koszmarnie. Za pół godziny mieliśmy lądować. Postanowiłam iść do łazienki, gdzie przynajmniej można panikować na osobności. Opanowałam się na tyle, żeby wstać i przejść między siedzeniami, mijając wszystkich śpiących mężczyzn, kobiety, młodzież i dzieci. Dopadłam drzwi toalety i wślizgnęłam do środka. Usiadłam na muszli i z miejsca zaczęłam ryczeć. Starłam się to robić jak najciszej; zostało mi na tyle instynktu samozachowawczego, że nie chciałam wywołać międzynarodowego incydentu. Kołysałam się w przód i w tył, objęta ramionami jak jakieś upośledzone dziecko. Chwycałam

się za włosy, jeszcze bardziej się skuliłam. W pewnej chwili spojrzałam w lustro i zobaczyłam swoją wykrzywioną, pomarszczoną twarz. Zaczęłam jeszcze bardziej ryczeć. Czułam się zagubiona, zawieszona w ciemnej otchłani wysoko nad ziemią. Nie wiedziałam, co robię i dokąd zmierzam - z Thomasem, z miłością, z moim życiem. Czułam nadchodzącą katastrofę.

Ochlapałam twarz zimną wodą. To nigdy nic nie daje. Nie wiem, po co zawsze każą to robić. Przez głośniki poinformowano, żeby zająć miejsca, bo zbliżamy się do lądowania, więc wstałam i siłą woli spróbowałam się uspokoić. Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na przywróceniu regularnego oddechu. Powoli zaczęłam się rozluźniać. Po chwili wszystko wróciło do normy, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Dotarłam z powrotem na swoje miejsce i po cichu usiadłam. Spojrzałam na śpiącego sąsiada z poczuciem triumfu. Może i miałam atak paniki, ale tym razem nikt nie zauważył. Ograniczyłam go do łazienki. Wiedziałam, że wyglądam jak potwór i żaden makijaż tego nie przykryje, ale ogólnie czułam się nieźle.

W sytuacjach takich jak ta, gdy masz się z kimś spotkać po dłuższym czasie i w dodatku jest to osoba, na której ci

bardzo zależy, denerwujesz się i nie wiesz, czego się spodziewać, pierwszy rzut oka jest najważniejszy. To chwila, w której dokładnie sobie uświadamiasz, co czujesz do tej osoby i jak będzie wyglądał ten wasz wspólnie spędzony czas. Stałam przy taśmie bagażowej, zerknęłam na zegar, była północ. Halę wypełniali ludzie, wśród zaspanych podróżnych czekających na walizki krążyli taksówkarze polujący na klientów.

Wtedy go zobaczyłam.

Stał trochę z boku, ubrany w brązową koszulkę i dżinsy, i machał do mnie. Znow miał ten błysk w oczach. Uśmiechał się, ale nie za szeroko, w sam raz, aby dać mi do zrozumienia, że się bardzo cieszy na mój widok. W sekundzie podbiegłam do niego i rzuciłam mu się na szyję. On mnie objął i ucałował w czubek głowy. Staliśmy tak przyklejeni do siebie, śmiejąc się i całując. Musieliśmy wyglądać jak para najlepszych kochanków.

Thomas ujął w dłonie moją twarz i spojrzał prosto w oczy.

- Jak minął lot?

- Świetnie - skłamałam. - Nie miałam żadnych problemów.

Przyjrzał mi się.

- Tak? Wyglądasz, jakbyś płakała.

Wysunęłam się z jego objęć i uciekłam wzrokiem.

- Nie - skłamałam po raz drugi. - Było okej. Jestem tylko niewyspana.

- Dobra, udam, że ci wierzę - uśmiechnął się. - A teraz zmykamy stąd!

Do hotelu dotarliśmy około drugiej nad ranem. Thomas wynajął dla nas cały ogromny bungalow, dwa razy większy niż moje mieszkanie. Do wejścia wiodła kamienna ścieżka. Gdy otworzyłam drzwi, zaniemówiłam z wrażenia. Podłogi pokrywał marmur, ściany były wyłożone lśniącym jasnym drewnem, a bambusowy strop zdawał się sięgać nieba. W środku stało wielkie łóżko i było wyjście na prywatny taras. Cała jedna ściana była przeszklona, a za nią roztaczał się widok na niekończące się pola ryżowe. Nawet nocą zapierał dech w piersi.

- Nie wierzę. Tu jest... tu jest... po prostu ślicznie! - wyjąkałam. Nikt mnie nigdy nie zabrał w tak piękne miejsce. Nikogo nie było na to stać. Odwróciłam się i spojrzałam z podziwem na Thomasa. Wziął mnie w ramiona i pocałował.

Zupełnie nie wiem, jak opisać to, co się działo później. Powiedzmy, że czasami w życiu, po latach pchania kieratu,

robienia dobrej miny do złej gry i starań, by się utrzymać na powierzchni, spada nam z nieba prezent, mała nagroda za cały ten wysiłek. Przez chwilę można posmakować, jakie życie jest cudowne. Nie wiemy, jak długo to potrwa, ale to nieważne, bo w tym momencie pławimy się w jeziorze rozkoszy i nie zamierzamy marnować czasu, martwiąc się, kiedy trzeba będzie z niego wyjść.

A zmierzam do tego, że przez następne osiem dni nie ruszaliśmy się z hotelu. Z pokoju też prawie nie wychodziliśmy a jeśli już, to żeby coś zjeść. Nie pamiętam, kiedy ostatnio mi się to zdarzyło. Prawda jest taka, że mało razy byłam w stałym związku. Owszem, chodzę na randki, miewam romanse, ale rzadko z kimś, kogo mogłabym nazwać „moim facetem”, a potem z takiego czy innego powodu z nim zerwać i powiedzieć przyjaciółkom: „Co ja w nim widziałam?”. Niestety, zawsze wiem, co widzę, druga strona też, więc żadne nie jest w stanie zbyt długo się oszukiwać i sprawy się kończą dosyć szybko i względnie bezboleśnie, W każdym razie od dawna nie spędziłam tyle czasu bez przerwy z jednym mężczyzną. Od dawna nie było nikogo, z kim chciałabym spędzić tyle czasu i kto ze mną chciałby go spędzić. Nikogo, z kim chciałabym się budzić co rano, potem

się kochać, jeść, rozmawiać, znowu się kochać i tak dalej. To smutne, że odczuwałam to jako coś niezwykłego. Zrozumiałam, jak łatwo my, single, przyzwyczajamy się do braku tego rodzaju bliskości w życiu. W każdym razie próbuję powiedzieć, że był to dla mnie tydzień niczym niezmałconego szczęścia.

W tym czasie Thomas wykonał dziewięć telefonów, sześć w sprawach zawodowych i trzy do żony. Zawsze wychodził z pokoju, kiedy z nią rozmawiał, więc nie wiem, czy go pytała, kiedy wraca, i jakiej ewentualnie udzielał odpowiedzi. Siedziałam wtedy na łóżku trochę zawstydzona i czułam się bardzo niezręcznie. Ogromnie mnie ciekawiło, na czym to ich małżeństwo polega. Jak by nie patrzeć, Thomas to piekielnie inteligentny facet, który nie da sobie wcisnąć kitu i ceni szczerłość. Czy w takim razie można je traktować serio? Skoro drugiej stronie wolno się spotykać z innymi, kiedy tylko zechce, czy da się to jeszcze nazwać związkiem małżeńskim? A może tylko chciałam je zbagatelizować, żeby się nie czuć jak ostatnia dziwka?

W końcu nie wytrzymałam i spytałam, czy żona nie jest ciekawa, kiedy wróci do domu. Odparł, że zawarli umowę: każde z nich może zniknąć na dwa tygodnie, ale nie dłużej, a

drugie nie będzie zadawało pytań. Potem trzeba wrócić do domu.

Interesujący układ. Przynajmniej teraz wiedziałam, ile mamy czasu. Już nie musiałam się zastanawiać, jak długo jeszcze potrwa nasz mały miesiąc miodowy. Dwa tygodnie, a potem selamat tinggal, jak mówią miejscowi.

Któregoś dnia, kiedy Thomas poszedł dzwonić w interesach, ja zatelefonowałam do mamy, żeby jej dać znać, że jestem cała i zdrowa. Kiedy się rozłączałam, usłyszałam sygnał informujący o połączeniu oczekującym. Odebrałam. Głos w słuchawce był wyniosły i chłodny. Dzwoniła Candace, moja szefowa z Nowego Jorku. Odruchowo się wyprostowałam.

- Witaj, Julie, mówi Candace. Dzwonię, żeby zapytać, jak tam postępy w pracy?

- Wszystko idzie świetnie. Naprawdę. Niesamowite, jak podróże kształcą.

- Miło mi to słyszeć. Bałam się, że wypuściłaś się na wakacje z jakimś Włochem i przepuszczasz całą naszą forszę w Capistrano - zażartowała z doskonałym włoskim akcentem.

- No wiesz. Ciężko pracuję. Bardzo ciężko. - W tym momencie się rozejrzałam. Thomas owinięty tylko w ręcznik zmierzał w stronę basenu. Zaczęłam się trochę pocić.

- To dobrze. Zdaję sobie sprawę, że decyzja, jaką podjęłam, była trochę nieprzemyślana, ale daliśmy ci czek, a ty podpisałaś umowę, więc chcę ci tylko przypomnieć, że oczekujemy, iż się z niej wywiążesz.

- Jak najbardziej - odparłam. Thomas wskoczył do wody z głośnym pluskiem. Przytknęłam telefon do piersi, żeby Candace tego nie słyszała. - Oczywiście, że tak. Zebrałam już masę materiału, to będzie świetna książka.

Dodałam jeszcze garść zapewnień, że wszystko idzie pomyślnie i udało mi się przepytac mnóstwo kobiet, po czym szybciotko się rozłączyłam. Potem równie szybko próbowałam o tej rozmowie zapomnieć. Do licha, w końcu byłam na wakacjach.

W ósmym dniu pobytu na Bali zdecydowaliśmy się w końcu opuścić hotel i zwiedzić okolicę. Spacerowaliśmy wzdłuż Monkey Road i zaglądaliśmy do miejscowych galerii sztuki. W małej kafejce zjedliśmy na spółkę lokalny specjał ayam jeruk, kurczaka podsmażonego z czosnkiem i mlekiem kokosowym.

Kiedy siedzieliśmy naprzeciwko siebie, uśmiechając się i robiąc maślane oczy (dobrze, że byłam daleko od domu i nikt nie widział, jaką robię z siebie kretynekę), podjechała jakaś para na motocyklu. On był młodym, mniej więcej dwudziestopięcioletnim mężczyzną, ona kobietą około pięćdziesiątki. Zawiesili kaski na kierownicy i usiedli niedaleko nas. Rozmawiali i trzymali się za ręce, potem ona go pocałowała. Przestałam się gapić na Thomasa, a zaczęłam na nich.

Thomas to zauważył i parsknął śmiechem.

- Aha, antropolog znalazł nowy obiekt do obserwacji. Odwróciłam wzrok. Nie wiedziałam, że to było aż tak widoczne.

- Hm, ciekawe, co? - powiedziałam. Thomas dyskretnie się obejrzał.

- Powiedz mi, co widzisz?

Oceñałam im wzrokiem. Kobieta była atrakcyjna, choć wyglądała na swój wiek: trochę sadełka na brzuchu, obwisłe ramiona, siwe włosy spięte wsuwkami. Chłopak był śliczny. Miał dłuższe czarne włosy z przedziałkiem na środku, delikatne rysy twarzy, ale gęste brwi, które dodawały

spojrzeniu wyrazistości. Był szczupły, lecz mimo to jego ciało wydawało się silne i muskularne.

- Mężczyznę wykorzystującego kobietę - odparłam.

- Ach tak. Czyli widzisz zdesperowaną kobietę, która daje się uwodzić młodemu chłopakowi.

- Być może.

- To ciekawe, bo ja widzę kobietę wykorzystującą mężczyznę.

- Naprawdę?

- Możliwe, że ona przyjechała tu się zabawić, ale możliwe też, że wmawia temu chłopcu, że go kocha i zawsze będzie się nim opiekować. Potem zadowolona wróci do swojego Londynu, Sydney czy Detroit, a on zostanie tu sam.

- Jak to zwykle robią faceci.

- Zgadza się. Zastanowiłam się nad tym.

- Czy to nie smutne, że z góry zakładamy którąś z tych wersji?

- Co masz na myśli?

- Oboje od razu przyjęliśmy, że z racji różnicy wieku ktoś tu kogoś musi wykorzystywać.

- No oczywiście, Julie. Przecież ani ty, ani ja nie jesteśmy głupi.

Roześmiałam się. Thomas położył rękę na mojej dłoni i wesoło spojrział mi w oczy.

- Ten twój śmiech! Ten twój uśmiech. Można się uzależnić, naprawdę.

Spuściłam wzrok. Z całych sił próbowałam nic nie czuć.

Poszliśmy do śródmieścia Ubudu, do słynnej świątyni Puri Saren Agung, gdzie miał się odbyć pokaz tradycyjnego tańca o nazwie Legong. Kiedy mijaliśmy kawiarenki i maleńkie butiki z różnymi świecidełkami, Thomas raz jeszcze się odniósł do tamtej pary na motocyklu.

- Na Bali takie sytuacje są na porządku dziennym. Wyspa z tego słynie. Kobiety zjeżdżają tu tłumnie specjalnie w tym celu.

- Co ty powiesz? Kiwnął głową.

- Może nie tyle do Ubudu, co do Kuty. Tam się nawiązuje kontakty.

- Gdzie jest Kuta?

- Nad oceanem, blisko lotniska. To mała turystyczna miejscowość, ciągle ktoś usiłuje ci coś sprzedać. Tam właśnie wszyscy balijscy żigolacy jeżdżą podrywać kobiety.

- Smutno mi się robi, gdy tego słucham.

- Dlaczego?

- Bo wolałabym, żeby kobiety nie musiały przyjeżdżać aż tutaj, żeby mieć się z kim kochać. To już jest desperacja.

- No tak, a nie ma nic smutniejszego niż zdesperowana kobieta, prawda?

- Nie tylko kobieta, każdy, ale tak, to rzeczywiście jest przygnębiające.

Potem szliśmy w milczeniu. O Bali wiedziałam tylko tyle, że to wyspa, gdzie kwitnie sztuka i folklor. W tamtejszej kulturze nie istnieje jedno słowo określające „artystę”, ponieważ wszyscy nimi są. W różnych dziedzinach: tańczą, malują, grają na instrumentach, a wszystko na cześć bogów hinduizmu i ich świątyń. Tyle wiedziałam o Bali. Nic o tym, że jeździ się tam bzykać młodych chłopców.

- A propos Kuty, obawiam się, że jutro musimy opuścić Ubud i tam pojechać, bo muszę załatwić parę spraw. - Thomas przystanął. - Choć czas spędzony tutaj był cudowny. - Kiedy położył mi dłoń na policzku i pocałował mnie, zakręciło mi się w głowie; nie przywykłam do takiego natężenia przyjemności. Odparłam, że chętnie się dostosuję. Potem nagle się wystraszyłam, że może on chce się ode mnie uwolnić.

- Chyba że wolisz jechać sam, to zostanę. Nie chciałabym...

Objął mnie i szepnął do ucha:

- Cicho bądź, Julie. Denerwujesz mnie.

I znowu pocałował.

Weszliśmy na duży dziedziniec i zobaczyliśmy, że spektakl już się zaczął. Widownia siedziała na ziemi w półkolu, a wykonawcy wchodzili na dziedziniec przez jedną z bram. Były to same kobiety ubrane w złoto - niebieskie sari i wielkie ozdobne nakrycia głowy. Każda miała oczy podkreślone cienką czarną kreską. Choreografia była tak dopracowana, że wszystko, od gestów rąk po ruchy wachlarzami, odbywało się w idealnej harmonii. Zauważyłam wśród widzów znajomą parę z kawiarni. Przyjrzałam się kobiecie i próbowałam stwierdzić, czy jest w tym chłopaku zakochana. Teraz akurat nie okazywali sobie uczuć, więc starałam się odgadnąć, kto jest górą w tym związku po sposobie, w jaki na siebie patrzą. Trudno powiedzieć. Odwróciłam z powrotem głowę. Tancerkom akompaniował zespół gamelanowy. Wsluchując się w egzotyczne dźwięki, zauważyłam, że nawet ruchy oczu tancerek są reżyserowane. Każde spojrzenie - w lewo, w prawo, w górę, w dół - miało swoje znaczenie. Zerknęłam na Thomasa. Na jego twarzy malował się podziw i zaciekawienie. Widziałam, że chłonie to

wszystko swym genialnym umysłem, filtruje przez wiedzę nabytą we francuskich szkołach, miesza z wrodzoną spostrzegawczością i inteligencją, żeby na koniec powiedzieć o tym doświadczeniu coś, co mnie rzuci na kolana. Kiedy pomyślałam o nadchodzącym wyjeździe z Ubudu i w ogóle z Bali, zdałam sobie sprawę, że to będzie koniec naszego romansu. Thomas wróci do domu, gdzie też czeka na niego miłość, bliskość i seks, a ja wyruszę w dalszą podróż samotnie. W naszym związku było jasne, kto jest górą.

Gdy po ceremonii wychodziliśmy na ulicę, znów trafiliśmy na znajomą parę. Stali metr od nas i się całowali.

Potem kobieta uśmiechnęła się do mnie i powiedziała z silnym australijskim akcentem:

- Czy to nie was widziałam dzisiaj w kawiarni?

No jasne, że to Australijka. Poszła po rozum do głowy i przeniosła się w miejsce, gdzie faceci chcą się pieprzyć z pięćdziesięciolatkami.

Odparłam, że tak. Przedstawiliśmy się sobie nawzajem. Miała na imię Sarah, a jej towarzysz Made (z akcentem na drugą sylabę). Powiedziała, że mieszka na Bali już pół roku i zastanawia się nad przeprowadzką na stałe.

- Jesteście w podróży poślubnej? - spytała.

- Nie, spędzamy tu wakacje - odparł Thomas.

- Tak sobie pomyślałam, bo wyglądacie na bardzo zakochanych. Od razu to zauważyłam.

Ciekawe, czy to ulubione zajęcie wszystkich par - obserwowanie innych par i zgadywanie, jak bardzo są szczęśliwe.

- Bo jesteśmy - powiedział Thomas i spojrzał na mnie z szelmowskim błyskiem w oku.

- Może zjemy razem kolację? Fajnie będzie usłyszeć, co się dzieje w szerokim świecie. Mamy tu wprawdzie CNN, ale i tak czasem się czuję jak na bezludnej wyspie.

Nie chciałam spędzać ostatniego wieczoru w Ubudzie z obcymi ludźmi, ale nie wiedziałam, jak odmówić. Thomas przynajmniej spróbował.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo nam to pasuje, bo jutro z samego rana wyjeżdżamy do Kuty... - rzekł, jak zwykle zdając się na swój urok osobisty.

- Błagam - przerwała mu Sarah - nie macie pojęcia, jak tęsknię za towarzystwem kogoś z Zachodu. Zjedźmy wczesną kolację, wtedy resztę wieczoru będziecie mieć tylko dla siebie. Proponuję Lotus Cafe. Bardzo ładne miejsce.

Chyba nie mieliśmy wyjścia.

- Z przyjemnością - powiedziałam.

Idąc ulicą, trzymaliśmy się kilka kroków przed nimi. Po chwili milczenia spojrzałam na Thomasa i rzekłam:

- Zakochani, co?

Na co on:

- A nie?

Dotarliśmy na miejsce i zajęliśmy chyba najlepsze miejsca w całej restauracji. Przy samym stawie oświetlonym mnóstwem maleńkich światełek, które podkreślały kontury otaczających go starych drzew. Z paszcz rozmieszczonych wzdłuż brzegów małych maskaronów tryskała woda. Na wprost, nieco w oddali wznosiła się olśniewająco piękna świątynia Pura Taman Kemuda Saraswati. Wyglądała bardzo egzotycznie, jakby żywcem wyjęta z filmu Tomb Rider. Wzbudzała respekt i pokorę. Thomas zamówił butelkę wina i zaczęliśmy się nawzajem poznawać. Sarah usiadła obok mnie, Made obok Thomasa - każdy naprzeciwko ukochanej osoby.

- Długo tu jesteście? - zapytała Sarah.

- Tydzień.

- Wspaniale. Mieliście okazję obejrzeć ceremonię kremacyjną dwa dni temu? Niesamowity widok.

Oboje z Thomasem się uśmiechnęliśmy i pokręciliśmy głowami.

- A w Małpim Gaju byliście? Uwielbiam małpy, są takie śmieszne.

- Jakoś się nie złożyło - odparłam trochę zawstydzona.

- Na Batur też nie wchodziliście?

Znów pokręciliśmy głowami. Thomas postanowił być szczery:

- Prawdę mówiąc, nie ruszaliśmy się z hotelu. To dosyć romantyczne miejsce.

- Ach, tak - uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Doskonale rozumiem, nie musicie się tłumaczyć. - Spojrzała czule na Made. - Bali to idealne miejsce na miłość.

Thomas sięgnął przez stół i ujął mnie za rękę.

- To prawda.

- Na pewno chodzi o te cudowne krajobrazy, ale nie tylko, także balijską kulturę, ich umiłowanie sztuki, piękna i religii. To wszystko jest... zniewalające. - Sarah odgarnęła kosmyk z czoła Made. - Trudno nie dać się porwać temu urokowi.

Made postanowił wreszcie przemówić:

- Tak, takie jest właśnie Bali. To wyspa stworzona do miłości, w różnych jej formach. Do Boga, do tańca, do rodziny, no i tej... romantycznej.

Sarah wyciągnęła do niego rękę. Made chwycił ją obiema dłońmi i czule ucałował. I co w tym złego?

Nic, poza tym, że wciąż trudno mi było zignorować fakt, że ta kobieta całkiem spokojnie mogłaby być jego matką. Przyznaję, że odczuwam to samo, gdy widzę mężczyznę z dużo młodszą kochanką. Kiedyś na ulicy zobaczyłam Billy'ego Joela z jego ostatnią żoną i pomyślałam sobie: „On jej powinien dawać kieszonkowe, a nie z nią sypiać”.

Ale jakim prawem oceniam Billy'ego Joela? Albo Sarah i Made. Skoro są szczęśliwi, ich sprawa.

Zanim na stole pojawiła się druga butelka wina, poruszyliśmy mnóstwo tematów. Made opowiadał o życiu na Bali, o rodzinach mieszkających w osadach, gdzie rodzice, dzieci oraz małżonkowie dzieci i ich rodziny mają oddzielne domy, ale połączone wspólnym podwórzem. Wyjaśnił też podstawowe wierzenia hinduizmu, mówił o podejściu do śmierci, przekonaniu, że trwamy w nieustannym cyklu życia, śmierci i odrodzenia, dopóki nasza dusza nie osiągnie stanu pełnego oświecenia, czyli Samadhi.

Sarah tymczasem osiągnęła stan pełnej nietrzeźwości i zaczęła się dosłownie wieszać na Made. Kładła ociężałą głowę na jego ramieniu jak małolata. Siedząca przy stoliku obok para Brytyjczyków co chwila ukradkiem na nich zezowała. Sarah była mniej powściągliwa w wyrażaniu opinii na temat całej sytuacji. Mówiła trochę za głośno.

- Wiem, co sobie myślą. Myślą, że skoro jestem stara, to znaczy że Made mnie wykorzystuje. Ale on mnie nigdy o nic nie prosi. Nigdy.

Pokiwałam wyrozumiale głową. Sarah upiła łyk wina.

- Poznaliśmy się na plaży w Kucie. Podszedł do mnie i powiedział, że jestem najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu. Oczywiście, nie uwierzyłam w te bzdury, ale i tak było mi strasznie miło.

Musiała coś dojrzeć w mojej minie, choć z całych sił próbowałam okazywać życzliwość.

- To nie to, co myślisz. Usiadł obok na piasku i zaczęliśmy rozmawiać. Gadaliśmy godzinami. Było cudownie.

- To bardzo romantyczne - powiedziałam. Sarah robiła się coraz bardziej natarczywa i trochę głośna. Dla podkreślenia wypowiedzianych słów zaczęła stukać palcem w stół.

- Nigdy mnie o nic nie prosił. Kupiłam mu ten motor, bo chciałam. Dałam jego rodzinie pieniądze, bo go Kocham i chciałam im pomóc. To bardzo biedni ludzie. Mieszka ze mną i ja za wszystko płacę, bo mnie na to stać i mam na to ochotę. Ale nigdy mnie o to nie prosił. Nigdy! Dzień w dzień chodzi do pracy w sklepie niedaleko stąd. Ma swoje zasady! - Obrzuciła pijackim spojrzeniem parę Brytyjczyków i powtórzyła na cały głos: - Ma zasady! - Tamci popatrzyli na siebie i poprosili kelnera o rachunek.

- Robi się późno, chyba powinniśmy już iść - zagadnęłam, wierząc się nerwowo na krześle.

Sarah westchnęła i przytuliła się do Made.

- On mnie Kocha bardziej niż wszyscy faceci, których dotąd znałam. Czasami mam dosyć. Te spojrzenia...

Made pocałował ją w czoło.

- Niektórzy nie rozumieją, co nas łączy. Nie przejmuj się, Kochanie.

- Tak, ci wszyscy ludzie to świnie. - Tym razem powiedziała to tak głośno, że słyszała cała restauracja. - Świnie. - Spojrzała na mnie. - A poza tym, Julie, pokaż mi związek, w którym bilans jest równy i dwoje ludzi czuje do

siebie dokładnie to samo w tym samym czasie. No, pokaż mi. Pokaż!

Teraz już wszyscy się na nas gapili. Nie miałam ochoty jej odpowiadać.

- A widzisz? Nie ma takich. - Uderzyła pięścią w stół. - Nie ma! Co z tego, że dam jemu i jego rodzinie pieniądze? No co? On mnie kocha. Ludzie nic więcej nie muszą wiedzieć. Kocha mnie!

Kelner przyniósł nam rachunek. Thomas zapłacił i wyszliśmy. W życiu nie widziałam, żeby ktoś w takim tempie uiszczal należność.

Wracaliśmy do hotelu pieszo. Cała się trzęsłam. Przyspieszałam kroku, bo chciałam jak najszybciej się oddalić od tych ludzi. Uważam, że ta kobieta była naprawdę zdesperowana. Desperacko pragnęła, aby ludzie postrzegali ich jak prawdziwą parę, i za nic nie chciała zauważyć, że człowiek, który ją kocha bardziej niż wszyscy znani jej dotąd faceci, uczynił sobie z tego dodatkowe źródło dochodów. To tylko moje zdanie, zaznaczam.

Mijający tydzień był jak cud. Czułam się taka szczęśliwa, że modliłam się do wszystkich bogów, hinduistycznych i innych, aby nigdy się nie skończył. Ilekroć pomyślałam o

powrocie do dawnego życia, gdzie czekają mnie betonowe chodniki, lunche, spotkania, bezrobocie, randki i imprezy, wszystko we mnie chciało krzyżeć. Gdyby Thomas zaproponował, abym została tam z nim na zawsze, zamieszkała z dala od rodziny i przyjaciół, po prostu zbudowała z nim wspólne życie na Bali, zgodziłabym się bez wahania. Miałam wrażenie, jakby uchylił w moim sercu taką klapę, która przez lata była przykryta dywanem i zastawiona szafą, i odkrył pod nią pokłady potrzeb, o których istnieniu nawet nie wiedziałam. Pragnęłam tylko rzucić mu się do stóp i błagać, by mnie nigdy nie zostawił.

Ale nie zrobiłam tego, tylko pędziłam przed siebie coraz szybciej i szybciej.

Wróciliśmy do bungalowu i od razu padliśmy na łóżko. Objęliśmy się i mocno przytuleni zaczęliśmy się całować.

Tymczasem w Stanach

Nie jest dobrze, jeśli dwie osoby w związku jednocześnie przeżywają depresję. Bardzo się przydaje mieć u boku kogoś, kto w razie potrzeby wesprze i pocieszy. Ruby i Serena wprawdzie nie były parą, ale mieszkały ze sobą. Serena spała u Ruby na kanapie i obie miały problem, żeby się rano zwlec z łóżka. Tego dnia zaraz po przebudzeniu Serena przez chwilę

zupełnie nie pamiętała o swej krótkiej przygodzie ze stanem duchownym - dopóki nie zachciało jej się przeczesać palcami długich blond włosów, których już nie miała. Rozpłakała się.

W pokoju obok Ruby śnił się straszny sen o ostatnim pitbullu, którego przytulała przed uspieniem. Tak ufnie na nią patrzył tymi swoimi wielkimi brązowymi oczami. Obudziła się, szlochając w poduszkę. Gdyby ktoś teraz wszedł do ich mieszkania, usłyszałby stłumione dźwięki smutnej fugi na dwa głosy.

W końcu Ruby się ocknęła i przestała płakać. Leżąc na łóżku i zbierając myśli, dosłyszała zza ściany ciche łkanie Sereny. Nie miała pojęcia, jak się zachować. Wiedziała o niej tylko tyle, że postanowiła ogolić głowę i zostać mniszką w dzień po tym, jak przeżyła płukanie żołądka po spożyciu nadmiaru alkoholu i skrzydełek z kurczaka. Nie była pewna, jak dobrze chce ją poznać. Z drugiej strony Serena u niej mieszkała i coś ją najwyraźniej trapiło.

Ruby wstała więc z łóżka. Miała na sobie flanelową piżamę w pieski. Wsunęła stopy w białe puchate kaptcie i wyszła z sypialni. W przedpokoju stała Vanilla i zaczęła się o nią ocierać. Serena usłyszała kroki Ruby i natychmiast ucichła. Nie ma nic gorszego, niż kiedy ktoś obcy widzi, jak

placzesz. To jedna z zalet mieszkania samemu - można ryczeć do woli. Udawała, że śpi, licząc, że Ruby da jej spokój, ale ta podeszła do rozkładanej kanapy i zapytała:

- Wszystko w porządku, Sereno?

Serena się poruszyła i niby zaspanym głosem mruknęła:

- Uhm.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, powiedz.

- Uhm.

Ruby poczłapała z powrotem do sypialni i położyła się do łóżka. Naciągając kołdrę na głowę, pomyślała: „Mój dom stał się przytułkiem dla nieszczęśliwych kobiet”. Potem oddała się marzeniom. Marzeniom o lepszym życiu. Często to robiła, pomagało jej to przetrwać najgorsze chwile. Tego dnia z niewiadomych przyczyn zaczęła snuć fantazje, jak wyglądałyby jej poranki, gdyby w domu było małe dziecko. Nie miałyby czasu na wylegiwanie się w miękkiej pościeli. Już dawno byłaby na nogach, przygotowywałyby śniadanie i wyprawiała dziecko do szkoły. Wcale nie poczuła się zmęczona na tę myśl, przeciwnie, uśmiechnęła się. Zdała sobie sprawę, że nie może się doczekać dnia, kiedy nie będzie miała czasu pomyśleć o sobie. Wtedy ją olśniło, że taki dzień właśnie nadszedł. Serena wprawdzie nie ma siedmiu lat, ale

jest w potrzebie. Płacze i jest załamana, a o ile Ruby sobie przypomina, za godzinę jest umówiona na spotkanie w sprawie pracy. Ruby ma więc okazję być pomocna. Odrzuciła kołdrę, wyskoczyła z łóżka i poszła do salonu. Serena już nie płakała, ale leżała zwinięta w kłębek z głową wtuloną w ramiona i delikatnie oddychała.

- Zrobić ci coś? Kawę, herbatę? Może jajko ci ugotuję?
Serena tylko pokręciła głową. Ruby nie wiedziała, co dalej.

Zastanowiła się, co robią matki w takiej sytuacji. Oczywiście ignorują reakcję. Matka mimo wszystko poszłaby zrobić śniadanie. Ruby odwróciła się więc i udała do kuchni. Napełniła czajnik i postawiła na gazie. Potem otworzyła szafkę i przejrzała zawartość. Stwierdziła, że Serena pewnie pija herbatę, no bo joga, te sprawy. Przypomniała sobie, że kupiła kiedyś zieloną, bo postanowiła ją pić ze względu na zawarte w niej cenne antyoksydanty, choć nawet dobrze nie wiedziała, co to takiego. Wyciągnęła ją z głębi półki i zaparzyła. Potem otworzyła kubeczek gęstego greckiego jogurtu i włożyła do środka łyżeczkę. Wróciła do salonu. Przysiadła na brzegu kanapy i dotknęła Sereny w ramię.

- Napijesz się zielonej herbaty? Masz tu kubek. Żadnej reakcji. Instykt podpowiadał Ruby, żeby zaczekać.

Po chwili Serena wolno się podniosła i oparła plecy o oparcie kanapy. Jej wygląd - mała ogolona główka i spuchnięte oczy - przywodził Ruby na myśl pisklę strusia.

- Dzięki, Ruby - odezwała się słabym głosem. Wzięła kubek z herbatą i zaczęła ostrożnie pić. Alleluja. Ruby poczuła, jak serce jej puchnie od matczynej dumy.

- Chcesz pogadać? - spytała. Serena wpatrywała się w kubek.

- Nie miałam pojęcia, że tak fajnie jest być zakochanym. - Kąciki jej ust zadrżały, a w oczach pojawiły się łzy. - Zupełnie straciłam rozum.

Ruby wzięła ją za rękę.

- Współczuję ci.

- Żeby to chociaż było prawdziwe, ale nie. Jak mogłam się zakochać, skoro to wszystko było kłamstwem? Aż tak rozpaczliwie pragnęłam miłości, że ją sobie wymyśliłam?

Ruby właściwie nie wiedziała, co powiedzieć, ale starała się ją jakoś pocieszać.

- Może to był tylko trening? Potrzebny do tego, żebyś się otworzyła na prawdziwe uczucie do kogoś, kto będzie tego wart.

Serena zerknęła na kubeczek, który Ruby trzymała w ręku.

- Co to?

- Grecki jogurt z miodem. Gęsty i pyszny. Chcesz?
Serena kiwnęła głową. Ruby nabrała łyżeczką odrobinę do spróbowania. Serena jednak zamiast wziąć ją, pochyliła się i otworzyła usta. Zupełnie, jakby utrzymanie łyżeczki w ręku było ponad jej siły. Ruby wsunęła jej do ust porcję jogurtu.

- Dobrze - uśmiechnęła się Serena.

- Nie jesteś czasem umówiona na spotkanie?

- Tak. Powinnam już wstać - odparła z westchnieniem.
Zanim spuściła nogi na podłogę, spojrzała na Ruby jeszcze raz. - Dziękuję ci.

Ruby tylko się uśmiechnęła. Była w tym dobra.

Po wyjściu Sereny przyszło jej do głowy, że może dałoby się jakoś obejść tę kwestię samotnego macierzyństwa. Przecież wcale nie musi tego robić sama. Ojca dla dziecka można pozyskać na wiele sposobów. Idąc do biura, które mieściło się bardzo blisko, bo zaledwie kilka przecznic od domu, zaczęła szukać w myślach potencjalnych kandydatów na dawców spermy. Na przykład jej przyjaciele Dennis i Gary. Tworzyli najbardziej stabilny związek spośród wszystkich znajomych. Byli ze sobą trzy lata i mieszkali w pięknym lofcie na Osiemnastej Ulicy w Chelsea. Ruby mieszkała na Upper

West Side, ale z chęcią przeniosłaby się do Chelsea, żeby mogli dzielić rodzicielskie obowiązki. Pamiętała, że kiedyś wspominali, że chcieliby mieć dzieci. Jak mogła wcześniej na to nie wpaść? To dwaj najbardziej opiekuńczy ludzie, jakich zna. Często bywa tak, że jedna osoba w związku jest miła, a druga robi za tego „złego gliniarza”, ale u nich jest inaczej. I Dennis, i Gary są tak dobrzy i troskliwi, że kiedy się wejdzie do nich do domu, człowiek się czuje jak w urokliwym pensjonacie, gdzie wszystko jest mięciutkie, delikatne i przytulne, a goście mogą liczyć na pełną obsługę. Ruby poznała Gary'ego przed pięcioma laty, gdy byli sąsiadami, i od tej pory się przyjaźnią. Kiedy pojawił się Dennis, z miejsca się polubili. Spotykali się w trójkę bardzo często, jak jedna wielka, szczęśliwa rodzina. Ruby zaczęła sobie wszystko obmyślać w głowie. Ona byłaby opiekunką prawną dziecka, ale chłopcy mogliby je widywać, kiedy tylko by chcieli. A najlepsze jest to, że miałyby dla swojego maleństwa aż dwóch tatusiów zamiast jednego. Nie musiałyby rezygnować z życia towarzyskiego, bo zawsze mogłaby podrzucić dzieciaka Gary'emu i Dennisowi. Może nawet udałoby im się wynająć mieszkania w tym samym budynku.

Zastanowiła się nad szczegółami: czyjej spermy użyją? Gary'ego czy Dennisa? Obaj są bardzo przystojni i dobrze zbudowani; tylko Dennis jest trochę bardziej przy kości. Niestety, Gary ma fatalny wzrok. Za to Dennis zaczyna łysieć. Za to Gary'ego zna dłużej, więc może lepiej, żeby to było dziecko Dennisa, wtedy nie czułby się odsunięty? Gdzieś czytała, że czasami męskie pary mieszają swoją spermę i urządzają coś w rodzaju rosyjskiej ruletki. Ruby już to sobie wyobrażała: nosidełko BabyBjorn, a w nim niemowlę ubrane na różowo. Albo na niebiesko. Ruby trzymająca je na rękach i wsłuchująca się w słodkie gaworzenie. Różowe albo niebieskie maleństwo stawiające pierwsze kroki ku radości trojga rodziców. A potem może kogoś pozna i ten ktoś stwierdzi, że taki zwariowany, nowoczesny klan to fajna sprawa, i z łatwością się dogadają. Może będzie miał własne dzieci i stworzą razem postępowy model rodziny mieszanej? Tak jej się spodobał ten pomysł, że postanowiła nie tracić ani chwili. Wyjęła komórkę, zadzwoniła do chłopców i umówiła się z nimi w tygodniu na lunch.

W dniu spotkania postanowiła się ubrać stosownie do roli przyszłej matki. Nałożyła luźną bluzkę w stylu folkowym, luźne spodnie i płaskie balerinki. Krój bluzki sprawiał, że

wyglądała, jakby już była w ciąży. I tak miało być: niech Gary i Dennis od razu zobaczą, jak by to było, gdyby nosiła ich dziecko. Jaka potrafi być delikatna i kobieca. Niestety, nie bardzo wiedziała, jak można ukazać delikatność wśród jazgotliwego tłumu wcinającego sałatki i hamburgery, i przekrzykującego dudniącą muzykę.

Gary i Dennis zaproponowali spotkanie w Cafeterii, co Ruby zaraz po wejściu uznała za błąd. Cafeteria to chyba najbardziej hałaśliwa restauracja w Nowym Jorku. Głośna łupanka dolatująca z głośników w połączeniu z gwarem klientów sprawiała, że czuli się, jakby próbowali jeść lunch w środku imprezy techno.

Ruby miała powody, by się denerwować. Nigdy nie przeprowadzała takich rozmów. Nigdy nawet nie zaprosiła faceta na randkę - uważała, że powinno być odwrotnie - ale też nigdy nie musiała się do tego uciekać. Dzisiaj nie chodziło o zwykłe oświadczenia, lecz coś bardziej nieodwołalnego. Taka decyzja wiązałaby ich na całe życie. Co więcej, Ruby zamierzała właśnie mieć czelność zapytać tych dwóch najtroskliwszych ludzi na świecie, czy się nadaje na matkę ich dziecka.

Przyszli. Gary miał na sobie doskonale skrojoną zamszową marynarkę, a Dennis czarny kaszmirowy golf i puchowy bezrękawnik. Usiedli, wyraźnie uradowani ze spotkania.

- Super cię widzieć, Ruby - powiedział Dennis i uściskał jej dłoń. Ruby od razu się odprężyła. Na pewno uznają, że będzie dobrą matką. Znali jej zalety lepiej niż ktokolwiek inny: cierpliwość, łagodność, opanowanie. A że parę razy byli też świadkami ataków depresji po kolejnych bolesnych zawodach? Cóż, nikt nie jest doskonały. Nagle sobie przypomniała pewną sytuację, kiedy zjawił się u niej Gary i zabrał ją w pizamie na przejażdżkę. Była właśnie świeżo po rozstaniu z którymś tam chłopakiem. Kazał jej kategorycznie wsiadać do auta i przewiózł ją aż do Bear Mountain i z powrotem. Ruby, która zdążyła tylko narzucić kurtkę na pizamę, była tym tak wzruszona, że otrząsnęła się z depresji i mogła dalej funkcjonować. Teraz żałowała, że Gary widział tę stronę jej osobowości. Może to wykorzystać przeciwko niej. Przeklęła się w duchu, że nie zawsze była wesoła i pogodna w obecności przyjaciela. A jeśli on myśli, że jest zbyt niestabilna emocjonalnie?

Postanowiła wyrzucić to z siebie od razu.

- Chcę, żebyście mnie zapłodnili. Dla równowagi oparła ręce o stół.

- A nie mówiłem? - powiedział Gary do Dennisa.

- O czym? - spytała zdeorientowana Ruby. Gary wzruszył ramionami.

- Miałem przeczucie i tyle. Ruby rozpoczęła autoprezentację:

- Wiecie, że jestem odpowiedzialna, zawsze dotrzymuję terminów, nieważne, w jakim jestem stanie psychicznym. Nie to, żebym miała popaść w depresję, wtedy to się załamywałam z powodu facetów, bo dawałam im za dużo kontroli nad moim życiem, ale jako matka nie załamie się z powodu jakiegoś faceta, bo będę miała wyższe powołanie. Macierzyństwo.

Dennis i Gary spojrzeli po sobie z zakłopotaniem, potem na Ruby. Każdy miał inny wyraz współczucia w oczach. Dennis pochylił się do niej i chwycił ją za rękę.

- Wybacz, ale właśnie podarowaliśmy nasienie Veronice i Lei. Ruby przez chwilę trawiła tę informację. Kim są, do cholery, Veronica i Lea? Nawet o nich nie słyszała.

- Kto to jest Veronica i Lea? - spytała ze źle maskowanym oburzeniem w głosie.

Odpowiedział Gary:

- To nasze znajome lesbijki, które poznaliśmy, pracując w jadłodajni dla ubogich. Bardzo fajne dziewczyny.

- Nowe znajome? Woleliście dać spermę nowym znajomym zamiast mnie? - Tym razem mówiła cicho, ale głos jej drżał.

- Nie wiedzieliśmy, że chcesz!

- Ale mogliście zapytać! Zanim oddaliście swoje nasienie obcym babom, mogliście się choć przez chwilę zastanowić, która z waszych bliskich przyjaciółek mogłaby go chcieć pierwsza! - Ruby trochę podniosła głos, ale w kakofonii rozmów i rąbanki techno nikt tego nawet nie zauważył. - Powinniście trochę pomyśleć!

Tym razem odezwał się Dennis.

- Słońce, ostatnio, kiedy rozmawialiśmy, akurat zdechł ci kot i trzy dni nie wychodziłaś z łóżka. Przyszliśmy ci umyć głowę, pamiętasz?

Ruby aż się skuliła. Wiedziała: byli dla niej mili i opiekowali się nią, lecz przy okazji w duchu, potajemnie, oceniali jej przydatność do macierzyństwa. Poczowała się zdradzona. Sformułowała własną radę dla singielek: nigdy nie pozwól, żeby ktoś cię poznał z najgorszej strony, bo pewnego dnia możesz potrzebować jego spermy albo zechcesz się

umówić z jego bratem. Nie dopuść, żeby cię widział wściekłą, brzydką czy nieszczęśliwą. Gdyby mogła, na pewno zaraz kazałaby mi to zamieścić w mojej cholernej książce. Od razu się uspokoiła.

- Byłam w depresji, ale od tamtej pory wiele się wydarzyło. Pomagałam przy usypianiu psów w schronisku w Harlemie, żeby się zahartować, i teraz jestem gotowa na dziecko.

Gary i Dennis spojrzeli na nią zdziwieni.

- Pomagałeś usypiać psy w tym okropnym schronisku w Harlemie? - spytał Dennis.

- Tak, ale nie o tym rozmawiamy. - Jako rasowa bizneswoman postanowiła negocjować. - Słuchajcie, chyba nie ma nic złego w tym, żeby wasza lesbijska latorośl miała w Nowym Jorku braciszka lub siostrzyczkę. Umawialibyśmy się na wspólne zabawy. Fajnie by było!

- Ruby, nie sądzę...

Podszedł kelner przyjąć zamówienie. Nie było mu to dane.

Ruby jeszcze bardziej podniosła głos:

- To dlatego, że jestem singielką, tak? Wolicie dać spermę jakiejś parze, choćby lesbijskiej, niż samotnej

heteroseksualnej kobiecie? Wszystko jasne. Dyskryminacja singli.

Kelner po cichutku się wycofał.

Ruby zaczęła się zbierać do wyjścia, ale Gary złapał ją za rękę i posadził z powrotem.

- Kochanie, naprawdę nam przykro, że tak wyszło. Ruby oparła się na krzesło.

- Przepraszam, nie powinnam się tak unosić. Jestem po prostu zawiedziona.

- Zdajemy sobie sprawę - powiedział Dennis. - Zobaczymy, jak to wszystko wyjdzie, może pomyślimy o następnym.

- Nie ma sprawy. Rozumiem. - Ale Ruby wcale nie była pewna, czy rozumie. Nie wiedziała, czy nie spytali jej najpierw, bo nie przyszło im to do głowy, czy uważali, że byłaby okropną matką. Nie wiedziała, czy rzeczywiście za rok, dwa wezmą jej prośbę pod uwagę, jeśli z pierwszym dzieckiem wszystko się ułoży. Nic już nie wiedziała poza tym, że pragnie zachować resztki godności.

- Powinnam była spytać wcześniej - powiedziała, próbując się uśmiechać. Wtedy znowu podszedł kelner i przyjął zamówienie.

Wróciwszy do biura, postanowiła, że tym razem nie podda się rozczarowaniu. To nie jedyni mężczyźni na świecie. Jest z czego wybrać potencjalnego ojca jej dziecka. Kiedy wchodziła do windy, przyszedł jej do głowy następny dobry kandydat: Craig, kolejny znajomy gej. Dawniej był oświetleniowcem w teatrze, teraz zajmował się dystrybucją egzotycznych grzybów do ekskluzywnych restauracji. Był samotny i nieźle zarabiał, ale jego geny nie były tak atrakcyjne jak geny Dennisa i Gary'ego. Stwierdziła, że zadzwoni i od razu wyłoży sprawę.

- Cześć, Craig, tu Ruby. Możemy się spotkać i pogadać o twoim ewentualnym ojcostwie mojego dziecka? Co powiesz na ósmą wieczór w Monsoonie? Oddzwoń do mnie.

Gdy Craig oddzwonił, Ruby pozwoliła mu się nagrać na pocztę głosową. Zgodził się spotkać.

Kwadrans po ósmej Ruby zjawiała się w Monsoonie, taniej wietnamskiej sieciówce ze wspaniałym jedzeniem i bezpretensjonalnym wystrojem wewnątrz. Tym razem to ona kazała na siebie czekać - to jej dawało pewną przewagę. Wkroczyła do środka wystrojona w potwornie drogą bluzkę od Catherine Malandrino i buty na wysokim obcasie. Nie potrafiąc przewidzieć reakcji Craiga na to ważne pytanie, stwierdziła, że postara się chociaż wyglądać zamożnie.

Wprawdzie bardzo pragnęła uzyskać coś od niego, ale chciała pokazać, że sama też coś ma. Usiadła. Zanim zdążyła się przywitać, Craig wypalił:

- Mam HIV, Ruby. Nigdy ci o tym nie mówiłem.

Zrobiło jej się słabo. Ani przez chwilę nie brała pod uwagę takiej ewentualności. Sądziła, że gdyby był zarażony, powiedziałby jej o tym, więc zakładała, że jest zdrowy. Teraz zrozumiała, jaka była naiwna. Nie wiedziała też, jak powinna zareagować. Bycie nosicielem wirusa HIV ma dziś zupełnie inny wymiar niż kiedyś. Czy powiedzieć, że jest jej przykro? Zapytać o samopoczucie? O poziom limfocytów T? Jakie bierze leki?

- Przykro mi to słyszeć. A czy...

- Jestem zdrowy. Cztery lata biorę leki, żadnych efektów ubocznych. Zamierzam dożyć setki.

- To bardzo się cieszę - odetchnęła z ulgą. - Chciałbyś o tym porozmawiać?

- Nie trzeba, ale uznałem, że powinnaś wiedzieć, skoro...

Kiwnęła głową. Oboje zamilkli. Ruby przez kilka minut analizowała tę informację. Potem znów wróciły natrętne myśli o dziecku. Z Craigiem znała się od czasu studiów, jeszcze

dłużej niż z Garym. To niezwykle sympatyczny człowiek, lojalny, życzliwy i konsekwentny. Byłby wspaniałym ojcem.

- Wiesz, słyszałam, że możliwe jest oczyszczenie nasienia
- powiedziała.

- Co?

- Pozbycie się wirusa ze spermy, która ma być użyta do zapłodnienia. Zanim się ją wstrzyknie kobiecie, usuwają z niej HIV i wszyscy są zdrowi.

Craig poruszył się na krześle.

- Tak?

- Tak. Czytałam o tym w dziale naukowym „Timesa”. Chyba musiałbyś pojechać do Włoch czy gdzieś, ale da się to zrobić. - Nie chciała się wydać nachalna, ale z drugiej strony była bardzo zdeterminowana.

- Aha - mruknął Craig, nerwowo sącząc herbatę.

- Wiem, że się martwisz, jak to wpłynęłoby na zdrowie moje i dziecka, ale mogę się spytać...

Craig odstawił herbatę.

- Wiem o tej metodzie.

Ruby się rozpogodziła.

- Tak? To co, myślisz, że to jest do zrobienia?
Interesowałoby cię coś takiego?

- Ruby - przerwał jej. - Nie chciałbym cię urazić, poza tym nie przypuszczałem, że zaproponujesz oczyszczanie...

- Nie rozumiem.

- O to samo prosiła mnie już moja znajoma, Leslie. Ma czterdzieści jeden lat i...

Ruby z hukiem odsunęła krzesło i zaparła się rękami o stół. Zaczęła mówić bez zastanowienia:

- Nie, nie, nie. Nie chcę tego słuchać. Ja myślałam, że robię ci przysługę, godząc się na oczyszczanie, a nie miałam pojęcia, że ty przebierasz w ofertach.

- Mnie też to zaskoczyło, ale Leslie się spodobało, że ukończyłem Browna i że jestem wysoki.

- Kto to w ogóle jest ta Leslie? - Ruby zamachała rękami w powietrzu.

- Moja instruktorka pilatesa.

Ruby z powrotem przysunęła się do stołu i pochyliła w stronę Craiga.

- Instruktorka pilatesa?

Craig patrzył na nią bezradnym wzrokiem.

- Ruby, gdybyś ty zapytała mnie pierwsza, z radością... W tym momencie podeszła kelnerka.

- Czy państwo już się zdecydowali, co chcą zamówić?
Ruby wstała. Wciąż miała na sobie płaszcz.

- Tak. Ja poproszę zdrowego noworodka płci obojętnej, a do tego odpowiedzialnego partnera do pomocy w wychowaniu. Czy naprawdę aż tak wiele żądam?

Kelnerka obrzuciła ją wzrokiem, który mówił: „Udam, że pani nie widzę, dopóki nie zacznie pani gadać do rzeczy”. Ruby westchnęła głęboko.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodna. - Potem zwróciła się do Craiga: - Naprawdę bardzo się cieszę, że czujesz się dobrze i kiedyś zostaniesz ojcem, ale teraz wybaczone, chyba już pójdę.

Skinął głową.

Ruby pocałowała go w policzek, odwróciła się i wyszła.

Tymczasem na Bali

Nasz hotel w Kucie to była kolejna nieprzyzwoicie luksusowa rezydencja, tym razem wyposażona we własny ogródek i basen z widokiem na ocean. Wiem. Niesamowite, prawda? Thomas przed godziną pojechał na spotkanie. Już za nim tęskniłam. Rozstaliśmy się pierwszy raz od tygodnia i czułam się okropnie. Całkowicie uzależniłam się od niego emocjonalnie. Nigdy nie byłam zaborczą, nawet jako młoda dziewczyna, ale teraz chętnie wszyłabym sobie w skórę

kieszonkę, żeby go wszędzie ze sobą nosić. Nie chciałam, żeby mnie zostawiał choćby na chwilę.

Wiele energii mnie kosztowało pokonanie chęci, żeby pozostać w tym hotelu i nie ruszać się z pokoju do końca moich dni, ale Thomas mówił, że plażę w Kucie upodobali sobie surferzy, więc postanowiłam pooglądać ich popisy. Wreszcie nie będę się tak wyróżniać w moich szortach. Byłam też ciekawa, czy zobaczę żigolaków czekających, by powiedzieć jakiejś damie, że jest najpiękniejsza na świecie. I czy na plaży będzie się roiło od kobiet w średnim wieku liczących na poznanie swojego Made.

Rzeczywiście, surferów było sporo, czekali na następną falę. Plaża jeszcze nie była zatłoczona i nie zauważyłam ani żigolaków, ani starszych pań czekających na podryw.

Kiedy się rozsiadłam na hotelowym leżaku, podszedł do mnie młody Balińczyk z dużą reklamówką.

- Przepraszam, może się pani skusi? Tanio.

Wyjął z reklamówki coś, co wyglądało jak rolex - zaryzykuję i powiem, że nie oryginalny. Pokręciłam głową.

- Ale niech pani patrzy, jaki ładny. Bardzo tanio. Pani kupi jeden.

Mieszkam w Nowym Jorku, więc umiem być asertywna. Energicznie potrząsnęłam głową i powiedziałam głośno:

- Nie, dziękuję.

Zrozumiał, zabrał reklamówkę i poszedł.

Surferzy doczekali się na falę. Obserwowałam, jak się z nią mierzą. Z daleka wyglądało, jakby nie wkładali w to żadnego wysiłku. Balansowali na desce, aż fala łagodnie zaniósła ich na brzeg.

Wróciłam myślami do Thomasa. Za niecały tydzień będzie musiał wyjechać. Wróci do Paryża, do żony. Zaczęło do mnie docierać, że jeszcze kilka dni i mogę go już więcej nie zobaczyć.

Nie mogłam się nadziwić, jak doskonale to sobie obmyślił. Krótkie wakacje, odpoczynek od małżeńskiej monotonii. No i może wrócić do domu bez poczucia winy, bo od początku był ze mną szczery, a i jego żona wydaje się nie mieć nic przeciwko temu. Idealny układ. Zaczynało mnie to wkurzać.

Nagle wyrosła koło mnie starsza Balijka i spytała, czy nie chcę, żeby mi zapleść warkoczyki na głowie. Odmówiłam zdecydowanym ruchem głowy, więc sobie poszła.

Dotarła do mnie jeszcze jedna rzecz: całkiem możliwe, że nie jestem jedyną kobietą, z którą Thomas „odpoczywał” od

małżeństwa. Wiem, czasem ciężko kapuję. Zdałam sobie sprawę, że mógł tu przywozić wszystkie swoje kochanki. Może nawet wcześniej wiedział, że będzie leciał na Bali, i zawczasu się postarał o damskie towarzystwo. Kto wie? Jedno było pewne: łyknęłam to wszystko bez mrugnięcia okiem, niczym turysta rzucający się na podróbkę rolexa.

Podszedł do mnie facet z naręczem T - shirtów, ale zanim zdążył się odezwać, warknęłam: „Nie!” i się spłoszył.

Potem przyszła mi do głowy myśl, na którą nie powinna sobie pozwalać żadna kobieta w moim położeniu. Zaczęłam sobie wyobrażać, jak Thomas mi oznajmia, że zamierza porzucić dla mnie żonę. Miał łzy w oczach i błagał, żebym z nim została, bo mnie tak strasznie kocha, że nie może beze mnie żyć.

Potrząsnęłam głową, żeby czym prędzej wypędzić tę groźną myśl. To będzie okropne pożegnanie. A może wziąć go na litość? Gdybym tak zrobiła z siebie biedną, żalowaną, bezbronną istotę i ze łzami w oczach zaczęła błagać, aby ze mną został, może ruszyłoby go sumienie? W serialach to działa.

Nagle podszedł do mnie młody Balijszczyk i rozsiadł się na leżaku obok.

- Przepraszam, ale pani jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem na tej plaży. Musiałem przyjść i to pani powiedzieć.

- O nie, to już jest, kurwa, szczyt! - zawołałam na cały głos.

Zerwałam się na równe nogi, wzięłam ręcznik, kapelusz i torbę. Młodzieniec wystraszył się mojej reakcji, ale nie mam pojęcia, co zrobił potem, ponieważ czym prędzej uciekłam, nie oglądając się za siebie.

Powiem wam, że w tamtej chwili poczułam się dotknięta jak nigdy w życiu. Ten gówniarz wziął mnie za babę, która jest na tyle samotna i zdesperowana, że się złapie na jego głodne kawałki.

Po drodze przyszło mi do głowy, że może czytał w moich myślach. Wyczuł, że akurat snuję plan, jak się zamienić w istotę tak godną pożałowania, żeby facet nie miał serca mnie zostawić.

Może ten chłopak dokładnie wiedział, do kogo mówi?

Stąpając po kamiennej ścieżce, zrozumiałam, że to się musi skończyć. Rozpaczliwie kochałam Thomasa, rozpaczliwie pragnęłam mieć w życiu kogoś bliskiego, a w Nowym Jorku czułam się rozpaczliwie samotna. Kiedy się

zbliżałam do drzwi willi, stwierdziłam, że to coś fantastycznego. To będzie mój ratunek. Byłam zdesperowana, no i dobrze. Teraz, kiedy to już o sobie wiedziałam, mogłam się zacząć pilnować. Już mnie nie zaskoczy znieścacka i nie zmusi do zrobienia z siebie idiotki. Nie mnie. Bo tak naprawdę nie ma absolutnie nic złego w tym, że czujemy się zdesperowane, tylko nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno nam tego okazywać.

Wyjęłam walizkę i zaczęłam się pakować. Kiedy biegałam po pokoju, zbierając swoje rzeczy - ciuchy, kosmetyki, drobiazgi - wszedł Thomas z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Julie, stęskniłem się za to... - Zobaczył otwartą walizkę na łóżku. - Co to ma być?

- I tak niedługo wracasz do domu, do żony, do swojego życia. Będzie lepiej, jeśli wyjadę teraz, zanim sprawy... - Urwałam. Nie wolno było się rozplakać. - Po prostu chcę wyjechać.

Thomas usiadł na łóżku i zwiesił głowę. Ja nadal biegałam wkoło, sprawdzając, czy czegoś nie zostawiłam. Gdy w końcu ją podniósł, miał łzy w oczach. W pierwszej chwili myślałam, że udaje (bo jestem z Nowego Jorku, a poza tym w ogóle jestem popieprzona).

- Julie, podczas spotkania bezustannie o tobie myślałem. Nie mogłem przestać. Tak bardzo tęskniłem.

Trzymałam się dzielnie. Jemu było łatwiej, miał swoją paryską siatkę bezpieczeństwa. Odpowiedziałam dość chłodno:

- Domyślam się, że przechodziłeś to już nieraz, więc na pewno mnie rozumiesz. Za kilka dni i tak wszystko by się skończyło, więc po prostu kończę to nieco wcześniej. - Zasunęłam walizkę. Tym razem miałam plan. - Wybieram się do Chin. Ciekawa rzecz, czytałam, że tam jest znacznie więcej mężczyzn niż kobiet, wskutek polityki rządu, który...

Thomas wstał, chwycił mnie w ramiona i pocałował.

- Tak, przyznaję. To nie jest pierwszy raz, ale tym razem jest całkiem inaczej. Proszę cię, dokądkolwiek jedziesz, do Chin, Zimbabwe czy gdzie tam, weź mnie ze sobą. Nie umiem odejść, nie potrafię. Powiedz, że pozwolisz mi zostać, błagam. - Przyciągnął mnie do siebie, wplótł dłonie we włosy i rozpaczliwie tulił moją głowę do piersi.

Tymczasem w Stanach

Spróbuję się streścić, bo to w sumie straszna historia, ale nie wiem, czy mi się uda, bo chcę, żebyście poznały wszystkie szczegóły. Szczegóły są ważne.

Po tej historii z Samem Georgia nabrała optymizmu. Nie ma to jak odrzucić awanse porządnego faceta, żeby dziewczyna poczuła się trochę lepiej. Umawiała się parę razy na randki z mężczyznami poznanymi w Internecie. Żaden jej do końca nie odpowiadał, ale też nie byli najgorsi. Dale zabierał dzieci tak często, jak o to prosiła, a poza tym miała w zanadrzu listę zaufanych opiekunek. Może nie poświęcała dzieciom tyle uwagi, ile powinna, ale ogólnie była dobrej myśli. Czyli w sumie jakaś poprawa.

Bryana poznała na zebraniu rodziców w szkole. Czekaając na korytarzu, nawiązali rozmowę. Jego sześciolatek syn chodził do jednej klasy z córką Georgii. Bryan był przeciętnego wzrostu, miał szczupłą twarz i rumiane policzki - wyglądał na Szkota. Od trzech lat był rozwiedziony. Weszli na temat swoich małżeństw i rozstań, doszli wspólnie do wniosku, że cierpią na tym wszyscy zainteresowani. Kiedy nauczyciel wołał Bryana do klasy, ten zdążył już spytać Georgię, czy może do niej zadzwonić. Co też zrobił. Tego samego wieczoru. Dwa dni później się umówili. Poszli do restauracji, a po kolacji Bryan odprowadził Georgię pod dom i tam przed bramą długo się całowali. Bryan stwierdził, że świetnie się bawił, i spytał, czy mogą się znowu zobaczyć.

Zadzwoił nazajutrz, żeby ustalić termin. Umówili się na randkę za dwa dni. Tym razem u niego w domu (syn był u matki). Przyrządził pyszną pieczeń. Jedli, rozmawiali, atmosfera była bardzo sympatyczna. Potem trochę się pieścili na łóżku, bardzo delikatnie, choć nie bez namiętności. Następnego dnia znów zadzwonił z pytaniem, kiedy mogą się spotkać. Georgia odparła, że ma czas we wtorek lub w czwartek, a on na to: „Hm, do czwartku chyba nie wytrzymam, może wtorek?”. I co wy na to? Powtórzę jeszcze raz, bo Georgia cytowała mi to zdanie wielokrotnie (dzwoniąc na drugi koniec świata, przypominam). Powiedział: „Hm, do czwartku chyba nie wytrzymam, może wtorek?”. Zrozumiałyście? No.

Tak to trwało przez następne półtora tygodnia. Niemal codziennie do siebie telefonowali i wszystko wskazywało na to, że coś z tego będzie. To było coś autentycznego, a Bryan był prawdziwym, żywym mężczyzną, któremu bardzo na niej zależało. We wszystkim, co mówił i robił, było widać, że jest gotów się z nią związać. Żadnych sygnałów ostrzegawczych, żadnych czerwonych lampek zapalających się w głowie. Georgię ogarnęło to wspaniałe uczucie, kiedy wszystko się wreszcie układa. Nagle się okazuje, że to takie proste, i

właściwie nie wiadomo, o co był ten cały szum. Poczowała się nawet trochę dumna z siebie. Myślała w duchu: „Wiedziałam, że nie będzie tak trudno znaleźć wspaniałego faceta”.

W końcu przespali się ze sobą.

To był sobotni wieczór i Georgia musiała już wracać zwolnić opiekunkę. Dostateczna porcja czułości po stosunku sprawiła, że wychodząc od Bryana nie czuła się jak ostatnia dziwka. Przyszła do domu, zapłaciła opiekunce i położyła się spać, odprężona i zadowolona. Wszystko zrobiła jak należy. Zbudowali podwaliny przyjaźni i ustalili rytm spotkań i telefonów, który najlepiej obojgu pasował. Kiedy więc obudziła się rankiem w niedzielę, zaraz po otwarciu oczu pomyślała o Bryanie. Przypomniała sobie seks - właściwie wciąż go czuła - i na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Trzeba zaznaczyć, że po odejściu Dale'a Georgia stała się niecierpliwa w stosunku do dzieci. Dla niektórych kobiet w takiej sytuacji dzieci stanowiłyby pociechę, dawały poczucie, że wciąż mają dla kogo żyć, lecz w jej przypadku codzienna rutyna i trud wychowawczy tylko pogłębiały uczucie smutku i samotności, które wówczas przeżywała. Dlatego kiedy Beth krzyknęła do mamy, żeby wzięła taksówkę, bo nie chce jej się iść pieszo tych kilka przecznic do domu, Georgia nie

wykazała się tym samym opanowaniem co wtedy, gdy miała męża.

Ale tej niedzieli wstała z łóżka z uśmiechem, pełna wyrozumiałości i uwielbienia dla swoich małych urwisów. Poszła je obudzić, ubrała je, zrobiła im śniadanie i zabrała na spacer po Riverside Drive. Beth jechała na rowerku, a Gareth na hulajnodze. Nawet nie sprawdzała komórki, bo nie było potrzeby. Spotykała się z fajnym facetem, z którym właśnie pierwszy raz się przespaała, i wiedziała, że prędzej czy później tego dnia będzie z nim rozmawiała, jak zwykle zresztą.

Nawet kiedy zobaczyła, że już czwarta po południu, niezbyt się tym przejęła. Może miał pod opieką syna i był zajęty. „Pewnie nie chce dzwonić, kiedy nie może swobodnie rozmawiać - tłumaczyła sobie. Wzięła dzieci na wczesną kolację do ich ulubionej chińskiej knajpy, a potem wróciła do domu.

Ale o ósmej wieczorem, gdy Beth po raz trzeci wyszła z pokoju i poprosiła o szklankę wody, Georgia nie wytrzymała nerwowo:

- Co ja powiedziałam? Żadnej wody! Wracaj do siebie, słyszysz?

Beth zaczęła marudzić.

- DO POKOJU, POWIEDZIAŁAM!

Bryan wciąż nie dzwonił. Georgia włączyła telewizor. To, co czuła, to już nie był niepokój, to były pierwsze oznaki paniki, a kiedy zaczyna się wkradać panika, nawet na paluszkach, kobiecy umysł dostaje turbodoładowania. W każdym razie umysł Georgii. Mogło się wydawać, że ogląda telewizję, a w rzeczywistości, używając całej swej energii twórczej, starała się tę panikę odgonić. Czasami po intensywnym doświadczeniu seksualnym mężczyzna potrzebuje się na chwilę wycofać, żeby ochłonać i pozbierać się emocjonalnie. A może Bryan naprawdę był czymś bardzo zajęty. Może jakieś problemy z synem. Może źle się czuje. Istnieje mnóstwo powodów, dla których mógł nie zadzwonić.

„Nie zamierzam być jedną z tych kobiet, które od razu wariują, gdy facet nie dzwoni - pomyślała. - Cóż się stało? Zadzwoni jutro”.

- POWIEDZIAŁAM, Z POWROTEM DO SIEBIE! - wrzasnęła na Garetha, kiedy się pojawił w przedpokoju. Starła się o tym nie myśleć, lecz strach nie chciał jej opuścić. Zrobiła więc mądrą rzecz: poszła spać. Jutro będzie nowy dzień i Bryan na pewno zadzwoni.

Gdy rano o wpół do siódmej odezwał się budzik, pierwszym uczuciem Georgii było podekscytowanie: „Hurra, Bryan dziś będzie dzwonił!”. Zastanawiała się, jak długo będzie musiała czekać. Na razie postanowiła o tym nie myśleć. Poszła do kuchni i rozejrzała się, co by tu zrobić dzieciom na śniadanie.

Westchnęła. To naprawdę ciężka harówka. Wyjęła chleb, jajka i zabrała się do roboty. Dzieciaki wstały i najpierw Beth nie chciała jeść jajek, potem płatków z mlekiem, a potem tosta, bo Gareth go dotknął palcem. Wtedy Georgia powiedziała jej, że jest wiele dzieci, które nie mają wyboru, co zjeść na śniadanie, więc lepiej niech wsuwa to, co ma na tym cholernym talerzu, bo pójdzie do szkoły głodna. Na to Beth rzuciła w Georgię kawałkiem tosta i tupiąc ze złością, poszła do swojego pokoju.

Potem z kolei wybuchła awantura podczas ubierania się do szkoły. Były krzyki, płacz, wyzwiska. I tylko ze strony Georgii. W szkole rozglądała się za Bryanem, ale nigdzie go nie było. Wróciła zmęczona do domu i spojrzała na zegarek: była dziewiąta. „Co on teraz robi? - zastanawiała się. - Co takiego jest ważniejsze niż telefon do mnie?” Postanowiła zrobić coś konstruktywnego. Nadszedł czas poszukać sobie

pracy. Od rozwodu ciągle to odkładała, chcąc ukarać Dale'a swoimi potrzebami finansowymi, ale już pora iść naprzód. Wiedziała, że mądra i silna kobieta tak właśnie powinna uczynić.

I nagle błysnęła jej w głowie najbardziej krzepiąca, uspokajająca myśl, jaką w życiu miała.

Przecież ona może do niego zadzwonić.

Boże! Genialny pomysł. Owszem, wiedziała, że nie należy dzwonić do faceta jako pierwsza, ale to była inna sytuacja. Poza tym to czekanie ją wykańczało. Nie będzie się bawić w feministkę, zadzwoni do Bryana. Na wszelki wypadek postanowiła to jeszcze z kimś skonsultować. Niestety, wybrała Ruby, ponieważ do mnie nie mogła się dodzwonić (przykro mi, ale byłam z Thomasem na Bali!), a Alice nie odbierała telefonu. Gdyby poradziła się mnie lub Alice, usłyszałyby: „Pod żadnym pozorem nie dzwoń!”.

W swojej książce wyjaśniam, dlaczego. Powodów jest wiele, lecz najważniejszy to taki, że tylko w ten sposób możemy poznać prawdziwe zamiary faceta. Dowiadujemy się, jak długo może wytrzymać bez rozmowy z nami, niekłopotany naszymi wścibskimi telefonami, e - mailami czy SMS - ami. Dzwoniąc, zanieczyściłybyśmy dowody. No ale my byłyśmy

niedostępne, dlatego Georgia skontaktowała się z Ruby, a Ruby to wrażliwa istota i w zasadzie można ją skłonić, by powiedziała nam wszystko, co chcemy usłyszeć.

Georgia krótko wyłożyła sprawę, a potem spytała:

- Czyli spokojnie mogę do niego zadzwonić, tak? Przecież nie ma przepisu, który by mi tego zabraniał?

Ruby pokręciła głową, klikając w tym czasie na stronę internetową Kliniki Uniwersytetu Nowojorskiego. Szukała informacji o sztucznym zapłodnieniu.

- Przepisu nie ma, ale wszyscy wkoło radzą, żeby tego nie robić.

- Wiem, ale ja nie potrafię dokończyć żadnej roboty. Dostaję kręcka! Muszę wiedzieć, co się dzieje!

Ruby nie знаła tak dobrze Georgii, ale potrafiła rozpoznać objawy łagodnej hysterii. Wtedy Georgia wyciągnęła prawdziwą kartę atutową, którą mogłyby zbić tylko osoby bardzo doświadczone na froncie randkowym.

- A jeżeli coś mu się stało? A ja tu siedzę, unosząc się dumą, zamiast go potraktować jak każdego innego znajomego, który obiecał się odezwać i tego nie zrobił? Martwiłabym się i zadzwoniłabym.

Na oko całkiem logiczny argument. (Czemuż, ach, czemuż ani ja, ani Alice nie odebrałyśmy telefonu?)

- Masz rację. Gdyby to był któryś z twoich przyjaciół, a jest, zadzwoniłabyś, żeby sprawdzić, co się stało.

- No właśnie! - uradowała się Georgia. - Mam prawo traktować go tak samo.

Pożegnała się z Ruby i natychmiast wystukała numer Bryana.

Jak ktoś, kto właśnie zażył lekarstwo na migrenę, Georgia była podekscytowana, że już za chwilę uwolni się od bólu. Dzwoniąc do Bryana, poczuła się silna i aktywna. Nie ma nic gorszego niż czuć się bezsilnym wobec własnego życia. Albo bezradnym wobec jakiegoś faceta.

Gdyby rozmawiała o tym ze mną lub Alice, obie powiedziałybyśmy jej mniej więcej coś takiego: „To nie jest twój przyjaciel. Seks wszystko zmienia. Taka jest smutna prawda. Musisz przyjąć, że nic mu nie jest. Że jego życie wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, gdy się ostatnio widzieliście. A jeśli potem się okaże, że jego syna uządlił rzadki gatunek południowoamerykańskiej pszczoły i ostatnie kilka dni spędził na oddziale zakaźnym szpitala Mount Sinai,

wyślij mu miły e - mail i przeproś". Niestety, nie było nas wtedy. Dlatego z radością zadzwoniła.

Zostawiła mu wiadomość. Spodziewała się, że prawdopodobnie włączy się poczta głosowa, więc się przygotowała.

- Cześć, Bryan, mówi Georgia. Chciałam się tylko przywitać. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Pa.

I się rozłączyła. Była z siebie dumna. „No, to załatwione”. Odetchnęła z ulgą. Lęk, obawa, panika, jakkolwiek to nazwać, odeszło. Od razu wiedziała, że postąpiła właściwie, i czuła się jak supermenka.

Przez dokładnie czterdzieści siedem sekund.

Potem uzmysłowiła sobie coś strasznego. Dotarło do niej, że znowu czeka, aż on zadzwoni. Podarowała sobie króciutką chwilę ulgi w cierpieniu, a teraz wróciła do stanu poprzedniego. Tylko że tym razem było znacznie, znacznie gorzej, a to dlatego, że zdecydowała się zadzwonić pierwsza. Jeżeli teraz Bryan się nie odezwie, Georgia będzie podwójnie załamana, bo to będzie znaczyło, że nie raczy odpowiedzieć na jej telefon, a nie tylko, że nie chciało mu się zadzwonić po wspólnie spędzonej nocy.

Obiecałam się streszczać, więc w skrócie, co było dalej: dzień mijał, a Bryan nie dzwonił. Georgia z tego wszystkiego musiała się położyć do łóżka. Dziećmi zajęła się opiekunka, która zrobiła im kolację i zgodziła się zostać na noc. Georgia wciąż leżała w łóżku, kiedy o dziewiątej wieczorem zabiły kościelne dzwony, zaczęły ptaszki, rozstąpiły się chmury i anioły zagrały na harfach.

Ponieważ wreszcie zadzwonił. Zadzwonił, zadzwonił, zadzwonił! Georgia nie przypomiwała sobie, aby kiedyś czuła podobną ulgę. Porozmawiali, pośmiali się. Supeł w żołądku się rozluźnił. Boże, o cóż się tak martwiła? Baby to jednak histeryczki! Po mniej więcej dwudziestu pięciu minutach (oczywiście skrzętnie liczyła), zaczęli powoli kończyć rozmowę.

- To co, powinniśmy się jakoś niedługo spotkać? - powiedział Bryan.

- Tak, byłoby świetnie - odparła Georgia. Dwudniowy stres i lęk zaczęły z niej opadać.

- Zadzwonię w tygodniu i coś wymyślimy, dobrze?

- A... dobrze - zająknęła się, skonsternowana. Odłożyła słuchawkę i pomyślała: „Co jest, do cholery? Po co dzwonić, żeby się umówić, skoro można to zrobić od razu?”.

Teraz wkroczyła w drugi etap rozprawiania się ze złudzeniami. Zachodziła w głowę, co zrobiła nie tak. Co się stało, że od: „do czwartku chyba nie wytrzymam” przeszedł do: „zadzwoń w tygodniu, to coś wymyślimy”?

Znów więc musiała czekać. Minał wtorek, środa, czwartek. Próbowwała o tym nie myśleć. Umówiła się w kilku miejscach na rozmowę o pracę. Spotkała Alice i wybrały się razem na zakupy. Starła się mniej krzyczeć na dzieci. Zuchwały diabełek siedzący jej na ramieniu podpowiadał, że jeśli tak bardzo chce się widzieć z Bryanem, niech do niego zadzwoni. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, cóż złego w tym, że to kobieta zaprasza mężczyznę na randkę. Ale w piątek, gdy już miała chwytać za telefon, przyszło odroczenie egzekucji. Bryan zadzwonił i zaprosił na wtorkowy wieczór na randkę. Dopiero wtorek? Cóż, niech będzie. Pewnie wie, że nie powinno się zapraszać kobiety na weekendową randkę w piątek wieczorem; to niegrzeczne. Stwierdziła, że poprosi Dale'a o zaopiekowanie się dziećmi.

Zatem spotkali się we wtorek wieczorem. Georgia przypomniała sobie, dlaczego tak jej się spodobał. Co jakiś czas powracała do niej natrętna myśl: „Co by było, gdybym wtedy w poniedziałek nie zadzwoniła? Czy on by się w końcu

odezwał?". Ale szybko wyrzucała ją z głowy. Pojechali do niego i uprawiali seks. Georgia dostała kolejną dawkę miłosnego narkotyku, po którym przez następne cztery dni nie mogła przestać o nim myśleć. On w tym czasie przysłał jej tylko jeden SMS o treści: „Hej, musimy się koniecznie znowu spotkać”. Tym razem jednak stanowczo postanowiła nie dzwonić. Pragnęła go zobaczyć, marzyła o seksie, ale znacznie bardziej zależało jej na tym, aby się dowiedzieć, ile on jest w stanie bez niej wytrzymać. Owszem, wymagało to siły, wytrwałości i samozaparacia, i to o wiele więcej niż kiedykolwiek w życiu, nawet podczas porodu. Jedynym sposobem, by te nadludzkie siły w sobie zebrać, było nękanie telefonami Ruby i Alice (mnie również, jeśli tylko udało się jej mnie złapać na komórce). Rozmowy wyglądały mniej więcej tak:

Georgia do Ruby: „Nic z tego nie rozumiem. Jeżeli nie chce się ze mną spotykać, to po co się umawia? Ale jeśli mi się podobam, to dlaczego nie aż tak jak na początku?”. Ruby nie miała na to dobrej odpowiedzi. No bo co tu odpowiedzieć?

Georgia do Alice: „Pewnie już nigdy do mnie nie zadzwoni. Niby powiedział, że zadzwoni, ale nie powiedział, kiedy. Tak trudno coś zaplanować? Nawet wstępnie? Co to

znaczy, kiedy będąc na randce, nie chcesz się umówić na następną? Aż tak jest zapracowany? Może za bardzo naciskam?". A Alice (moja krew!) powtarzała tylko: „Pod żadnym pozorem do niego nie dzwoń”.

Śmiało można powiedzieć, że Georgia, która w tej sprawie od początku nie zachowywała się rozsądnie, teraz kompletnie straciła rozum.

Są ludzie, których organizmy bardzo źle reagują na alkohol, i może to powodować katastrofalne skutki. Podobnie na Georgię z jej charakterem działa tęsknota. Niektórzy potrafią to przecierpieć, pozbierać się i iść dalej. Georgię zwała to z nóg, niczym Aborygena butelka whisky. Życie wymyka jej się spod kontroli. Znow spędzała całe dni w łóżku. Wyprawiała tylko dzieci do szkoły, a potem zakładała piżamę i się kładła. Uznała, że w ten sposób najskuteczniej zabije czas w oczekiwaniu na telefon od Bryana.

Jeżeli zadzwoni. Na jej obronę powiem, że bez względu na nastrój zawsze potrafiła się zebrać, pojechać po dzieci i ugotować im obiad. Potem zalegała na kanapie. Zupełnie jakby ktoś wypompał z niej całe powietrze. Leżała bezwładnie jak przekłuty balon. Może nie chodziło tylko o Bryana? Może nastąpiła kulminacja stresu związanego z

rozwozem, odejściem Dale'a (za którym tęskniła bardziej, niż chciała przyznać), natłokiem obowiązków samotnej matki, zbyt szybkim powrotem do skomplikowanego świata damsko - męskich podchodów. A może faktycznie rozpaczliwie pragnęła, żeby Bryan zadzwonił. Kto wie? Miłosny narkotyk, który zażyła, okazał się trucizną i powoli ją zabijał.

Wreszcie zadzwonił. O dziewiątej wieczorem. W środę. Powiedział, że siedzi w kawiarni po drugiej stronie ulicy. Czy dzieci są z nią, czy też może na chwilę wyjść?

Dzieci rzeczywiście były z nią i tak powinna odpowiedzieć, ale Georgia nie myślała rozsądnie. Musiała się z nim osobiście zobaczyć i dowiedzieć się, co się stało. Gdzie popełniła błąd? Musiała wiedzieć, żeby go więcej nie powtórzyć. Nie chciała konfrontacji, chciała tylko na spokojnie poznać prawdę, choćby brutalną. Powiedziała więc, że dzieci są z nią, ale w domu jest też jej siostra, więc może wyskoczyć na kilka minut.

Wiem, wiem, ale musicie wiedzieć, że Beth nigdy, przenigdy nie wstaje z łóżka w środku nocy. Można stracić nerwy, chcąc ją zagonić do łóżka, ale kiedy już zaśnie, nie zbudzi jej nawet buldożer taranujący dom. Z Garethem jest podobnie. Poza tym był już na tyle duży, że gdyby się nawet

zbudził, przeczytałby kartkę, którą Georgia im zostawiła: „Wracam za pięć minut! Nie przestraszcacie się!”. Wiedziała, że to, co robi, jest ryzykowne, ale już bardzo chciała mieć to za sobą. Napisała kartkę i wybiegła z domu.

Bryan siedział przy oknie i kiedy ją zobaczył na ulicy, uśmiechnął się szeroko i pomachał.

Georgia usiadła i próbowała się zachowywać naturalnie. Wiedziała, że nie wolno robić z siebie histeryczki. Nie wolno płakać. Głos nie może jej drżeć. Nie w chwili omawiania z mężczyzną tak ważnych spraw. Należy mówić spokojnie i na luzie.

- Zamówić ci kawę czy może już za późno? - spytał Bryan. Georgia tylko pokręciła głową, zbyt zajęta kontrolowaniem oddechu i uspokajaniem łomotu serca. - Przepraszam, że zadzwoniłem tak w ostatniej chwili. Wpadłem na kawę i pomyślałem, że sprawdzę, czy jesteś wolna.

Georgia w końcu się odezwała:

- Dobrze, że zadzwoniłeś. Mam do ciebie pytanie. - Na razie nieźle. Głos nie drży. - To nic takiego, po prostu przyszło mi do głowy, że może już... - wzruszyła ramionami i machnęła ręką - ...przestałam ci się podobać. Nie mam

pretensji, ale chciałabym wiedzieć, czy może zrobiłam coś źle. Bo przedtem nie mogłeś się doczekać spotkania, a teraz jakby... nie.

Bryan elegancko potraktował to jej emocjonalne obnażenie się.

- Och, przykro mi, że tak to odbierasz. Oczywiście, że nie zrobiłaś nic złego. Jesteś fantastyczną kobietą. Nie wiedziałem, że to tak wygląda. Wybacz. Zwaliło mi się na głowę trochę spraw, no i... znamy się dopiero parę tygodni, prawda? Sądziłem, że po prostu nie chcemy się śpieszyć.

Georgia spojrzała na niego. Brzmiało logicznie. To dopiero parę tygodni. Był bardzo zajęty. Uznał, że nie należy się śpieszyć. Przez chwilę poczuła się jak idiotka. Czemu tak się tym zadreczęła? On niczego złego nie zrobił. Zachowywał się odpowiedzialnie. Rozsądnie. D o j r z a l e. Lecz nagle coś sobie przypomniała: przecież to ten sam facet, który nie mógł się doczekać czwartku. Gdy go poznała, nie wyglądał na kogoś, kto nie chce się śpieszyć. A kiedy kobieta raz poczuje, jak to jest być z kimś takim, to choćby nie wiem jak chciała uwierzyć, że nie dzwonił z braku czasu, nigdy nie zapomni, że ten sam człowiek kiedyś uważał, że dwa dni czekania na spotkanie to tortura.

Spróbowała sobie wyobrazić to, co miała nadzieję usłyszeć z jego ust w tym momencie: „Wybacz mi, Georgio, masz rację.

Dziękuję za przypomnienie, że się w tobie zakochałem. Odtąd będziemy się widywać dwa razy w tygodniu i co wieczór będę dzwonił, żeby ci powiedzieć dobranoc". Albo: „Skoro o tym mówimy, ze względu na mój niedawny rozwód, seks oznacza dla mnie zobowiązanie i z chwilą, gdy w ciebie wszedłem, wiedziałem, że muszę cię trzymać na dystans, bo nigdy nie będę w stanie cię naprawdę pokochać, czego od razu w głębi duszy byłem pewien". Obojętnie czego oczekiwała, zrozumiała, że nie usłyszy tego dzisiaj w kawiarni Adonis. A jej dwoje małych dzieci zostało w mieszkaniu samych, bez opieki.

- Słusznie. No jasne. Po prostu nie chcemy się śpieszyć. Ale nigdy nie zaszkodzi spytać, prawda?

Bryan pokiwał głową. Georgia spojrzała na zegarek. Siedziała tam dokładnie cztery minuty.

- Wiesz, muszę wracać, bo siostra chyba chciałaby już iść do domu.

- Oczywiście, rozumiem. Zadzwoń do ciebie niedługo.

- Koniecznie - odparła, jak gdyby nigdy nic.

Wyszła z kawiarni lekkim, swobodnym krokiem, bo wiedziała, że Bryan będzie patrzył, ale jak tylko się znalazła w budynku, dwa piętra dzielące ją od mieszkania pokonała kilkoma susami. Nic się nie pali, trupów nie widać. Szybko zajrzała do dzieci. Beth smacznie spała. Georgia odetchnęła z ulgą i podeszła do pokoju Garetha.

Poczuła, jakby czas się zatrzymał.

Syna nie było. Pobiegła do siebie i znalazła go na łóżku. Był tylko trochę wystraszony. Przeraziło ją dopiero to, co powiedział:

- Zadzwońłem do tatusia. Nabrała powietrza w płuca.
- Co? Po co to zrobiłeś?
- Bałem się. Nigdzie cię nie było, nie wiedziałem, gdzie jesteś.
- Nie zauważyłeś kartki? Zostawiłam ci ją obok na poduszce! Napisałam, że zaraz wracam.

Potrząsnął głową. Dziecięcy strach przerodził się w płacz.

- Nie widziałem jej! - chlpał. - Nie widziałem!

Georgia przytuliła go do siebie. Kołysała go, całowała po główce i starała się robić wszystko, co jej przyszło do głowy, żeby wynagrodzić te cztery minuty nieobecności. Siedziała tam przez mniej więcej kwadrans, może krócej, gdy nagle

usłyszała, jak do mieszkania wpada Dale. Posadziła Garetha i szybko pobiegła do salonu, żeby wyprzedzić męża i pokazać mu, że jest w domu i ma wszystko pod kontrolą.

- Tu jestem, tu jestem - szepnęła głośno - Wszystko w porządku.

Ale Dale nie zamierzał dać się zbyć.

- Gdzieś ty była, do cholery? Masz dobrze w głowie? Georgia cofnęła się o kilka kroków. Źle to wyglądało. Bardzo źle.

- Pytam poważnie, Georgia, gdzie byłaś?

Georgię замуrowało. Wściekłość Dale'a i jej oczywista wina sprawiły, że nie umiała znaleźć słów na swoją obronę.

- Ja... ja... To było naprawdę coś ważnego.

- Aż tak, żeby zostawić dzieciaki bez opieki? One są ważne.

Wtedy się rozpląkała. Nie chciała tego, ale nie mogła się powstrzymać.

- Prze... przepraszam... to się nigdy...

- Chodzi o faceta? - Dale zbliżył się do niej. - Zostawiłaś dzieci, żeby się spotkać z jakimś gachem?

Słyszała, jak to zabrzmiało. Usłyszała w oskarżeniu Dale'a własną głupotę. Jeszcze bardziej zaczęła płakać.

- Wybacz mi, proszę. To się już nigdy nie powtórzy.
- Żebyś wiedziała. Zamierzam odebrać ci dzieci.

Natychmiast przestała płakać, jakby instynktownie czuła, że będzie musiała zmobilizować wszystkie siły do odparcia tego ataku.

- Co powiedziałeś?

- Wynajmę adwokata. Chcę mieć wyłączne prawo do opieki. Dostyc tego.

- CO? - krzyknęła.

- To, co słyszysz. Koniec z podrzucaniem mi dzieci, ilekroć chcesz sobie wyskoczyć na randkę. Koniec z darcie gęby bez powodu. Nauczycielki mówią, że dzieci są brudne, przeszkadzają na lekcjach. Widzę, że wolisz być wolna, żeby łązić po knajpach i się bzykać, więc teraz będziesz miała okazję.

- Nie zrobisz tego. Nie możesz...

Dale zaczął wychodzić, ale na koniec jeszcze się odwrócił i wycelował w nią palec.

- Powinnaś się cieszyć. Będziesz się mogła szlajać cały tydzień. Nie próbuj ze mną walczyć, Georgia, raczej mi podziękuj.

I po tych słowach wyszedł. Gdyby wcześniej spojrział w lewo, zobaczyłby Beth i Garetha, którzy stali w drzwiach i wszystko słyszeli.

Georgia usiadła przy stole i zaszlochała. Dotarło do niej, że właśnie naraziła swoje dzieci na niebezpieczeństwo, a teraz nawet może je stracić z powodu własnej desperacji. Nie zdawała sobie sprawy, jak głębokiej, dopóki nie było za późno.

ZASADA 8

NA ŚWIECIE JEST NIEWIELU LUDZI, O KTÓRYCH MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE MAJĄ WSZYSTKO, WIĘC NIE ZAWRACAJ SOBIE GŁOWY ZAZDROŚCIĄ

W samolocie z Singapuru do Pekinu miałam wrażenie, jakbyśmy byli z Thomasem uciekinierami. Każda chwila, którą teraz razem spędzaliśmy, była niemal przestępstwem, wyłamaniem się z umowy, którą zawarł z żoną. Pozwalali sobie odpocząć od siebie (i od małżeństwa) przez góra dwa tygodnie naraz. A Thomas chciał coraz więcej.

Kiedy w hotelu na Bali dzwonił do niej z informacją, że wyjazd mu się przedłuża, wyszłam z pokoju. Nie była to przyjemna sytuacja. Jak by nie patrzeć, uczestniczyłam w czymś, co prawdopodobnie sprawi komuś ból. Nie wiem na pewno, bo jak wspomniałam, wyszłam z pokoju. Wróciwszy, spytałam Thomasa, jak poszło.

- Nie była zadowolona - odparł z bardzo poważną miną.

Dalszych pytań więc nie zadawałam.

I dlatego w drodze do Pekinu miałam poczucie, że robię coś nielegalnego, nieprzyzwoitego i w pewnym sensie niebezpiecznego. Tym bardziej spodziewałam się więc ataku

paniki. Tuż przed wejściem na pokład zażyłam lexomil, ale i tak kiedy się wzbiliśmy w powietrze, poczułam ucisk w piersi. Nie wiem, czy Thomas chciał odwrócić moją uwagę od strachu, czy sam chciał zapomnieć o domowych kłopotach, w każdym razie postanowił odegrać rolę mojego osobistego asystenta podczas reporterskiej wyprawy do Chin. Słyszał o telefonie od Candace, więc pewnie też się trochę martwił, że nie dość intensywnie pracuję nad książką. Zaczął mi relacjonować wszystko, czego się zdążył dowiedzieć.

- Bardzo ciekawa sprawa z tym deficytem kobiet. Warto przeanalizować jego przyczyny. - Zerknął na mnie z lekkim niepokojem. - Lexomil na pewno za chwilę zacznie działać.

Kilka rzędów przed nami wesoło rozmawiała grupa około piętnastu osób. Cztery pary i siedem kobiet podróżujących samotnie, wszyscy Amerykanie. Pokazywali sobie zdjęcia i wymieniali się opowieściami. Oprócz nich były jeszcze dwie osoby wyglądające na przewodników grupy. Próbując uspokoić oddech i nie myśleć o nadchodzącym ataku, podsłuchiwałam ich rozmowy.

- Lecą do Chin adoptować dzieci - szepnęłam do Thomasa i skinęłam głową w ich stronę. Thomas zerknął na nich. Ja przyglądałam się kobietom, które były bez partnerów.

Były tak podekscytowane, jakby leciały odebrać główną nagrodę na loterii.

- Niesamowite, co? Zdecydowały się na samotne macierzyństwo. To wymaga dużo odwagi. - Moje ciało zaczęło się odprężyć.

Thomas spojrział na te kobiety, a potem na mnie.

- Chcesz mieć dzieci, Julie? Znów się spięłam.

- Nie wiem. Jeśli spotkam odpowiednią osobę, to pewnie tak. Sama chyba bym się nie zdecydowała.

Prawdę mówiąc, odkąd poznałam Thomasa, myślałam o dziecku. Wiem, to banał, ale tak było. Pokochałam kogoś i nagle sobie wyobraziłam, że rodzę mu dziecko. Aż mi wstyd, jak szybko stałam się tak przewidywalna. Oczywiście te myśli nie wyszły poza sferę fantazji, bo szybko sobie przypominałam, że mój ukochany ma już żonę. Ale do tej pory pojawiały mi się w głowie zaskakujące obrazy: Thomas obok mnie na sali porodowej, my dwoje leżący na łóżku z maleństwem pośrodku albo klaszczący w dłonie, kiedy postawiło swój pierwszy krok. W tym czasie naprawdę uważałam, że to genialna rzecz, kiedy dwoje ludzi zakochuje się w sobie i razem wychowuje dziecko. Thomas kiwnął głową.

- Byłabyś bardzo dobrą matką.

Położył mi dłoń na policzku. Trzymał ją długo i patrzył mi w oczy. Ja też chciałam go spytać, czy chce mieć dzieci i jakie ma plany na przyszłość. Byłby fantastycznym ojcem. Ale przypomniałam sobie, że żadne z tych planów nie będą uwzględniały mnie, więc odsunęłam głowę i zamknęłam oczy. Zaczęłam się robić śpiąca.

Thomas postanowił przeprowadzić mały rekonesans, zanim ludzie w samolocie pójną spać albo zaczną oglądać filmy. W rzędzie obok siedziała trzydziestoparoletnia kobieta o azjatyckich rysach twarzy. Nie miała obrączki na palcu. Thomas nachylił się do niej i zagadnął:

- Przepraszam, czy mówi pani po angielsku? Podniosła wzrok znad książki.

- Proszę wybaczyć to pytanie, ale moja przyjaciółka podróżuje po świecie, zbierając informacje o życiu samotnych kobiet w różnych kulturach. Teraz wybiera się do Pekinu porozmawiać z Chinkami. Jestem ciekaw, czy może pani wie coś na ten temat?

Kobieta rzuciła na mnie okiem. Przybrałam możliwie przekonujący wyraz twarzy, choć morzyła mnie senność. Była

ładna, trochę nieśmiała. Wyglądała sympatycznie. Bałam się, czy się nie obrazi za tak obcesowe pytanie.

- Tak. Sama jestem singielką i mieszkam w Pekinie. Thomas trącił mnie łokciem, zachęcając wzrokiem do kontynuowania rozmowy.

- Witam, jestem Julie. - Sięgnęłam przez niego i podałam kobiecie rękę.

- A ja mam na imię Tammy. Miło mi was poznać. Co takiego was interesuje?

- Słyszałam w telewizji, że z powodu polityki rodzinnej rządu w latach osiemdziesiątych i dużej liczby dziewczynek oddawanych do adopcji, w Chinach brakuje teraz kobiet i mężczyźni mają kłopot ze znalezieniem żon.

Tammy pokręciła głową ze śmiechem.

- Może na wsi, ale na pewno nie w dużych miastach.

- Tak? - zaciekawił się Thomas.

- Tak. Mężczyźni w Pekinie mają złote życie. Mogą się umawiać z kobietami do woli, a kiedy się ustatkują, często miewają kochanki. Przynajmniej ci zamożniejsi.

Mimo znieczulenia lexiomem odczułam przygnębienie. - Poważnie?

Tammy tylko kiwnęła głową z rozbawieniem.

- Niestety tak. Twoja teoria jest błędna.

- Oparłam się na fotelu. Nie to chciałam usłyszeć.

- To my lecimy taki kawał drogi do Chin - szepnęłam do Thomasa - żeby się dowiedzieć, że tamtejsi faceci nie lubią się angażować i zdradzają żony?

Roześmiał się.

- To nie są dobre wiadomości, ani dla nas, ani dla Chinek.

Wychyliłam się zza niego, żeby nim zasnę ostatni raz spytać o coś Tammy.

- I jak sobie z tym radzicie?

Tammy wzruszyła ramionami.

- Ja osobiście nigdy nie umawiam się Chińczykami.

Uważam, że są okropni. - Nigdy?

- Ostatni raz miałam chłopaka Chińczyka, kiedy byłam nastolatką. Umawiam się tylko z cudzoziemcami. Australijczycy, Niemcy, Amerykanie, ale nigdy Chińczycy. Nigdy.

Thomas też się zainteresował.

- A gdzie poznajecie tych cudzoziemców? - spytał.

- Pracuję w amerykańskiej firmie, więc ostatniego chłopaka poznałam w pracy, ale jest też taki bar, do którego lubię chodzić, Brown's, gdzie bywa wielu obcokrajowców.

- Jak się nazywa, Brown's? - powtórzył Thomas. Skinęła głową.

- Tak. W dzielnicy Chaoyang. Bardzo fajny. Thomas spojrzał na mnie.

- To co, dziś wieczorem do Brown'sa?

- Uhm - mruknęłam i pogrążyłam się we śnie.

Kiedy wysiedliśmy z taksówki pod hotelem, zastaliśmy niezły widok. Zarezerwowaliśmy pokój w jednym z najładniejszych hoteli w samym śródmieściu. Przed nami z dużej czarnej limuzyny wysiadła elegancka dama i natychmiast rzuciło się do niej stado fotografów. Weszliśmy do holu tuż za nią. W środku z oficjalnym powitaniem czekała grupa dostojnie wyglądających osób. Potem zaprowadzono ją do windy; pewnie na jakąś konferencję prasową. Gdy w końcu pozwolono nam podejść do recepcji, zapytałam, kim była ta kobieta.

- Wicepremier Hiszpanii.

To był doskonały wstęp do wizyty w Pekinie. Mnóstwo się tam działo, od boomu budowlanego (gdzie spojrzeć, wyrastały kolejne wieżowce), przez napływ firm chcących uszczknąć dla siebie kawałek tego ekonomicznego tortu, po wizytę wicepremier Hiszpanii. To były zupełnie nowe Chiny.

My z Thomasem też mieliśmy ważne zadanie do wykonania. Musiałam się udać wieczorem do baru i pogadać z kobietami o facetach.

Trochę to smutne: pierwszy wieczór w Pekinie, a my wylądowaliśmy w angielskim pubie, pijąc piwo i zagryzając skrzydełkami kurczaka. Didżej puszczał Get Right With Me Jennifer Lopez, a w środku roilo się od różnego pokroju cudzoziemców. Słyszałam niemiecki, angielski z akcentem brytyjskim, australijskim i amerykańskim. Było też kilku Włochów i Francuzów. Chińczycy oczywiście też. Klientela przeważnie około trzydziestki. Wszyscy świetnie się bawili, tańcząc, rozmawiając i flirtując.

Thomas nadal wczuwał się w rolę asystenta i już po chwili zagadywał grupkę Niemców przy barze. Dałam mu wolną rękę, podejrzewając, że może się dowiedzieć więcej ode mnie.

Do mnie podeszła na oko dwudziestokilkuletnia kobieta i wręczyła mi wizytówkę. Wynikało z niej, że ma na imię Wei i jest „konsultantem turystycznym”.

- Cześć, mam na imię Wei. Skąd jesteś?
- Z Nowego Jorku! - Musiałam przekrzyczeć muzykę.
- To super. Uwielbiam Nowy Jork! - Zaczęła się głośno śmiać. Miała długie czarne, proste włosy i była ubrana w

czarną minispódniczkę oraz czarne zamszowe kozaki. Wyglądała fantastycznie. - Znasz ten serial Seks w wielkim mieście! Jest boski! - I znów w śmiech. - Jeśli chodzi o mnie, jestem Samanthą. Zdecydowanie!

Uniosłam brwi, świadoma, co to oznacza, ale nie bardzo wiedziałam, jak zareagować.

- A, no proszę. Pewnie odpowiada ci życie singielki. Znów się roześmiała.

- I to jak. Uwielbiam to. Jestem szczęśliwa, że nie muszę wychodzić za mąż ani rodzić dzieci. Kocham tę wolność! - Roześmiała się jeszcze raz i pokazała na wizytówkę, którą trzymałam w dłoni.

- Jeśli będziesz potrzebowała jakiegokolwiek pomocy w czasie pobytu w Pekinie, daj znać. Pomagamy w różnych sprawach.

- Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony. - Chcąc ją jeszcze zatrzymać, dodałam: - Jesteś tu dzisiaj służbowo, czy może przyszedłś poderwać fajnego cudzoziemca?

Wei parsknęła głośnym śmiechem.

- I jedno, i drugie! Domyślna jesteś!

Zaśmiałam się razem z nią i spytałam:

- Chińczycy cię nie interesują?

Tu przestała się śmiać. Zmarszczyła brwi i zacisnęła usta.

- Oni są nudni. Myślą tylko o pieniądzach. Nie potrafią z nami rozmawiać, brak im romantyzmu. - Pokręciła głową z niesmakiem. - Nie, tylko faceci z Zachodu. Są o wiele fajniejsi.

Rozejrzała się i dostrzegła znajomego wysokiego blondyna. Pomachała do niego, wołając: - Ben! Ben! Potem zwróciła się do mnie:

- Czym się zajmujesz w Nowym Jorku?
- Pracowałam w wydawnictwie, ale teraz...
- Coś ty! Właśnie piszę książkę o moim zwariowanym życiu w Pekinie! Całkiem jak Nowy Jork!
- O, naprawdę?
- Muszę lecieć, ale jeszcze wrócę, dobra?
- Jasne. Na razie. Wei podeszła do blondyna imieniem Ben i cała roześmiana go uściskała.

W tym momencie wrócił Thomas.

- Julie, wykonałem dla ciebie kawał ciężkiej pracy. Mamy sporo do obgadania. - Przysunął dwa wolne krzesła i usiedliśmy. - Rozmawiałem z dwoma Niemcami, którzy powiedzieli, że przyszli tu poderwać jakieś Chinki.

Uśmiechnęłam się, bo cieszył mnie entuzjazm, z jakim podchodził do sprawy.

- O, i co jeszcze?

- Mówią, że Chinki im się podobają, bo są bardziej uległe niż zachodnie kobiety. Z Niemkami trzeba ciągle toczyć boje i negocjować, Chinki natomiast pozwalają im się czuć mężczyznami i nie próbują ich zmieniać.

Moje brwi znów powędrowały do góry. Thomas wzruszył ramionami.

- Tylko powtarzam, co mi powiedzieli.

- Cóż, czyli idealny układ: cudzoziemcy przychodzą tutaj poznać Chinki, a Chinki cudzoziemców.

- Tak. - Thomas zmrużył oczy. - Że też wcześniej o tym nie wiedziałem. Przecież można by na tym zarobić mnóstwo forsy. Wróciła Wei.

- Wybieramy się ekipą do Suzie Wong. Tam jest super. Koniecznie musicie iść z nami. - I wybuchnęła śmiechem.

Mówią, że aby zrozumieć Chińczyków, trzeba poznać ich język. Dlatego w restauracji Suzie Wong, popijając drinki w małym pokoju na zapleczu w towarzystwie dwóch chińskich biznesmenów, Jina i Donga, pobieraliśmy z Thomasem lekcję mandaryńskiego.

Najpierw Jin wytłumaczył nam podstawy. Przede wszystkim w tym języku rozróżnia się cztery tony głosu. I tak jedno słowo może mieć cztery, czasem nawet więcej znaczeń, zależnie od intonacji. Na przykład słowo ma wypowiedziane płasko znaczy „matka”, ale z intonacją opadającą - wznoszącą - „nieznośny”. Gdy słowo to wypowiemy z intonacją wyraźnie opadającą, jakbyśmy chcieli wyrazić niezadowolenie, będzie oznaczało „konia”, a gdy krótko i szybko - „upominać”. Dodajmy, że języka można się uczyć na dwa sposoby: z zastosowaniem oficjalnej transkrypcji (pinyin) albo tradycyjnego chińskiego alfabetu (z wszystkimi jego czterdziestoma tysiącami znaków). Nasi dwaj towarzysze powiedzieli nam, że większość Chińczyków - którzy przecież mówią po chińsku - potrzebuje w szkole aż czterech do sześciu lat, żeby opanować ten język.

Gdy więc następnym razem zechcecie się ponabijać ze śmiesznego akcentu jakiegoś Chińczyka, pamiętajcie, że choćby to był kucharz w lokalnym fast foodzie, możecie mu buty czyścić, jeśli chodzi o znajomość jednego z najtrudniejszych języków na ziemi. I teraz pomyślcie, skoro opanowanie ojczystej mowy wymaga tyle samodyscypliny i determinacji, nie ma się co dziwić, skąd się wziął etos pracy,

który im pomaga zawładnąć światem. To tylko taka moja uwaga na marginesie.

Po dwóch drinkach odważyłam się ich namówić, żebyśmy od mandaryńskiego przeszli do języka miłości.

- Czy to prawda, że z powodu najnowszej historii waszego kraju w Chinach nie starcza kobiet dla mężczyzn?

Biznesmeni natychmiast zaczęli się śmiać.

- Nie, a kto tak mówi? - odparł Jin.

- Hm, czytałam w „New York Timesie”. I chyba mówili o tym w „60 minutes”.

Dong pokręcił głową.

- Może na prowincji, ale tutaj? Nic podobnego. Teraz w Pekinie samotni mężczyźni mają się dobrze. Nawet bardzo dobrze.

Jin zgodził się z opinią kolegi.

- Nie ma problemu ze znalezieniem dziewczyny na randkę, ale jeśli mam być szczery, wolę kobiety z Zachodu.

- Tak? A czemu? - ożywiłam się.

- Z Chinek zrobiły się straszne materialistki. Interesuje je tylko, ile facet zarabia.

- Ty też tak uważasz? - zwróciłam się do Donga. Skinął głową.

- Miałem kiedyś dziewczynę, która po tym, jak się rozstaliśmy po dwóch latach, zażądała ode mnie siedemdziesięciu tysięcy juanów.

- Za co? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Za czas, które jej zabrałem?

- Ty zerwałeś czy ona? - wtrącił się Thomas. - Może miała żal?

Dong uderzył ręką w stół i podniesionym głosem odparł:

- Właśnie o to chodzi, że ona! - Pokręcił głową na to wspomnienie. - Zachodnie kobiety są lepsze, bardziej niezależne, nie tak bardzo nastawione na pieniądze.

Czyli w Chinach sprawdza się powiedzenie: „Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”.

Kiedy alkohol na dobre zaczął działać, poszliśmy z Thomasem zatańczyć. Na parkiecie kręciło się paru cudzoziemców, ale głównie było to miejsce lansowania się miejscowych kobiet.

Dostrzegłam Wei tańczącą z jakimiś koleżankami. Też były ładne i modnie ubrane. Zobaczyła mnie i przywołała nas ruchem ręki,

- To moje przyjaciółki, Yu i Miao. Chętnie ci opowiedzą o życiu singielek w Pekinie.

- O, to świetnie - ucieszyłam się. - A co mi chcecie powiedzieć?

Angielszczyzna Yu nie była najlepsza, ale zrozumiałam, o co jej chodziło.

- Mamy wielkie szczęście, że jesteśmy wolne, niezależne, że możemy pracować i podróżować. Jak ja to kocham!

Miao była tego samego zdania:

- Mogę sypiać, z kim chcę, i to jest fascynujące! Wtedy zobaczyłam, że Thomas wyjmuję z kieszeni telefon.

Spojrzał na wyświetlacz i spochmurniał. Dał mi znak, że wychodzi odebrać na zewnątrz.

My zaczęłyśmy tańczyć do piosenki Shakiry Hips Don't Lie. W pewnym sensie zazdrościłam tym kobietom. Ogarniała je radość z dopiero co odkrytej wolności. Zaledwie przed kilku laty otworzył się przed nimi świat i teraz mogły wybierać, od butów po mężczyzn, z którymi chcą sypiać. Chciałabym znowu umieć tak się tym cieszyć, znowu czuć ten entuzjazm. One były młode, wolne i przeżywały najlepszy okres w życiu.

Przeleciało kilka piosenek, a Thomas ciągle nie wracał. Przeprosiłam towarzystwo i wyszłam go poszukać. Stał oparty o ścianę budynku i wciąż rozmawiał przez komórkę. Widać

było, że to rozmowa osobista, emocjonalna. Znowu mnie ścisnęło w żołądku. Jak wspominałam, słabo znam francuski, ale domyśliłam się, że trwają jakieś negocjacje. Były dyskusje, tłumaczenia, prośby.

Wiedziałam, że dzwoni, aby się domagać jego powrotu. Wiedziałam też, że jest pewna, iż w końcu jej posłucha - przecież należy do niej. Ja go tylko pożyczyłam, to było jasne od początku.

- Je comprends. Out. - Rozłączył się.

Postanowiłam być odważna i powiedzieć to pierwsza.

- Wyjedź jutro, jeśli musisz. Nie chcę cię zatrzymywać...

Przytulił mnie.

- Ale ja nie chcę od ciebie wyjeżdżać, w tym problem. - Pocałował mnie w czoło. - Ona grozi, że tu po mnie przyjedzie. - Musiałam mieć wystraszoną minę, bo zaraz dodał: - Nigdy mi się to nie zdarzyło. Ona zdaje sobie sprawę, że tym razem to coś zupełnie innego.

- Cóż, w takim razie nie ma wyjścia, musisz wracać - powiedziałam szybko. Czułam, że rośnie mi gula w gardle, ale przełknęłam ślinę i kontynuowałam: - Było fajnie, ale ty jesteś żonaty. Żonaty. - Nabrałam głęboko powietrza, żeby opanować łzy. Pomogło. Spojrzałam na niego i dodałam ze

spokojem: - Wiedzieliśmy, że to się musi skończyć, więc żegnaj. Było fantastycznie. Zostaną cudowne wspomnienia. - Potem wbiłam wzrok w chodnik i wzięłam kolejny głęboki oddech. Byłam z siebie dumna, nie rozkleiłam się. Thomas kiwnął głową.

Znów mnie przytulił.

- W takim razie za trzy dni muszę lecieć do Francji. Wreszcie stało się to oficjalne. To koniec.

- Ta umowa, którą zawarliśmy z żoną, świetnie się dotąd sprawdzała. Naprawdę.

Przytuliłam głowę do jego piersi.

- Julie, jesteś fascynującą kobietą. Zabawną, tak pełną życia. Gdybym mógł to przewidzieć. - Ucałował mnie w czoło. - Ale niestety takie jest życie. Tak bywa, kiedy otwierasz się na innych. - Jeszcze mocniej mnie objął. - Wybacz, że wszystko skomplikowałem.

Staliśmy tam bardzo, bardzo długo. A więc wróci do niej. To będzie tylko kolejny epizod w ich dziwnym wspólnym życiu. Ona wygrała. Nie mogło być inaczej. Nie powinno być inaczej. To jego żona, jego przeszłość i przyszłość.

- Bardzo cię kocham, Julie. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

To wyznanie to zaledwie nagroda pocieszenia, ale i tak miło było je usłyszeć. Wróciliśmy do hotelu, przytuliliśmy się do siebie na łóżku i tak leżeliśmy, aż zmorzył nas sen. Na nic więcej nie mieliśmy nastroju.

Tymczasem w Stanach

W głębi duszy (a może nawet nie tak w głębi) Serena zawsze im trochę zazdrościła. To ryzyko każdej pracy, w której się dostaje pieniądze za obsługiwanie kogoś, kto jest na tyle bogaty, że go stać na służbę. Na początku Serena przypisywała to przebywaniu w bezpośredniej bliskości bogactwa. Z tym że w ich przypadku nie było to jakieś ostentacyjne obnoszenie się z majątkiem. Nie byli rozrzutni, nie lubili przepychu. Posiadali za to coś o wiele bardziej godnego pozazdroszczenia. W ciągu tych trzech lat, które przepracowała jako kucharka słynnego gwiazdora filmowego, jego pięknej żony, byłej modelki, oraz ich małego synka, Serena zdążyła się przekonać na własne oczy, że pieniądze dają szczęście. I nie pozwólcie sobie wmówić, że tak nie jest, bo równanie jest proste: dzięki pieniądzom można robić więcej rzeczy, które się lubi, a mniej tych, których się nie lubi. To znaczy, że przez więcej czasu jesteśmy szczęśliwi, a przez mniej nieszczęśliwi. Zatem pieniądze dają nam szczęście.

Teraz posłuchajcie, gdzie za te pieniądze można zamieszkać w Nowym Jorku, żeby mieć gdzie to szczęście konsumować. Otóż na przykład w pięćsetmetrowym lofcie przy West Street w Tribecce z jedną ścianą całą przeszkloną z widokiem na rzekę Hudson, tak że wchodząc do pokoju ma się wrażenie, jakby się wsiadło na pokład transatlantyku.

Pieniądze dodawały też wszystkim urody. Pani domu, Joanna, była piękna i zgrabna, Robert przystojny i dobrze zbudowany, a ich synek Kip śliczny - głównie dzięki wygranej na loterii genowej, ale noszone przez niego słodkie chłopięce ubranka też się do tego przyczyniały.

Serena, odkąd wróciła do pracy, przyglądała się czasem Joannie, gdy ta wychodziła na zebranie zarządu jakiejś fundacji, szła poćwiczyć do siłowni lub do parku z synem albo po prostu siedziała z Robertem na kanapie, czytając gazetę. Za każdym razem czuła ukłucie zazdrości. Joanna dostała w genach urodę, co jej umożliwiło zostanie modelką. Dzięki pracy modelki poznała Roberta, który oczywiście się w niej zakochał, i w rezultacie zyskała to wspaniałe życie.

A kiedy Serena nauczyła się nie dostrzegać tych najistotniejszych aspektów, o które mogła być zazdrosna, przechodziła do rzeczy bardziej powierzchownych, czyli

dosłownie ich rzeczy. Mieli niesamowicie wyposażoną kuchnię: piekarnik marki Viking, lodówka Sub - Zero, nad wyspą wieszak na garnki i osobny regał na pokrywki. Serena mogła iść i kupić w sklepie każdy dostępny rodzaj oliwy: rozmarynową, bazyliową, czosnkową. Nie mówiąc o occie balsamicznym po czterdzieści pięć dolarów za butelkę. No i te urządzenia - cudowny mikser Kitchen - Aid, maszynka do lodów, opiekacze, gofrownice. Istny Disneyland dla kucharzy. Ulubionym jej elementem w kuchni był wysoki, wąski regał mieszczący całą kolekcję płyt państwa domu oraz odtwarzacz CD, iPod i głośniki. Muzyka jest przecież niezbędna przy gotowaniu i spożywaniu posiłków. Widzicie? Pieniądze = szczęście.

A najwspanialsze w tym wszystkim było to, że owa szczęśliwa i zamożna rodzina naprawdę szczerze Serenę kochała. Pewnie dlatego, że jako jedyna, poznawszy ich nawyki i drobne dziwactwa oraz nieraz będąc świadkiem gorszych dni, gdy synek był niegrzeczny, a oni nie mieli siły być wzorowymi rodzicami, potrafiła być dyskretna i w razie potrzeby stać się niewidzialna.

Poza tym cholernie dobrze gotuje. Podobno przeciętna kadencja prywatnego kucharza trwa dwa lata. To w sumie

zrozumiałe, bo każdy ma jakiś swój styl, który zwyczajnie po jakimś czasie nudzi się gospodarzom. Kiedy więc Serena zrezygnowała z pracy, żeby zostać hinduistyczną kapłanką, już i tak przekroczyła swój termin ważności o rok. Umiała bowiem ugotować wszystko. Jej ulubionym zajęciem było wyszukiwanie nowych przepisów i wypróbowywanie ich dla zabawy, a ulubionym zajęciem rodziny było kosztowanie tych nowości. Nie miała pojęcia, jak bardzo ją doceniają. Kiedy powiedziała Joannie, że odchodzi, ta jej podziękowała i życzyła powodzenia w dalszym życiu. Serena nie wiedziała jednak, że zaraz po jej wyjściu Robert powiedział ze śmiechem: „Rozumiem, że już nigdy nie zjem w tym domu nic przyzwoitego”.

Po powrocie inaczej na nich patrzyła. Zrozumiała, jak wiele rzeczy jej się w tej rodzinie podobało, ale dopóki nie odeszła, nie zdawała sobie z tego sprawy. Taki Robert, na przykład. Był to przesympatyczny, bezpośredni facet, który w wolnych chwilach lubił do niej wpadać do kuchni, żeby się z nią podroczyć.

- Cześć, See, co dobrego na obiadek? - pytał. Tak ją nazywał: See. Serena uznała, że to niekoniecznie jest pieszczotliwe zdrobnienie, ale raczej pseudonim, bo przecież

wszystkie gwiazdy filmowe lubią wymyślać innym pseudonimy.

- Kurczak w sosie musztardowym i chińskie brokuły - odpowiadała na przykład, na co on nieodmiennie się krzywił: - Faj, nie będę tego jadł, zwalniam cię. - Zawsze to samo. Przez pierwsze trzydzieści razy mało cię to śmieszy, ale za trzydziestym pierwszym zaczynasz czuć się jak w domu.

Robert wprawdzie nie zniknął, ale był jakiś inny, bardziej wyciszony. Joanna wydawała się trochę rozkojarzona, a wszystko, co Serena dla nich robiła, od posprzątania spiżarni po wyszorowanie patelni, spotykało się z tak ogromną wdzięcznością, że aż czuła się skrępowana. Domyśliła się, że coś się dzieje, lecz nie pytała, bo jak wspomniałam, główną cechą dobrej służby domowej jest dyskrecja.

Ale pewnego dnia, kiedy przygotowywała na lunch pieczonego łososia z sałatą, Joanna z Robertem akurat skądś wrócili.

Robert podszedł do Sereny i położył jej na ramieniu swoją wielką dłoń.

- Jak leci, Kudłata? - Takie nowe przezwisko dla niej wymyślił, gdy pierwszy raz stanęła w drzwiach pozbawiona włosów. Pogładził ją wtedy po głowie i stwierdził, że ma

całkiem kształtną czaszkę. Tym razem jednak ledwo zdobył się na uśmiech i od razu poszedł do siebie. Joanna z kolei wyglądała, jakby miała się za chwilę rozplakać, wybuchnąć albo zemdleć. Starając się zachować profesjonalnie, przybrała wymuszony uśmiech, odchrząknęła i zaczęła mówić:

- Wiem, że to spora zmiana w stosunku do tego, do czego jesteś przyzwyczajona, i że to nie leży w twojej specjalności, ale chciałam cię prosić... Czy od tej pory nie mogłabyś przygotowywać posiłków opartych wyłącznie na surowych produktach?

Serena wpadła w zdumienie. To ogromnie skomplikowana i czasochłonna dieta, w dodatku nie miała z nią dotąd żadnego doświadczenia.

- To ekstremalna dieta, ale codziennie będzie się z tobą konsultował lekarz. Mamy też wszystkie potrzebne książki kucharskie i listę produktów. - Joanna nabrała powietrza w płuca. Głos jej trochę drżał. - Spróbujesz? Chyba tylko ty potrafisz z tego zrobić coś, co się będzie nadawało do jedzenia - dodała, próbując zażartować.

Serena oczywiście zapewniła, że jeszcze dziś zrobi zakupy i nazajutrz zabierze się do roboty. Nic więcej nie musiała mówić. Stojąc w tym wielkim apartamencie z widokiem na

Hudson, z mikserem KitchenAid i sprzętem grającym w kuchni, zdała sobie sprawę, że czarujący, przystojny i bezpośredni pan domu jest poważnie chory, więc nie ma mowy, aby ktokolwiek w tym domu mógł być szczęśliwy.

* * *

Ruby nie miała już więcej znajomych homoseksualistów, którzy mogliby jej zaoferować swoje nasienie, ale wciąż nie mogła się opędzić od myśli o dziecku. Wiedziała, że istnieje możliwość adopcji, ale odkąd wpadła na pomysł sztucznego zapłodnienia, bardzo pragnęła urodzić własne.

Stąd właśnie obecność u niej tydzień później Alice, która przyszła wbić jej w tyłek strzykawkę.

Wiem, jestem winna wyjaśnienie. Ruby zdecydowała się spróbować zapłodnienia nasieniem z banku spermy. Wybrała dawcę (wysoki Żyd, po studiach na renomowanej uczelni) i uruchomiła maszynę. Badania krwi wykazały, że poziom hormonów ma trochę za niski, ale przy odpowiednich lekach powinna zajść w ciążę za pierwszym podejściem. Mogło się oczywiście zdarzyć, że będą to pięcioraczki, ale nie zamierzała się tym martwić. W tej chwili martwiła się czym innym: nie było mowy, żeby sobie sama robiła zastrzyki przez dwa tygodnie. Trenowała u lekarza w gabinecie i nie potrafiła

nawet ukłuć grejpfruta. Na myśl o wbiciu igły we własne ciało dostawała mdłości. Cóż z tego, że marzyła, aby zająć w ciążę i móc przytulić do piersi własne dziecko, kiedy nie zrobi sobie zastrzyku i już.

Najpierw pomyślała o Serenie, która wciąż u niej mieszkała, choć intensywnie szukała czegoś dla siebie. Rozglądała się za ofertami w okolicach Park Slope na Brooklynie, bo się boleśnie przekonała, jak bardzo poszły w górę czynsze na Manhattanie. (W Nowym Jorku nie wolno się pozbywać mieszkania!) Zanosilo się na to, że niedługo coś znajdzie, więc Ruby była spokojna. I tak przeważnie mijaly się w drzwiach, a zresztą Ruby nie przeszkadzało jej towarzystwo, wręcz je lubiła.

Weszła do salonu i zastała Serenę nad książką. Nie bardzo wiedziała, jak poruszyć ten temat, więc po prostu zaczęła mówić:

- Pamiętasz, jak wspominałam, że może się zdecyduję na dziecko?

Serena odłożyła książkę i kiwnęła głową. Domyśliła się, że to nie będzie zwykła pogawędka, jak przy porannych spotkaniach w kuchni.

- No więc zdecydowałam się wziąć serię zastrzyków hormonalnych, żeby zwiększyć szanse, ale teraz się obawiam, czy dam radę sama sobie wbić igłę w tyłek.

Serena znów kiwnęła głową. Miała nadzieję, że rozmowa nie zmierza w tym kierunku, który podejrzewała, ale jeśli tak, to z grzeczności nie będzie zmuszać Ruby, by sama to powiedziała.

- I chcesz mnie o to poprosić?

Ruby kamień spadł z serca. Jakże kochała w tym momencie Serenę za to, że ją od tego uwolniła.

- Zdaję sobie sprawę, że to być może najdziwniejsza prośba znana ludzkości, ale tak. Głupie, co?

- Nie, dlaczego? - skłamała Serena. - Zrobię to z przyjemnością - skłamała po raz drugi.

- Wiem, że proszę o wiele.

- Myślę, że gdybyś mnie poprosiła o potrzymanie swojego dziecka, to by dopiero było coś.

- Hm, to prawda. - Po chwili dodała: - Zaczęłybyśmy od jutra, dobrze?

Serena była zaskoczona. Nie miała pojęcia, że rozmawiają o czymś, co ma się zdarzyć już jutro.

- Zaraz rano?

- Tak. Zanim wyjdiesz do pracy.

- No dobra.

- Super. Dzięki.

I rzeczywiście była to najdziwniejsza rozmowa, jaką Serena w życiu odbyła.

Rano sytuacja zrobiła się jeszcze bardziej niezręczna. Ruby stała z wypiętą pupą oparta o umywalkę i błagała Serenę, żeby wreszcie wbiła tę igłę. Ale Serena nie potrafiła. Wpatrywała się w bladą skórę pośladka, potem w strzykawkę trzymaną w dłoni i poczuła, że robi jej się słabo. Spojrzała na Ruby w lustrze.

- Nie dam rady - rzekła płaczliwie.

- Ojej - odparła współczująco Ruby, choć trochę się zmartwiła.

- Myślałam, że dam, ale nie. Nie wbiję tej igły. Ciarki mnie przechodzą.

Ruby zareagowała delikatnie.

- Nic się nie stało. Gdyby każdy był dobry w kluciu ludzi igłami, nie brakowałoby w tym kraju pielęgniarek.

Serena czuła się okropnie. Prawie się nie znały, a mieszkała u niej, nie płacąc ani centa. Mogła przynajmniej w ten sposób się odwdzięczyć i zrobić ten cholerny zastrzyk. A

tu nic. Była przerażona. Ruby stała z wypiętym tyłkiem i nie wiedziała, co robić. Żeby nie zakłócić całej procedury, musiała zacząć brać zastrzyki dzisiaj.

- W ogóle nie dasz rady? Czy tylko dzisiaj? Serena wiedziała, jakie to dla niej ważne.

- Dobra, spróbuję jeszcze raz.

Chwyła strzykawkę, przyłożyła dłoń do pośladka Ruby, wzięła głęboki oddech i... Nic z tego.

- Może zadzwonimy po Alice? Ruby się ożywiła.

- Alice? Świetny pomysł. Założę się, że ona to zrobi bez mrugnięcia okiem. A nie poczuje się dziwnie?

- No i co z tego? Zadzwonię do niej i wszystko wytłumaczę.

Ruby odetchnęła z ulgą.

Dwie godziny później zrobiła to ponownie, kiedy Alice wstrzyknęła jej w tyłek lek z hormonem folikulotropowym o nazwie Repronex.

Teraz Ruby musiała jakoś dać Alice do zrozumienia, że ten zastrzyk trzeba jej robić codziennie przez dwa tygodnie. Na szczęście wybawiła ją Serena, która nie miała z tym kłopotu, bo nie prosiła dla siebie, nie o jej tyłek chodziło, a Alice nie była właściwie jej przyjaciółką.

- To co, widzimy się jutro o tej samej godzinie? - rzuciła, jak gdyby nigdy nic.

Zaskoczona Alice odwróciła się i spojrzała na nie.

- Aha, czyli...

- I przez następne dwanaście dni?

- Mam przychodzić codziennie? Zawstydzona Ruby pokiwała głową.

- Dobra, nie ma sprawy.

Ruby mało nie padła na kolana z wdzięczności.

- Dziękuję, Alice. Strasznie ci dziękuję.

Alice machnęła ręką.

- Daj spokój. Co za problem. - I wyszła.

Przez następny tydzień przychodziła co rano i robiła Ruby zastrzyk.

Wtedy Ruby sobie przypomniała, że w życiu nie dostaje się nic za darmo.

Alice była właśnie w trakcie przygotowań do ślubu i jak każda panna młoda nie potrafiła mówić o niczym innym. Dzień w dzień, wstrzykując w tyłek Ruby hormony, żeby ta mogła zajść w ciążę z nieznajomym i zostać samotną matką, paplała o najnowszych ustaleniach co do wyboru kwiatów bądź koloru obrusów.

- Mama Jima uwielbia peonie, ale z kolei moja woli hortensje, a z tych nie da się zrobić bukietu, bo są wielgachne. Więc myślę, że może hortensje dam na stoły, a bukiet zrobię z peonii.

- To chyba dobry kompromis - powiedziała pochylona nad umywalką Ruby. - Jedne i drugie są śliczne.

- Wiem, ale florysta ma oczywiście własną wizję, która nie uwzględnia ani hortensji, ani peonii. - Alice wbiła igłę w pośladek Ruby. - Przyniosłam dzisiaj rogaliki, chcesz?

I tak co dnia Ruby stawała przy umywalce ze spuszczoneymi spodniami, wysłuchując weselnych dylematów Alice i czuła się zwyczajnie zazdrosna. Tak, zazdrosna. Były w tym samym wieku, a jednak Alice wychodziła za męża, potem pewnie zajdzie w ciążę i lada dzień po jej podwórku będą biegały dzieci. Stworzy rodzinę, taką z mamą i tatą. A Ruby nie. Alice wybierała suknię do ślubu. Piersi Ruby stawały się obrzmiałe od wstrzykiwanych hormonów. Jednak Alice wyświadczała jej niewymowną przysługę, więc Ruby musiała to dzielnie znosić.

Alice zaczęła przynosić ze sobą drożdżówki, więc co rano siadały we trójkę i ucinały sobie pogawędki przy kawie do czasu, aż Alice i Serena musiały iść do pracy. Alice, nie będąc

tak całkiem bezduszna, wypytywała też, co słyhać w ich życiu. Ruby zauważyła, że bardzo lubi spędzać czas w ich towarzystwie. Wkrótce jej wizyty zaczęły się przedłużać z dziesięciu do trzydziestu minut, a potem nawet godziny. Choć bywała irytująca z tą swoją weselną gadką, zabawnie się jej słuchało i stanowiła w sumie świetne towarzystwo.

W weekend Alice i Jim wybrali się na późne śniadanie do siostry Jima, Lisy i jej męża Michaela. Przy stole od razu pojawił się temat nadchodzącego ślubu. Lisa i Michael zaczęli z ożywieniem wspominać własną podróż poślubną. Michael zaraz przyniósł laptop, żeby urządzić gościom pokaz slajdów.

Zabrali się za konsumpcję jajecznicy, a Michael kliknął na pierwsze zdjęcie: on i Lisa na Szlaku Inków w Peru. Dwoje szczęśliwych ludzi świeżo po ślubie, on ją obejmuje, ona ma lekko przechyloną głowę, niemal opartą o jego ramię. Lisa już nie musiała mierzyć się ze światem na baczność, z głową do góry. Była zakochana, mogła się uśmiechnąć i zrobić „spocznij”. Byli w górach, chmury zdawały się wisieć metr nad nimi.

- Tam było tak wysoko, że czułam się, jakbym fruwała w powietrzu - powiedziała Lisa, zanurzając się we wspomnieniach.

- Tak było - Michael z uśmiechem przytulił ją i pocałował. - Pamiętasz?

Potem oboje odwrócili się do Alice i Jima.

- Bardzo się cieszę, że się spotkaliście - powiedziała Lisa.
- Niektórzy mogą pomyśleć, że trochę wam śpieszno, ale ja uważam, że takie rzeczy po prostu się wie, prawda?

- Zdecydowanie tak - powiedziała Alice i poczuła, jak żołądek zawiązuje jej się w supeł. Klik.

- Tutaj w końcu dotarliśmy na Machu Picchu. Niesamowite, prawda? - Michael ścisnął Lisę za rękę. Klik.

- A to Świątynia Słońca. Podobno zbudowano ją dla miejskich astronomów. - Tym razem Lisa ścisnęła dłoń Michaela. Klik.

- A to nazywają „więzieniem”. Uważa się, że trzymano tam skazanych - wyjaśnił Michael. Zdjęcie przedstawiało całującą się parę otoczoną wysokim kamiennym murem. Klik.

- To jest hotel u podnóża Machu Picchu. Luksusów tam nie ma, ale widoki! - zachwyciła się Lisa.

- Spędziliśmy tam dodatkowo jeden dzień i w ogóle nie ruszaliśmy się z pokoju. - Michael mrugnął do Lisy. Ta zachichotała i szturchnęła go w ramię.

- Wybaczcie - roześmiał się - ale tam było po prostu super. Mam nadzieję, że wy też będziecie się tak świetnie bawić w czasie swojej podróży poślubnej.

Alice też miała taką nadzieję. Klik.

- Nie, Michael!

- Czemu? Tylko parę.

- Dajcie spokój, zanudzimy Alice - powiedział ze śmiechem Jim.

Michael nie mógł sobie darować i pokazał jej kilka zdjęć z samego wesela. Pierwsze przedstawiało pocałunek młodej pary tuż po wyjściu z kościoła. Michael i Lisa wpatrywali się w nie w milczeniu, niemal z nabożeństwem. Alice mogłaby przysiąc, że słyszała, jak jednocześnie wydali z siebie rozmarzone westchnienie.

Wtedy Lisa powiedziała coś, co sprawiło, że supeł w żołądku Alice zacisnął się jeszcze mocniej.

- To był najszcześniejszy dzień w moim życiu.

Alice przyszła tam na śniadanie, a zaserwowano jej wizualne studium miłości. Takiej, o jakiej zawsze marzyła i jakiej na pewno nigdy nie zazna z Jimem. Wiedziała, że dla niej ślub nie będzie najszcześniejszym dniem w życiu. Nigdy nie będzie patrzyła na Jima tak, jak Lisa patrzy na Michaela.

Choćby nie wiadomo jak próbowała to sobie wyjaśniać, prawdy przed sobą nie ukryje. Jeżeli wyjdzie za Jima, nigdy tego nie zazna. Patrzyła na kolejne fotografie Lisy i Michaela tańczących na przyjęciu weselnym, krojących tort. Ona i Jim też mogą tak wyglądać. Ktokolwiek spojrzy na ich zdjęcia, niczego się nie domyśli. Ale ona będzie wiedziała.

Kiedy po skończonej wizycie wyszli na ulicę, Alice dopiero wtedy zrozumiała, na czym to polega. To nie tyle jest kwestia decyzji, że skoro jest nam z kimś dobrze, to nie musimy dalej szukać. To raczej deklaracja: „Oto poziom szczęścia, na którym chcę się zatrzymać. Na zawsze”.

Następnego dnia przyniosła do Ruby jej ulubioną struclę serową, żeby uczcić ostatni zastrzyk serii. Tym razem jednak, kiedy po wszystkim siedziały przy kawie, na stole nie było próbek tkanin ani wycinków z gazet ze zdjęciami ślubnych bukietów.

- Mam nadzieję, że ci się uda, Ruby. Życzę ci tego - powiedziała Alice, skubiąc ciasto.

- Dzięki. Bardzo się napaliłam na ten pomysł - nieśmiało pokiwała głową Ruby.

- Strasznie miło z twojej strony, Alice, że zgodziłaś się pomóc - dodała Serena. - Wybaczcie, że tak wymiękłam.

- Nie ma sprawy. Spytałaś, a ja pomyślałam, czemu nie spróbować? Poza tym uważam, że to bardzo odważna decyzja. Ruby, jesteś dzielna. Dążysz do tego, czego naprawdę pragniesz. To fantastyczne.

Ruby dała się ponieść ogólnej atmosferze życzliwości i zapytała:

- Alice, nie mówiłaś dziś nic o przygotowaniach do ślubu!
Alice kiwnęła głową.

Po wczorajszym wielogodzinnym spacerze podjęła kolejną decyzję. Nie mogła ignorować faktu, że właśnie ma zamiar związać się z kimś na zawsze ani że dzień ślubu nie będzie najszczęśliwszym dniem w jej życiu. Była kobietą silną, mądrą i upartą, i wiedziała, że może przecież zrobić z tym życiem, co zechce. Wieczorem wpadła do Jima. Wszystko mu wytłumaczyła i choć był ogromnie zawiedziony, zrozumiał, że tego właśnie chce Alice, a jej szczęście jest przecież dla niego najważniejsze.

- Postanowiliśmy uciec i wziąć cichy ślub - oznajmiła dziewczynom i żeby nie patrzeć na ich reakcję, zajęła się pałaszowaniem wielkiego kawałka ciasta. Ruby i Serena były zdumione. To ostatnia rzecz, jakiej by się po niej spodziewały.

- Co za dużo, to niezdrowo. - Kiwnęły głowami, udając, że rozumieją, co ma na myśli.

- Dużo ludzi się odgraża, że tak zrobi, a wy naprawdę...
Fajnie - powiedziała Ruby.

- Strasznie się nakręciłam, już się nie mogę doczekać.
Lecimy za miesiąc na Islandię i tam się pobierzemy.
Będziemy tylko my i nikt więcej.

Ruby i Serena milczały, brakło im słów. W końcu Ruby wydusiła:

- Na Islandię?

- Tak. Podobno tam jest przepięknie, a teraz w dodatku panuje noc polarna, więc powinno być bardzo romantycznie.

Alice jadła ciasto i uparcie unikała ich wzroku - teraz to ona stała z gołym tyłkiem na widoku. Szybko zmieniła temat, umówiły się na lunch w najbliższym czasie, a potem wyszła.

Jak tylko zamknęły się za nią drzwi, Ruby spojrzała na Serenę.

- Czy ona wygląda jak szaleńczo zakochana kobieta, która nie może się doczekać ślubu?

Serena zrobiła wymowną minę.

- Leci na Islandię, żeby wziąć ślub w nocy, więc raczej nie.

Ruby, która przez ostatnie dwa tygodnie szczerze zazdrościła Alice wszystkiego, czego jej samej los poskąpił, teraz się o nią martwiła. Może jednak nie było czego zazdrościć? Ale to wcale Ruby nie ucieszyło, wręcz przeciwnie.

- Chyba czas zadzwonić do Julie.

ZASADA 9

NIE CHCĘ NACISKAĆ, ALE ZACZNIJ POWOLI MYŚLEĆ O DZIECKU (NAPRAWDĘ NIE MASZ DUŻO CZASU)

Rano po przebudzeniu zobaczyłam Thomasa wchodzącego do pokoju. Przeszedł mnie dreszcz. Wyraźnie zdałam sobie sprawę, jak bardzo będzie mi go brakować. Jego poczucia humoru, inteligencji, dobroci - na dodatek w tak atrakcyjnym opakowaniu. Wkrótce bajka się skończy i będę zdruzgotana. Staralam się szybko odpędzić od siebie te myśli.

- Gdzie byłeś? - spytałam, ziewając.

Jego niebieskie oczy błyszczały z emocji.

- Przeprowadziłem mały wywiad. Mają tu park, do którego koniecznie musimy się wybrać. Idealny teren badawczy dla ciebie!

Po typowo chińskim śniadaniu, czyli congee (ryżowa owsianka z wkładką mięsną lub rybną), pojechaliśmy taksówką do parku Zhongshan. Thomas ćwiczył wymowę tej nazwy przez całe śniadanie, a skończyło się na tym, że musiałam pokazać kierowcy kartkę, na której recepcjonista zapisał ją nam w alfabecie mandaryńskim. Pisałam już, że z tym językiem nie ma żartów.

Thomas nie chciał mi zdradzić, po co tam jedziemy, więc moja ciekawość rosła z każdą chwilą. Dopiero gdy wysiedliśmy na miejscu z taksówki, wszystko wyjaśnił.

- Czytałem o tym w Internecie. Do tego parku przychodzą rodzice, żeby swatać swoje dorosłe dzieci. W każdy czwartek i każdą sobotę po południu.

- Poważnie? Coś jak aukcja koni, tyle że z ludźmi? Thomas wzruszył ramionami i wziął mnie za rękę.

- Chodź, przekonamy się.

W parku zobaczyliśmy kilkadziesiąt osób zebranych wokół fontanny. Niektórzy siedzieli w milczeniu, inni prowadzili rozmowy, ale wszyscy trzymali w rękach białe kartki. Napisy były po chińsku, ale Thomas był dobrze przygotowany.

- To są podstawowe informacje o synu lub córce. Ile ma lat, jakiego jest wzrostu, jakie wykształcenie zdobył.

Widać było, że ci starsi ludzie traktują sprawę niezwykle serio. Niektórzy zagadywali innych, żeby sprawdzić, czy to dobra partia. Czasem wyjmowali z kieszeni fotografie dzieci i pokazywali sobie nawzajem. Ogólnie był to raczej smutny widok, wszyscy mieli strasznie poważne miny, a na nas,

cudzoziemców, patrzyli spode łba. Wielu rodziców z kartkami u szyi tylko siedziało i tępo gapiło się przed siebie.

Żadna z tych osób nie wmówiłaby mi, że jest szczęśliwa z powodu tylu ofert do wyboru ani zachwycona faktem, że jej trzydziestosześcioletnia córka wciąż nie wyszła za mąż. Ci rodzice byli tak rozczarowani życiem uczuciowym swoich pociech, że dosłownie wyszli na ulicę. W kraju, gdzie panuje wybitna niechęć do publicznych zgromadzeń, wyszli się pokazać z tabliczkami na piersiach, próbując wyswatać dorosłe dzieci. Doświadczali konsekwencji ich niezależności. To było bardzo przygnębiające.

Spróbowałam się dopatrzeć jasnych stron.

- Może trzeba na to spojrzeć inaczej? Patrz, jacy ci rodzice są kochani, jacy troskliwi. Poza tym komu to szkodzi?

- Albo jeszcze inaczej - odparł Thomas. - Z powodu polityki rządu każde z nich ma tylko jedno dziecko, które może się nim zaopiekować na starość. Może więc robią to dla własnego dobra, wychodząc z założenia, że im samym będzie lepiej, jeżeli wydadzą syna czy córkę?

Pokręciłam głową.

- To smutne.

Thomas uśmiechnął się i wziął mnie za rękę.

- Wiem, że lubujesz się we wszelkiego rodzaju teoriach, więc tylko podałem swoją.

Postanowiliśmy urządzić sobie wycieczkę po Houhai, urokliwej małej dzielnicy, gdzie jeszcze można znaleźć ostatnie zachowane hutongi. Te szare parterowe budynki ze wspólnymi dziedzińcami, połączone wąskimi uliczkami, stanowiły niegdyś typowe domostwa tutejszej ludności. Teraz stopniowo je się wyburza, żeby zrobić miejsce pod wysoką zabudowę. Jednak w Houhai małe sklepiki i budki z jedzeniem znajdujące się w obrębie hutongów same stały się obecnie atrakcją turystyczną. Może więc to całe szaleństwo budowlane oszczędzi tę dzielnicę Pekinu.

Zatrzymaliśmy się w jednej z małych „restauracji” na lunch. W środku było brudno, a do jedzenia mieli tylko pierożki i makaron. Znajdujące się na stoliku słóiczki z pastą chili wyglądały na niemyte od lat i do tego wszędzie latały muchy. Dwoje pracowników nie mówiło ani słowa po angielsku, co było miłą odmianą w czasach, gdy coraz trudniej spotkać kogoś, kto nie zna angielskiego lub nie potrafi wskazać najbliższego Starbucksa. Znaleźliśmy się w środku czegoś autentycznego, nawet jeśli ta autentyczność była utrzymywana tylko ze względu na turystów. To wszystko

sprawiło, że nagle się rozczuliłam. Siedzieliśmy sobie przy stoliku i jedliśmy na spółkę porcję makaronu z warzywami i gotowane pierogi. Po chwili milczenia powiedziałam:

- Chcę, żebyś wiedział, że to mi wyszło na dobre i wiele mnie nauczyło.

Thomas bez słowa podniósł na mnie oczy.

- Dało mi nadzieję, że miłość istnieje naprawdę i że mamy szansę ją znaleźć. Nie powinieneś mieć żadnych wyrzutów sumienia. W pełni rozumiem twoją sytuację.

- Kochana Julie, ja nie o ciebie się martwię. Wiem, że sobie poradzisz. Właśnie dlatego tak mi ciężko.

Uśmiechnął się i wziął mnie za rękę. Nie chciałam się przy nim rozryczeć, bo wiedziałam, że moja francuska odpowiedniczka okazałaby więcej dumy. Spytałam kobietę, która podawała nam jedzenie, gdzie jest toaleta.

- WC?

Pokazała na ulicę.

Zgłupiałam, więc na wszelki wypadek powtórzyłam jeszcze raz:

- WC?

Ona kiwnęła głową, powiedziała coś po chińsku i znów pokazała na ulicę. Wstałam i wyjrzałam na zewnątrz. Kilka metrów dalej grupka kobiet wychodziła zza jakichś drzwi.

- Życz mi powodzenia - powiedziałam do Thomasa i wyszłam.

Jak miałam się właśnie dowiedzieć, w Pekinie popularne są toalety kucane. Nawet w niektórych szacownych instytucjach nie uznano dotąd potrzeby zapewnienia starej dobrej ubikacji w „zachodnim” stylu. Byłam przygotowana na różne rzeczy, w końcu spędziłam trochę czasu w Rzymie, poza tym nie jestem specjalnie przewrażliwiona na tym punkcie, ale wchodząc do tej publicznej toalety, ujrzałam coś, co mnie zaskoczyło nie tylko dlatego, że dotąd się z tym nie spotkałam, ja nawet nie wiedziałam, że istnieje.

Po pierwsze już z daleka czuć było niewiarygodny smród. Jeszcze na ulicy musiałam zatkać nos i oddychać ustami. Myślałam, czy by nie zawrócić, ale strasznie chciało mi się sikać. Weszłam więc do środka i się rozejrzałam. To było spore pomieszczenie bez żadnych kabin, bez żadnych drzwi, za to z ośmioma dziurami w podłodze, nad którymi pochylały się miejscowe kobiety. Oddzielały je tylko metalowe przepierzenia wysokości mniej więcej pół metra.

Przeżyłam szok, a nowojorczyka zaszokować niełatwo. Po pierwsze zaszokował mnie sam widok sikających zbiorowo Chinek, a po drugie szybko zdałam sobie sprawę, że za chwilę będę musiała zrobić to samo.

Kilka kobiet podniosło na mnie wzrok i wtedy wstąpił we mnie jakiś nowy rodzaj dumy. Nie mogłam wyjść na mięczaka. To moje życie, jestem w hutongu, a tu ludzie tak się właśnie załatwiają.

Podeszłam do wolnego stanowiska, rozpięłam spodnie i kucnęłam. Podniosłam głowę i znalazłam się twarzą w twarz z leciwą Chinką, która załatwiała potrzebę na wprost mnie w odległości zaledwie pół metra. Gdybyśmy mówiły tym samym językiem, mogłybyśmy sobie uciąć miłą pogawędkę, a tak kobieta tylko puściła bąka, a ja schyliłam głowę i dokończyłam, co miałam dokończyć.

A więc od pocałunku pod Koloseum, przez zakochanie się na Bali, doszłam do sikania w kucki w Pekinie. Było dla mnie jasne, że mój cudowny romans naprawdę ma się ku końcowi. Nic nie mogłam na to poradzić, może tylko tyle, żeby spróbować przez to przejść w miarę szybko i w miarę godnie. Wyjęłam z kieszeni wymiętą chusteczkę i się podtarłam.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, zastaliśmy na sekretarce wiadomość od Wei, która zapraszała na imprezę w restauracji o nazwie Lan.

- Będzie super! Przyjdźcie koniecznie! - I potem jak zwykle następował wybuch śmiechu.

Przebraliśmy się i poszliśmy do restauracji, która przypadkiem mieściła się w budynku po drugiej stronie ulicy. Gdy rozsunęły się drzwi windy, mało nie padłam z wrażenia. Lokal był ogromny, urządzony w imponującym stylu. Żeby dotrzeć do miejsca, gdzie odbywała się impreza, musieliśmy przejść przez całą ogromną salę restauracyjno - klubową, która miała chyba z kilkaset metrów kwadratowych. W wystroju dominował przepych i teatralność rodem z królewskiego pałacu. Wszędzie aksamity, draperie, olbrzymie żyrandole. W środku wydzielono osobne części restauracyjne, osobne barowe, każda w innym klimacie, ale wszystkie zapewniające wrażenie luksusu.

Z głębi sali dochodził gwar rozmów i śmiechy. Kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy, że bawi się tam spora grupa młodych, atrakcyjnych, modnie ubranych Chińczyków. Od razu dostrzeżliśmy Wei.

- O, super, że jesteście! - Podbiegła do nas ubrana w króciutką biało - czarną sukienkę ozdobioną cekinami i obsypała nas całusami. Potem zaprowadziła nas do baru i pobiegła się przywitać z kimś innym. Gdy Thomas zamawiał dla nas wino, odwróciłam głowę i zobaczyłam Tammy, dziewczynę z samolotu. Stała z kieliszkiem martini w ręku. Spojrzałyśmy na siebie zaskoczone, usiłując sobie przypomnieć, skąd się znamy.

- Cześć! Spotkałyśmy się w samolocie - powiedziałam. - Ach tak, rzeczywiście.

- Cześć - przywitał się Thomas, podchodząc z kieliszkami.

- No i jak wam się podoba Pekin? - spytała z uśmiechem Tammy. - Dużo zdążyłaś się dowiedzieć o życiu tutejszych singielek?

- Sporo. To idealny czas, żeby tu przyjechać.

- O tak - przyznała Tammy. - Tyle się zmieniło, i to jak szybko. Ciekawie jest to wszystko obserwować.

- Co takiego się zmieniło? - zainteresowałam się.

- Na przykład dopiero od jakichś dziesięciu lat mamy tutaj supermarkety. Wcześniej nie można było dotknąć jedzenia w sklepie.

- Przepraszam, co powiedziałaś? - wtrącił się Thomas.

- Dopiero od niedawna są u nas takie sklepy, gdzie możemy zdjąć towar z półki i obejrzeć go przed kupnem. Dawniej wszystko było za ladą.

- Czyli teraz możecie wychodzić za mąż, kiedy chcecie, możecie się rozwodzić, dotykać produktów w sklepie. Wszystko się zmieniło.

- Tak, mamy dużo więcej swobody. Nie tak jak nasze mamy.

- A powiedz, czy Chinki decydują się czasem na samotne macierzyństwo?

Tammy odgryzła kawałek sajgonki i odparła krótko:

- Nie.

Spojrzeliliśmy z Thomasem po sobie. To była dosyć zdecydowana odpowiedź. Czarno - biała.

- Naprawdę, nigdy?

- Nigdy. Bo to jest niemożliwe.

- Jak to?

- Po prostu. Nie ma takiej możliwości. Nie chciałam być natrętna, ale bardzo mnie to ciekawiło. Po chwili spytałam jeszcze raz: - Ale dlaczego?

- Każde dziecko jest rejestrowane przy urodzeniu. Wraz z tym dostaje dostęp do opieki medycznej i innych świadczeń. Dziecka nieślubnego nie można zarejestrować. Rząd ich nie uznaje. One nie istnieją.

Thomas i ja wpatrywaliśmy się w nią przez chwilę.

- To co się dzieje, kiedy niezamężna Chinka zajdzie w ciążę? - spytał Thomas.

- Usuwa ją - odparła Tammy, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

- A co z adopcją? Czy samotna kobieta nie może wziąć któregoś z tych dzieci, których pełno w sierocińcach? - Ta ostatnia informacja mną wstrząsnęła.

- Nie może - powtórzyła Tammy z całkowitą powagą.

- Ale czemu? Przecież jest ich tak dużo. Wzruszyła ramionami.

- Nie rozumiecie? Jeżeli się pozwoli samotnej Chince zaadoptować dziecko, to będzie oznaczało akceptację samotnego macierzyństwa. A to prawie to samo, jakby jej pozwolić urodzić własne dziecko. To jeszcze długo nie nastąpi, jeśli w ogóle.

Wtedy zaczęło do mnie docierać, że te wszystkie tutejsze kobiety szalejące po klubach, cieszące się wolnością, robiące

kariery, różni od nas, kobiet zachodnich, jedna zasadnicza rzecz: one nie mają planu B. My możemy sobie pozwolić na romanse, spotkanie się z nieodpowiednimi facetami, bo wiemy, że w gruncie rzeczy nasze plany macierzyńskie nie są zagrożone. Większość z nas nie chciałaby samotnie wychowywać dzieci i dobrowolnie nigdy się na to nie zdecyduje, ale zawsze mamy w zapasie taką opcję.

Chinki, które teraz mogą wybierać między trzema rodzajami szamponu, takiej opcji nie mają, nawet kiedy nie uda im się znaleźć odpowiedniego mężczyzny. Płacą za wolność znacznie wyższą cenę, niż sądziłam.

- Co w takim razie robisz, kiedy masz trzydzieści siedem, osiem lat i chcesz mieć dziecko? - spytałam.

Tammy znów wzruszyła ramionami.

- Wychodzisz za męża za pierwszego, który się trafi. Musiała dostrzec smutek na mojej twarzy, bo dodała:

- To bardzo częsta praktyka.

Nagle przestałam się dziwić tym rodzicom w parku.

Na imprezie pojawili się dwaj biznesmeni, których poznaliśmy w klubie Suzie Wong, Dong i Jin. Przedstawiłam ich Tammy. Chociaż się zarzekała, że nie przepada za Chińczykami, przez moment miałam nadzieję, że zaprzyjaźnią

się z Jinem. Chwilę ze sobą rozmawiali, a w tym czasie ja i Thomas zagadywaliśmy Donga. W końcu Jin i Dong poszli do baru po drinki. Postanowiłam się zabawić w swatkę.

- Wiem, że nie lubisz Chińczyków, ale Jin jest całkiem sympatyczny, nie sądzisz? Mam wrażenie, że moglibyście sobie przypaść do gustu.

Tammy rzuciła na niego okiem. Jin był chińskim odpowiednikiem miłego, statecznego Amerykanina, takiego, co to sprzedaje ubezpieczenia lub jest dentystą, tyle że trochę przystojniejszym i znającym więcej języków.

- Daj spokój, gdybym chciała wyjść za kogoś takiego, już dawno bym to zrobiła.

Poszłam do baru po jeszcze jedno wino.

Następnego dnia, naszego ostatniego, wymyśliliśmy, że przejdziemy się pieszo do Zakazanego Miasta, najważniejszej atrakcji Pekinu. Trzymaliśmy się za rękę. To były akurat godziny szczytu, więc ulicami sunęły rzeki aut, a także rowerzystów udających się do pracy. Wielu z nich miało maski na twarzach, żeby się chronić przed zanieczyszczonym powietrzem - kolejnym skutkiem szybkiego rozwoju ekonomicznego. Thomas nagle mnie zatrzymał i złożył na

moich ustach długi pocałunek. Smutno mi się zrobiło. To był jakby początek pożegnania.

Na pierwszy rzut oka Zakazane Miasto nie robi aż takiego wrażenia. Z zewnątrz to tylko długi czerwony mur z ogromnym wizerunkiem Mao Tse - tunga. Wygląda trochę buro. Ale kiedy się wejdzie do środka, wszystko się zmienia. To największy zachowany zespół pałacowy na świecie. Kilometry chodników prowadzą do różnych świątyń i pawilonów, z których korzystali wszyscy wielcy cesarze, począwszy od dynastii Ming. Budowle mają górnolotne nazwy, które - nic na to nie poradzę - bardzo mnie śmieszyły: Brama Boskiej Czystości, Pałac Najwyższej Harmonii, Pawilon Doskonalenia Umysłu, Pawilon Wiecznej Jasności. Nawet współczesne tabliczki zakazujące śmiecenia brzmiały jakoś pompatycznie: „Jeden lekkomyślny czyn prowadzi do trwałej utraty piękna”.

Zdecydowaliśmy się skorzystać z audioprzewodnika, co na początku było dosyć stresujące. W słuchawkach na uszach i z małym odbiornikiem GPS w ręce usiłowaliśmy zrozumieć, w którą stronę mamy patrzeć i co właściwie oglądamy.

- Słyszysz coś? - zapytałam Thomasa.

- Tak, mówi o jakichś instrumentach muzycznych. A u ciebie nie?

- Nie. Cisza.

- To może spróbuj...

- Ciii... coś leci. Czekaj, na pewno jesteście tam, gdzie trzeba? W Pawilonie Najwyższej Harmonii? Gdzie lew? O czym ona gada?

Tak to mniej więcej wyglądało. W końcu jednak złapaliśmy rytm i dalsze zwiedzanie przebiegało sprawnie. Mały przewodnik w uchu zawsze dokładnie wiedział, gdzie się znajdujemy, i informował o wszystkim, co powinniśmy wiedzieć. Było cudownie. Byliśmy razem, trzymaliśmy się za ręce, doświadczając majestatu największego pałacu świata, i nie musieliśmy ze sobą o niczym rozmawiać.

Pod koniec wycieczki, kiedy podziwiałam jedną z mniejszych świątyń, kątem oka dostrzegłam, że Thomas wyjmuje komórkę. Ekran się świecił. Zdjął słuchawki i zaczął rozmawiać. Znowu wyglądał na poruszonego. Nie chciałam na to patrzeć, więc odwróciłam głowę. Wsłuchiwałam się intensywnie w audioprzewodnik, który mówił głosem podobnym do głosu Vanessy Redgrave. Właściwie to chyba nawet była ona. Kiedy patrzyłam na Pałac Boskiej Czystości,

opowiadała, jak jeden z cesarzy ukrył imię swego następcy, którego tylko on mógł wybrać, pod tabliczką z napisem „Honor i sprawiedliwość”. Jednocześnie kopię nosił zawsze przy sobie w sakiewce zawieszanej na szyi, żeby na wypadek jego nagłej śmierci na dworze nie knuto żadnych intryg. Zerknęłam na Thomasa. Schował telefon i zaczął nerwowo przechadzać się z miejsca na miejsce. Zdjęłam słuchawki.

- Co się stało? Przeczesał ręką włosy, ale nie odpowiedział.

- Ca c'est incroyable - mruknął po francusku.

- Co? - spytałam, tym razem już trochę zaniepokojona. Znów nie odpowiedział, tylko cały czas kręcił głową.

- Ona tu jest. W Pekinie.

- Kto... - Miałam nadzieję, że się przesłyszałam.

- Dominique. Jest tutaj.

Wtedy dopiero zdałam sobie sprawę, że nawet nie wiem, jak ona ma na imię. Tak dalece wyparłam ją ze świadomości.

- Twoja żona?

Pokiwał głową. Zaczął się lekko czerwienić.

- Przyjechała do Pekinu? - Ledwo udało mi się nie krzyknąć.

Znów pokiwał głową i chwycił się za włosy.

- Nie uwierzyła, że wrócę, więc przyjechała mnie zabrać.

Stałam jak kołek na schodkach wiodących do Pałacu Niebiańskiej Czystości, popychana przez tłumy turystów, głównie Chińczyków.

- Gdzie teraz jest?

Thomas najpierw skrzyżował ręce na piersiach, potem zaczął gryźć kciuk, a potem opuścił ręce.

- Po drugiej stronie, na placu Tiananmen. Idzie tutaj.

- Ale jak... Skąd...?

Thomas sam był zdumiony.

- Nie wiem. Pewnie po przylocie kazała się zawieźć taksówkarzowi na plac Tiananmen, a potem do mnie zadzwoniła.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- I co ja teraz... Gdzie ja mam...?

Rozglądałam się dookoła niczym cesarzowa szukająca drogi ucieczki przed nacierającym wojskiem.

- Chodź, wyprowadzimy cię tylnym wyjściem, a potem pójdę z nią porozmawiać.

- Dobra - powiedziałam. Serce mi biło jak oszalałe. -
Dobra.

W ogromnym tempie przemierzyliśmy Ogród Cesarski (przepiękny, z tego, co zdążyłam zauważyć) i właśnie mieliśmy wejść w bramę oznaczoną napisem „Wyjście”. Spojrzałam na Thomasa, chcąc mu powiedzieć, że wracam do hotelu i niech tam do mnie zadzwoni albo - sama nie wiem, co - i zobaczyłam, że patrzy gdzieś ponad moją głowę. Twarz miał nieruchomą, ale jego oczy wyglądały, jakby ktoś włączył przed chwilą alarm pożarowy. Odwróciłam się i ujrzałam piękną filigranową blondynkę w kaszmirowym płaszczu i modnych butach na obcasie, która energicznie zmierzała w naszą stronę. Włosy miała upięte w kucyk, który podskakiwał z każdym krokiem. Przekroczyła bramy Zakazanego Miasta i za chwilę miała się z nami spotkać w Cesarskim Ogrodzie. Czy może być lepsze miejsce na konfrontację z mężem i jego kochanką?

Thomas jest człowiekiem niezwykle opanowanym i eleganckim, ale nawet on w tym momencie wyglądał, jakby jego głowa miała za chwilę eksplodować na te wszystkie otaczające nas cyprysy.

- Co ja mam zrobić... co...? - wykrztusiłam z siebie.

Chciałam uciekać, przebiec z powrotem te kilka kilometrów do głównej bramy, potem ulicami Pekinu do

hotelu, a tam wskoczyć pod kołdrę i się schować. Za dwie sekundy będzie na to za późno.

Dominique podeszła do Thomasa, wydzierając się na niego po francusku. Potem spojrzała na mnie z krańcowym obrzydzeniem i jeszcze bardziej zaczęła wrzeszczeć. Co nieco z tego rozumiałam: mówiła o latach, które razem przeżyli, o tym, jak bardzo go kocha. W kółko słyszałam zdanie: Est - ce que tu sais a quel point je t - aime? (Czy ty wiesz, jak bardzo cię kocham?). Cały czas pokazywała na mnie palcem i krzyczała. Nie musiałam wszystkiego dokładnie rozumieć, ale sens był mniej więcej taki: Jak mogłeś zniszczyć wszystko, co zbudowaliśmy, dla tej kobiety, tej dziwki. Kim ona jest? Nikim. Co w niej takiego wyjątkowego? My mamy wspólne życie, ona nic dla ciebie nie znaczy. Thomas mnie nie bronił, bo i jak? Na razie starał się ją uspokoić. Muszę przyznać, że podczas całej awantury wyglądała pięknie i dumnie. To niesamowite, leciała tyle godzin na drugi koniec świata, żeby wyrwać męża z ramion innej kobiety, i przez cały ten czas nie straciła nic ze swojej elegancji. Chińscy turyści popatrywali na nas z zaciekawieniem, ale się nie zatrzymywali. W kraju, gdzie żyje ponad miliard ludzi, nie ma czasu ani miejsca, żeby się przejmować takimi pierdołami.

Cofnęłam się o kilka kroków, a Dominique położyła Thomasami ręce na piersi i z całej siły go odepchnęła. Po twarzy płynęły jej łzy. Thomas był szczerze zaskoczony, jakby jej nigdy nie widział w takim stanie. Odwróciłam się i już miałam odejść, kiedy usłyszałam, jak krzyczy po francusku:

- Je suis enceinte!

Nie byłam pewna, ale zdawało mi się, że właśnie mu oznajmiła, że jest w ciąży. Sądząc po minie Thomasa, miałam rację.

Zwiesiłam głowę i bez słowa opuściłam Zakazane Miasto. Zostałam oficjalnie zdetronizowana.

W jednym z przewodników po Chinach, które kupiłam na lotnisku, przeczytałam, że jest takie popularne zdanie podsumowujące reżim Mao Tse - tunga: „70 procent z tego było dobre, a 30 procent złe”. Spodobało mi się. Procenty to dobry sposób na podsumowanie większości rzeczy w naszym osobistym życiu. Idąc do hotelu, cofnęłam się myślami do ostatnich tygodni i próbowałam sobie przypomnieć, co takiego zrobiłam, że wylądowałam na tej Ulicy Wielkiego Upokorzenia i Smutku. Starłam się otworzyć na życie, zagrać według cudzych reguł, zaznać miłości, przeżyć romans, choć

raz pójść na żywioł. Czy to coś złego? Na Bali wydawało się, że to doskonały pomysł, lecz tutaj, na ulicy West Chang An, lepiej byłoby powiedzieć, że w 70 procentach było to złe, a w 30 procentach dobre. Wiedziałam tylko tyle, że z mojego powodu pewna Francuzka rozplakała się na ulicy, zostałam nazwana dziwką, a mężczyzna, w którym się zakochałam, niedługo wyjedzie, żeby ze swoją żoną założyć rodzinę. Tak jak powinien. Czułam się upokorzona i zawstydzona. Znów to zrobiłam: związałam się ze złym facetem. No, powiedzmy, że złym tylko w 20 procentach, ale zawsze. A więc nie dość, że przeżyłam publiczne poniżenie i dopadły mnie wyrzuty sumienia z powodu mojego zachowania, to jeszcze sobie uświadomiłam, że wciąż powtarzam te same błędy.

- Nie wracaj jeszcze - namawiała Serena. Zadzwoiłam do niej o szóstej rano amerykańskiego czasu. - Nie można tak po prostu uciekać do domu z powodu faceta. To głupota.

- To co mam zrobić? - chlipnęłam do słuchawki. - Nie chce mi się dalej jeździć. Mam tego dosyć...

- Jedź do Indii! - wymyśliła Serena. - Znam jedną aśramę koło Bombaju. Świetne miejsce, żeby się pozbierać i odpocząć. Zobaczysz, tam się poczujesz lepiej. Indie są pod tym względem niesamowite, człowiek nabiera dystansu.

- Sama nie wiem... - Nie wyobrażałam sobie, że mam znowu wsiąść w samolot i lecieć gdzieś daleko. Chciałam już wrócić do Nowego Jorku, do mojego własnego łóżka, znajomych widoków i zapachów. Nagle sobie przypomniałam, że nie zawiadomiłam sublokatorki, a powinnam to zrobić co najmniej z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Czyli choćbym chciała, nie mogę na razie wrócić do domu.

- Przemyśl to. Nie podejmuj na razie poważnych decyzji. Odczekaj kilka godzin.

- Ale on tu przecież musi wrócić. Nie chcę się z nim spotkać.

- Wierz mi, przez jakiś czas na pewno się nie zjawi. Daj sobie godzinę, dwie na uspokojenie i uporządkowanie myśli.

Odłożyłam komórkę i siadłam na łóżku. Nie wiedziałam, co robić. Głupio by było wracać do Nowego Jorku tylko z powodu złamanego serca - to objaw słabości. Wyczerpana opadłam na poduszkę.

Obudził mnie hotelowy telefon dzwoniący wprost do ucha. O mało nie wyskoczyłam pod sufit. Usiadłam i wpatrywałam się w niego, a on dzwonił i dzwonił. Nie wiem, jak długo spałam. Godzinę? Trzy dni? To raczej nie był Thomas, on by zadzwonił na komórkę, ale nie byłam pewna.

Poczekalam, az sie nagra na sekretarke. Okazalo sie, ze to Wei.

- Julie! Wlasnie jestem w waszym hotelu na imprezie karaoke zorganizowanej dla jakiegoz waznego biznesmena. Jesteśmy w barze na osiemnastym pietrze! Wpadnij koniecznie ze swoim chlopakiem! - No i oczywiscie musiala sie na koniec rozesmiać.

Ta chyba nigdy nie przestaje imprezowac. Wkurzyla mnie. Nie dosc, ze nazwala Thomasa moim chlopakiem, to jeszcze ma czelnosć sie beztrosko bawic, jakby nie miala zadnych problemow. Czy ona nie wie, ze jej dni sa policzone? Ze pewnego dnia stuknie jej czterdziestka, potem piecdziesiatka i nie wszystko bedzie jej sie wydawalo takie zabawne jak teraz? Ze moze skonczyc jako stara panna w kraju, który sie mieni komunistycznym, a w zasadzie oczekuje, ze kazdy sam sie soba zajmie? Nie wiedzialam, czy o tym wie, ale z jakiegoz powodu - niech bedzie, ze z niewyspania lub przez odejście Thomasa - poczulam, ze mam obowiazek wylozyc jej cala prawde, co to znaczy byc singlem.

Wsunelam stopy w hotelowe kapcie, wzialam klucz i wyszlam z pokoju. W windzie spotkalam dwuch milych panow. Rozmawiali między soba, ale w którymś momencie

obaj spojrzeli na moje nogi. Pewnie nigdy nie widzieli, aby ktoś chodził w kapciach po hotelu. Wysiadłam na osiemnastym piętrze, panowie również. Weszłam za nimi do dużego apartamentu naprzeciwko windy, oznaczonego jako Executive Suite, który na ten wieczór został przerobiony na bar karaoke z kulą lustrzaną u sufitu i wielkim ekranem na ścianie. W środku kręciło się mnóstwo młodych Chinek w ciuchach słynnych projektantów oraz mnóstwo chińskich i zachodnich biznesmenów, którzy z nimi gawędzili, popijając drinki.

Wei stała na prowizorycznej scenie i śpiewała jakąś piosenkę po chińsku. Na ekranie wyświetlał się tekst i teledysk przedstawiający parę spacerującą brzegiem szemrzącego potoku. Nie wiem, o czym była ta piosenka - chwileczkę - czy to możliwe, że o miłości? Jak sądzicie? Gdy Wei odbierała brawa za swój występ, wparowałam na scenę i stanęłam obok niej. Powiodłam wzrokiem po tłumie dwudziestoparoletnich chińskich ślicznotek w towarzystwie panów w garniturach i wyrwałam jej mikrofon z ręki.

- Moje drogie, chcę wam powiedzieć, żebyście się dobrze zastanowiły, co robicie - powiedziałam głośno. Kto rozmawiał, przestał, żeby spojrzeć, co za wariatka stoi na

scenie. Wei zakryła usta dłonią, żeby się nie zaśmiać. - Wydaje się wam, że macie przed sobą całe życie, że to tak fajnie być wolnym i niezależnym. Myślicie, że każde drzwi stoją przed wami otworem, ale tak nie jest. Nie zawsze będzie was otaczał wianuszek mężczyzn. Młodość nie trwa wiecznie. Zestarzejecie się, przekonacie, o co wam naprawdę w życiu chodzi, nie będziecie chciały iść na kompromisy, a kiedy się ockniecie i rozejrzycie, to się okaże, że jest jeszcze mniej facetów do wyboru. Zostaniecie na lodzie, nie tylko samotne, ale i bezdziejne. Dlatego musicie sobie zdawać sprawę, że to, co teraz robicie, będzie miało swoje konsekwencje. Bardzo poważne.

Nikt nie zareagował ani słowem. Najwyraźniej uznali mnie za stukniętą. Oddałam mikrofon Wei. Ta, nie odrywając dłoni od ust, parsknęła śmiechem.

- Ale z ciebie jajcara, Julie! Normalnie nie wytrzymam!

Tymczasem w Stanach

Nadszedł dzień zabiegu, a Ruby nie miała z kim pojechać do kliniki. Cóż może być bardziej przygnębiającego? Fizycznie też czuła się źle: była gruba i opuchnięta. Piersi tak jej nabrzmiały, jakby już była w ciąży. Wyobrażała sobie, że ktoś ją nakłuwa igłą i cały nadmiar wody wytryskuje,

przywracając jej dawne wymiary. Na dodatek od trzech dni zrobiła się bardzo płaczliwa. Przypisywała to działaniu hormonów, ale spójrzmy prawdzie w oczy, równie dobrze powodem mogło być to, że właśnie miała zostać poddana próbie zapłodnienia przy pomocy strzykawki, a potem być może spędzi dziewięć miesięcy w ciąży - sama.

Pierwotnie przy zabiegu miała jej towarzyszyć dobra przyjaciółka, Sonia, ale w ostatniej chwili odmówiła, bo zachorowała jej córeczka. Ruby nie chciała dzwonić po Serenę, bo słyszała, co się dzieje u niej w pracy, i nie chciała jej zawracać głowy, z kolei Alice nie odbierała telefonu. Mogłaby poprosić któregoś z zaprzyjaźnionych gejów, ale wciąż była na nich obrażona. Została jej tylko Georgia. Nie znała jej za dobrze, poza tym uważała, że jest trochę niezrównowazona, ale może to lepsze niż nic? Nie była pewna.

Wtedy rozważyła alternatywę: wsiada do taksówki, jedzie do kliniki, kładzie się na stole, przyjmuje zastrzyk spermy, wraca taksówką do domu - sama. Złapała za telefon i wykręciła numer Georgii. Alice wspominała Georgii o codziennych zastrzykach, więc ta nie była zbyt zaskoczona. Zgodziła się natychmiast. Rozpaczliwie potrzebowała jakiegoś

zajęcia, żeby nie myśleć o nadchodzącej walce o dzieci i zapowiedzianej na popołudnie wizycie pracownika opieki społecznej. Dzieci były w szkole (tym razem nie w domu bez opieki), więc mogła dla odmiany zająć się cudzymi problemami.

Kiedy Ruby dojechała do kliniki, Georgia już czekała przed wejściem. Ruby się uspokoiła. Jednak różniej jest mieć kogoś u boku.

- Cześć, Ruby - spytała pogodnie Georgia. - Jak się czujesz?

- Grubo. Denerwuję się.

- Niesamowite. Możliwe, że dzisiaj zostaniesz matką.

- Wiem. Dziwne, nie? - odparła Ruby, popychając obrotowe drzwi.

- Wiesz co? Cały ten świat jest dziwny.

W poczekalni na szczęście panował spokój i cisza. Siedziały tylko dwie kobiety, obie w ciąży. Ruby odebrała to jako dobry znak. Zarejestrowała się i usiadły na fotelach.

- Uważam, że bardzo dobrze robisz - stwierdziła Georgia.

- Macierzyństwo to jedno z najlepszych doświadczeń w życiu. Naprawdę.

Ruby się uśmiechnęła. Dobrze w tym momencie coś takiego usłyszeć.

- Nie zrozumiesz tego w pełni, dopóki sama tego nie przeżyjesz, ale spada na ciebie ogromna odpowiedzialność za życie drugiego człowieka. Ta mała istotka staje się dla ciebie wszystkim. - Georgia się zadumała. - To wielka satysfakcja.

Ruby przyjrzała się jej. Pierwszy raz wydała jej się delikatna, wrażliwa i bezbronna. Wcale nie wyglądała na osobę niezrównoważoną.

- A więc zdecydowałaś się wychowywać dziecko sama. W sumie co za różnica? I tak się potem rozwodzimy, więc na to samo wychodzi. Ty po prostu od razu od tego zaczynasz.

Zabrzmiało ponuro, ale Ruby wiedziała, że Georgia nie powiedziała tego w złej intencji. Zerknęła na stojak pełen czasopism typu „Woman's Day”, „Redbook” i „People”.

- A już na pewno tak jest lepiej dla dzieci - ciągnęła Georgia. - Przynajmniej nie mają wtedy do czynienia z tym sukinsynem ojcem, który chce iść do sądu, żeby udowodnić, że się nie nadajesz na matkę. Chociaż tyle dobrego.

- Słucham? - spytała skonsternowana Ruby.

- Tak. Mój były mąż właśnie tak twierdzi. Dasz wiarę?

Ruby nie odrywała od niej wzroku, żeby broń Boże nie dać po sobie poznać, jaka myśl jej teraz przeszła przez głowę: „Wiesz, prawdę mówiąc..”

Georgia z westchnieniem wzięła do ręki pismo „Parents” i zaczęła przeglądać.

- Ale nie mówmy o mnie - dodała - dziś jest twój dzień. Chodzi mi tylko o to, że nie powinnaś się tym w ogóle przejmować. Czemu odmawiać kobiecie posiadania dzieci tylko dlatego, że nie ma partnera? Kiedy stuknie nam pięćdziesiątka, prawdopodobnie większość naszych koleżanek będzie samotna. - Przerwała, żeby się przyjrzeć przepisowi na „Pięciominutowe ciasto czekoladowe”. - Kłopot w tym, że my wszystkie walczymy o ten sam typ faceta, co to nie boi się umawiać z dzieciami. Ilu jest takich w Nowym Jorku? Gdzie ich szukać?

Ruby miała wielką ochotę zatkać jej usta ręką i tak trzymać, dopóki nie zostanie wywołana do gabinetu. Ale tylko oparła się na krzesło, zamknęła oczy i westchnęła. To chyba jednak nie był dobry pomysł, żeby po nią dzwonić.

- Ruby Carson? - zawołała pielęgniarka. Ruby natychmiast zerwała się z miejsca. Georgia ścisnęła ją za rękę.

- Mam iść z tobą?

Ruby nagle sobie wyobraziła, jak Georgia siedzi obok i patrzy, jak lekarz albo pielęgniarka wsuwa jej w tyłek strzykawkę ze spermą.

- Nie, nie trzeba, zaczekaj tutaj.

- Dobrze. Ale gdyby tu była Julie, weszłaby z tobą, więc chciałam ci tylko dać znać, że ja też mogę, jakby co.

- Dzięki, naprawdę. Myślę, że to szybko pójdzie.

- W porządku - odparła Georgia z niejaką ulgą. - Baw się dobrze!

Ruby siedziała rozebrana na stole zabiegowym. Czowała się jak mała dziewczynka, majtając nogami i miętosząc rąbek jednorazowej koszuli. Przypomniła sobie pierwszą w życiu wizytę u ginekologa. Miała trzynaście lat i została przyprowadzona przez mamę, zaraz gdy dostała pierwszy okres. Siedziała wtedy tak jak teraz, nie wiedząc, czego się spodziewać, lecz mając świadomość, że jest to pewien rytuał inicjacji, który ją wprowadzi w całkiem nowy rozdział życia jako kobiety. Jediną różnicą było to, że wtedy towarzyszyła jej mama. Ta, która mieszka teraz w Bostonie. Która, nawiasem mówiąc, wychowywała ją sama. Która była wiecznie pogrążona w depresji. Ojciec odszedł, gdy Ruby miała osiem lat, a mama już nie wyszła ponownie za mąż.

Ruby zamknęła oczy i próbowała myśleć o czymś przyjemnym, lecz pod powieki uparcie wciskał się obraz matki palącej papierosa przy kuchennym stole i patrzącej bezmyślnie przed siebie. Widziała, jak wraca wieczorem po pracy z zakupami. Widziała, jak wszyscy troje - mama, Ruby i jej brat Dean - jedzą w milczeniu kolację. Mama jest zbyt zmęczona i przygnębiona, żeby rozmawiać, więc Ruby z bratem chcąc polepszyć atmosferę, zaczynają się obrzucać ziemniaczanym puree i wypuszczać mleko nosem. Ruby dobrze pamięta, jak mama się wtedy rozgniewała i jak potem płakała.

- Czy wy nie rozumiecie, że ja ciężko haruję? Że jestem zmęczona? - krzyknęła, wstała, wzięła gąbkę i podeszła do ściany, żeby zetrzeć przyklepione ziemniaki. Ruby pamięta, że wtedy z bratem zaczęli się z niej śmiać. Wydawała im się komiczną karykaturą, nie prawdziwą osobą. Te jej histeryczne reakcje ich bawiły. Oczywiście mama na widok uśmieszków i chichotów własnych dzieci zupełnie się załamała i wpadła w płacz.

- Ja już dłużej nie wytrzymam! Nie mogę! - Wrzuciła gąbkę do zlewu i obrócona tyłem do dzieci, oparła się rękami

o blat, wstrząsana spazmami szloch. - Jak chcecie, możecie spalić cały dom! - krzyknęła i wybiegła z kuchni.

Ruby pamięta ten ucisk w dołku, który poczuła w tamtej chwili. Wtedy nie wiedziała, co to jest, ale w miarę dorastania rozpoznawała go u siebie coraz częściej. Pojawiał się, gdy widziała niewidomego torującego sobie drogę laską na ruchliwych ulicach Manhattanu, albo gdy starsza pani przewróciła się na oblodzonym chodniku. To była litość. W wieku dziesięciu lat reagowała śmiechem na matczyne zachowania, bo nie potrafiła inaczej przetworzyć tego nieprzyjemnego uczucia w brzuchu - uczucia litości wobec własnej matki. Jako nastolatka, kiedy obserwowała kolejne nieudane związki matki, jeden gorszy od drugiego, litość zamieniła w pogardę. U nastolatków to nic nadzwyczajnego, ale Ruby przez dwa ostatnie lata liceum z matką w ogóle nie rozmawiała. Owszem, były kłótnie, bitwy o stroje, o chłopaków, o godzinę powrotu do domu, ale ona po prostu nie potrafiła już dłużej nią gardzić. Dlatego im rzadziej wchodziła z nią w kontakt, tym rzadziej musiała znosić to okropne gniewienie w dołku.

A teraz siedziała w gabinecie, czując jak tyłek przykleja się jej do papierowego prześcieradła, i czekała na lekarza,

który ją zapłodni nasieniem obcego mężczyzny. Dlaczego? Bo kiedy muzyka ucichła i wszystkie koleżanki złapały swoich facetów, ona została bez pary. Wyścig się skończył i Ruby przegrała. Przegrała. W obecnym stanie nie potrafiła na to spojrzeć inaczej.

Może gdybym ja tam była, inaczej by to wyglądało. Pożartowałabym, pocieszyła odpowiednim słowem, być może poczułaby, że to, co za chwilę zrobi, jest początkiem nowego życia, które choć czasami ciężkie, przyniesie jej ogrom radości i satysfakcji. Ale mnie tam nie było, nikt jej nie wsparł, więc Ruby, jak wielokrotnie przedtem, zaczęła się osuwać w wielką czarną otchłań rozpacz.

W środku tego procesu do gabinetu wszedł doktor Gilardi. Był to mężczyzna po sześćdziesiątce z dostojną siwą czupryną i opalenizną świadczącą o życiu na określonym poziomie. Ruby wybrała go dlatego, że był przystojny i szlachetny, a uważała, że jako mężczyzna wykonujący zabieg, będzie w pewnym sensie ojcem jej dziecka.

- No i jak tam - spytał z uśmiechem. - Jest pani gotowa?
Ruby próbowała być wesoła.

- Jasne. Niech pan zalewa tę foremkę, doktorze.
Roześmiał się.

- Ja tylko zbadam, czy wszystko w porządku, a potem przyjdzie do pani pielęgniarka z próbką nasienia.

Ruby kiwnęła głową i położyła się na wznak. Oparła stopy na podpórkach i rozłożyła nogi. Doktor Gilardi podsunął sobie stołek i przystąpił do badania.

Ruby znowu poczuła znajomy ucisk w dołku. Teraz współczuła samej sobie. Leżąc w tej koszulinie, w tym okropnym świetle jarzeniówek, ze świadomością, że nie czeka na nią w domu kochający mężczyzna, naprawdę mogła budzić tylko litość. Przypomniała sobie wszystkich byłych facetów i czas, który zmarnowała na ich oplakiwanie. Charlie, Brett, Lyle, Ethan... Faceci, z którymi jej po prostu nie wyszło, a rozpaczała potem bez końca. Na pewno żaden z nich nie onanizuje się teraz do kubeczka, żeby jakaś zastępcza matka mogła urodzić mu dziecko. Na pewno każdy ma dziewczynę, żonę czy co tam chce. A Ruby? Właśnie stoi przed perspektywą zostania zgorzkniałą samotną matką.

Weszła pielęgniarka, niosąc w ręku pojemnik z suchym lodem. Po otwarciu buchnęły z niego kłęby białego dymu. Potem wydobyła ze środka coś w rodzaju metalowego termosu. Tam były dzieci Ruby.

- Proszę bardzo - powiedziała z sympatią. Doktor Gilardi wstał i wziął od niej pojemnik. Spojrzał na Ruby.

- Na moje oko wszystko jest w porządku. Jest pani gotowa?

Milion myśli przebiegło jej wtedy przez głowę. Wyobraziła sobie, jak po wszystkim wraca do pustego mieszkania. Jak któregoś dnia robi test i dowiaduje się, że jest w ciąży, a nie może się podzielić tą nowiną z ukochanym mężczyzną. Jak leży na porodówce w otoczeniu rodziny i przyjaciół, ale bez ojca dziecka. Lecz tym, co wywołało największy skurcz w żołądku, było wspomnienie jej matki, która z płaczem zwierzała się przez telefon którejś koleżance: „Ja już nie mogę. Dłużej tego nie wytrzymam. To mnie przerasta. Nie wiem, jak dalej żyć”. A potem, szlochając, opadła na fotel.

Ruby poderwała się do góry.

- Nie, nie jestem gotowa. Ani trochę.

Obróciła się i zeskoczyła na podłogę. Zgarnęła poły koszuli i rzekła:

- Przepraszam, że zabrałam państwu tyle czasu, że zmarnowało się tyle cennej spermy, nie mówiąc o tym, że

wyrzuciłam w błoto siedem tysięcy dolarów, ale muszę już iść.

Było wpół do dwunastej w południe. Georgia po raz dziesiąty w ciągu pięciu minut otworzyła lodówkę i zajrzała do środka.

Mleko było. Jajka też. Poza tym chleb, warzywa, owoce, ser, sok w kartonie i budyń w kubeczkach. W pojemniku miała trochę ugotowanego makaronu z serem i kawałki pieczonego kurczaka zawinięte w folię. Pomyślała, że to wywoła korzystne wrażenie - resztki w lodówce to znak, że jak każda porządna matka przyrządziła wieczorem pyszną kolację.

Nie była najlepiej nastawiona do tej wizyty. To jakieś cholernie upokarzające przesłuchanie w wykonaniu jakiejś paniusi z opieki społecznej, psychologa czy innego dupka, na dodatek odbywające się w jej własnym domu. Będą zaglądać do j e j lodówki i wypytywać, jak wychowuje swoje dzieci. A potem ta paniusia, ta cnotliwa wścibska krowa, ma zdecydować, czy Georgii wolno będzie zatrzymać własne dzieci.

Zatrzasnęła lodówkę. Stwierdziła, że musi jakoś polepszyć sobie nastrój przed spotkaniem.

Zaczęła krążyć po mieszkaniu.

- To nie żarty - powiedziała do siebie. - Sprawy zaszły za daleko.

Próbowała głęboko oddychać: wdech - wydech, wdech - wydech. Zaczęła myśleć o wyrodnym matkach. Takich, jakie widywała na ulicy, drących się na dzieci, wyzywających je od „głupków” i „debili”. Przypomniła sobie wszystkie artykuły z gazet o kobietach, które przypalały dzieci papierosami, zostawiały je na trzy dni bez opieki albo pozwalały umrzeć z głodu. Zatrzymała się i rozejrzała po swoim pięknym mieszkaniu. „Nie ma mowy, żeby mi je odebrali. Jestem ich matką, do cholery”. Potem przyszedł jej na myśl Michael Jackson, ten jego podejrzany Neverland i afera z wystawieniem dziecka za okno. „I jemu pozwolili zatrzymać dzieci” - pomyślała i poszła do łazienki. Otworzyła apteczkę i przejrzała zawartość: plastry, aspiryna, aspiryna dla dzieci, bandaże. Czy aby nie brakuje czegoś, co każe im uznać, że nie nadaje się na matkę? Nie mogła uwierzyć, że Dale miał czelność to powiedzieć. Zgoda, raz się zdarzyło, zostawiła dzieci same w domu. Zamknęła apteczkę i spojrzała w lustro. Źle zrobiła, bardzo źle. Ale czy innym rodzicom nie zdarza się choć raz w życiu postąpić lekkomyślnie? Czy ona jedna na

całym świecie popełniła błąd? Przyjrzała się swemu odbiciu. Fakt, chodziło o faceta. To pogarsza sprawę. Pogubiła się i straciła głowę, ale przynajmniej nikogo nie wywieszała przez pieprzony balkon.

Weszła do salonu i omiotła go wzrokiem. Są tu jakieś ostre przedmioty, wystające kanty mebli? Żeby przypadkiem nie uznali, że nie nadaje się na dekoratora wnętrz? Wściekła do granic możliwości poszła do kuchni i zajrzała do spizarki. Ha, spizarka. Cóż może być lepszego od pełnej spizarki? To ją prawie uspokoiło; w środku było ciasto w proszku, czekolada, aromat waniliowy, mąka i wiórki kokosowe. Mama jej kiedyś powiedziała, że każda gospodyni w każdej chwili powinna mieć w domu wszystkie składniki potrzebne do upieczenia ciasteczek z czekoladą. Georgia nigdy o tym nie zapomniała. „I co, do cholery, tak postępują złe matki?” Georgia była stanowczo zbyt wściekła. Musiała coś z tym zrobić. Znów próbowała wyrównać oddech, lecz w tym momencie usłyszała dzwonek. Miała ochotę się rozplakać. Nabrała powietrza w płuca i powoli podeszła do drzwi. Kładąc rękę na klamce, pomyślała: „Dale będzie się za to smażył w piekle”.

Otworzyła drzwi z uśmiechem. Stał w nich niski wąsaty mężczyzna z siwymi włosami związanymi w kucyk. Znała ten

typ: dobroczyńca ludzkości, liberał tkwiący wiecznie w latach sześćdziesiątych. Uśmiechnął się życzliwie. Ona również. Nienawidziła go. Skąd on może wiedzieć, co to znaczy być dobrą matką? To facet, tak jak Dale, i może ją pocałować w dupę.

- Proszę, niech pan wejdzie. - Gestem zaprosiła go do środka. Wszedł i od razu się rozejrzał po mieszkaniu. Georgia podążała za jego wzrokiem. Zobaczyła to, co on: czyste i zadbane mieszkanie w dobrej dzielnicy.

- Moje nazwisko Levine. Mark Levine.

- Miło mi pana poznać, panie Levine. - „Cholernie miło, że przychodzisz mnie oceniać w moim własnym domu”. - Podać coś do picia? Mam kawę, herbatę, sok grejpfrutowy, pomarańczowy, gruszkowy, winogronowy, wodę z kranu, mineralną, Gatorade...

- Poproszę o zwykłą wodę.

Georgia poszła do kuchni i szeroko otworzyła drzwi lodówki, ukazując jej bogatą zawartość. Widziała, że to zauważył, więc napełniając szklanki wodą z filtra, uśmiechała się do siebie.

- Może przejdziemy do pokoju? - zaproponowała.

- Oczywiście.

Posadziła gościa na kanapie. Zastanawiała się, czy wyjąć podkładki na stół - czy wyjdzie w jego oczach na dobrą matkę, bo dba o szczegóły, czy złą, bo jest przesadnie pedantyczna? Postanowiła jednak wyjąć. Potem usiadła, napiła się wody i spojrzała na Levine'a.

- Wiem, że to dla pani wyjątkowo trudny okres - powiedział. - Postaram się być jak najbardziej delikatny, ale niestety nie obejdzie się bez kilku osobistych pytań.

- Proszę pytać - odpowiedziała pogodnie Georgia. „Dupek”.

- A więc na początek chciałbym się dowiedzieć o charakter pani obecnych relacji z mężem. Co pani do niego czuje i w jaki sposób rozmawia o nim z dziećmi.

„Och, nasze relacje są fantastyczne. To dlatego przyjechałem do mojego domu i masz czelność decydować, czy moje własne dzieci mogą ze mną mieszkać”.

- Cóż, zważywszy na okoliczności, dogadujemy się chyba całkiem dobrze. Zachęcam go do częstych odwiedzin dzieci. Byłam i nadal jestem skłonna wypracować jakieś formalne ustalenia dotyczące wspólnej opieki.

Levine zajrzał w notatki.

- Mąż mówił, że miała pani jakieś problemy z jego nową narzeczoną.

Żołądek Georgii wykonał delikatne salto, kiedy popijała wodę.

- No wie pan, to dosyć młoda osoba, mąż dopiero co ją poznał. - Podniosła niewinny wzrok na Levine'a. - Która matka nie miałaby obaw?

Mark Levine pokiwał głową. Jeszcze raz zajrzał w notatki.

- Wspomniał, że nazwała ją pani „dziwką”? „Szmata”?

Georgia spojrzała mu prosto w oczy. „A więc to tak, draniu”.

- Rozwodził się pan kiedyś, panie Levine? - zapytała możliwie spokojnym i obojętnym tonem.

- Niestety, tak.

- Więc pan wie, że jest taki okres, krótki, niefortunny, kiedy emocje są spotęgowane? Kiedy może się nam zdarzyć powiedzieć lub zrobić coś, czego później żałujemy?

- Oczywiście - odparł Levine z obowiązkowym sztywnym uśmiechem. Ponownie zajrzał do notatek. Georgia wyobraziła sobie, jak wierci mu dziurę w czole.

- A te odczucia, ta niechęć wobec obecnej narzeczonej męża... czy wyrażała ją pani kiedykolwiek w obecności dzieci?

Na to odpowiedziała natychmiast.

- Ależ skąd. Nawet najbardziej... nieoświeceni rodzice wiedzą, że przy dzieciach nigdy nie wolno mówić źle o byłym małżonku i jego znajomych.

- Oczywiście - przyznał Levine. Wziął oddech. - Czyli, kiedy mąż mówi, że Beth nazwała jego narzeczoną „tanią brazylijską dziwką”, to pani zdaniem... - Tu przerwał, nie bardzo wiedząc, jak dokończyć pytanie, jeśli to w ogóle było konieczne.

- Absolutnie kłamie - skłamała Georgia. - I to tylko pokazuje, do czego potrafi się uciec mój były mąż, byle tylko uczynić ze mnie jakieś obłąkane, mściwe monstrum. - Wstała z kanapy i stanęła przed nim, opierając ręce na biodrach. Potem je opuściła. Potem znowu oparła. - Czy ja wyglądam na taką, która nazwałaby inną kobietę „tanią dziwką” w obecności czteroletniej córki?

Levine tylko na nią spojrzał i nic nie powiedział.

I wtedy się zaczęło. Georgia dostała słowotoku.

- Oczywiście, że to boli, kiedy mąż po dwunastu latach postanawia nagle odejść z domu, rozbić rodzinę i zacząć się spotykać z kobietą młodszą od siebie o prawie piętnaście lat. Kobieta, którą ma zamiar przedstawić dzieciom, być może wspólnie z nimi pójść do parku, na chińszczyznę do Chinatown albo wybrać się na film niczym jedna wielka szczęśliwa rodzina. - Zaczęła krążyć po pokoju, przechodząc raz przed nosem Levine'a, raz za jego plecami. - Jakby to było zupełnie naturalne, że jednego dnia mieszkasz z żoną i dziećmi, a następnego mówisz: „Hej, dzieciaki, poznajcie moją nową dziewczynę”. Pan uważa, że to w porządku? A ja tymczasem próbuję tylko raz na jakiś czas gdzieś wyjść, żeby poznać jakiegoś przyzwoitego człowieka w stosownym wieku, którego być może kiedyś tam, gdy dzieci będą już na to gotowe, przyprowadzę do domu i przedstawię. Ale to mnie się krytykuje i osądza. Niech mi pan powie, panie Levine, czy to jest sprawiedliwe?

Mark Levine znów milczał.

- Tak szczerze, czy zachowanie mojego męża wskazuje na to, że jest osobą wrażliwą i rozumiejącą potrzeby dzieci? Czy może raczej funkcjonującą w stanie seksualnego odurzenia, bo trzy razy dziennie pieprzy się z jakąś brazylijską

dziwką? - I tu znieruchomiała. Mark Levine odłożył długopis i spojrzał na nią z kamienną twarzą. - To znaczy... ja... Cholera. Niech to szlag. - Z opóźnieniem zdała sobie sprawę, co powiedziała.

- Nie chciałam... - Opadła na kanapę i na chwilę umilkła. Łzy napłynęły jej do oczu. Spojrzała na Levine'a. - Niech pan zrozumie, to potwornie stresująca sytuacja. Pańska wizyta, to przepytywanie. .. Puściły mi nerwy. Pan pierwszy użył słowa „dziwka”, ja się zasugerowałam i w chwili emocji - bach! - zilustrowała to odpowiednim gestem. - Samo mi się wysnęło!

Levine zamknął notatnik.

- Rozumiem doskonale. Na pewno przechodzi pani trudny okres. - Język ciała Levine'a mówił wyraźnie, że widział już dosyć i zamierza wyjść.

- O tak, bardzo. Mam nadzieję, że pan to rozumie. W końcu sprawa dotyczy moich dzieci. Czy może być coś ważniejszego? Dziwi się pan, że jestem zestresowana?

Mark Levine po raz kolejny pozostawił pytanie bez odpowiedzi. Podniósł się z kanapy. Georgia nie miała już nic do dodania. Wystarczająco się pograżyła.

- Będzie lepiej, jeżeli przyjdę kiedy indziej. Następnym razem porozmawiamy też w obecności dzieci, dobrze?

Nawet nie drgnęła.

- Dobrze, dziękuję. Mark Levine wyszedł.

Mniej więcej po dziesięciu minutach siedzenia bez ruchu i gapienia się w pustkę Georgia wreszcie wstała. Nie potrafiła ani krzyczeć, ani płakać. Automatycznie skierowała się do kuchni i otworzyła lodówkę. Bardzo długo wpatrywała się w te wszystkie owoce i warzywa, mleko i jajka, wodę mineralną i resztki kurczaka, po czym ją zamknęła, oparła się o drzwi i wybuchnęła płaczem.

* * *

Serena robiła wszystko ściśle według zasad. Zaczęła miksować warzywa, przyrządzać sałatki i zdobywać przepisy na takie produkty jak pesto z konopii i „makaron” z cukinii. Niczego nie gotowała w temperaturze wyższej niż 40 stopni. Kupowała wyłącznie warzywa z upraw ekologicznych, a potem i tak je dokładnie szorowała.

Jak wcześniej wspominałam, Serena wiedziała, że do jej obowiązków należy również dyskrecja i nienarzucanie się ze swoją obecnością. Teraz jednak starała się być wręcz niewidzialna. Ta rodzina przechodziła ciężkie chwile i

należała jej się przynajmniej odrobina prywatności. Joanna i Robert też chyba tego chcieli i na szczęście to dostawali. Media o niczym nie wiedziały. Nie było niezapowiedzianych wizyt przyjaciół czy rodziny. Apartament stał się oazą spokoju. Serena próbowała więc być niewidzialnym duchem krążącym na peryferiach ich cierpienia. Chciała ich karmić, pielęgnować, podnosić na duchu, nawet bez ich świadomości. Nie chciała nic widzieć ani zostawiać śladów. W zamian wkładała całą siebie w przygotowywanie posiłków. Przydała się praktyka jogi - gotowanie stało się rodzajem medytacji. Wyobrażała sobie, że jej zdrowe siły życiowe przenikają do pokarmu, że dłonie promieniują leczniczą energią, która nasyca surowe produkty magicznymi właściwościami. Na swój skromny sposób, za pomocą placuszków z ziaren słonecznika czy spaghetti z cukinii, rozpaczliwie, po cichu próbowała ratować Robertowi życie.

Niestety z tego, co widziała, na niewiele się to zdawało. Dla niej odgłosy pracującego sprzętu medycznego, który jakiś czas temu pojawił się w domu, brzmiały jak podzwonne, a piękny apartament przypominał teraz oddział szpitalny. Z tego, co się zorientowała, Robert raz w tygodniu przechodził chemioterapię i fatalnie ją znosił. Każdy normalny człowiek

wylądowałby w szpitalu, ale ponieważ był, kim był, i miał dużo pieniędzy, załatwił, żeby szpital przyjechał do niego.

Serena przychodziła do nich co rano o ósmej, otwierając sobie drzwi kluczem, który jej dali. Joanna zawsze wtedy wychodziła z sypialni i nieodmiennie witała ją radosnym: „Dzień dobry!”. Serena uśmiechała się do niej i odpowiadała: „Dzień dobry” tonem tak pogodnym, na jaki ją tylko było stać, po czym spuszczała wzrok i znikła w kuchni. Obie opanowały ten rytuał do perfekcji. Serena przygotowywała lunch, obiad i przekąski dla Roberta i Joanny (która, żeby wspierać męża, też przeszła na surową dietę) oraz osobny obiad dla Kipa. Cały dzień spędzała w kuchni. Kuchnia była otwarta, więc każdy musiał przez nią przejść, chcąc się gdziekolwiek dostać, lecz Serena zawsze trzymała głowę spuszczoną i udawała, że nic i nikogo nie widzi.

Jednak tego dnia, około wpół do trzeciej, kiedy odprawiała modły nad jakimiś kiełkami brokułów, podeszła do niej Joanna. Była blada i głos jej drżał.

- Wybacz Sereno, normalnie bym cię o to nigdy nie prosiła, ale Robert ma problemy z oddychaniem. Pielęgniarka już jedzie, ale chyba nie powinnam go teraz zostawiać samego, a trzeba odebrać Kipa ze szkoły. Wiem, że to nie

należy do twoich obowiązków, ale czy mogłabyś to zrobić? Tylko ten jeden raz.

- Ależ oczywiście, już idę - odparła, od razu zdejmując fartuch. - Dziesiąta Ulica, tak?

- Tak. Z reguły wychodzi przed budynek dokładnie o trzeciej. Ale kiedy cię zobaczy... może się przestraszyć, więc gdybyś mogła...

- Załatwię to tak, żeby wiedział, że wszystko jest w porządku, tylko ciebie coś zatrzymało.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję, Sereno. - Joanna zamknęła z ulgą oczy.

Serena skorzystała z okazji, żeby wreszcie przyjrzeć się z bliska jej twarzy. Joanna była piękną naturalną brunetką o porcelanowej cerze. Na nosie miała kilka uroczych piegów. Wyglądała jednak na bardzo wyczerpaną. Serena szybko założyła płaszcz i wyszła.

Po drodze myślała, co powie Kipowi. Nie znała się na psychice ośmioletnich chłopców, a wręcz nie bardzo za nimi przepadała. Każdy chłopak w wieku siedmiu do trzynastu lat, z którym miała w życiu do czynienia, był dla niej mieszanką niekomunikatywności, obsesji na punkcie superbohaterów i fascynacji grami wideo. Doprawdy, kogo to obchodzi? Może

poza ich matkami, których zadaniem jest wybić im z głowy te bzdury przy pomocy matczynej dobroci i kobiecej wrażliwości, aby mogły spać spokojnie, wiedząc, że nie wychowują kolejnego pokolenia prymitywów znęcających się nad słabszymi i gwałcących dziewczyny na randkach.

Kip był taki sam. Jego życie obracało się wokół konsoli Xbox i gry „Klub Pingwinów”. Nie dało się z nim dogadać, w dodatku był trochę rozpieszczony, dlatego Serena była przeszczęśliwa, że może być niewidzialna w jego obecności, a on był przeszczęśliwy, że nie musi jej w ogóle zauważać. Zwłaszcza teraz, gdy chodziła z taką dziwną fryzurą na głowie. Jedynym człowiekiem na świecie, który potrafił go rozweselić, skłonić do śmiechu i wygłupów, był jego ojciec. Robert, kiedy nie pracował, odbierał Kipa ze szkoły i obaj wpadali do domu, zachowując się tak, jakby byli w trakcie burzliwej dyskusji i żaden nie chciał odpuścić. Mogła, na przykład, dotyczyć tego, czy fajniej byłoby być Flashem czy Batmanem albo co woleliby jeść, piasek czy ziemię. Czasami zdejmowali buty i rozwiązywali spór, urządzając zawody, kto dalej prześlizgnie się po podłodze w samych skarpetkach. Robert lubił łaskotać Kipa, doprowadzając tego małego jaskiniowca do ataków spazmatycznego śmiechu.

Teraz Serena stała przed szkołą i ćwiczyła radosny, choć nie przesadnie, wyraz twarzy, którym go przywita. Taki, który mu powie - zanim żołądek podskoczy mu do gardła - że nie ma się co bać, nic się nie stało, a to tylko drobne odchylenie od normy, jakkolwiek dla niego nieprzyjemne. Drzwi się otwarły i z budynku wypłynęła rzeka uczniów i nauczycieli. Kip tylko spojrzął na Serenę i od razu zrobił wielkie oczy, a na jego nieprzeniknionej zwykle twarzy pojawił się strach. Serena natychmiast do niego podeszła, żeby jak najszybciej rozproszyć jego obawy.

- Mamusia jest zajęta, ale nic się nie stało. Zatrzymało ją po prostu kilka spraw.

Modliła się, żeby to się okazało prawdą. Wiedziała, że powodów trudności z oddychaniem może być tysiące, a pielęgniarka na pewno już jest w domu i wszystkim się zajęła. Mimo że Robert chorował i sprawy wyglądały bardzo źle, jakoś nie mogła sobie wyobrazić, żeby mógł umrzeć. Gwiazdy kina nie umierają na raka. Wymieńcie choć jednego młodego i przystojnego aktora, który zmarł na raka. Widzicie? Nie ma takich.

- Chodźmy do domu, to sam się przekonasz. - Położyła mu dłoń na ramieniu.

Gdy skręcili za róg w Watts Street, oboje jednocześnie ujrzeli karetkę. Serena instynktownie chciała położyć rękę na ramieniu Kipa, ale ten już puścił się biegiem przed siebie. To było tylko kilkadziesiąt metrów i Serena widziała, jak z budynku wyjeżdżają nosze, a za nimi idzie Joanna. Zaczęła biec, żeby dogonić Kipa. Najbardziej bała się tego, że ciało na noszach będzie zakryte prześcieradłem. „Błagam, niech ma odkrytą twarz”. Zbliżając się, spostrzegła, że Robert ma założoną maskę tlenową. Żyje. Zapłakana Joanna dreptała krok w krok za sanitariuszami. Nagle zobaczyła Kipa. Próbowwała się uśmiechnąć, ale nie mogła. Kip stał teraz przy niej i też płakał.

- Co się stało? - zawołał dziecinnym głosem.

- Tatuś miał kłopoty z oddychaniem - odparła. Tylko to jedno zdanie dała radę wypowiedzieć spokojnie, zanim znowu wybuchnęła płaczem. Serena nie chciała się narzucać, ale podeszła i objęła ją. Joanna się odwróciła i wtuliła głowę w jej ramię. Zaczęła głośno szlochać.

Serena zerknęła na Kipa. Patrzył na matkę z wielkim zdumieniem i przerażeniem. Odwrócił głowę, gdy tylko złapał na sobie wzrok Sereny.

Joanna szybko odsunęła głowę i też spojrzała na syna. Wytarła oczy, podeszła do niego i przykucnęła.

- Muszę pojechać karetką razem z tatusiem... - zaczęła. Kip nie pozwolił jej dokończyć, zaczął krzyczeć.

- Nie! Nie! - Wył, tupał i wymachiwał rękami.

Wtedy właśnie Serena zauważyła coś kątem oka. Spojrzała w tamtą stronę i zanim zdążyła pomyśleć, to coś zaczęło się zbliżać.

To był człowiek, niejaki Steven Sergati. Żywy dowód na to, że czasami pozory wcale nie mylą. Wyglądem przypominał bowiem szczura: chuda koścista twarz, długie czarne włosy ulizane do tyłu i zakończone mysim ogonkiem oraz chytre oczka schowane za okularami za pięć dolarów. Droższych nie opłaca mu się kupować, bo co chwila ktoś mu je tłucze. Miał wystające zęby, którymi pewnie świetnie by się przegryzało kable telefoniczne (niewykluczone, że to kiedyś w życiu robił w jakimś nikczemnym celu). Był to najbardziej znienawidzony, najczęściej pozywany, bity i opluwany paparazzo w całym Nowym Jorku. Istna hiena. Wśród ochroniarzy VIP - ów nie było chyba takiego, który by choć raz nie spuścił łomotu Stevenowi Sergatiemu. Najlepiej to zrobić w jakiejś ciemnej uliczce, żeby nie było świadków. Ten

osobnik zasłynął tym, że potrafił wtargnąć na plan filmowy i włamać się do budynku, straszył młode aktorki, a kiedyś tak długo i niezmordowanie prześladował pewną znaną osobę, że musiała się w końcu postarać o sądowy zakaz zbliżania się. Widziano, jak zaczepiał młodą gwiazdę telewizji idącą sobie urokliwą zadrzewioną alejką z nowo narodzonym dzieckiem, wykrzykując do niej, że ma gruby tyłek i nikt już nie będzie chciał jej pieprzyć - po to tylko, żeby uzyskać zdjęcie świeżo upieczonej mamy z gniewnym obliczem Medei.

Serena rozpoznała go z artykułu w gazecie, który Robert pokazywał jej w zeszłym roku. Robert miał osobiste zatargi ze Stevenem od czasu, gdy ten łąził za nim i Joanną, kiedy Kip miał dwa latka. Ale prawie dwumetrowy Robert, były futbolista, który właśnie skończył zdjęcia do filmu akcji, nie miał zamiaru czekać na wyrok sądu. A że w tej części Tribeki jest sporo wąskich, ciemnych uliczek, Robert znalazł się w grupie VIP - ów (wraz z Seanem Pennem, Bruce'em Willisem, George'em Clooneyem), którzy własnymi rękami załatwili problem z Sergatim. Sposób okazał się skuteczny i pan Sergati dał im spokój.

Aż do dzisiaj. Czekał z kolejnym atakiem na moment, kiedy jego ofiara będzie bezbronna. Joanna właśnie miała

wsiadać do karetki z umierającym mężem, a ich synek Kip z twarzą czerwoną i pomarszczoną od gniewu tupał i wrzeszczał wprost przed obiektywem pstrykającego aparatu. Nawet Serena, która nie była obeznana ze światem mediów, zdawała sobie sprawę, że zdjęcie rozwrzeszczanego syna Roberta, gdy sam Robert jest odwożony karetką do szpitala, przyniosłoby kupę forsy.

Bez namysłu przestawiła Kipa za ambulans, żeby go usunąć z widoku i ruszyła przez ulicę. Sadyła wielkimi susami, przyśpieszając kroku w miarę zbliżania się do celu. Niczym lwica, która podchodzi do antylopy, żeby jej za chwilę odgryźć tylne nogi. Steve, przyzwyczajony do takich akcji, wyprostował się, uniósł ręce w górę i zawołał:

- Nie robię nic niezgodnego z prawem! Nie możesz mi tego zabronić!

Steve Sergati miał jedną zaletę: był przeraźliwie chudy, więc Serena nie miała najmniejszych problemów, żeby go powalić, wyrwać mu aparat i roztrzaskać o ziemię. Niestety, zdążył wcześniej wyjąć kartę.

- Dzwonię na policję! - wrzasnął swoim piskliwym, szczurzym głosem. - Pozwę cię do sądu, ty suko! Nie masz prawa tego robić! Wiesz, kogo ja znam?

Wtedy Serena, była swami, pochyliła się nad nim, prawie dotykając nosem jego twarzy:

- Słuchaj, skurwielu - powiedziała nie swoim głosem. - Mam broń, więc jeśli jeszcze kiedyś ośmielisz się zbliżyć do tej rodziny, przysięgam, że odstrzelę ci ten pieprzony łeb. - Następnie wstała i z góry zmierzyła go wzrokiem. - Proszę bardzo, pozwij mnie.

Po drugiej stronie ulicy Joanna i Kip gapili się na nią, jakby zobaczyli ducha. Ale Serena już nie była duchem, przestała snuć się jak mgła po obrzeżach ich życia, lecz wkroczyła w sam jego środek. Podeszła do oszołomionej Joanny. Teraz czekały ją inne zadania.

- Nie miałam czasu, żeby po kogoś zadzwonić... - zaczęła Joanna. - Czy mogłabyś zostać z Kipem, póki nie...

- Zostanę, ile będzie trzeba. O nic się nie martw. Joanna spojrzała na Kipa.

- Kochanie, zadzwonię do ciebie, jak tylko dojedziemy, dobrze?

Kip skinął głową. Drzwi karetki się zamknęły i Joanna z Robertem odjechali. Serena spojrzała na Kipa, ośmioletnią męską istotę, i nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. On ją wybawił z kłopotu.

Patrzył, jak Steve Sergati podnosi się z chodnika i chwiejąc się, odchodzi. Potem spojrział na Serenę wzrokiem pełnym podziwu.

- Ale mu dałaś wycisk. - Pierwszy raz od trzech lat, czyli odkąd go znała, zwrócił się do niej bezpośrednio.

Uśmiechnęła się.

- No, chyba tak.

Po czym superbohaterka Serena zabrała chłopca na górę.

Po odwołanym zabiegu Ruby postanowiła odwiedzić matkę mieszkającą na przedmieściach Bostonu. Każda dziewczyna od czasu do czasu potrzebuje mamy.

W pociągu cały czas się zastanawiała, po co właściwie do niej jedzie. Czego od niej oczekuje? Gdy przejeżdżali przez Connecticut i patrzyła na te wszystkie śliczne domki z basenami, budami dla psów i miniplacami zabaw, stwierdziła, że chce się dowiedzieć, czy naprawdę matka była wtedy tak nieszczęśliwa, na jaką wyglądała. Może wychowywanie ich dwojga nie było aż takim koszmarem, a wspomnienia z dzieciństwa są mylące.

Stała przed drzwiami i nacisnęła dzwonek. Dom matki stał przy małej, cichej uliczce w Somerville. Nikt nie otwierał. Zdziwiona nacisnęła jeszcze raz. Uprzedzała telefonicznie, że

przyjeżdża. Obeszła dom dookoła - Shelley grabiła liście w ogrodzie. Miała teraz sześćdziesiąt osiem lat i krótko obcięte kręcone włosy ufarbowane na jasny brąz z widocznymi gdzieniegdzie siwymi pasmami. Miała figurę Ruby - krągłą, kobiecą, tyle że odpowiednio tęższą, ponieważ postanowiła się starzeć z godnością, zamiast tracić każdą wolną chwilę na siłowni.

Ruby przez chwilę przyglądała się jej z ukrycia. Była w świetnej formie, wyglądała, jakby się dobrze czuła w swojej skórze. Ciekawe, czy teraz jest szczęśliwa. Matka podniosła głowę.

- Ruby! - zawołała, podchodząc z otwartymi ramionami.

- Jak się cieszę, że cię widzę!

„No jasne, przecież jesteś moją matką. Matki zawsze się cieszą, kiedy widzą swoje dzieci. Musi być jakiś powód”.

- Świetnie wyglądasz, mamó - powiedziała całkiem szczerze Ruby.

- Ty też! Ty też! Chodźmy do środka!

Wziąwszy prysznic i przebrawszy się, Ruby poszła do kuchni, gdzie Shelley przygotowała herbatę.

- Zrobiłam tosty cytrynowe! Jak za dawnych lat! Uśmiech wzruszenia pojawił się na twarzy Ruby. Zawsze

zimą, gdy padał śnieg, w domu czekały na nich cynamonowe tosty. To taka mała tradycja, którą Shelley przejęła od własnej matki. Picie herbaty to już tradycja późniejsza, której obie hołdowały w takim samym stopniu, w najdrobniejszych szczegółach. Obie preferowały słabą, parzoną na sposób amerykański - ekspresówka Liptona w zupełności wystarcza - i kiedy były we dwie, tak jak dzisiaj, rozumiało się samo przez się, że podzielą się jedną torebką. Usiadły przy stole.

- Opowiedz mi o Nowym Jorku. Co tam słyhać ciekawego?

Niektórzy mają matki wyrafinowane, obyte, z którymi można się podzielić swoimi abstrakcyjnymi przemyśleniami albo dowiedzieć się, gdzie kupić ten biustonosz, na który od dawna polujemy.

Shelley taka nie była, ale to nigdy Ruby nie przeszkadzało. Zamiast kogoś, kto być może oglądał ten dokument o sudańskich uchodźcach, miała mamę, która wszystko, co Ruby robiła, przyjmowała z absolutnym zachwytem i radością. Ciągle chciała słyhać o Manhattanie, o jej pracy, o życiu, bo to wciąż było dla niej bardzo pasjonujące.

- W Greenwich Village otworzyli nową restaurację, ale nigdy nie można się tam dostać, bo wszystkie miejsca są zajęte przez znajomych właściciela. Okropnie nas to wkurza.

- Naprawdę? To ciekawe. Jacyś siewni ludzie też przychodzą?

- Co wieczór.

Mama Ruby pokręciła głową.

- To nie fair.

- Bardzo nie fair - uśmiechnęła się Ruby. Napiła się herbaty, oderwała kawałek tosta i zjadła. - Mamo, ostatnio dużo o tym myślałam. Jak ci się żyło, kiedy byłam mała?

- W jakim sensie, córeczko?

- No wiesz, jako samotnej matce. Shelley przewróciła oczami.

- Och, to był koszmar. Coś okropnego. Byłam bardzo nieszczęśliwa.

- Czulaś się samotna?

- Skarbie, byłam tak samotna, że momentami miałam ochotę się zabić. Nie żartuję. Było naprawdę strasznie. - Shelley upiła łyk herbaty. - To kto jest właścicielem tej restauracji? Też ktoś sławny?

- Poniekąd. Wydaje czasopismo. - Ruby próbowała wrócić do tematu. - Czyli rzeczywiście było tak źle, jak to pamiętam?

- Z pewnością dużo gorzej, niż pamiętasz. To był najgorszy okres w moim życiu - powiedziała, lekko się przy tym śmiejąc.

Ruby popiła herbaty, a potem się rozplakała. Oparła łokcie na stole i objęła głowę rękami.

- Przykro mi, mamó. - Podniosła na nią oczy. - Przykro mi bardzo, że miałaś takie okropne życie.

Mama Ruby położyła jej dłoń na ramieniu i z uśmiechem nachyliła się do niej.

- Za to teraz jestem szczęśliwa, nie widzisz? Mam przyjaciół, mam swój ogród, prawie nie siedzę w domu.

Ruby rozszlochała się na dobre.

- Ale to za późnooo! Wtedy powinnaś być szczęśliwa! Żebym mogła pomyśleć, że samotne wychowanie dziecka nie jest takie straszne. Teraz już za późno!

Shelley patrzyła na córkę, próbując pojąć to, co usłyszała. Nie czuła się krytykowana, raczej ogromnie zasmucona.

- Skarbie, przecież ty jesteś zupełnie inna niż ja! Jeżeli zechcesz sama wychowywać dziecko, twoje życie będzie wyglądało całkiem inaczej!

Zalana łzami Ruby zerwała się z krzesła i roztrzęsionym głosem wykrztusiła:

- Właśnie że jestem taka sama jak ty. Też lubię herbatę, łatwo wpadam w depresję, nie wychodzę całymi dniami z łóżka, dużo płaczę i jestem strasznie samotna.

Matka Ruby wstała i oparła dłonie na jej ramionach.

- Skoro jesteśmy takie podobne, to zrób to, co ja. Idź do lekarza, niech ci zapisze jakiś fajny antydepresant. Mnie pomaga lexapro.

Ruby spojrzała na nią zdumiona.

- Co?

- Od roku jestem na prochach. Odmieniły moje życie.

- Na... prochach?

- Nie ma sensu się męczyć. Po co? Też powinnaś sobie załatwić receptę.

Ruby usiadła. To był szok. Mimo tylu przepłakanych nocy, całych dni spędzonych w łóżku, nigdy nawet nie brała pod uwagę takiej możliwości. Do głowy jej to nie przyszło. A

tu jej matka, prosta, niewyrafinowana kobieta z przedmieścia, tak ją ubiegła.

Resztę dnia spędziła, siedząc w matczynej kuchni i zalewając się łzami. Opowiedziała jej o terapii hormonalnej, że w końcu nie dała rady tego zrobić i w ostatniej chwili uciekła z gabinetu pod wpływem wspomnień z dzieciństwa, w których widziała matkę wiecznie pogrążoną w depresji. Teraz Shelley się rozplakała.

- Wybacz mi, kochanie. Powinnam była to lepiej ukrywać.

- To nie twoja wina - chlipała Ruby. - Jak miałaś to ukryć? Robiłaś, co mogłaś, mamo. Wiem o tym.

- Tak, ale gdyby ktoś mi wtedy powiedział.

- Co?

- Że moim obowiązkiem jest nie tylko was nakarmić, ubrać i przypilnować lekcji, ale też zrobić coś dla siebie, żeby być szczęśliwszą. Dla was. Miałybyś lepsze wspomnienia. Przepraszam cię za to.

Ruby chwyciła mamę za rękę.

- Nie dałabyś rady tego wszystkiego ogarnąć, to było niemożliwe.

I tak siedziały razem do wieczora, trzymając się za ręce, popijając herbatę i wzajemnie się pocieszając.

* * *

Dzieci Georgii wlepiały wzrok w Marka Levine'a. Ten uśmiechał się szeroko przez zaciśnięte usta, zupełnie jakby coś mu w nie wpadło i nie chciał tego wypuścić, ale wszystkich zapewniał, że czuje się świetnie.

- Jak się macie? - zagadnął.

Beth i Gareth spojrzeli na niego obojętnie. Georgia odczuła z tego powodu niejaką satysfakcję. Jej dzieci instynktownie wiedziały, że facet jest dupkiem i nie warto z nim gadać. Levine znów rozszerzył usta w przymilnym uśmiechu. Spróbował jeszcze raz.

- Przyszedłem tu, bo wasi rodzice chcą, żebym się dowiedział, jak sobie radzicie, odkąd tatuś z wami nie mieszka.

Milczenie.

- Na przykład słyszałem, że któregoś wieczoru zostaliście sami w domu. To prawda? Nie baliście się?

Georgia wbiła wzrok w swoje dłonie. Czuła krople potu formujące się na czole. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, ile energii kosztuje powstrzymanie się, żeby kogoś nie zabić.

I znów cisza w odpowiedzi. Cudowne wrogie, nadąsane, dziecięce milczenie.

Levine spojrział na Georgię.

- Może będzie lepiej, jeśli porozmawiam z nimi na osobności?

Przestraszyła się.

- Ale... ja nie wiedziałam, że wam wolno...

- Mamy absolutne prawo przesłuchiwać małoletnich bez obecności rodziców. Mam ze sobą dyktafon, więc na wszelki wypadek nagram rozmowę, żeby nie musiała pani tylko mnie wierzyć na słowo.

Georgia oczywiście chciała zaprotestować, ale biorąc pod uwagę, jak się zakończyło ostatnie spotkanie, postanowiła się powstrzymać.

- Proszę bardzo, ja pójdę do siebie i zamknę drzwi.

- Dziękuję. To nie zabierze dużo czasu.

Georgia wstała i spojrzała na dzieci. To one były teraz sędzią, ławą przysięgłych i katem jednocześnie. Te rozkapryszone, niesforne, infantylne, słodkie, nieprzewidywalne kłamczuszki, których każde słowo zostanie teraz spisane, jak gdyby były co najmniej dalajlamą. Zerknęła na Garetha. „W zeszłym tygodniu miał wymyślonego

przyjaciela, którym była ogromna tarantula. Tak, spytaj ich, sukinsynu, z kim chcą mieszkać..."

- A teraz porozmawiacie z panem Levinem, dobrze? Mówcie prawdę i odpowiadajcie na wszystkie pytania. Chcemy tylko, żebyście opowiedziały, jak się czujecie. Rozumiecie? - powiedziała. Po czym wolnym, pewnym krokiem udała się do sypialni.

Kiedy zamknęła drzwi, rzuciła się na łóżko, ukryła twarz w poduszce i wydała z siebie najgłośniejszy krzyk, na jaki tylko się odważyła. Po chwili usiadła i zawiesiła wzrok w przestrzeni.

Zacząła się zastanawiać, jak do tego wszystkiego doszło. Jak to się stało, że znalazła się w punkcie, w którym sąd może uznać, że nie nadaje się na matkę. Pomyślała o swoim małżeństwie. Stała jej przed oczami awantura, jaką kiedyś urządziła na ulicy Dale'owi za to, że nigdy nie odbiera korespondencji. Rankami naskakiwała na niego, że znowu zostawił na blacie rozsypaną kawę (a Georgia organicznie nie znosi jej ścierać, bo potem nie sposób doczyścić gąbki). Uważała, że jest głupi, bo nie umie się nauczyć obsługiwać mikrofalówki. Wściekał się, kiedy nie dostarczali mu gazety na czas, ale nigdy nie raczył zadzwonić i złożyć reklamacji.

Zastanawiała się, w którym momencie zaczął w niej budzić taką niechęć i kiedy przestała się przejmować ukrywaniem jej. Pewnie po narodzinach dzieci. Słyszała, że ten problem dotyka wiele małżeństw. O co chodzi? Czy kobiety, gdy już się rozmnożą, podświadomie dochodzą do wniosku, że mężczyzna wypełnił swój obowiązek, więc na różne sposoby dają mu do zrozumienia, że nie jest im już do niczego potrzebny? Skąd się to u niej wzięło? Przecież wcale nie chce być samotną matką. Nie chce znowu chodzić na randki i zaczynać wszystkiego od zera.

Przypomniała sobie Sama i tę hecę z kupowaniem sobie kwiatów. Taniec na barze i okrzyki tego faceta, że ma zejść, bo on woli oglądać młodsze laski. Żałosne podchody w Whole Foods. Wszystko to przewijało się przez jej głowę w formie obrazów. Co jeden to bardziej upokarzający. No i wreszcie ta afera z Bryanem, przez którego doznała takiego zaćmienia umysłu, że naraziła własne dzieci na niebezpieczeństwo.

Wtedy sobie uświadomiła, że naprawdę jej odbiło i nikogo prócz siebie za to winić nie może. Będąc żoną Dale'a, czuła, że ma prawo irytować się na niego kiedykolwiek i z byle powodu. Potem, kiedy ją porzucił, w ogóle przestała mieć jakiegokolwiek hamulce. Z jakiegoś powodu straciła nad sobą

kontrolę, a teraz może także stracić dzieci. Ciekawe, co tam o niej mówią. Przypomniała sobie, jak wezwano ją kiedyś do szkoły, bo Gareth uderzył kolegę. Rozmawiała z dyrektorką, podczas gdy on zawstydzony i wystraszony czekał na ławce na korytarzu. „Role się odwróciły, co?”

Mniej więcej po dwudziestu pięciu minutach, które wydały się jej wiecznością, postanowiła wystawić głowę i zobaczyć, co się dzieje. „Do cholery, w końcu jestem ich matką”.

- Ja tylko chciałam sprawdzić, czy wszystko gra! - powiedziała, wyciągając szyję.

Wszyscy siedzieli tam, gdzie przedtem, dzieciaki na jednej kanapie, a Levine naprzeciwko nich na drugiej. Nikt nie wyglądał na pokrzywdzonego, nikt nie wydawał się na nią zły.

- Znakomite wyczucie, właśnie skończyliśmy - powiedział Levine.

Sądząc z jego zachowania, nie zostało powiedziane nic rewolucyjnego czy szokującego. Jak zwykle posłał Georgii uprzejmy uśmiech, pożegnał się z dziećmi i wyszedł.

Georgia przyjrzała się dzieciom. Nie wyglądały na zmartwione ani złe, ale i tak ją korciło, żeby je poprosić o dokładne zrelacjonowanie całego

dwudziestopięciominutowego przesłuchania. Zrobiła jednak coś, czego nie robiła od bardzo dawna: powstrzymała się. Weszła do salonu i usiadła przy nich. Zapytała delikatnie:

- W porządku, kochani? - Oboje kiwnęli głowami. Obejrzała ich jeszcze raz dokładnie, żeby się upewnić, czy wyszli z tego bez szwanku. - Macie jakieś pytania? - Nie mieli. Zachowywali się zupełnie normalnie. - No dobrze. To kto chce coś dobrego?

ZASADA 10

PAMIĘTAJ, ŻE BYWAJĄ RZECZY WAŻNIEJSZE NIŻ TY I TWOJE
KIEPSKIE ŻYCIE UCZUCIOWE ORAZ JEŚLI CHCESZ JE NAPRAWIĆ,
DAJ SOBIE POMÓC INNYM, NA PRZYKŁAD PRZYJACIÓŁKOM

W zasadzie całą drogę do Indii przepłakałam, ale teraz miałam gdzieś, czy ktoś mnie widzi. Facet obok spytał, czy może się przesiąść (co też uczynił), a dwie stewardesy, czy mi czegoś nie trzeba.

Na lotnisku miała na mnie czekać znajoma znajomej Sereny z ośrodka jogi, niejaka Amrita. Nie miałam pojęcia, dlaczego zupełnie obcej osobie chciało się po mnie przyjeżdżać, ale byłam jej bardzo wdzięczna. Nie miałam ochoty być silna i samodzielna. W moich wyobrażeniach Indie to trędowaci żebrzący na ulicach i biegające luzem krowy, ale w samolocie (między wybuchami płaczu) przeglądałam „Time Out Mumbai” i nie umiałam sobie wyobrazić, by w mieście, gdzie wystawiane są sztuki recenzowane w tym piśmie, były też krowy i żebracy na ulicach. Nie wiedziałam zatem, czego się spodziewać.

Wchodząc na halę lotniska, zauważyłam przede wszystkim, że niewiele się różni od innych, na których byłam,

tylko jest mniej nowoczesna. Białe ściany i podłogi, jarzeniówki, tablice informacyjne i drogowskazy. Kiedy jednak odebrałam bagaż i wyszłam na zewnątrz, wiedziałam, że jestem w Indiach. Panował wszechobecny chaos. Kierowcy taksówek stojący przy rozsypujących się gruchotach nawoływali głośno pasażerów. Kierowcy zablokowanych w tłoku aut, trąbiąc, usiłowali wyjechać z parkingu. Powietrze było gorące i lepkie, zewsząd dochodził dziwny, trudny do opisanego fetor.

Gdybym nie wiedziała, że ktoś po mnie przyjedzie, niechybnie doznałabym w tej chwili załamania nerwowego. Na szczęście zaraz podeszła do mnie piękna kobieta o długich czarnych jak atrament włosach, ubrana w dżinsy i luźną tunikę.

- Przepraszam, ty jesteś Julie?

- Tak, tak. A ty pewnie jesteś Amrita.

- Cześć. Witaj w Bombaju.

Wsiadłyśmy do jej małego samochodziku i odjechałyśmy. Robiło się ciemno, więc niewiele widziałam przez okno, ale zdawało mi się, że dostrzegłam przy drodze prowizoryczne zabudowania i ludzi śpiących na ulicy. Nie byłam pewna i miałam nadzieję, że oczy mnie mylą.

- Słyszałam, że piszesz książkę o życiu singielek w różnych krajach - zagadnęła przyjaźnie Amrita.

Skrzywiłam się. To była ostatnia rzecz, o której chciałam rozmawiać. Wyprowadziłam ją więc z błędu:

- Przyjechałam tu, żeby odnaleźć spokój. Podobno to szczególne miejsce.

Amrita w milczeniu skinęła głową. To właściwie nie było skinienie; ona jakoś tak dziwnie kiwała głową na wszystkie strony, że nie było wiadomo, czy mówi „tak”, czy „nie”. Miała też zwyczaj nadużywać klaksonu podczas jazdy. Okazało się, że to bardzo powszechny zwyczaj wśród tamtejszych kierowców.

- Większość aśram mieści się poza granicami Bombaju - powiedziała, trąbiąc na jadący przed nami samochód. - Masz którąś konkretną na oku?

- Tak, poleciała mi ją moja przyjaciółka Serena.

Za oknem zobaczyłam parę młodych ludzi mijającą nas na motorowerze. Kobieta siedziała bokiem i była ubrana w sari, które łopotało na wietrze.

- Taki poradnik dla singli to fajny pomysł - stwierdziła Amrita. - Samotne kobiety muszą podejmować tyle decyzji. Ważnych decyzji.

Zmarszczyła brwi. Widać coś ją dręczyło. Musiałam zapytać.

- A co, ciebie też czekają jakieś trudne decyzje?
Wzruszyła ramionami.

- Mam trzydzieści pięć lat, rodzina naciska, żebym wyszła za mąż. Spotykam się z mężczyznami ciągle w nadziei, że poślubię kogoś z miłości, ale na razie to...

Zrobiła minę, jakby się miała rozplakać. O, nie. To ostatnia rzecz, o której miałam ochotę wysłuchiwać: cudze rozterki sercowe. Ale wzięłam głęboki oddech i słuchałam.

- Mój ostatni chłopak nie miał pieniędzy. Ja za wszystko płaciłam. Kolacje, kino, nawet wspólne wyjazdy. Moja rodzina uważała, że zgłupiałam, daję mu się wykorzystywać. Raz pojechaliśmy na zakupy i on mnie poprosił, żebym mu kupiła sweter. No i kupiłam! Wtedy ze mną zerwał. Tak po prostu.

Z oczu popłynęły jej łzy. Czułam się jak Angela Lansbury w serialu Napisała: morderstwo. Biedaczka, gdziekolwiek pojechała, nawet na urlop, trafiała na zbrodnię. Gdziekolwiek ja pojedę, trafiam na sercowe dramaty.

- Powiedział, że jestem zbyt niezależna, za bardzo się koncentruję na pracy. - Chlipnęła i obtrąbiła kolejnego kierowcę. Pokiwałam głową dla okazania współczucia.

- Ale nie przeszkadzało mu, że dzięki tej pracy kupiłaś mu sweter.

- No właśnie! Przypuszczam, że byłam z nim tak długo dlatego, że moja rodzina go nie znosiła. Uważałam, że go dyskryminują, bo my jesteśmy braminami, a on wajsja. Ale teraz widzę, że mieli rację.

Znów wyjrzałam za okno i zobaczyłam chyba całą rodzinę upakowaną na jednym motorowerze. Ojciec, matka, syn i córka - wszyscy jakimś cudem się tam zmieścili. Zamrugałam powiekami. Tak, dobrze widziałam.

Poczułam ogromne zmęczenie. Byłam wdzięczna Amricie, że nie musiałam brać taksówki z lotniska, ale naprawdę chciałam, żeby się wreszcie zamknęła.

- Więc teraz zdałam się na rodzinę, niech oni mi znajdą męża. Przeglądają portale matrymonialne i już znaleźli kilku kandydatów. Ich horoskopy wyglądają nieźle, więc mam zamiar zacząć się z nimi spotykać.

Tu się przebudziłam. Portale matrymonialne? Horoskopy? Kiedy wąskimi uliczkami zmierzałyśmy w kierunku

śródmieścia, Amrita opowiedziała mi o dużej popularności, jaką cieszą się w Indiach portale matrymonialne, które są w zasadzie tym samym, co zwykłe portale randkowe, tyle że tam nawiązuje się znajomości w konkretnym celu: zawarcia związku małżeńskiego. Podobno często to rodziny publikują na nich zdjęcia synów lub córek.

- To nawet niezły pomysł, sami pewnie by się wstydzili. Oszczędzają im kłopotu.

Amrita uniosła brwi.

- Nie dlatego to robią. Powód jest inny. Uważa się, że to rodzice wiedzą lepiej, kto jest najlepszym kandydatem dla ich dziecka.

Zastanowiłam się nad moimi własnymi wyborami w tej kwestii. Może to wcale nie takie głupie?

Amrita wyjaśniła także, jak wielką wagę przy kojarzeniu par przywiązuje się do horoskopów. Wszystko ma znaczenie: układ planet, faza księżyca, godzina urodzenia. Odniosłam wrażenie, że to nie ten sam rodzaj astrologii, którą się posługuje „New York Post”, mówiąc mi, jaki będę miała dzień.

- Jeśli nasze horoskopy do siebie nie pasują, nawet się z kimś takim nie umawiam.

Nie miałam wątpliwości, że nie jestem już w West Village.

Zatrzymałyśmy się niedaleko hotelu, w którym miałam nocować. Niedrogi, o średnim standardzie, usytuowany w południowej części miasta. Kiedy ciągnęłyśmy chodnikiem moje walizki, zrozumiałam, że tutejsze kobiety mają coś, czego nam, Amerykankom, brakuje: plan awaryjny. Mogą odrzucić przestarzałe poglądy na małżeństwo wyznawane przez rodzinę i na własną rękę szukać drugiej połówki, a jeżeli się nie uda, tatuś z mamusią, ciocie z wujkami, kuzynki i bratowe z radością przejmą stery i zabiorą się za swatanie.

- Wybieram się jutro do siostry. Może chciałabyś ją poznać? Zdecydowała się na aranżowane małżeństwo i jest bardzo zadowolona.

Trochę mnie zaskoczyła. Planowałam ten dzień przepłakać, a potem ewentualnie zastanowić się, jak dotrzeć do tej aśramy polecanej przez Serenę. Reporterski aspekt tej podróży wyszedł mi chwilowo bokiem, marzyłam tylko o tym, żeby nie robić nic oprócz stania na głowie i popijania lassi z mango.

- To może być dobry materiał do książki.

Jak jej powiedzieć, że wolałabym sobie odgryźć rękę i wytłuc się nią po głowie, niż rozmawiać z parą szczęśliwych małżonków o tym, jacy są zakochani. Powiedziałam więc:

- Oczywiście, bardzo chętnie.

- Świetnie. Przyjadę po ciebie w południe. Może być?
Przytaknęłam i zameldowałam się w recepcji.

Pokój był niewielki, w środku stały dwa łóżka, telewizor i biurko. Nie był to wykładany marmurem bungalow jak na Bali, no ale przecież nie byłam już na Bali, prawda? Ani w Chinach. Byłam w Indiach. Ale nadal nie w pełni rozumiałam, co to oznacza.

Następnego dnia znowu wylądowałam w samochodzie Amrity. Różnica była jak między nocą a dniem - w sensie dosłownym; za oknami było jasno. Po drodze rozmawialiśmy o jej siostrze Anandzie, ale mnie trudno było nie zauważyć ogromu nędzy, która teraz była w pełni widoczna. Wzdłuż szos mnóstwo brudnych, rozpadających się budynków, bardziej przypominających bunkry niż domy dla ludzi. Kiedy wjeżdżałyśmy do miasta, gdzie miałyśmy się spotkać z Anandą, ujrzałam obrazki jak z reportażu o Trzecim Świecie: dzieci biegające na golasa po ulicach, którymi płynęły ścieki. Zamiast siedzieć w szkole, bawiły się na stertach gruzów.

Starsze zbierały puszki, zapewne na sprzedaż. Obok krzątały się ich bosa matki, co chwila wchodząc i wychodząc ze swoich skleconych z byle czego chatynek stojących przy samej drodze. Gdy nasz samochód się na chwilę zatrzymał, jakaś mała dziewczynka zapukała do mnie w szybę. Miała umorusaną buzię i wielkie czarne, puste oczy. Cały czas pokazywała palcem na usta, chcąc chyba w ten sposób dać do zrozumienia, że jest głodna. Amrita to zauważyła.

- Nie dawaj im pieniędzy. To zorganizowana przestępczość. Dzieciaki muszą oddawać pieniądze ludziom, którzy rządzą tą dzielnicą. Podeszła do ciebie, bo jesteś biała, więc liczy, że weźmie cię na litość.

Spojrzałam na dziewczynkę. Ale mi rzeczywiście było jej żal. Naprawdę nie mogę nic zrobić, mam ją minąć obojętnie? Naprawdę. I minęłyśmy. Gdy przejeżdżałyśmy przez to miasteczko położone nad samym oceanem, stwierdziłam, że nie chcę być taka jak wszyscy turyści, którzy przyjeżdżają do Indii, a potem po powrocie opowiadają z wielkim przejęciem, jaka to tam straszliwa bieda. To nie mój kraj, nie mój problem i w ogóle ja nic nie wiem.

Podjechałyśmy pod wieżowiec otoczony parkingiem. Obok był zielony skwer z ławkami, pełen drzew i krzewów.

Jak na tamtejsze warunki całkiem miłe miejsce do mieszkania, pomijając fakt, że budynek pokrywała cienka warstewka sadzy, ale to można powiedzieć o wszystkich budynkach w Bombaju.

Z tych niewielu rzeczy, które wiedziałam o Indiach, zanim tam przyjechałam, pamiętałam jeszcze, że pod żadnym pozorem nie wolno pić tamtejszej wody. Czytałam, że nie powinno się nawet myć nią zębów, a biorąc prysznic, należy się starać unikać zmoczenia twarzy.

Ale oto znalazłam się w sytuacji, gdy obca kobieta, która zaprosiła mnie do swojego domu i zgodziła się porozmawiać o swoim szczęśliwym małżeństwie, żeby mi pomóc w pracy nad książką, stała przede mną, oferując mi szklankę wody.

- Proszę. Pewnie chce ci się pić, taki upał dzisiaj. Wzięłam szklankę i się zawahałam. Ananda to widziała.

Nie chciałam, aby sobie pomyślała, że uważam jej wodę, a więc i jej dom, za brudne, więc odważnie upiłam maleńki łyczek.

- Dziękuję. Faktycznie gorąco. - Już sobie wyobrażałam te zarazki i pasożyty lokujące się w moich wnętrznościach.

- Amrita mówiła, że piszesz książkę o miłości i życiu samotnych kobiet w różnych krajach?

Grzecznie przytaknęłam.

- Tak. To bardzo ciekawe doświadczenie.

Ananda usiadła z Amritą na sofie, a ja naprzeciwko nich w fotelu. Jedna z córeczek Anandy, mniej więcej pięcioletnia, przybiegła i wgramoliła się jej na kolana. Miała krótkie czarne włosy z grzywką spiętą różową plastikową spinką.

- Słyszałam od twojej siostry, że zgodziłaś się na aranżowane małżeństwo, zamiast wyjść za mąż z miłości.

Ananda pokiwała głową. Chyba chętnie podejmowała ten temat.

- Tak. Właśnie obroniłam pracę z psychologii i nie bardzo wiedziałam, co z sobą zrobić, ale myślałam nad doktoratem. Na własną rękę umawiałam się z mężczyznami, jak Amrita.

Przyjrzałam im się. Dotąd uważałam, że Amrita jest bardzo atrakcyjna, ale widząc ją teraz obok siostry, stwierdziłam, że to jednak Ananda musiała uchodzić za tę ładniejszą. Była od niej drobniejsza i dzięki delikatnym rysom nieco szlachetniejszej urody.

- Byłam inna niż Amrita. Ilekroć rodzice podsuwali nam jakichś kandydatów, ona zawsze się buntowała. - Położyła dłoń na ramieniu siostry. - Ja przynajmniej starałam się ich zadowolić.

Amrita wzruszyła ramionami. Wydawało mi się, że z pewnym żalem. Podjęła opowieść:

- No i kiedyś rodzice powiedzieli, że jest taki chłopak, którego Ananda powinna koniecznie poznać. Przyszedł do nas ze swoją rodziną. Starsi siedzieli w pokoju i rozmawiali...

- ...a my wyszliśmy pogadać na taras. Wydał mi się sympatyczny. Po dwudziestu minutach zapytał, co o tym wszystkim myślę. Odpowiedziałam: „Czemu nie?”. Więc poszliśmy na dół i oznajmiliśmy rodzicom, że się pobieramy.

Obie zaczęły się śmiać na to wspomnienie. Ananda kontynuowała:

- Moi rodzice byli w szoku. Szkoda, że nie widziałas ich min. Sądzieli, że go odrzucę jak wszystkich poprzednich.

- Kiedy zadzwoniła, żeby mi to powiedzieć - wtrąciła Amrita - myślałam, że chce mnie nabrać. Pół godziny mnie przekonywała, że nie żartuje...

- Ale... nie rozumiem. Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia? Miałaś dosyć randek?

Ananda wzruszyła ramionami.

- Po prostu wydał mi się sympatyczny.

Spojrzałam na nią i tę małą przytuloną do jej ramienia. Nie wiedziałam, jak o to taktownie zapytać, ale skoro już tam przyszedłam...

- I... udało się? Jesteś szczęśliwa? - Tak!

Amrita postanowiła rozwinąć temat w imieniu siostry.

- Jest bardzo szczęśliwa. To dobry człowiek. Między innymi dlatego zdecydowałam się pozwolić rodzicom, żeby mi pomogli. Zawsze myślałam, że to był fart, że tylko jej się poszczęściło, ale teraz już nie jestem tego pewna. Może rodzice i horoskopy lepiej wiedzą, co dla nas dobre. Może kiedy poznam kogoś, wobec kogo nie będę miała żadnych oczekiwań, prędzej nam się uda?

Ananda się uśmiechnęła.

- Na dziś wieczór jest umówiona z dwoma kawalerami, jeden po drugim. Kiedyś, za czasów naszych rodziców było inaczej, teraz nikt Amrity nie zmusi, żeby poślubiła kogoś, kogo nie chce. Ostateczną decyzję podejmujemy my.

Pomyślałam o wszystkich kobietach w Nowym Jorku i na całym świecie, które powinny chyba zrewidować swoje poglądy na temat wtrącania się innych w ich życie uczuciowe. Może chcąc w pewnym wieku znaleźć bratnią duszę, należy rozesłać za nią listy gończe? Może czas powiadomić organa

ścigania, rozstawić blokady na drogach i wysłać grupę poszukiwawczą?

- Jak długo chodziliście ze sobą przed ślubem? - spytałam.

- Dwa miesiące. Widywaliśmy się raz lub dwa razy w tygodniu.

Stwierdziłam, że to jest tyle samo warte, co spotkanie się z kimś przez pięć lat, żeby na końcu się dowiedzieć, że on nie chce się angażować. Albo wyjazd na Bali z żonatym facetem i udawanie, że wcale nie jest żonaty. Tak szalone, że aż może się sprawdzić.

Amrita odwiozła mnie do hotelu. Tą samą drogą, przez brudne slumsy pełne bosej dzieciarni. Znów dostrzegła mój dyskomfort wobec tej sytuacji. Próbowwała pocieszyć.

- Ci ludzie wcale nie są nieszczęśliwi. Spojrzałam na nią zdziwiona, co też wygaduje.

- To jest ich życie, innego nie znają. Nie mają takich oczekiwań jak ty czy ja.

Wyrzałam przez okno i zobaczyłam małego chłopczyka, rozkosznego dwulatka o śniadej cerze, który stał tuż przy drodze przed swoim „domem”. Ubrany w białą koszulkę i różowe spodenki wyglądał przesłodko. W końcu jakiś miły

widok. I w chwili, gdy się tym widokiem napawałam, chłopczyk zrobił siusiu. Strumień moczu poleciał mu po nogach, kompletnie mocząc spodenki i tworząc u stóp kałużę. Malec stał niewzruszony, a mnie od razu ścisnęło w żołądku. Zrozumiałam, że nieprędko ktoś go umyje. Potem samochód ruszył.

Pod hotelem pożegnałam się z Amritą, życząc jej powodzenia na randkach, i poszłam do siebie. Wzięłam prysznic i położyłam się spać.

Po drzemce postanowiłam się wystroić i udać do modnej restauracji, o której pisali w „Time Out Mumbai”. Nazywała się Indigo i mieściła niedaleko hotelu. Wchodząc, zobaczyłam klientelę, którą można by pewnie nazwać śmietanką tego miasta. Panowie w odprasowanych koszulach, dżinsach i marynarkach, panie w sukienkach i butach na obcasach. Zdawało mi się, że dostrzegłam też kilku hinduskich gejów, a wtedy to już poczułam się jak w domu. Weszłam na piętro, gdzie była wydzielona część barowa oraz wyjście na taras.

Podeszłam prosto do baru, zamówiłam kieliszek białego wina i usiadłam w pobliżu trzech eleganckich Hindusek około trzydziestki, które piły alkohol, paliły papierosy i bardzo głośno rozmawiały po angielsku. Barman przyniósł mi wino, a

mnie się przypomniał widok z drogi do hotelu: hinduska rodzina mieszkająca pod wiaduktem autostrady. Troje z gromadki dzieci biegało i bawiło się na gołej ziemi, a z boku siedziała matka otoczona całym dobytkiem. Potem stanął mi przez oczami ten obsiuriany chłopczyk. Potrząsnęłam głową, żeby się od tego uwolnić.

- Właśnie przypomniał mi się mały chłopiec, którego widziałam dzisiaj na ulicy. Bardzo smutny widok.

Barman kiwnął głową. - Ale wie pani, ci ludzie wcale nie są nieszczęśliwi. Znowu to samo.

- Twierdzi pan, że lubią żyć w brudzie i zarabiać na życie zbieraniem puszek?

- To ich życie, innego nie znają. Tak, są szczęśliwi.

Grzecznie kiwnęłam głową i napiłam się wina. Najwyraźniej czegoś nie rozumiałam.

Trzy kobiety po prawej omawiały jakąś sprawę niezwyklej wagi. Nie byłabym sobą, gdybym nie zaczęła podsłuchiwać. Zdaje się, że jedna z nich miała problemy ze swoim facetem. On nie życzył sobie spotykać się z nią tak często, jak by chciała. Mówiła koleżankom, że bardzo jej się podoba, więc głupotą byłoby z nim zrywać, ale z drugiej strony nie może znieść, że tak rzadko go widuje. Była bardzo wzburzona,

wymachiwała rękami, co chwila odgarniała włosy. Koleżanki próbowały jej pomóc, zadawały pytania, udzielały rad.

O mało tam nie zasnęłam. Do licha, nie po to przyleciałam do Azji, zahaczając po drodze o Europę, Amerykę Południową i Australię, żeby słuchać tych bzdur. Gratulacje, drogie panie. Bardzo się cieszę, że z takim trudem wywalczyłyście sobie niezależność i wolność. Sprzeciwiłyście się rodzinie i tradycji i wreszcie możecie robić karierę, macie własne mieszkania, chadzacie do barów i sprowadzacie facetów do domu. Teraz, gdy nikt was nie zmusza do poślubienia człowieka, którego nie kochacie, i urodzenia dzieci, których wcale nie chcecie, oto, jaka nagroda was spotyka: przyszło wam przesiadywać w barach jak całej reszcie kobiet na świecie i narzekać, że jakiemuś facetowi nie dość na was zależy. Witamy w klubie. Fajnie jest, nie?

Gdyby mi się chciało, mogłabym podejść i zagadnąć, czy nie wróciłyby chętnie do poprzedniego stanu rzeczy. Zapytałabym, czy po osiągnięciu pewnego wieku w ogóle rozważyłyby poślubienie kogoś podsuniętego im przez rodziców. Powinnam też spytać, czy warto ich zdaniem odrzucać kompromis, nawet jeśli to ma oznaczać, że jeszcze bardzo, bardzo długo pozostaną same. Ale nie podeszłam i nie

zapytałam, ponieważ te panie i ich pieprzone rozterki guzik mnie obchodziły. Mnie obchodziły teraz wyłącznie moje własne pieprzone rozterki. Zapłaciłam rachunek i wyszłam. Schodziłam po schodach i z każdym stopniem obniżał się także mój nastrój.

Po powrocie do hotelu, byłam załamana. Stwierdziłam, że czuję się zdradzona. „Świetnie, a więc tylko tyle było mi dane. Kilka tygodni miłości. Więcej się nie należy. Teraz muszę wrócić do punktu wyjścia i zacząć wszystko od nowa. Tym razem musi to być jednak ktoś, kto będzie równie atrakcyjny jak Thomas, ale w pełni osiągalny. Tak. I to się stanie już niedługo”.

Następnego dnia postanowiłam zostać w łóżku i nigdzie nie wychodzić. Tak się robi, gdy jesteśmy na drugim końcu świata, dopadła nas depresja i nawet nie ma kto zadzwonić, żeby nas pocieszyć. Leżałam w pieleszach do pierwszej. Nie robiłam tego od liceum i czułam się wspaniale. Nagle zadzwonił telefon - to była Amrita. Spytałam, jak tam wczorajsi kandydaci.

- Żaden właściwie nie był w moim typie, ale sympatyczni. Mama z tatą przygotowali mi na dzisiaj następnych dwóch.

- O kurczę, nie próżnują. - Staralam się okazać zainteresowanie, choć tak naprawdę miałam to gdzieś. Naciągnęłam kołdrę pod brodę i umościłam się wygodnie.

- To prawda. Ciekawe, kto to będzie tym razem. Obróciłam się na prawy bok, przykładając słuchawkę do lewego ucha.

- Sądząc po głosie, jesteś bardzo podekscytowana.

Roześmiała się.

- Nie przeczę. Fajnie, kiedy przez chwilę ktoś inny troszczy się za mnie o moje życie uczuciowe. To duża ulga.

Zastanowiłam się nad tym i stwierdziłam, że to niezły pomysł - zrzucić swój kłopot na innych, niech oni się martwią. Może powinnam zostać w Indiach, dać się zaadoptować jakiejś rodzinie i pozwolić im załatwić za mnie tę całą męczącą robotę.

- A dzwonię, bo chciałam cię zaprosić, żebyś poszła ze mną i popatrzyła sobie, jak to wygląda. Wiesz, może ci się przydać do książki.

Obróciłam się na wznak i oparłam rękę na czole.

- Szczerze mówiąc, chciałam dzisiaj ruszyć do tej aśramy...

- Jutro pojedziesz. Dzisiaj masz okazję zobaczyć kawałek tradycji. To będzie takie reality show, które tak lubicie w Ameryce.

Ponieważ była już pierwsza, a ja jeszcze tkwiłam w łóżku, doszłam do wniosku, że mam nikłe szanse dotrzeć do tej aśramy przed zmrokiem. Przyjęłam zaproszenie. W końcu może mi się przydać do k s i ą ż k i.

Po chwili telefon znowu zadzwonił. Tym razem była to Alice. Wysłałam jej moje zamiary, no bo komu miałam wysłać? Narzeczonemu? Mężowi? Jak widać, byłam nieco rozgoryczona.

- Cześć Julie, jak się czujesz?

Brzmiała jakoś markotnie, więc skłamałam.

- Dobrze, a ty? Usłyszałam, jak nabiera powietrza.

- Julie, ja chyba nie dam rady tego zrobić. Mówię o ślubie, o Islandii. Nie potrafię.

- Dlaczego? - spytałam, choć znałam przyczynę.

- Bo nie jestem zakochana w Jimie. To świetny facet i bardzo go lubię, ale nie jestem w nim zakochana. Nie jestem i już.

W takiej chwili dobra przyjaciółka powinna powiedzieć: „Ależ oczywiście, że nie powinnaś wychodzić za człowieka,

którego nie kochasz. Oczywiście, że nie wolno ci iść na kompromis. Oczywiście, że spotkasz jeszcze tego jedyne". Ale ja byłam w Bombaju, na litość boską. Nie miałam zamiaru być obarczona odpowiedzialnością za to, co powiem lub zrobię.

- Alice, posłuchaj mnie. Posłuchaj. Masz wyjść za niego, rozumiesz? Wyjdź za niego.

Po drugiej stronie na długo zapadła cisza.

- Serio?

- Serio. To całe zakochiwanie się jest przereklamowane. To iluzja. Nic nie znaczy i szybko mija. Pasujecie do siebie z Jimem?

- Tak.

- Szanujecie się? Zależy wam na sobie?

- Tak.

- No to bierz ślub i nawet się nie zastanawiaj! Nawbijali nam do głów, że mamy mieć nie wiadomo, jakie oczekiwania. Wyjdź za Jima, Kochaj go, załóżcie rodzinę i niech wam się wiedzie. Reszta to fałsz.

- Serio?

- Serio. Zrób to, bo inaczej będziesz żałować. Odłożyłam słuchawkę i z powrotem poszłam spać. Wieczorem przyjechała Amrita, żeby mnie zawieźć do

domu rodziców. Była ubrana w długą złotą tunikę do wąskich czarnych spodni. Miała pomalowane na czerwono usta i lekko podkreślone tuszem rzęsy. Prezentowała się bardzo ładnie.

- Przecież wzięłabym taksówkę. Nie powinnaś sobie zawracać mną głowy w dniu, kiedy być może poznasz przyszłego męża - zażartowałam.

Amrita pokręciła głową.

- Taksówkarze oszukują, jeśli nie znasz drogi.

I znów znalazłyśmy się na ulicach Bombaju. Znów te same przygnębiające widoki. W pewnej chwili, gdy stanęłyśmy na czerwonym świetle, usłyszałam łomot o szybę. Obróciłam się i zobaczyłam dziewczynkę. Waliła głową w okno, żeby zwrócić moją uwagę. Miała około siedmiu lat, trzymała na ręku niemowlę. Drugą ręką pokazywała na usta. Wstrząśnięta i bliska łez spojrzałam na Amritę. Jej to w ogóle nie ruszało. Pojechałyśmy dalej.

Po kilku minutach milczenia zapytałam:

- Czy te dzieci chodzą do szkoły?

- Niektóre tak, niektóre nie. Ci ludzie to w większości muzułmanie, oni nie cenią wykształcenia. Wolą, żeby ich dzieci jak najszybciej zaczęły pracować.

- Jak, sprzedając orzeszki na ulicy? - spytałam z odrobiną sarkazmu. Naprawdę nie mogłam tego pojąć.

Amrita kiwnęła głową.

- Na przykład.

Reszta drogi upłynęła nam w ciszy.

Podjechałyśmy pod kolejny wieżowiec, tym razem jeszcze wyższy i tak nieskazitelny, jakby go wczoraj zbudowano. Mijałyśmy korty tenisowe i odkryty basen, a w holu czekał na nas portier w uniformie.

Rodzice Amrity grzecznie przywitali się ze mną w drzwiach i zaprosili do środka. Pani Ramani była ubrana w tradycyjne białe - niebieskie sari nałożone na bawełnianą koszulkę z długim rękawem. Pan Ramani miał na sobie proste spodnie i zapinaną koszulę. W salonie siedziały jeszcze trzy inne kobiety oraz starszy mężczyzna. Jak się dowiedziałam, była to babcia Amrity, wujek oraz dwie ciotki. Zaproponowali mi miejsce na sofie obok babci. Mama Amrity przyniosła mi wody w szklance. O nie, jeszcze tego brakowało, żebym tam

kogoś obraziła. Wypiłam solidny łyk i odstawiłam szklankę na podkładkę.

Amrita usiadła i rodzina zaczęła rozmawiać między sobą w języku hindi. Po gestach się domyśliłam, że jedna z ciotek chwaliła wygląd Amrity. Potem przez chwilę mówił ojciec i wszyscy z uwagą go słuchali.

- Opowiada teraz o pierwszym mężczyźnie, którego zaprosił. Jest inżynierem zatrudnionym przez miasto. Coś związanego z gazociągami i rurociągami. Mamy zgodne horoskopy, no i nie przeszkadza mu, że pracuję.

- Ani jej wiek. Nie potrzebuje młodej żony - dodał ojciec. Wszyscy pokiwali głowami, doceniając tę łaskawość.

- Dwa lata mieszkał w Stanach, jest bardzo nowoczesny - poinformował mnie ojciec Amrity.

Czułam się tam cholernie niezręcznie. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić, kiedy przyjdzie ten facet z rodziną.

- Czy kiedy przyjdą goście, wolą państwo, żebym wyszła na zewnątrz czy może do innego pokoju...? - spytałam

Mama Amrity spojrzała na męża. Mąż chwilę myślał. W tym czasie wtrąciłam:

- Przewietrzę się trochę, żeby państwu nie przeszkadzać. Państwo Ramani spojrzeli po sobie. Pan Ramani pokiwał głową.

- Może niech Amrita zabierze panią w tym czasie do drugiego pokoju.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Pani Ramani poszła otworzyć. Amrita szybkim ruchem dłoni dała mi znać, żebym wstała, i niczym dwie nastolatki uciekłyśmy do sąsiedniej sypialni.

Tam usiadłyśmy po turecku na łóżku i czekałyśmy.

- O czym rozmawiają? - spytałam.

- Rodzice muszą sprawdzić, czy się polubią. To bardzo ważne. Jedni i drudzy muszą wiedzieć, że pochodzimy z dobrych rodzin.

- A po czym poznać „dobrą rodzinę”?

- Po pierwsze, wszyscy ci mężczyźni należą do kasty braminów, tak jak my. To już ułatwia sprawę.

- System kast naprawdę wciąż ma takie znaczenie?

- Mniejsze niż kiedyś, ale przy zawieraniu małżeństw, owszem.

- Poważnie? - Byłam przekonana, że to dawno odeszło w przeszłość.

- Tak, w pewnym sensie. Bramini, czyli nasza kasta, to byli księża i nauczyciele. Inteligencja. Potem mamy ludzi zajmujących się rolnictwem. I wreszcie robotników. To podobnie jak u was, gdzie jest podział na pracowników fizycznych i umysłowych, tylko tutaj to wynik wielowiekowej tradycji, no i mamy na to nazwy.

- A co z kastą niedotykalnych? Tak to się chyba nazywa? Ci ludzie na ulicach?

- Tak.

- Rodzą się w nędzy i w nędzy umrą, bez żadnej nadziei na poprawę losu?

Amrita pokiwała głową.

- Rząd próbuje im pomóc, ale oni znają tylko takie życie. Nie chciałam się z nią wdawać w spory polityczne tuż przed ważnym dla niej spotkaniem, ale to wciąż był dla mnie temat trudny do ogarnięcia. Amrita wyczuła moją dezaprobatę.

- Wy, turyści, przyjeżdżacie do Bombaju, widzicie biedę, pstrykacie te swoje zdjęcia. Potem wracacie do domu i myślicie, że widzieliście Bombaj. Ale to miasto ma też inne oblicza. Tak jak całe Indie. - Troszkę się obruszyła. Postanowiłam zmienić temat.

- O czym jeszcze rodziny ze sobą rozmawiają?

- Chcą wiedzieć, czy ojciec ma dobrą pracę, czy rodzeństwo jest odpowiedzialne i ma dobrą pracę. Innymi słowy, czy wszyscy są dobrze wykształceni. To jest bardzo ważne.

Po godzinie zapukała do nas pani Ramani.

- Możesz już przyjść - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem na twarzy. - To bardzo mili ludzie.

Amrita spojrzała na mnie, lekko wzruszyła ramionami, jakby mówiąc: „I tak nic z tego nie będzie”, i wyszła z pokoju. Oparłam się o ścianę. Byłam wykończona. Siedziałam tak kilka minut, gapiąc się przed siebie, i kiedy już miałam zasypiać, drzwi się uchyliły i ponownie weszła pani Ramani.

- Jego rodzina wyszła. Amrita wybiera się z nim teraz na spacer. Może pani już do nas przyjść, zapraszam.

Poderwałam się gwałtownie, żeby nie pomyślała, że przyszłam się u nich wyspać.

- Dziękuję, już idę.

Siadłam na sofie. Rodzina Amrity wciąż była w komplecie. Wszyscy patrzyliśmy na siebie z zakłopotaniem, więc postanowiłam zagadnąć:

- Bardzo mnie zaciekało, jak dużą rolę przy zawieraniu małżeństw w Indiach odgrywa astrologia.

Pan Ramani energicznie przytaknął.

- Bez niej ani rusz. Widzieliśmy odpowiednich kandydatów w Internecie. Z dobrych rodzin, z naszego środowiska, z dobrym zawodem. Ale horoskopy nie pasowały, więc nic z tego.

Pani Ramani pokiwała głową na potwierdzenie tych słów.

- U nas, w Ameryce, tego nie ma, dlatego to dla mnie dość niezwykle.

Pan Ramani wstał i zaczął się przechadzać po pokoju, tłumacząc mi wszystko jak nauczyciel w szkole.

- To bardzo proste. Małżeństwo opiera się na trzech filarach: młodzi muszą do siebie pasować emocjonalnie, intelektualnie i fizycznie. Jeżeli któraś z tych rzeczy szwankuje, małżeństwo nie będzie udane.

Zdziwiło mnie, że wspomniał o dopasowaniu fizycznym. Sądziłam, że życie seksualne młodej pary akurat najmniej kogokolwiek obchodzi.

- Na początku jest pożądanie, fascynacja, burza uczuć, ale potem to mija. Właśnie dlatego, że ludzie byli niedopasowani. Horoskop może nam wskazać, czy naprawdę będą do siebie pasować. Bo kto to przewidzi? Młodzi nie, rodzina też nie. Ale astrologia tak.

Coraz bardziej mnie to intrygowało. Jeżeli to prawda, co mówił, znaczyłoby to, że ci ludzie już wieki temu odkryli coś, co dla nas, głupich Amerykanów, wciąż stanowi zagadkę. Skąd wiedzieć, czy nasz związek przetrwa? Gdy spojrzymy na niewiarygodnie niski wskaźnik rozwodów w Indiach (1 procent), można przypuszczać, że coś jest na rzeczy. Oczywiście na to ma wpływ wiele innych czynników, na przykład to, że oni wchodząc w związek małżeński, mają zupełnie inne oczekiwania niż my. Postanowiłam podrażnić temat.

- Jeśli wolno spytać, gdzie w tym wszystkim jest miejsce na romans?

Pan Ramani nadal krążył po pokoju. To, co początkowo brałam za entuzjazm w wyjaśnianiu mi różnic kulturowych, teraz wydawało mi się po prostu zwykłym zniecierpliwieniem. Patrząc, jak chodzi tam i z powrotem, co chwila wkłada i wyjmuje ręce z kieszeni, zrozumiałam, że jest po prostu zdenerwowanym ojcem, który z niepokojem czeka na powrót córki z randki.

- Romans? A cóż to jest romans? To nic nie znaczy. - Wykrzywił usta z niesmakiem.

Pani Ramani zdawała się podzielać zdanie męża.

- To bardzo zachodnie myślenie. W naszej kulturze w małżeństwie liczy się co innego. Ważne, żeby się nawzajem o siebie troszczyć. Ja się troszczę o niego - wskazała na ojca Amrity - a on o mnie. - Położyła rękę na sercu. Uśmiechnęłam się do niej. W głowie mignął mi obraz Thomasa opiekującego się mną, kiedy umierałam ze strachu w samolocie. Poczulałam ukłucie bólu.

Pan Ramani mówił dalej.

- Widzi pani, ci mężczyźni, którzy chcą być romantyczni, szepczą czule słówka: „skarbie to, skarbie tamto”. Jeżeli potrafi tak się zwracać do pani, to znaczy, że do każdej następnej dziewczyny też. Te słowa nic nie znaczą.

Thomas też lubił do mnie mówić „skarbie”. Dopóki inny „skarb” nie przyjechał z drugiego końca świata, żeby go zgarnąć do domu.

Pan Ramani spojrział na zegarek. Amrity nie było już prawie godzinę.

- Ile pani ma lat? - spytała mnie pani Ramani.

- Trzydzieści osiem.

- I nie jest pani mężatką? - Na to pytanie ciotki się ożywiły i niecierpliwie czekały, co odpowiem.

- Nie, jeszcze nie. - Z nerwów sięgnęłam po wodę. Babcia chyba zrozumiała, co właśnie powiedziałam, ale zwróciła się do ojca Amrity w hindi. Ten przetłumaczył mi jej pytanie.

- Dlaczego jeszcze nie wyszła pani za mąż?

Ha, jesteśmy w domu. Zastanawiałam się, jakiej tym razem udzielić odpowiedzi. Po krótkim namyśle sięgnęłam po najczęstszą:

- Nie spotkałam dotąd odpowiedniego mężczyzny.

Pan Ramani przetłumaczył moje słowa, a babcia spojrzała na mnie ze współczuciem. Jedna z ciotek odezwała się po angielsku:

- A rodzina nie pomaga pani szukać? Wszyscy przyjrzeni mi się z uwagą.

- Nie, w Stanach nie ma takiego zwyczaju. Nie angażujemy w to naszych bliskich.

- Przecież chyba im zależy, żeby pani wyszła za mąż? - W głosie pani Ramani pobrzmiewała charakterystyczna nutka zatroskania.

Czuję się o wiele bardziej komfortowo, kiedy to ja zadaję pytania. Napiłam się wody.

- Tak, bardzo, ale chyba uważają, że jest mi dobrze tak, jak jest.

Tym razem wypowiedział się wujek:

- Tak nie może być. Człowiek jest stworzony do wielu rzeczy, ale na pewno nie do życia w pojedynkę.

Przełknęłam ślinę. Nieśmiało przytaknęłam, ale mój żołądek znowu skręcił się w supeł.

Pani Ramani nachyliła się do mnie i orzekła kategorycznie:

- Nie możemy iść przez życie samotnie.

Próbowałam się zdobyć na uśmiech, ale krew zaczęła mi odpływać z twarzy. Wszyscy się na mnie gapili. A ponieważ ogólnie byłam kłębkiem nerwów, z miejsca pociekły mi łzy z oczu.

- Mogę skorzystać z łazienki? - spytałam drżącym głosem. Wszyscy niepewnie spojrzeli po sobie.

Pani Ramani wstała.

- Tak, tak, oczywiście. Proszę za mną.

Popłakałam sobie trochę w ich toalecie, starając się to robić jak najciszej. Mniej więcej po pięciu minutach usłyszałam głos Amrity i jakieś wielkie poruszenie. Znudzona własnym nieszczęściem, wydmuchałam nos, ochlapałam twarz wodą (co, przypominam, n i g d y nie działa) i wyszłam. Jak

tylko pojawiłam się w salonie, pan Ramani z szerokim uśmiechem oznajmił:

- Udało się! Wezmą ślub!

Amrita promieniała. Jego rodzice uśmiechali się i ściskali syna. Sam kawaler, wysoki brunet z bujnym wąsem i włosami zaczesanymi do tyłu, wyglądał, jakby miał ochotę wyciąć hołubca. A ja stałam i patrzyłam na to wszystko opuchniętymi oczami, mając wrażenie, że oglądam scenę z filmu kostiumowego.

Gdy pierwsze emocje opadły, podeszła do mnie Amrita, wzięła mnie za rękę i odciągnęła na bok.

- Wspaniały człowiek. Całą drogę rozmawialiśmy. Tyle nas łączy. Jest zabawny i do tego inteligentny! Ależ mam szczęście! Nie mogę uwierzyć, że wychodzę za mąż! - Uściskała mnie z radości. - Gdyby nie rodzice, nigdy bym go nie poznała. Nigdy!

Byłam pełna podziwu, w jakim tempie to się odbywa. W Nowym Jorku, jeżeli jakiś facet ci się spodoba, umawiasz się z nim na drugą randkę. Tutaj planujesz przyjęcie zaręczynowe. Gdy jednak pomyśleć, jaki to cud trafić na kogoś, z kimś ma się ochotę iść na drugą randkę, to może oni mają rację? Może

chęć ponownego spotkania jest dowodem, że śmiało możecie dać sobie szansę i przyklepać sprawę?

Pan Ramani wydobył butelkę szampana, którą trzymał specjalnie na tę okazję, a jego żona rozdała kieliszki. Obie rodziny były w siódmym niebie. Z oczywistego powodu: dwie zagubione duszyczki, które błąkały się latami po świecie, bez przydziału, niczym luźne nitki wysnute z tkaniny społeczeństwa, niestworzone do samotności, wreszcie odnalazły swoje miejsce. Połączyły ze sobą dwie rodziny, a niedługo założą własną. Tą jedną decyzją, w ciągu jednej godziny, zapewniły sobie miejsce na ziemi, urządzone i gotowe do wprowadzenia się.

Oprócz tego, że czułam się jak intruz, uczestnicząc w tak prywatnych chwilach, zdałam sobie sprawę, że jeśli zaraz nie ucieknę od tego festiwalu radości, to wyskoczę przez okno. Poprosiłam Amritę, żeby zamówiła mi taksówkę, i wyszłam stamtąd najszybciej, jak się dało.

A potem kolejna podróż samochodem. Na szczęście znów była noc, więc większość dzieci, które normalnie bawiłyby się i zebrały na ulicy, spała teraz na rozłożonych pod gołym niebem kocach razem z rodzinami. W Bombaju nastąpiła pora snu. I tak niektóre starsze dzieci były na nogach. Kiedy

stanęliśmy na światłach, podeszła do nas dziewczynka z prawą ręką amputowaną poniżej łokcia i kikutem zaczęła tłuc w szybę. Lewą ręką pokazywała na usta.

Taksówkarz obejrzał się na nią, potem na mnie.

- Niech im pani nie daje pieniędzy. One tylko udają. Za tym stoją gangi.

Spojrzałam za szybę. W takim razie nieźle jej szło udawanie biednej hinduskiej dziewczynki bez ręki.

- Dlaczego rząd im nie pomaga? Dlaczego zostawia się ich na ulicy?

Taksówkarz wykonał nieokreślony ruch głową. Doskonała odpowiedź na, jak się domyślam, piekielnie trudne pytanie. Dziewczynka nie przestawała stukać kikutem rączki w okno.

Przez chwilę sobie wyobraziłam, jak to musi wyglądać: biała, elegancko ubrana Amerykanka gapi się na biedne dziecko i nie chce odkręcić szyby, nie chce pomóc. Spojrzałam na tę brudną, rozczochraną istotkę. To jest jej miejsce na ziemi. To jest jej kasta. Mieszka na ulicy i to się prawdopodobnie nigdy nie zmieni.

- Pieprzę to - wyrzekłam dość głośno i wyjęłam z torebki portfel. Odsunęłam szybę i dałam małej pięć dolarów. I dokładnie to samo zrobiłam z czwórką innych dzieci, które

nas nagabywały podczas drogi do hotelu. Taksówkarz kręcił głową z dezaprobatą, ale ja w duchu kazałam mu się pocałować w tyłek. Bo wiecie co? Może powiem banał, ale rozmiary nędzy w Bombaju są naprawdę zatrważające. Jakość życia tych ludzi jest koszmarna. A jeszcze bardziej oburza fakt, że najwyraźniej wszyscy mają to gdzieś. Byłam typową amerykańską turystką, która zobaczyła Bombaj tylko od tej gorszej strony. Turystką, która wróci do Nowego Jorku i powie: „Och, jaka tam panuje straszliwa bieda”. Wstyd mi, ale tak będzie.

Gdy dojeżdżaliśmy do hotelu, poczułam delikatne sensacje w żołądku. Nie przejęłam się tym zbyt, bo od początku pobytu w Bombaju z powodu pikantnego jedzenia, powietrza cuchnącego paloną gumą i ogólnego poczucia nieszczęścia ciągle dawał mi się we znaki.

Weszłam do windy i odetchnęłam z ulgą. Mówię wam, jazda ulicami Bombaju może człowieka wykończyć.

Kiedy jechałam na górę, znów stanęły mi przed oczami zebrzące dzieci. To było jak wyświetlany w kółko horror, którego nie da się wyłączyć.

Wzięłam prysznic, licząc, że to uspokoi mój żołądek i zmyje nieprzyjemne wrażenia z podróży taksówką.

Pomyślałam o rodzinie Amrity i jej narzeczonego, jak bardzo ci ludzie troszczą się o siebie nawzajem, jak im zależy, by każdy znalazł męża czy żonę, założył rodzinę i stał się częścią większej społeczności. A obok na ulicach żyją inne rodziny, którym do końca życia nie będzie wolno wejść w tę społeczność. I ci pierwsi, wykształceni, popijający szampana, mieszkający w luksusowych osiedlach, mają tych drugich kompletnie gdzieś.

Woda spływała mi na twarz, a ja próbowałam sobie wmówić, że to problem bardziej złożony, niż można pojąć w ciągu kilku dni. Ale potrafiłam myśleć tylko o pustce, którą widziałam w oczach tych dzieci. O mechanicznych ruchach ich rąk, kiedy do nas machały po drodze, jakby były tylko powłokami cielesnymi udającymi żywe dzieci.

Po wyjściu z kąpieli poczułam mdłości. Poszłam do łazienki i okazało się, że mam też biegunkę. Dalszą część nocy spędziłam więc właściwie w toalecie, pocąc się i gorączkując. Przy tym ciągle majaczyły mi przed oczami czarnowłose postacie śpiące na ulicy, stojące w progach ruder, zebrzące o jedzenie. Byłam bardzo chora i bardzo samotna w tym obcym kraju.

Następnego dnia spałam do południa. Zostałam w łóżku, nie mogłam znieść myśli, że musiałabym znowu gdzieś wyjść. Potrzebny mi był choć dzień przerwy.

Nagle przypomniały mi się słowa mamy Amrity. Miała rację, nie jesteśmy stworzeni do samotnej wędrówki przez życie, to przeczy ludzkiej naturze. Singlom należy współczuć. Nasze życie jest wybrakowane. Jesteśmy pozbawieni miłości, a nie czarujmy się, każdy jej potrzebuje. Ja mam wszystko prócz niej i odczuwam wielką pustkę.

Żałośnie to zabrzmiało, nawet w moich własnych uszach. Ale mam to gdzieś. Ilekroć jestem nieszczęśliwa - co się często zdarza - lubię się totalnie pogрузić w depresji, tak żeby dotknąć dna. Jeżeli chcecie to przerwać, dzwońcie na policję, bo inaczej ta zabawa potrwa do rana.

Tymczasem byłam w Indiach, kraju, gdzie ulice dosłownie roją się od ludzi żyjących w skrajnym ubóstwie. Dzieci bez domu, bez jedzenia, bez rąk. Czy wypadało mi tam siedzieć i płakać, że nie mam chłopaka?

Miałam nadzieję, że odpowiedź brzmi „nie”, ale nie byłam pewna. Zarzuciłam coś na siebie i poszłam na dół. W punkcie obsługi klienta siedziała śliczna dziewczyna o czarnych oczach podkreślonych grubą kreską. Moje oczy były

podpuchnięte, a włosy potargane. Wolałam nie myśleć, co sobie o mnie pomyślała.

- Przepraszam bardzo - odezwałam się zachrypniętym głosem, jeszcze tego dnia nie używanym - czy zna pani może jakieś instytucje dobroczynne, które potrzebują wolontariuszy?

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę. Nie do takich pytań przywykła.

- Nie rozumiem.

- Zastanawiam się, czy nie mogłabym choć przez kilka dni jakoś pomóc tym ludziom na ulicy.

Przypuszczam, że wzięła mnie za wariatkę. Grzecznie się uśmiechnęła i powiedziała:

- Chwileczkę, zapytam koleżanki.

Za nią były drzwi prowadzące do jakiegoś pomieszczenia. Zniknęła za nimi i po dziesięciu minutach wróciła.

- Przykro mi, ale nie mamy tego typu informacji.

- Naprawdę nie ma takiego miejsca, gdzie mogłabym przyjść i popracować społecznie?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Niestety, to niemożliwie. Przykro mi.

Wtedy do rozmowy wtrąciła się dziewczyna dyżurująca w recepcji. Młoda, mniej więcej dwudziestoletnia.

- Przepraszam, panią interesuje wolontariat?

- Tak - kiwnęłam głową.

Oczy jej się zaświeciły.

- Razem z koleżankami spotykamy się w każdą sobotę i jeździmy na uliczne festyny. Pomagamy ubogim dzieciom, które tam przychodzą, kupujemy im jedzenie, zabieramy na huśtawki. Dzisiaj właśnie się wybieramy.

- Mogę iść z wami?

- Jasne. Będę czekała tu na dole o szóstej. Pojedziemy moim samochodem.

Prawie się uśmiechnęłam.

- Bardzo pani dziękuję.

- Nie ma sprawy. A w ogóle mam na imię Hamida. -

Wyciągnęła dłoń.

- Miło mi cię poznać, Hamido. Ja jestem Julie.

- Mnie również, Julie.

Tego wieczoru znalazłam się w istnym morzu ludzi, tam byli chyba wszyscy mieszkańcy Indii. Przyjechałyśmy na festyn z okazji święta jakiegoś ważnego muzułmańskiego baby (przywódcy duchowego). Były tłumy nastolatków,

rodziny z dziećmi, pary - wszyscy śmiali się i wiwatowali. Ustawiono z pięć ogromnych kolorowo oświetlonych diabelskich młynów, przez co całość wyglądała jak jeden wielki zakurzony cyrk. Z głośników płynęła hinduska muzyka i męski głos przemawiający non stop w hindi. Ogólnie rzecz biorąc, kompletny chaos.

Stałyśmy tam z Hamidą i jej dwiema koleżankami, siostrami Jayą i Kavitą. To były młode kobiety ubrane bardzo nowocześnie w dzinsy i modne koszulki. Urodziły się w Londynie, ich ojciec jest biznesmenem, który wrócił tu do pracy. Ponieważ nigdy wcześniej nie widziały na oczy takiej skali ubóstwa, po przyjeździe do Bombaju przeżyły szok. Z Hamidą poznały się w ekskluzywnej prywatnej szkole, do której uczęszczały, i razem postanowiły coś zrobić, żeby pomóc.

Wymyśliły właśnie to: jeżdżą po festynach i targach, wyławiają dzieci, które są bez opieki lub żebrzą, i proponują im zabawy na karuzeli oraz kupują jedzenie. Nie jest to wiele, ale zawsze.

Oczywiście moja obecność - jedynej białej kobiety - działała jak miód na pszczoły. W ciągu paru minut podbiegła do nas piątka dzieciaków pokazujących palcami na usta.

Spojrzałam na Hamidę i jej koleżanki, oczekując, że przejmą inicjatywę. Hamida zaczęła do nich mówić w hindi. Nagle ucichły, jakby trochę wystraszone.

- To się często zdarza - szepnęła do mnie Jaya. - Są skonsternowane. Nikt im nigdy nie proponował przejażdżki na karuzeli.

Hamida cały czas do nich mówiła, pokazując na stoiska z jedzeniem i diabelskie młyny.

Dzieci wydawały się mocno zdezorientowane. Kavita też coś do nich powiedziała. Było widać, że trudno im się przeistoczyć z żebraków w normalne dzieci - to tak jakby wymagać od marionetki, aby sobie uświadomiła, że jest żywym chłopcem. W końcu, po wielu namowach, dziewczyny zaprowadziły je do budki z lodami. Kupiły każdemu po lodzie i po kolei wręczyły. Dzieciaki z zapałem zabrały się za konsumpcję. Już po chwili wszystkie były uśmiechnięte i mogłyśmy je zabrać na karuzelę. Porozsadzałyśmy je tak, żeby z każdą grupką był ktoś dorosły. Diabelski młyn ruszył, a one zaczęły się śmiać i krzyczeć. Pokazywały palcami w dal, zdumione tym, co widziały z tak wysoka. Wołały do siebie i machały.

Przez cały wieczór powtarzałyśmy to ze wszystkimi dziećmi, które udało nam się znaleźć. Bawiłyśmy się z nimi, kupowałyśmy jedzenie i smakołyki oraz korzystałyśmy z atrakcji wesołego miasteczka. Ja oczywiście nie znam hindi, ale parę razy udało mi się zrobić głupią minę albo odstawić zabawny taniec, co wywoływało salwy śmiechu. Muszę przyznać, że to było wyczerpujące. Patrzyłam z dużym podziwem na te młode Hinduski. Udało im się uchwycić istotę sprawy. Zamiast spędzać sobotnie wieczory ze swoimi chłopakami, na imprezach czy w barach, wołały przychodzić tu, w te brudne, hałaśliwe miejsca, żeby choć na kilka godzin tchnąć życie w te biedne dzieciaki.

Wróciwszy do hotelu, uwalana kurzem i lodami padłam na łóżko. Zrobiło mi się lekko na sercu, kiedy pomyślałam o minionym wieczorze. Pomogłam paru dzieciakom. Nie jestem jednak egoistką, jestem dobrym człowiekiem. Nie jestem żalosną beksą, lecz szlachetną opiekunką uciśnionych...

Lecz nagle, jakbym musiała rozdrapać swędzący strupek, zaczęłam uciekać myślami do Thomasa i jego żony. Wyobraziłam ich sobie na wakacjach na wsi z małym dzieckiem raczkującym na zielonej trawie, otwierających prezenty pod choinką, wylegujących się w łóżku w niedzielny

poranek. Próbowałam te obrazy odpędzić, wyrzucić z głowy. Wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju, żeby oczyścić umysł i w pewnej chwili, przy zapalonym górnym świetle, uchwyciłam swoje odbicie w lustrze. Zobaczyłam całą górną część ud pokrytą cellulitem. Spojrzałam niżej i mogę przysiąc, że zauważyłam też pierwsze jego oznaki na kolanach.

Przykro mi, ale nie wytrzymałam. Rozryczałam się. Oczywiście, że nie z powodu biednych hinduskich dzieci. Płakałam, bo miałam złamane serce, a teraz jeszcze w dodatku cellulit na kolanach.

Na pewno nie był to najbardziej chlubny moment w moim życiu.

Tymczasem w Stanach

Alice siedziała w sypialni z otwartą walizką na łóżku, całkowicie spakowana na wyjazd do Islandii. Zostały jeszcze trzy dni, ale ona już chciała być gotowa. To nawet nie było takie stresujące, bo doszła do wniosku, że skoro tam jest cały czas ciemno, to nieważne, co na siebie założy. Lecz tak jak w przypadku szukania męża, Alice nie lubi czekać do ostatniej chwili.

Trochę czasu jej zajęło wybieranie sukni na ten najważniejszy dzień. Znalazła coś odpowiedniego w zeszłym

tygodniu z pomocą siostry Jima, Lisy. Zdecydowała się na wełniany kostium w kolorze „zimowej bieli” lamowany futrem z norek. Niepoprawne politycznie, ale jakże piękne. W stylu Doktora Żywago, Zanotowała w myślach, żeby po powrocie wpłacić datek na organizację ochrony zwierząt.

Była dziewiąta rano, a ona nie miała zupełnie nic do roboty. Nie musiała już iść do Ruby, żeby zrobić jej zastrzyk. Co oczywiste, nie musiała też biec na spotkania z jakimiś konsultantami ślubnymi, florystami czy didżejami, bo wesela po prostu nie będzie. Wytłumaczyła Jimowi (a on z kolei swojej rodzinie), że ślub to bardzo intymne wydarzenie i chciałyby je przeżyć tylko z nim. Dodała też, że zawsze jej marzeniem było wziąć ślub na Islandii. To akurat nieprawda, więc dopiszcie to do listy jej grzechów obok tego futra. Rodziny udało się przekonać tylko pod jednym warunkiem: obiecali po powrocie urządzić wielką imprezę.

Tak więc siedziała na łóżku i miała przed sobą cały wolny dzień. Nie była już obrońcą z urzędu ani przyszłą panną młodą, nie była już nawet niczyją przyjaciółką. Przypomniała sobie, że ma za kilka dni zadzwonić do Ruby i zapytać, jak poszło. Nie wiedziała, jak to zrobić taktownie: „Cześć Ruby, i co, jesteś w ciąży?”. Nie, w takich sytuacjach lepiej jednak się

nie dopytywać. Jeśli ma się dowiedzieć, to się dowie w swoim czasie. Poszła do kuchni i nalała sobie kawy. Sama też nie cierpiała tych niby przypadkowych telefonów w dzień po jakiejś ważnej randce.

„Cześć, Alice, tu mama. Właśnie odkurzam mieszkanie i pomyślałam, że zadzwonię. A właśnie, jak poszło wczoraj?”

„Cześć, Alice, tu Bob. Czy to nie wczoraj byłaś umówiona z tym fajnym facetem? Jak było?”

„Cześć, Al, to ja. Jak poszło z tym gościem od funduszy hedgingowych? Musisz mi wszystko opowiedzieć”.

Popijając drugą kawę, poczuła ogarniającą ją ulgę. To już minęło. Nie będzie więcej telefonów. Teraz czas pomyśleć o Ruby i samej stać się jedną z tych irytujących osób, które dzwonią i pytają: „Cześć, Ruby, jesteś w ciąży?”.

Niestety, myśli o bieżących wydarzeniach, czyli ślubie z Jimem, też nie dawały jej spokoju. Miała ochotę ścisnąć skronie i te resztki odwagi i uczciwości, jakie w niej jeszcze pozostały, przekuć na jakieś działanie, lecz bez skutku. Myślała bowiem tylko o tym, jak bardzo ma już dosyć umawiania się z facetami. Zdawała sobie sprawę, że to oznaka słabości, poddanie się. Starła się tym przejąć, wzbudzić w sobie jakieś wyrzuty sumienia z tego powodu (w

przeciwieństwie do nerek), ale ciągle jej się przypominały te wszystkie randki, te telefony, i wiedziała, że to droga donikąd.

Tak czy owak zdecydowała się zadzwonić do Ruby i zapytać, jak poszło. Ruby odebrała telefon i opowiedziała jej o wszystkim: jak w ostatniej chwili stchórzyła, jak odwiedziła mamę i zdała sobie sprawę, że ma dziedziczną skłonność do depresji, jaka teraz jest dopiero załamana. Wspomniała też, że od dłuższego czasu nie widziała Sereny. Alice się zaniepokoiła. Martwiła się teraz i o Ruby, i o Serenę. Wreszcie miała czym zająć myśli.

* * *

Mark Levine siedział u szczytu stołu konferencyjnego, a Georgia i Dale po bokach naprzeciwko siebie. Georgia była oczywiście kłębkiem nerwów. Nie miała pojęcia, co dzieci powiedziały Levine'owi i co on im dzisiaj w związku z tym powie. Jeżeli zaproponuje coś, na co się nie zgodzą, będzie musiała wynająć adwokata, wydać mnóstwo pieniędzy i sprawa wyląduje w sądzie. Ale była na to gotowa. Nie pozwoli, żeby ta szuja Levine miał decydujący głos w kwestii, z kim powinny mieszkać jej dzieci.

Rzuciła okiem na Dale'a. Dziwnie wyglądał, jakoś niechlujnie. Nie ogolił się. Założył marynarkę, ale krawata już

mu się nie chciało. „Nareszcie - pomyślała. - Powoli do niego dociera, co mi zrobił. Co zrobił naszej rodzinie”.

Levine otworzył teczkę i wyjął dokumentację. Georgia i Dale siedzieli w milczeniu. Dale trzymał dłonie splecione na stole i skubał skórę wokół paznokcia.

- Jak wiecie, miałem okazję porozmawiać z każdym z was z osobna, jak również z waszymi dziećmi. Oto, co proponuję...

Zanim jednak skończył, wtrącił się Dale.

- Moim zdaniem, dzieci powinny zostać przy żonie - powiedział, nie odrywając wzroku od paznokcia.

Zaskoczona Georgia spojrzała na niego, a potem zaraz na Levine'a. Nie przesłyszała się?

- Słucham? - spytała, żeby się upewnić. Dale podniósł wzrok i spojrzał na nich oboje.

- Jest bardzo dobrą matką, tylko przechodzi teraz trudne chwile. Wiem, popełniła błąd, ale nie sędzę, żeby to się kiedykolwiek miało powtórzyć. Prawda?

- Nigdy w życiu - odparła.

Levine zdjął okulary i przetarł oczy.

- Jest pan pewien?

Dale kiwnął głową wpatrzony w stół. Georgii się zdawało, że oczy mu się zaszklily. Postanowiła go zagadnąć, żeby sprawdzić, czy faktycznie.

- Dale, naprawdę jesteś tego pewien? - spytała. Guzik ją to obchodziło, chciała tylko zobaczyć, czy płacze. Dale na ułamek sekundy podniósł głowę:

- Tak. Jestem.

Rzeczywiście miał łzy w oczach. Georgię ogarnęła naraz cała gama różnych uczuć: współczuła mu, że tak kiepsko wygląda, była mu wdzięczna, że zmienił zdanie, ubolewała, że sprawy tak się potoczyły. W zasadzie, gdy to wszystko razem zmieszać, to na tym polega miłość.

- Cóż, chyba mogę na to przystać - oznajmił Levine. - Miałem zamiar zaproponować...

- Czy to ważne? - przerwała mu Georgia. - Skoro się zgadzamy, czy musimy wiedzieć, co pan chciał zaproponować?

Mark Levine ściągnął usta i uprzejmie odrzekł:

- Nie. Oczywiście, że nie. Ale z poczucia obowiązku zachęcam, żeby pani spróbowała się nauczyć panować nad emocjami. To niedopuszczalne, żeby tak się zachowywać przy

dzieciach. One muszą wiedzieć, że pani i były mąż dogadujecie się i wspieracie.

- Całkowicie się z panem zgadzam, panie Levine. Dziękuję.

- Chce pan omówić kwestię odwiedzin? - zwrócił się do Dale'a.

- Mogę je brać do siebie co drugi weekend? I raz w tygodniu do miasta?

Georgia skinęła głową.

- Oczywiście. A jeśli będziesz chciał częściej je widywać, na pewno coś tam wymyślimy.

Dale lekko się uśmiechnął, a potem znowu spuścił głowę. Levine wstał od stołu.

- Cieszę się, że udało się to załatwić tak ugodowo. Każę przygotować wszystkie dokumenty.

Skierował się ku drzwiom. Na koniec jeszcze się obejrzał na Georgię i Dale'a, którzy wciąż siedzieli przy stole.

- Mogę tu państwa zostawić?

Każde innym wyrazem twarzy dało mu do zrozumienia, że może się nie obawiać, nie skoczą sobie do oczu, gdy tylko wyjdzie z sali.

Drzwi się za nim zamknęły, a Dale oparł łokcie na stole i złapał się za głowę. Georgia się nachyliła i dotknęła jego łokcia. Dale już nie ukrywał łez. Jedyne raz, kiedy tak płakał, to było na pogrzebie jego matki. Wtedy to Georgię bardzo wzruszyło. Pamięta, że stała przy nim na parkingu przed domem pogrzebowym i głaskała go po plecach. Kochała go w tym momencie całym sercem. Czuła, że na tym właśnie polega małżeństwo; razem przeżywa się radości i dramaty, narodziny i śmierć. Była wzruszona i dumna, że może być przy nim w jednej z takich chwil. Dzisiaj podobnie - czuła do Dale'a głęboką miłość. W tym niewielkim pomieszczeniu zrozumiała, że nie należy deprecjonować przeszłości, a nawet - jeśli terażniejszość nie istnieje - wspólną przeszłość należy szanować i rzekłaby, pielęgnować. Kiedy dotykała łokcia Dale'a, kolejny raz próbując go pocieszyć w chwili cierpienia, była przekonana, że on przeżywa coś podobnego. W końcu odczuwa ciężar zniszczenia wspólnej przeszłości, rozpadu rodziny. Mimo wszystko miała też trochę satysfakcji. Wreszcie pojawiła się refleksja, żal, świadomość powagi sytuacji.

- Zostawiła mnie - wypalił Dale, podnosząc głowę i ukazując Georgii zalane łzami oczy. Myślała, miała nadzieję, modliła się, że źle go usłyszała.

- Słucham? - zapytała z nutką dawnej pogardy w głosie.

- Melea mnie zostawiła. - Mocno ścisnął Georgię za rękę i jednocześnie odwrócił głowę. - Powiedziała, że nie chce się wiązać z kimś, kto ma dzieci, bo to wszystko komplikuje.

Georgia wzięła głębszy oddech i spokojnym głosem zapytała:

- To dlatego o nie nie walczyłeś? Chciałeś je wychowywać z nią?

W tym stanie psychicznym Dale nie miał siły kłamać.

- Myślałem, że byłaby świetną matką.

Georgia miała teraz prawo zrobić lub powiedzieć wiele rzeczy. Mogła na niego nawrzeszczyć, że traktował ich dzieci jedynie jako rekwizyt w swoim wyimaginowanym cudownym życiu z Meleą. Że powinien się zastanowić, co zrobił, niszcząc dwunastoletnie małżeństwo, przez co ich syn i córka dołączyli do statystyk dzieci z rozbitych rodzin, a to, co się teraz dzieje, może się odbić w przyszłości na ich psychice. I wreszcie, że zdaje się tego wszystkiego nie zauważać, ponieważ jest zbyt

zajęty opłakiwaniem swojej brazylijskiej dziwki (pan wybacz, panie Levine), którą znał zaledwie kilka miesięcy.

Ale to nie była pora, by myśleć o Dale'u ani o życiu uczuciowym swoim czy jego. Dale był wystarczająco zajęty myśleniem o sobie. Teraz Georgia musiała pomyśleć o dwójce swoich pokrzywdzonych dzieci i postarać się ze wszystkich sił, aby w ich życiu nie zabrakło stabilności, radości, dyscypliny i zabawy. Tylko to miała teraz w głowie.

* * *

Z reguły rano wszystko wygląda lepiej. Wschodzi słońce, ludzie są wypoczęci, a światło dnia rozjaśnia smutki. Są jednak w życiu człowieka okresy, gdy sprawy mają się tak źle, że poranek przynosi tylko świeżą porcję cierpienia, boleśnie przypomina o ponurym losie. Taki też był ten poranek dla Kipa i Sereny. Noc spędzili na sofie, chłopiec obudził się z płaczem. Wciąż leżał z głową na kolanach Sereny.

- Ja chcę rozmawiać z mamą! Ja chcę rozmawiać z mamą!

- Już do niej dzwonię - powiedziała Serena, zerwała się i chwyciła za telefon. Była szósta rano. Mogła sobie tylko wyobrazić, co Joanna przeżywała tej nocy. Gdy wykręcała numer, Kip stał obok w napięciu i ciężko oddychał.

- Joanna? Tu Serena. Kip chce z tobą rozmawiać. - Podała mu słuchawkę. Brał ją ostrożnie, jakby miała mu wybuchnąć prosto w twarz.

Słuchał w milczeniu. Serena nie wiedziała, co Joanna do niego mówi. Czy z Robertem wszystko dobrze?

- Uhm. To super, mamó. - Odłożył słuchawkę. Serena patrzyła wyczekująco.

- Tata wraca do domu - oznajmił z ulgą Kip i z powrotem rozłożył się na sofie. Wziął pilota i zaczął oglądać film, w którym Robert grał kowboja poszukującego swego syna.

„Robert wraca do domu? Ale czy to dobry znak, czy zły?” Serena nie wiedziała. Zabrała się więc za to, co w takiej sytuacji potrafiła najlepiej.

- Usmażę ci omlet z boczkiem, chcesz? - zawołała do Kipa.

- Może być, dziękuję - odparł Kip wpatrzony w telewizor. Serena w ciszy zabrała się do pracy.

O dziewiątej zadzwoniła Joanna i przekazała jej najświeższe informacje. Robert wciąż nie oddycha samodzielnie, został podłączony do respiratora. To zdecydowanie niedobra wiadomość. Joanna uprzedziła też, że z Montany przyleci dziś matka i brat Roberta, a z Chicago

rodzice Joanny, i czy Serena mogłaby być tak miła i ich przyjąć. Oczywiście, że tak. Cokolwiek, byle tylko jakoś pomóc.

Wkrótce telefony zaczęły się dosłownie urywać. Joanna powiadomiła ze szpitala znajomych i krewnych, a ci nie mogąc jej złapać na komórce, wykręcali numer domowy. To byli bliscy przyjaciele, znajomi z pracy, agenci, managerowie - wszyscy naraz chcieli wiedzieć, co się dzieje. Niestety, wieści przedostały się też do prasy, więc przed budynkiem już koczowali fotoreporterzy. Zaczęły także napływać kwiaty, a nawet kosze z jedzeniem.

Okolo południa przyjechali rodzice Joanny. Byli to skromni starsi ludzie, niewysocy, siwowłosi, bardzo sympatyczni. Wtaszczyli walizki i zaczęli się rozbierać. Kip wybiegł im na powitanie. Ściskali go chyba z piętnaście minut. Wreszcie podnieśli wzrok i zobaczyli Serenę.

- Witam, jestem Ginnie - powiedziała matka Joanny, wyciągając rękę. - Joanna dużo o tobie opowiadała.

Serena potrząsnęła jej dłonią.

- Cieszę się, że mogłam pomóc.

- O nie, zrobiłaś coś znacznie cenniejszego - dodał ojciec Joanny i też wyciągnął rękę. - Jestem Bud.

- No dobra, to jak możemy pomóc? - zatarła dłonie Ginnie.

Serena zobaczyła, że to dwoje krzepkich ludzi, którzy z cierpieniem i smutkiem radzą sobie w stary dobry sposób - ciężką pracą. Poleciała więc Ginnie zrobić pranie, a Buda poprosiła, aby został odźwiernym. Sama tymczasem nie odchodziła od kuchni i przy okazji odbierała telefony. Kip w kółko oglądał ten sam film, znieruchomiały, jakby w śpiączce.

O drugiej Joanna zadzwoniła z karetki, że będą w domu za pięć minut. Wszystko było przygotowane. Sypialnia wysprzątana i odkurzona przez Ginnie. Zapas jedzenia na tydzień. A tłumy reporterów przed wejściem opanowane, ponieważ Bud się wkurzył i wezwał policję, więc teraz ona pilnowała porządku. Brawo, Bud.

Nikt tak naprawdę nie wiedział, czego się spodziewać. Usiedli i czekali na przyjazd Joanny i Roberta.

W budynku była winda przemysłowa, którą wjeżdżało się wprost do mieszkania. Gdy wreszcie przyjechali, wraz z nimi wkroczyła do domu cała nowa rzeczywistość. Robert leżał na wózku wieziony przez dwóch pielęgniarzy. Za nimi szły dwie kobiety w białych fartuchach oraz mężczyzna w zielonym, przypuszczalnie lekarz. Joanna była gdzieś w środku tej

grupy. Błada i apatyczna, wyglądała o wiele starszej, niż kiedy stąd wyjeżdżała dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Wszyscy udali się za Robertem do jego pokoju. Robert był nieprzytomny, wyjęli mu już rurkę intubacyjną, teraz był tylko podłączony do jednej kroplówki, którą niosła za nim pielęgniarka.

„Przywieźli go do domu, żeby umarł”. Serena w końcu dopuściła do siebie tę myśl. Nie ona jedna. Kip, jak tylko zobaczył ojca, zaczął wyć.

- Czy on się obudzi? MAMO, KIEDY TATA SIĘ OBUDZI?

Joanna chciała go przytulić, ale uciekł.

- NIE! NIE! - Pobiegnął do siebie i zatrzasnął drzwi.

O wpół do trzeciej zjawiała się matka Roberta, drobniutka kobieta w golfie, džinsach i adidasach. Na głowie miała krótką trwałą zafarbowaną na jasny brąz. Widać było, że ma za sobą długą, bolesną podróż i każdy gram energii, jaki jej jeszcze pozostał, chce zachować dla syna. Wchodząc, ucałowała Joannę, ukloniła się pozostałym i od razu do niego poszła.

Okolo piątej zaczęli się schodzić znajomi. Więcej niż znajomi, bardzo bliscy przyjaciele. Najściślejszy krąg. W sumie około dwudziestu osób. Wszyscy zachowywali się

bardzo taktownie, przyciszali głos w rozmowach, czasem żartowali, lecz zawsze z wyczuciem. Atmosfera była poważna, ale nie grobowa.

Serena tymczasem starała się nad wszystkim zapanować. Nie tyle nad gośćmi - nie było takiej potrzeby - lecz przede wszystkim musiała zagospodarować ogromne ilości jedzenia, które ze sobą przynieśli. Każdy, kto wchodził, wręczał to ciasto, to butelkę wina, to jakąś potrawę w półmisku. Serena rozpakowała, co się dało, resztę upchnęła w spiżarni i zabrała się do roboty. Nagle musiała zaimprovizować spore przyjęcie. Zorganizowała papierowe naczynia, ustawiła szwedzki stół, a zanim wybiła siódma, gotowy był nawet dobrze zaopatrzony barek.

Około dziewiątej nastawiła płytę z łagodnym jazzem (Robert uwielbiał jazz), ale wcale się nie zanosilo, żeby ktokolwiek z gości wybierał się do domu. Serena nigdy się z czymś takim nie spotkała. Była świadkiem czegoś niezwykle ważnego i głębokiego i to ją ogromnie poruszyło.

Co więcej, to nie była jakaś zwykła grupa ludzi - wśród nich byli znani aktorzy i aktorki, prezenter wiadomości i oscarowy scenarzysta. Serena zaczęła pojmować, że ma do czynienia z czymś pierwotnym. Ludzie show - biznesu tworzą

plemię. Jeden z nich umiera, więc pozostali zgromadzili się przy nim. Właśnie tak od zarania dziejów postępują ludzie w chwilach zmartwienia. Gromadzą się. Razem płaczą, pocieszają się, jedzą.

Godziny mijały, goście nadal toczyli rozmowy i sączyli drinki, lecz co jakiś czas ktoś wybuchał płaczem. Za chwilę ktoś inny. I już wszystkim wilgotniały oczy, robiło się cicho i posepnie. Mężczyźni płakali otwarcie, kobiety po prostu stały i się obejmowały. To ludzie mediów, którzy nie wstydzą się okazywać uczuć, ale to bynajmniej nie było na pokaz.

Ileokroć Joanna wychodziła od Roberta, wszyscy milkli w oczekiwaniu. Joanna wybierała którąś z osób i mówiła:

- Chcesz się z nim teraz zobaczyć?

Dana osoba kiwała głową, odstawiała drinka i szła w stronę pokoju. Nawet przeżywając taki koszmar, jakim jest patrzeć na umieranie męża, Joanna nie zapomniała o potrzebach innych. Powoli pozwalała im wszystkim ostatecznie się z nim pożegnać. Najwyraźniej to nie miało długo potrwać.

Przez cały ten czas Kip chował się w swoim pokoju. Wśród gości był pewien młody aktor, Billy, który niedawno zadebiutował w komedii romantycznej i zanosilo się, że

zostanie wielką gwiazdą. Jemu Kip pozwolił na chwilę wejść i pograć ze sobą w gry wideo, ale to wszystko.

Joanna weszła do kuchni, żeby odstawić szklankę.

- Na pewno jest rozżalony - zagadnęła Serena.

- Tyle ludzi w domu, rozmowy, śmiechy, podczas gdy jego tata... - urwała Joanna. - Ale kiedyś to zrozumie. Przypomni sobie, jaką miłością otaczano jego ojca, ilu ludzi przyszło, bo go po prostu kochali.

Schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Serena podeszła i otoczyła ją ramieniem. Czując jej dotyk, Joanna natychmiast się wyprostowała i opanowała.

- Nic mi nie jest. Muszę wracać. - Już miała wychodzić, kiedy nagle się odwróciła: - Mój Boże, Sereno, ty tu siedzisz cały dzień? Może miałaś gdzieś iść? Ja... nie miałam nawet chwili, żeby cię zapytać...

- Żaden problem. Nigdzie się nie wybieram. I obiecaj mi, że już nie będziesz się o mnie martwić, dobrze?

- Dziękuję.

Po jej wyjściu Serena zdała sobie sprawę, że nawet gdyby chciała, nie miałyby dokąd pójść. W tej chwili nikt na świecie nie potrzebował jej pomocy tak bardzo, jak ci ludzie. Nie czekał na nią żaden narzeczony ani dziecko. Zadzwoiła tylko

do Ruby, żeby się nie martwiła, ale to wszystko. W pokoju pełnym ludzi, którzy zdawali się wręcz stapiać ze sobą w swym żalu i miłości, i nie chcieli się rozstać z Robertem ani ze sobą nawzajem, Serena czuła się lekka jak piórko, wolna, niczym nie uwiązana. Gdyby nie to, że trzeba było tych ludzi nakarmić i się nimi zająć, miała wrażenie, że mogłaby się unieść w powietrze i odfrunąć.

Lekarz co kilka godzin wpadał skontrolować stan Roberta. Nazywał się Grovner, ale wszyscy mówili mu po imieniu - Henry. Był przyjacielem rodziny i przypadkiem akurat onkologiem. To dzięki temu Robert mógł leżeć we własnym domu i mieć tak fantastyczną opiekę. O wpół do dwunastej w nocy pan doktor znowu się zjawił i poszedł prosto do Roberta. O północy wszyscy zebrani w salonie usłyszeli dobiegający z sypialni płacz jego matki i słowa Joanny:

- Nie martw się, mamo, jeszcze wszystko będzie dobrze.

Doktor Grovner wyszedł. Wszyscy już zdążyli zamilknąć. Strwożeni, ze łzami w oczach.

- To już długo nie potrwa - rzekł cicho.

Billy, który już był z powrotem w salonie, rozkleił się. Matka Joanny podeszła i delikatnie poklepała go po dłoni. Jakaś kobieta uciekła do łazienki, skąd po chwili dobiegł jej

szloch. Inna kobieta, bardzo ładna, którą Serena pamiętała z filmu, gdzie grała główną rolę obok Roberta, zaczęła się po prostu kołysać w przód i w tył. Potem z sypialni wyszła Joanna. Uśmiechnęła się do wszystkich i poszła prosto do kuchni. Chciała zmoczyć szmatkę w zlewie. Serena akurat napełniała kubek lodem. Joanna wykręciła szmatkę, zbliżyła się do niej i cicho powiedziała:

- Nie musisz tego robić i proszę, nie czuj się zobowiązana, ale jeśli chcesz, możesz wejść tam ze mną i się pożegnać.

Serena się rozplakała. Natychmiast zakryła ręką oczy i zawstydzona odwróciła się od Joanny. Szybko otarła łzy i odpowiedziała z uśmiechem:

- Oczywiście, że chcę.

W sypialni było ciemno, paliła się tylko świeczka. Przez okna wychodzące na Hudson widać było migoczące w oddali światła New Jersey. Matka Roberta siedziała przy łóżku z zamkniętymi oczami i trzymała go za rękę. W głębi czuwała pielęgniarka, prawie niewidoczna w mroku. Joanna usiadła w fotelu po drugiej stronie łóżka i wpatrywała się w męża. Kipa tam nie było. Robert był już odłączony od respiratora, a jego oddech był bardzo słaby. Wyglądał potwornie, był blady i

wychudzony, nie do poznania. Pierwszym odczuciem Sereny było oburzenie. Nie mogła przeżyć, że Robert, ten silny, energiczny Robert, który ślizgał się w skarpetkach po parkiecie, sprzedawał jej przyjazne kuksańce w ramię, bezlitośnie droczył się z żoną, leżał teraz w łóżku w takim stanie. To skandalicznie ponizające. Niczym sobie na to nie zasłużył. Powinien żyć długo i szczęśliwie, u boku żony, którą ubóstwiał, w otoczeniu przyjaciół. Po - . winien doczekać dnia, gdy jego syn pójdzie na studia, zakocha się i ożeni. Niestety.

Joanna spojrzała na męża. Cokolwiek teraz przemknęło jej przez głowę - myśl, wspomnienie, emocja - załamało ją. Pochyliła się i całym jej ciałem wstrząsnął szloch. Serena widziała przed sobą rozpacz w czystej postaci; autentyczne cierpienie płynące z samej głębi ludzkiej istoty.

W mgnieniu oka wszystko zrozumiała. O co chodzi z tym życiem, miłością, przyjaźnią, wspólnotą. Pierwszy raz w pełni pojęła, co to znaczy prawdziwie uczestniczyć w doświadczeniu bycia człowiekiem. Właśnie zyskała pewność, że należy stawiać wszystko na jedną kartę i kochać żarliwie, całym sobą. Angażować się w świat w sposób, w jaki ona sama tego nigdy nie robiła w całym swym ułożonym,

zdyscyplinowanym i świadomie pozbawionym przyjemności życia. Podobnie zaczynała się czuć przy Swamim Swaroopie, lecz po tamtej porażce obiecała sobie nigdy więcej nie narażać się na coś takiego. Pogodziła się z tym, że resztę życia spędzi samotnie, mając za to święty spokój. Ale stojąc w tym pokoju, w najciemniejszym, najbardziej groteskowym i okrutnym świetle, jakie można sobie wyobrazić, dostrzegła, co może stracić. Nie odrywała wzroku od zapłakanej Joanny. Nigdy nie zdoła tego nikomu dostatecznie wytłumaczyć, ale właśnie wtedy dotarło do niej z całą siłą, że nadszedł czas, by przyłączyła się do tej zabawy - cudownej, okrutnej, wzniosłej i bolesnej.

Zasada 11

UWIERZ W CUDA

W kilka godzin po śmierci Roberta Serena zadzwoniła powiedzieć o tym Ruby. Nie dało się ukryć informacji przed dziennikarzami, więc było o tym głośno w radiu i telewizji. Ruby z kolei zawiadomiła Alice, a Alice Georgię.

Serena wyszła na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. Przez mieszkanie Joanny wciąż przewijał się tłum ludzi, tym razem przychodzili z kondolencjami. Serena stwierdziła, że to trochę potrwa, więc może sobie zrobić przerwę. Przed budynkiem zgromadzili się reporterzy, stały wozy transmisyjne, lecz Serena zdołała się przemknąć niezauważona. Ze spuszczoną głową minęła policyjne barierki. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła Alice, Georgię i Ruby przyglądające się jej z zaniemowieniem. Wybuchnęła płaczem. Dziewczyny natychmiast podbiegły ją przytulić. Uwolniła z siebie wszystkie emocje, które nagromadziły się w niej przez ostatnie kilka dni. Dziewczyny otoczyły ją ciasnym kręgiem, osłaniając przed ciekawskimi spojrzeniami, a ona nie mogła przestać płakać, cała się trzęsła, z gardła wydierał się niepojęty szloch. W końcu uniosła mokrą,

zaczerwienioną twarz i spojrzała na ich twarze. Ruby, Alice i Georgia to nawet nie były jej przyjaciółki, ledwie znajome. A jednak przyszły.

- Fajnie, że jesteście. Dzięki... - powiedziała łamiącym się głosem.

Alice otoczyła ją ramieniem.

- Musiałyśmy przyjść.

- Możesz na nas liczyć, o nic się nie martw - dodała Georgia.

- Chcesz się przejść? - spytała Ruby.

Serena pokiwała głową. Poszły nad rzekę i usiadły na ławce. Na drugim brzegu było widać budujące się wieżowce New Jersey oraz gigantyczny zegar Colgate wskazujący niewłaściwą godzinę.

- Ona go tak kochała - westchnęła Serena. - Był miłością jej życia. Nawet sobie nie wyobrażam, co teraz przeżywa.

Ruby, Alice i Georgia pokiwały głowami - one też nie.

- Trudno sobie nawet wyobrazić, jak to jest spotkać taką miłość życia, a co dopiero ją stracić. I to w tak młodym wieku - mruknęła Ruby.

Georgia zastanowiła się nad swoim małżeństwem. Czy Dale był miłością jej życia? Chyba tak, w pewnym momencie.

Ale już nie. Może więc się nie liczy? Pozostała tylko nadzieja, że gdzieś tam istnieje mężczyzna, który okaże się naprawdę tym jedynym.

- Mam nadzieję, że docenia, jakie miała szczęście.

Serena kiwnęła głową.

- Myślę, że tak. - Wydmuchała nos w chusteczkę podsuniętą przez Alice. - Myślę, że tak.

Przez całą drogę w taksówce Alice zastanawiała się nad określeniem „miłość życia”. Myślała o Joannie i ogromnych zmianach, które ją czekają. No i oczywiście myślała też o podróży na Islandię, gdzie ma wziąć ślub z człowiekiem, który nie jest miłością jej życia.

Dotarłszy do domu, skierowała kroki prosto do sypialni. Spojrzała na spakowaną walizkę. Bilety na samolot leżały na komodzie. Jim powiedział, że wpadnie na kolację. Alice usiadła na łóżku. Co to właściwie znaczy - miłość życia? Szkoda, że Serena w ogóle użyła tych słów, teraz nie chciały się od niej odczepić. Rzuciła okiem na swój cudowny ślubny kostium z futerkiem. W Ameryce, kiedy przedstawiasz ludziom przyszłego męża, od razu zakładają, że to miłość twojego życia. Zakochałaś się i dlatego postanowiłaś za niego wyjść. To wcale nie musi być prawdą, ale utwierdzają cię w

tym przekonaniu. Gdybyś mieszkała w Indiach, Chinach czy gdziekolwiek, ludzie by tak nie myśleli. Uznaliby, że wasze rodziny zaaranżowały małżeństwo lub może wychodzisz za mąż z rozsądku. Ale tu, w Ameryce, kiedy mówisz o mężu, od razu się przyjmuje, że kiedyś tam musiałaś być w nim zakochana na tyle, by zechcieć go poślubić. Alice często się zastanawiała, czy zdoła żyć w takim fałszu, wiedząc, że nie poślubiła miłości swego życia. Jeszcze kilka tygodni temu liczyła, że w jakiś zaczarowany sposób zdąży się przed ślubem zakochać w Jimie po uszy. Niestety, tak się nie stało. Zawsze się przy nim troszkę nudziła, a potem czuła się winna. Żeby to zrekompensować, okazywała mu więcej uwagi, na siłę starała się dostrzec w nim coś interesującego. Ale to się nie mogło udać, bo Jim nie był i nigdy nie będzie miłością jej życia. W najlepszym razie będzie kimś, kogo Alice bardzo lubi i komu bardzo wiele zawdzięcza.

„Miłość życia, miłość życia”. Stojąc pod prysznicem, uświadomiła sobie, że znów wszystko sprowadza się do jednego: o co jej tak naprawdę w życiu chodzi? Rzeczywiście myślała, że gdzieś czeka na nią ten jedyny? Rzeczywiście uważa, że mądrze zrobiła, zapuszczając się w tę dżunglę w nadziei, że go w końcu kiedyś odnajdzie? Po co tak się

upierała? Wycierając ciało ręcznikiem, zrozumiała, że wcale nie chce być kobietą, która odmawia kompromisów. Taką, która uważa, że życie trwa krótko i lepiej być singielką czekającą na księcia z bajki niż się poddać i brać, co dają. Nie chciała nią być, bo to niemądre i naiwne. Alice lubiła w sobie to, że jest praktyczna; jako prawnik wolała myśleć realistycznie. Szukanie drugiej połówki jest bardzo wyczerpujące. Bywa też złudne. Owszem, są szczęśliwcy, którzy wygrywają na tej loterii i udaje im się zakochać z wzajemnością, a potem wieść życie pełne miłości i harmonii. Lecz Alice nie chciała być kimś, kto uparcie trzyma się czegoś, co być może nigdy nie nadejdzie.

Owinięta w ręcznik usiadła na łóżku i się rozplakała. Objęła nogi rękami, oparła głowę na kolanach i zaczęła się kiwać w przód i w tył.

Uzmysłowiła sobie, że jest taką kobietą.

Kobietą, która mając trzydzieści osiem lat, nie potrafi porzucić marzeń, że kiedyś spotka mężczyznę, przy którym serce zabije jej mocniej, i razem spędzą życie. Płakała, bo wiedziała, co to oznacza: będzie musiała żyć z lękiem, że nigdy nie zdoła założyć rodziny i z powrotem wylądować w

świecie, gdzie nie ma żadnych gwarancji, a jedynie nadzieja. Wiedziała, że znów zostanie sama.

Kiedy zjawił się Jim, była już ubrana, ale nie przestała płakać. Wszedł, taszcząc za sobą wielką walizkę. Powiedziała mu od razu.

- Zaslługujesz na kobietę, która będzie miała pewność, że jesteś miłością jej życia - chlpała. Potem w potoku słów przeplatanych płaczem i przeprosinami wyznała, że nie może za niego wyjść - ani w Islandii, ani tutaj, nigdzie.

Teraz on miał łzy w oczach.

- Ale ty jesteś miłością mojego życia. To nic nie znaczy? Alice pokręciła głową.

- Nie sędzę, że bym mogła nią być, skoro ty nie jesteś moją.

Jim zaczął krążyć po pokoju. Długo rozmawiali. Wkurzył się. Alice w kółko go przeproszała. W końcu zrozumiał. Wybaczył jej i życzył powodzenia. Zostawił ją w sypialni zalaną łzami, zdruzgotaną. Z jej punktu widzenia to ona gorzej na tym wyszła. Patrzyła, jak wychodził wstrząśnięty i załamany, i dostała potwornych wyrzutów sumienia. Ale jednocześnie wiedziała, że Jim jeszcze się w życiu zakocha. Pozna kogoś, będzie miał dzieci i będzie bardzo szczęśliwy.

Co do siebie nie była taka pewna. Położyła się na kanapie i jeszcze bardziej zaczęła płakać.

Kiedy nazajutrz rano zadzwoniłam do niej i dowiedziałam się, co zaszło, poczułam ulgę. Co ja sobie wyobrażałam, namawiając ją, żeby wyszła za Jima? Kim ja jestem, żeby jej udzielać jakichkolwiek rad, a co dopiero w sprawie ślubu z facetem, którego nie kocha? Odniosłam jednak wrażenie, że jest bardziej przygnębiona niż kiedykolwiek. Pomyślałam, że czas wracać do domu i pomóc przyjaciółce. Ale zaraz wpadł mi do głowy lepszy pomysł.

- Słuchaj, może się spotkamy na Islandii? Masz przecież bilet. Wykorzystaj go.

- Że co, mam spędzić miesiąc miodowy z tobą? - spytała Alice, bynajmniej nie zachwyconym tonem.

- To podobno niezwykły kraj, zawsze chciałam go zobaczyć. - To prawda, wszyscy znajomi, którzy tam byli, wracali oczarowani. Nie pamiętam dokładnie, czym w szczególności, ale mniejsza o to. - Tobie też przydałoby się uciec gdzieś na chwilę.

- Ale może nie tam, gdzie miałam jechać w podróż poślubną.

- Daj spokój, to Islandia w środku zimy, a nie Hawaje. Szybko o tym zapomnisz, obiecuję. No zgódź się, będzie fajnie.

Na lotnisku w Bombaju weszłam do damskiej ubikacji. Zastałam tam starszą kobietę w znoszonym fioletowym sari w białe kwiaty. Miała nawiedzone oczy, jakich wiele widziałam podczas pobytu w tym kraju. Przypuszczałam, że to babcia klozetowa, ale nie byłam pewna. Kiedy wyszłam z kabiny, podała mi papierowy ręcznik, który całkiem spokojnie mogłam sobie wziąć sama. Potem pokazała na usta. No nie. To miasto jest bezlitosne. Ona mogłaby być moją babką, a zebrała w publicznej toalecie na bombajskim lotnisku. Dałam jej wszystkie rupie, jakie mi zostały. Następnie zrobiłam to, co przed każdym lotem, czyli połknęłam dwa lexomile i modliłam się, żeby dotrzeć cała i zdrowa.

Obudziłam się nieprzytomna, kiedy kapitan kazał się przygotowywać do lądowania. Lexomil trzymał do końca. Musimy być wdzięczni Bogu za te małe dobrodziejstwa.

Pogrzeb Roberta odbył się dwa dni po jego śmierci. Joanna postanowiła, że razem z Kipem polecą z rodzicami do Chicago na tydzień lub dwa, żeby uciec od dziennikarzy, chaosu i wspomnień. Dała Serenie dwa tygodnie płatnego

urlopu, z którymi ta zupełnie nie wiedziała, co zrobić. Kiedy więc zadzwoniła Alice, żeby spytać, co słyhać, i powiedziała jej o odwołaniu ślubu oraz o tym, że leci się ze mną spotkać na Islandii, Serena z miejsca się zapaliła:

- Mogę też przyjechać? Ja wiem, to twój miesiąc miodowy, ale...

- No jasne - natychmiast odparła Alice. - Nie wiem tylko, jakie tam mają jedzenie, czy będzie coś odpowiedniego dla wegetarian...

- A pieprzyć to. Wszystko, byle z umiarem, nie?

- Tak jest - uśmiechnęła się Alice.

Ruby tymczasem nie umiała się do końca otrząsnąć po rezygnacji z zabiegu. Znowu wpadła w dołek, rozmyślając, co straciła i jaki wielki popełniła błąd. Zastanawiała się, czy wzorem matki nie zacząć łykać antydepresantów, ale jakoś nie mogła się przekonać. Samotna kobieta w depresji biorąca antydepresanty - to dopiero brzmi depresyjnie.

Dzielnie jednak walczyła, żeby się całkiem nie załamać. Leżała na podłodze w sypialni i robiła brzuszki, żeby pobudzić wydzielanie endorfin. Spotkanie z Sereną i ta historia z Robertem przypomniały jej, że życie jest krótkie i nie należy tracić czasu na opłakiwanie tego, co mogło być, ale

się nie stało. Niemniej jednak rozważała w myślach, jak by to było, gdyby zapłodnienie się powiodło i powstałby dzidzius. Na pewno byłby śliczny. Serena wsunęła głowę do pokoju i oznajmiła, że właśnie rozmawiała z Alice i wybiera się z nami na Islandię. Ruby przerwała ćwiczenia.

- Zawsze chciałam zobaczyć Islandię! - zawołała. - Podobno Reykjavik jest niesamowity! Mogę jechać z wami?

Serena była zaskoczona.

- Hm, myślę, że tak. Może jednak najpierw...

- Zadzwoń do Alice, żeby się upewnić. - I od razu złapała za telefon.

Spotkanie z Serena także Georgii dało dużo do myślenia. Zastanawiała się, czy to nie łatwa wymówka twierdzić, że miłością jej życia mogą być dzieci. Wiedziała, że nie mogą zastąpić mężczyzny ani intymnego związku, ale to niewątpliwie też jest miłość. Kochała tych dwoje małych ludzi ponad wszystko. Dopóki żyją, zawsze przecież pozostaną jej dziećmi. Najbliższy weekend miały spędzić u Dale'a, a ponieważ Georgia już przestała po całych dniach pielęgnować nienawiść do męża i uganiać się za facetami, nie wiedziała, co poczynić z taką ilością wolnego czasu. Kiedy więc Alice zadzwoniła z informacją, że Serena, Ruby i ja wybieramy się

na Islandię towarzyszyć jej w podróży poślubnej po ślubie, którego nie było, postanowiła się szarpnąć i też polecieć.

Moim zdaniem droga z lotniska może nam wiele powiedzieć o miejscu, które odwiedzamy. Zawsze jestem nieco rozczarowana, gdy nie mam poczucia, że znalazłam się za granicą. Nie ma to jak przelecieć pół świata, żeby potem wyjrzeć za okno i zobaczyć te same słupy telegraficzne i beton. Jadąc w Reykjaviku z lotniska do centrum, mijałam takie krajobrazy, jakich w życiu na oczy nie widziałam, ani nawet o nich nie słyszałam. Mogę je opisać tylko jednym słowem: księżycowe. Teraz wyobraźcie sobie, że lądujecie na Księżycu, który okazuje się porośnięty zielonym mchem, i odkrywacie, że zamieszkuje go całe mnóstwo atrakcyjnych jasnowłosych ludzi.

Przybyłam tam w fatalnej kondycji psychicznej. Ciągle czułam się upokorzona tym, co zaszło w Chinach, i nie zdążyłam się otrząsnąć z szoku po pobycie w Bombaju. Pragnęłam się znaleźć jak najdalej od tych miejsc. Reykjavik idealnie się do tego nadawał.

Do hotelu dotarłam wykończona. Był to nowoczesny szklany wieżowiec, własność linii Icelandair - trochę za duży jak na ten kraj i za mało przytulny jak na miesiąc miodowy.

Zameldowałam się w apartamencie Alice. Ona miała przylecieć dopiero rano, więc tej nocy miałam go tylko dla siebie. Był bardzo przestronny, miał salon, aneks kuchenny i wielkie łóżko, ale bardziej pasował do zapracowanego biznesmena niż zakochanej młodej pary. Wyobraziłam sobie, jak Alice bierze ślub o zmroku, a potem wraca do tego minimalistycznego wnętrza i uprawia zimny seks pozbawiony namiętności. Znowu zrobiło mi się głupio. „Czemu ją do tego zachęcałam? Kim ja jestem, do cholery? Nie mam prawa nazywać siebie przyjaciółką, a co dopiero wypowiadać się na jakikolwiek temat w książce”.

O siódmej rano zostałam obudzona przez wtaczające się do pokoju moje cztery przyjaciółki. Za oknem wciąż panował mrok, więc byłam lekko dezorientowana, zwłaszcza widząc je razem, na Islandii. Trochę trwało, zanim oprzytomniałam.

- Dzięki Bogu, że zarezerwowałam ten pokój na wczoraj. Powinnaś zobaczyć te tłumy turystów w holu. Masakra - powiedziała Alice, zdejmując kurtkę.

- Fakt. Ze czterdzieści osób drzemie na kanapach, czekając na zameldowanie - dodała Georgia i klapnęła na łóżku.

- A to gdzieś dopiero o trzeciej - mruknęła Ruby, badając zawartość barku. Nagle się odwróciła i spojrzała na mnie. - Jezu, ale fajnie cię widzieć! Tak długo cię nie było!

Usiadłam, oparłam się o stertę poduszek i skrzyżowałam nogi.

- A w a s jak fajnie widzieć! Nie macie pojęcia, jak się za wami stęskniłam.

Serena nachyliła się do mnie i długo mnie ścisnęła. Myślałam, że zaraz wybuchnie płaczem, ale w końcu mnie puściła.

- Muszę siku - powiedziała, pociągając nosem. Alice rozejrzała się po pokoju.

- Więc to tutaj miałam spędzić noc poślubną? Chyba czegoś nie dopatrzyłam.

- Słuchajcie, chodźmy na dół, zjemy śniadanie, a potem wybierzemy się do Błękitnej Laguny, co? - zaproponowałam, widząc, że za chwilę atmosfera w tym pokoju zrobi się ciężka.

- A co to takiego? - zapytała Ruby.

- Naturalne gorące źródła. Bardzo popularna atrakcja turystyczna, ale miejscowi też chodzą. Czytałam o tym w samolocie.

- Mieliśmy tam jechać z Jimem w dzień po ślubie - westchnęła Alice.

- To jedźmy! - zarządziła Georgia. - Wyśpimy się później!

Zeszły do bufetu, a ja w tym czasie się przebierałam. Kiedy wkładałam dżinsy, zadzwoniła moja komórka. Wyświetlił się numer nieznany, więc przypuszczałam, że to ktoś ze Stanów. Odebrawszy, usłyszałam głos Thomasa.

- Julie? Cześć, to ja.

„Nawet się nie waży mówić »to ja«, kiedy dzwonisz. Jakbyśmy wciąż byli sobie bliscy". Chciało mi się rzygać.

- Proszę, zostaw mnie w spokoju. - Tylko tyle zdołałam wycedzić.

- Julie, naprawdę jest mi bardzo przykro. Chciałem ci to znowu powiedzieć. To wszystko było dla mnie bardzo trudne.

- Nie chce mi się teraz z tobą rozmawiać, wybacz. Jeszcze się nie pozbierałam. - Rozłączyłam się. Chwilę stałam oparta o biurko. Gdybym pozwoliła sobie na płacz, już bym z tego pokoju nie wyszła. Wzięłam więc głęboki oddech i zeszłam na śniadanie.

Alice nie byłaby sobą, gdyby jeszcze na lotnisku nie wynajęła samochodu i nie miała już w ręku wszystkich

danych, jak dojechać do Błękitnej Laguny. Nam zostało więc tylko wpakować się do środka i ruszyć. Droga zajęła nam czterdzieści pięć minut. W ciemnościach trudno było się zorientować, gdzie jesteśmy, ale kiedy podjechałyśmy bliżej, zobaczyłyśmy coś, co przypominało wielką dziurę w ziemi buchającą dymem. Wysiadłyśmy z auta, przeszłyśmy przez bramkę i udałyśmy się prosto do szatni. Tam się przebrałyśmy w kostiumy kąpielowe i wzięłyśmy prysznic.

Na zewnątrz było piekielnie zimno, więc szybko weszłyśmy do wody, cieplej i przyjemnej. Pod stopami czułyśmy delikatny piasek. Trochę pochodziłyśmy, co jakiś czas przykucając, żeby ogrzać całe ciało. W końcu znalazłyśmy odludny zakątek, gdzie ze szczeliny w skale wydobywała się para. Działała jak prysznic. Roztaczał się stamtąd oszałamiający widok. Właśnie wschodziło słońce, więc niebo mieniło się odcieniami różu i błękitu. Obok laguny stała elektrownia geotermalna, która troszkę ten widok psuła, ale za to unoszące się z niej kłęby pary rozlewały się na pobliskie wzgórza. Zdecydowanie nie byłyśmy w Ameryce, a miałam wątpliwości, czy w ogóle na Ziemi.

Podczas gdy ja napawałam oczy tym niezwykłym krajobrazem, Georgia miała zgoła inny problem.

- W tych termalnych basenach woda jest zawsze taka mętna, że nawet nie wiadomo, czy jest czysta.

Nie wiedziałam, co jej powiedzieć. Byłam zbyt odprężona, żeby się tym przejmować. Alice ją uspokoiła.

- Czytałam, że regularnie ją wypompowują, więc tym samym oczyszczają.

Georgia rozejrzała się wokół siebie.

- To dobrze, bo na pewno ludzie przychodzą tu leczyć różne choroby skóry. Mogłoby być nieciekawie.

Serena spojrzała na nią z wyrzutem.

- Nie możesz się po prostu zrelaksować i cieszyć kąpielą? Tak tu przyjemnie.

Georgia kiwnęła głową. Była sobota, więc na kąpielisko zaczęli się schodzić zarówno turyści, jak i miejscowi. Niedaleko nas zainstalowały się dwie kobiety, blondynka i ciemnoruda. Obie tuż po czterdziestce, bardzo wysokie i bardzo ładne. Mówiły chyba po islandzku.

- Przepraszam - zawołała do nich Georgia. - Nie wiedzą panie, czy ta woda tutaj jest czysta?

Zmierzyły ją wzrokiem. Bałam się, że uznają to za niegrzeczność, ale wcale nie wyglądały na obrażone. Nie

zdziwiły się też ani trochę, że Georgia z góry założyła, iż znają angielski. Tak, my, Amerykanie, tak mamy.

- Tak, czysta - odparła blondynka z silnym akcentem. -
Bywam tu często.

Druga wzruszyła ramionami.

- Ja aż tak nie przepadam za pływaniem w tłumie ludzi, ale myślę, że jest czysta.

- Dziękuję bardzo - uśmiechnęła się miło Georgia i zanurzyła pod samą brodę.

Alice rzuciła okiem dookoła.

- Dziwnie się tu czuję. Dziś wieczorem byłby nasz ślub...

Nie mogłam dopuścić, żeby się rozkleiła.

- Ale chyba wiesz, że postąpiłaś słusznie?

- Wcale nie jestem taka pewna - pokręciła głową. - A jeśli to była moja ostatnia szansa i nigdy nie znajdę sobie faceta, nie mówiąc o mężu?

I znów żadna nie wiedziała, co jej odpowiedzieć. Kto może wiedzieć, co przyniesie przyszłość? Wszystkie lizałyśmy rany po bitwach i trudno nam było wykrzesać choć odrobinę optymizmu.

Pierwsza przemówiła Georgia.

- Przede wszystkim pamiętaj, że robiłaś wszystko, co mogłaś, żeby to wyszło. Niestety, nie dałaś rady. Oto twoja odpowiedź. Nie miałaś wyboru.

Alice niby przytaknęła, lecz nagle jej twarz wykrzywiła się w płaczu.

- Ale czemu nie dałam rady? Co jest ze mną nie tak? Na co ja czekam?

Przysunęłam się i objęłam ją.

Serena od początku zachowywała się raczej milcząco, lecz teraz się odezwała.

- Nasz czas jest bardzo cenny. Ty czekasz na kogoś, z kim naprawdę będziesz chciała resztę tego czasu spędzić. Inaczej to nie ma sensu.

Alice miała wątpliwości.

- Może jednak ma. Na przykład, żeby nie czuć się tak cholernie samotnie.

W tym momencie ja wybuchnęłam płaczem. Powstrzymałam się od telefonu Thomasa, ale dłużej już się nie dało. Samo poszło.

- Jesteśmy totalnie popieprzone, mówię wam. Przecież nasze pokolenie czuje się tak samo samotne jak wszystkie inne, tyle że my za nic w świecie nie chcemy się godzić na

ustępstwa, żeby się z tego wygrzebać. I szukamy tej cholernej igły w stogu siana, tego księcia z bajki, którego pokochamy, który przypadkiem nas też pokocha, i poznamy się w dogodnym momencie, gdy oboje akurat będziemy wolni i będziemy mieszkali w tym samym mieście. - Potoki łez spływały mi po twarzy. - Kompletnie popieprzone.

Ruby też się rozbeczała.

- Boże, ty masz rację.

I Serenie łzy pociekły z oczu.

Georgia patrzyła na te trzy lamentujące baby i próbowała nas jakoś rozchmurzyć.

- Hej, to ma być miesiąc miodowy? Nie tak go sobie wyobrażałam.

Starałyśmy się uśmiechnąć, ale wciąż za bardzo płakałyśmy. Dwie Islandki przyglądały się nam z niepokojem i zdziwieniem.

Rozmawiały w swoim języku, zerkając co chwila w naszą stronę. Robiłyśmy z siebie widowisko w miejscu publicznym, więc siłą rzeczy ludzie zaczęli zwracać uwagę. Georgia poczuła się w obowiązku nas wytłumaczyć.

- Po prostu wszystkie przechodzimy teraz trudny okres.

Domyślam się, że taki wylew emocji musiał stanowić trochę szokujący widok w tym uroczym, spokojnym miejscu, wśród tłumu powściągliwych Skandynawów i zadowolonych turystów.

- Może w czymś pomóc? - spytała ruda.

- Nie, nie, zaraz nam przejdzie. Mam nadzieję...

W blondynce zwyciężyła ciekawość.

- A co się stało, jeśli można spytać?

Georgia spojrzała na nas i po kolei wskazywała palcem:

- Alice właśnie odwołała swój ślub. Julie miała romans, który się bardzo źle skończył. Serena była świadkiem czyjeś śmierci, mnie o mało sąd nie odebrał dzieci, Ruby ma kliniczną depresję.

Islandki pokiwały głowami, żałując, że spytały, i z powrotem zajęły się rozmową. Potem zaczęły ścierać ze skał błoto, które następnie przykładają do twarzy. Oparły się wygodnie i pozwoliły maseczce działać cuda.

Georgia była pod wrażeniem.

- Te to umieją z tego korzystać.

Siedziałyśmy w wodzie jeszcze przez godzinę. Nie przyjechałyśmy tam leczyć egzemy ani pielęgnować twarzy

naturalną maseczką z lawy, ale na pewno potrzebowaliśmy się porządnie wypłakać. I to robiłyśmy.

Kiedy znalazłyśmy się z powrotem w szatni, weszły nasze dwie sąsiadki z basenu i omiotły nas wzrokiem. Rozmawiałyśmy ubrane jeszcze w kostiumy. Ja miałam na sobie górę od bikini i wielkie szorty. Miny tych kobiet oraz mój własny rozum podpowiedziały mi, że tu, w Reykjavíku, z dala od siedlisk próżności, supermodelek i chirurgów plastycznych, wyglądałam jak klaun w nadmuchanych pantalonach.

Georgia była zafascynowana tymi kobietami i nie mogła oderwać od nich wzroku. W końcu, gdy już nakładały kurtki, zagadnęła je raz jeszcze.

- Przepraszam, czy mogłyby nam panie polecić jakąś dobrą restaurację w Reykjavíku?

Blondynka skinęła głową.

- Jest takie fajne miejsce, Silfur, w hotelu Borg. Wybieramy się tam wieczorem z grupą znajomych. Nie jest najtaniej, ale podają wspaniałe fis. - Myślałam, że chodzi im o fish, czyli rybę, ale nie chciałam przerywać.

- Jest też Maru - włączyła się druga - całkiem przyjemny bar sushi i restauracja Laekjarbrekka, bardziej zwyczajna, ale z pysznym jedzeniem.

Georgia kiwnęła głową w podziękowaniu.

- Świetnie, dziękujemy bardzo.

Islandki rzuciły nam uprzejme „do widzenia” i wyszły.

- Nie wiem czemu, ale strasznie mi się podobają te laski - powiedziała Georgia. Założyłyśmy kurtki, czapki, rękawiczki i byłyśmy gotowe do wyjścia. Przyszedł czas opuścić ten cudowny i ciepły pęcherz płodowy Błękitnej Laguny i zmierzyć się z mroźnym zimowym powietrzem.

W hotelu ucięłyśmy sobie drzemkę, a potem wystroiłyśmy się na wyjście do restauracji. Obowiązywał styl skandynawski: golfy, puchowe kamizelki i grube śniegowce. Śnieg wprawdzie nie padał, ale wiało i było zimno, około minus dwunastu. Przed wyjściem wszystkie zebrałyśmy się w moim pokoju. Bardzo nam zależało, żeby nie siedzieć beczynnie w ten niedoszły weselny wieczór Alice. Napiłyśmy się białego wina i starałyśmy się wyluzować.

- Całe szczęście, że nie pojechałyśmy do Finlandii. Słyszałam, że penisy Finów wyglądają jak rolady z roqueforta - oznajmiła Georgia.

- CO? - Aż krzyknęłyśmy. Ruby była zbulwersowana.
- Znajoma mi mówiła. Że są całe takie... żyłkowane.
- Na miłość boską, teraz do jutra nie pozbędę się tego obrazu z głowy - Alice o mało nie zakrztusiła się winem.

Serena wzniosła kieliszek i rzekła z uśmiechem:

- No to wypijmy za to, że nie pojechałyśmy w podróż poślubną do Helsinek.

I tak stałyśmy w hotelowym pokoju, zarykując się ze śmiechu. Alice była w dobrym humorze, a wszystkie miałyśmy już trochę w czubie.

Do restauracji pojechałyśmy dwiema taksówkami. Wybrałyśmy Silfur, bo miały tam być te dwie Islandki, a Georgii na tym zależało. Po wejściu do środka natychmiast zauważyłyśmy, że jesteśmy zbyt swobodnie ubrane; we wnętrzu królowała elegancja art deco, a my wyglądałyśmy, jakbyśmy przyszły zjeść kolację w igloo. Wprawdzie modnym, ale jednak igloo. Zajęłyśmy miejsca przy stoliku i na początek zamówiłyśmy białe wino. Wszystkie kelnerki w lokalu były ładnymi blondynkami. Polecily spróbować fis, a zwłaszcza homara. Kiedy przeglądałyśmy menu pełne przekomicznych islandzkich słów (kurczak to po ichniemu, fonetycznie, kukinkablinka), do restauracji weszły nasze

znajome z Błękitnej Laguny w towarzystwie dwóch panów i dwóch innych pań. Zauważyły nas i wymieniły spojrzenia. Widziałam to. Kiwnęłam głową w stronę drzwi, Georgia się obejrzała. Kelnerka usadowiła ich akurat przy stoliku obok, więc Georgia od razu do nich pomachała.

- Dobry wieczór. Postanowiłyśmy skorzystać z sugestii i przyszłyśmy tutaj.

Blondynka posłała jej uprzejmy uśmiech.

- Cieszę się. Na pewno wam się spodoba. - Potem wyciągnęła rękę i rzekła: - Mam na imię Sigrud. To jest mój narzeczony, Palli. A to moje przyjaciółki, Drofn i Hulda.

Drofn była kobietą pod trzydziestkę, miała długie bardzo jasne włosy i wielkie usta pełne dużych białych zębów. Hulda miała sporo po czterdziestce, ładną, owalną twarz, blond włosy i króciutką chłopięcą fryzurkę. Ponadto nosiła kolczyk w nosie i duże koła w uszach.

Ruda z Laguny też się przedstawiła:

- Jestem Rakel, a to mój mąż Karl.

Nawet gdybym nie miała w organizmie kilku lampek wina, i tak nie umiałabym wymówić ich imion. Potem z kolei my się przedstawiłyśmy.

- Poznałyśmy się dzisiaj w Błękitnej Lagunie - wyjaśniła Georgia. - Przyjechałyśmy z Nowego Jorku i wszystkie jesteśmy trochę nieszczęśliwe.

Karl skinął głową. Wyglądał na faceta o gołębim sercu, w jego zachowaniu było coś, co z miejsca poprawiało humor.

- Tak, Rakel coś wspominała. - Cała grupa zaczęła się uśmiechać. - A dlaczego jesteście smutne? Jesteście w Reykjaviku, tutaj przyjeżdża się po to, żeby się dobrze bawić.

- Właśnie staramy się to robić - wtrąciła Ruby. - Zamiast siedzieć w hotelu, przyszłyśmy się zabawić!

- Przysiadźcie się do nas, zjemy wspólnie - zaproponował Karl.

Wymieniłyśmy spojrzenia. Ich było sporo, nas też - pomysł trochę kłopotliwy. Ale Rakel i Sigrud przyłączyły się do zachęty.

- Chodźcie, chodźcie. Będzie fajnie - powiedziała Rakel.

- Nie mamy żadnych znajomych w Nowym Jorku - dodała Sigrud.

Georgii nie trzeba było dwa razy prosić. Już po chwili wszyscy tłoczyliśmy się przy dużym okrągłym stole dla dziesięciu osób, choć było nas jedenaścioro. Połało się białe wino i wkrótce zaczęłyśmy ich raczyć swoim narzekaniem.

Nie wiadomo dlaczego to wszystko zaczęło nagle brzmieć całkiem zabawnie: praca Ruby w schronisku, moja klęska w Chinach, dramat rodzinny Georgii. Istna komedia. Jedyne, czego nie dało się przedstawić w zabawny sposób, to historia z Robertem, więc Serena o tym nie wspomniała.

- A co to za książkę piszesz, Julie? - spytał Karl. Jęknęłam.

- Już nic nie piszę. Dałam sobie spokój. Wracam do domu i oddaję wydawcy zaliczkę. Nie wiem, co ja sobie wyobrażałam.

- Ona pisze o życiu singielek w różnych kulturach - pośpieszyła z wyjaśnieniem Serena.

- Brzmi interesująco - wtrąciła jedna z przyjaciółek. - Nie chcecie porozmawiać o tym z Islandkami?

- Prawdę mówiąc, nie mam już ochoty z nikim na ten temat rozmawiać.

Georgia próbowała mnie usprawiedliwić.

- Julie czuje się trochę wypalona, ale jestem pewna, że wiele by na tym skorzystała.

Georgii udało się jakoś skierować rozmowę na jej dwie nowe idolki, Sigrud i Rakel - zagadnęła o ich partnerów. Rakel i Karl pobrali się dopiero, gdy ich dzieci miały osiem i

dziesięć lat. Sigrud ma dwoje dzieci z niejakim Jonem, którego poślubiła, gdy miały cztery i siedem lat, ale teraz jest z Pallim. Drofn i Hulda też mają dzieci, są wolne i nigdy nie miały mężów. Wyglądało na to, że to zupełnie normalna sytuacja w tym kraju.

Uparcie odmawiałam wykazania zainteresowania tymi rewelacjami, za to moje irytujące przyjaciółki chłonęły je jak gąbki.

- Chcecie powiedzieć, że u was można mieć męża albo go nie mieć, wychowywać dziecko samej lub z kimś i dla nikogo nie ma to znaczenia? - spytała z ciekawością Ruby.

Tamci wzruszyli ramionami i odpowiedzieli, że rzeczywiście tak jest.

Georgię też to zaintrygowało.

- Czyli nie musicie się martwić, że jakiś facet się spłoszy, bo macie dzieci?

Drofn wydała się wręcz urażona takim pomysłem i spojrzała na Georgię, jakby pierwszy raz o tym słyszała.

- Niby dlaczego? Gdyby mnie kochał, musiałby pokochać moje dzieci.

Georgia pokiwała głową, jakby mówiąc: „No tak, oczywiście. To jasne”.

- Musicie wiedzieć - dodała Rakel - że większość kobiet tutaj ma dzieci. Wiele wychowuje je same. Mieliśmy panią prezydent, która była samotną matką.

- Gdyby mężczyźni nie chcieli się umawiać z samotnymi matkami, nie chodziliby za często na randki - powiedziała Sigrud.

Cała islandzka część stołu ze śmiechem przyznała jej rację. A ja najchętniej pogadałabym o Bjork i spytała, czy jej rodacy uważają ją za dziwaczkę. O wszystkim, byle nie o tym. Do rozmowy włączyła się Serena.

- W takim razie kościół i religia nie odgrywają chyba większej roli w życiu społeczeństwa?

I znów tamci przytaknęli.

- Na Islandii dominuje luteranizm. To religia państwowa, ale nikt do kościoła nie chodzi. To tylko tradycja.

- Niesamowite. Jakbyśmy wylądowały na innej planecie nietkniętej przez żadną religię, której mieszkańcy kierują się swoją własną, instynktowną moralnością. To fascynujące - powiedziała Alice. Muszę przyznać, że i mnie ci dziwni ludzie zaczynali intrygować.

Powiedzieli, że po kolacji wybierają się na koncert swoich znajomych do znanego klubu nocnego o nazwie NASA. Na

szczęście nas też zaprosili. Zaczynałyśmy się do nich przywiązywać i jeszcze nie miałyśmy ochoty się z nimi rozstawać.

Weszliśmy do dużego klubu, który niczym się nie różnił od klubów, jakich pełno w Stanach. Tłumy ludzi bawiące się w towarzystwie muzyki i alkoholu. Zespół grał wesołą mieszankę muzyki irlandzkiej z islandzką, przy której nogi same rwały się do tańca. Nie miałam pojęcia, o czym ci faceci śpiewają, ale wyglądało na to, że sprawia im to cholerną radochę. Nasi islandzcy znajomi skierowali się prosto do kącika dla VIP - ów obok sceny, a my poszliśmy za nimi. Stały tam już przygotowane stoliki - kolega z zespołu o wszystko zadbał. Nie mogłyśmy lepiej spędzić wieczoru weselnego Alice. Karl postawił nam kolejkę czegoś, co się nazywało „Czarna śmierć”. Wypiłyśmy wszystkie z wyjątkiem Sereny, która najwyraźniej wolała się pilnować.

Ogarnęłam wzrokiem tłum. Przysiadła się do mnie Hulda, mówiąc:

- My tu mamy inny problem: nasi faceci są strasznie leniwi. Nie potrafią zrobić pierwszego kroku, przez co kobiety stały się bardzo agresywne. I teraz to już w ogóle nie muszą wykazywać inicjatywy. Błędne koło.

Skinęłam głową. W chwili, gdy to mówiła, zauważyłam jak ładna dwudziestoparoletnia blondynka przyciąga do siebie i zaczyna namiętnie całować faceta, z którym tańczyła.

Hulda kontynuowała:

- Kolejna sprawa: tutaj od razu idzie się do łóżka. Nie ma chodzenia ma romantyczne randki jak u was, w Stanach.

- A czy dziewczyny się przejmują, jeśli facet potem nie dzwoni? - Jednak wciągnęła mnie w rozmowę, niech to szlag.

Wzruszyła ramionami.

- Czasem tak, czasem nie. Islandki to twarde sztuki. Pamiętaj, że pochodzimy od wikingów. A poza tym, jeżeli chce się z nim dalej spotykać, sama może zadzwonić.

W jej ustach brzmiało to tak prosto.

Zespół zaczął grać The Devil Went Down to Georgia (Diabeł udał się do Georgii). Stwierdziłyśmy, że to znak, aby ruszyć tyłki i trochę poszaleć na parkiecie. Potem już prawie stamtąd nie schodziłyśmy. Tańczyłyśmy, piłyśmy i poznawałyśmy coraz więcej Islandek i Islandczyków - co jedno, to bardziej wyzwolone. Mężczyzn mają tam przystojnych i sympatycznych, ale nie to zapamiętam z wizyty w tym kraju - zapamiętam przede wszystkim kobiety. Silne, piękne kobiety - wikingów.

W końcu wróciłyśmy do naszego kącika i stanąwszy przy barierce, obserwowałyśmy tłum.

- Hm, skoro te wszystkie laski mają dzieci, w Reykjavíku musi być od groma opiekunek - oceniła Georgia.

Alice ogarnęła wzrokiem morze ludzi.

- Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że w wieku trzydziestu ośmiu lat będę bezdzietną starą panną, która przyleciała na Islandię, odwoławszy wcześniej własny ślub, nigdy bym nie uwierzyła.

Nie spodobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

- Dobrze to rozumiem. Ja też się nie spodziewałam, że moje życie tak się potoczy - powiedziała Georgia. - Jestem rozwódką. Moi rodzice też się rozwiedli. Myślałam, że to ostatnia rzecz, która może mi się przytrafić.

Ruby też dorzuciła swoje trzy grosze: - Jak byłam mała, nie sądziłam, że dożyję trzydziestu siedmiu lat i będę całymi dniami ryczeć. A Serena dodała:

- Myślałam, że więcej osiągnę. Że w moim życiu będzie więcej życia.

- Co się z nami stanie? - spytała Ruby.

Spojrzałam na nas - jeden wielki tonący okręt, który zaraz pójdzie na dno. I nagle przyszedł mi do głowy pomysł. Wtedy wydał mi się genialny, ale trzeba pamiętać, że piłam drinka o nazwie „Czarna śmierć”.

- Słuchajcie, musimy pójść w jedno miejsce - zawołałam do nich. - Dziś Alice miała brać ślub. Trzeba jakoś to uczcić. Urządzimy ceremonię.

Alice aż oczy się zaświeciły.

- Jaką ceremonię?

- Jeszcze nie wiem. Właśnie myślę.

Podeszłam do Sigrud i Rakel. Miałam koncepcję, żeby pojechać w jakieś ładne miejsce na łonie przyrody. Rakel zaproponowała Eyrarbakki, senne miasteczko położone nad samym oceanem. Zapytały, co chcę zrobić, a ja odparłam, że odprawić uzdrawiający dla nas wszystkich rytuał. Uznały, że to zabawne, i zgodziły się przyłączyć. Hulda i Drofn też. Przed wyjściem porwałam z baru cały stos papierowych serwetek. Kiedy opuszczaliśmy klub, była czwarta nad ranem. Rakel i Drofn musiały prowadzić, bo jako jedyne były trzeźwe i znały drogę. Zapakowałyśmy się do samochodów i ruszyłyśmy.

Po mniej więcej dwudziestu minutach dotarliśmy do Eyrarbakki. Miasteczko sprawiało wrażenie wyludnionego. Przez środek biegła jedna ulica, po lewej były małe nieoświetlone domki, po prawej skały i ocean. Przemierzenie miejscowości wzdłuż i wszerz zajęłoby pewnie pięć minut. Zaparkowałyśmy auta przed budynkiem, który wyglądał na miejscowy supermarket, i ruszyłyśmy w stronę skał. Wiał bardzo silny wiatr, przez co wydawało się, że jest o wiele zimniej, niż było w rzeczywistości.

Po drodze Sigrud powiedziała:

- Szkoda, że do tego rytuału potrzebujecie wody. Są tu inne, bardziej magiczne miejsca. Mogłyśmy pojechać tam, gdzie żyją elfy.

Alice, Ruby, Serena, Georgia i ja jednocześnie odwróciłyśmy głowy.

- Co takiego? - spytałam. - Elfy?

- Tak. Ale można je spotkać raczej w głębi lądu.

- Wierzycie w elfy? - zapytała Serena.

Rakel z powagą kiwnęła głową.

- Oczywiście.

Wolałam się upewnić.

- Takie... jak w bajkach?

Georgia wyglądała na zaintrygowaną.

- I co, widziałyście je kiedyś? Hulda pokręciła głową.

- Ja nie, ale moja ciotka.

- Jest taka słynna historia - wtrąciła Drofn - o robotnikach, którzy niedaleko stąd chcieli wybudować nową drogę. Wszystko szło nie tak, a to pogoda, a to awarie sprzętu, co tylko można sobie wyobrazić. W końcu sprowadzili jasnowidza, który powiedział, że to przez elfy. Znajdowali się na ich świętej ziemi. Robotnicy przenieśli się kilka kilometrów dalej i kłopoty się skończyły.

- A jak one wyglądają? - zapytałam Sigrud. Nie chciałam jej urazić, naprawdę mnie to zaciekało.

Sigrud wzruszyła ramionami i rzeczowym tonem, jakby opowiadała, co jadła na obiad, zaczęła wyliczać:

- Jedne są niskie, inne wysokie, niektóre noszą śmieszne kapelusze...

Ruby nie wytrzymała i zaczęła się śmiać.

- Śmieszne kapelusze?

Rakel też się roześmiała, zdając sobie sprawę, jak to zabrzmiało.

- Tak. I mieszkają w małych domkach, tyle że nie możemy ich zobaczyć.

Pokręciłam głową.

- Nie wierzycie w Boga, religię, małżeństwo, a wierzycie w istnienie elfów?

- Właśnie tak - zachichotała Sigrud.

- Cóż - zaśmiała się Serena. - To tylko dowód, że wszyscy potrzebujemy w coś wierzyć.

Poszłyśmy w stronę plaży. Było zimno jak cholera i mój początkowy entuzjazm powoli zaczynał gasnąć. Zdałam sobie sprawę, że gdyby nie ja i moje wariackie pomysły, wszyscy teraz leżelibyśmy w łózkach i smacznie spali. Stanęłyśmy nad brzegiem oceanu. Wszystkie spojrzały na mnie wyczekująco. Stwierdziłam, że pora zaczynać.

- Uznałam, że musimy w jakiś sposób wypowiedzieć głośno to, co wszystkie w głębi duszy czujemy.

Na chwilę zapadła cisza.

- Co czujemy? - powtórzyła Ruby.

- Wydaje mi się, że czujemy, iż wiele rzeczy już nas w życiu nie spotka. Nie będziemy już nigdy młodymi mężatkami ani młodymi matkami. Możliwe nawet, że nigdy nie będziemy miały pięknego domu z kochającym mężem i dwójką ślicznych dzieci, które same urodzimy. To nie znaczy, że w ogóle nie znajdziemy faceta czy nie będziemy mieć dzieci,

tylko musimy się pogodzić z tym, że nie stanie się to w taki sposób, w jaki oczekiwaliśmy. Jak sobie wymarzyliśmy.

- Jezu, Julie, ty to potrafisz człowieka zdołować. Zaśmiałyśmy się.

Rozdałam Serenie, Alice, Ruby i Georgii ukradzione z baru serwetki. Nie chciałam w to mieszać naszych islandzkich sióstr.

- Okej. Nie mam nic do pisania, więc musimy użyć wyobraźni. Chcę, żebyście sobie teraz przypomniały swoje oczekiwania co do przyszłego życia. A potem wyobraźcie sobie, że całe rozgoryczenie z powodu niespełnionych marzeń zawijacie w te serwetki.

Zamknęłam oczy i zaczęłam sobie przypominać, jak to było u mnie. Miałam ściśle sprecyzowane plany. Nigdy nie marzyłam o mężu i dzieciach, za to myślałam, że będę wiodła ekscytujące życie w Nowym Jorku, robiąc szalone rzeczy z moimi szalonymi przyjaciółmi. Wiedziałam, że będę patrzeć, jak kolejno zakładają rodziny, a potem, w ostatniej chwili, dosłownie w ostatniej (która według mnie minęła już w zeszłym roku), pojawi się mój książę z bajki i wbrew moim protestom i cynicznej naturze, zawróci mi w głowie i uczyni swą żoną i matką swoich dzieci. Tak to sobie wyobrażałam.

Myślałam, że będę ostatnia, ale się z a ł a p i ę. Nigdy nie przypuszczałam, że tak się nie stanie. To wszystko włożyłam do serwetki.

Alice pomyślała o byłym chłopaku, Trevorze. Planowała za niego wyjść, mieć kilkoro dzieci i razem z nim się zestarzeć. Przypomniała sobie wszystkie wspólne wakacje, wspólne ubieranie choinki na Boże Narodzenie i pewność, że jeszcze tyle świąt przed nimi. Przypomniała sobie, jak oznajmił, że nie chce się z nią żenić, a ona kazała mu się wyprowadzić.

Ruby przypomniała sobie, jak snuła plany szczęśliwego życia u boku każdego kolejnego faceta, którego poznała w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Teraz przez jej pamięć przewijały się ich twarze, z każdym to życie miało wyglądać inaczej. Z Lenem byłaby szacowną panią doktorową. Z Richem kochającą żoną, wspierającą męża stawiającego pierwsze kroki w trudnej branży budowlanej. Dla tego lobbysty, jak mu tam, gotowa była się przeprowadzić do Waszyngtonu. Wszystkie niespełnione plany stanęły jej teraz przed oczami. Podobała jej się ta ceremonia. Bo czymże byli ci wszyscy mężczyźni? Fantazją, niczym więcej.

Wyobrażeniem zawiniętym w papierową serwetkę. Niewiarygodne, jak mogła pozwalać im tak sobą zawładnąć.

Georgia pomyślała o Beth. Często sobie wyobrażała dzień, w którym ich córka będzie odbierała dyplom w college'u. Ona i Dale siedzą razem na widowni, obok nich Gareth i dziadkowie. Gdy Beth podchodzi do podium, Georgia i Dale klaszczą i wiwatują najgłośniej ze wszystkich, a potem zwracają ku sobie wzrok i się całują. W tym pocałunku, w tych uściskach mieści się cała ich duma i miłość do córki. Ścisnęło ją w gardle. Na długi czas wyrzuciła ten obraz z głowy, lecz tu, w ciemną noc, na mrozie i wietrze, dotkliwie odczuła tę stratę i z oczu pociekły jej łzy.

Serena sobie uświadomiła, że nie ma czego włożyć do serwetki. Joga pozwoliła jej się wyzbyć wszelkich oczekiwań. Jakieś wizje wymarzonego życia? Nic takiego nie przychodziło jej do głowy. Zrozumiała, że może czas je stworzyć. W jej przypadku chodziło więc o to, aby dopiero zacząć sobie wyobrażać, jak ma wyglądać jej życie. Włożyła więc do serwetki własną pustą przyszłość.

Wyjęłam pożyczoną od Karla zapalniczkę i po kolei podchodziłam do dziewczyn i podpalałam ich serwetki. Kiedy płonęły, powiedziałam:

- Gotowe. Nie ma co do tego wracać. Tamtych marzeń już nie zrealizujemy. - Gdy ogień zaczynał parzyć w dłonie, rzuciłyśmy serwetki na ziemię. - Teraz jesteśmy wolne.

- Ale co dalej? - zapytała Ruby.

- Zaczniemy od nowa, bez poczucia klęski. Będziemy żyły tym życiem, które mamy, Tamto nie istnieje.

Zapadło milczenie. Chyba nigdy nie widziały mnie takiej... uroczystej. Zerknęłam na Sigrud, Rakel i Hulbę. Przyglądały się temu z całą powagą i szacunkiem, aż byłam zaskoczona. Ciekawe, co sobie myślały.

- Czy któraś chciałaby coś powiedzieć? Zgłosiła się Rakel.

- Gratulacje, właśnie odkryłyście w sobie wewnętrznego wikinga.

Wtedy my, cztery dziewczyny z Nowego Jorku, spojrzałyśmy po sobie z zadowoleniem.

Wróciłyśmy do hotelu, zjadłyśmy śniadanie i spakowałyśmy walizki. Burzliwy weekend dobiegł końca. Czas do domu. Zwłaszcza dla mnie. Skończyłam z tym wszystkim. Czy czegoś się nauczyłam? Chyba tak. Czy się cieszę, że poznałam Thomasa? Tego jeszcze nie wiem, pożyjemy, zobaczymy.

Na lotnisko jechałyśmy w milczeniu. Byłyśmy niewyspane, rozdrażnione i skacowane. Ratowałyśmy się przed odwodnieniem mineralną, którą zabrałyśmy z hotelu. Alice, która prowadziła, postanowiła wygłosić ważne oświadczenie.

- Coś wam powiem: wierzę w elfy.

Spojrzałyśmy na nią z uśmiechem. Tylko Ruby miała dość siły, żeby odpowiedzieć.

- Poważnie?

- Tak. No spójrzcie tylko na to niesamowite miejsce. Nie macie wrażenia, że tu muszą mieszkać jakieś skrzaty?

Byłyśmy zbyt zmęczone, żeby się odezwać. Ale zastanowiłam się nad tym. My naprawdę potrzebujemy w coś wierzyć, więc czemu nie w elfy? Albo w miłość?

- Cóż, skoro Alice może wierzyć w niewidzialne stworki w śmiesznych kapeluszach, to ja mogę uwierzyć w miłość.

Od dziś zamierzam wierzyć, że można znaleźć kogoś, kogo się pokocha z wzajemnością na całe życie, i nie będzie to tylko psychologiczne złudzenie.

Alice klasnęła w dłonie.

- No, wreszcie mówisz do rzeczy. Uśmiechnęłam się.

- Skoro Alice wierzy w istnienie magicznych stworów, które psują robotę biednym drogowcom, to ja wierzę, że spotkam faceta, który pokocha nie tylko mnie, ale i moje dzieci - stwierdziła Georgia.

Serena kiwnęła głową.

- A skoro Alice może wierzyć w elfy, Julie w miłość, a Georgia w powtórne zakochanie się, to ja zamierzam uwierzyć, że Joanna i Kip przetrwają trudne chwile i jeszcze kiedyś będą szczęśliwi.

- A co z tobą? - zapytałam.

- Też chcę być szczęśliwa, więc wierzę, że znajdę na to sposób - odparła.

Ruby się uśmiechnęła i wzniosła butelkę z wodą.

- A ja wierzę, że wszystkie jeszcze będziemy szczęśliwe. Spełnią się nasze marzenia i wszystko się ułoży. - Napila się wody. - Poza tym zamierzam uwierzyć w dobroczynne działanie lexapro.

I tak w kraju pogańskich wikingów każda z nas odnalazła coś, w co może wierzyć.

- To ja się posunę o krok dalej - powiedziałam. - Skoro wszystkie mamy znaleźć w życiu miłość i szczęście, to ja

zamierzam odtąd wierzyć w cuda, bo bez nich to się chyba nie obejdzie.

Dziewczyny parsknęły śmiechem, ale ja mówiłam całkiem serio.

Alice wzniosła toast butelką wody.

- Za elfy i cuda. Wierzmy w jedno i drugie. Co nam szkodzi? Klasnęłyśmy w dłonie i uniosłyśmy butelki.

Samolot toczył się po pasie startowym. Ja siedziałam przy przejściu, a Serena przy oknie. Przed nami były Ruby z Georgią, a Alice w rzędzie obok. Na zewnątrz hulał wiatr, cała kabina się trzęsła, gdy nabieraliśmy prędkości. Wtedy się zorientowałam, że przez kaca, niewyspanie i przez to, że się zagadałam z dziewczynami, zapomniałam zażyć tabletki. Mało tego, zapomniałam je nawet włożyć do bagażu podręcznego. Gdy samolot z hukiem wzbijał się w powietrze, chwyciłam się kurczowo podłokietników.

- Jak ja mogłam nie wziąć leków. Ale ze mnie idiotka.

Serena zobaczyła, że robię się blada na twarzy. Położyła mi dłoń na ramieniu i szepnęła:

- Wszystko będzie dobrze, pamiętasz? Nic nam się nie stanie.

Samolot łagodnie nabierał wysokości.

- Tak, tak - kiwałam głową. - Nic nam nie będzie. - Nieco rozluźniłam chwyt.

Po chwili już byliśmy w powietrzu. Serena zaczęła mi czytać artykuły z „People”, a Alice co chwila dorzucała jakieś plotki o gwiazdach. Wiedziałam, że próbują mnie czymś zająć, żebym nie zaczęła wrzeszczeć. Przez pięć i pół godziny zero paniki. Zadziałało. Ani kropli potu, oddech spokojny, nic. Zachowywałam się jak wszyscy inni pasażerowie tego samolotu. Nie mam pojęcia, dlaczego, ale może dzięki towarzystwu przyjaciółek. Nie czułam się taka samotna. Albo pomógł mi ten rytuał na Islandii, gdzie pozbyłam się dawnych wyobrażeń co do przyszłości - może była wśród nich spodziewana śmierć w odmętach oceanu? A może w głębi duszy rzeczywiście byłam pewna, że nic nam się nie stanie? Zresztą, gdyby przypadkiem jednak miało być inaczej i przyszłoby nam zginąć w gigantycznej kuli ognia, to ani ja, ani mój strach nic byśmy na to nie poradzili. Przestałam się więc tym przejmować i po prostu sobie leciałam.

Nieważne, dzięki czemu, ważne, że uniknęłam paniki.

Powrót do Stanów

Pod dwóch tygodniach spotkałyśmy się, żeby posłuchać o nowej pracy Alice. Znowu została adwokatem. Przyszliśmy do

restauracji Spice na Manhattanie i usadowiliśmy się w dużym boksie w części dla VIP - ów - oczywiście dzięki Alice. Z entuzjazmem opowiadała o swojej pierwszej sprawie: młodym chłopaku, którego oskarżono o złamanie zasad zwolnienia warunkowego, tymczasem zrobił go w to kolega. Było słyhać, że cała się w to angażuje. Zamówiliśmy wino, ale Ruby odmówiła. Powiedziała, że bierze jakieś nowe leki, których nie wolno łączyć z alkoholem. Przyznała, że to antydepresant. Dostała od nas wielkie brawa.

- Dzięki Bogu, nareszcie - ucieszyła się Alice.

- Czemu tyle zwlekałaś? - spytała Georgia. - Ja chyba też lada dzień urządzę sobie wycieczkę do psychiatry.

- Doskonała decyzja, Ruby! Choć wiem, że nie była łatwa - dodała Serena. Tydzień wcześniej wyprowadziła się od niej, bo wreszcie znalazła dla siebie mieszkanie w okolicy Park Slope na Brooklynie.

- I jak się czujesz? - spytałam Ruby. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Muszę przyznać, że wspaniale. Euforia to to nie jest, ale już nie chodzę taka przybita.

- To fantastyczne - ucieszyłam się. Nagle Georgia spojrzała na mnie i zapytała:

- A co będzie z twoją książką? Skrzywiłam się.

- Jeszcze nie wiem. Szefowa nie wie, że wróciłam, ale właśnie dostałam od niej e - mail z pytaniem, jak mi idzie. Nie mam pojęcia, co jej powiem.

Dziewczyny spojrzały na mnie zaniepokojone, że właśnie rujnuję sobie karierę.

- Nie szkoda ci? Chyba dużo wyniosłaś z tej podróży? Poznałaś tyle ludzi z całego świata.

Wbiłam widelec w kawałek pieczonej kaczki i zastanowiłam się.

- Nie jestem pewna.

Potem wpadliśmy do baru na dachu jednego z modnych hoteli w okolicy. Didżej już był, ale ludzi jeszcze mało. Rzuciliśmy torby i płaszcze w kąć i od razu poszliśmy tańczyć.

A więc - wracamy do akcji. Tym razem nie będzie żadnych płasów na barze, bójek, płukania żołądka i tym podobnych. Przyszliśmy się po prostu zabawić, bez spięcia, bez oczekiwań, otwarte na wszystko, co może przynieść wieczór.

Puścili Baby Got Back. To najlepsza taneczna piosenka wszech czasów. Zaczęliśmy szaleć. Wywijaliśmy nogami i

kręciłyśmy tyłkami, usiłując śpiewać razem z wokalistą, co zresztą wychodziło nam fatalnie.

Przyjrzałam się moim pięknym przyjaciółkom. Nie da się ukryć, że wiele się zmieniło przez te ostatnie tygodnie. Bardzo się do siebie zbliżyły, teraz same do siebie dzwoniły, ja przestałam być ich łącznikiem. Podczas lunchu dogryzały sobie, kłóciły się i dokładnie wiedziały, co się w życiu każdej z nich dzieje - jak stare dobre znajome. Widząc te roześmiane twarze Georgii, Alice, Ruby i Sereny, stwierdziłam, że wreszcie mam to, o czym zawsze marzyłam. Podczas gdy ja wojażowałam po świecie, tu narodziła się paczka przyjaciółek. A teraz dawała czadu w samym sercu Nowego Jorku.

Znów zaczęłam się zastanawiać, czego mnie nauczyły te wszystkie niezwykle kobiety, które poznałam w podróży. Jedna myśl natrętnie do mnie powracała, choć starałam się ją przegonić. Napawała mnie zgrozą, zwłaszcza tam, przy muzyce, w atmosferze beztroskiej zabawy w towarzystwie przyjaciółek. Z trudem przychodzi mi nawet wystukanie tych słów na klawiaturze. Nie mam jednak wyjścia. Bardzo niechętnie to przyznaję, ale dopadła mnie z całą siłą. Cholera.

Myślę, że będziemy musiały pokochać same siebie. Niech to szlag.

No, wiem, wiem. Ale dajcie mi się chociaż usprawiedliwić. Nie mam na myśli dogadzania sobie w stylu kąpieli w pianie czy urządzania sobie wypadów do restauracji. Uważam, że musimy siebie kochać dziko jak lwica broniąca swoich lwiatek. Jakbyśmy w każdej chwili mogły zostać zaatakowane przez bandę oprychów, którzy chcą nas ograbić z poczucia godności. Musimy kochać siebie z pasją, jak Włosi, radośni, entuzjastyczni, zaborczy. Musimy kochać siebie z dumą i godnością Francuzek. Musimy kochać siebie tak, jak kochają siebie siedemdziesięcioletnie Brazylijki paradujące w biało - czerwonych kostiumach na ulicznym festynie. Albo tak, jak wtedy, gdy oberwiemy puszką w twarz i musimy same sobie przyjść z pomocą. Musimy siebie kochać mocno i zapamiętale. Wkładać w to tyle energii, co prześladowca nie odstępujący na krok obiektu swego uwielbienia. Musimy rzeczywiście odkryć w sobie wewnętrznego wikinga, przywdziać lśniącą zbroję i kochać siebie tak odważnie jak nigdy przedtem. Także, cholera, przykro mi, ale niestety musimy siebie pokochać.

W trakcie moich rozważań na parkiecie pojawił się jakiś przystojny facet z włosami do ramion i zaczął tańczyć z

Sereną. Miał na sobie dziwaczne workowate, czerwone spodnie.

Usłyszałam, jak Serena pyta:

- Przepraszam, to nie jest czasem płótno konopne?

- Tak. Staram się nie nosić niczego, co szkodzi naszej planecie - odparł, nachylając się do niej.

Serena, zaintrygowana, pokiwała głową.

- Co taki facet jak ty robi w takim klubie?

Nieznajomy uśmiechnął się.

- Może i noszę spodnie z konopi, ale to nie znaczy, że nie kocham tańczyć!

Powiedział, po czym złapał ją w pasie i kilka razy okręcił. Serena się śmiała i robiła się coraz bardziej czerwona. W pewnym momencie, gdy przemykała obok mnie, rzuciła mi spojrzenie pod tytułem „kto by pomyślał?”.

Alice, Georgia, Ruby i ja w końcu się zmęczyliśmy i usiadaliśmy przy stoliku. Przed oczami miałyśmy całą panoramę Nowego Jorku na czele z podświetlonym na biało - niebiesko Empire State Building. Serena siedziała osobno, zajęta rozmową z nowo poznanym miłośnikiem przyrody. Był nią wyraźnie oczarowany. Śmiali się i gawędzili jak para dobrych przyjaciół.

- Czyżby na naszych oczach dokonywał się mały cud? -
zażartowała Alice.

Uśmiechnęłam się w duchu.

- Kto wie?

Rozejrzałam się i popatrzyłam na wszystkie piękne kobiety, które tańczyły, flirtowały z mężczyznami i rozmawiały z przyjaciółkami. One też postanowiły nie zamykać się w domu, założyły najlepsze ciuchy i przyszły się rozerwać. Znowu pomyślałam o mojej podróży. Właściwie te spotkania z singielkami w różnych krajach, borykającymi się z własnymi problemami, mającymi własne oczekiwania i nadzieje, powinny mnie były zniechęcić. A stało się inaczej. Dodały mi otuchy. Przekonałam się bowiem, że nie ja jedna na świecie jestem w takiej sytuacji. I ta myśl zawsze przy mnie zostanie, będę ją przechowywać niczym drogocenny list miłosny.

Nie jestem w tym osamotniona.

I wiecie co jeszcze? Cuda zdarzają się codziennie.

PODZIĘKOWANIA

Bardzo wiele osób przyczyniło się do powstania tej książki, przede wszystkim te, z którymi miałam przyjemność rozmawiać, podróżując po świecie, oraz moi „gospodarze”, którzy mi te spotkania umożliwiali. Cała lista nazwisk byłaby pewnie dłuższa niż sama książka, ale jestem im niezmiernie zobowiązana, zwłaszcza kobietom, że w swym zabieganym życiu zdołały znaleźć dla mnie chwilę i bardzo szczerze i z humorem pogadać o miłości i związkach. Było to niezapomniane przeżycie. Jestem dla nich pełna podziwu i pokornie, z całego serca im dziękuję.

W szczególności chciałabym podziękować kilku osobom z każdego kraju. Ich pomoc była nieoceniona.

W Islandii dziękuję Drofn i Rakel za zorganizowanie spotkania z niesamowitymi mieszkankami Reykjavíku; a także Brynji, drugiej Rakel i Palliemu za ich przyjaźń.

W Brazylii - mojej bohaterce Bianca Costa oraz Tekce i Caroline z Copacabana Films. Dziękuję Mattowi Hanoverowi z Yahoo, a także Cindy Chupack za błyskotliwy umysł, którego jej bardzo zazdroszczę.

W Europie dziękuję moim operatorom z ekipy: Aaronowi, Tony'emu i Jamesowi za rozśmieszanie nas przez całą drogę

do Paryża i Rzymu. W Paryżu - Laure Watrin i Charlotte Sector, które organizowały mi spotkania. W Rzymie - Veronice Aneris i Monice De Berardinis (oraz Johnowi Melfiemu, na którego pomoc zawsze mogłam liczyć, w którymkolwiek kraju byłam). Danie Segal za to, że miałam obok siebie przyjazną twarz w tym gorączkowym okresie. Gabriele i Domenicowi za to, że przez cały czas byli dla mnie inspiracją, nie tylko w Rzymie.

W Danii dziękuję Thomasowi Sonne Johansenowi i Perowi Dissingowi, że mnie wspomagali na ostatnim, najzimniejszym etapie podróży po Europie.

W Bombaju - Hamidzie Parker, Aparnie Pujar, Jimowi Cunninghamowi, Monice Gupta za to, że pomagali mi się nie zgubić w tym bardzo skomplikowanym mieście. Byliście dla nas niezwykle gościnni.

W Sydney chciałam podziękować Karen Lawson za jej entuzjazm, poczucie humoru i niewyczerpaną energię. Dziękuję też George'owi Moskosowi za dodatkową pomoc organizacyjną i humorystyczne podejście do sprawy, a Bernardowi Saltowi, że zechciał poświęcić tyle czasu na zrobienie ze mną wywiadu. Szczególnie dziękuję Genevieve

Read, obecnie Genevieve Morton, której nie poznałam osobiście, ale stała się dla mnie inspiracją.

W Pekinie muszę koniecznie podziękować dwóm kobietom: Chen Chang i Stephanie Giamb Bruno za to, że dzięki nim pobyt w tym mieście stał się dla mnie jednym z najbardziej niezapomnianych w życiu. A samej Chang za jej śmiałość w swej szczerości obserwacji. Dziękuję też za pomoc Han Bingowi oraz Nicole Wachs za to, że była najlepszym towarzystwem, jakie tylko ciotka może sobie wymarzyć.

A w ogóle moja podróż i ta książka nie byłyby możliwe, gdyby nie Margie Gilmore i jej niezwykły upór i wytrwałość oraz Deanna Brown i jej wiara w nas obie. Margie, jeszcze raz dzięki, że umożliwiłaś mi zwiedzenie świata.

W Stanach Zjednoczonych pragnę podziękować tym, którzy mnie wspierali, gdy pomysł był jeszcze w zarodku. Są to: Mark Van Wye, Andrea Ciannavei, Shakti Warwick oraz Garo Yellin, któremu jestem wdzięczna za ten wieczór, kiedy wytłumaczył mi wszystko, co i jak.

Dziękuję tym, którzy mi pomagali podczas samego pisania książki: Craigowi Carlisle'owi, Kathleen Dennehy oraz mojej wybawicielce Kate Brown.

Pozostaje mi jeszcze wyrazić wdzięczność tym, bez których byłabym nikim: Andy Barzvi za to, że jest najbardziej bezczelną i czarującą agentką, jaką można sobie wymarzyć (to wszystko jej wina, od początku do końca), mojej redaktorce Greer Hendricks (wciąż próbuję zgadnąć, czym sobie na nią zasłużyłam) oraz wydawcy Judith M. Curr (nieustannie się przekonuję, jaka ze mnie szczęściara, że mam taką szefową).

Ogromnie dziękuję moim przyjaciółkom, towarzyszkom cotygodniowej „burzy mózgów”, za to, że są zawsze skłonne robić znacznie więcej, niż bym oczekiwała. Dziękuję Marcowi Kormanowi i Julien Thuan, na których polegam we wszystkim. Dziękuję Johnowi Carhartowi za jego ciężką pracę i dobry humor, choć mnie nie znosi. Specjalne, międzynarodowe podziękowania kieruję do Nadii Dajani, która odbyła tę podróż razem ze mną i widziała to wszystko (naprawdę wszystko) na własne oczy. Bez ciebie nawet w połowie nie byłoby tak fajnie. Dziękuję też szczególnie Michaelowi Patrickowi Kingowi, bo to od niego wszystko się zaczęło, i zawsze mu będę za to wdzięczna. I wreszcie dziękuję mojej rodzinie i znajomym, których doping tak mnie irytował, za cierpliwość, jaką wobec mnie wykazaliście. Co ja bym bez was zrobiła...